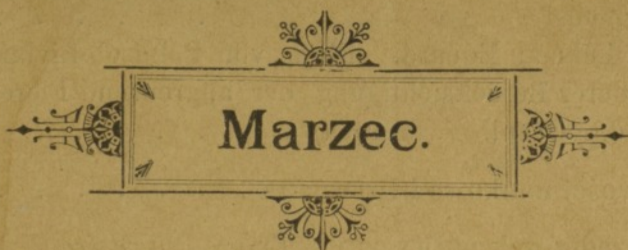


ATENEUM



PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.



WARSZAWA,

1897.



SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12**.

Druk ukończono d. 4 marca 1897 r.

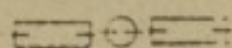
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1897.

TOM I.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXXV.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Senatorska № 29.

1897.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Фавраля 1897 года.



SPIS RZECZY.

Str.

1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Nauki przyrodnicze.

3. Filozofia i socyologia.

4. Literatura.

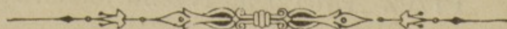
5. Beletrystyka.

6. Historya i biografie.

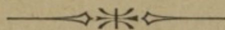
7. Ekonomia polityczna.

8. Estetyka.

9. Rozbiory i sprawozdania.



Trochę godności!...



Wiele i bardzo różnorodnych składało się na to czynników, że Paryż stał się dla nas wzorem już nietylko strojów, etykiety i wszelkich form zewnętrznych, ale czynów, idei, sympatyi i uprzedzeń. Na pociechę możemy sobie powiedzieć, że nie my jedni, nie my téż pierwsi i ostatni zostajemy pod urokiem wszystkiego, co jest rodem z Francyi. Nie mniéj wszakże musimy się téż przyznać, że ze wszystkich wasalów geniuszu francuskiego my dotąd pozostajemy najwierniejszymi, a raczéj najbardziéj zaślepionymi służkami.

Nie będziemy rozbiérać lub krytykować objawu tego w całéj jego rozciągłości. W artykule niniejszym chcemy dotknąć jednéj tylko jego strony i w jednéj tylko sferze: idzie nam mianowicie o literaturę, a w jéj dziedzinie o te objawy uniżoności, jakie już nie przystoją nawet szanującym własną swą godność wasalom.

Z dawien dawna zakorzeniony w nas zwyczaj niedoceniania wszystkiego, co swoje, dopóki nie uzyska aprobaty w Paryżu, i znów odwrotnie bezkrytycznego przeceniania choćby najmierniejszéj lichoty, byleby zaopatrzonéj w przychylną wzmiankę prasy zagranicznéj, w dziedzinie literatury znajduje swój wyraz w usilném dążeniu większości naszych literackich działaczów — kierowanych zresztą najszlachetniejszemi intencyami — do zaznajamiania publiczności nadsekwańskiéj z owocami naszéj twórczości. Gdy więc w literaturze naszéj zjawi się coś choć cokolwiek wybitniejszego, w piersiach ich bu-

dzi się jakby jedno pragnienie: ach, gdyby to mogli przeczytać Francuzi!

Zdawałoby się, że w téj dążności nie ma nic niewłaściwego, raczéj, przeciwnie, na podniesienie zasługiwaćby powinna taka gorliwość o uznanie dla swojskiéj litaratury śród obcych. Nic bowiem naturalniejszego nad pragnienie jednostki uspołecznionéj, ażeby na gromadę, do któréj należy, przypadła jak największa ilość chwały i zaszczytów, ażeby już samo należenie do mego społeczeństwa, było dla mnie kartą rekomendacyjną w świecie cywilizowanym i t. d.

Wszystko to są powody bardzo słuszne i nie ośmielilibyśmy się w téj kwestyi zakładać jakiéjkolwiek opozycyi, gdyby w stosunku do Francuzów nie zachodziło jedno *ale*. To *ale* kryje się w dziwnéj wyłączności, jednostronności, powiedziałbym nawet, ciasnocie umysłowéj Francuzów. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że po za granicami Francyi Francuza nie interesuje nic, a przynajmniéj niczego zrozumiéć nie chce, i gdzie tylko trzeba będzie wyjrzéć trochę daléj po za obręb własnego kraju, czy to w sprawie nauki, czy literatury i sztuki obcego narodu, tam Francuz pospolicie okaże zadziwiającą płytkość i ignorancyę. Poprostu, sądząc po Francuzach, możnaby dojść do wniosku, że przywilejem jest narodów wysoko oświeconych, iż wolno im być pod wieloma względami ciemnemi. Co więcéj, w parze z tą ciasnotą i poprostu nieuctwem Francuzów, idzie jeszcze niesłychana zarozumiałość, wprost wykluczająca w ich pojęciu możność powstania jakiéjkolwiek idei gdzieś po za obrębem Francyi.

Jak wiadomo np. w ostatnich czasach prawie wszystkie literatury europejskie odczuły pewien orzeźwiający (choć może cokolwiek przeceniony) powiew z północy. Literatura skandynawska, dzięki pośrednictwu niemieckiemu, naraz zwróciła na siebie powszechną uwagę podjęciem pewnych kwestyi i przez zerwanie z utartym konwencyonalizmem, pozwoliła nam na wiele rzeczy spojrzéć pod zupełnie innym kątem widzenia. Nowe te prądy, można powiedziéć, najpóźniéj dostały się do Francyi. Gdy jednak nareszcie dzięki Brandesowi i krytyce niemieckiéj, udało się im przecisnąć przez ucho igielne wyłączności Francuzów, gdy nareszcie i Paryż zasłyszał coś niecoś o Ibsenie, Garborgu, Hansunie i Björnsonie, natenczas Brunetière *urbi et orbi* ogłasza, że idee skandynawskie to tylko słabe odbicie idei Dumas'ów, Zolów i Goncourt'ów. Daudet zaś z naiwnością, aż chwytającą doprawdy za serce, na „Upiory" Ibsena odpowiada swojém *L'obstacle* i zdaje mu się, iż nietylko zrozumiał, o co chodzi Ibsenowi, ale że nawet kwestyę rozwiązuje.

Takich przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

Po za Francyą nie ma dla Francuzów cywilizacyi. Zarozumiałość i wyłączność narodowa dochodzi u nich do tego stopnia, że nawet z wytworami ducha i inteligancyi takiego narodu, jak Niemcy, zaznajamiają się najniechętniéj, czego nawet nie można usprawiedliwiać wyłącznie katastrofą 1870-go roku, gdyż ten sam wstręt do owoców cywilizacyi germańskiéj spostrzegać się dawał i znacznie wcześniéj. Pamiętam, jak jeden z profesorów ilekroć chciał nam już najlepiéj zarekomendować jakie dzieło niemieckiego kryminologa, dodawał zwykle: „dzieło to, panowie, przetłómaczyli nawet Francuzi.” A w dodatku mówił to wielki zwolennik Francuzów.

Dochodzi już do tego, że taki Dumas chlubił się tém, że nie znał języka niemieckiego, — a więc że Goethego nie czytał w oryginale. A jednocześnie przypominamy sobie niesłychane zdumienie prasy francuskiéj wobec oświadczenia Spencera, że nie czytał Renana.

Jeżeli z takiém traktowaniem spotykają się prace tak wysoko cywilizowanego narodu jak Niemcy, cóż dopiéro mówić o barbaryi słowiańskiéj, a o nas w szczególności!

Przypomina mi się charakterystyczna pod tym względem ilustracya. *Revue des Revues* zdecydowała się raz w jednym ciągu zamieścić trzy słowiańskie utwory — między niemi jeden Tołstoja — w których autorowie najgłębiéj wypowiedzieli się o śmierci. Zawiadamiając o tém swych czytelników, redakcya powoływała się na uznanie, jakie dzieła te zyskały wśród miejscowéj krytyki, wreszcie dodała od siebie: zapoznanie się z temi utworami pozwoli nam może poznać *un coin curieux de l'âme slave*. To *un coin curieux de l'âme slave* jest swojego rodzaju perłą. Tak, dusza słowiańska to dla Francuza jakaś ameba, infuzorya lub inny mikroorganizm, który po to jedynie istnieje, ażeby światli Paryżanie mieli nad czém analizy mikroskopowe odbywać.

Ale Bóg z nimi!

Jeżeli Francuzom z ich obskurantyzmem jest dobrze i jeżeli dzięki wrodzonym im—że użyjemy czysto francuskich określeń—tupetowi i blageryi zdobyli oni sobie przesadne uznanie u całego cywilizowanego świata, dowód to najlepszy, że wśród narodów, jak i w życiu codzienném pewność siebie i dobre o sobie mniemanie, choćby dochodzące do zarozumiałości, najdzielniejszym bywają do zwycięstwa środkiem. Moglibyśmy téż doskonałą stąd dla siebie wyciągnąć naukę. Jeżeli jednak trudno się łudzić, abyśmy pod względem zarozumiałości i pewności siebie mogli sprostać Francuzom, to przynajmniéj niech nam wolno będzie podnieść głos przeciwko ciągłemu upokarzaniu się tam, gdzie ani okolicznościami, ani własną korzyścią, jedném słowem, niczém do tego nie jesteśmy zmuszani.

Zdaje się, że literatura nasza stanęła już na tym szczeblu, że chyba nie potrzebujemy się jéj przed obcymi wstydzić. Pocóż więc rozmyślnie skazywać ją na rolę natrętnéj muchy, co to wypędzona z pokoju jedném oknem, za chwilę powraca drugiém?

Bo ostatecznie na to wychodzi.

Ktoś niewtajemniczony nigdyby nie uwierzył, ile trudu, zachodów, co gorsza, poprostu upokarzających próśb, często nawet i protekcyi kosztuje każde zdobycie kącika w dzienniku francuskim dla utworu polskiego. Już w samym wyborze dzieła tłómacz musi się naginać do gustów francuskich; nadto, z raz wybranego już utworu każą mu jeszcze wyrzucać wszystko to, coby francuskiego czytelnika mogło zmusić do zastanowienia się nad jakimś nieznanym mu objawem słowiańskim. W ten sposób w tłómaczeniu znikają nieraz najpiękniejsze stronice albo i całe rozdziały oryginału. Indywidualność i wszelka oryginalność niefrancuskiego autora rażą Francuza, nie przymierzając, jak wielkiego pana—wąsy u lokaja. Trzeba się najpierw ich pozbyć, ażeby się dostać na progi salonów paryskich. — Wszystkie te ustępy, gdzieby gruntowny i badawczy umysł Niemca, oglądał się ciekawie za komentarzem, w tłómaczeniu francuskiém muszą być opuszczone, gdyż inaczéj nikt książki nie doczyta do końca. Po takiéj amputacyi naturalnie z utworu polskiego pozostaje tylko fabuła i to, co w nim było francuskiego. Nic téż dziwnego, że późniéj francuscy romansopisarze téj buduarowéj głębokości, co Bourget, tworzą polskie typy hrabiów Gorka, przypominające chyba czasy wjazdu Ossolińskiego do Rzymu.

Zresztą skrócenia takie czynione bywają i dla różnych innych powodów. *Revue des Revues* we wspomnionym już wyżéj wypadku do trzech utworów słowiańskich traktujących o śmierci, ulegając prawdopodobnie prośbom i protekcyom paryskich filarów naszéj literatury, zakwalifikowała także i „Śmierć" Dąbrowskiego. Jakoż niezadługo zwraca się do autora jedna ze znanych powieściopisarek i publicystek naszych z zapytaniem, czy zgadza się na dokonanie pewnych skróceń w utworze, gdyż redakcya wzmiankowanego pisma pragnie „Śmierć" zamieścić, ale z warunkiem, by nie zajęła więcéj ponad jakąś tam ściśle skréśloną liczbę stronic, a wystarczającą, jak się późniéj okazało, na niecałą połowę utworu.

Autor, naturalnie, na taką destylacyę nie przystał i zapowiedziane tłómaczenie wcale się nie ukazało; ale można teraz zapytać, co to jest i czém należy takie traktowanie tłómaczyć? Tu już nawet o przystosowanie się do gustu Francuzów nie szło, gdyż redakcya z pewnością nie znała utworu, ani téż nie wskazywała miejsc, któreby dla ja-

kichbądź powodów kwalifikowały się do usunięcia. Sama nazywa utwór dziełem wybitném, a mimo to żąda okaleczenia go, obcięcia do rozmiarów nowelki...

Ale co tu mówić o Dąbrowskim, kiedy to samo dzieje się z Sienkiewiczem.

Każdy z nas pamięta pewnie, jak przez parę lat obiegły prasę warszawską rozmaite pogłoski o powieści „Bez Dogmatu:", to że jest już tłómaczone na język francuski, to że się ma ukazać w „Figaro", a to że w „Revue des Deux Mondes", to znów że Bourget pisze przedmowę i t. p. Przypuśćmy, że większość tych wzmianek była poprostu wyssana z reporterskich palców, w każdym razie już to samo dowodzi, jak nam zależało na tém, ażeby koniecznie Francuzi nas pochwalili, żeby wiedzieli, że i my mamy swoje francuskie romanse. Ostatecznie po niesłychanie długich perypetyach, ukazało się owo z takiém upragnieniem oczekiwane tłómaczenie, wprawdzie nie w „Figaro" ani w „Revue des Deux Mondes", lecz w oddzielnéj książce i bez przedmowy Bourget'a, ale za to w wydaniu popularném, przystosowaném do umysłowości Francuzów, gdyż z 3-ch tomów polskich skurczone zostało do rozmiarów książki jednotomowéj!..

Gdyby teraz zapytać tłómacza, dlaczego uważał za stosowne prawie połowę dzieła usunąć, odpowiedziałby nam zapewne jedno z dwojga: albo że na subtelny zmysł estetyczny Francuzów ustępy te były za słabe, a zatém mogły Sienkiewicza w oczach krytyki francuskiéj skompromitować, albo też że dla Francuza, nie znającego naszych stosunków, mogłyby się okazać niezrozumiałemi.

Co do względu pierwszego, nie wiem, w zastosowaniu do paryżan może jest i słuszny, chociaż wszyscyśmy przecież czytali „Bez Dogmatu" i wiemy, że ostatecznie... da się czytać. Zresztą, jeżeli rzecz dla Francuzów za słaba, pocóż ją było koniecznie tłómaczyć? Już więcéj trafia nam do przekonania wzgląd drugi. Istotnie, ażeby danego autora dobrze zrozumiéć, trzeba koniecznie znać chociaż mniéj więcéj jego kraj, społeczeństwo i wogóle grunt, na którym dany typ i dany utwór wyrósł. Ale znów z drugiéj strony, jeżeli, jak się okazuje, Francuzi odpowiedniego po temu przygotowania nie mają i jeżeli Francya czytająca nic o nas nie wié i wiedziéć nie chce, to pytamy, poco to ciągłe uganianie się za ich uznaniem, za ich protekcyonalném klepaniem nas po ramieniu z narażaniem w dodatku naszych pisarzów na upokorzenia, na potworne okaleczanie ich utworów i t. d.?

Boć wreszcie, gdyby ten sąd ich był nawet najwytrawniejszy i gdyby to, co im daliśmy do poznania, rzeczywiście zwróciło ich uwagę i zyskało wyróżnienie, czy nawet w takim wypadku — pytamy —

mielibyśmy prawo do tego sądu przywiązywać większą wagę, kiedy ten odnosiłby się właściwie nie do utworu Sienkiewicza, ale do jakiegoś „Bez Dogmatu” w wydaniu popularném *à la* Przygody Gulliwera albo Don Kichot dla dzieci. To tak samo, jakby kto wyrokował o „Życiu Chrystusa” Renana na zasadzie skróconéj edycyi, pozbawionéj całego dowodowego i naukowego materyału, albo ktoby chciał o „Bene Nati” Orzeszkowéj sądzić na podstawie przeróbki scenicznéj Sarneckiego. Z drugiéj znów strony, gdyby nawet przypuścić, że w takiém skróceniu, jakiego dokonał p. Wodziński, arcydzieło Sienkiewicza nie tylko nie straciło, ale jeszcze pod względem formy zyskało, to znów wtedy uznanie jakieby spadło stąd na naszą literaturę, byłoby niezasłużoném, a sąd Francuzów o Sienkiewiczu zupełnie fałszywym.

Powié nam kto: a, zawsze wsławia się imię naszego autora.

Zgoda. Ambicya narodowa tyle zawiéra w sobie pierwiastku sympatycznego, że nawet, gdy przechodzi w próżność, nie ma się jeszcze serca z nią wojować. Ale kiedy, niestety, z wielokrotnego doświadczenia wiemy, że i tych okruchów zdawkowych pochwał i uznania, jakiemi tylko bardzo zgłodniała próżność zdolna jest nie pogardzić, nawet takich kruszynek Paryż nam nie rzuci. I nie mówimy już o pochwałach. Niech nas nie chwalą, niech nas rozumieją przynajmniéj! Ale kiedy tego właśnie najmniéj można się po Francuzach spodziéwać.

Świat słowiański to dla Francuza najkompletniéj *terra incognita*, a nasze tęsknoty, bóle i ideały etyczne, to rzeczy, które żeby zrozumiéć, musiałby się dzisiejszy Francuz cofnąć do czasów jeżeli nie przedvoltairowskich, to przynajmniéj do przedoffenbachowskich. Prawda, że dzisiaj zachwyca się Paryż literaturą rosyjską. Jeżeli jednak mamy wyznać otwarcie, to wszystkie te zachwyty wydają nam się mocno w szczerości swéj podejrzane. Więcéj one wyglądają na modę, aniżeli na szczere odczucie i rzetelne uwielbienie dla ideałów takiego Tołstoja lub Dostojewskiego, — jeżeli już nie dla żadnych innych względów, to choćby dlatego, że jednocześnie takie same uwielbienie spotyka niedawno zmarłego Verlaine'a, Peladan'a, Huysmans'a i z pół tuzina paryskich narwańców w rodzaju Malarmé. Charakterystyczném téż jest powiedzenie Tołstoja, że popularność jego wśród dzisiejszych paryżan wcale mu nie przynosi zaszczytu.

Może się mylę, może nie znam skomplikowanéj duszy Francuza, ale mówię szczerze, że nie wyobrażam sobie, ażeby Francuz mógł zrozumiéć i odczuć dajmy na to: powieści Orzeszkowej.

Wreszcie co tu mówić o utworach tak wielce różnych od fabrykatów literatury francuskiéj, jak cudowne w swéj nadniemeńskiéj pro-

stocie dzieła Orzeszkowej, kiedy nawet taki nadwiślańsko-paryski typ, jak Płoszowski, nie został przez Francuzów zrozumianym. Wszak powszechnie znany jest epizod ze smutnéj historyi „Bez dogmatu", jak pewien tłómacz złożył do redakcyi poważnego czasopisma paryskiego tłómaczenia téj powieści z prośbą o zamieszczenie i jak redaktor tego pisma, jeden z najgłośniejszych krytyków współczesnych, wreszcie co mamy się za Francuza wstydzić? ni mniéj, ni więcéj tylko sam Brunetière w ten sposób ocenił ten brylant współczesnego romansu: *c'est un cheveu coupé en quatre*, powiedział i druku odmówił.

Krótko i węzłowato.

Fakt komentarzy nie wymagający.

Nakoniec, o co jeszcze idzie? Ostatecznie przetłómaczono przecież owo „Bez Dogmatu", i cóż? dużo nam z tego przyszło? Czy poznano się na jego wartości? — W roku zeszłym wystawiono w Paryżu „Balladynę." Prawdopodobnie sporo kosztowało to nas zabiegów i upokorzeń, niemało próśb, kłaniań się, protekcyi i protekcyjek, wreszcie wystawiono, odegrano, no, i ostatecznie czy przybył z tego choć listek lauru Słowackiemu albo naszéj literaturze? Przyszli tylko Francuzi do przekonania, że to, co my uważamy za arcydzieło, jest sobie dość nudną bajdą z tysiąca i jednéj nocy, na któréj ziewać można.

Równie zniechęcających przykładów możnaby przytoczyć setki. Jednakże mimo mnogości swéj nie zrażają nas one zupełnie i niech się tylko ukaże w naszéj literaturze coś wybitniejszego, zaraz nanowo z wytrwałością godną lepszéj sprawy będziemy się dobijali uznania Francuzów.

Czas już chyba wielki, ażebyśmy sobie uświadomili raz na zawsze, że dzisiejsza Francya nie ma najmniejszéj ochoty nas czytać i poznawać. Czy bowiem Francuzi zdobyli się choćby na porządne tłómaczenie „Pana Tadeusza", jak Niemcy, — bo już nie mówię o Krasińskim albo Słowackim? Czy dużo jest takich Francuzów co się zajmują naszą literaturą albo historyą? To, co się od czasu do czasu na język francuski tłómaczy, nie dowodzi również niczego, nie jest to bowiem wyrazem zapotrzebowania, popytu na naszą literaturę. To tylko dowód naszego narzucania się, natręctwa, ale nie zainteresowania Francuzów. W przeciwnym razie tłómaczyliby nas przecież oni sami, a tymczasem dotąd to, co mają przyswojonego z naszego piśmiennictwa, praca to zwykle nasza własna i owoc naszych własnych zabiegów. Szkoda doprawdy, że nie prowadzimy pod tym względem odpowiedniéj statystyki. Mamy np. pod ręką spis tłómaczeń Orzeszkowej. Otóż wśród tłómaczów dzieł téj autorki, z których Francuzi mają przyswojonych aż 4 (na język niemiecki do r. 1891 przetłómaczonych zostało 14, wiele kilkakrotnie),

spotykamy nazwiska: Aszkénazego, Gawrońskiéj i 2 razy Władysława Mickiewicza. Francuza ani jednego!

A za dowód interesowania się Francuzów naszą literaturą niech służy jeszcze jeden fakt z ostatniéj doby. Kiedy *Quo Vadis* jednocześnie z oryginałem ukazywało się w Niemczech coś aż w 3-ch czasopismach, we Francyi nietylko, że nikt o tłómaczeniu nie pomyślał, ale nawet o Sienkiewiczu wogóle nie bardzo widać wiedziano, skoro dopiéro w kilka tygodni po przyjeździe do Nicei, dopiéro po artykule jakiegoś Polaka (zdaje się Chojeckiego), zamieszczonym w miejscowym organie, zaczęła się francuska reporterya zgłaszać do willi naszego autora, by się dowiedziéć, kto to ów Sienkiewicz.

Ale mniejsza o Francuzów!

Wiedzą o istnieniu Sienkiewicza, czy nie wiedzą, to nas ani ziębi, ani grzeje, a przynajmniéj ani grzać, ani ziębić nie powinno. Mówię n i e p o w i n n o, gdyż w rzeczywistości, niestety, tak nie jest, a mam tu na myśli głównie naszą prasę, która wobec kwestyi lekceważenia nas przez Francuzów zajęła stanowisko jak najopaczniejsze.

Mimo namacalnych dowodów, że Francuzi nie chcą zupełnie zapoznawać się z naszą literaturą — prasa nasza nietylko nie może się zdobyć na pogardliwą obojętność, jaką, zdaje się, powinno jéj dyktować samo poczucie godności narodowéj, ale, co gorsza, tonem swych niezliczonych kronik paryskich wmawia w nas jeszcze jakiś fałszywy wstyd wobec Francuzów, żeśmy nie godni zwrócenia ich uwagi na siebie.

Coś opaczniejszego, fałszywszego, doprawdy, trudno sobie wyobrazić. Biorąc rzecz bowiem tak na zdrowy rozsądek, wydawałoby się, że jeżeli ignorowanie piśmiennictwa o kilkuwiekowéj tradycyi i kulturze przynosi komu ujmę, to tylko ignorującemu. Innego jednak jest zdania nasza prasa. Sądzi ona, że jeżeli Francuzi przetłómaczą naszego autora, to tém samém wyświadczają nam łaskę, za co *my im* powinniśmy być nieskończenie wdzięczni, że dlatego każdą ich wzmiankę o nas mamy uważać sobie za wyrocznię, umieszczenie w piśmie francuskiém artykułu o naszéj sztuce za powód do niewymownéj radości, a jeżeli to była praca Polaka, to jeszcze i za tytuł do wielkości dla niego. Bo i tak bywa. Jeden np. z krytyków warszawskich, który niemal codziennie przez lat kilkanaście pisywał wzorowe sprawozdania teatralne, był dla nas zwykłym recenzentem, dopóki przed paru laty nie napisał artykułu o współczesnym teatrze polskim w jakiéjś *Revue*. Dopiéro po tym paryskim występie został on dla nas odrazu sławnym, okrzyczanym za pierwszego znawcę teatru i t. d. Lecz co najzabawniejsza, rzecz poprostu z braku miejsca pobieżna i niedokładna, ani się

równająca z wyczerpującemi recenzyami, pisanemi po polsku, pisma warszawskie zaczęły wtedy tłómaczyć, streszczać i t. p. Stąd wynika, że czego nie zrobią wieloletnie i głębokie krytyki, pisane w języku rodzinnym, tego dokona jeden artykuł francuski...

Prawda, jakie to... niezbyt mądre?

Ale najzupełniéj prawdziwe! A krytykiem tym był nie kto inny, tylko Władysław Bogusławski.

Przykład chyba dość barwnie malujący omawianą anomalię.

Tak, przypatrzenie się baczniejsze téj roli, jaką zajmujemy wobec Francuzów nieraz może człowieka wprost ubawić, choć częściéj, doprawdy, wywołuje jakieś nad wszelki wyraz przykre uczucie. Czegoś tu brak w tym naszym względem Paryża stosunku, stanowczo zapomnieliśmy o jakimś ważnym czynniku, którego brak zachwiewa równowagę, czyniąc nas ogromnie słabymi i małymi jeszcze.

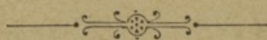
My ten czynnik pozwoliliśmy sobie nazwać „godnością”...

Wacław Kloss.



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



I.

Andrzéj Krępic włożył do kuferka ostatnią książkę, a zamknąwszy go wstał, wyprostował się i powiódł oczami po pokoju.

Szeroko otwarta szafa, z której wyglądały opróżnione półki, miała dziwny wyraz, bo zdawała się na coś czekać. Oba łóżka, na których nie pozostało już nic, prócz dwóch szarych sienników ziejących przez otwory słomą—puste wieszadło, które z rogu pokoju wyciągało czarne ramiona — niedbale rozstawione krzesła, podłoga zarzucona zmiętemi zwitkami papiéru, nawet szare mury zapisane węglem w różnych kierunkach, mówiły o opuszczeniu i przemawiały jak gdyby żalem za czémś, co odchodzi bez powrotu. Rzeczy martwe tak czasami wyglądają, że bez trudu możnaby o nich napisać, coś w rodzaju psychologicznego traktatu. Są chwile, w których one się ożywiają, dostają duszy i przemawiają wymowniéj aniżeli twarz człowieka. Andrzéj Krępic siadł teraz na oknie i rozglądał się po pokoju, w którym z kolegą Znamienieckim przemieszkał i przeżył cztéry lata pobytu w instytucie, a martwe przedmioty poczęły do niego mówić, przywoły-

wać dawne wspomnienia, skarżyć się i żegnać go zupełnie tak, jak gdyby szmat duszy oderwał się przez lata wspólnéj pracy od niego i jego kolegów i napełnił sobą pokój, ściany i wszystkie sprzęty.

W oczach młodego studenta było widać rozrzewnienie.

„Prawda jest to kundel, którego wyganiają kijem do budy”, przeczytał na ścianie obok pieca i pomyślał, że kolega Kubacki był we wszystkiém bezwględny. Na świecie uznawał tylko jednego gieniusza—Szekspira. Wtedy przyszli obadwaj z Naftalem. Była dopiéro ósma wieczorem, lecz oni nie chcieli zostać na herbacie i nawet nie chcieli siadać, bo mieli w domu pilną robotę. Wpadli tylko na chwilę, ale w paltach i w czapkach stali przy drzwiach i rozmawiali, a raczéj kłócili się do trzeciéj w nocy, poczém ku utwierdzeniu swoich przekonań, Kubacki wziął węgiel, wypisał na ścianie sentencyę lirowskiego błazna i wypchnąwszy za drzwi Naftala machającego rękami, poszedł z nim kończyć pilną robotę.

Kubacki pozostawił po sobie najwięcéj napisów.

„Kruchości! imię twoje niewiasta!”

Sprzeczali się tego dnia o równouprawnienie kobiéty, ale z nim nigdy nie było można mówić o tym przedmiocie seryo. Powtarzał zawsze: — „nie wierz słowom panny, ani żadnéj niewiasty, bo ich serce jest jako koło”, a jednak tym niewiastom poświęcał więcéj czasu aniżeli kursom i rysunkom.

Nad łóżkami były także napisy. Wakowicz wykaligrafował nad jedném—„ostatni z romantyków”, a nad drugiem—„Kato, książe niezłomny.” „Ostatni z romantyków” to przydomek który nadano koledze Znamienieckiemu. Miał marzący wyraz oczu, i deklamował na pamięć „Przedświt”, zresztą nie był mniéj trzeźwym od innych. A Kato, to on—Andrzéj Krępic. Nie lubił, gdy koledzy naciągali Naftala na „biby” a sam tylko wtedy brał w nich udział, gdy miał trochę pieniędzy na wyrzucenie, albo téż gdy go Naftal uprosił. Poza tém nie uważał, aby go matka-natura obdarzyła jaką cechą katonizmu, albo niezłomności.

Przyglądając się tym napisom miał w oczach uśmiéch, ale potém skierował wzrok na zdanie umieszczone pod „Katonem” i wypisane jego własną ręką i spoważniał.

„W życiu jest dużo dróg krzywych, ale tylko jedna prosta.” Jak to już temu dawno, a jak on pamięta każdy szczegół! Są widocznie rzeczy, które się nie zacierają długo, a może nawet nie zacierają się nigdy? Drobnostka poruszy jedno wspomnienie, a ono niby

fala świetlna cząsteczką eteru, wstrząśnie i zakołysze wspomnieniem drugiem—dziesiątem—setném, aż do wyczerpania wszystkich, jakie były...

Gdy tę spuściznę odziedziczył po matce, właśnie kwiecień miał się ku końcowi. Rozmiękła ziemia świeciła na polach i drogach jeziorkami, które powstały z zimowego śniegu i z marcowych deszczów. Łany ozimin były od spodu zielone, z wierzchu pocentkowane na żółto przymrozkami i resztkami zeszłorocznéj runi. Kaczeniec błyszczał na łąkach i w rowach zupełnie jak rozsypane złoto—bór stał czarny — a wierzby i brzozy, podobne do hożych tanecznic, brały się za ręce i powiewne, powyginane, jedne bladémi gałązkami, drugie śniegiem pni, śmiały się do słońca i do szafirów. Świat budził się jakby do nadziei i do szczęścia, ale on—Krępic przeklinał go wtedy właśnie za to. Wiosna, z całém upojeniem, które zdaje się wówczas płynąć w powietrzu, ze skowronkami w ekstazie, z omdlewającą ciepłotą, z całą orgią seledynu, złota i barw turkusowych, przemawia słodyczą do szczęśliwych, lub ukojeniem do tych, którzy już mogą sobie powiedziéć—gorzéj nie będzie. Ale on właśnie dążył po owo gorzéj. W około niego cały świat dyszał nadmiarem sił i życia, on zaś miał stanąć oko w oko z niemocą i śmiercią. Ta rozterka jego wewnętrznego ja z otoczeniem, bolała go jak rana.

Wózek wtoczył się na wzgórek. Jak na dłoni leżała teraz przed nim, wezbrana—srebrno-szara taśma Wisły i długi szereg osad Daszowieckich, rozrzuconych u falistego brzegu rzeki. Już przy każdéj zagrodzie zieleniły się wierzby i płoty z dzikiego agrestu, tylko na samym końcu długiego szeregu chat, pod lasem, sterczał nagiemi gałęziami pęk wysmukłych topoli. Nad osadą jego matki kołowała śmierć, więc wiosna jeszcze nie śmiała położyć na niéj swoich ciepłych dłoni.

On wtedy patrzył i czuł, że im bardziéj zbliża się do celu, tém większy go zdejmuje lęk. Nawet nie wiedział, że tak bardzo kocha matkę i że tak straszną jest myśl o życiu, w którém nie będzie się już miało na własność ani jednego, oddanego serca. Żyje, czy nie żyje? Żeby choć zdążyć — choć usłyszéć jedno, serdeczne słowo, które już będzie musiało wystarczyć na zawsze... Chwilami zrywał się i miał ochotę biedz pieszo, bo zdawało mu się, że to będzie prędzéj, a potém upadał na siedzenie, rad, że ma jeszczi kilka chwil przed sobą, że zdąży się uspokoić i że nie przerazi jéj własną trwogą. Wmawiał wtedy w siebie, że powinien nad sobą panować, bo już nie jest wyrostkiem czepiającym się matczynéj spódnicy, lecz studentem pierwszego kur-

su—skończonym człowiekiem. Ale równocześnie oczy mu zachodziły łzami, a on wściekły na własną niemoc, zaciskał zęby i walczył z nowym dopływem bólu.

Dojeżdżali już do kolonii, gdy nagle ogarnęła go chęć wypróbowania własnego głosu, więc zwrócił się do chłopaka, siedzącego przed nim na wiązce słomy i popędzającego batożkiem parę wypasionych kasztanów i zapytał — kto jest przy matce?

Zdawało mu się, że mówi spokojnie, a tymczasem chłopak odwrócił się tak szybko i popatrzył na niego tak jakoś dziwnie, że jego wzięła wtedy złość.

— Czego się na mnie gapisz i nie odpowiadasz?—rzucił sucho.

— A bo... a dyć... nie urzéwniajcie sobie popróżnicy. Stara Bobrzakowa i nasza Nastka ciągiem siedzom, a i cała kolonijo do waszéj chałupy zaziro.

Wtedy zdjęło go na chwilę wielkie rozrzewnienie i wdzięczność dla Bobrzakowéj, dla Nastki i dla całéj kolonii, a chłopak tymczasem cmokał na swoje kasztany i wywijał batożkiem. Konie rwały, wózek wpadł między dwa szeregi chat i zaczął podskakiwać na kamieniach, on zaś zamknął oczy i uczuł to, co musi czuć skazaniec, wieziony na miejsce męki. A potém klęczał przy łóżku matczyném. Ona mu gładziła włosy, mówiła długo i cicho, ale on nic nie słyszał, a raczéj nie rozumiał, bo wpadł w stan dziwnego zobojętnienia i doznawał takiego uczucia, jak kiedy będąc dzieckiem, sfukany przez ojca i spłakany, usypiał w ogródku między łodygami malw, przy brzęku owadów, uwijających się w słońcu. A tymczasem, choć bez jego wiedzy i woli, jéj słowa zapadały mu gdzieś głęboko w serce i potém przypomniały się wszystkie.

Wtedy on poczuł na swojéj głowie jéj ręce, które były bardzo ciężkie i jak przez sen, albo z bardzo daleka usłyszał:

— Niech cię ma w swojéj opiece Pan Jezus i Przenajświętsza...

A potém też jak przez sen widział dużo bab, dziewuch i gospodarzy, dużo choiny i żółtych świec, czuł, że słońce grzało i że ciepły wiatr całował go we włosy, słyszał nisko nad ziemią jakieś smutne śpiewanie, a w górze, w słońcu, pieśń wesołą, tryskającą szczęściem, ekstatyczną, i widział, że wyrzucili między dwiema białemi brzozami, całą moc piasku dziwnie żółtego. Ta żółtość gryzła go w oczy ciągle. I wtedy, gdy siedział na wózku i jechał między łąkami przetykanemi kaczeńcem, który widział już kiedyś, niedawno, a może i dawno? — i wtedy, gdy się zobaczył w wagonie, także żółtym jak piasek. Jakaś

żydówka schowała żydziaka pod ławkę. Konduktor krzyczał, ona krzyczała jeszcze głośniéj, jego bolała głowa, przejmował dziwny mróz i prócz tego chciało mu się pić. Wyszedł, lecz gdzie, nie pamiętał i pił póty, aż już więcéj nie mógł, a potém znowu siedział na ławce, żółtéj jak piasek, w głowie turkotał mu pociąg ze wszystkiemi wagonami i zdawał się dokładać wszelkich starań, by rozsadzić nie tylko jego mózg, ale i cały świat. Znamieniecki miał minę ździwioną, Kubacki także, mówili coś, co prawdopodobnie mógłby był zrozumiéć, gdyby był chciał koniecznie, a w końcu zrobiło się bardzo cicho i przyjemnie i wyciągnęła się przed nim piaszczysta, mocno żółta droga i ciągnęła jego oczy z sobą, gdzieś daleko—w nieskończoność... Gdy pierwszy raz ta droga znikła mu z oczu, Znamieniecki siedział w kącie na kuferkach i spał, Kubacki oparty łokciami o stół uczył się głośno, a on—Krępic leżał na łóżku i dziwił się, że na obu krzesłach stoi tak dużo butelek i że te butelki nie są ani od piwa, ani od wódki. Z początku zapragnął koniecznie dojść, dlaczego Znamieniecki usnął w kącie i co to są za butelki, ale potém sobie powiedział, że nie warto się trudzić, dla takiéj małéj rzeczy i że najprzyjemniéj jest nie myśléć wcale. Gdy się obudził powtórnie, Kubacki leżał w mundurze na swojém łóżku i spał, a Znamieniecki siedział przy stole i uczył się. Wtedy zaczął bardzo powoli myśléć i najpierw przypomniała mu się owa żółta droga, która szła w nieskończoność i jego za sobą ciągnęła, potém żydówka, która się kłóciła z konduktorem, potém jakieś śpiéwanie, jakieś ciche słowa, które ktoś do niego mówił, a w końcu uczuł wielki ból, zapomocą którego zrozumiał wszystko.

Chorował wtedy całe ośm tygodni, stracił rok nauki, ale zyskał nowego przyjaciela.

Dotąd znał kolegę Znamienieckiego nie wiele. Dawał mu lekcye języka rosyjskiego i na tém koniec. Co skłoniło eleganckiego panicza, że dzień i noc, razem z Kubackim dozorował go w tyfusie, nie wiedział i co prawda nie starał się dowiadywać. Serca tak samo biją pod batystową, jak i pod zgrzebną koszulą — to przecież rzecz nie nowa. W Znamienieckim odkrył serce, więc uczuł dla niego najpiérw dużo wdzięczności, potém dużo pociągu, a wreszcie te uczucia zamieniły się w głęboką i podzielaną przyjaźń, która trwała. Nie rozstawali się prawie od téj pory. Kubacki zamieszkał po wakacyach z Naftalem, Znamieniecki przeniósł się do niego—do Krępica i tak już pozostało przez wszystkie lata kursów.

Były to dobre czasy, choć często z piéniędzmi bywało różnie. Krępic miał stypendyum, którém się dzielił z Kubackim, dawał prócz

tego lekcye i co wakacye wyjeżdżał do różnych dworów na wieś, po zarobek korepetytorski, ale pomimo to, zdarzało się, że z mamoną było krucho. Wogóle, brak owego *nervus rerum*, to była choroba, na którą prawie wszyscy w instytucie nie domagali. Kubacki i on Krępic, parli się przez życie własnemi siłami, Dembosz i Wakowicz mieli z domu zasiłki, ale niewielkie, Znamieniecki i Naftal byli w porównaniu tz innymi prawdziwymi Rotszyldami, a wszyscy razem mieli wieczyste pustki w kieszeniach. Czemu tak było, nikt nie dociekał, bo dociekanie nie byłoby zmieniło położenia rzeczy, ale w rzeczywistości kwestya się tak przedstawiała. Kto miał choć trochę za wiele, musiał pożyczać tym, którzy mieli zamało i stąd się wytwarzała pewna równowaga. Zawartość jednych kieszeni równała się zeru, zawartość zaś drugich—zeru z minusami.

Pomimo to, te czasy były dobre, a jak dobre, on Krępic zrozumiał dopiéro dziś, gdy z dyplomem w kieszeni powiedział sobie—teraz zacznie się życie.

Zdaleka, to życie przedstawiało im się, jak jakieś bardzo jasne słońce, pełne czystych ideałów, poświęceń i ofiar, po których, jak po szczeblach drabiny, oni będą iść wciąż w górę i sprawią, że sprawiedliwość odniesie tryumf, a prawda zwycięży.

Ale jakie też ono okaże się z bliska?

Krępic czuł w sobie coś, nakształt niepokoju, smutku, czy żalu. Może to przeczucie, że nie wszystko będzie szło tak, jak oni marzyli?

Znowu utkwił oczy w napisie, który czarnemi literami wyraźnie się rysował na szaréj ścianie i przed chwilą odegrał był rolę fali świetlnéj. „W życiu jest dużo dróg krzywych, lecz tylko jedna prosta.” Jego matka była zwyczajną kobiétą, ale on teraz widział, że była równocześnie niezwykłą. W myśli napisu, kryła się wspaniała filozofia uczciwości. Nieraz zastanawiał się, jak ta jego „święta” rozumiała ową jedyną prostą drogę, ale dopiéro niedawno zrozumiał to poraz piérwszy.

Brał stypendyum i mógł je brać jeszcze przez kilka miesięcy, gdyby ostatnie roboty odłożył na czas powakacyjny. Tak zrobił Dembosz i tak robili prawie wszyscy, którym zależało na kilkudziesięciu rublach. Jemu na nich zależało także, ale w ostatniéj chwili, nie wiedzieć czemu przypomniał sobie słowa matki i spostrzegł, że nie tylko ma przed sobą dwie drogi do wyboru, ale że obie wydają się równie uczciwemi. A matka powiedziała, że uczciwa jest tylko jedna. To

był pierwszy szkopuł—pierwsza wątpliwość jak postąpić. Ostatecznie, kwestya nie była wielkiéj wagi... niemniéj wszakże wątpliwość istniała, niepokoiła go i gniéwała.

Postanowił zdawać od razu, zdał a wewnętrzne zadowolenie jakie wtedy uczuł, objaśniło go, że dobrze zrobił.

— Mam obiecane miejsce u Rotte'go — myślał teraz — z osady powinno mi się jeszcze z jakie kilkadziesiąt rubli okroić, na ubranie tymczasem wystarczy, a potém... przecież i do najmniejszéj pensyi można przystosować swoje potrzeby. U Znamienieckiego wypocznę, nabiorę sił i daléj—w życie!

Zacisnął pięści, wyciągnął ramiona i wyglądał, jak gdyby próbował walczyć z jakimś urojonym wrogiem.

Tymczasem wszedł Znamieniecki, rzucił czapkę na łóżko, siadł na stole i puściwszy w ruch nogi, począł mówić:

— Wyobraź sobie, licho mnie poniosło koło instytutu i zepsuło humor. Nie masz pojęcia, co tam teraz za pustka! Próbowałem sobie wyobrazić, że po wakacyach znowu się brama otworzy, a podwórze zaroi nowymi ludźmi i nie mogłem. Co za głupie usposobienie! Równie dobrze mogłem sobie powiedziéć, że gdyby tak niespodzianie śmierć zmiotła mnie, ciebie i resztę naszych, ziemia-by stanęła jak słup i nie miałaby sił ani na jeden obrót więcéj.

Przesunął cienkie palce po brunatnych włosach, a Krępic się zgodził, że i on doznaje tego samego wrażenia, choć nie widział zamilkłego instytutu i jego zamkniętéj bramy i że prócz tego jest mu jakoś głupio. Dotąd wiedział, czego chce i dokąd dąży, a teraz się przekonał, że głównie dążył do dyplomu, bo reszta gdzieś się zaprzepaściła, a właściwie oddaliła i tylko majaczy zdaleka, jak coś nieokréślonego i nieujętego.

— Prawdopodobnie — kończył — jest to chwilowy odruch nerwów, spowodowany nadmiarem pracy i osiągnięciem upragnionego dyplomu; ale pomimo to, fakt faktem, jest mi jakoś nieswojo i najwyraźniéj głupio!

Tu siadł na krześle, jak na koniu, nawprost Znamienieckiego, oparł brodę na poręczy i kiwał się w takt ruchu nóg tamtego. Milczeli teraz obadwaj — zamyśleni, patrzyli wprost przed siebie, nie widząc i drgnęli równocześnie, gdy się drzwi otworzyły z wielkim impetem, a do pokoju wpadł Wakowicz.

— Chodźcie „Pod Planetę” na bibę! — wrzasnął i sapiąc oparł się plecami o ścianę.

Znamieniecki zeskoczył ze stołu.

— Dobra myśl! — zawołał uradowany. — Chodź, Kato, zapijemy robaka głupoty, a jutro w drogę po wypoczynek! Zobaczysz, jak w nas energia odżyje, byle nam tylko zaszumiały nasze kłosy, zapachniały nasze lipy, byle nas nasze wiatry owiały! Chodźcie!

Chwycił za czapkę, ale Krępic się ociągał i wahał.

— Ani ty nie masz za wiele pieniędzy, ani ja—zauważył.

Wakowicz patrzył na niego zdziwiony, chwilę stał milcząc i nagle uderzywszy się pięścią w czoło, krzyknął:

— Ot! wieczysta głupota i sentymentalizm, jak mówi Kubacki. Na co ci pieniądze? Nafta funduje wszystkim. Pomyśl, że to już ostatni raz, a Kubacki powiada, że choćby Nafta ani jednéj biby nam nie wyprawił, ani dziadzio Naftal, ani ojciec Naftal o grosz nie podniosą robocizny w swoich fabrykach—tak! No, Kato! raz złóż ofiarę na ołtarzu koleżeństwa i chodź!

Wakowicz machał rękami, starał się mówić patetycznie i wyglądał zabawnie ze swą krępą figurką, gęstą czupryną, podobną kolorem do dojrzałego owsa i wielką twarzą pocentkowaną piegami.

Ale Krępic stał wciąż nachmurzony i widocznie zły, co spostrzegłszy, tamten zmienił ton i mówił teraz prawie żałośnie:

— Bój się Boga, Kato, nie psuj nam ostatniego dnia! Przecież i my nie jesteśmy już takie ostatnie psy, bez ambicyi. Naftę naciągnęliśmy, to prawda, ale on ma, a my nie mamy, a przytém to taki poczciwy chłopak! Jakby nie wydał na bibę, toby puścił na co innego. Chodźcie, bo zrobicie rzetelną przykrość i jemu i nam.

— Nie filozofuj, Kato! — poparł kolegę Znamieniecki i z prośbą popatrzył w oczy Krępicowi.—Chodź, ostatni raz!

Chwilę czekali w milczeniu, wreszcie Krępic wziął wolno czapkę i mruknąwszy, że Naftal jest zawsze osioł, a oni wszyscy świ... ce łojowe—wyszedł.

Na ulicy wzięli się pod ręce i utworzyli trójkę dość niezwykłą. Krępic szedł w środku. Był najwyższy i najlepiéj zbudowany, włosy i oczy miał czarne, czoło niskie, prawie prostokątne, rysy może trochę zagrube, ale bardzo regularne, chód zręczny, pewny, prawie żołnierski. Głowę niósł wysoko, niemal sztywno i patrzył przed siebie

z chmurną powagą, który to wyraz nadawały mu brwi bardzo proste i blisko schodzące się nad nosem.

Znamieniecki szedł po jego lewéj stronie i tworzył z nim uderzający kontrast. Jeżeli tamten był istném wyobrażeniem siły, w jéj estetyczném znaczeniu, twarz tego mogła być natchnieniem dla rzeźbiarza, marzącego o pięknie idealném.

Był niższy i szczuplejszy, włosy miał wijące się, ciemne, z odcieniem bronzu i błyskami złota, rysy bez zarzutu, delikatne jak piękna kamea i oczy szafirowe, z długiemi rzęsami i z takim wyrazem, jaki czasami miewają młode dziewczyny, zapatrzone w gwiazdy.

Obadwaj byli uważani przez kolegów, za najprzystojniejszych chłopaków w całym instytucie. Krępicowi wszakże oddawano pierwszeństwo, uważając twarz Znamienieckiego za nazbyt kobiécą.

Ale niewiasty były innego zdania. Każda, mijając trójkę studentów, zatrzymywała wzrok na urodziwéj postaci Krępica i uśmiéchała się, ale gdy jéj oczy spotykały się następnie z oczami „ostatniego z romantyków" widać w nich było wprost zdumienie. Minąwszy go, wszystkie jeszcze raz odwracały głowy, młodsze się rumieniły i wzdychały, same nie wiedząc czego.

Wakowicz nie wywoływał rumieńców na niewieścich twarzach, ale pomimo to nie wydawał się strapionym. Z fantazyą kołysał się na krótkich nóżkach, z fantazyą gestykulował wolną ręką i z fantazyą opowiadał o „kawale", jaki urządzili Nafcie.

— Zastali go przy fortepianie—mówił.—Wyparł się sztuki, jak Piotr Chrystusa i przyrzekł dziadkowi z Łodzi, że będzie fabrykował artystyczne perkaliki, ale dziś został sam, więc nie mógł wytrzymać i zaczął się żegnać z Szumanem. Niech dyabli wezmą jego — Wakowicza, jeżeli ten Nafta, nie jest większym artystą, niż będzie kiedykolwiek fabrykantem! Tak go dzisiaj wzruszył, że choć język przysechł mu do podniebienia, a żołądek do krzyża, stracił ochotę do piwa i do całéj biby. Ale Kubacki jest widać wrażliwy tylko na fizyognomie babskie. Wyrwał Naftę z objęć zachwytu i opowiedział mu, a bestya wspaniale udaje wzruszenie, że wszyscy jechali tramwajem, że Kato wyskoczył ostatni, złamał nogę, że go odwieźli do szpitala, ale piéniędzy nikt nie ma, etc...

Tak łgał, że aż się ckliwo robiło, a jego, to jest Wakowicza, zdjął lęk, żeby aby naprawdę który gnata w nodze nie złamał. Czasem się tak staje... ale główna rzecz—było wtedy widziéć Naftę! Po-

prostu, coś piramidalnie—obeliskowego! Zbladł jak wyprana chustka do nosa, gęba mu latała, nie mógł trafić do kieszeni, a w końcu powyrzucał wszystką mamonę, jaką miał i powypychał ich za drzwi, krzycząc, żeby się śpieszyli i na doktorów nie żałowali. Mało co nie poumiérali od powstrzymywanego smiéchu. Obiecał, że zaraz za niemi przyleci, tylko wprzód wyśle do ojca depeszę o nową flotę, oni zaś zleźli na dół i dopiéro z podwórza Kubacki zaczął się drzéć z całego gardła, pokazywać piéniądze i zapraszać Naftę na bibę. Kto nie widział gęby Nafty w oknie, a Kubackiego na dole jak mu wymyślał od podłych kolegów, którzy dlatego się wściekają, że przyjaciel naprawdę nogi nie złamał, ten nic nie widział i jest wprost litości godną osobą. Brali się pod boki i wyli ze śmiechu, Nafta w końcu także się śmiał, a kucharki powytykały głowy z lufcików i wszystkie razem wymyślały im od małp i „migilistów".

To był „figowy kawał" i Kuba już chyba nigdy nic lepszego nie spłodzi.

Tymczasem Naftal, Kubacki i Dembosz siedzieli w niewielkim pokoju „Pod Planetą" i gwoli skróceniu niemiłego oczekiwania, zabawiali się w różny sposób.

Naftal kołysał się na dwóch nogach krzesła, puszczał regularnie kółka dymu i cały się zatopił w obserwowaniu szaro-błękitnych obrączek, które goniły jedna za drugą, powiększały się, naciérały na siebie, a w starciu traciły pierwotny kształt i nikły w przestrzeni. Jego oczy, które, trzeba przyznać, były bardzo ładne, podłużne i miały kolor błyszczącego kasztana, świéżo wypadłego z dojrzałéj łupiny, patrzyły na obrączki dymu z takim wyrazem, jaki prawdopodobnie miał Newton, gdy mu się zdarzyła sławna przygoda z jabłkiem. Były to oczy myśliciela, osadzone w twarzy o rysach wybitnych, silnie zdradzających rasę.

Kubacki, szczupły, anemiczny, z rzadkim zarostem blondynek, oparł się obu łokciami o stół, twarz wsparł na dłoniach i w téj wygodnéj pozycyi ziéwał nader szeroko.

A Dembosz chodził wzdłuż i wszérz pokoju, zajadle muskał ciemny wąsik i krótko przystrzyżoną bródkę, czasami stawał przed zakurzoném lustrem i przyglądał się odbiciu swojéj kształtnéj figury, a dla urozmaicenia nudnego czekania, od czasu do czasu klął.

Wreszcie stanął przy stole, popatrzył uważnie na Kubackiego, ziéwającego stoicko, ziéwnął także i rzucił niecierpliwie.



— Ręczę, że Kato robi głupie awantury i nie chce przyjść a Znamieniecki udaje, że mu przyznaje racyę.

— Skądżeż wiész, że udaje?—zapytał flegmatycznie Kubacki.

— Zabawnyś! On we wszystkiém udaje Katona, jak kos papugę, a że wy, pogrążeni w bezwzględnéj adoracyi, tego nie widzicie, to tylko dowód, że macie kurzy wzrok—nic więcéj.

— Przedewszystkiém—wtrącił Naftal — nikt tu szczególnie nie uwielbia Znamienieckiego, a że umié sobie zjednywać więcéj przyjaciół, niż naprzykład ty, to tém lepiéj dla niego.

Na to Dembosz wzruszył ramionami.

— Téż coś nowego! — mruknął. — Od chwili, jak się zapisałem do instynktu słyszę na wszystkie strony — Kato i Znamieniecki, Znamieniecki i Kato, dwa świéczniki jedném słowem, jeżeli nie słońca.

Ale Naftal odrzekł, że co do Kręрica, to się zgadza, bo nawet on, Dembosz przyzna chyba, że tak samo nie jest wart smarować mu butów, jak zresztą wszyscy. Co zaś do Znamienieckiego, to sympatya, jaką mu okazują, pochodzi prawdopodobnie stąd, że miłém obejściem umié zjednywać sobie wszystkich i że go lubi Kato.

Po tych słowach Dembosz oburzył się jeszcze więcéj i zawołał niecierpliwie:

— Właśnie tego nie rozumiem! Kato jest demokratą z krwi, z kości i z przekonań, a Znamieniecki to w gruncie paniczyk, arystokrata, szlachcic, filozof, z twarzą lalki, który wié, że mu teraz równie pięknie w demokratycznéj bluzie, jak będzie późniéj w czerwonym, albo niebieskim fraku!

Kubacki uważnie słuchał, z wielkim spokojem przyglądał się ożywionéj twarzy Dembosza, a gdy ten skończył mówić, wysunął jeszcze więcéj łokcie na stół i rzekł:

— Zawsze byłeś płochy, kolego, a teraz widzę, że głębia waszego mózgu równa się głębi mielizn wiślanych. Ale mniejsza z tém, powiédzcie mi, za co właściwie niecierpicie Znamienieckiego?

— Ja nie cierpię Znamienieckiego? Ależ i owszem, przyznaję że to jest miły i dobry chłopak, tylko nie mogę pojąć, że wy na niego liczycie — oto wszystko.

Na to Kubacki wzruszył ramionami, poczém zaczął kiwać głową.

— Oj, nie dał Pan Bóg świni rogów, bo téż bodłaby bodła.

— Co przez to rozumiész?—krzyknął teraz Dembosz i zaczerwieniony przyskoczył do stołu.

Sprzeczka się zaostrzała, więc Naftal, który lubił *„pianissima"* i nie protegował życiowych dysonansów, zaczął ich godzić, przekładając, żeby sobie dali pokój, że ile razy się zejdą zawsze muszą sobie do oczu skakać i że spokojna dysputa należy do najprzyjemniejszych rzeczy właśnie dlatego, że jest rzadkością. Ale Kubacki mu przerwał:

— Czekaj Nafta—rzekł—i pozwól niech mu się wytłómaczę, bo to już mnie dawno korci.

Tu się zwrócił do Dembosza i tak mówił:

— Słuchajcie, kolego! Po niechęci, jaką pałacie ku Znamienieckiemu, widzę, że *primo*: albo mu zazdrościcie przyjaźni Katona, co jest nieprawdopodobne, bo byłoby dziecinne, albo też nie możecie mu darować jego ładnéj gęby, wielkopańskich manier — czy jak je tam, możności wydawania pieniędzy, mówiąc nawiasem na rzeczy nie głupie i tam daléj i tym podobne. A teraz wiécie, jaką mi to wszystko myśl nasuwa? Oto, gdyby do waszego nazwiska spadł wam na nos, *ergo* do kieszeni, jaki gruby kapitał, spadek, lub coś podobnego, odrazu zakwitnęlibyście temi wszystkiemi przymiotami, w które teraz garnirujecie „ostatniego z romantyków", jak kucharz garniruje w gwiazdki z marchwi, majonez z ryby. W dodatku, wtenczas nie spojrzelibyście na Katona, bo on się nie zna na szlacheckich delikatnościach. Jak by wam zaczął mówić po swojemu, uraziłby was w arystokratyczne nerwy, a romantyka nie razi. Romantyk umiał domacać w nim takich rzeczy, że dla nich darowywa mu więcéj, niż my wszyscy. Tak.

Ale teraz Dembosz parsknął śmiechem.

— Wyobraź sobie Kuba, że jesteście niezrównani! — wołał. — Stawiacie hypotezę, że ja byłbym zdolny w sprzyjających okolicznościach wyprzéć się zasad i przekonań i pomimo to uważacie mnie za swego przyjaciela, czy nie tak?

— Tak, stawiam hypotezę i uważam cię za mego przyjaciela, a nawet pomimo uprzedzeń do Znamienieckiego, za porządnego kolegę. Ale mówię „teraz", bo co czas zrobi z ciebie, z Nafty, z reszty i nawet z Katona, to nie wié nikt i ja nie wiem.

— Więc gdzież twoja logika? — wołał znowu Dembosz i teraz z tryumfem. — Nie wierzysz ani w siebie, ani w Katona, ani zresztą w nic, prócz owego mistrza — życia, które gdy zechce zrobi z tchórzów bohatérów, a z takich ludzi jak Kato, złodziei. A ja znów stale

twierdzę, że każdy z nas ma już od urodzenia pewne cechy, których nie zmienią ani okoliczności, ani najdłuższe życie. Jeżeli we mnie do téj pory nie dopatrzyłeś szlachetczyzny, to już jéj nigdy nie dopatrzysz, Nafta zaś choćby pękł będzie, zawsze lepszym artystą niż fabrykantem, będzie zawsze sobie wyrzucał, że wyzyskuje innych, a tymczasem jego wyzyskują. — Wakowiczowi nic nie odejmie jego ciężkiego myślenia i nic go nie wyrobi na aferzystę, dajmy na to, choćby nawet prócz aferzystów żadnych innych ludzi nie widział, a Kato może nic nie zrobi, ale pozostanie uczciwym do szpiku, bo w uczciwości on jest granit—stal!

— Granit wietrzeje, stal się utlenia i ja nigdy nie mam do nich o to pretensyi—zauważył flegmatycznie Kubacki i ziéwnął.

Lecz teraz wtrącił się Naftal i mówił z ogniem:

— Mniéj niż ktokolwiek masz prawo wątpić o Katonie. Gdyby nawet tacy mieli zawodzić, piérwszy-bym przeklął podłe życie i—chybabym sobie palnął w łeb. Kubacki tylko dzięki energicznéj opiece Krępica i lekcyom odstępowanym mu przez niego skończył instytut. Gdy Naftal mówił, przyglądał mu się z widoczném zadowoleniem, ale pomimo to, zaraz potém zauważył, iż kolega-artysta nigdyby się nie targnął na swoje cenne życie, choćby tylko dlatego, że biblijny naród boi się krwi i że w najgorszym razie tylkoby wydał na świat jaką desperacką appassionatę i zaćmiłby Beethowena, czego on, Kubacki, życzy mu z całego serca.

Poczém zwrócił trochę smutny, trochę ironiczny, wzrok na Dembosza i rzekł:

— Kiedy już usiadłeś na trójnogu i zacząłeś patrzéć w przyszłość, jak na twoją wrodzoną płochość nawet dość logicznie, to może zechcesz także udzielić przepowiednią mnie i romantykowi. Mów Pytyo!

— A! Znamieniecki... On, a raczéj jego gwiazdka postara się już o to, by z życia i z ludzi, którzy go będą otaczali, niby z wosku ulepić dla niego szczęście. On będzie miłym, ujmującym i zawsze estetycznym filistrem, któremu jest na świecie dobrze.

— Daj mu Boże to wszystko, prócz filisterstwa — mruknął Kubacki. — No! a ja?

— Ty?

Dembosz się zamyślił.

— Ty jesteś dziwny człowiek — rzekł po chwili. — Właściwego twego gruntu chyba nikt nie zna, a najmniéj ty sam; ale strzeż się

Kuba, bo przy sprzyjających okolicznościach możesz się rozpić, jeśli *notabene* wcześniéj nie wpędzi cię w suchoty głupia adoracya dla spódnicy.

— Bredzisz! — roześmiał się Naftal i wstał, bo do pokoju weszli Krępic, Znamieniecki i Wakowicz.

Od razu zrobiło się gwarno. Kubacki zaczął walić nożem w karafkę i przywoływać kelnera, Naftal wołał, żeby Znamieniecki układał porządek „biby”, Znamieniecki zléwał tę godność na Dembosza, rozmawiali wszyscy naraz, a gdy wreszcie przyniesiono wódkę i zakąski, gwar zmienił się w chaos urywanych zdań, wyrazów i śmiechów, zmieszanych z brzękiem szkła i porcelany.

Kubacki miał słabą głowę, więc po trzecim kuflu piwa począł krzyczéć najgłośniéj.

— Słuchajcie!—wołał—przed waszém przyjściem Dembosz przepowiadał przyszłość i orzekł, że Nafta będzie fabrykował nędzne perkale, że „romantyk” sfilistrzeje, Wakowicz nie wymyśli prochu, że Kato zostanie do śmierci Katonem, bowiem w razie przeciwnym, Nafta spłodzi rozpaczliwą „fugę” i świat wysadzi z posad, że ja umrę na *delirium tremens*, a on—Dembosz...

Ale tu sobie przypomniał, że Dembosz nic o własnéj osobie nie mówił, więc zaczął go namawiać do dalszych przepowiedni, gdy tamten zaś odesłał go do Lucypera, rozgniéwany począł wołać jeszcze głośniéj:

— Słuchajcie! ja przepowiadam przyszłość Dembosza! Spadnie na niego dészcz mamony, w postaci skarbu odkopanego po Francuzach, poczém wielki demokrata założy trwałe podwaliny—tego, ten — jakiéjś olbrzymiéj sprawy, ale wpierw kupi sobie tytuł hrabiowski i sprowadzi z Paryża jedwabne skarpetki.

— Dembosz! — wołał, wyciągając przed siebie ręce — ja ciebie chrzczę przezacnym hrabią Majtaszko!... Zdrowie hrabiego Majtaszki!

Podniósł kufel w górę i przy akompaniamencie chóralnego śmiechu zbliżył go do ust, ale Kato przytrzymał jego rękę.

— Czekaj — rzekł — spijesz się odwiecznym zwyczajem, a my przecie powinniśmy dziś pogadać poważnie.

— Racya!—zgodzili się wszyscy—Kato ma głos, słuchajcie!

Kubacki natychmiast postawił kufel, a Krępic się podniósł i tak mówił:

— O celu, który nas łączy wszystkich, nie ma co wspominać. Kto będzie mógł i umiał, ten wytrwa, ale ja proponuję jeszcze, żebyś-

my sobie dali koleżeńskie słowo na to, że zawsze się będziemy starali—wiedziéć o sobie, wspiérać wzajemnie tak moralnie, jak materyalnie i że od czasu do czasu zjedziemy się wszyscy w miejscu, które w danym razie okaże się najdogodniejszém.

— Przyrzeczemy jeszcze sobie—wtrącił Znamieniecki — że o ile będziemy mogli, stawimy się zawsze i wszyscy na ślub każdego z nas.

— Pyszny projekt! — wrzasnął na to Kubacki i znowu schwycił za kufel.—Wiwat ślub i ozdoby życia—kobiéty!

Ale teraz Dembosz zaproponował przejść do porządku dziennego nad toastem, który wniósł Kubacki i radził wypić na wiwat koleżeństwa i dzisiejszéj umowy.

Na to zgodzono się jednogłośnie, a Naftal zaś skinął na kelnera, poczém rzekł do kolegów, że takie zdrowie trzeba co najmniéj wypić benedyktynem.

Wtedy Kubacki uczuł się tą propozycyą tak rozrzewniony, że wlazł na krzesło i podnosząc w górę kufel, którego mu dotąd wypić nie dano, zawołał:

— Niech żyje Nafta! najczyściejsza z naft, jaką kiedykolwiek wydała ropa Izraela!

Poczém śpiesznie wypróżnił szklankę, zeskoczył z krzesła i począł z ogromném wylaniem ściskać przyszłego fabrykanta perkalików, którego następnie całowali wszyscy.

Ale kelner wniósł czarną kawę i pękatą flaszę benedyktyna, zaczém Kubacki otworzył ją własnoręcznie z wielkiém nabożeństwem, a potém napełnił wszystkie kieliszki, które opróżniono w milczeniu i ściskając sobie wzajemnie dłonie. Po chwili poważnego nastroju, gwar począł się znów zwiększać i rósł w stosunku prostym do próżni, która zwolna wypiérała z flaszki benedyktyna.

Dembosz płakał prawdziwemi łzami, przepraszał Znamienieckiego za podłości, jakie względem niego popełnial i przysięgał, że odtąd nigdy w nikogo, chyba w jednego Katona nie będzie wierzył tak, jak w niego — „ostatniego z romantyków". Rozczulony romantyk deklamował mu za to „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem".

Naftal przekładał Wakowiczowi i Kubackiemu, że istnienie rozumu dowodzi istnienia prawdy i sprawiedliwości, których przeczuciem są idee i aspiracye, a choć ten ostatni zauważył ze szczerém przekonaniem, iż rozum artysty chorującego na filozofa jest to młyn, który miele próżnię, Naftal, nie zwracając na to uwagi, machał rękami, niby wiatrak śmigami i co chwila chwytając to jednego, to drugiego słuchacza za klapy od mundurów, starał się w nich wlać przekonanie, że

prawda jest pojęciem identycznêm ze sprawiedliwością, a sprawiedliwość jest równoznacznikiem dobra, które jest celem rodzaju ludzkiego i do którego jedyną drogą jest sztuka płynąca z miłości.

Na to Kubacki znowu zauważył, że choć Nafta od urodzenia nosi „dowcip w brzuchu, a kiszki w mózgu", ostatnia jego hypoteza co do sztuki płynącéj z miłości jest wprost genialną. Miłość jest osią, wokoło któréj obraca się cała ziemia i pewno cały wszechświat, a choć kobiéta jest właściwie zlepkiem błota, w którém słońce, gwiazdy i księżyc—*ergo* złudzenia, rozniecają fałszywe brylanty i perły, on jednakże proponuje na zakończenie biby wypić za zdrowie „najnędzniejszego i najrozkoszniejszego tworu natury".

Ale Krępic, który pod wpływem alkoholu zawsze się stawał milczącym i już od chwili siedział z oczyma utkwionemi bezmyślnie w sufit, teraz się zerwał i zawołał z gwałtownością niespodziéwaną:

— Ty, Kubacki, jesteś szuja, jeżeli mając matkę śmiész w podobny sposób i do tego w knajpie, wymawiać taki wyraz jak kobiéta! Ja ci tego zabraniam, rozumiész!

Tamten drgnął, otworzył usta, przez chwilę zdawało się, że także bryźnie brutalném słowem w twarz kolegi i odrazu zapanowało przykre milczenie, tylko dym wydobywał się kłębami z ust siedzących studentów i chwilami zupełnie przesłaniał ich oczy.

Oczy wszystkich tkwiły teraz z niepokojem w twarzy Kubeckiego, który po widocznéj walce z sobą, nagle ochłonął i rzekł ze zwykłą flegmą.

— Wyobraź sobie przezacny Katonie, że jesteś pijany jak indor, który się nałykał śliwek wyrzuconych ze spirytusu, inaczéj bowiem wepchnąłbym ci tego szuję w gardło i zmusił do połknięcia. To jedno; drugie, że wcale nie myślę cofać moich słów, pomimo że, jak zgadłeś, miałem matkę i do tego bardzo poczciwą kobiécinę; trzecie zaś, na dowód, że już nie pamiętam twego uniesienia, mam ochotę przy rozstaniu dać ci koleżeńską radę.

Tu rozparł się na stole i patrząc w oczy zmieszanego Krępica, tak daléj ciągnął.

— Ty, Kato, jesteś naiwny, jak nowonarodzone dziecko, a ja ci powiadam nim ci to samo powtórzy życie, że kobiéty wszystkie są licha warte. Jeżeli się zdarzy uczciwa, to tylko dla tego, że jéj się nie trafiła sympatyczna sposobność powalania, ale niechby się tylko trafiła, a dobra—słuchaj Kato i wierz mi, żadna nie wytrwa—żadna! Nie ma między niemi bogiń i aniołów, a ty się strzeż, jeśli kiedy spotkasz anio-

ła, żeby ci on nie połamał skrzydeł i przypadkiem nie obryzgał cię błotem.

Wszyscy słuchali w jakiémś smutném milczeniu. Po twarzy Znamienieckiego przeleciał gorący płomień i znikł, Krępic zaś z początku zmieszany, teraz zamyślił się, stał i słuchał mowy Kubackiego z uwagą, a gdy ten skończył, oparł się rękami o stół i rzekł dobitnie:

— Fałsz. Ty poznałeś tylko takie kobiéty, które ciebie brudziły, albo które tobie się udało wciągać w kałużę. Po nich sądzisz o wszystkich, ale ja czuję i wierzę, że to fałsz! Wy wszyscy umiécie się odzywać o kobiétach z lekceważeniem albo ze wzgardą, ale pomyślcie, czy, jeśli pomiędzy niemi zdarzają się zwierzęta lub lalki, nie jest to winą naszych zwyczajów i obyczajów. Czy kobiéta jest winna, że małżeństwo stało się handlem, kiedy tylko ten handel zapewnia jéj własny kąt i byt materyalny? — że miłość, to tylko sześć liter—pusty dźwięk, w który ona dla przypodobania się mężczyźnie tak samo się stroi, jak się ubiéra w wycięte staniki? — Czy jéj kto wskazuje inne cele, czy jéj kto daje możność zwycięstwa w walce o byt, czy jéj kto mówi, że tylko miłość uświęca małżeństwo, które bez uczucia jest prostytucyą tém podlejszą, że ubraną w nimb świętości, czy ją kto naucza, że i bez męża, można żyć i być użytecznym członkiem społeczeństwa? To są fakty, a pomimo wszystko, świat niewieści wydaje z pomiędzy siebie prawdziwe gieniusze uczucia i bohatérstwa. Czyż to nie dowód wyższości tego świata?

Odetchnął, ręką przesunął po oczach i mówił daléj. O kobiéty upadłe, dość już rzucano grochu na ścianę, ja zaś sądzę, że jeśli cywilizacya przyznała kobiécie człowieczeństwo, to chcąc być logiczną, powinna teraz miéć dla wszystkich ludzi jedną etykę—nie dwie. Czego wymagamy od kobiéty, to samo powinniśmy jéj dawać.

A ty, Kubacki nie myśl, że ja nie znam kobiét, dla tego, że nie znoszę zapachu błota, którém ty się lubujesz, by potém pluć na czystość i świętości. Ja się dość włóczyłem po świecie, dość patrzyłem i słuchałem i prócz tego, miałem—matkę. Głos złamał mu się i urwał. Znamieniecki siedział z twarzą wspartą na dłoni i patrzył w obrus, Kubacki tonął w gęstych kłębach dymu, który zajadle z ust wyrzucał, reszta patrzyła z uwagą na Krępica. On zaś chwilę milczał a potém, głosem zniżonym, w tym pokoju dusznym i od dymu ciemnym, nad stołem zlanym winem i zastawionym kuflami, począł przed oczami kolegów roztaczać czyste lazury błyszczące nad Daszowiecką osadą i malować gorącemi barwami świętą postać swéj matki, prostéj, zagonowéj szlachcianki, która wyszła za chłopa, która uczyła go czytać i kochać

na „Żywotach Świętych” i na „Wieczorach pod lipą”, która wysłała go w świat po światło dla ciemnych i w ostatniéj chwili uczyła — że złych dróg jest wiele, ale dobra tylko jedna. Gdy skończył, podniósł się i stanąwszy w otwartém oknie, począł patrzéć w noc gwiaździstą i miał łzy w oczach. Kubacki już dawno przestał się uśmiéchać, wszyscy mieli na twarzach powagę, tylko Znamieniecki siedział wciąż nieruchomy, z twarzą wspartą na dłoni.

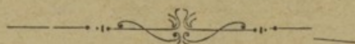
(*D. c. n.*). *Exterus.*



PRZYCZYNEK

DO ROZBIORU PROBLEMATU

MATERYI I DUCHA.



I.

Odkąd człowiek choć na chwilę odrywał się od codziennéj walki o byt, odkąd duch ludzki wznosił się choć trochę ponad poziom powszedniości, stawał on wobec zagadek — „zagadek bytu”, na które odpowiedzi szukał, lecz znaléść nie był zdolny. Wszystkie pociski myśli odbijały się jak groch od śpiżowego sfinksa istnienia, niewzruszonego, niepochwytnego. Wieki szły za wiekami, i każdy z nich óddawał swemu następcy zagadkę w takim stanie, w jakim ją odebrał od poprzednika.

Jedną z takich zagadek, co od wieków myśl ludzką trapi, jest przeciwstawność ducha i materyi, dualizm podmiotu i przedmiotu. Stałe bankructwo wszystkich prób syntezy dwóch tych biegunów bytu, daremność wszystkich usiłowań przerzucenia jakiegokolwiek mostu poprzez rozdzielającą je przepaść, nie zraża ambitnego i upartego ducha ludzkiego: zawsze pobity sromotnie, zawsze wznawia atak na niedostępną twierdzę — i zawsze napróżno! Zda się, ze wszystkich stron już podchodził do niéj, wypróbował i zużył wszelką broń, będącą w jego roz-

porządzeniu: naprzemian to wsysał w siebie obiekt, to sam weń wsiąkał, to znowu silił się skuć obadwa bieguny obręczą monizmu metafizycznego, to wreszcie wzbijał się na wyżyny, skąd zdają się znikać różnice obudwóch, stopionych we wspólném morzu fenomenalizmu — napróżno!

Skoro jakieś zagadnienie wydaje się nierozwiązalném, skoro wszystkie logicznie możliwe drogi zdają się nie doprowadzać do pożądanego rezultatu, wtedy istnieje jeden tylko sposób skończenia z upartą zagadką: postarać się o wykrycie przyczyny fatalnéj nierozwiązalności. Przez taki zwrot umysł ludzki albo znajdzie jakąś nową wytyczną, w któréj kierunku z większemi szansami będzie mógł pracować, albo przynajmniéj wycofa się z honorem.

Zazwyczaj na dane pytanie dlatego niepodobna odpowiedziéć zadawalająco, że samo pytanie jest źle postawione, że jest sformułowane błędnie, lub nawet wprost niedorzecznie. Tak się rzecz ma np. z pytaniem o początku, względnie powstaniu wszechświata. Nasamprzód, zapominamy o tém, że „wszechświat” — pojęcie czysto wyrazowe, fikcya, któréj rzeczywistości nietylko bezpośrednio lub pośrednio sprawdzić, lecz nawet pomyśléć nie jesteśmy zdolni — sprzęgamy z pojęciem „początku”, „powstania” — pojęciem zarówno wyobrażalném, jak i stale doświadczeniu odpowiadającém; tego rodzaju małżeństwo pojęć, bez żadnych uprzednich zastrzeżeń zawarte, może spłodzić tylko bąki logiczne, bo o jego legalności zgóry wątpić wolno. Prócz tego, z czysto formalnéj strony, w pytaniu tak postawioném tkwi fatalna sprzeczność: jeden jego termin neguje drugi. Abstrahując ułudność pojęcia „wszechświata”, musimy przyznać, że jeżeli termin ten ma miéć jakieśkolwiek znaczenie — mniejsza o to, fikcyjne czy rzeczywiste — to, może on być tylko symbolem wszystkiego, co istnieje i co istniéć może: wszystko jest we wszechświecie, a tém samém nic nie ma po za nim. Tymczasem pojęcie powstania przypuszcza koniecznie istnienia dwóch rzeczy: jednéj, która powstaje, i drugiéj, z któréj powstaje pierwsza. Tym sposobem, łącząc obadwa te pojęcia, tém samém przypuszczamy, że albo wszechświat równa się samemu sobie *minus* pewna jego część, albo że obok wszechświata istnieje jeszcze jakiś wszechświat —w obudwu razach przypuszczenie sprzeczne jest z założeniem. Nie dziw więc, że wszelkie usiłowania w kierunku rozwiązania téj zagadki doprowadziły tylko do dziwolągów logicznych. Charakterystyczném jest, że wszelkie możliwe odpowiedzi na podobne pytania są w gruncie rzeczy tylko zaprzeczeniem jego racyi bytu. Tak np. w danym wypadku wszystkie one przypuszczają, że wszechświat — pojedyńczy czy podwójny — istniał zawsze, że znikąd nie powstał. Odpowiedź ta,

czysto negacyjna, nie jest bynajmniéj odpowiedzią na dane pytanie; wyraża tylko, że pojęcia powstania z pojęciem wszechświata łączyć nie wolno, że zatém kwestya jest niedorzecznie postawiona. Podobnych zagadek jest wiele. Myśl ludzka aż nazbyt często—częściéj, niżby się to zdawać mogło — odtwarza walkę Donkiszota z wiatrakami. Gdybyśmy bardziéj byli podejrzliwi względem „narzucających się" pytań, gdybyśmy, miarkując w sobie zbytnią pohopność do rozwiązywania wszelkich zagadnień, częściéj natomiast zwracali się do nich samych, kwestyonując ich racyę bytu,—oszczędzilibyśmy sobie nie mało nadaremnéj pracy, jaką zużywamy na rozwiązywanie zawikłań i sprzeczności, w któreśmy się sami niepotrzebnie wplątali, na rozbijanie głową muru, przez nas samych nieopatrznie zbudowanego.

Nie tak łatwo z problematem ducha i materyi. Stoi on niewzruszony i niepodobna mu zarzucić jakiéjkolwiek niewłaściwości. Analiza logiczna nie zdolna jest wykryć przyczyny jego nierozwiązalności. Jedynie wiedza doświadczalna może tu coś pomódz.

Chciałbym w niniejszym artykule spojrzéć na tę kwestyę z pewnego, nieuwzględnianego dotychczas punktu widzenia.

II.

Wybitną cechę wiedzy współczesnéj stanowi dążenie do sprowadzenia wszystkich objawów tak natury martwéj, jak ożywionéj do zjawisk ruchu. Tam, gdzie złożoność zjawisk dziś na to jeszcze nie pozwala, zbadanie ich uważa się za niedokładne, wyjaśnienie ich za tymczasowe, a poszukiwania wytrwale dążą do przedstawienia ich w kategoryi ruchu. Zdaje się, jakoby ideałem różnorodnych odłamów nauki dzisiejszéj było stopienie ich w mechanice.

Ruch bowiem materyi, przy obecnym stanie naszego doświadczenia, ma pierwszeństwo przed wszelkiém inném zjawiskiem. Jestto zjawisko przedewszystkiém najprostsze i najbardziéj znane, a przeto najłatwiéj — z najmniejszym wysiłkiem — odtwarzające się w naszéj świadomości. Powtóre, ruch najłatwiéj i najściśléj daje się obliczać, a dzięki téj właściwości przedstawia dziś najlepszy środek oryentowania się wśród wszechświata.

Z żadną inną kategoryą zjawisk nie miał człowiek tyle i tak często do czynienia. Materyał doświadczeniowy był w téj dziedzinie najliczniejszy. Życie zmuszało ludzi do ciągłego obserwowania niezliczonych objawów ruchu, w jego najróżnorodniejszych postaciach, napotykanych w przyrodzie. Ilość i wartość olbrzymiego zasobu do-

świadczenia, w ten sposób nagromadzonego, ustokrotniły niezliczone eksperymenty, ustawiczne t w o r z e n i e zjawisk ruchu, stawianie ich w najróżnorodniejszych sztucznych, dowolnych warunkach. Człowiek współzawodniczył i współzawodniczy stale z naturą w wytwarzaniu zjawisk ruchu, i kto wié, czy jéj nie prześcignie...

To téż doświadczenie, w téj dziedzinie zdobyte, najwcześniéj i najdokładniéj zostało usystematyzowane. Poznaliśmy ruch we wszelkiéj niemal możliwéj postaci, we wszelkich możliwych warunkach. Dzięki temu, pomiędzy jego wszystkiemi objawami poznano ciągłość niesłychaną, matematyczną, w innych zjawiskach niedoścignioną: niemasz dwóch postaci ruchu, między któremi nie możnaby wstawić formy przejściowéj. Dlatego to nauka o poruszającéj się materyi mogła przybrać charakter matematycznéj dedukcyi — i tylko ona jedna: bo tylko przy tak olbrzymim, tak usystematyzowanym, tak ciągłym zapasie doświadczeniowym można było dojść do uogólnień, mających wszystkie cechy pewników matematycznych.

III.

Wiekowe doświadczenie ludzkości doprowadziło do uchwycenia najogólniejszéj normy, według któréj odbywać się musi wszelkie zjawisko materyalne, ujęte w kategoryę ruchu. Poraz pierwszy norma ta wyraźnie i ściśle sformułowana została przez Newtona w jego pewnikach dynamicznych, znanych ogólnie pod nazwą prawa bezwładności.

Gdyby nie to, że zasada bezwładności nie jest jedynie oderwaném od rzeczywistości uogólnieniem, lecz sama drga jéj życiem, że nie jest tylko prawdą formalną, lecz prawdą zjawiskową, możnaby ją śmiało umieścić w liczbie pewników matematycznych: tak jest wysoce oderwaną i tak logicznie nieodzowną.

Aby uchwycić sposób działania pewnego zjawiska, koniecznémi jest badać je w warunkach możliwie rozmaitych, oraz ilość tych warunków za każdym razem sprowadzać do możliwego *minimum*. Ponieważ zaś ruch poznany został we wszystkich niemal możliwych warunkach; ponieważ dzięki temu w niezliczonych zmianach, jakim każdorazowo podlegały tak warunki ruchu, jak i odpowiednie im jego objawy, można było ustanowić ciągłość niemal nieprzerwaną; ponieważ wreszcie warunki ruchu można dowolnie prawie redukować, a stąd sam objaw ruchu niemal dowolnie izolować, — więc umysł ludzki, ufny w tak tęgą broń doświadczenia, śmiało wykroczył po za szranki rze-

czywistości konkretnéj. W rzeczy saméj, zasada bezwładności rozpatruje zjawisko ruchu materyalnego, izolowane tak, jak na to rzeczywistość nigdy pozwolić nie może: odrywa je ona wprost z żywego splotu warunków, przenośi je w jakieś pozaświatowe przestworza, w jakąś pustkę, zupełnie zjawisk pozbawioną, — i tak ogołoconemu ze wszelkich warunków, pozostawionemu samemu sobie, rozwijać się każe. Prawo tak wysoce oderwane nie może, oczywiście, być bezpośrednio sprawdzalne; doświadczenie tylko pośrednio stwierdzić jego istnienie jest w stanie.

Ale podobnie jak prawda matematyczna, będąca ekstraktem doświadczenia wszystkich pokoleń ludzkich, właśnie dlatego nosi piętno niczém niezachwianéj pewności, jakkolwiek przedstawia ideał, z saméj swéj natury do wcielenia się w rzeczywistość zjawiskową niezdolny,— tak i wielkie prawo bezwładności, pomimo swego charakteru idealnego, jest prawdą, co swą bezwzględnością, swą nieodzownością logiczną przewyższa wszystkie inne. Niesprawdzalne bezpośrednio w rzeczywistości konkretnéj, musi ona być przypuszczane wszędzie, gdzie tylko zachodzi zjawisko ruchu materyalnego. Zmuszeni jesteśmy przyjąć je, jako konieczny postulat, gdyż streszczając w sobie całą sumę doświadczenia, zdobytego przez ludzkość w dziedzinie zjawisk ruchu, stanowi ono najpewniejszy punkt oryentacyjny w téj dziedzinie.

IV.

Skoro się raz uchwyciło w oderwaniu przebieg zjawiska materyalnego, pozostawionego samemu sobie, skoro się raz poznało ogólną dążność wszelkiego zjawiska ruchu,—wtenczas otwiéra się już pole do dedukcyi, która doprowadzić może do ujęcia rzeczywistości konkretnéj w pewną ogólną normę, konkretną i bezpośrednio sprawdzalną. Staje się to możebne wtedy, gdy obok abstrakcyjnéj zasady bezwładności ma się inną przesłankę konkretną, któraby była ogólnym wyrazem tych warunków, wśród których odbywa się rzeczywiście wszelkie zjawisko ruchu. Otóż wszelkie zjawisko materyalne występuje zawsze na tle materyalném, wszelkie zjawisko ruchu przejawia się stale w środowisku opór przedstawiającém. Nadto wobec różnorodności tego środowiska, składającego się z różnych spółprzyległych ruchów materyi, opór jego w różnych punktach jest niejednakowy, jest większy i mniejszy. Stąd wypływa powszechne prawo fizyczne, że wszelki ruch dąży w kierunku najmniejszego oporu. Prawda ta, będąca wnioskiem z prawa bezwładności, oraz z faktu spółprzyległości zjawisk ru-

chu, jest powszechna, konkretna, bezpośrednio sprawdzalna. Przełożona na język nauki o energii, orzeka ona, że wszelki ruch dąży w kierunku najmniejszego wydatku energii. Będąc konsekwencyą dwóch przesłanek, mających wszelkie cechy pewności i powszechności, musi być ona przypuszczaną w każdém zjawisku, zdolném do ujęcia w kategoryę ruchu.

V.

Stałém dążeniem biologii nowoczesnéj jest wytłómaczenie objawów życiowych za pomocą procesów fizyko-chemicznych. Witalizm upadł, wyparty przez teoryę, nie upatrującą w zjawiskach życia nic ponad osobliwą komplikacyę ruchu materyalnego. Dziś ta jedynie teorya ma wszelkie szanse powodzenia, bo tylko ona daje poszukiwaniom drogowskaz metodologiczny, płodny w pożądane rezultaty, bo tylko ona rzeczywiście coś objaśnia.

Wszelki proces organiczny można rozpatrywać jako pewną postać ruchu materyi żywéj, a więc jako pewne *quantum* pracy, zużytéj przez ustrój, jako pewien wydatek jego energii. Zarówno skurcz ameby, jak i przebieg myśli ludzkiéj przypuszcza pewien wysiłek organizmu, równoznaczny z pokonaniem pewnego oporu, ze stratą określonéj ilości energii, w organizmie nagromadzonéj. Ponieważ ruch odbywa się zawsze w kierunku najmniejszego oporu, względnie najmniejszego wydatku energii, — zatém wszelkie objawy życia, czynności i rozwój organizmów, muszą być regulowane przez tę zasadę. Zasada najmniejszego wydatku energii ustrojowéj nie może być dziś jeszcze bezwzględnie i bezpośrednio sprawdzalna: nie możemy np. mierzyć wszystkich postaci pracy organizmu za pomocą jednostek fizycznych, gdyż analiza objawów życiowych nie jest jeszcze tak daleko posunięta. Skoro jednak przypuszczamy, że objawy te nie są niczém inném, tylko objawami ruchu materyalnego—tém samém przyjąć musimy, za najogólniejszą ich normę, nieodłączne od ruchu prawo najmniejszego oporu, względnie, najmniejszego wydatku energii. Działaniu tego prawa w obrębie świata organicznego dogodnie jest dać nazwę dążności do najmniejszych wysiłków.

VI.

Rozwój istot organicznych trojaką odbywa się drogą. Albo istniejące organy przetwarzają się, zmieniając swą budowę i czynności odpo-

wiednio do zmiany warunków życia; albo wytwarzają się organy nowe, z ukształtowaniem i funkcyami odmiennemi lub analogicznemi względem organów istniejących; albo wreszcie następuje zanik organów, stających się nieodpowiedniemi lub zbytecznemi. Trzy te momenty nie są jednak oddzielone od siebie; zazwyczaj jeden z nich bywa sprzężony z drugim; tak np. zanikowi lub powstawaniu organów towarzyszyć może jednoczesna zmiana ich budowy i funkcyi. W każdym wypadku, losy organu — jego utrzymanie się, zmiana lub zanik, jak również kierunek wszelkiéj zmiany w budowie i funkcyach danego narządu, są regulowane przez zasadę najmniejszych wysiłków ustroju: utrzymuje się ten organ, który służy zachowaniu gatunku i osobnika kosztem najmniejszego, w warunkach danych, wydatku energii organizmu; ta sama ekonomia sił ustroju decyduje o ewolucyi lub uwstecznieniu narządu, oraz określa kierunek obudwu tych procesów rozwojowych. — Istnieje droga, nadzwyczaj ciekawa i pouczająca, po któréj dość często kroczy rozwój świata zwierzęcego i w któréj w szczególny sposób powiązane są z sobą trzy momenty rozwoju, wyżéj omawiane. Jakoś dotychczas mało zwracano uwagi na ten osobliwy typ ewolucyi życia, — mniéj niż na to zasługuje, bo ani nie zdaje się należéć do wyjątkowych, ani téż nie jest pozbawiony wysokiéj wartości teoretycznéj. Oto kilka przykładów w celu jego zilustrowania.

Pierwotny układ wydzielniczy, właściwy robakom niższym, u robaków wyższych (obrączkowych) przybiéra zupełnie odmienną postać „organów segmentalnych". Organy te nie są jednakże bynajmniéj modyfikacyą pierwotnego systemu wydzielczego, nie mają nic z nim wspólnego co do pochodzenia. Powstają one, jak wskazuje embryologia, obok niego i zupełnie niezależnie od niego. Nowotwór współzawodniczy niejako w walce o byt ze starym narządem, a faworyzowany przez prawo najmniejszych wysiłków ustrojowych, wydziedzicza go stopniowo z właściwéj mu funkcyi, przenosząc ją coraz wyłączniéj na siebie i przyprawiając dawny organ o degeneracyę. Rozwija on się i potężnieje z jednoczesnym zanikiem starego współzawodnika, stopniowo ustępującego z placu.

Wśród *Cirripedia* rodzaj *Rhizocephala*, dzięki pasożytniczemu sposobowi życia, tak zwyrodniał, że niezmiernie byłoby trudno domyślić się jego przynależności do tego rzędu, gdyby nie larwa, posiadająca wybitne jego cechy. Wszystkie organy są w wysokim stopniu uwstecznione. Między innemi, zamiast łańcuchowéj postaci systemu nerwowego, właściwego rakom, *Rhizocephala* posiadają zaledwie jeden węzełek nerwowy. Na pierwszy rzut oka sądziéby można, że nastąpiła tu redukcya układu nerwowego, odpowiednio do prostszych waru-

ków bytu,—jak to bywa w wielu podobnych wypadkach, np. u *Bryozoa*, gdzie wskutek nieruchomego życia i związanéj z takiém życiem redukcyi muskulatury i organów zmysłowych, z całego układu centralnego pozostał zaledwie niewielki węzełek, szczątek dawnego węzła nadpaszczowego. Embryologia wykazuje jednak, że nic podobnego tutaj nie ma. Węzełek nerwowy Rhizocephalów nie odpowiada bynajmniéj mózgowi larwy; tworzy on się niezależnie od tego ostatniego wraz z przejściem od postaci młodocianéj do dorosłéj, a rozwojowi jego towarzyszy zanik dawnego układu nerwowego larwy.

U osłonic (np. u *Copelata*) i u najniższego kręgowca—lancetnika, zarówno jak w początkach rozwoju zarodkowego wszystkich kręgowców wyższych, za osłonę dla mózgu rdzeniowego służy tak zwana „struna grzbietowa". Na wyższych szczeblach rozwoju zamiast struny grzbietowéj zjawia się stos kręgowy. Ten ostatni nie rozwija się jednak z pierwszéj, nie jest jéj przetworzeniem; powstaje on obok niéj z otaczającéj tkanki łącznéj [1]). Następuje walka o byt pomiędzy dwoma organami, któréj historyę można wspaniale, drobiazgowo obserwować wśród kręgowców (np. wśród ryb, poczynając od chrząstkowych, ze stopniowemi przejściami aż do najwyższego typu — ryb kościstych). Nowy organ powoli ale stale monopolizuje funkcyę ochrony rdzenia, wypierając stopniowo przestarzały narząd, który nareszcie u wyższych kręgowców zostaje zredukowany do blaszki międzykręgowéj.

Podobne fakty nie są rzadkością w przyrodzie organicznéj. Przypuszczać wolno, że z czasem specyalne badania embryologiczne i porównawczo-anatomiczne coraz większe wykazywać będą rozpowszechnienie tego typu rozwoju życiowego. Wiele zmian, które dziś zdają się polegać na przetworzeniu, na modyfikacyi tego samego organu, prawdopodobnie trzeba będzie późniéj zaliczyć do tego typu. Widzieliśmy np. że gdyby nie ściślejsza analiza embryologiczna, węzełek nerwowy dorosłych Rhizocephalów śmiało możnaby uważać za zredukowany układ łańcuchowy ich larwy. A należy przecież zwrócić uwagę na trudności, jakiemi najeżone są badania rozwoju zarodków i larw, gdzie wskutek samych bodaj małych ich rozmiarów, rozmaite organy i ich części tak są stłoczone wzajemnie, że często wyróżnić ich niepodobna, i gdzie wskutek tego nader łatwo zupełnie odrębny organ przyjąć wprost za składową część innego organu, a stąd w danem zjawisku rozwojowém, zamiast współzawodnictwa dwóch narządów widzieć jedynie modyfikacyę jednego z nich.

---

[1]) Szkieletotwórczéj.

Postarajmy się narysować szemat téj szczególnéj drogi rozwoju organicznego. Polega ona na tém, że obok danego narządu, wypełniającego określoną funkcyę, powstaje inny organ, przyjmujący na się tę samą rolę w życiu ustroju. Pomiędzy obudwoma narządami następuje współzawodnictwo, walka o byt. O ile położenie i budowa nowego narządu pozwalają na sprawowanie wymaganéj w danych warunkach czynności z mniejszym nakładem ogólnéj energii ustroju, zyskuje on tém samém przewagę nad drugim. Wtedy ten ostatni zostaje stopniowo wypierany przez swego współzawodnika, który powoli bierze w monopol daną funkcyę. Mniéj szczęśliwy rywal, stopniowo wydziedziczany z właściwéj mu funkcyi, albo dostaje jakąś nową posadę w gospodarce ustroju, zmieniając dawne swe zajęcie, albo schodzi do roli pomocnika swego zwycięzcy, albo wreszcie otrzymuje zupełną dymisyę i zanika.

Otóż, mojém zdaniem, rozwój ducha w przyrodzie podług tego właśnie odbywa się typu.

VII.

Istotną funkcyę ducha stanowi oryentowanie się wśród warunków bytu, wśród świata zjawisk. W roli téj uczestniczą obadwa wielkie odłamy duszy: uczucia i umysł [1]).

Wszystko, co tylko zdolni jesteśmy odczuć, zarówno stosunki świata otaczającego, jak i stany własnego ciała, odczuwamy dwojako: poznawczo i uczuciowo, zewnętrznie i wewnętrznie, jako czucie zmysłowe, obraz, wyobrażenie oraz jako przyjemność lub cierpienie. Na każdy akt psychiczny składają się obadwa pierwiastki ducha, zazwyczaj w różnym stosunku: z jednéj strony istnieje dziedzina tak zwanych stanów obojętnych, z wielką przewagą pierwiastku poznawczo-zmysłowego, gdzie jednak zawsze dopatrzéć można barwy uczuciowéj, acz bardzo rozwodnionéj; z drugiéj strony mamy akty niemal wyłącznie uczuciowe, w których atoli zawsze przebija nikły odblask poznania; przestrzeń pomiędzy temi dwoma krańcami wypełniają liczne stany pośrednie. Akt zmysłowy—doraźny lub odtwarzany — i uczucie stale towarzyszą sobie nawzajem, i tylko abstrakcya zdolna jest rozerwać ich związek.

---

[1]) Trzecia kategorya ducha — wola, nie stanowi jakiéjś odrębnéj jego części; ścisła analiza nie wykazuje w niéj nic więcéj ponad pierwiastki wyobrażeniowe i wzruszeniowe.

Te dwa zawsze współistniejące bieguny duszy przedstawiają się nam jako dwie rzeczy zupełnie odmienne, nie mające z sobą nic wspólnego — chyba to tylko, że obadwa są częściami składowemi naszego doświadczenia. Wszelkie próby ich syntezy, wykazania pomiędzy niemi związku rodowodowego, musiały spełznąć na niczém, wobec faktycznego ich przeciwieństwa. W rzeczy saméj, rozmaite czucia zmysłowe, obrazy i wyobrażenia, wchodzące w skład poznawczéj strony doświadczenia, to mają z sobą wspólnego, że pochodząc — pośrednio czy bezpośrednio — od narządów zmysłowych, zostających w ścisłym związku z otoczeniem, są spostrzeżeniem lub odtworzeniem stosunków zewnętrznych (włączając do nich i nasze ciało, o ile może ono być uchwycone przez zmysły); tymczasem wzruszenia zdają się nie posiadać w sobie nic ze świata zewnętrznego: są one czémś zgoła pozbawioném zewnętrzności, czémś najbardziéj subiektywném, elementem wyłącznie wewnętrznym.

Jeżeli jednak, stojąc na gruncie analizy czysto podmiotowéj, zmuszeni jesteśmy—obok stwierdzenia stałéj współbytności obudwóch stron ducha — uznać nieprzebytą pomiędzy niemi różnicę, to punkt widzenia biologiczny, rzucając pewne światło na przyczynę tak owéj współbytności, jak i niepodobieństwa, jednocześnie zbliży do siebie więcéj te dwa bieguny świadomości, bardziéj je — że tak powiem — uwspółrzędni.

Przedewszystkiém nie zapominajmy, że zarówno uczucie, jak i umysł spełniają jednę i tę samę czynność w życiu osobnika i gatunku: czynność oryentowania się wśród warunków bytu. Z biologicznego punktu widzenia na obadwa składniki doświadczenia należy się zapatrywać jako na dwa rodzaje znaków, informujących organizm o warunkach, wśród jakich tenże przebywa. Zarówno widok palącéj się świécy wraz z doraźném lub odtwarzaném dotknięcem palca, jak i towarzyszący temu doraźny lub wyobrażalny ból, powiadamiają nas — każdy element we właściwy sobie sposób — o warunkach, wrogich życiu ustroju.

Że dwie te kategorye znaków informacyjnych są pod względem treści jakościowo różne, nie stanowi to jeszcze szkopułu dla ich uwspółrzędnienia. Wszak i umysł ze swéj strony rozbija się na kilka kategoryi zmysłowych, z charakteru swego zupełnie odmiennych: czucie wzrokowe i czucie słuchowe—przecież to zjawiska jakościowo zupełnie różne. Współbytność obudwóch sfer doświadczenia nie jest również stosunkiem, wyłącznie pomiędzy niemi zachodzącym; istnieć on może również pomiędzy rozmaitemi kategoryami umysłu: dotykając np. ręką

powierzchni stali, doświadczać możemy jednocześnie wrażenia zimna i wrażenia wzrokowego.

Stanowisko biologiczne kwestyę stosunku umysłu do uczuć na ogólniejszym stawia gruncie. Ustrój zwierzęcy dla sprawowania funkcyi oryentowania się nie jeden posiada organ, lecz posiada ich kilka, różniących się tak pozycyą, jak budową. Stąd każdy narząd oryentacyjny w osobliwy, jemu tylko właściwy sposób spełnia tę wielką czynność. Objawy wszechświata ujmowane są specyficznie w każdym z tych oddziałów pałacu doświadczenia, z których każdy dostarcza mu tylko właściwego rodzaju wskazówek. Do organów oryentacyjnych, narówni z t. zw. narządami zmysłowemi (pojmowanemi w tém miejscu w związku z przynależnym aparatem nerwowo-ośrodkowym) należy także organ uczuć—najwyraźniéj zlokalizowany, mający za swe siedlisko obwodowe prawdopodobnie ogół narządów wewnętrznych: trawienia, obiegu krwi etc. Istotnie, uczucia są to specyficzne wskazówki, co nas powiadamiają o stanie czynnościowym naszych narządów: skoro dany organ pracuje nienormalnie, wydatkując zbyt wiele albo zbyt mało energii w stosunku do nagromadzonego w nim zasobu, odczuwamy cierpienie; natężona zaś praca organizmu przy obfitym lub zmniejszona jego działalność przy skąpym zasobie energii odczuwana jest jako zadowolenie.

Kiedy zatém wskazówki, przywiązane do wszystkich innych narządów oryentacyjnych („narządów zmysłowych"), dzięki pozycyi tych narządów, informują nas bezpośrednio o zmianach w środowisku zachodzących,—uczucia zawiadamiają nas jedynie o zmianach w czynności organów wewnętrznych i stąd tylko drogą pośrednią — drogą uprzedniéj zmiany stosunku pracy do energii nagromadzonéj — mogą wskazywać zmiany, zaszłe w otoczeniu.

To nam po części tłómaczy, dlaczego ta sfera naszéj świadomości, którą zowiemy umysłem, sfera zmysłowa, cechuje się zewnętrznością, kiedy dziedzina uczuć zdaje się być jéj zupełnie pozbawioną-zdaje się być czémś wyłącznie wewnętrzném. Ponieważ zaś przy wszelkiém spostrzeżeniu umysłowém, przy wytwarzaniu wszelkiego wyobrażenia, zawsze zachodzi jednoczesna zmiana stanu funkcyonalnego odnośnych organów wewnętrznych (np. zmiana obiegu krwi w odnośnych naczyniach), więc i stała współbytność pierwiastków poznawczego i uczuciowego potrosze się wyjaśnia.

Jeżeli tę samę funkcyę życiową — funkcyę oryentowania się — w tym samym ustroju wypełniają organy rozmaite, każdy na swój sposób; jeżeli dla uchwycenia objawów natury istnieje nie jedna kategoryа wskazówek, lecz kilka rozmaitych — to *à priori* przypuszczać wol-

no, że pomiędzy temi rozmaitemi narządami oryentacyjnemi, względnie pomiędzy rozmaitemi kategoryami wskazówek, od początku ich istnienia obok siebie powstać musi walka o byt, współzawodnictwo o monopol wspólnéj czynności. Proces ten reguluje zasada najmniejszych wysiłków: odda ona palmę zwycięstwa temu z nich, który funkcyę oryentowania się wykonywać będzie najlepiéj, t. j. z najmniejszym wydatkiem energii ustroju, z takiém lub innéem wypełnianiem téj czynności w ten lub inny sposób związanym.

Do walki téj stają przedewszystkiém dwa obozy, różnące się zarówno swém położeniem, jak i sposobem wykonywania wspólnéj obydwu funkcyi: jeden, skierowany nazewnątrz, bezpośrednio informujący organizm o warunkach jego bytu—to obóz umysłu; drugi,ześrodkowany wewnątrz ustroju, dostarczający ustrojowi wskazówek pośrednich co do sprzyjających lub wrogich warunków, drogą odczuwania stanu funkcyonalnego narządów, spowodowanego przez te warunki — to zastęp uczuć.

Jeżeli obecny stan wiedzy nie uprawnia do przypuszczenia, jakoby uczucia co do czasu swego powstania pierwotniejsze były od umysłu, jakoby pierwiastek umysłowy był wytworem stosunkowo późniejszym, — to jednak mamy pewne prawo twierdzić, że uczucia przynajmniéj tak są dawne w przyrodzie organicznéj, jak strona „poznawcza" naszego doświadczenia, że zjawiły się na arenie życia przynajmniéj jednocześnie z powstaniem zmysłów. Dopóki warunki bytu ustroju nie są zbyt różnorodne ani skomplikowane, dopóki odpowiednio do tego sam ustrój jest względnie prosty, — uczucia mogą dość szczęśliwie jeszcze konkurować z zaczątkiem umysłowości: zadowolenie lub ból informują organizm o nieskomplikowanych warunkach bytu dość dokładnie, pewnie i wiernie. Gdyby organizm nie rozporządzał innemi wskazówkami prócz uczuciowych, gdyby dla oryentowania się wśród coraz bardziéj potęgującéj się złożoności warunków życia, zadawalać się musiał temi tylko wskazówkami, — uczucia zapewne coraz lepiéj przystosowywałyby się do stosunków zewnętrznych, zyskiwałyby ciągle na liczności i różnorodności, stawałyby się coraz subtelniejsze, coraz bardziéj skomplikowane, słowem, rozwijałyby się krok w krok za rozwojem organizmu, mniéj więcéj dorównywując mu w biegu i stojąc zawsze na wysokości swego zadania, tak ważnego w życiu osobnika i gatunku.

Wszystkie zjawiska byłyby pojmowane wtedy w kategoryi uczucia; wytworzyłby się nieznany nam i niewyobrażalny rodzaj logiki i wiedzy uczuciowéj. Aby pojąć teoretyczną możliwość takiego hypotetycznego wydoskonalenia się uczuć, weźmy analogię z ewolucyi

społeczeństw ludzkich. W krajach, które wysoką stworzyły kulturę gdzie jednak technika nie zdobyła się na maszynę, gdzie więc, dzięki temu, funkcyę wytwarzania spełnia wyłącznie praca ręczna, — sprawność rzemieślnicza do niesłychanego rozwinęła się stopnia: takich cudów rękodzielnictwa, jakie znajdujemy w Chinach, próżnobyśmy szukali w którémkolwiek ze społeczeństw europejskich.

Ale odkąd, na pewnym szczeblu rozwoju kultury europejskiéj, znalazła zastosowanie produkcya maszynowa, wypiéra ona stopniowo — stale i nieubłaganie — wytwarzanie ręczne ze sfery gospodarki, jako wypełniająca tę samą funkcyę z mniejszym nakładem pracy ogólno-społecznéj, jako wymagająca mniejszych wysiłków całości organizmu społecznego. Podobnie, odkąd przy pewnym stopniu skomplikowania warunków bytu, oraz odpowiedniéj złożoności samego ustroju, w funkcyi oryentowania się — obok uczuć — uczestniczy umysł, przyrodzona wyższość tego, coraz wyraźniéj uwydatnia się w rozwoju organicznym. Już to jedno daje mu olbrzymią przewagę w konkurencyi z uczuciami, że ujmuje on objawy wszechświata w sposób zewnętrzny, bezpośredni; że daje wskazówki, właściwe i pewne, zanim jeszcze zmieni się odpowiednio stan funkcyonalny ogółu narządów wewnętrznych; że natychmiast daje znać organizmowi o grożącém mu niebezpieczeństwie, nie czekając, aż tenże uczuje je na sobie, aż jego funkcye wewnętrzne zostaną wykolejone z prawidłowego biegu, aż nastąpi nieodłączna od takiego procesu znaczna strata energii ustrojowéj. Wszechwładna zasada najmniejszych wysiłków musiała tu zrobić swoje. Za jéj potężnemi plecami umysł wzrasta, potężnieje, wzbogaca się ilościowo i jakościowo, stopniowo zabiérając funkcyę oryentowania się na coraz wyłączniejszą własność, wypiérając i upośledzając stale uczucie, które mogło jeszcze grać rolę równouprawnionego z nim towarzysza przy warunkach względnie prostych, wobec jednak wzrastającéj komplikacyi życiowéj coraz daléj za nim pozostaje w tyle, coraz niżéj spada we względnéj wartości. Mówię: „we względnéj” — gdyż nie widzimy tu stałego i bezwzględnego uwstecznienia się i zaniku uczuć — zjawiska, występującego zazwyczaj w tym typie rozwoju organicznego (np. w rozwoju systemu nerwowego u Rhizocephalów lub ochrony mózgu rdzeniowego u kręgowców): podobnie jak rzemiosło, wypierane stale przez wielki przemysł maszynowy, przecież rozwija się, ulepsza swe metody, przystosowuje, gdzie może i jak może do rozwoju stosunków społecznych,—tak i uczuciom rozwoju odmówić niepodobna (np. uczuciom wykwitłym na tle życia gromadzkiego). Ale cóż to za marny postęp w porównaniu z szaloném tempem rozwoju umysłowości! To czołganie się żółwia wobec pędu strzały!...

Historya doświadczenia — to coraz większe upośledzenie uczucia, to stopniowe rugowanie tego pierwiastka ze sfery oryentowania się, to ciągłe monopolizowanie téj czynności przez tryumfujący umysł.

Ze wzrastającą komplikacyą życiową uczuciom coraz to trudniéj przystosować do wartkiego biegu życia, coraz to trudniéj wykonywać sumiennie funkcyę oryentowania się. Wskazówki uczuciowe stają się coraz marniejsze, coraz częściéj podają informacye mylne i niewłaściwe, sprawują swą czynność coraz bardziéj po — partacku. Dochodzi do tego, że przeszkadzają one więcéj niż pomagają robocie umysłu w wielkiém biurze informacyjném organizmu. To też umysł stopniowo wypiéra nieudolnego współpracownika, obywając się coraz lepiéj bez jego usług, często niedźwiedzich. Wzruszenia, namiętności stają się powoli nietylko rzeczą zbyteczną, lecz wprost zawadą przy oryentowaniu się ustroju wśród warunków bytu indywidualnego i gatunkowego. Nieodzownym warunkiem właściwego i dokładnego poznania świata staje się zredukowanie pierwiastku uczuciowego do możliwego *minimum*. Mąci on bowiem tylko i tamuje rzetelne badanie.

Jednocześnie następuje zupełne ogołocenie świata zewnętrznego z uczuciowości: staje się on wyłacznie ujmowanym w kategoryi wzroku, dotyku, czuć mięśniowych etc.; w końcu ani krzty uczucia w nim nie pozostaje. Przestawszy tém samém grać w nim jakąkolwiek rolę, wyrugowane ze stosunków zewnętrznych, uczucia cofają się do wnętrza organizmu coraz to głębiéj, aż wreszcie przybiérają cechę czegoś wyłącznie subiektywnego, czegoś zgoła przedmiotowości pozbawionego, czegoś tylko „duchowego”.

Zrazu jedynie „świat martwy” zostaje pozbawiony elementów uczuciowych i zmonopolizowany całkowicie przez umysł. Wypchnięte stąd, uczucia chowają się z konieczności w głąb samego organizmu, do natury ożywionéj, placówki niezupełnie jeszcze przez umysł zawojowanéj. Tu przez długi czas odgrywają w oryentowaniu się organizmu poważną rolę czynników, określających czynności ustrojowe — wszystkie niemal zewnętrzne (ruchy, postępowanie), oraz wiele wewnętrznych (rumienienie się „ze wstydu”, bladość i drżenie „ze strachu” i t. p.). Atoli i z tego stanowiska umysł powoli je wypędza. Tak, w życiu zbiorowém ludzi, w miarę rozwoju złożoności stosunków społecznych, prymitywność wskazówek uczuciowych, ich zacofanie, niedokładność, mylność, uświadamiają się coraz bardziéj i znajdują wyraz w regułach postępowania. „Rządź się rozsądkiem”, „trzymaj na wodzy swe namiętności”, „nie daj się powodować uczuciom”, „rozum winien kierować uczuciem” i t. p. maksymy życiowe wskazują dobitnie, że rozum ciągle dąży do zastąpienia uczuć w dziedzinie postępowania, oraz że

zacofane uczucia zbyt często znajdują się w sprzeczności ze zbawiennemi wskazówkami umysłu. Widzimy w rzeczy saméj, jak w miarę rozwoju cywilizacyi w postępowaniu ludzi coraz większą rolę odgrywa refleksya, zastanawianie się, jak różnią się, np. pod tym względem dzieci XIX stulecia od swych przodków barbarzyńskich w wiekach średnich, a jeszcze bardziéj od ludów dzikich. Ów ideał, pozostawiony nam w spuściźnie przez myśl starożytną — ideał mędrca, wyzwolonego z uczuć, rządzącego się wyłącznie umysłem, nie jest tylko śmieszny: jest on wysoce charakterystyczny.

Aż do ostatnich czasów w nauce uczucia były uważane za czynnik, za przyczynę wielu objawów zwierzęcych. Niezmiernie jednak trudném, wprost niemożliwém, okazało się jakiekolwiek usystematyzowanie téj „przyczyny,” znalezienie jakiéjkolwiek ciągłości pomiędzy stanami uczuciowemi, jako aktami świadomości, i objawami materyalnemi życia, słowem, określenie sposobu działania tych „czynników.” W końcu zasada najmniejszych wysiłków, rządząca całym rozwojem wiedzy, zaczyna i w téj dziedzinie zastępować niedołężne, zbyt wiele naderemnéj pracy wymagające wskazówki uczuciowe przez umysłowość. Nowoczesna psychologia uczuć stara się postawić kwestyę stosunku wzruszeń do czynności ustrojowych do góry nogami: czynności te nie są skutkiem wzruszeń, lecz raczéj odwrotnie. Czynności organizmu tak zewnętrzne jak wewnętrzne zaczynają być ujmowane, „objaśniane”, wyłącznie w kategoryach zmysłowych, w stosunkach istotnie podobnych do stosnnków „świata martwego.”

Umysł pobija uczucie na wszystkich punktach. Wkrótce nieszczęśliwemu współzawodnikowi zabraknąć może miejsca we wszechświecie... Rozwój zdaje się dążyć do tego, aby w dziedzinie oryentowania się uczucia stały się czémś zbytecznem, aby straciwszy zupełnie rolę „czynników”, zamieniły się w jakieś „dodatki” do zjawisk, ujmowanych wyłącznie w kategoryach zmysłowych—dodatki, być może, niezbędne, jako określane przez przyczynę zmysłową, ale nieczynne, bierne.

VIII.

Jednocześnie w obozie umysłu odbywa się ten sam proces rozwojowy. Z góry można go było przewidywać, odkąd sfera poznawcza doświadczenia zróżnicowała się na kilka odrębnych kategoryi zmysłowych, odkąd w pracowni umysłu tę samę funkcyę kilka różnych spełnia narządów.

Ponieważ do zapasów o monopol jednéj czynności nie dwóch, lecz więcéj staje rywali, przez to samo walka jest tu bardziéj skomplikowana, wybicie się jakiegoś jednego organu zmysłowego z pośród tłumu walczących mniéj wyraźne, aniżeli przy współzawodnictwie umysłu z uczuciem. Dzieje téj walki—zawiłe, nie tak przejrzyste, nie tak prawidłowe, bogate są w epizody, w których, odpowiednio do warunków bytu gatunku, to ten, to ów organ zyskuje przewagę.

Jednakże w miarę tego jak ustroje przystosowują się do coraz obszerniejszéj sfery bytu, do warunków coraz to liczniejszych, różnorodniejszych i zawilszych, — jeden narząd coraz wyraźniéj wybija się na wiérzch. Pośród zamętu ogólnéj konkurencyi, pośród chwiejnych i zmiennych losów reszty organów zmysłowych,—on jeden stopniowo, powoli, ale stale i nieubłaganie, monopolizuje funkcyę oryentowania się, wdziéra się na placówki, zajęte przez rywali, wypiéra ich i zastępuje na wszystkich pozycyach, a wybujały jego rozwój, ciągłe doskonalenie się i wysubtelnianie, przerasta coraz bardziéj rozwój wszystkich innych narządów zmysłowych. Mówię o organie wzroku.

Od samego początku swego powstania — w postaci chociażby pierwotnego oka meduzy—narząd ten nosi znamię wyższości. Nieznaczne rozmiary, wrażliwość na działania eteru — na wpływy najpowszechniejsze, najsubtelniejsze, jednocześnie zaś najdelikatniejsze, najsłabsze, a stąd najmniéj zmian w organizmie wywołujące, — zdolność ujęcia najliczniejszych i najróżnorodniejszych stosunków w najkrótszym przeciągu czasu i przy najmniejszém wytężeniu ustroju, — wszystko to razem i każde z osobna pozwala mu godnie wypełniać funkcyę oryentowania, dostarczać organizmowi dokładnych i wielorakich wskazówek z najmniejszym nakładem energii ustroju, kosztem najmniejszych jego wysiłków. Nie dziw więc, że żelazne prawo najmniejszych wysiłków tak starannie pielęgnowało w naturze organicznéj narząd tak wysoce uprzywilejowany, iż zyskać on musiał w końcu przewagę nad resztą narządów oryentacyjnych. Przewaga ta musiała się zwiększyć, zwycięstwo wzroku musiało się przyspieszyć i ustalić, odkąd natura po szeregu rozmaitych prób, wydawszy różne modele oka typu kierunkowego i mozaikowego, wysiliła się wreszcie na prawdziwy mustersztyk—na typ oka kręgowców, w którym cudowna ekonomizacya promieni świetlnych, nieskończenie mały rozmiar komórek siatkówki obok nieskończonéj ich ilości, doniosła zamiana izolacyi optycznéj przez nerwową, wreszcie wspaniałe urządzenie akomodacyjne, sprawiają, że liczba wrażeń świetlnych nie ma granic, że zatém cały świat uchwycony być może w ich kategoryi — i to kosztem najmniejszego wydatku pracy ustrojowéj.

Najwyraźniéj zwycięstwo organu wzrokowego uwydatnia się u gatunku, co ze wszystkich istot żywych do najliczniejszych, najróżnorodniejszych przystosował się warunków. U człowieka najłatwiéj śledzić ten charakterystyczny proces rozwojowy, albowiem przebieg jego jest nam, z natury rzeczy, najbardziéj dostępny, najbardziéj znany.

Wzrok wdarł się stopniowo na wszystkie posterunki doświadczenia, zajęte przez inne zmysły. Wszelka wskazówka zmysłowa — doraźna czy odtwarzana — jest dziś nieodzownie związana ze spostrzeżeniem lub wyobrażeniem wzrokowém. Słysząc jakiś dźwięk, mimowolnie szukamy jego źródła — przedmiotu dźwięczącego; czując zapach, zawsze przypuszczamy jakąś rzecz, co pachnie; smaku i dotyku pojąć nie możemy bez odnośnych warunków wzrokowych i wrażenie ciśnienia, oporu, nie może się obyć bez wzrokowego stwierdzenia lub wyobrażenia pewnego „ciężaru", pewnéj „masy"; ciepło i zimno niechybnie łączy się z czémś, co grzeje lub ziębi, z czémś ujętém w kategoryi wzroku. Obok tego z każdą wskazówką zmysłową łączy się spostrzeżenie lub obraz wzrokowy części naszego ciała, do téj wskazówki przywiązanéj. Że ów najazd wzroku na wszystkie dziedziny doświadczenia odbywał się stopniowo, wskazuje istnienie w języku charakterystycznych zwrotów bezpodmiotowych: „zimno", „ciepło", „grzmi" i wielu innych, dowodzących, że treści zmysłowéj tych wyrażeń kiedyś nie towarzyszyło poczucie odpowiedniego przedmiotu widzialnego (co i dziś jeszcze się zdarza). Przytém najazd ten miał wszędzie i zawsze jednę cechę znamienną: upośledzał on inne wskazówki zmysłowe, pozbawiając je roli czynnéj, odtąd najezdcy wyłącznie przyznawanéj, wypędzając je ze sfery działania, ze stosunków przedmiotowych, zmuszając je do szukania schronienia wewnątrz ustroju, tworząc z nich pierwiastek czysto bierny, subiektywny, zależny od czynnéj przedmiotowości wzrokowéj. Ta ostatnia—i tylko ona—zaczyna być uważana za świat zewnętrzny, za sferę działań, za „przyczynę"; reszta chowa się do archiwum „ducha." Widzimy tu—*mutatis mutandis*—scenę walki umysłu z uczuciem.

W ten sposób całe doświadczenie nasze przybrało charakter wzrokowy. Zakres doświadczenia wzrokowego stawał się coraz szerszy, aż stał się powszechny, bo niemasz miejsca, gdzieby się ono nie wcisnęło. Zostało też ono najsystematyczniéj uporządkowane, dając przez to jedyną podstawę dla dokładniejszych uogólnień. Stąd też wskazówki wzrokowe najłatwiéj odtwarzają się w świadomości, która wprost roi się od nich. Jak nieskończenie wielką objętość wypełniają one w naszych wyobrażeniach w porównaniu ze wskazówka-

mi innych kategoryi, o ile przewyższają je swą wyrazistością, — o tém każdy, zdolny do samoobserwacyi, może się na sobie przekonać. To samo widzimy w języku. Przerzucając kilka razy pierwsze lepsze ustępy ze słownika Lindego i przyglądając się pierwiastkom, których pierwotną ideę zmysłową można dziś jeszcze uchwycić, zauważyłem za każdym razem, że pierwiastki pochodzenia wzrokowego liczebnością swą niezmiernie przewyższały inne. Z tych zaś ostatnich bardzo wiele dziś zatraciło swą ideę pierwotną, a wyrazy z nich powstałe w świadomości współczesnych noszą charakter czysto wzrokowy lub przeważnie wzrokowy. Tak się rzecz ma np. z większością pierwiastków dźwiękowych, powstałych w okresie tworzenia się języka drogą naśladowania odgłosów przyrody. Jeżeli przysłuchiwać się będziem uważnie rozmowie ludzi, można dostrzédz, że bez porównania częściéj używają oni wyrazów i zwrotów, wzbudzających wyobrażenia wzrokowe, aniżeli inne. Gdzie tylko idzie o dokładniejsze wyobrażenie sobie czegoś, o nadanie czemuś wyrazistości, plastyki—tam wzrok gra najpierwszą, jeśli nie wyłączną rolę. Z pięciu rodzajów sztuk pięknych trzy: architektura, rzeźba i malarstwo, są *par excellénce* wzrokowe. W pięknie słowa pierwiastek wzroku jest nierównie częściéj od innych używany. Nie mówię już tu o stronie opisowéj (w najszerszém pojętéj znaczeniu), gdzie mistrze słowa naprawdę „malują”, ale o lirycznéj i refleksyjnéj. Pod tym względem zadawałem sobie kiedyś dosyć mozołu z drobiazgowém badaniem najbardziéj lirycznych i kontemplacyjnych ustępów z trzeciéj i czwartéj części „Dziadów.” Umyśnie wybierałem takie, gdzie wyobrażenia wzrokowe można się było spodziewać w najmniejszéj znaléźć ilości; swoją drogą nadawały one ton całemu fragmentowi. Ciekawe bardzo w tym względzie są: śpiew („Pieśń ma była już w grobie”) oraz dwie pierwsze stronice improwizacyi Konrada, gdzie pierwiastek dźwiękowy—wbrew oczekiwaniu, w niezmiernie szczupłéj znalazłem objętości; najciekawszém zaś jest to, że poeta, chcąc uplastycznić dźwięki—pieśń, właśnie wzrokową posługuje się wyobraźnią, np.:

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski . . . .
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
Domyśla się, że to słońca . . . . . .

. . . .

Płyńcie w duszy méj wnętrznościach,
Świećcie na jéj wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne . . . .

. . . .

Milijon tonów płynie . . . , ...
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach . . . .

. . . .

. . . . . . One (słowa) lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świécą;
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję . . . .

Historya języka przedstawia ciekawy, nader zawikłany obraz walki zmysłu wzrokowego ze słuchowym. Pierwotny sposób porozumiewania się polega głównie na gestykulacyach i mimice; widok odpowiedniego ruchu ciała, odpowiedniéj gry mięśni twarzy, jest tu bodźcem, wywołującym cały szereg skojarzonych z nim wyobrażeń; język jest tu zatém przeważnie wzrokowy, a jego „słowa" przedstawiają się jako symbole wzrokowe, przywiązane do stałéj treści doświadczeniowéj. Atoli jednocześnie rozwija się coraz bardziéj porozumiewanie się za pomocą dźwięków, wypierając stopniowo system gestykalacyjno-miniczny: z tych bowiem sposobów, jakiemi człowiek wtedy rozporządzał, wymagał on najmniejszéj straty energii ustroju. Ta sama jednak zasada najmniejszych wysiłków, co wyniosła symbole dźwiękowe ponad mowę wzroku i ruchu, w miarę rozszerzenia się stosunków ludzkich i wzrastającéj potrzeby zachowania i utrwalenia zdobyczy doświadczenia zbiorowego, rehabilituje mowę wzrokową, odradzając ją w postaci nowéj — pisma, zyskującego coraz większe rozpowszechnienie, wciskającego się stopniowo we wszystkie sfery porozumiewania się i powoli wypierającego stamtąd język dźwiękowy. Pierwotny typ tego nowego środka porozumiewania się powstaje obok mowy dźwiękowéj i niezależnie od niéj: pismo hieroglificzne i hieratyczne jest w istocie językiem wyłącznie wzrokowym obok języka słuchowego; jest to malarstwo praktyczne, którego rozwój, kierowany zasadą najmniejszych wysiłków, tam gdzie go nie tłumi współzawodnictwo innego typu, doprowadza do prawdziwéj algebry językowéj (Chiny). Od chwili jednak wynalazku pisma alfabetycznego typ ten zostaje zaniechany i zastąpiony przez nowy, bez porównania ekonomiczniejszy. Bezpośrednie malowanie idei ustępuje z placu przed oryginalnym kompromisem wzroku i słuchu, gdzie już nie stała treść wyobrażeniowa, lecz jéj symbole dźwiękowe, sama mowa słuchowa, ujęte są w kategoryi symbolów wzrokowych; gdzie wzrok, dotąd biegnący obok słu-

chu na arenie porozumiewania się, wskakuje mu na kark, robiąc zeń swego tłómacza i stając się odtąd językiem języka. Spychana do roli pośrednika pomiędzy pismem a wyobrażeniami, mowa dźwiękowa w téj roli doznaje stopniowego uproszczenia, doraźne wyobrażenia dźwiękowo-ruchowe zastępowane zostają przez odtwarzane, w tych zaś ostatnich pierwiastek dźwiękowy słabnie, pozostają głównie słabe czucia ruchów aparatu głosowego. A do takiéj roli podrzędnéj spycha się nieodzownie mowa dźwiękowa wszędzie, gdzie tylko wciska się wzrok w postaci pisma. A wciska on się, dzięki swéj przyrodzonéj wyższości, w coraz to nowe dziedziny i zakątki porozumiewania się, zajmując mowie dźwiękowéj coraz to więcéj miejsca, co nie przeszkadza jéj rozwijać się na niezupełnie jeszcze zajętych przez pismo placówkach, a nawet przy pewnych specyalnych warunkach odzyskiwać część utraconych posterunków (np. wobec wynalazku telefonu i fonografu).

Zatrzymałem się nieco dłużéj nad językiem jedynie dlatego, aby na tym przykładzie choć w grubych rysach pokazać, jakie to zawikłane są dzieje walki o byt pomiędzy narządami, z jakiemi to wahaniami, zboczeniami, przestankami, związane jest wybijanie się jakiegoś jednego współzawodnika.

Wszędzie, gdzie tylko funkcya oryentowania dochodzi do większéj ścisłości i pewności, wykonywa ją wyłącznie wzrok. Wszystkie miary—a możliwość mierzenia jest pierwszym warunkiem dokładnego poznania zjawisk—są wzrokowe. Wskazówki zmysłu ciepła i zimna stają się śmiesznie pierwotnemi wobec termometru; sądzenie o objętości podług dotyku i czuć mięśniowych nie może być nigdy ścisłe; o ciężarze i ciśnieniu tylko waga dokładniéj poinformować nas może; czas nawet od wieków określano w stosunkach przestrzennych.

Rozwój wiedzy — to stałe sprowadzanie wszystkich zjawisk do kategoryi wzroku, to stopniowe monopolizowanie funkcyi oryentowania się przez ten uprzywilejowany zmysł, to ciągłe rugowanie innych zmysłów ze sfery poznawania. Akustyka ani myśli oryentować się wśród dźwięków wskazówkami słuchowemi: dźwięk kamertonu jest to „właściwie" jego ruch, drganie jego masy, co za pośrednictwem falowania środowiska atmosferycznego udziela się naszemu uchu, by stąd po nerwach dojść do ośrodków mózgowych i tam wywołać odpowiedni „stan podmiotowy" – czucie dźwiękowe; siła, wysokość, barwa dźwięku, bynajmniéj nie określają się w kategoryi słuchu, lecz za pomocą elementów wzrokowych. „Ciepło" w fizyce, to nie owo czucie ciepła i zimna; to po prostu ruch cząsteczkowy; teorya ciepła doskonale się obywa bez zmysłu temperatury. Istotę zapachu stanowi oddziaływanie cząsteczek,

promieniujących z pewnych ciał, których wierzchnia warstwa łatwo się ulatnia,—na narząd węchu. Przyczyna smaku polegać ma również na pewném chemiczném oddziaływaniu ciał na powierzchnię jamy ustnéj; oddziaływanie to pojmuje się tylko w kategoryi wzrokowéj.

Tak więc wszystkie inne zmysły zostały wypędzone ze zjawisk świata zewnętrznego. Ten ostatni nie posiada w sobie nic z czuć słuchowych, cieplnych, węchowych, smakowych, dotykowych, mięśniowych. Pozostał w nim jedynie wzrok. Reszta zmysłów skazana na wygnanie do „podmiotu."

Daléj, ponieważ wszystko się pojmuje, wszystko się objaśnia tylko w funkcyi wzroku, przeto jedynie wskazówki wzrokowe noszą charakter czynny. Tylko one mogą być „przyczyną", „istotą", tylko one są w stanie coś „wywoływać." Inne zmysły, wywłaszczane coraz bardziéj z czynności oryentowania, przybierają charakter bierny: patrzymy na nie, jako na coś, co tylko „skutkiem" być może, lub co tylko „towarzyszy" przebiegowi wzrokowemu, co tylko jest jego „dodatkiem..."

Wreszcie, koniecznem następstwem monopolu wzrokowego jest olbrzymia nieproporcyonalność rozwoju doświadczenia wzroku w stosunku do doświadczenia reszty zmysłów. Doświadczenie, zdobywane za pomocą wzroku, zostało dokładnie usystematyzowane, zanim doświadczenie, inną drogą nagromadzane, zdołało się jako tako uporządkować. Bogactwo spostrzeżeń i eksperymentów w dziedzinie zjawisk wzrokowych pozwoliło na ustanowienie pomiędzy temi zjawiskami ciągłości, na powiązanie ich łańcuchem przyczyn i skutków, albowiem działanie ich, dzięki obfitości doświadczenia wzrokowego, dało się określić, dało się ująć w pewne normy; tymczasem, przy skąpym zapasie doświadczenia innych zmysłów — nieodzownem następstwie upośledzenia ich jako wskazówek oryentacyjnych, niepodobna określić działania zjawisk, przez nie wyrażanych, tém samém niemożebne jest znalezienie pomiędzy niemi związku, ciągłości. To bliżéj wyjaśnia wyżéj napomkniętą bierność wskazówek, dostarczanych przez inne zmysły, oraz zmonopolizowanie roli czynnéj przez zjawiska wzrokowe

IX.

Na tém jednak nie koniec.

W samym zmyśle wzrokowym odbywa się taż walka o byt pomiędzy rozmaitemi jego elementami, również związana z monopolem jednych, wypieraniem drugich.

Wskazówki wzroku nie są jednakowe; zmysł ten nie jest jednorodny. Widzimy w nim rozmaite pierwiastki: barwę, kształt, ruch etc.

Pierwiastki te dla funkcyi oryentowania się nierówną posiadają wartość. Najsprawniejszym okazał się pierwiastek kształtu i ruchu, będący prawdopodobnie kombinacyą czuć właściwie świetlnych z czuciami mięśniowemi, dostarczanemi przez mięśnie oka (mięśnie akomodacyjne oraz rządzące ruchami gałki ocznéj). Element barwy nie może się z nim równać, jakkolwiek niegdyś w oryentowaniu się wśród zjawisk pierwszorzędną grał rolę, a i dziś jeszcze nie małe oddaje usługi. Większa część poprzedniego ustępu, omawiającego wybijanie się wzroku ponad inne kategorye umysłowości, właśnie do pierwiastku ruchu się stosowała.

Dążeniem wiedzy jest sprowadzić wszystkie zjawiska do zjawisk ruchu. Otwarcie się do niego przyznają fizycy i chemicy, przyjmując wspólnie teoryę atomistyczną, składającą się wyłącznie z wyobrażeń kształtu i ruchu: barwa się abstrahuje. Co ciekawsze to to, że optyka sprowadza zjawiska barw do zjawisk ruchu: taka lub inna barwa ma być jedynie odczuwaniem takich lub innych drgań eteru; jéj jakość, natężenie określa się sposobem falowania tego hypotetycznego środowiska. Barwa nie jest przeto istotną własnością przedmiotu; w świecie zewnętrznym niemasz kolorów, jest tylko ruch. Barwy uciekają z „materyi", by się schować do „ducha..."

Tylko w zjawiskach ruchowych można było przeprowadzić nić ciągłości, ze względu na najobfitszą ich ilość w doświadczeniu ludzkiém. Tylko w zjawiskach ruchu udało się określić sposób ich przebiegu, sposób ich działania. Stąd ruch, i tylko ruch—jest zjawiskiem czynném, jest „przyczyną", jest „istotą." Żadna inna kategorya zjawisk nie posiada téj cechy.

Świat zewnętrzny, wyzuty z uczuć, głuchy, niedotykalny, pozbawiony smaku i węchu, ogołocony z muskulatury, wytarty z wszelkiéj barwy,—wypełnił się ostatkiem zmysłowości, jaka się jeszcze w nim została—wskazówkami ruchomemi.

Wyrzuciwszy z siebie pierwiastki jakościowo różne, osiągnął on przez to wysoki stopień jednorodności, ułatwiającéj niesłychanie zaprowadzenie w nim ładu i ciągłości. Za to „podmiot", „duch" zbogacał się w różnorodność jakościową, w miarę jak „przedmiotowość," „materya" ubożała: cóż, kiedy owo bogactwo nie na wiele się przydało—nie tylko z powodu głębokich różnic jakościowych, utrudniających niesłychanie znalezienie ciągłości i porządku, ale dlatego również iż bogactwo owo składa się ze zbiegów, z pobitych inwalidów, z nie-

szczęśliwych zapaśników w walce o byt, iż bogactwo owo składało się nie z elementów czynnych, lecz z pierwiastków, ze swéj czynności wywłaszczanych...

X.

Taki jest, w najgrubszych zarysach, rozwój doświadczenia. Funkcya oryentowania się wykonywana jest nie przez jeden, lecz przez kilka organów, nie przez jedną, lecz przez kilka kategoryi wskazówek. Pomiędzy temi różnemi organami, pomiędzy temi rozmaitemi kategoryami doświadczenia zachodzi walka o byt, współzawodnictwo: przedewszystkiém, pomiędzy uczuciem a umysłem, następnie pomiędzy rozmaitemi kategoryami umysłu, wreszcie wewnątrz tego samego narządu—pomiędzy pierwiastkami téj saméj kategoryi. Trzy te momenty, wyodrębnione przezemnie z powodów zrozumiałych, w rzeczywistości istnieją współcześnie, w nierozerwalnym splocie życia. Nicią przewodnią tego niezmiernie zawikłanego procesu rozwojowego, porządkowanego i kierowanego przez prawo najmniejszych wysiłków, jest pochłanianie funkcyi oryentowania się przez pierwiastek wzrokowo-ruchowy i jednoczesne wywłaszczanie z téj funkcyi innych kategoryi doświadczenia.

Ten szczególny charakter rozwoju doświadczenia rzuca pewne światło na odwieczną zagadkę materyi i ducha.

Naprzód, rzuca on pewne światło na samą treść obudwóch terminów zagadnienia.

Całe nasze doświadczenie układa się w dwa bieguny przeciwległe: obiekt i subiekt, materyę i duch, obejmujące wszystkie kategorye wskazówek informacyjnych, jakiemi ustrój nasz rozporządza. Stosunek tych dwu stron naszego bytu, pod względem ich treści i objętości, nie jest jednak stały i zmienia się wraz z rozwojem duchowym, którego historya przedstawia ciągłe przelewanie się doświadczenia z jednego bieguna do drugiego.

Różnorodność świata zewnętrznego coraz bardziéj się zmniejsza; staje on się coraz bardziéj jednorodnym. W miarę tego, jak w ogólnym zamęcie walki o byt jedna kategorya wskazówek, spełniająca funkcyę oryentowania się kosztem najmniejszego wydatku energii ustroju, zabiéra tę funkcyę w monopol, zastępując, wypiérając i upośledzając inne wskazówki, — te ostatnie opuszczają świat zewnętrzny, pozostawiając go téj jednéj kategoryi uprzywilejowanéj. Uczucia najwcześniéj zostały z niego wyrugowane, przeniesione do bieguna podmiotu; materya została najwcześniéj od uczuć wyodrębniona, pojmo-

wana jako coś, co zupełnie od nich jest różne, co nic nie ma z niemi wspólnego. Stopniowo ten sam los spotyka rozmaite kategorye umysłowości: wskazówki słuchowe, smakowe, węchowe, dotykowe, cieplne, mięśniowe, usuwają się z „obiektu”, wypełnianego coraz wyłączniéj przez wzrokowe; wreszcie z tych ostatnich pierwiastek barwy cofa się wraz z innemi do bieguna „ducha”, a w „materyi” z różnorodnych kategoryi wskazówek pozostaje wyłącznie jedna--wzrokowo-ruchowa. Ona tylko jest rzeczywistością; dźwięk, zapach, kolor etc. są to tylko „pozory”, wywołane przez drganie masy powietrznéj, przez chemiczne działanie ulatniających się cząsteczek, przez falowanie eteru i t. p. Ona jedna stanowi „materyę”, wszystkie inne są jedynie czémś, co nam się „zdaje”, czego jednak niemasz w rzeczywistości zewnętrznéj—są tylko „stanami podmiotowemi.”

Do takiego pojmowania materyi doprowadził nas żywiołowy rozwój doświadczenia. Chcąc przeto stać na wysokości dzisiejszéj jego epoki, musimy, przy rozpatrywaniu zagadnienia podmiotu i przedmiotu, odpowiednio ustosunkować treść obudwu tych terminów. W świecie materyi nie możemy przypuszczać nic poza wskazówkami wzrokowo-ruchomemi; musimy wykluczyć z niego nie tylko całą sferę uczuć, nie tylko wszystkie wskazówki odtwarzane, ale również wszystkie doraźne wskazówki zmysłowe innych kategoryi: doraźne czucia barwy, dźwięku, ciepła i t. d., uważając je wszystkie tylko za stany podmiotowe i zbogacając niemi w ten sposób biegun ducha.

Nie miałoby się żadnéj podstawy do twierdzenia, że rozwój poznania na obecném zatrzyma się stadyum, że pojęcie dzisiejsze materyi i ducha nie ulegnie kiedyś zmianie, że, np., świat materyi nie zubożeje jeszcze bardziéj, świat zaś ducha jeszcze więcéj się nie zbogaci. Tego tylko napewno nie ma się czego obawiać, aby świat materyi ogołocony został z wszelkich wskazówek, jak tego chce metafizyka, uważająca materyę to za jakąś „substancyę”, zjawisk pozbawioną, to za „możliwość wrażeń” (Mill) i nie bacząca, że tém samém zamiast rzeczywistości tworzy niepojętą fikcyę, że z całéj materyi robi wielkie nic...

Z rozbioru naszego widzimy, że materya i duch — są to pojęcia zmienne, o ile że stosunek zawartości obudwóch zmienia się wraz z rozwojem doświadczenia. Cóż więc jest w nich stałego, stanowiącego o ciągłéj ich przeciwstawności?

Dziś powiadamy, że cechą ogólną materyi jest rozciągłość, któréj właśnie brak aktom podmiotowym. Ale nie jest to nic innego, tylko uświadomienie sobie tego faktu, że dziś w materyi przypuszczamy tylko wskazówki wzrokowo-ruchowe, żyjąc w okresie rozwoju, gdzie

ten właśnie, a nie inny zmysł zmonopolizował całą sferę zewnętrzności...

Czy jednak nowy punkt widzenia, jaki nam daje uchwycenie charakteru rozwoju doświadczenia, nie naprowadza nas na istotniejszy, szerszy pogląd na ducha i materyę?

Zdaje się, że tak.

Widzieliśmy, że składnikami materyi pozostają zawsze wskazówki najwyborowsze—te mianowicie, które funkcyę oryentowania się spełniają z najmniejszym w danych warunkach nakładem energii ustrojowéj i które dzięki temu zabierają tę funkcyę na swą wyłączną własność, pozbawiając jéj inne; że monopolizowanie czynności oryentowania się przez pewien rodzaj wskazówek jest równoważne ze stopniowém pochłanianiem całéj sfery naszego doświadczenia przez te właśnie wskazówki, że przeto doświadczenie jedynie w obrębie tych ostatnich bywa dokładniéj uporządkowane, usystematyzowane i łańcuchem ciągłości spojone. Widzieliśmy z drugiéj strony, że ze świata zewnętrznego rugują się i do dziedziny podmiotu przenoszą te kategorye naszego doświadczenia, co pod względem swéj wartości, jako znaków informacyjnych, dorównać innym nie mogą, co czynność oryentowania się mniéj sprawnie niż inne wykonywają; że upośledzenie ich jest nieodzownie związane ze względném zmniejszeniem się ich sfery działania; że więc w tych kategoryach doświadczenia nie ma tego ładu, téj organizacyi, téj znajomości sposobu działania ich pierwiastków składowych, co stanowi właśnie rękojmię pewności i dokładności naszéj wiedzy.

Mimowoli nasuwa się tu nader pociągająca hypoteza: czy historya wyodrębnienia się materyi i ducha z przypuszczalnie nierozróżnicowanego doświadczenia pierwotnego nie jest czasem równoznaczna z dziejami walki o byt rozmaitych narządów oryentacyjnych, z dziejami powstawania coraz wyłączniejszego monopolu jednéj kategoryi wskazówek, wypierającéj inne z areny oryentowania się? czy przeciwstawność podmiotu i przedmiotu nie jest po prostu przeciwstawnością tych dwóch obozów kategoryi wskazówek — zwyciężającego i zwyciężanego,—wytworzoną i rozwijaną przez zasadę najmniejszych wysiłków? czy dziedzina materyi nie jest to poprostu ta kategorya wskazówek, która stanowi zorganizowaną całość doświadczalną, najdokładniéj uporządkowaną, możliwie ciągłą, dzięki czemu sposób działania jéj pierwiastków składowych, ściśle z sobą związanych i określone miejsce w całości zajmujących, jest określony, jest znany, dając tém samém wskazówkom odnośnym cechę nieomylności; „duch" zaś, czy

nie jest to poprostu reszta kategoryi wskazówek, właściwości tych nie posiadających?

Niestety, niezupełnie. Sprowadzać materyę do jednych, a ducha do innych kategoryi wskazówek byłoby błędem, gdyż ani pierwsze w całéj swéj objętości nie wchodzą w skład obiektu, ani drugie tém samém nie są wyłącznemi składnikami podmiotu.

Sęk w tém, że każda kategorya wskazówek ma dwa działy: dział wskazówek doraźnych i dział wskazówek odtwarzanych, — takich, co się łączą ściśle z doświadczeniem zewnętrznέm, z materyą, i takich, które, stojąc niejako poza niém, nie są z niém w bezpośredniéj styczności. Otóż te ostatnie, o ile są uświadamiane jako takie, wszystkie zaliczane są zawsze do sfery podmiotu — i tylko podmiotu, bez względu na kategoryę, do jakiéj należą. Co się tyczy wskazówek doraźnych, to przynależność ich do materyi lub ducha zależy od kategoryi, któréj składniki stanowią. W kategoryach najlepiéj usystematyzowanych, pod względem wartości informacyjnéj najwyborowszych, wypełniają one sobą materyę; w kategoryach upośledzonych emigrują stopniowo do podmiotu. Tak dziś, np., doraźny ból lub doraźne zadowolenie, doraźne odczucie smaku, zapachu, barwy, ucisku i t. d. wtłaczane są do dziedziny stanów podmiotowych. Doraźne (lub przypuszczalnie doraźne) wskazówki kształtu i ruchu stanowią wyłączną treść materyi, ale tylko doraźne; o ile zaś są uświadamiane, jako odtwarzane, stanowią część ducha.

Rzetelne określenie ogólne materyi i ducha powinno ująć w jedną całość, dać jeden ogólny wyraz—z jednéj strony wszystkim wskazówkom doraźnym, jakie po wszystkie czasy wypełniały pojęcie materyi, z drugiéj—wszystkim wskazówkom doraźnym i odtwarzanym, jakie kiedykolwiek były treścią ducha. A jeśli nie ma być powierzchowne, to powinno ono streszczać w sobie ogólną zasadę, podług któréj doświadczenie układa się w jeden lub drugi biegun.

Postawiona powyżéj hypoteza ten ma brak widoczny, że biorąc pod uwagę jedynie rozmaite kategorye wskazówek, nic nie mówi o charakterystycznέm rozdwojeniu każdéj kategoryi na część doraźną i odtwarzaną. Sprobujmy przeto znaléźć zasadę owego rozdwojenia, badając stosunek wskazówek doraźnych i odtwarzanych, i zobaczyć, czy nie wiąże się ona ściśle z niedostateczną hypotezą naszą, czy nie stanowi ona z nią jednéj spójnéj całości?

Rozdział doświadczenia pomiędzy dwie sfery — doraźną i odtwarzaną — jest procesem zmiennym. Wskazówki, uświadamiane zrazu jako doraźne, często zaliczane są potém do rzędu wskazówek odtwarzanych.

Oddawna już ludzie uważają marzenia senne za „marzenia", za stany wyłącznie odtwarzane. Nie tak je sobie jednak prawdopodobnie uświadamiali odlegli nasi przodkowie dzicy, nie tak się na nie zapatrują małe dzieci. Brak tu rozróżnienia widziadeł sennych od wypadków rzeczywistych, w świecie zewnętrznym napotykanych; doświadczenie senne zléwane jest z doświadczeniem na jawie; wskazówki, stanowiące treść snu, nie są uświadamiane jako odtwarzane, lecz jako doraźne. Późniéj dopiéro, w miarę tego jak wskazówki senne stają w sprzeczności z systemem doświadczenia zewnętrznego, w miarę tego jak okazuje się, że nas „omyliły", że są „złudne", — przybierają one charakter *par excellence* subiektywny, charakter wskazówek odtwarzanych.

Cała obszerna sfera t. zw. „złudzeń" przedstawia nam ów proces przenoszenia się wskazówék z dziedziny doraźności do dziedziny odtwarzania. Zrazu daną wskazówkę uświadamiamy sobie jako doraźną; dopiéro potém, gdy okazuje się ona nieodpowiednią względem uporządkowanego doświadczenia zewnętrznego, gdy w jego zorganizowanym systemie miejsca znaléźć nie może, gdy staje się niewłaściwą, przedstawia się nam jako „pozór", jako stan czysto podmiotowy, jako wskazówka odtwarzana. Wogóle możemy powiedziéć, że wskazówka wszelkiéj kategoryi przybiera cechę odtwarzanéj wtedy, gdy staje w sprzeczności z całością doświadczenia usystematyzowanego. Wyodrębnienie się wskazówek doraźnych i odtwarzanych z doświadczenia pierwotnego, przypuszczalnie niezróżnicowanego, jest identyczne z procesem organizowania się doświadczenia, przy którym wskazówki, nie kwalifikujące się do téj organizacyi, swą obecnością psują ład usystematyzowanéj całości doświadczeniowéj, są z niéj rugowane, tracąc tym sposobem związek z nią, stając poza jéj obrębem i tém samém przybierając owo charakterystyczne znamię, wyróżniające wskazówki odtwarzane.

Atoli proces ten zachodzi nie tylko wewnątrz każdéj kategoryi wskazówek. Widzieliśmy, że analogiczny proces ma miejsce również w walce o byt rozmaitych kategoryi wskazówek doraźnych, gdzie występuje monopolizowanie funkcyi oryentowania się przez jedne kategorye, związane z względnie najściślejszém organizowaniem się doświadczenia wewnątrz ich, oraz wypieranie ze sfery oryentowania się kategoryi innych, wśród których doświadczenie nie odznacza się ani takim obszarem ani takiém uporządkowaniem. W miarę tego jak monopol pewnéj kategoryi (np. wzrokowo-ruchowéj) staje się coraz bardziéj stanowczym i wyłącznym, tém samém doświadczenie, w jéj obrębie organizujące się, staje się coraz wyraźniéj jedynym

przedstawicielem doświadczenia usystematyzowanego i tém samém również wskazówki innych kategoryi, jako nie licujące z całością doświadczenia uporządkowanego, są z tego ostatniego wykluczane, przybierając cechę podmiotowości. Ponieważ proces ten w zasadzie nie różni się od wskazanego powyżéj procesu wyodrębniania się wskazówek doraźnych i odtwarzanych; ponieważ i tu zachodzi rugowanie z całości doświadczenia uporządkowanego wskazówek porządkowi téj całości nieodpowiednich, to należałoby oczekiwać, że wyrugowane wskazówki doraźne powinny przybrać cechę odtwarzanych. Jeżeli to nie ma miejsca, objaśnia się to tém, że jeszcze nie wybiła chwila bezwzględnego monopolu jakiéjś jednéj kategoryi wskazówek, że inne kategorye, choć upośledzane i wypierane coraz bardziéj, przecież niezupełnie jeszcze ustąpiły z pola doświadczenia zorganizowanego, a niektóre z nich dzielnie się nawet jeszcze trzymają, jakkolwiek, być może, dni ich są policzone. Tak np. kategorya wzrokowo-ruchowa panuje dziś wyłącznie w teoryi; w życiu atoli powszedniém, jak również w praktyce naukowéj, inne zmysły, choć zdegradowane do roli pomocniczéj, mają jeszcze obszerne pole: tak np. zapach, smak, kolor i t. p. oryentują nas w badaniu zjawisk chemicznych; barwa jest ważną wskazówką przy takiéj, np. analizie spektralnéj i t. p. Stąd to noszą one charakter połowiczny: z jednéj strony—w teoryi, uznajemy je za pozory, za stany subiektywne, z drugiéj strony jednak mimowolnie czynimy je częścią doświadczenia usystematyzowanego, przez co niezdołały one jeszcze stracić charakteru doraźnego i uświadomić się jako wskazówki odtwarzane. Widzimy jednak pod tym względem stopniowanie, odpowiadające ściśle wartości oddzielnych kategoryi wskazówek. Doraźne uczucia, jako wskazówki najpośledniejsze i stąd najbardziéj nieodpowiednie organizacyi doświadczeniowéj, najbardziéj zbliżają się do stanów odtwarzanych, najtrudniéj dając się odróżnić od uczuć odtwarzanych i jednocześnie będąc uświadamiane, jako ze wszystkich kategoryi najsubiektywniejsze. Na drugim krańcu, barwy doraźne tak głębokie jeszcze w glebie doświadczenia usystematyzowanego mają korzenie, że skłonni nawet bywamy do przypuszczenia, jakoby istniały one w świecie niezależnie od subiektu — „nawet gdyby nas wcale niebyło.”

Po tych wywodach ośmielam się twierdzić, że różnicowanie się ogółu doświadczenia na dwie sfery—podmiotową i materyalną, — jest identyczne z procesem porządkowania się doświadczenie, z wyodrębnianiem się wśród chaosu rozmaitych wskazówek usystematyzowanéj i ciągle się systematyzującéj całości doświadczeniowéj. Ta to całość zorganizowana, gdzie wskazówki są względem siebie usystematyzowa-

ne, gdzie każda z nich ma określone miejsce, gdzie wskutek tego noszą one charakter stałości, ciągłości, pewności, stanowi materyę, dziedzinę obiektywną; a wszelka wskazówka, znajdująca w niéj miejsce, uważa się za objaw materyalny. Te zaś wskazówki, które do doświadczenia usystematyzowanego wcielić się nie są zdolne, które do jego organizacyi się nie nadają, które tém samém zostają zeń wykluczone, jako z niém sprzeczne, uświadamiają się jako duch, jako stany podmiotowe. Będąc wyrzutkami społeczności doświadczeniowéj, nie znajdując w doświadczeniu określonego miejsca, stałego punktu oparcia, tém samém przybierają ów charakter nieokreślony, niewymierny, niemożliwy do zlokalizowania—charakter podmiotowy. Kiedy wskazówki inne, właśnie dzięki ich usystematyzowaniu, zyskują cechę trwałości i ciągłości,—pomiędzy niemi brak tego łańcucha: cechują się one właśnie tém, że są przerywane, że powstają i znikają. Wreszcie kiedy doświadczenie materyalne odznacza się pewnością, nieomylnością, „rzeczywistością", wskazówki z niego wyrugowane przybierają charakter pozorów, złudzeń, charakter idealny.

Zwrócę tu uwagę na znamienny fakt, że idealizm logiczny, co przewracając świat do góry nogami, zamiast systemu doświadczenia materyalnego silił się postawić organizacyę pewnéj części stanów podmiotowych, mianowicie pojęć, — gdy zaczął tworzyć tę organizacyę, jednocześnie począł się materyalizować. Subiektywne „ja" Fichtego u Schellinga zamienia się na „duch obiektywny", ten zaś w ręku Hegla, ostatniego wielkiego organizatora świata podług zasad logiki, przeistacza się w iście rzeczową „ideę absolutną." Analogiczny proces widzimy w idealizmie starożytnym: wychowanka anarchii subiektywnéj sofistów, przedmiotowa „definicya" Sokratesa, nabiéra ciała i krwi materyi, przetwarza się w dotykalną niemal „ideę boską" w dyalogach Platona, co potężnym wzlotem myśli uczynił ze świata jeden wielki organizm logiczny. I nie mogło być inaczéj...

Z punktu widzenia mechanizmu biologicznego, ów proces systematyzowania się doświadczenia, sortujący je pomiędzy dwa bieguny przeciwległe, przedstawia się jako walka o byt pomiędzy nagromadzającemi się z biegiem czasu rozmaitemi kategoryami wskazówek, jak również pomiędzy nieustannie powstającemi wskazówkami wewnątrz każdéj kategoryi. Wielka zasada najmniejszego oporu, najmniejszéj straty energii ustrojowéj, najmniejszych wysiłków, powołuje do życia ten proces, porządkuje chaotyczny konglomerat wskazówek, wybiéra i układa je względem siebie tak, aby funkcya oryentowania się z najmniejszym nakładem pracy ustrojowéj odbywać się mogła, słowem, tworzy prawdziwy organizm doświadczeniowy i kieruje nadal jego ro-

zwojem. Ma tu miejsce pewien dobór naturalny wskazówek doświadczeniowych.

XI.

Wejrzawszy nieco głębiéj w treść materyi i ducha, rozpatrzywszy te obadwa bieguny doświadczenia na tle żywiołowego jego rozwoju, przyjrzyjmy się zagadnieniu, od wieków stojącemu otworem i sprobujmy uświadomić sobie i wyjaśnić te nieprzeparte przeszkody, jakie napotyka wszelka próba syntezy obiektu i subiektu.

Rozpatrzmy fatalną zagadkę w tym stanie, w jakim znajduje się w dobie niniejszéj, wobec rozwoju wiedzy fizycznéj z jednéj i psychologii eksperymentalnéj z drugiéj strony. W dobie téj charakter usiłowań w celu jéj rozwiązania zmienił się znamiennie: ludzie nie marzą już, jak ongi metafizyka, o natychmiastowéj na nią odpowiedzi, tylko szukają drogi, po której możliwém byłoby zacząć pracę w kierunku jéj rozwiązania. Widać tu piętno XIX stulecia.

I odrazu stają przed nieprzebytą zaporą: jest nią prawo przyczynowości.

Warunkiem syntezy objawów materyalnych i duchowych, zlania ich w jakąś spójną całość, jest możliwość związania ich łańcuchem przyczynowości. Lecz w tém właśnie trudność.

Czy przyczyna materyalna wywołuje skutek duchowy, czy odwrotnie? Czy też może pomiędzy niemi zachodzi wzajemne oddziaływanie? Ależ wszystkie trzy przypuszczenia znajdują się w rażącéj sprzeczności z postulatem przyczynowości materyalnéj, który musimy przyjąć jako daną, a który właśnie polega na tém, że ruch wywołuje tylko ruch i sam może być wywołany tylko przez ruch.

Z drugiéj strony, materyalizm ruchowy ustalił się już na dobre w badaniach psychologicznych; rezultaty jego, zwiększające się z dnia na dzień, przekonywają, że wszystkie czynności duchowe dadzą się sprowadzić do procesów, zachodzących w materyi mózgowéj. Wobec tego ową przyczynowość tak tylko pozostaje rozumiéć, że pewna określona przyczyna materyalna wywołuje właściwy sobie, mechaniką określony, skutek materyalny *plus* zjawisko podmiotowe. Ale takie rozumienie jest niczém innėm, tylko właśnie sformułowaniem niemożliwości syntezy materyi i ducha, wyrzeczeniem się téj syntezy.

W oświetleniu osobliwego charakteru, jaki nosi rozwój doświadczenia, przyczyna nierozwiązalności problematu materyi i ducha, niemożliwości powiązania ich ogniwem przyczynowém, jest jasna.

Zwrócę tu nawiasem uwagę, że zwykłe pojęcie przyczynowości jest, jak na dziś, nieco przestarzałe; obecny stan wiedzy pozwala na

ściślejsze jéj pojmowanie. Przyczyna jako coś czynnego lub jako „niezmienny poprzednik”, skutek jako coś biernego lub jako nieodzowny następnik”—są to abstrakcye, które w stosunku do usystematyzowanéj dziś rzeczywistości nie są ścisłe. Przypuszczają one, jakoby z jednéj strony przyczyna była—w danym stosunku — czémś jedynie warunkukującém, a skutek—czémś tylko zależném; z drugiéj strony — jakoby przyczyna istniała zawsze przed skutkiem, a skutek wytwarzał się po przyczynie. Tak jednak nie jest. Przyczyna dopiéro wtedy jest przyczyną, gdy wytwarza dany skutek; przedtém nigdy jeszcze nie jest przyczyną danego skutku; działanie przyczyny i tworzenie się jéj skutku jest zawsze współczesne; przyczyna w każdéj chwili jest przyczyną, w każdéj chwili wytwarzając właściwy sobie — w téj chwili—skutek. Z drugiéj strony w doświadczeniu usystematyzowaném niemasz czynników i nie-czynników: są tylko czynniki; tak samo przyczyna, jak i wytwarzany przez nią w danéj chwili skutek są czynne i oddziaływają na siebie, warunkują się wzajemnie. Formuła przyczynowości: „przy tych samych warunkach zawsze ten sam powstaje skutek”, w zastosowaniu do zjawisk najlepiéj dziś usystematyzowanych—do zjawisk ruchu, pojmowana być może tylko tak, że wszelkie zjawisko ruchu ma swoją stałą normę, w którą układa się jego przebieg, że każde z nich odbywa się podług zasady bezwładności i najmniejszego oporu, że zatém w danym systemie „warunków” (*resp.* zjawisk ruchu) z jednéj strony każdy taki „warunek działa zawsze jednakowo, z drugiéj — „skutek” będzie ściśle określony — nietylko dlatego, że w określony sposób oddziaływają nań „warunki”, ale i dlatego, że sam on oddziaływa na nie podług ogólnéj normy ruchu materyalnego: „skutek” ten jest tak samo jednym z „warunków” dla każdego z innych „warunków”, z których każdy z innego punktu widzenia może być uważany za „skutek”. Właściwie więc, owa przyczynowość sprowadza się tu do tego, że zjawiska ruchu odbywają się podług określonéj, stałéj normy.

Otóż dziś kategorya ruchu wypiéra wszystkie inne wskazówki z areny oryentowania się i powoli ją monopolizuje: zmonopolizowała już ją w teoryi i całe doświadczenie usystematyzowane tylko z téj kategoryi się składa. Stąd jedynie wskazówki téj kategoryi są uporządkowane należycie; jedynie one związane są pasmem ciągłości, jedynie ich sposób działania jest znany, jedynie one mogą odegrywać rolę czynników. I one to stanowią dziś m a t e r y ę.

Wszystkie inne kategorye wskazówek, wypiérane ze sfery oryentowania się, przybiérają charakter duchowy. W teoryi wyparte one zostały zupełnie z materyi, posiadają jednak jeszcze cechy doraźności. Wewnątrz każdéj kategoryi, włączając tu i kategoryę ruchu, występu-

je ten sam proces wyodrębniający wśród składowych części tych kategoryi wskazówki odtwarzane. Otóż wszystkie te wskazówki, zaludniające dziedzinę ducha, z natury rzeczy nie posiadają téj dokładnéj systematyzacyi, jaka cechuje materyę, niemasz między niemi téj ciągłości, sposób ich działania nie jest określony, roli czynników stąd grać nie mogą.

Związek przyczynowy jest monopolem materyi, t. j. jak na dziś, doraźnych lub przypuszczanych, jako doraźne, wskazówek wzrokowo-ruchowych. Prawo przyczynowości w téj tylko kategoryi wskazówek ustanowione zostało. Nie dziw więc, że okazuje się niemożebném materyę i ducha związać przyczynowo, że kategorya ruchowa, rozpanoszywszy się na całém polu doświadczeniowém, sama sobie wystarcza, że ducha nie zdolni jesteśmy pojąć ani jako przyczynę, ani jako skutek.

Słysząc dźwięk, tłómaczymy go sobie jako drganie jakiegoś przedmiotu materyalnego. Ale drganie materyalne a dźwięk—to dwie rzeczy różne. Mówimy tedy, że drganie przedmiotu udziela się cząsteczkom powietrza otaczającego, którego falowanie wprawia w specyalny ruch nasz organ słuchu; ruch ten przenosi się po drogach nerwowych do odpowiednich ośrodków mózgowych i tam wytwarza czucie dźwiękowe. Aleź procesy ruchowe w ośrodkach nerwowych — to nie czucie dźwiękowe! Wywołują one, bezwątpienia, odpowiednie skutki, także ruchowe, ale jak wywołać mogą one przytém zupełnie odrębną kategoryę zjawisk, tego zrozumiéć nie możemy. Wszędzie ruch — i tylko ruch, związany tylko z ruchem, nie wiążący się z innemi kategoryami wskazówek...

Jakim więc warunkom należałoby zadosyć uczynić, aby synteza ducha i materyi była choćby tylko nie-niemożliwa?

Przedewszystkiém powinien zniknąć monopol wskazówek jednéj kategoryi, t. j. powinien zmienić się charakter i kierunek dotychczasowego rozwoju doświadczenia. Inne kategorye powinny dojść do równouprawnienia; doświadczenie w obrębie każdéj z nich winno się rozszerzyć i usystematyzować.

Ale to bynajmniéj nie wystarczyłoby. Dzięki temu, wskazówki innych kategoryi zyskałyby wprawdzie charakter czynników, lecz tylko w obrębie tych kategoryi.

A jak przerzucić most od jednych kategoryi do innych, jakościowo różnych?

Być może, udałoby się to wtedy, gdyby każda z odrębnych kategoryi sprowadzona była do pierwiastków wszystkim im wspólnych, jednorodnych.

Wreszcie należałoby ustanowić na téj saméj drodze jedność pomiędzy wskazówkami doraźnemi i odtwarzanemi. Wtedy to-by się może osiągnęło dopiéro syntezę materyi i ducha: zniknąłby wtedy duch, jako taki, i przeistoczyłby się w materyę.

Czy to możliwe?

Trudno być prorokiem...

Co do pierwszego warunku — rzecz to bardzo, bardzo wątpliwa. Cały rozwój dotychczasowy doświadczenia polegał właśnie na ograniczaniu sfery oryentowania się, a stąd i systematycznego doświadczenia, do coraz mniejszéj liczby kategoryi wskazówek. Doszło do jednéj — wzrokowéj — i w téj nawet nastąpił proces dalszego ograniczania. Pierwiastek barwy ustępuje, a monopol coraz wyłączniejszy ostał się przy pierwiastku kształtu i ruchu. Raczéj spodziéwaćby się należało, że ów proces ograniczania pójdzie jeszcze daléj i że jednocześnie z tém reszta wskazówek po kolei zostanie coraz bardziéj upośledzana, coraz bardziéj duchowa. Czyż można jednak przewidziéć coś napewno? Czyż można napewno twierdzić, że rehabilitacya pierwiastka duchowego, zwiększenie się zasobu i ładu doświadczeniowego wewnątrz niego nie może nastąpić wskutek np. zastosowania obszernego metody subiektywnéj w psychologii, jakkolwiek dziś w téj gałęzi wiedzy zda się panować wyłącznie mechanizm materyalny?

Drugi i trzeci warunek przypuszczają pierwszy, podniesiony do potęgi. Doświadczenie wewnątrz rozmaitych kategoryi wskazówek, jak również wewnątrz wskazówek odtwarzanych, powinno wzrość do takiego stopnia, uporządkować się tak dokładnie, zyskać taką ciągłość, dotrzéć do pierwiastków tak elementarnych, aby były one wspólne całemu doświadczeniu, które zyskałoby odtąd cechę jednorodności i którego wszystkie części możnaby wtedy uwspółrzędnić.

Nawet przypuszczając, że zjawią się okoliczności najprzyjaźniejsze wytworzeniu się tych warunków, że w jakikolwiek sposób rozwój ducha na inne wkroczy tory, dla syntezy naszego doświadczenia trzeba będzie pracy strasznéj, pracy tytanów, doświadczenia wieków. Za pomocą saméj tylko łatwéj gramatyki myślenia, noszącéj napis: „Logika”, zagadki téj się nie rozwiąże!

A szukać jéj rozwiązania ludzie będą, zawsze będą! Być może ta sama zasada najmniejszych wysiłków, co wyłoniła przeciwstawność materyi i ducha, pcha ich żywiołowo ku rozwiązaniu téj sprzeczności, nieznośnéj dla umysłu — ku syntezie bytu. Myśl, nie cierpiąca nieładu, jakkolwiek nie zna porządku ducha, to przecież nie może się zgodzić na to, aby w nim panował chaos, bezprawie; przekonana, że procesy materyalne płyną zupełnie niezależnie od świadomości, nie może

jednak pojąć, dlaczegóż w takim razie istnieje zależność świadomości od procesów materyalnych, dlaczego akt świadomości zjawia się tylko przy określonych warunkach materyalnych i dlaczego przy obecności tych warunków zjawia się on koniecznie. Jeżeli nawet już starają się sformułować ogólnie tę zależność, jak np. prof. Herzen, co twierdzi, że świadomość znajduje się w stosunku prostym do stopnia dezintegracyi materyi mózgowéj i do stopnia oporu dróg mózgowych; jeżeli zatém uważają świadomość za zjawisko niezbędne w skutku materyalnym, wytwarzanym przez określoną przyczynę materyalną, — to nie można żadną miarą pojąć, aby była ona tylko jakimś koniecznym plusem, nie będąc czynnikiem. I jakkolwiek z drugiéj strony nie możemy również pojąć, jaką rolę czynną mogłaby ona grać w procesie materyalnym, zdającym się zupełnie bez niéj obywać, — to jednak myśl nasza nie może się pogodzić z tém, aby w danym systemie zjawisk jedno z nich, określone ściśle przez inne, nie określało tychże ze swéj strony, aby pozostawało pierwiastkiem zupełnie biernym, jakkolwiek koniecznym, tego systemu.

Być może więc — choć bardzo to wątpliwe, że w miarę tego, jak w materyi pozostawać będą coraz bardziéj pojedyńcze, coraz prostsze i jednorodniejsze pierwiastki doświadczenia, jednocześnie będzie wzrastało doświadczenie na biegunie ducha, będzie się usubtelniała analiza jego składników, i że dwa te procesy doprowadzą kiedyś do pierwiastków homologicznych w obudwu biegunach: wtedy to nastąpiłaby może synteza, dziś zupełnie niemożliwa. Byłby to nowy okres—materyalizacyi ducha, kiedy w rozwoju dotychczasowym odbywał się wciąż wręcz przeciwny proces—przesiedlania się doświadczenia z materyi do ducha, subiektywizacyi materyi.

XII.

Nie wiemy — wątpimy nawet — czy myśl dojdzie kiedykolwiek do téj ziemi obiecanéj, a jednak nie możemy powstrzymać się od dociekań, jak będą wyglądały ogólne kontury tego raju myśli, jeżeli bramy jego kiedyś otworzą się przed ludzkością.

A więc zniknie wtedy biegunowość materyi i ducha. Będzie tylko jedno wielkie morze rzeczywistości zjawiskowéj, składające się z jednorodnych kropel, homologicznych pierwiastków zjawiskowych. Wszystkie te pierwiastki zyskają charakter czynników. Duch, wszedłszy w dokładnie usystematyzowaną całość doświadczalną, tém samém matzeryalizuje się.

Dla wszelkiego zjawiska, odkąd przedstawia się ono jako takie, t. j. odkąd zostaje ono wyróżnione w chaosie bytu, odrywając się od mglistego stosunku zjawiskowego, jako odrębny całokształt — będzie znaleziona ogólna norma, w którą układa się jego przebieg.

Jaka to będzie norma? Trudno to sobie dziś wyobrazić; atoli mamy pewne prawo brać analogię z doświadczenia, jedynie dokładnie dziś uporządkowanego, z doświadczenia materyalno-ruchowego, w którém norma wszelkiego zjawiska ruchu jest już dziś określona. A więc może normą tą będzie bezwładność zjawiskowa, — dążność każdego zjawiska do zachowania stanu, w jakim się w danej chwili znajduje, do utrwalenia téj rzeczywistéj postaci, pod jaką się w danéj chwili objawia, jako odrębny fakt—do niezmienności.

Jakie będzie bliższe oznaczenie tego dążenia do niezmienności — oczywiście, nie możemy wiedzieć. W każdym razie będzie ono ogólniejsze, niż obecne prawo bezwładności materyalnéj, które będzie jego szczegółowym wypadkiem.

Będzie to abstrakcyjna norma zjawisk. Być może, że norma konkretna, bezpośrednio sprawdzalna, ułoży się również według modelu dzisiejszéj normy mechanicznéj — najmniejszego oporu. W istocie, wyodrębnienie się zjawiska przypuszcza już zjawiska, z których się wyodrębniło. Wszelkie zjawisko przedstawia się jako takie zawsze już na pewném tle zjawiskowém. Stąd w rzeczywistości, zróżnicowanéj na oddzielne objawy, te ostatnie muszą być względem siebie przyległe. Otóż, skoro każdy z tych objawów dąży do zachowania swego stanu, stany ich zaś różnią się w danéj chwili—już przez sam fakt wyodrębnienia się ich jako oddzielnych zjawisk, — przebiegi ich, dążące do niezmienności, muszą, dzięki współprzyleganiu, stale stykać się z sobą. Zetknięcie takie objawi się jako z m i a n a kierunków, w jakich zjawiska współprzyległe w danéj chwili dążą, jako zmiana ich stanu. A ponieważ każde z nich posiada kierunek dany, który dąży zachować, przeto każde z nich, spotykając na drodze swego przebiegu zjawiska przyległe, dążące również do niezmienności swego odrębnego kierunku, dąży do skierowana tych zjawisk na swoje tory, do ich zasymilowania. Będzie stąd wynik, że wszelki objaw, będąc zmuszony się zmienić, zmienia się tak, aby jaknajmniéj oddalił się od kierunku, w którym w danéj chwili dąży, — słowem, zmienia się w kierunku n a j m n i e j s z é j z m i a n y. Najmniejsza zmienność, pochodna bezwładności i współprzyległości zjawisk, będzie więc może normą konkretną każdéj zmiany, całego doświadczenia konkretnego, a jéj szczegółowym wypadkiem — mechaniczne prawo najmniejszego wydatku energii.

Zasada ta, być może, okaże się sprężyną samorzutnego organizowania się, systematyzacyi zjawisk — ich rozwoju, ich ewolucyi i dysolucyi.

Rozumié się, wszystko to jest tylko marzeniem, utopią... A jeżeli się te marzenia kiedyś urzeczywistnią, to nie dzięki „filozofii", nie dzięki wysnuwania pajęczyny logicznéj, lecz przez doświadczenie — i tylko przez doświadczenie, przez jego rozszerzenie, pogłębienie i wysubtelnienie.

Tymczasem wieki za wiekami patrzéć będą, jak głowy ludzkie, rozpalone gorączką wiedzy, będą uderzały rozpaczliwie o niewzruszony głaz istnienia, jak na wszystkie ataki myśli ten niemy sfinks, niby kruk Poë'go, jedno tylko bezlitosne krakanie rzucać będzie: nigdy!

A. D. Wolski.



Nowe studya nad Hamletem.

William Szekspir. „Hamlet królewic duński", wydał, przełożył, wstępem, wyjaśnieniami i przypisami opatrzył Władysław Matlakowski. W Krakowie 1894. Wstępu stron CDXVII, tekstu 346. — „Tragedya przeczuć, nowe przyczynki do Hamletologii", jako odczyt publiczny w wydziale literacko-historycznym Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego spisał dr. Władysław Łebiński. Poznań, 1895 stron 60.

Leży przedemną gruba książka, mająca siedemset sześćdziesiąt trzy stronice bardzo ścisłego druku, poświęcona jednéj tragedyi Szekspira! Nie napisał jéj literat ani estetyk fachowy, ale głośny chirurg, który zmarł w roku zeszłym na suchoty. Ostatnie lata życia, niemogąc pracować w swym fachu, spędził w skupieniu, w gorliwéj pracy, obcując z dziełem wielkiego poety. Tajemnicza postać królewicza duńskiego, która dostarczyła materyału do tylu komentarzy, monografii, analiz krytycznych, która wywołała tyle sporów i domysłów, pociągnęła ku sobie nieprzepartym urokiem umysł niepospolity, duszę szlachetną, wysokiéj miary. W ostatniéj, smutnéj dobie bytu ziemskiego pogrążyła się dusza ta w kontemplacyi pełnéj podziwu dla jednego z najoryginalniejszych dzieł poezyi świata.

Książka o „Hamlecie" nie jest jedynym owocem literacko-estetycznych zamiłowań Matlakowskiego, który potrafił połączyć pracę fachową i studya medyczne z zajęciami filologiczno-literackiemi. Ogłosił on w przeciągu lat 1877 — 1892—jak podaje dr. W. Łebiński—68 prac medycznych, a w drugiéj gałęzi swych studyów prace następu-

jące: „Zbiór wyrazów ludowych dawnéj ziemi Czerskiéj", „Słownik wyrazów ludowych zebranych w Czerskiem i Kujawach" oraz „Budownictwo ludowe na Podhalu" z 23 tablicami litografowanemi i 25 rysunkami w tekście.

Jako medyk i literat, Matlakowski wdrożył się w metodę badania bardzo pracowitą i sumienną, nic więc dziwnego, że jego książka o Hamlecie napisana została z niebywałym u nas w tego rodzaju pracach nakładem erudycyi i wyzyskaniem studyów poprzednich.

Warunki w których powstawała książka, wyjaśniają pod wieloma względami jéj charakter. Przy końcu rozdziału pierwszego widzimy odrazu jak przedmiot badania olbrzymieje w umyśle badacza. Z nastrojem niemal proroczym powiada dr. Matlakowski, że w miarę rozwoju charakteru Hamleta „skończona dusza ludzka urasta w wiel kość nieskończoną, nieosobistą, nieśmiertelną, przed którą ustępują zawory czasu, tają pieczęcie tajemnicy apokaliptycznéj; z szumem wichru widzenia Ezechielowego przebiegamy z tym duchem wielkie zagadki ludzkości, wisimy raczéj z umysłem jego nad przepaściami-ważymy się: chwilami zdaje się widzieliśmy w błyskawicznie krótkiéj chwili prawdę; rzeczone do nas było wielkie słowo; lecz wnet mieszają się, jak przedzimowe obłoki na szczytach Tatr, zarysy i światła, mrok przesłania jasny obraz i spadamy z uczuciem lęku i zatrzymania tchu jak w męczącym śnie zmory nocnéj..." (Wstępu str. XX). Ustęp ten charakteryzuje najprzód barwny, czasem entuzyastyczny sposób pisania, szczególniéj w tych miejscach, gdzie autor puszcza wodze fantazyi i gromadzi nawał obrazów, niezawsze ściśle złączonych z myślą przewodnią, tak że świetność przedstawienia stylowego staje się trochę przeładowaną. Widzimy tu także bardzo typowo występującą u szczegółowych badaczy dążność do spotęgowania wartości przedmiotu badań. Nie jestto jednak zacietrzewienie się jednostronne pedanta lub dłubacza, który krótkim wzrokiem nie sięga po za horyzont swego przedmiotu, ale zachwyt artysty i marzyciela, zapatrzonego z podziwem w twórczą potęgę poety.

Na dwustu sześćdziesięciu stronicach bitego druku streszcza następnie Matlakowski, poglądy krytyków i komentatorów, począwszy od Göthe'go, który w „Wilhelmie Meistrze" pierwszy jasno określił na czém polega zadanie tragedyi Szekspirowskiéj. „Wielki czyn, włożony na duszę, która do niego nie dorosła"; — „istota piękna, czysta, szlachetna, wysoce moralna, bez siły zmysłowéj, tworzącéj bohatera, ginie pod ciężarem, którego nie może ani unieść ani odrzucić, każdy obowiązek jest dla niéj świętym, ale ten za ciężkim. Żądano od niéj rzeczy

niemożliwéj, nie niemożliwéj saméj w sobie, ale takiéj która dla niéj jest niemożliwą." Według Matlakowskiego, krytyka ta wywarła wpływ ogromny, „obarczyła Hamleta nieudolnością, niemocą, położyła na nim piętno słabości z którém już w literaturze pokutuje." Pomimo jasnego ujęcia kwestyi, nie rozwiązuje jednak „zagadki choć ją wyraziście wyodrębnia z dramatu—rodzi się bowiem pytanie, co jest źródłem téj niemocy do wielkiego czynu?"

Mojém zdaniem, ten ustęp ze słynnéj powieści Göthe'go ma więcéj znaczenia aniżeli całe setki stronic wywodów długich, zawiłych, naciągniętych, od których się roją dzieła, niemieckich zwłaszcza komentatorów Szekspira. Göthe odrazu wszedł jak z lampą elektryczną w głębię ciemności, otaczających do jego czasu postać Hamleta i tragedyę całą, z którą nie mogła sobie poradzić krytyka ani egzegetyka zaplątana w szkolarskich formułach. Poglądu jego nikt potém nie obalił, bo wyjaśnienie psychologicznych przyczyn praktycznéj niemocy księcia duńskiego, jest tylko uzupełnieniem i rozwinięciem myśli rzuconéj przez autora „Fausta" z siłą jasnowidzenia właściwą gieniuszom.

Niepodobna mi przedstawiać szczegółowo charakterystyki całego szeregu krytyków i komentatorow, których prace utworzyły odrębną gałąź badań literackich, zwaną hamletologią. Matlakowski, z wielkiém zamiłowaniem i pracowitością, streszcza poglądy swych poprzedników już to na podstawie bezpośredniéj znajomości ich dzieł, już to opiérając się na pracy Furness'a, który w dwu olbrzymich tomach, po 400 stronic ogromnéj ósemki, miał zamiar podać to, co napisano z powodu tego dramatu, ale nie zdołał objąć wszystkich szczegółowych studyów i artykułów. Matlakowski chce nietylko przedstawić obraz poprzedniéj pracy krytycznéj nad Hamletem—poddaje on poglądy krytyków roztrząsaniu i analizie, która ma przygotować grunt do jego własnéj oceny. Z wielką skwapliwością zaznacza on zwłaszcza opinie takich komentatorów jak Ulrici, albo bezimianny badacz z *Quarterly Review* 1847 roku i Hudson, którzy starają się obalić zarzuty słabości woli i braku energii stawiane królewiczowi duńskiemu. Dostaje porządne cięgi Gervinus, za to że w Hamlecie widzi postać niemiecko-flegmatyczną, że wykazuje w nim nietyle słabość charakteru ile nadmiar sumienności, cnoty, gubiącéj się w wątpliwościach i refleksyach, że surowo sądzą jego postępowanie z Ofelią, Rozenkranzem, Gildensternem, że wreszcie w Hamlecie widzi obraz bezpłodności praktycznéj całego współczesnego mu pokolenia w Niemczech (str. XLIII). Ostremu potępieniu podlegają także Kreyssig i Rohrbach, za swe pesymistyczne oceny charakteru księcia. Ostatni zamyka cykl krytyków nieprzychylnych Hamletowi, tymczasem począwszy od

Vischera, zaczyna się nowy zwrot krytyki, która zyskuje uznanie z powodu swéj sympatyi dla bohatera dramatu. Względy naszego badacza pozyskał sobie między innymi Oehlman, który słusznie chłosta krytykę za to, że z każdego dzieła Szekspira chce przedystylować jakąś zasadniczą ideę, że patrzy na dzieła poezyi jak na wytwory mózgu teoretyków, którzy fabrykują dramat dla wykazania słuszności jakiéj reguły moralnéj lub życiowéj — gdy tymczasem głębsza logika tkwić w nim powinna *in nuce*, tak aby sama wypłynęła z treści przedstawianych wydarzeń.

Z pomiędzy krytyków francuskich, autor wyróżnia Courdaveaux'a, który w historyi literatury angielskiéj broni Hamleta od zarzutów braku odwagi i określa jego stosunek do narzuconego zadania zemsty i kary na podstawie szlachetności instynktów, delikatności natury, uczciwości sumienia, co mimowiednie odpychały go od knucia spisków i obmyślania sposobów zguby dla nikczemnego stryja. Charakteryzując studyum prof. Henryka Struve'go, podnosi autor ten pogląd, że Hamlet nie jest bezczynnym wskutek braku energii i gnuśności, chociaż się sam o to oskarża—że musiał działać oględnie wyczekiwać, korzystać z przypadkowo nastręczających się okoliczności, a kto „żąda od niego czynów gwałtownych i burzliwych, ten nie poznał ani moralnego charakteru księcia ani właściwych celów i zamiarów jego działania."

Stanowczo nie mogę się z autorem zgodzić na ocenę świetnéj pracy Spasowicza, pomieszczonéj w „Studyach nie z natury", którą uważam za jedno z arcydzieł krytyki literackiéj wogóle. Dr. Matlakowski obok swéj pracowitości i sumienności, był człowiekiem bardzo szlachetnym, egzaltowanym, podobno nawet przy spełnianiu, zresztą znakomitém, swych czynności lekarskich. Tymczasem Spasowicz w krytyce Hamleta rozwija zwykły sobie dar analizy ścisłéj, logicznéj, nieubłaganéj. Nie idąc śladem komentatorów, którzy silą się na podsuwanie poecie intencyi, o jakich mu się zapewne nie śniło, Spasowicz krytykę swą oparł na metodzie jedynie racyonalnéj, która może sprowadzić jakiś ład i jasność wśród chaosu najsprzeczniejszych i dowolnych sądów. Poglądy jego dadzą się we wszystkich prawie wypadkach sprawdzić i poprzéć tekstem tragedyi, oparte są na bezpośredniém odczuciu i wmyśleniu się w dzieło poety. Pamiętam jakie wrażenie uczyniło na mnie to studyum właśnie w epoce, gdym przez parę lat zastanawiał się i myślał nad Hamletem, odrzuciwszy bezpłodne i zawiłe pomysły komentatorów niemieckich a zwłaszcza Gervinus'a, który istotnie bywa nieznośny ze swą fałszywie głęboko filozoficzną spekulacyą. Miałem zaczęte wielkie studyum o Hamlecie — rzuciłem je w kąt poznawszy pracę profesora Spasowicza, ponieważ w rozmyślaniach moich

z małemi wyjątkami, doszedłem do tych samych rezultatów. Nie chciałem robić drugi raz, rzeczy raz już zrobionéj, ale się przekonałem, że sposób analizy Szekspira, opierający się wyłącznie na jego tekście, niedopuszczający fantazyowania wedle jakiéjś z góry powziętéj myśli, (jak się to dzieje u większéj części komentatorów) jest dobry, skoro doprowadził mnie do tych samych wyników. Spasowicz charakteryzując bezpłodność praktyczną Hamleta, przyczynę jéj widzi w szczególnego rodzaju organizacyi umysłowéj, w jego fantazyowaniu genialném ale jałowém. „Wielkość Szekspirowskiego utworu na tém polega, podług prof. Spasowicza, że podał skończony typ marzyciela, lunatyka, typ który się będzie powtarzał przez cały ciąg wieków po wszystkich krajach i lądach, powtóre że go podał nie jednostronnie w p r z e b ó s t w i e n i u, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz... ale w dramacie rozdzierającym serce, w którym widzimy jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość". Żaden z krytyków, których poglądy streszcza dr. Matlakowski, nie określił tak dosadnie i jasno mistrzowstwa psychologicznego Szekspira, nie wytłomaczył dlaczego ta postać pełna bólu i smętku jest tak ciekawą i pociągającą. Hamlet jest obrazem czysto nowożytnym duszy szlachetnéj, niezmiernie bogatéj, trawionéj i rozkładanéj przez wielkie cierpienie, szamoczącéj się ze złośliwością losu. Na tém właśnie według mnie polega mistrzowstwo Szekspira, że umiał przeprowadzić stopniową genezę rozkładu, że widzimy jak ten szlachetny królewicz, mający wysokie pojęcie o naturze człowieczéj, wrodzony zapał dla wszystkiego co szlachetne, pogardę dla podłości, namiętne porywy do prawdy i sprawiedliwości, gorzknieje pod wpływem myśli o zemście, która siadła mu na mózgu, jak dziwaczeje w pesymizmie i zgorzknieniu, działa bez planu pod wpływem podrażnień zewnętrznych, popełnia fatalne omyłki, dochodzi wreszcie do wyczerpania duchowego, błądzi po cmentarzu, aby płodzić „nierząd z marami", staje się bezwładnym fatalistą i w ostatnim wysiłku spełnia dzieło zemsty, ginąc od niego jak pszczoła umierająca po ukąszeniu, straciwszy własne żądło.

Profesor Spasowicz ze stanowiska etyczno-społecznego sądzi może chwilami Hamleta zbyt ostro, i dlatego téż znakomita jego praca nie podobała się dr. Matlakowskiemu, który tak się przywiązał do ulubionéj postaci, że wyraźnie powiada w jedném miejscu, iż niekorzystne o niéj sądy ból mu sprawiają.

Przedstawia potém autor poglądy krytyków, którzy chcą wyjaśnić zagadkę tragedyi, rozbierając nie charakter Hamleta, ale treść czynu, który on ma spełnić. W téj grupie zatrzymuje się na pracy

Werdera, uważając ją za szczególnie logiczną, owianą zapałem i tchnącą wielkim współczuciem dla bohatera.

Inna grupa krytyków szuka rozplątania zagadki na drodze historyczno-genetycznéj, co daje sposobność autorowi do gruntownego przedstawienia rezultatów krytyki naukowéj i badań nad pierwotnemi tekstami téj tragedyi, drukowanéj jak wiadomo najprzód w r. 1603 w opracowaniu krótszém a następnie w 1604 w formie uzupełnionéj i znacznie rozwiniętéj. Potém zapoznajemy się ze stosunkiem tragedyi Szekspira do opowieści Saxo-Gramatyka, francuskiéj powieści Belleforest'a i niemieckiéj sztuki „Der bestrafte Brudermord" a z tego porównania wynika, że Szekspir biorąc wątek ze źródeł przed nim istniejących, przetworzył treść Hamleta zupełnie samodzielnie, rozwijając zwłaszcza główną postać w sposób całkiem różny od naiwnych kronikarskich opowieści. Mamy potém charakterystykę prac Rümelina-Benedix'a, podnoszącego do przesady zarzut niekonsekwencyi w kreśleniu charakterów,—Becqua, pod wieloma względami oryginalną i dającą sposobność autorowi do wygłoszenia świetnych uwag o złożoności zjawisk psychicznych—daléj Dowdena oraz najbardziéj szczegółową ocenę Baumgart'a, który stanął na wyłącznie estetyczném stanowisku, i sięgnął aż do kanonów estetycznych Arystotelesa. Jestto zaprawdę pomysł godny erudycyi ciężkiego kalibru, aby tłomaczyć dzieło imponujące czysto nowożytnym nadmiarem treści duchowéj, formułami greckiego filozofa, które dzisiaj mogą miéć tylko historyczne znaczenie. Baumgart potrafił jednak dopasować Hamleta do kilku kategoryi Arystotelesowych. Chociaż czytelnik nie podziela radości krytyka wobec rezultatów tego mierzenia tragedyi staro-klasycznym łokciem, ale przynajmniéj znajduje dobrą ocenę i obraz teoryi arystotelesowskich, przedstawianych jednostronnie w oświetleniu późniejszego pseudo klasycznego kodeksu poezyi. Daleko ważniejsze znaczenie w krytyce Baumgart'a ma szczegółowa, pod pewnemi względami trafna analiza sceny po ukazaniu się ducha, będącéj najważniejszym, przełomowym punktem w rozwoju całego charekteru. Baumgart nie tłomaczy pojawienia się ducha halucynacyą, uważa to za środek artystyczny, za „stężenie" sytuacyi życiowéj, w któréj los postawił Hamleta, za skupienie jéj przedmiotowe w formie odpowiadającéj wierzeniom danéj epoki.

Ciekawym jest bardzo rozdział, w którym autor roztrząsa krytyków zastanawiających się nad tém, czy obłęd Hamleta jest rzeczywistym czy udanym. Maudsley słusznie powiada, że przyczyną zachowania się Hamleta, w pewnych wypadkach, jest „nierozdzielne stopienie rzeczywistéj choroby z udaném dziwactwem." Różni krytycy gubią

się tu w dyalektyce i drobiazgach, sam dr. Matlakowski nie formułuje swego zdania pod tym względem dosyć wyraźnie, broniąc tylko Hamleta od zarzutów zwykłego mistyfikatorstwa, które do niczego bohaterowi tragedyi nie były przydatne. Jestto podług mnie głęboko pomyślana subtelność charakterystyki psychologicznéj, że Hamlet nie jest ani waryatem zdecydowanym ani mistyfikatorem przy zdrowych zmysłach. Sam pomysł udawania obłędu nie mógł się wylęgnąć w naturze normalnéj i zdrowéj. Hamlet po scenie z duchem ojcowskim w słowach mętnych, bezładnych, urywanych, daje poznać swym towarzyszom, że „być może wyda mu się stosowném przybrać na siebie pozór dziwacznego i niezwykłego obejścia.” Jestto pierwszy objaw reagowania wobec ciążących nad nim warunków życia. Dlaczego Hamlet ma udawać obłęd, z tego sobie sprawy nie zdaje dosyć jasno. Może to jest rodzaj maski włożonéj umyślnie na twarz, aby w niéj zbójca-stryj nie odczytał zamiarów zemsty i kary? Hamlet wpada na tę myśl, bo nie jest człowiekiem normalnym, zdrowym, ale rozbitym przez smutek, skłonnym do hipokondryi, ponieważ ta udana waryacya w dalszym ciągu służy mu za cięciwę wyrzucającą ostre strzały ironii, na możnych nikczemników i łotrów. Hamlet nie umié się utrzymać w roli szalonego, zbyt często przez powłokę słów bezładnych tryska u niego szczery sarkazm, albo wybucha smutek i ból głęboki. Ta niekonsekwencya w udawaniu obłędu, ta chorobliwość samego pomysłu, to chwilowe przypominanie sobie narzuconéj roli, są to wszystko rysy subtelne i ciekawe, i przedstawione genialnie. Dają one wdzięczny materyał do gry aktorowi, który niekoniecznie powinien (jak tego chciał jeden z naszych recenzentów) wybrać jedno z dwojga: albo obłęd zupełny albo udawanie obłędu, bo wtedy kompozycya nie będzie dosyć jasną. W grze aktorskiéj Hamlet bywa z konieczności dla warunków teatralnych amputowany, okrawany i upraszczany bez miłosierdzia—nie rozumiem jednak dlaczego aktor ma obowiązek pomijać i usuwać najciekawsze i najoryginalniejsze subtelności téj postaci, aby sobie nad niemi filistrzy nie potrzebowali nadto łamać głowy. Obowiązkiem krytyki jest wytłomaczyć takie odcienie charakteru, nie zaś tamować oryginalności wykonawców. Pojęcie Hamleta jako zdecydowanego szaleńca, może być teatralnie bardzo efektowném, ale czyni tę postać zlepkiem niekonsekwencyi i wybryków, jaką jest w świetnéj pod względem techniki, ale bezładnéj i pozbawionéj wszelkiéj logiki grze Mounet'a Sully'ego na scenie komedyi francuskiéj w Paryżu, gdzie tragedya ta w haniebnéj przeróbce, przedstawiana jest bez najmniejszego zrozumienia charakteru poezyi szekspirowskiéj we wszystkich rolach. Przedstawienie królewicza jako psychopaty, arty-

stycznie fantazyującego z obłędem, a jednocześnie jako człowieka w chwilach nerwowych podrażnień, dochodzącego do szalonego rozstroju, który leży niemal na granicy obłędu, oto jest podług mnie zadanie dla aktora zgodne z intencyami poety i nieujęte w zwykłe ramy szablonu, który rozpanoszył się nieznośnie w sztuce scenicznéj.

Z ostatnich studyów nad Hamletem podnosi Matlakowski znaczenie wybornéj, podług niego, pracy Türck'a, który stara się zbijać poglądy Goethe'go, przyznaje królewiczowi bezwzględną „siłę czynu" widoczną np. w śmiałém kroczeniu za widmem ojca, w śmiechu po zniknięciu ducha, który z pod ziemi głosem grobowym każe przysięgać towarzyszom królewicza, że będą milczeli—daléj w samowładczém traktowaniu przezeń Poloniusza, Rozenkranca, Gildensterna a nawet matki podczas wielkiéj sceny po teatrze scenicznym. Türck podaje bardzo trafną charakterystykę ludzi energicznych, tylko tłómaczy mniemaną energię Hamleta w sposób naciągany. Ów śmiéch wywołany odgłosem ducha nie jest objawem energii, ale szalonego rozstroju, w téj scenie, w któréj całe istnienie duchowe bohatera trzeszczy i chwieje się w wiązaniach swoich, pod uderzeniem strasznego ciosu, w któréj przy końcu rozłamany, rozbity, wyczerpany, wygłasza żal że musi borykać się ze światem „który wyszedł z wiązania." Postępowanie z dworakami nie jest objawem energii ale arcy-mistrzowskim koncertem pańskiéj ironii — a w scenie z matką, Hamlet daje ujście oburzeniu i goryczy w potoku słów z tą fantazyą oratorską, która stanowi jedną z cech jego złożonéj bardzo umysłowości. Pomijam inne strony krytyki Türck'a, która widocznie wywarła duży wpływ na Matlakowskiego, pomijam ocenę pracy Gelbera zamykającą tę część książki, opracowaną z niezmierném zamiłowaniem. Autor przeprowadził krytykę krytyki, w ten sposób, aby utorować drogę własnym poglądom. Pomimo to czytelnik może powziąć wcale jasne pojęcie o całej gałęzi badań literackich, ponieważ streszczone są przedmiotowo punkty najgłówniejsze, i przytoczone poglądy krytyków dosłownie i wiernie.

Z czytania całéj téj części książki, chociaż specyalnie mnie ten przedmiot zajmował, nie mogę powiedzieć abym odniósł wybitną korzyść umysłową. Praca komentatorów po większéj części wydaje mi się jałową, gubi się w wywodach pretensyonalnych, przybiéra charakter apologetyczny, stara się nietylko wyjaśnić, ale przedstawić postać Hamleta w korzystniejszém świetle, dlatego też fałszywie tłómaczy czasem wyraźne wskazówki tekstu, oślepiona gieniuszem Szekspira nie zachowuje wobec niego dosyć samodzielności. To się stosuje zwłaszcza do komentatorów, mających niby najważniejsze znaczenie w tak zwanéj „hamletologii." Do dziś dnia krytyka niemiecka nie może

się widocznie wyzwolić od szekspiromanii, przeciwko któréj Benedix protestował płytko i niedorzecznie, chcąc obniżyć wartość gieniuszu poety, któremu niebył wart rozwiązać rzemyka u obuwia. Z wyjątkiem kilku silnych punktów analizy, którą wskazałem uprzednio, brnąłem bez przyjemności przez te gęstwiny i manowce, po których autor prowadzi czytelnika z wielką znajomością przedmiotu, w sposób wolny od pedanteryi i szkolarstwa, roztaczając powaby języka, zwłaszcza w tych najciekawszych ustępach, gdy zbacza w sferę ogólniejszych zagadnień życiowych i filozoficznych. Może dla tego, że krytyka Spasowicza trafiła mi najzupełniéj do przekonania, że w długiém a bezpośredniem obcowaniu z dziełem poety, doszedłem do szeregu dość jasno określonych opinii—nie mogli mi przemówić do przekonania komentatorowie, którzy zboczyli z drogi wskazanéj przez Göthe'go, zapomniawszy o dobréj metodzie krytyki. O ile bowiem cenną jest naukowa, historyczno-filologiczna egezegeza tekstu, o ile rozjaśniają szczegóły dzieła poety prace krytyki fachowéj, o tyle jałowém jest gadulstwo komentatorów snujących wywody dowolne a nieoparte logicznie na tekście. Dość przeczytać np. krytykę Gervinusa o przyczynach miłości Desdemony do Otella, gdzie ten fakt budzenia się instynktów i uczuć elementarnych objaśniony został w szerokim wywodzie za pomocą szeregu przyczyn społeczno-politycznych—aby się przekonać do jakiego bałamuctwa prowadzić może chęć tłómaczenia wyszukanego, w rzeczy najprostszych, która jest jedną z głównych cech wielu komentatorów Szekspira. Zapominają oni także, jak to jednemu z nich słusznie wytyka Matlakowski, że postaci poetycznéj nie można traktować tak ściśle jak gdyby była rzeczywistą, że faktu literackiego nie trzeba tak sądzić jak gdyby był faktem biologicznym. Dlatego też te obszerne zaciekania się, tłómaczenia, analizy przerafinowane nie przynoszą wielkiego pożytku. Sam Hamlet nie wyskoczył odrazu jak Minerwa z głowy poety — urabiał on, rozwijał, uzupełniał tę postać, nawet przeładował ją bogactwem rysów, z których kilka widocznie nie godzi się ze sobą, pomimo wszelkiéj obrony komentatorów. Chcąc wyjaśnić duchowe oblicze postaci poetycznych, wytłomaczyć każdy ich rys, każdą fałdę, zmarszczkę, komentatorowie zapominają, że urokiem dzieł poezyi jest coś „niedopowiedzianego”, jakiś pierwiastek nieujęty, niepochwytny, który podnieca pracę wyobraźni czytelnika i potęguje siłę suggestyjną utworu.

Dlatego właśnie, że Hamlet jest taki zagadkowy nawet dla samego siebie — jak słusznie twierdzi Matlakowski—ma on wielki urok zarówno dla inteligentnego czytelnika, jak i dla widza w teatrze. Czy krytyka, zaciekle dążąc do wyjaśnienia wszystkich szczegółów mniéj

jasnych lub niedopowiedzianych, nie postępuje czasem jak dziecko, które zajrzawszy w głąb kielicha kwiatu, zrywa potém wszystkie listki i niszczy całą jego ponętę? O ile piękną i zajmującą bywa krytyka twórcza, pisana z talentem i artyzmem, oświetlająca w nowy sposób dzieła sztuki, o ile płodną i pouczającą krytyka historyczna lub filozoficzna, jak np. Hettnera i Taine'a — o tyle, dla mnie przynajmniéj, jałowém bywa komentatorstwo, rozwałkowywanie kwestyi i przedmiotów już objaśnionych, fabrykowanie poglądów pretensyonalnych, pogoń za sztuczną oryginalnością i popisy czczéj erudycyi. Taka krytyka nie jest pracą objaśniającą nowe zjawisko literackie lub życiowe, ale robieniem drukowanéj bibuły z bibuły drukowanéj, z któréj się znowu rodzi drukowana bibuła i tak daléj i tak bez końca!...

Na szczęście krytyka samodzielna, którą w ostatniéj części wstępu na stu trzydziestu stronicach rozwinął Matlakowski, nie jest pedantyczna, ani rozwlekła, ale pisana z talentem, barwnością i wielką siłą przekonania. Autor stara się najprzód określić cechy fizyczne i duchowe Hamleta na początku dramatu, kładzie nacisk na jego młodzieńczość, tą dobę przełomową w rozwoju charakteru, w któréj wszystkie składniki ciała i ducha, wszystkie „przyciesie i sosręby cielesnéj i duchowéj organizacyi, są już gotowe... wszelako od pomyślnego przebiegu sprawy kształtowania się i osiadania zrębu, w tym ważnym okresie zależy dalszy ciąg życia." Tém właśnie, że wypadki i nieszczęścia padają na Hamleta w owéj epoce, poprzedzającéj wyraźne urobienie się właściwości duchowych — tłómaczy głównie autor rozłamanie wewnętrzne bohatéra. Nacisk na ten punkt jest niezawodnie oryginalnym rysem krytyki Matlakowskiego, który broni Hamleta od zarzutów dziedziczenia ujemnych właściwości ojca i matki. Ten ustęp daje sposobność do wypowiedzenia samodzielnych poglądów na samą kwestyę dziedziczności. Rzecz prosta jednak, że przykładanie téj kategoryi do utworów poety z epoki odrodzenia, nie ma żadnéj racyi bytu, słusznie też autor wskazuje na kruchość domysłów krytyki w téj mierze.

Pod względem fizycznym Matlakowski wyobraża sobie dowolnie Hamleta jako wytwornego i pięknego młodzieńca, z twarzą rafaeliczną, nie wspominając, że wyraźnie matka w akcie V-ym (scena 2-ga, wiersz 275) nazywa go „tłustym i krótkiego tchu". Dopiéro w przypiskach do V-go aktu przekładu, powiada autor, że pomimo tekstu, on sobie tłustego królewicza wyobrazić nie może. Na scenie aktorowie, grający „Hamleta", starają się dla względów estetycznych ukryć tę własną otyłość, ale wskazówka tekstu jest wyraźna, a łącznie z innemi szczegółami świadczy, że Szekspir nie miał zamiaru wyposażyć księcia

w urodę, ani w postawę rycerską, że pojmował go jako osobistość fizycznie daleką od wymiarów Herkulesa (akt I, sc. II, wiersz 154).

Pod względem umysłowym przyznaje krytyk Hamletowi rysy genialnego „allotropizmu", łączące ze sobą zdolności filozofa i artysty, z odcieniem specyalnego zamiłowania sztuki. Tylko stan pognębienia nie pozwala mu rozwinąć w całéj pełni tych darów, ani zastosować bystrości umysłu do zadań praktycznych. I znowu autor rzuca świetne a bystre poglądy co do właściwości natur niepospolitych i artystycznych wogóle, nie kładąc nacisku jednak na bijącą odrazu w oczy właściwość Hamleta, który lubi nietylko zatapiać się w rozważaniu spraw własnych, który osobiste zagadnienia przetapia w ogólne a głębokie abstrakcye (jak np. w monologu „Być albo niebyć"), ale przy każdéj sposobności, nawet oczekując na zjawienie się ducha, wygłasza szeroko sentencye i poglądy. Ma racyę Matlakowski, nie chcąc uznać przerostu refleksyi królewicza za j e d y n ą przyczynę jego braku działania, ale zamyka oczy na oczywistość twierdząc, że Hamlet wolny jest od takiego nadmiaru myślenia. Sam królewicz, robiąc ze sobą szczery choć zbyt ostry rachunek, mówi o swym „lękliwym skrupule myślenia zbyt ścisłego o wyniku", mówi „o myśli, która poćwiartowana zawiéra jedną część tylko mądrośći, a zawsze trzy części tchórzowstwa" (akt IV, scena 4, wiersze 41—43). Ta cecha usposobienia Hamleta widoczną jest we wszystkich jego monologach — właśnie specyalny rodzaj refleksyi, przepojonéj goryczą, rozwijającéj się na tle tęsknoty bezbrzeżnéj, sprawia, że Hamlet stał się postacią dzisiejszą, że przyjęła go za syna epoka, w któréj myślenie głębokie staje się tak często zadumą nad „bólem świata".

Że Matlakowski razem z Herderem, Minto'em, Ulricim i Türckiem powziął przekonanie o „potędze czynu" w Hamlecie, to jest dowodem, jak może krytyka pod wpływem zgóry powziętych intencyi dojść do wyników wprost przeciwnych n a j w y r a ź n i e j s z y m w s k a z ó w k o m t e k s t u, pojmowanego nie powierzchownie, ale w swéj głębszéj treści myślowéj. Hamlet dlatego ma mieć potęgę czynu, ponieważ mężny jest w bitwie morskiéj, wskakuje na okręt nieprzyjacielski, że na cmentarzu występuje spokojnie (?) z ukrycia, wobec Laertesa w akcie ostatnim zachowuje godność i daje mu po męsku dostojną satysfakcyę, że nie zna trwogi—w scenie z duchem, wyrywa się śmiało z rąk przyjaciół z podąża za widmem, że urządza widowisko z zabójstwem Gonzagi i manewr z listami podczas podróży, mający zgubić i ukarać parę fałszywych przyjaciół. Argumenty te dowodzą, że Hamlet jest odważnym, że nie jest tchórzem, jak się sam o to oskarża w zbytniém rozgoryczeniu. To, że idzie śmiało za duchem, jest wy-

nikiem napięcia wyobraźni i siły niezwykłego wrażenia, która działa tu niemal hypnotycznie. Do wystąpienia na cmentarzu nie potrzebował nawet odwagi, bo nie przyszedł tam, aby się ukryć, ale dogadzając swéj mizantropii, która chciała się lubować ciszą grobów, skąpać w atmosferze śmierci. Twierdzę to dlatego, że w dramacie nie ma żadnéj widocznéj przyczyny, dla któréj Hamlet zjawił się w mieście umarłych, nie wiedząc jeszcze o pogrzebie Ofelii — więc odpowiadało to jego smętnemu usposobieniu. Zachowanie się jego w bitwie morskiéj dowodzi istotnie odwagi, a podstęp z listami świadczy o przebiegłości, z któréj się cieszy jak człowiek zręczny, umiejący nietylko uniknąć wilczego dołu, ale zapędzić do niego wrogów.

Ale przecież to wszystko nie może dowodzić potęgi czynu. Owszem, Hamlet, jak sam tekst najwyraźniéj wskazuje, jest naturą nawskroś b i e r n ą. To prawda, że znalazł się w niesłychanie trudnych warunkach, że przeciwko obowiązkowi zemsty, który ciągle brzmi u niego na ustach, buntuje się nieświadomie jego wytworna i szlachetna natura. To prawda, stokroć prawda, że on nie jest tchórzem, ani rozmiękłym w nałogu myślenia limfatykiem lub niedołęgą, że bezczynność jego — jak chce Matlakowski — wypływa zarówno z okoliczności zewnętrznych, gniotących go nielitościwie, jak i z rozłamania duchowego. Ale Hamlet, według mnie, jest usposobienia mieszanego, temperamentu melancholiczno-nerwowego i dlatego przeskakuje od chwil zadumy, rozmyślań, od nastrojów tęsknych i stanów przygnębienia, do wybuchów i podrażnień gwałtownych, graniczących z szałem. Nadmiar wrażliwości, właściwy naturom wytwornym i artystycznym, oraz teoretyczne skłonności umysłu czynią go człowiekiem bez inicyatywy, działającym pod wrażeniem chwili. Wmawiając w siebie, że zemsta jest jego obowiązkiem, Hamlet nie ma pojęcia jak ją wykonać. Jeśli zaś nie chce się mścić, to nie ma żadnego obmyślanego planu, jak należy postępować w danéj sytuacyi, niesłychanie groźnéj, aby ocalić siebie i spełnić wymiar sprawiedliwości. Nie myśli po prostu o tém, marzy, narzeka fantazyjnie—i dopiéro pod wpływem silnych p o d r a ż n i e ń z e w n ę t r z n y c h zdobywa się na pomysł przedstawienia teatralnego. Aktor, zalany łzami sztucznemi, pobudza „do dzieła mózg jego" (Akt II, scena 2, wiersz 565), nie zaś wolę, wywołuje pomysł grania teatru z dopisaną sceną, która ma nietylko rozjaśnić wątpliwości, ale dogodzić artystycznym fantazyom królewicza. Po udanéj próbie, podczas wybuchu szalonéj radości mówi, że mu ten podstęp powinien zjednać „tytuł towarzysza w jakiéj gromadzie aktorów" (Akt III, scena 2, wiersz 263—5).

Jest to właśnie przedziwnie obmyślaną właściwością jego charakteru, że tylko podniecony, tylko w chwilach oporu, wydobywa z siebie energię nierówną, gorączkową. Ludzie, odznaczający się potęgą czynu, czerpią tę potęgę z wnętrza, mają energię trwałą, inicyatywę, umieją zdobyć się na plan działania, albo powoli korzystać z nadarzających się okoliczności. Takich przymiotów Hamlet nie posiada. Gnieciony brzemieniem niedoli, nie stara się go pozbyć, ale lubuje się w cierpieniu. Grając rolę waryata, zdradza się przed królem, który domyśla się, że z jego „melancholii może wylęgnąć się coś niebezpiecznego" (Akt III, scena 1, w. 166, 7). Po scenie teatru, która jest jedynym krokiem samodzielnym, wykonanym bez nacisku okoliczności zewnętrznych, idzie do matki nie z własnéj chęci, ale ponieważ ona do siebie go wezwała. Spotyka po drodze modlącego się króla przypadkiem i nie zabija go, mając mimowolny wstręt do mordu skrytego. Zresztą, jest w téj chwili rozpędzony w innym kierunku, myśli o tém, jak królowę będzie smagał słowami, chowa broń do pochwy, bo przedtém sobie powiedział, że „przemówi sztyletami do matki, ale nie użyje żadnego" (Akt III, scena 2, w. 379). Gdy go naciérają nikczemni przyjaciele, umié dać im wspaniale ironiczną odprawę w scenie z fletem, ale robi to znowu pod naciskiem. Podczas sceny z matką zabija Poloniusza przypadkiem, podrażniony jego nagłym wykrzykiem z kryjówki. Potém daje się wywieść najspokojniéj do Anglii, bez żadnego protestu, broni się na statku, bo został napadnięty; wymyśla podstęp z listami także na swoją obronę, występuje na cmentarzu z hałaśliwemi objawami smutku, bo znowu był podrażniony, „bo wystawność żalu Laertesa wprawiła go w krańcową pasyę" (Akt V, scena II, wiersze 79, 80). Tak samo staje do pojedynku, bo jest wciągnięty, odnosi ranę i zabija króla w ostatniéj chwili, gdy wstrząsnęła go śmierć matki, oraz wyznanie Laertesa, odkrywającego łotrowski podstęp stryja.

Jedném słowem, od początku do końca Hamleta cechuje bierność, postępowanie przypadkowe, będące owocem chwili, skutkiem podrażnienia lub okoliczności zewnętrznych. Chociaż odkrycie listów, z któremi eskortowali go do Anglii Rosenkranz i Gildenstern, powinno go dostatecznie oświecić, że król czyha na jego zgubę; Hamlet napróżno chłosta się wyrzutami, napróżno przedstawia sobie, że życie ludzkie jest drobiazgiem, napróżno twierdzi, że zemsta nad Klaudyuszem „jest najdoskonalszém sumieniem" (Akt V, scena II, w. 66)—nic jednak nie działa nawet dla własnéj obrony, poddaje się smutnym przeczuciom. Na tém właśnie polega tragizm losów tego nieszczęsnego człowieka, że znalazł się wśród burzy i zamętu w otoczeniu ludzi lichych lub nikczemnych, że wspaniałe przymioty inteligencyi i szlachetnego charak-

teru nic mu nie pomagają, że pomimo nich nie jest w stanie podjąć walki z brudem i nędzą życia, że wicher losu miota nim jakby wierzbą na pustkowiu, że w jego szlachetne czoło grom po gromie uderza.

Zastanowiłem się bliżéj nad tą kwestyą, aby dotykalniéj dowieść poprzednio wyrażonego twierdzenia, jak dalece pewien odłam krytyki, chcąc wyidealizować fałszywie postać królewicza, opiéra się na przesłankach niezgodnych z tekstem poety, który zresztą nie znał sentymentalnego współczucia dla swych bohatérów, nie stwarzał ideałów fałszywych, ale skupiał w tragedyach rysy ludzkiéj natury i działanie praw życia.

Bardzo pięknie charaktyzuje Matlakowski rodzaj inteligencyi Hamleta, jego determinizm, wiarę w nieśmiertelność duszy oraz czysty deizm, będące potrzebą wewnętrzną dusz szlachetnych a uczuciowych. Głębokie są uwagi o stosunku poety do prądów religijnych jego epoki i o stosunku działań człowieka do wyższéj prawidłowości świata.

W ocenie moralnéj wartości Hamleta, Matlakowski nie zgadza się na stopniowe obniżenie jego duszy. Twierdzi on słusznie, że królewicz jest naturą szlachetną, że ma wielki zapał do cnoty, miłość dla prawdy, że jest ludzki, serdeczny dla przyjaciół, przejęty głęboką czcią dla pamięci ojca. Jednakże Szekspir, jak sądzę, bardzo trafnie od początku ukazał w nim także parę mniéj szlachetnych rysów, a mianowicie pewien egoizm, właściwy niekiedy naturom artystycznym i złośliwość nietylko wobec ludzi, któremi pogardza, ale nawet wobec Ofelii, z którą postępuje brutalnie i bezwzględnie, zanim się przekonał o jéj wspólnictwie z wrogami. Jest to cechą fantastyków melancholicznych i psychopatów wogóle, że bywają okrutni wobec kobiét, które przestali kochać. Egoistyczne zasklepienie się w jednéj myśli, w jedném cierpieniu, sprawia, że w miarę rozwoju tragedyi charakter królewicza istotnie się paczy i gorzknie.

Matlakowski powiada, że Szekspir w nim, jak w innych swoich bohatérach, dał człowieka natury i przedstawił jego działanie jako wypadkową reakcyę téj natury na pobudki zewnętrzne, bez udziału nakazów, praw i przepisów moralności. To prawda, ale psychicznie samo działanie trwałego bólu, wielkich nieszczęść, szamotanie się ciągłe duszy między obowiązkiem zemsty a nieświadomym do niéj wstrętem, nareszcie cały szereg wrażeń wstrząsających, z konieczności musiały działać ujemnie na jego ustrój moralny. Szekspir jest wielkim mistrzem w malowaniu stopniowego zatrucia duszy ludzkiéj, albo zerwania jéj równowagi pod wpływem namiętności, jak np. w Otellu, Makbecie lub Romeu. W Hamlecie dał obraz rozprzężenia duszy innego rodzaju, niemniéj jednak głęboki i gienialnie odczuty. W miarę ro-

zwoju dramatu królewicz staje się coraz bardziéj ponurym. W ostatnich aktach hipokondrya jego rośnie, w scenie na cmentarzu widzi tylko posępną stronę życia natury ludzkiéj. Nienawiść dla stryja przytępiła w nim delikatne uczucia, dlatego przed sceną teatru kłuje Ofelię sprośnemi żartami,—a po zabiciu Poloniusza ma dla niego tylko słowa nielitościwéj pogardy. Cieszy się wreszcie, gdy zręcznie utorował drogę na tamten świat swym koleżkom. Działając w swojéj obronie, Hamlet wtedy poszedł za daleko. Sfałszował listy grożące mu śmiercią i dodał do tego niepotrzebne okrucieństwo wobec Rosenkranza i Gildensterna. Są to figury płaskie i służalcze, ale nie zbrodnicze. Wioząc księcia do Anglii, spełniają tylko wolę króla, mają zapieczętowane papiéry, o których łotrowskiéj treści nie wiedzą (Akt III, sc. 3, w. 26, 7 — Akt IV, sc. 3, w. 55, 6). Hamlet podejrzywa ich o złe intencye, ale nie ma żadnéj podstawy mniemać, że są spólnikami króla w zamiarach morderstwa, a więc nie ma zasady zgotować im śmierci. W wyborze środków obrony okazuje się złośliwie przebiegłym i nieszlachetnym. Takich rysów żadna apologetyczna krytyka nie może wyjaśnić korzystnie dla charakteru księcia. Zapewne, że Hamlet nie spada tak nisko, jak chcą niektórzy krytycy, porównywający go ze stryjaszkiem—ale to właśnie należy do mistrzowskich szczegółów charakterystyki, że poeta uwydatnił przyćmienie się i stępienie jego szlachetnych przymiotów w niedoli.

Przy téj sposobności zaznaczę jeden ważny bardzo rys, niedosyć uwzględniony przez krytykę, to jest arystokratyczność natury Hamleta, która każe mu lekceważyć dworaków, mieć pewną pogardę dla pospolitych gustów tłumu (Akt II, scena 2, w. 418), lub dla niskich istot, narażających się potężnym przeciwnikom (Akt V, scena 2, w. 60 — 62). Pomimo łaskawości Hamleta dla Horatia i jego towarzyszy, łatwo dopatrzéć różnicę jego postępowania z tym przyjacielem a oficerami straży (Akt I, sc. 2, w. 165, 6); daléj jego wyrafinowaną pańskość wobec Poloniusza, Rosenkranza i Gildensterna, oraz ironiczne zachowanie etykiety dworskiéj (Akt II, sc. 2, w. 353 — 5). Tylko dumą arystokratyczną dają się objaśnić pełne lekceważenia słowa, skierowane do Laertesa na końcu sceny cmentarnéj: „Ale mniejsza o to, niech sam Herkules czyni co może, zawsze kot będzie miauczyć, a pies miéć dni swoje” (Akt V, sc. 1, w. 279 — 84). Aktorzy dla efektu robią często inne zakończenie téj sceny, padają na grób Ofelii z płaczem—ale to wyraźnie sprzeciwia się rysom wskazanym przez poetę, który Hamleta przedstawił w téj scenie działającego z rozdrażnieniem, wybuchającego na złość Laertesowi w przesadnych frazesach. Wogóle wykonawcy niedosyć uwydatniają podwójny arystokratyzm królewicza: społeczny

i umysłowy. Ze znanych mi Hamletów stosunkowo najwięcéj pańskim był w téj roli Rossi, który przerobił zupełnie postać Szekspirowską w sposób bardzo piękny, ale uczuciowo romantyczny. Zamało pańskości ma Mounet-Sully w Paryżu, Robert w „Burgu" wiedeńskim, oraz świetny w innych rolach Kainz w Berlinie, którego Hamlet jest płaczącym histerykiem i łzy chustką ciągle obciéra.

A jednak arystokratyzm jest podług mnie bardzo ważnym odcieniem charakteru, oraz środkiem nadania figurze realnéj barwy i harmonii artystycznéj, zwłaszcza dla aktorów grających tę rolę na tle nerwowém, nie sentymentalném i chcących nadać jéj rozmaitość bez obcinania pewnych miejsc tekstu, w których Hamlet robi gwałtowne i dziwaczne przeskoki.

Trudno mi zrozumiéć, dlaczego Matlakowski twierdzi, że Hamlet nie jest wielomównym (wstępu str. CCCLI), kiedy ta właśnie cecha rezonera, uczonego i artysty odróżnia go od innych bohatérów tragicznych. Poeta, według krytyka, musiał mówić długo, bo innego sposobu nie miał, chcąc odmalować wszystkie „drgania i przegięcia się duchowe"—ale dlaczego Hamletowi kazał tak pięknie rozprawiać o nędzy i skażeniu świata, o zadaniu sztuki teatralnéj, popisywać się w scenie z Osrykiem, ironią i konceptami. W scenie przed teatrem Hamlet po wynurzeniach przyjaźni dla Horatia, sam się oryentuje, że jest gadatliwym, mówiąc: cokolwiek tego zadużo (Akt III, sc. 2, w. 69). Tę wyraźną wielomówność, oraz równie wyraźną skłonność do zatapiania się w zadumie, uważano za jedne z przyczyn osłabienia energii czynnéj Hamleta. Ludzie gadatliwi i marzyciele nie bywają mocni w działaniu. Ludzi czynu cechuje raczéj skupienie w słowach, albowiem uczucia i popędy wyładowując się w mowie na zewnątrz, tracą już przez to samo część swego napięcia i nie pobudzają tak silnie „psychomotorycznéj sfery" we wnętrzu ludzkiém, według określenia dzisiejszéj nauki. O wielomówności świadczy zresztą sama objętość roli Hamleta, która pomimo wyrzucenia słynnego monologu z aktu IV-go i obcięcia innych scen, ma 20 arkuszy pisma teatralnego — jest dwa razy większą prawie od ról Romea, Otella, Makbeta i Lear'a — a w repertuarze współczesnym znam tylko jedną większą w „Półświatku" Dumas'a (syna) rolę Oliviera de Jalin, mającą 23 arkusze.

Rozejrzawszy wszystkie składniki charakteru królewicza, Matlakowski dochodzi do następującéj konkluzyi: „wielka i bogata wrażliwość, genialna inteligencya i wrodzone zadatki wysokiéj energii (?), pierwiastki duchowe ustosunkowane proporcyonalnie (?), lecz w okresie przełomowym dojrzewania młodzieńca idealnie ukształtowanego, w związku z zadaniem wyjątkowo trudném, przypadłém w czasie prze-

mijającego osłabienia, będącego następstwem ciężkiego ciosu, w zupełności wyjaśniają uczucia, postępki i zachowanie się Hamleta wogóle, a osobliwe obejście się z włożonym obowiązkiem w szczególności: zagadka dramatu zdaje mi się rozwiązaną, a charakter bohatéra zamiast rozpaść się pod działaniem krytyki na niespajalne różnorodne czynniki, wychodzi tém wspanialszy, doskonale jednolity, tylko niesłychanie bogaty i zawiły...” (wstępu str. CCCXLVIII). Z wyjątkiem punktów zaznaczonych pytajnikami, można się pisać na tę opinię krytyka, zresztą nie jest to nowe rozwiązanie zagadki, ale modyfikacya szczegółowa poglądów tkwiących w określeniu Göthego, który, odmawiając tylko Hamletowi „siły zmysłowéj”, widzi jasno wysokie jego przymioty umysłowe, oraz intelektualne. Matlakowski, idąc za odłamem krytyki upiększającéj postać Hamleta, przeczy opinii Göthe'go, że królewicz nie dorósł do czynu, starając się dowiéść, że nie jest on niezdolnym, aby podołać zadaniu, ale do tego nieodpowiednim. Właściwie mówiąc, Göthe w dalszém rozwinięciu poglądów swoich twierdzi prawie to samo: „że żądano od Hamleta rzeczy niemożliwéj, nie niemożliwéj saméj w sobie, ale takiéj, która dla niego jest niemożliwą.”

Z tego, co powiedziałem wyżéj, jasném jest, że Hamlet chociaż świadomie uznaje potrzebę działania, nie jest w stanie działać celowo choćby tylko dla własnego dobra, że nie dorósł do sytuacyi praktycznéj, pomimo swych wysokich przymiotów duchowych, co zresztą mu ujmy nie przynosi i niepotrzebnie rani serca jego obrońców. Dla pokonania trudności, które się piętrzą koło niego, potrzebaby polityka ze sprytem machiawelskim, spiskowca, któryby potrafił urządzić rewolucyę pałacową. Żaden artysta, myśliciel, a témbardziéj rozbity bólem, strawiony tęsknotą marzyciel i psychopata, nie poradziłby sobie tak samo i nie wyszedł zwycięsko w borykaniu się z losem i potężnymi wrogami.

W losach Hamleta, według mnie, poeta przedstawił przeciwieństwo natury duchowo bogatéj i szlachetnéj z otoczeniem najbliższém, wśród którego panoszy się zbrodnia i króluje lichota moralna. Gdy myślę o przyczynach słabości praktycznéj księcia, przypominam sobie anegdotę o pewnym góralu tatrzańskim, którą mi opowiadał Sienkiewicz. Było to przed kilkoma laty podczas jednego z głośnych procesów o zamordowanie księdza w Kukizowie. Podejrzenie zbrodni, obalone potém przez proces, padało na rodzinę szlachecką. Otóż ów góral z chytrym uśmiechem twierdził, że oskarżeni brali się nie do swoich rzeczy, że to nie była robota „dla pańskich rąk”. Trzeba było wziąć jakiego górala, toby „skutecznie ciupagą księdza dokonał”. Hamlet

miał za „pańskie ręce", aby mógł się podjąć pracy krwawéj, narzuconéj mu przez widmo rycerza-wojaka, który umiał bić wrogów i zemstę pojmował po rycersku, jako doraźny odwet na karku zbrodniarza.

Wogóle tak zwana „zagadka" Hamletowska, nad którą krytycy niemieccy pocą się i łamią sobie głowy, została, podług mnie, przez Göthego rozwiązaną w zasadzie. Nikt bowiem nie obalił rdzennéj treści jego poglądu na zadanie i charakter tragedyi. Zagadkowemi zostały niektóre strony charakteru i postępki samego bohatéra, a i one ciągle zapewne będą dawać wątek do nowych domysłów, tłómaczeń i komentarzy.

Ustaliwszy naczelny pogląd na naturę bohatéra, Matlakowski dotyka jeszcze kilku szczegółowych kwestyi. Prześlicznie, z wielką subtelnością rozbiéra stosunek królewicza do Ofelii, dowodzi, że Hamlet ją kochał przed rozpoczęciem się akcyi, ale późniéj ból, rozsadzenie duszy przez myśl jedną, wreszcie liche postępki saméj kochanki zatruły to młodzieńcze uczucie. Cały rozbiór i wytłómaczenie dziwacznych postępków księcia przeprowadził autor w sposób jasny, przekonywający z wniknięciem w subtelności uczucia. Ten ustęp pod względem krytycznym jest jednym z trafniejszych w książce i rozjaśnia stronę dramatu, traktowaną przez poetę szkicowo na drugim planie.

Pięknym jest także ustęp ostatni, mieszczący krytykę utworu pod względem estetyczno-literackim. Bez panegiryzmu charakteryzuje tu Matlakowski plan i budowę tragedyi luźniejszą, niż w innych arcydziełach Szekspira, tłómaczy niektóre szczegóły akcyi, wreszcie rozwija głębokie poglądy co do znaczenia woli i przypadku w życiu ludzkiém.

Zapatrzony w postać główną, autor nie poświęcił jednak bliższéj uwagi innym figurom tragedyi. Zasługiwał na to jednak, nie mówiąc o reszcie, choćby taki Poloniusz, postać niezmiernie ciekawa, złożona z licznych odcieni, a jednak wskutek braku wniknięcia w tekst poety, psuta bardzo często na scenie, nawet przez znakomitych wykonawców, np. przez Lewinsky'ego w Burgu, a u nas dawniéj przez Żółkowskiego, który w dziedzinie komiki był może największym aktorem na świecie. Oryginalnym także jest król Klaudyusz, wyborna mieszanina rozumu, sprytu, oraz niskich instynktów, figura, sprowadzana zwykle na scenie do szablonu tak zwanych czarnych charakterów. W téj roli jednak na pierwszy plan wychodził i bił prawie Hamleta, pełen oryginalnego talentu aktor Bonn, przed paroma laty należący do Burgu wiedeńskiego, artysta niesłusznie prześladowany przez żydowską koteryę krytyki tamtejszéj.

Nie znalazłem wśród bystrych uwag o artystycznéj stronie tragedyi wyjaśnienia kwestyi, jaką jest tragiczność Hamleta? Autor widocznie uznał za dostateczne poglądy Baumgarta (streszczone we wstępie na stronicach CLXXVIII i nast.), oparte na poetyce Arystotelesa.

Pozwolę sobie tu podać w skróceniu moją teoryę tragiczności wogóle i w zastosowaniu do „Hamleta” w szczególności, témbardziéj że uważam ją za dopełnienie w tym punkcie pracy prof. Spasowicza, który téj kwestyi wcale nie poruszał.

Podstawą dramatyczności wogóle, jest starcie się działania lub dążeń jednostki z dążeniami innych ludzi, albo ogólnemi warunkami życia jednostkowego i zbiorowego. Tragiczność w nowożytnym dramacie polega, przynajmniéj w wielu wypadkach, na starciu się niepospolitych osobników z porządkiem moralno-społecznym, na najwyższéj sprzeczności między tém, jak bohatér utworu działa, a tém jak dla własnego dobra w związku z ogólnym porządkiem działać powinien. Wzniosłość tragiczna polega na tém, że bohatér reprezentujący w skupieniu jakieś wybitne właściwości natury ludzkiéj, opętany namiętnością lub gnany nadmiarem energii, łamie porządek moralny lub ustrój polityczno-społeczny, popełnia czyny występne lub szalone i sam, według słów Schillera, pada ofiarą „znieważonego porządku świata”. Ten rodzaj nazywano tragicznością czynną. Do niego należą najbardziéj typowe arcydzieła tragedyi: „Makbet”, „Romeo”, „Otello”, „Koriolan”, „Antoniusz i Kleopatra”, „Ryszard III”; z pseudo-klasycznego repertuaru: „Fedra”, „Polyeukt”, „Atalia”; z dzieł poezyi niemieckiéj: „Zbójcy”, „Fiesco”, „Intryga i miłość”, „Don Carlos”; wreszcie cały szereg dzieł pisarzy drugiego i trzeciego rzędu, jak np. „Judyta” Hebbl'a, „Fale morza i miłości” Grillparzer'a, „Hrabia Essex” Laube'go, „Menonita” Wildenbrucha.

W naszéj literaturze cechy tragiczności czynnéj noszą na sobie: „Balladyna”, „Mazepa”, „Popiel i Piast” Romanowskiego, wreszcie nieujęte w formy regularnego dramatu, ale ściśle tragiczne dramaty: „Nieboska komedya” oraz „Irydion”. W nowożytnym dramacie tragiczność czynna polega także czasem na upadku bohatéra, walczącego dla idei, która tryumfuje pomimo tego w dziedzinie idealnéj, jak się to dzieje w „Dziewicy Orleańskiéj” Schillera, a po części w „Urielu Akoście” Gutzkowa.

Inny jest rodzaj tragiczności biernéj, w któréj sprzeczność zasadnicza polega na tém, że bohatér popełnia wielkie błędy, wpływające na zamącenie porządku moralno-społecznego i wskutek

tego znosić musi nadzwyczajne niedole, jak np. „Król Lear" albo „Marya Stuart". W naszéj literaturze te cechy posiada „Lilla Weneda", mająca jednak także cechę tragedyi fatalistycznéj, w któréj ludzie szamocą się z wyrokami przeznaczenia.

Nie mogę tutaj szeroko uzasadniać tych poglądów, ani pisać osobnego rozdziału poetyki. Dodam tylko, że nie wszystkie tragedye nowożytne dadzą się umieścić w dwu głównych kategoryach.

Tragiczność polega często na starciu się uczuć i namiętności z obowiązkiem, na stosunku do światła niezwykłéj jednostki, która chce nadmiernie rozszerzyć treść swoją, jak w „Fauście" Göthe'go, na kontraście pomiędzy ideałem a rzeczywiścią, jak w dramatach Schillera, na ofiarném cierpieniu w imię uczuć szlachetnych, jak w „Safonie" Grillparzer'a, na upadku osobistości, reprezentującéj dawny porządek wobec świtania epoki nowéj, jak w „Kiejstucie" Asnyka, na walce namiętności z powołaniem, jak w „Różach z Tyburnu" Fitger'a lub wreszcie na walce energii psychicznéj z niemocą ciała, jak w „Ludwiku XI-ym" Delavigne'a.

Jedném słowem, najogólniéj można powiedziéć, że podstawą tragedyi jest poezya wszelkiéj niedoli człowieka (i ta definicya da się zastosować także do tragedyi starożytnéj), poezya walki lub cierpienia, w któréj tryumfuje przy końcu moralny porządek świata, jakaś głębsza idea lub wielkie prawo życiowe.

Dlatego téż nie robią wrażenia tragicznego dramaty Wiktora Hugo, pełne tragicznych kolizyi, bo kończą się zwykle jakimś niepogodzonym kontrastem, tryumfem przypadku lub złośliwego losu.

„Hamlet" jako utwór literacki przedstawia typowo rodzaj tragiczności biernéj. Zachodzi tu bardzo świetnie pomyślany kontrast świata zewnętrznego z wewnętrznym, nacisk faktów przedmiotowych na ludzkie *ja*, nie mogące „stawić czoła morzu nędzy". Konieczność potężnie prze do działania — Hamlet się uchyla od téj konieczności, wskutek tego powstaje najwyższa sprzeczność pomiędzy tém jak bohatér działa, a jak dla swego dobra działać powinien.

Z tego punktu widzenia „Hamlet", tragedya *par excellence*, chociaż nie ma gwałtownéj akcyi. Tragiczność taka odpowiada kategoryi win, wynikających z niespełnienia powinności w dziedzinie prawnéj i w sferze etyki, chociaż postępowania Hamleta nie należy mierzyć skalą zwykłych obowiązków, albowiem zadanie, jakie miał spełnić, nie miało znaczenia bezwzględnego nakazu moralności, zawierając w sobie konieczność praktyczną.

Ukończywszy samodzielną krytykę Hamleta, Matlakowski robi treściwy przegląd tłómaczeń polskich, przyznaje słusznie pierwszeństwo pracy Paszkowskiego, która wymaga paru poprawek, ale usuwa zupełnie potrzebę nowych przekładów. Nawiasem mówiąc, tłómacze nasi często niepotrzebnie biorą się do roboty już dobrze zrobionéj, zamiast pracę swą zużytkować dla przyswojenia dzieł literaturze jeszcze nieznanych.

Koniec wstępu miał być tylko uzasadnieniem wartości obcych arcydzieł dla naszego umysłowego rozwoju, a stał się świetną, natchnioną chwilami improwizacyą o znaczeniu cywilizacyjném całéj literatury współczesnéj. Jednym tchem czyta się te dwadzieścia stronic napisanych z ogromnym rozmachem, siłą przekonania, stylem który ma barwność, płynie w szerokich okresach, posiada właściwe sobie oratorskie napięcie, nie gubi się nigdy w nadmiarze obrazowości, jak w poprzednich częściach dzieła. Matlakowski dba o to, aby język jego był szczerze polskim, oryginalnym, nadaje mu piętno męskiéj wyrazistości, posługuje się wyrazami z malowniczéj mowy górali zakopiańskich, oraz niektóremi staropolskiemi, czasami niepotrzebnie jak np. wyraz ł ż a zamiast kłamstwo. W pięknéj formie wypowiada głęboko przemyślane i gorąco odczute poglądy na kapitalne zagadnienia umysłowości i krytyki współczesnéj, protestuje całą siłą moralnego poczucia przeciwko „zaciętemu manchestryzmowi" literatury nowszéj francuskiéj, gani jéj „głuchość na moralne środki poprawy złego." Te piękne, mądre, pełne świéżości i zapału ustępy, powinni czytać dekadenci, smakosze estetyczni obojętni na etyczną i podniosłą stronę sztuki, zwolennicy wyszukanych efektów formy, nastrojów, halucynacyi i majaczeń. Pisał te karty pełne moralnego zdrowia człowiek stojący nad grobem, świadomy swego jutra, a jednak pogodny i pojmujący z wielką godnością powołanie literata. Pisał je nie doktryner, szkolarz ani erudyt zwykłego kalibru, nie publicysta który mierzy dzieła literackie utylitarnym łokciem, nie dziennikarz szafujący tanim morałem albo modnemi dziś liczmanami reakcyi, ale człowiek wielkiéj nauki, niepodległych przekonań, który przyswoił sobie i przetrawił zdobycze najnowszéj myśli filozoficznéj. Téj świetnéj części książki można tylko przyklasnąć!

Dla literatów, badaczy i miłośników Szekspira ogromną ma wartość część ostatnia dzieła t. j. krytyczne wydanie tekstu angielskiego, z przypisami, objaśnieniami, oraz przekładem wiernym, dosłownym, wykonanym nie artystycznie ale naukowo, dającym ścisłe pojęcie o tekście szekspirowskim. Takiego przekładu celniejszych dzieł poety potrzeba nam właśnie jako podstawy do gruntownych studyów języ-

kowych i literackich. Matlakowski dokonał go z sumiennością wielką, objaśnił wszystkie ciemne i wątpliwe miejsca tekstu, uwzględnił najnowsze zdobycze krytyki i egzegezy naukowéj.

Książka jego wydała już literackie potomstwo. Dr. W. Łebiński w ciekawéj broszurze poddał ją krytyce, dołączając do tego samodzielną próbę wyjaśnienia tragedyi jako „nowy przyczynek do Hamletologii." Trafnie twierdzi dr. Ł., że „celem głównym autora (t. j. Matlakowskiego) jest obrona Hamleta, poprawienie jego przez krytykę mocno nadwątlonéj opinii. Matlakowski jest entuzyastą nie tylko szekspirowskim, ale i hamletowskim. Broni on wszędzie nie tylko Hamleta jako sztukę ale téż przedewszystkiém Hamleta, jako typ bohatera i charakter tragiczny" (str. 11).

Pomijam inne punkta, w których dr. Ł. nie zgadza się z poprzednikiem swoim, i przechodzę do głównéj tezy jego broszury, do głównego wyjaśnienia charakteru królewicza oraz naczelnego zamiaru poety. Przyczyną rozstroju bohatera, jego niepokoju, wyczerpania energii, ma być fatalne przeczucie, które od początku do końca przenika nawskróś duszę nieszczęśliwego Hamleta (str. 29). Przeczucie to jest właściwością najgłębszą jego natury, dla niego jest ono wszystkiém: „busolą ducha, wskazówką i hamulcem działania, obroną i ochroną od wszystkiego złego, a ostatecznie prowadzi do tragicznéj zguby". „Przeczucie to odsłania mu jeszcze przed objawieniem widma zbrodnię króla i matki"—odsłania, że go szpieguje kochanka, szpiegują przyjaciele. Gdy porwany namiętnością przebija Poloniusza zamiast króla, albo w szermierce z Laertesem pada w pułapkę—odzywa się to przeczucie ale daremnie—Hamlet nie usłuchał tego wewnętrznego głosu, aby nie uchodzić za tchórza i dlatego ginie (str. 31).

Według mego zdania, pogląd ten nie da się usprawiedliwić na podstawie tekstu przynajmniéj w całéj rozciągłości. Hamlet istotnie jest naturą wrażliwą, subtelną i przeczuciową. Gdy się dowiaduje z ust ducha, że morderca nosi teraz jego koronę, woła: O prorocza duszo moja, stryj! (Akt V sc. 5 w. 40). W scenie przed zjawieniem się aktorów, oraz w scenie z matką przed wyjazdem do Anglii, wyraża nieufność wobec koleżków, których i podejrzywa o łotrostwo i myśli z rozkoszą o pomieszaniu im szyków (Akt III sc. 4 w. 202—210). Nareszcie przed sceną pojedynku mówi o jakimś „rodzaju przeczucia, jakiby zmieszał może kobietę" (Akt V sc. 2 w. 203, 4). Potém wpada zaraz w rodzaj apatyi i fatalizmu, który jest ostatnim objawem wyczerpania duchowego po tylu przejściach. Nie ma jednakże wskazówek żeby Hamlet przeczuwał podstęp kochanki, a już wyraźnie go zawiodło przeczucie, co przyznaje i dr. Łebiński, gdy topił szpadę w cie-

le Poloniusza ukrytego za kotarą. Hamlet zresztą zajmuje krytyczne stanowisko wobec tych przeczuć a nawet wobec wyraźnych oświadczeń ducha, i sprawdza je za pomocą przedstawienia teatralnego. Dr. Łebiński wykazuje, że obok Hamleta i król Klaudyusz miał takie przeczucia, ale są one, jak sądzę, naturalnym wynikiem niepokoju sumienia i nieufności wobec księcia, którego smutek oraz udane szaleństwo aż nadto sprawdzają podejrzenia stryja.

Nie mogę się zgodzić na to, żeby ten szczegółowy motyw psychiczny uważać za naczelną cechę tragedyi, za klucz objaśniający jéj wszystkie ciemne strony. Oryginalną niewątpliwie stroną krytyki dr. Łebińskiego, jest położenie nacisku na ten składnik bogatego charakteru. Nadawać jednak „Hamletowi" znaczenie tragedyi przeczuć, to znaczy opiérać ją na podkładzie mistyczno-dekadenckim, sprowadzić Szekspira na poziom Maeterlincka. Twórca Hamleta był wielkim obserwatorem i dla tego mógł dostrzédz bardzo specyalne i wyjątkowe cechy duszy ludzkiéj, ale był zbyt wielkim poetą, aby na takich cechach mógł opiérać jedno ze swych największych arcydzieł—on, jeden z najgenialniejszych malarzy wiekuiście trwałych stron ludzkiego wnętrza.

W ostatniéj części swéj broszury dr. Łebiński zajął się wpływem, jaki postać Hamleta wywarła w literaturze naszéj, przyznając specyalnie pracy prof. Spasowicza wielkie znaczenie. Pod jéj natchnieniem Sienkiewicz wedle d-ra Ł., tworzył pewne rysy Płoszowskiego, który rozkoszuje się Hamletem, i dziwi się jakim sposobem Anglik XVII-go wieku mógł przeczuć wielkie psychozy dzisiejsze. Nie będę tu bliżéj rozstrząsał tych przypuszczeń — zaznaczam tylko, że dr. Łebiński wobec dzieła Matlakowskiego, zajął stanowisko bezstronne, podyktowane widoczną znajomością przedmiotu, a różniące się od braku krytycyzmu, widocznego w innych ocenach.

Starałem się dowiéść dlaczego nie mogę się zgodzić z Matlakowskim na wielu punktach, dlaczego uważam jego stanowisko apologetyczne wobec Hamleta, mówiąc szczerze, za niewłaściwe dla naukowéj krytyki. Mógłbym to jeszcze poprzéć oceną wielu szczegółowych sądów i zapatrywań, ale rozszerzyłbym nad miarę objętość tego szkicu, bez korzyści dla czytelników.

Mimo to, przyznaję z całą skwapliwością, że Matlakowski wystąpił z wyjątkowo wielkim u nas zasobem faktycznéj wiedzy w zakresie swego przedmiotu i opracował go z niesłychanym pietyzmem. Chociaż z góry powzięta sympatya dla bohatera, zwichnęła co najmniéj w połowie krytyczną część pracy — jest ona mimo to jedną z książek naj-

piękniéj napisanych, najsilniéj odczutych i najgłębiéj przemyślanych, zwłaszcza na kartach, które mają z głównym wątkiem związek pośredni.

Czytelnik znajdzie tu mnóstwo treści pożywnéj, mnóstwo filozoficznych a bystrych spojrzeń w głębie tajne życia i duszy ludzkiéj, potrąceń i uwag, które pobudzą do samodzielnéj pracy myśli. A nadewszystko przemówi do niego szlachetny, głęboko prawy i zapalny chachakter pisarza, przemówi wytrwała w cierpieniu, wierna swym ideałom, czynna do ostatniego tchnienia, piękna i podniosła jego dusza.

Józef Kotarbiński.



ADOLF PAWIŃSKI.

W roku 1867-ym pojawiła się w Berlinie niewielka objętością praca o początkach urzędu radzieckiego w gminach miejskich północnych i środkowych Włoch w XI i XII stuleciu [1]. Na kartce tytułowéj podpisane było nazwisko nieznanego dotąd w literaturze naszéj autora — Adolfa Pawińskiego. Była to dysertacya doktorska, przygotowana w słynném swojego czasu seminaryum historyczném Waitza w Getyndze, świadcząca dobrze zarówno o uzdolnieniu ucznia, jako też o dodatnim wpływie profesora: była naprzód po niemiecku gruntowną, wyczerpywała dokładnie materyał źródłowy, przerobiła go sumiennie, ściśle a ostrożnie; co większa, przynosiła nowy pogląd historyczny, wykazując, że w gminach miejskich włoskich urząd radziecki (konsulat) nie powstał z urzędu ławniczego (skabinatu), ale miał początek zgoła odrębny. Probierzem wartości tego poglądu jest okoliczność, że się przyjął odrazu w nauce historycznéj i po dziś dzień zachował w niéj prawo obywatelstwa.

Takim był pierwszy występ młodego, podówczas dwudziesto-siedmioletniego pisarza (ur. r. 1840 w Zgierzu) w świecie naukowym. Czy w obranym zawodzie wytrwa, a jeśli wytrwa, czém się zasłuży dla nauki, któż mógł wtedy przewidzieć? Wiadomo, że w tysiącznych

---

[1]) „Zur Entstehungsgeschichte des Consulats in den Communen Nord- und Mittelitaliens im XI und XII Jahrhundert." Berlin (Göttingen), 1867.

wypadkach podpis autorski na rozprawach doktorskich bywa nietylko pierwszym, ale i—ostatnim. Najczęściéj dzieje się to bez szkody dla nauki; czasem wszelako żałować przecież trzeba, że młoda siła, która się w téj pracy zapowiada dobrze, po któréj można się było spodziéwać dalszego cennego współpracownictwa około postępu wiedzy, na téj pierwszéj próbie poprzestała i niczego już daléj dla nauki nie zdziałała. Spotykaliśmy się i spotykamy na owych niemieckich dysertacyach doktorskich niejednokrotnie z nazwiskami polskiemi; witamy je często z dobrą otuchą na przyszłość, widząc w nich i uzdolnienie naukowe autora i znajomość metody badania, i inne warunki dodatniéj na przyszłość działalności naukowéj; oczekujemy jéj owoców i czasem — zawodzimy się.

Pawiński nadziei nie zawiódł; możemy dziś powiedziéć bez przesady: prześcignął je. Minęło niecałych lat trzydzieści od chwili pojawienia się jego pierwszéj rozprawy, a oto obdarzył literaturę naszę kilkudziesięciu pracami, mniejszego lub większego, czasem zasadniczego znaczenia. W każdéj przynosił rzeczy nowe; w jednych dotykał szczegółów podrzędniejszych, drobniejszych, w innych pytań zasadniczych, pierwszorzędnéj w nauce doniosłości; wyjaśniał wszystkie gruntownie, oświetlał nowemi, częstokroć głębokiemi spostrzeżeniami. Objął najrozmaitsze dziedziny wiedzy historycznéj: próbował sił w metodologii historyi, archeologii i antropologii, etnografii, bibliografii, historyi literatury i sztuki; pisał szkice obyczajowe, rozwiązał kilka ważnych zagadnień z historyi politycznéj, głównie zaś i przedewszystkiém zasłużył się pracami około statystyki historycznéj, literatury politycznéj, historyi prawa i historyi urządzeń państwowych. Główną uwagę miał zawsze zwróconą na dzieje Polski; niemniéj przeto sięgał téż czasem i daléj: do stosunków Słowian połabskich i Serbii, Hiszpanii i Portugalii, a nawet starożytnéj Grecyi. Prócz szeregu rozpraw i dzieł samoistnych, ogłosił téż, jako wydawca, znaczny zasób materyałów historycznych, obfite źródło, z którego badacze wiele jeszcze będą mogli czerpać w przyszłości.

Jest zatém obfity substrat do rozpatrywania życiowego dorobku Pawińskiego; daje on podstawę do wyróżnienia tu pewnych stopni rozwoju, które razem wzięte, składają się na obraz przybierającéj coraz więcéj na rozmiarach i coraz bardziéj w głąb sięgającéj jego działalności naukowéj.

Już w rok po napisaniu pierwszéj rozprawy spotykamy go na stanowisku docenta w byłéj Szkole głównéj warszawskiéj. Jako wykład wstępny wybrał Pawiński rzecz o Buckle'u, którą następnie ogłosił téż

drukiem [1]). Niewielka rozprawka ma przeważnie charakter informacyjny: podaje daty z życia Buckle'a i zarys jego teoryi historyozoficznéj; pogląd cenny przez to, że treściwy, jasny i zasadniczy; samoistna część pracy zajmuje się głównie wykazaniem sprzeczności teoryi, niestosunkowości między pierwotném założeniem filozofa a ostatecznemi wynikami jego dzieła, podnosi wreszcie kilka ujemnych stron w jego wywodach i przeciwstawia im zapatrywania Hegla i Cieszkowskiego. W całéj pracy widoczną jest wstrzemięźliwość sądu, unikanie śmiałych a tanich teoryi nowych, do których w rozpatrywanym przedmiocie była pokusa niemała: dowód dojrzałości sądu młodego, początkującego autora, który ocenił i zrozumiał należycie swoją rolę wobec poruszonego pytania. Ale samo jego poruszenie świadczyło, że u wstępu do swéj pracy dziejopisarskiéj pragnie sobie zdać sprawę dokładną z celów, zadań i metody owéj gałęzi wiedzy, któréj miał oddać na usługi dalsze swoje życie.

Najbliższe dwa lata (1869 i 1870) poświęca Pawiński pierwocinom zawodowéj pracy nauczycielskiéj, która go zajęła do tyla, iż nie starczyło czasu na przygotowanie i ogłoszenie drukiem jakiéjkolwiek pracy naukowéj. Wśród tego, w dziejach instytutu, w którym działał, dokonała się zasadnicza zmiana; szkoła główna warszawska zorganizowaną została jako uniwersytet rosyjski i poddaną ogólnym przepisom o urządzeniu uniwersytetów w państwie. Do utrzymania się na zajmowaném dotąd stanowisku docenta nie wystarczał już zagraniczny doktorat niemiecki; trzeba było doktoratu rosyjskiego; nadto trzeba było wykazać uzdolnienie do wykładu w języku państwowym. Wnet zabiéra się tedy Pawiński do pracy i ogłasza w języku rosyjskim rozprawę o dziejach Słowian połabskich aż do utrwalenia tu ostatecznéj przewagi żywiołu niemieckiego w drugiéj połowie w. XII [2]), która mu przyniosła tytuł doktora nauk historycznych uniwersytetu petersburskiego; równocześnie na żądanie petersburskiéj Akademii umiejętności, pisze w tymże samym języku obszerną ocenę pracy Władimirskiego-Budanowa o niemieckiém prawie w Polsce i na Litwie [3]). Zajmuje się tu wyłącznie zbiciem trzech twierdzeń uczonego rosyjskiego: jakoby kolonizacya niemiecka przyczyniła się do umniejszenia ogólnego dochodu książąt polskich; jakoby urząd starostów był dalszém rozwinię-

---

[1]) „Kilka słów o Buckle'u“. Warszawa, 1869.

[2]) „Połabskije Sławianie.“ Petersburg, 1871.

[3]) „O niemieckom prawie w Polszie i Litwie Władimirskawo-Budanowa. Razbor Ad. Pawinskawo, udostojennyj zołotoj Uwarowskoj medali.“ Petersburg, 1871.

ciem urzędu landwójtów, jakich w Polsce spotykamy już pod koniec w. XIII i w początkach XIV-go, a wreszcie: jakoby w Polsce system lenny nabrał szerszego znaczenia i zastosowania. Same tezy, jakie Pawiński postawił, były stwierdzeniem tego, o czém w nauce polskiéj trzeba było wiedzieć już i poprzednio, przy dokładniejszéj znajomości ogłoszonych podówczas źródeł; to też nie tyle na nich polega wartość owéj pracy, ile raczéj na samym sposobie przeprowadzenia dowodów, w którym ujawnia się bardzo korzystnie znajomość metodycznego traktowania zagadnień naukowych, taka sama, jaka już tak dodatnio wystąpiła w jego pierwszéj doktorskiéj rozprawie.

Obie publikacye przyniosły mu już w tym samym, 1871 roku godność nadzwyczajnego profesora uniwersytetu warszawskiego, którą w cztery lata późniéj (1875) zamienił na godność profesora zwyczajnego. W pierwszych latach nowego zawodu pochłania go jeszcze w przeważnéj mierze praca nad przygotowaniem się do swych obowiązków profesorskich; jego działalność twórcza i literacka jest stosunkowo mniéj wydatna i nie wykazuje dokładnie i stanowczo określonego kierunku. W pismach czasowych ogłasza Pawiński kilka pomniejszych artykułów historycznych; w jednym, na podstawie odszukanych zapisek kupieckich z początków wieku XV-go, podaje kilka cennych szczegółów o ówczesnym handlu polskim zagranicznym [1]); w innym omawia proces Marcina Bielskiego, wytoczony mu przez Myszkowskich z powodu ubliżającéj temu rodowi wzmianki, zawartéj w jego „kronice świata" [2]); w innym wreszcie, w roku jubileuszowym Kopernika, poddaje zasadnemu rozbiorowi sprawę jego narodowości [3]) i nowe przytacza dowody, zbijające znaną teoryę niemiecką, jakoby Kopernik był Niemcem z pochodzenia. Równocześnie uprawia też archeologią; pisze o wykopaliskach w Dobryszycach, dokonanych przez siebie, zwłaszcza o grobowcach kamiennych, tamże znalezionych [4]); w tymże roku wygłasza też rzecz o przedhistorycznym okresie w Królestwie Polskiém [5]). Jeszcze przedtém rozpoczyna starania o przyswojenie literaturze naszéj celniejszych dzieł historycznych obcych; pod jego kierunkiem wychodzi dziesięciotomy przekład dzieł historyi angielskiéj

---

1) Notatki kupca krakowskiego z podróży do Flandryi 1401 — 2 r." „Bibl. Warsz.", 1872.

2) „Marcin Bielski przed sądem królewskim w Piotrkowie". „Biblioteka Warszawska", 1872.

3) „W sprawie narodowości Kopernika." „Bibl. Warsz.", 1873.

4) Cmentarzysko w Dobryszycach rozkopał i opisał... Warszawa, 1875.

5) „Przedhistoryczna doba w Królestwie Polskiém", 1875. Przytaczam tę pracę za nekrologami warszawskiemi; rozprawki saméj nie miałem.

Macaulay'a, zaopatrzony przedmową jego pióra, podającą życiorys autora i udatną charakterystykę jego działalności [1]; w kilka lat później ogłasza dokonany pod swém kierownictwem przekład znanego dzieła Zeissberga o historyografii polskiéj średniowiecznéj z uzupełnieniami z nowszéj literatury, dodanemi przez samego Pawińskiego [2]. Jedyną większą samoistną pracą jego z czasu między r. 1872 — 1876 jest książka o Serbii [3], podająca treściwy zarys dziejów tego kraju od doby najdawniejszéj aż do dni dzisiejszych, a zarazem obszerny pogląd na obecne jego stosunki polityczne, społeczne, ekonomiczne i obyczajowe, stan oświaty, literatury i umiejętności. Można ją uważać za poprzedniczkę dwu innych prac, napisanych już w latach późniejszych, o Hiszpanii [4] i Portugalii [5], jako sprawozdanie z podróży odbytych do tych krajów celem poszukiwań aktów historycznych w archiwach hiszpańskich, tudzież wzięcia udziału w kongresie antropologicznym w Lizbonie. Nie znajdujemy tu już, jak w książce o Serbii, systematycznego omówienia poszczególnych kierunków życia narodowego w owych krajach, są raczéj tylko skréślone wrażenia przygodne, przez noszone zaraz na papiér w kształcie listów; ale właśnie dlatego dają one wrażenie bezpośredniości, a są pouczające ze względu na prawdziwy dar spostrzegawczy, którego Pawiński złożył tu liczne dowody. O rzeczach dotyczących nauki nie przepomniał oczywiście w tych książkach; podaje tedy mniéj lub więcéj dokładne wiadomości o stanie archiwów i innych instytucyi naukowych hiszpańskich, omawia ważniejsze pytania poruszone na zjeździe lizbońskim; uwagi godnemi są też ustępy o sztuce hiszpańskiéj, zwłaszcza dawniejszéj.

Tymczasem, jeszcze w r. 1876, wystąpił Pawiński z pierwszą większą publikacyą materyałów historycznych. Było to wydanie ukrytych dotąd w rękopisie, przez historyków niespożytkowanych, a niektórym badaczom dziejów literatury ledwo z tytułu i pobieżnego przejrzenia znanych pamiętników Marcina Matuszewicza, kasztelana brzesko-litewskiego z lat 1714—1765 [6]. W obszernym wstępie do publikacyi skréślił wydawca żywot autora pamiętników, rozebrał bliżéj

---

[1] Macaulay'a „Dzieje Anglii", 10 tomów. Warszawa od r. 1873.

[2] Zeissberga, „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich", 2 tomy. Warszawa, 1877.

[3] „Serbia. Zarysy etnograficzne." Warszawa, 1874. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiéj".

[4] „Hiszpania, listy z podróży", 2 tomy. Warszawa, 1881.

[5] „Portugalia, listy z podróży". Warszawa, 1881.

[6] „Pamiętniki Marcina Matuszewicza, kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714—1765", 4 tomy, 1876.

charakter i znaczenie ogłoszonego zabytku, podał wreszcie cenne uwagi o działalności poetyckiéj Matuszewicza, zwłaszcza o niepozbawionym wartości przekładzie ód Horacego, który rodzina po jego śmierci ogłosiła drukiem. Pamiętnik sam, kreślący koleje życia Matuszewicza od jego urodzenia do 51 roku, posiada wartość nietylko biograficzną; dla swéj szczegółowości i daru spostrzegawczego autora, przedstawia on cenny materyał do rozjaśnienia stosunków obyczajowych społeczeństwa polskiego z pierwszéj połowy XVIII-go stulecia; że zaś Matuszewicz brał dość czynny udział w ówczesném życiu publiczném, i przeto o rozmaite sprawy polityczne, nawet ważniejsze, osobą swoją się otarł, przeto stanowi zarazem cenne źródło do rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Polski w tym czasie, zwłaszcza za Augusta III-go i bezkrólewia po jego śmierci. Prądy panujące na dworze i w najbliższém otoczeniu Sasa, antagonizm Radziwiłłów i Czartoryskich, dążności polityczne „familii" znajdują tu nowe oświetlenie. Z tego ostatniego względu pamiętniki Matuszewicza nabiérają szczególnego znaczenia, są one bowiem pierwszą kronikarską opowieścią wypadków z czasów Augusta III-go, jakiéj dotychczas w literaturze naszéj historycznéj nie było; można je zatém do pewnego stopnia uważać za dalszy ciąg Kochowskiego „Klimakterów" i Otwinowskiego „Dziejów panowania Augusta II-go".

Publikacya ta rozpoczęła okres pracy wydawniczéj, prowadzonéj odtąd przez Pawińskiego na szerokie rozmiary do końca życia. Najbliższa po niéj, tegoż samego roku ogłoszona, poświęcona była sprawie unii Ormian polskich z kościołem rzymskim w wieku XVII-ym [1]). Wydawca podał tu nieznane dotąd dwa rękopisy pierwszorzędnéj wartości, dotyczące tego wypadku dziejowego; jeden spisany przez ks. Alojzego Pidou, Francuza rodem, mnicha w Zakonie Teatynów we Lwowie, który w sprawie zjednoczenia Ormian wybitną odegrał rolę i przeto za świadka klasycznego wypadków tych uważanym być może, sięgający do r. 1669; drugi pióra nieznanego autora, oparty w części na pamiętniku poprzednim, a nadto podający samoistną opowieść zdarzeń od r. 1669 do 1676, spisany widocznie także przez członka misyi teatyńskiéj, bezpośredni udział w sprawie téj biorącego, a przeto również cenny jako źródło do rozjaśnienia omawianéj sprawy.

Publikacya niniejsza była pierwszą rzeczą Pawińskiego, ogłoszoną w wydawnictwie zbiorowém, założoném przezeń spólnie z Aleksan-

---

[1]) „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII-ym wieku, z dwóch rękopisów, włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim." „Źródoła dzejiwe", t. II. Warszawa, 1876.

drem Jabłonowskim p. t. „Źródła dziejowe", obejmującém dzisiaj bezmała dwadzieścia tomów, zapełnionych wyłącznie przez obu założycieli, a głównie i przedewszystkiém przez samego Pawińskiego, który w zbiorze tym ogłosił tomów dwanaście. Co do jakości materyału, rzecz o Ormianach pokrewna była „Pamiętnikom Matuszewicza"; choć dotyczyła wypadków zgoła innych i cofała się o wiek wstecz, podawała źródła o charakterze pamiętnikowo-kronikarskim. W szeregu publikacyi tego rodzaju zabytków była przedostatnią; ostatnią stanowi ogłoszony w trzy lata późniéj w tymże samym zbiorze spory tom, zawiérający dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy Zygmunta Augusta, wysłanych przezeń w latach 1566, 1567 i 1568 do Prus książęcych celem uporządkowania zawikłanych podówczas stosunków tego kraju [1]). Niemałą ozdobę wydawnictwa stanowi dodany przez Pawińskiego wstęp historyczny, który sam mógłby stanowić osobne dziełko: wyjaśniający istotę zawisłości lennéj Prus książęcych wobec Polski, począwszy od sekuluryzacyi z r. 1525, i kréślący dzieje wzajemnego stosunku obu państw od téj chwili, z szczególném uwzględnieniem czasów Zygmunta Augusta; dokładnie opowiedziane są negocyacye z lat 1566—1568. Dyaryusze same przedstawiają przebieg rokowań z największą dokładnością, dzień za dniem, z podaniem licznych dokumentów, jakie podówczas przedkładano, a które wydawca częściowo opuścił, o ile były znane już z dawniejszych publikacyi lub przedstawiały niewielki interes dla historyka. Porównanie z innemi dyaryuszami tychże samych układów, pochodzącemi od strony przeciwnéj, w części wydanemi drukiem, przeważnie zaś kryjącemi się dotąd w rękopisach archiwum królewieckiego, które Pawiński starannie zbadał, okazało zarówno wiarogodność, jakotéż względnie największą dokładność i wartość historyczną dyaryuszów polskich; publikacya ta przyniosła zatém ważny materyał nietylko dla dziejów Polski, ale téż głównie i przedewszystkiém Prus książęcych. Mimo pokrewieństwo rodzajowe z obu poprzednio omówionemi zabytkami, dyaryusze te wyróżniają się przecież od nich pod pewnym względem; nie są to już pamiętniki prywatne, ale sprawozdania urzędowe, przedłożone królowi przez delegowanych komisarzów. Wydobył je Pawiński z ukrycia.

Ślady pilnego korzystania z aktów urzędowych zawiéra już jego ocena pracy Władimirskiego-Budanowa, pisana w r. 1871. W rok potém (1872) Pawiński, powołany na archiwaryusza, objął stałe urzędowanie;

---

[1]) „Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta w r. 1566 — 1568. Dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich." „Źródła dziejowe", t. VII. Warszawa, 1879.

wkrótce posunął się na stanowisko naczelnika archiwum głównego. Tu miał sposobność przekonać się, jak ważném jest dla historyografa poznanie źródeł urzędowych. Z powodu ich ogromu trzeba było obrać jakiś krótszy okres dziejowy i w jego granicach działalność wydawniczą zamknąć. Pawiński zwrócił się do czasów Stefana Batorego; osobistość energicznego, bohatérskiego króla wywiérała nań urok nieprzeparty. Sprawa wyświecenia dziejów Stefana stanowi dlań odtąd przez czas długi przedmiot szczególnych zabiegów; jéj poświęca téż przedewszystkiém swoją pracę wydawniczą. Gromadzi tedy powoli odpisy; zebrany materyał pomnaża i uzupełnia zabytkami, zaczerpniętemi z innych rękopisów, jakie mu były dostępne, zwłaszcza z ważnéj księgi podkanclerskiéj Jana Zamojskiego, która dostarczyła niemało cennych źródeł z pierwszych lat rządów Stefana. W ten sposób powstały trzy tomy wydawnictwa aktów publicznych, odnoszących się do tego okresu, z których dwa pierwsze ogłoszone zostały w r. 1877, trzeci dopiéro w r. 1882-im. Pierwszy z nich odnosi się do dwu pierwszych lat panowania Batorego i poświęcony jest wyłącznie sprawie buntu gdańskiego [1]); drugi podaje akta z trzech pierwszych lat jego rządów, dotyczące najrozmaitszych spraw publicznych, między niemi téż niektóre uzupełnienia do dziejów sprawy gdańskiéj [2]); trzeci obejmuje cały okres panowania tego króla, a przeto téż podaje akta wyświecające najróżnorodniejsze wypadki z owych czasów [3]). Tak powstało pierwsze na większą skalę wydawnictwo źródeł do dziejów Batorego, na które zbyt długo czekała historyografia polska, zasobniejsze od innych, jakie wkrótce po jego rozpoczęciu ogłoszono gdzieindziéj (Biblioteka ordynacyi Krasińskich), podające materyał bardzo doniosłego, ze względu na swą treść, znaczenia. Całe wewnętrzne polityczne życie Rzeczypospolitéj w tym czasie znalazło nowe a niespodziéwane oświetlenie; szereg instrukcyi królewskich na sejmiki i liczne uchwały sejmikowe wyjaśniły jakość i kierunek prądów politycznych, nurtujących w społeczeństwie szlacheckiém, tudzież stanowisko, jakie wobec nich zajmował król; stanął nam przed oczyma wyraźniéj jego program działania, zmierzający do umocnienia osłabionéj władzy królewskiéj; liczne edykty, mandaty i uniwersały królewskie zaznaczyły dokładnie

---

[1]) „Stefan Batory pod Gdańskiem w r. 1576 — 77. Listy, uniwersały i instrukcye.“ „Źródła dziejowe“, III. Warszawa, 1877.

[2]) „Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575 — 1577 r. Listy uniwersały i instrukcye.“ „Źródła dziejowe“, IV. Warszawa, 1877.

[3]) Akta co ważniejsze z czasów Stefana Batorego. „Źródła dziejowe“, XI. Warszawa, 1882.

kierunek, jaki nadał administracyi państwowéj; innego rodzaju pisma, jak listy, protesty i t. p. dorzucały nowego światła do dalszego wyjaśnienia tamtych i innych w związku z niemi stojących pytań. Wewnętrzna działalność polityczna Batorego nabrała wyrazistych kształtów, wzbogaciła się nowemi rysami, których próżno szukać we współczesnych, nieubogich zresztą w szczegóły kronikarzach; nie zabrakło nawet ważnych przyczynków do charakterystyki osobistéj króla, jakich dostarczyły np. trzy poraz pierwszy tu ogłoszone jego testamenty.

Nie leżało w naturze Pawińskiego prowadzić pracę wydawniczą w sposób czysto mechaniczny, zewnętrzny. Gromadzony materyał badał on i przetrawiał, zestawiał ze sobą nowe szczegóły, jakie zeń dadzą się wydobyć i porównywał je z innemi, skądinąd już znanemi: przeprowadzał w głowie konstrukcyą naukową, nagromadzonych faktów. Stąd rodziła się pokusa przelania konstrukcyi na papiér, przedstawienia pewnych, gotowych już, z materyału wysnutych spostrzeżeń naukowych. Nie było oczywiście mowy o wyczerpaniu wszystkich pytań, do których rozjaśnienia przyczynić się mogły wydawane zbiory; wybiérał Pawiński jedno z nich ważniejsze, opracowywał je szczegółowo w sposób monograficzny i jako wstęp zamieszczał na czele zbioru. W pierwszym z wspomnianych trzech tomów ogłosił rzecz o buncie gdańskim przeciw Batoremu, którego miasto nie chciało zrazu uznać królem; w drugim zamieścił monografię synodu piotrkowskiego z roku 1577-go, któremu przypadło w udziale zająć się kwestyami pierwszorzędnéj wagi z zakresu stosunków kościoła do państwa. Obie prace ze względu na doniosłość przedmiotu, bliżéj tu rozważonego, przenoszą znaczeniem rzecz zamieszczoną we wstępie do tomu trzeciego o królu Stefanie jako myśliwcu, która zresztą jako przyczynek do charakteryki osobistéj Batorego i ówczesnego stanu sztuki łowieckiéj w Polsce, nie jest pozbawiona wartości.

Jeszcze przed ogłoszeniem tego trzeciego tomu sięgnął Pawiński do innego rodzaju zabytków, ażeby je wydobyć na widok publiczny. Nie było dla niego, jak zresztą wogóle w nauce, rzeczą tajną, iż dotkliwą lukę przedstawia historyografia polska w dziedzinie badań nad rozwojem skarbowości. Przyczyną takiego stanu rzeczy nie był bynajmniéj brak materyałów, które owszem w wielkiéj ilości dochowały się do naszych czasów, ile raczéj właśnie ich ogrom, utrudniający objęcie jakiegoś większego okresu tudzież rozpatrzenie rozwoju poszczególnych urządzeń skarbowych; nadto ich nieprzystępność: spoczywały bowiem dotąd niewydane w archiwach. Trzeba było uczynić początek, ogłaszając przynajmniéj część materyału stanowiącą pod pewnym względem zamkniętą w sobie całość; w publikacyi zaś saméj trzeba

było przeprowadzić stosowne uproszczenia, dać wybór samych tylko rzeczy istotnie ważnych, opuszczając szczegóły podrzędnego znaczenia, które bez szkody dla nauki dałyby się pominąć. Do naszych czasów przechowało się kilkaset woluminów rachunków skarbu nadwornego królewskiego, poczynających się od końca XIV wieku, a sięgających aż do czasu upadku Rzeczypospolitéj. Na te źródła zwrócił Pawiński przedewszystkiém uwagę. Nie mógł oczywiście myśléć o publikacyi wszystkich; należało wybrać z nich tylko te, które się odnosiły do pewnego krótszego peryodu. Już sam wzgląd na to, że z wieków średnich z rachunków tych pozostały tylko szczątki, że nawet księgi podskarbstwa nadwornego z czasów obu ostatnich Zygmuntów Jagielonów przedstawiają znaczne szczerby, przemawiał za tém, aby materyał ten, tyle zresztą przez swoję starożytność ciekawy, na razie pominąć. Jako najbliższy po tamtych czasach okres, następowały lata rządów Stefana Batorego. Z téj epoki rachunki dochowały się już w względnym komplecie, dającym możność stworzenia na ich podstawie dokładniejszego obrazu ogólnego, co samo już przemawiało dostatecznie za tém, ażeby publikacyą od tych właśnie czasów rozpocząć. Zdawna już widoczna szczególna skłonność Pawińskiego do badań nad dziejami Stefana nie mało zapewne także na ten wybór wpłynęła. Stanął tedy zamiar ogłoszenia rachunków skarbu nadwornego z lat 1576—1586. Ale rachunki te wyjaśniały tylko część, i to podrzędniejszą ówczesnych urządzeń skarbowych; brakło jeszcze rachunków skarbu koronnego. Pawiński nie szczędził zachodów ani nie uląkł się trudności, dość nawet znacznych, ażeby i te źródła wydobyć skąd należało; starania jego uwieńczone zostały ostatecznie pomyślnym wynikiem, tak że mógł w wydawnictwie spożytkować także rachunki skarbu koronnego. W ten sposób powstał zbiór zawierający rachunki skarbowe z czasów Batorego [1]). Rachunki podskarbstwa nadwornego podane tu są prawie w nieprzerwanym ciągu; brakuje tylko dwu lat, w których król przebywał na Litwie i z dochodów tamtejszego skarbu się utrzymywał; mniéj dostateczny komplet przedstawiają rachunki skarbu koronnego, pochodzące głównie, choć nie wyłącznie z pierwszéj połowy jego rządów. Ażeby objąć całość okresu, poczynił w nich wydawca stosowne skrócenia, opuszczając zapiski bez wartości historycznéj; zatrzymał wszelako wszystkie, które nie tylko co do urządzeń skarbowych, ale wogóle w jakimkolwiek innym względzie zawierały ważniejsze wiadomości; tak z rachunków nadwornych da się złożyć ciekawy

1) Księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego 1576—1586, w dwóch częściach. „Źródła dziejowe IX“. Warszawa 1881.

obraz codziennego życia na dworze króla, jego stosunków z wybitniejszemi podówczas osobistościami nie tylko politycznemi, ale też pisarzami, artystami i t. p. Nie małą wartość zbioru stanowi także szereg dodatków, podających szczegóły pierwszorzędnego znaczenia, jako to: ordynacye skarbowe, pomiary łanów w różnych częściach Polski, wymiary wag używanych w miastach i inne tego rodzaju źródła.

Zwykłym sobie sposobem zamierzył Pawiński napisać do téj publikacyi wstęp odpowiedni, rozwiązujący jedno z pytań, o których znaléść można bliższe szczegóły w ogłoszonym materyale źródłowym. Obrał temat najobszerniejszy i najbardziéj zasadniczy, bo całe urządzenie skarbowości za Batorego. Ale rzecz ta nie dała się rozwiązać w ograniczeniu do samych tylko czasów Stefana; organizacya skarbowa, jaka podówczas istniała, miała już zdawna ustalone kształty, stworzone poprzednim rozwojem historycznym; trzeba było momenta twórcze z owych czasów dawniejszych zbadać; trzeba było w związku z dawniejszym rozwojem wyjaśnić istotę poszczególnych instytucyi, ażeby wykazać, co się w zakresie skarbowości stało nowego za Stefana, jakie znaczenie miały reformy, za jego rządów przeprowadzone, w jakim kierunku zmierzała, i wśród jakich warunków rozwijać się mogła polityka skarbowa króla i sejmów. Podjął tedy Pawiński mozolną pracę zbadania dawniejszego ustawodawstwa skarbowego w Polsce, sięgając częściowo w wieki średnie, głównie zaś i przedewszystkiém w czasy obu ostatnich Jagiellonów; wertował inne źródła, w części już ogłoszone, gromadząc zewsząd szczegóły, mogące się przyczynić do wyjaśnienia téj sprawy. Rzecz rosła pod piórem przez sam ogrom spożytkowanego materyału; zamierzony wstęp urósł do rozmiarów pokaźnego dzieła, które też jako osobny tom wyszło na widok publiczny [1]). Autor nazwał je skromnie dziejami skarbowości polskiéj za Batorego; tytuł usprawiedliwiony chyba przez to, że rozwój spraw skarbowych w tym czasie jest tu szczególnie dokładnie omówiony; naprawdę, znajdujemy tu jeszcze historyą dawniejszéj skarbowości polskiéj, zwłaszcza od czasów Zygmunta I, opracowaną co prawda w grubszych rysach, niemniéj przeto w sposób zasadniczy, dla zrozumienia głównych kierunków jéj rozwoju w tym czasie istotnie wystarczający. Słusznie można tedy dzieło to uważać za dzieje skarbowości polskiéj XVI wieku.

Ze wszystkich prac, jakie Pawiński aż do téj chwili ogłosił, ta była niewątpliwie najważniejsza, a nie straciła też na znaczeniu w po-

---

[1]) Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego. „Źródła dziejowe VIII." Warszawa 1881.

równanin z innemi, późniejszemi jego dziełami, jakiemi nas jeszcze obdarzył. W literaturze historycznéj pojawienie się téj książki stało się wypadkiem doniosłym. Stało się nim z przyczyn rozlicznych. Naprzód: nie mieliśmy dotąd książki, któraby urządzenia skarbowe polskie w jakimkolwiek okresie w sposób ściśle naukowy wyczerpująco omawiała. Pomijając rzeczy przestarzałe lub bez wartości, jedna tylko praca Lubomirskiego o tym przedmiocie poświęcona skarbowości za Zygmunta I, wyróżniała się korzystniéj w literaturze naukowéj, ale i ona nie mogła uczynić zadość daléj idącym wymogom, nie ogarniała bowiem całości urządzeń, a dla szczupłego stosunkowo materyału źródłowego, na którym się oparła, nie zdołała wyjaśnić sprawy w sposób wyczerpujący. Pierwszy Pawiński dał nam książkę, która obejmowała w sobie dzieje skarbowe z dłuższego okresu czasu, dotykała wszystkich pytań ze sprawą tą związanych, i w miarę możności je rozwiązywała. Doniosłą była ona także ze względu na sam przedmiot omówiony, którego znaczenia nie ma tu potrzeby podnosić, zwłaszcza w Polsce, i to w Polsce XVI wieku, gdzie sprawa reform skarbowych związała się najściśléj z ogólnym ruchem politycznym społeczeństwa szlacheckiego, wyciskając na nim niezatarte piętno jako jeden z przeważnych czynników t. z. programu egzekucyjnego. Ruch ten stanął w nowém oświetleniu, a i samo zasadnicze pytanie niedomagań ówczesnych państwowego życia Polski, zostało uchwyconém i wyjaśnioném w jednym z najgłębiéj sięgających motywów. Nie koniec na tém: sam zasób spożytkowanego materyału i sam olbrzymi trud, wyłożony na jego przetopienie i opracowanie jakiego nierychło mógłby się był kto inny podjąć, wyciskają na téj pracy znamię pomnikowości. Dodać trzeba, że książka przyniosła stanowcze rozwiązanie całego szeregu pierwszorzędnych pytań, które dotąd zmuszeni byliśmy omijać bez oddowiedzi; przyniosła także sprostowanie mylnych wyobrażeń, jakie dotąd, w rzeczach nawet najważniejszych, panowały. Dość przypomniéć ścisłe, naukowe rozkategoryzowanie poszczególnych rodzajów królewszczyzn, aż dotąd w istocie swojéj dla nas niezrozumiałych, albo téż określenie istoty kwarty, mylnie w dotychczasowéj nauce rozumianéj. Wreszcie, na wzmiankę szczególną zasługuje téż wszechstronne ujęcie i omówienie przedmiotu: mamy tu przedstawioną nie tylko organizacyą obu skarbów, nadwornego i koronnego wraz z wszystkiemi ich wpływami, zwyczajnemi i nadzwyczajnemi, począwszy od najważniejszych i prawidłowych aż do najpodrzędniejszych i wyjątkowych; dodane są jeszcze rozdziały o długach rzeczypospolitéj, o organizacyi władz skarbowych i ich postępowaniu, o wzajemnym wpływie i oddziaływaniu ówczesnego stanu skarbowości polskiéj na wypadki poli-

tyczne i na odwrót, przedstawione zapatrywania współczesnéj literatury politycznéj na sprawy skarbowe, podana wreszcie wyczerpująca krytyka całego systemu skarbowego ze stanowiska dzisiejszéj teoryi. Nie było pytania związanego z całym tym przedmiotem, któregoby się Pawiński nie dotknął, a rozpatrywał każde z nich z najrozmaitszych punktów widzenia, jako prawnik, historyk i polityk. Wszystko razem wystarczy, ażeby książce téj zapewnić trwałą wartość w literaturze naszéj naukowéj, jako rzeczy, która sama przez się wniosła do niéj rzetelny a znaczny postęp, a także stała się podstawą do rozszerzenia i pogłębienia dalszych badań nad dziejami skarbowości przed i po Batorym.

Praca nad gromadzeniem źródeł do dziejów skarbowości zetknęła Pawińskiego z osobną kategoryą materyałów, które mu podały sposobność do opracowania innego dzieła, zasadniczéj i głęboko sięgającéj wartości naukowéj. Były to rejestry poborowe, wykazujące ilość wybranego w poszczególnych ziemiach podatku, przedkładane przez tamtejszych poborców naczelnemu zarządowi skarbowemu. Suche na pozór wykazy, zaopatrzone zazwyczaj tylko w nazwy miejscowości i cyfry, czasem z pewnemi jeszcze wyjaśnieniami, przedstawiają one jednak pierwszorzędną doniosłość, jako źródła do badań z zakresu statystyki dziejowéj. Samo zszeregowanie miejscowości, według powiatów i województw daje podstawę do ściślejszego, niż to było dotychczas możliwém, określenia granic tych jednostek administracyjnych państwa; wykazy poszczególnych osad wiejskich, o ile dokładne, możność wyjaśnienia sprawy zasiedlenia kraju, wysokość wybranego poboru wskazówkę do obliczeń cyfry zaludnienia; kombinacya tych i innych jeszcze dat, źródło do wyjaśnienia stosunków własności ziemskiéj, i innych jeszcze w związku z tamtemi szczegółami zostających pytań. Pawiński ocenił odrazu doniosłość materyału i postanowił go uprzystępnić dla nauki w osobnych publikacyach. Poczyna tedy skrzętnie gromadzić rejestry poborowe, znowu przedewszystkiém z czasów Batorego; rozumiejąc wszakże jaką w tego rodzaju badaniach mają wartość daty porównawcze z różnych okresów czasu pochodzące, sięga znowu do rejestrów z dawniejszych lat wieku XVI, wyjątkowo nawet z końca wieku XV, w części zaś także do tych, które pochodziły z najbliższych po Batorym czasów Zygmunta III. Udało mu się zgromadzić zbiór bardzo pokaźny, nie taki wprawdzie, ażeby już żadnych luk nie przedstawiał, ale zawsze wystarczający, ażeby na nim oprzéć pewniejsze wnioski, i to ze wszystkich ziem koronnych Rzeczypospolitéj. Materyał sam w sobie był już bardzo zasobny; zamiar opatrzenia go odpowiedniemi wstępami, zużytkowującemi w sposób naukowy jego su-

rowe daty, podnosił całą tę pracę do znaczenia olbrzymiego niemal przedsięwzięcia. Czuł to dobrze sam Pawiński, to téż podając w „Aktach podskarbińskich" pierwszą wiadomość o zamierzonéj publikacyi, z góry obliczał, iż zajmie ona ośm do dziesięciu tomów. Ogrom zadania nasuwał sam przez się myśl podziału pracy, do któréj téż Pawiński skłonił się ostatecznie, zapraszając Jabłonowskiego do współpracownictwa; przeważną część zadania wziął jednak sam na swoje barki; miał się zająć wszystkiemi ziemiami rdzennie polskiemi, Wielkopolską, Małopolską, Mazowszem a nadto i Podlasiem; Jabłonowskiemu przypadło w udziale opracowanie ziem ruskich. Wywiązał się téż z przyrzeczenia prawie w zupełności, choć praca, przerywana innemi, ważnemi zajęciami, nieco dłużéj się przeciągnęła; w latach 1883—1895 pojawiły się na widok publiczny trzy po kolei działy jego badań statystycznych, geograficznych i ekonomicznych, o Polsce wieku XVI, zaopatrzone w dodatkach odpowiednim materyałem źródłowym; jeden dział poświęcony Wielkopolsce, drugi Małopolsce, trzeci Mazowszu [1]).

Zarówno pojawienie się tego dzieła, jako téż i wyniki, które ono przyniosło, stanowiły w literaturze naszéj historycznéj prawdziwą niespodziankę. Pomijając samą wartość ogłoszonego tu materyału źródłowego, przyniosło ono w opracowaniu naukowém wyjaśnienie trzech kwestyi: sprawy rozległości terytoryalnéj poszczególnych województw i powiatów, a zatem także i całych dzielnic, sprawy zasiedlenia kraju z możliwie dokładném obliczeniem ogólnéj jego cyfry, tudzież cyfry poszczególnych warstw społecznych, jakie się na całość populacyi składały; w końcu statystyczne wyjaśnienie stosunków własności gruntowéj, z dokładném obliczeniem ile jéj przypadało na własność skarbową, kościelną i prywatną, ile na własność większą i latifundia, ile na drobną posiadłość szlachecką; jak się wreszcie te stosunki układały w poszczególnych dzielnicach Polski. To wszystko o wieku XVI. Nie mieliśmy dotąd w literaturze naszéj tego rodzaju badań—żadnych; jedyne jakie się równocześnie z pracą Pawińskiego pojawiły, to były analogiczne badania Korzona o Polsce z drugiéj połowy wieku XVIII, a po nich nic się już podobnego nie ukazało do dni naszych, prócz chyba kontynuacyi pracy Pawińskiego, prowadzonéj przez Jabłonowskie-

---

[1]) Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. „Dział I Wielkopolska" 2 tomy; „Dział II Małopolska" 2 tomy; „Dział III Mazowsze," 1 tom; „Źródła dziejowe" t. XII, XIII, XIV, XV, XVI. Warszawa 1883, 1886, 1895. Niektóre ustępy z tego dzieła drukowane były współcześnie w skróceniu w warszawskiéj „Niwie", tak Własność ziemska w Wielkopolsce w XVI w. w roczniku 1883. Stosunki własności ziemskiéj w Małopolsce w drugiéj połowie XVI w. w roczniku 1886.

go. Ma tedy Pawiński niepomierną zasługę przez to, iż tego rodzaju badania wprowadził pierwszy do literatury naszéj historycznéj. Rozważona z tego stanowiska praca niniejsza, przenosi tedy znaczeniem wszystkie inne, jakie zresztą ogłosił, nie wyjmując nawet dwu jego wielkich dzieł o sejmikach polskich; bo w tych ostatnich, choć podał wielki zasób szczegółów i spostrzeżeń nowych, pierwszorzędnéj zresztą wagi, szedł przecież w opracowaniu utartemi już do pewnego stopnia przez poprzedników śladami; tutaj zaś wprowadzał do historyografii polskiéj żywioł całkiem nowy, poprzednio jéj prawie obcy i sam téż musiał sobie torować drogi, ażeby go w naukowy sposób wyjaśnić i opracować. To zaś, co opracowanie przyniosło w szczegółach i ogólnych wnioskach, przedstawia również wartość zasadniczą. Otrzymaliśmy po raz pierwszy możliwie najdokładniejsze obliczenie powierzchni terytoryalnej poszczególnych województw i dzielnic, takie, wobec którego nie tylko bałamutne obliczenia Moszyńskiego (z czasów Stanisława Augusta), ale i sumienne zresztą, lecz niecałkiem dokładne badania Friedericha (z r. 1839) ustąpić musiały; sprawa rozległości powiatów w obrębie województw, nietknięta ani przez obu dopiéro co wspomnianych, ani wogóle przez żadnych dotąd badaczów, została po raz pierwszy przez Pawińskiego poruszoną i rozwiązaną. Rozpatrzenie stosunków zaludnienia i własności ziemskiéj dało również wyniki ciekawe: Małopolska stosunkowo najmniéj, Wielkopolska już więcéj, a Mazowsze najsilniéj zaludnione szlachtą; w związku z tém stosunkowo największa przewaga własności wielkiéj, latifundiów w Małopolsce, typ jednowioskowéj posiadłości w Wielkopolsce, w Mazowszu nawet rozszczepienie jednowioskowéj posiadłości na drobne udziały zagonowe, zjawisko właściwe zresztą także częściowo sąsiadującym z Mazowszem ziemiom wielkopolskim. W związku z tém także: większe zaludnienie chłopskie w ziemiach małopolskich, gdzie ono służyć miało do uprawy wielkiéj posiadłości; stosunkowo najmniejsza jego ilość na Mazowszu, gdzie szlachcic zagonowy częstokroć własną ręką, uprawiał rolę, w ślad za tém także w ogólnéj cyfrze populacyi mazowieckiéj przewaga elementu drobnych wprawdzie ale wolnych właścicieli i zmiana tego stosunku w drodze przez Wielkopolskę do Małopolski na coraz gorsze. O tém wszystkiém i innych jeszcze rozwiązanych tam pytaniach mieliśmy wprawdzie już dawniéj pewne ogólne wyobrażenie, jakoby przeczucie, ale naukowe dla nich uzasadnienie było bardzo niedostateczne lub żadne; dopiéro książka Pawińskiego przyniosła cyfry, które, jeśli nie są matematycznie dokładne, to w każdym razie do nich bardzo zbliżone; w szczegółach sprostowała wiele mylnych zapatrywań, wiele nowych spraw wydobyła na jaw i cyfrowo

je rozjaśniła. Od czasu jéj pojawienia się można dopiéro pogląd na omówione tu stosunki uważać za naukowy, bo na dowodach oparty. Jak ważną zaś rzecz tłómaczy, podnosić chyba nie potrzeba: zbadane tu zostały dwa elementarne składniki państwa: kraj i ludność, w sposób, o ile się dało wszechstronny i wyczerpujący. Bliższe poznanie ich, statystycznemi poparte datami, stanowiło klucz do wyrozumienia wielu zjawisk w spółczesnéj i późniejszéj historyi Polski. Że Pawiński dziełem tém podał zachętę i wzór do tego rodzaju badań co do innych okresów historyi polskiéj, w tém jego niezaprzeczona a wielka zasługa.

Wśród tych zajęć nad wykończeniem większych prac, znalazł on jeszcze dość swobody, ażeby od czasu do czasu zabrać głos w jakiéjś drobniejszéj sprawie naukowéj. Pobudką były mu tu: bądź to odnalezienie jakiegoś ciekawszego zabytku archiwalnego, bądź pojawienie się jakiéjś książki, dającéj pochop do sprostowań, bądź inne podobne okoliczności. Stąd prace te mają charakter przygodny i przedstawiają wielką co do treści rozmaitość. Zwiedzenie muzeum Schliemanowskiego w Berlinie daje mu pochop do napisania artykułu o wykopaliskach w Pergamie [1]); bliższe zajęcie się sprawami antropologii i archeologii przedhistorycznéj, którego wyrazem była podróż jego na kongres antropologiczny do Lizbony, stało się powodem ogłoszenia rozprawki o człowieku w okresie trzeciorzędowéj formacyi [2]). Podróż na południe daje mu też sposobność rozpatrzenia losów Stanisława Polaka, jednego z najpierwszych drukarzy hiszpańskich, który działał tam już od końca wieku XV (od r. 1491). Zbadawszy na miejscu druki, wyszłe z jego oficyny, wykazał Pawiński w osobnéj rozprawce, że wzmianki o Władysławie i Stefanie Polaku, drukarzach hiszpańskich z tego samego czasu, nie dotyczą innych osób, ale są tylko mniéj dokładném określeniem tegoż samego Stanisława [3]). Jubileusz Kochanowskiego daje mu powód do napisania cennego komentarza historycznego do poematu czarnoleskiego piewcy p. t. „Jezda do Moskwy" [4]); trzechsetna rocznica zgonu Batorego zwraca znowu jego uwagę na oso-

---

[1]) Dzieła sztuki greckiéj świéżo odkryte. Wykopaliska w Pergamie „Ateneum" 1880.

[2]) Człowiek w okresie trzeciorzędowéj formacyi, „Ateneum" 1882. Tenże sam przedmiot, także po rosyjsku „Warszawskija Uniwersitetskija Izwiestija" 1882.

[3]) Jeden z pierwszych drukarzy w Hiszpanii Stanisław Polak. „Kłosy" 1882.

[4]) W jubileuszowém wydaniu pism Kochanowskiego, t. II. Warszawa 1884

bistość tyle ukochanego monarchy i wywołuje rozprawkę wyświecającą szczegółowo sprawę zgonu króla, dogorywającego wśród ustawicznych sporów czuwających nad jego łożem medyków [1]. Pojawienie się książki Jenikego o Czarnieckim skłania go do uzupełnienia lub sprostowania kilku zawartych tamże szczegółów, na podstawie aktów urzędowych, jako to sprawy miejsca urodzenia bohatéra, nabycia przezeń starostwa kaniowskiego, sprawy pobytu zagranicą i t. p. [2]. Przyjęty w wydawnictwie petersburskiéj księgi zbiorowéj „Charitas" współudział wzbogaca literaturę naszą nowym przyczynkiem o nieznanym dziejopisarzu polskim z początków XVI wieku, Mikołaju Rozemberskim, któremu król Aleksander zlecił był napisanie dziejów Polski, wszelako bez skutku [3].

W szeregu tych prac rozmiarami mniejszych, jakie z tego okresu czasu pochodzą, zasługuje kilka na szczególne wyróżnienie zarówno ze względu na ważność przedmiotu, którego autor w nich dotknął, jako też na zasadnicze ich opracowanie, a częściowo i sam sposób opracowania. Można je podzielić na dwie grupy. Do pierwszéj należą dwie rozprawy z zakresu historyi prawa polskiego tudzież literatury politycznéj w średniowiecznéj Polsce, obie ogłoszone r. 1884. W jednéj z nich [4] zajął się Pawiński szczątkami starożytnego, wszystkim ludom pierwotnym właściwego prawa pomsty, jakie się utrzymały w prawie polskiém przez cały ciąg wieków średnich, a częściowo nawet w czasach nowszych (stulecie XVI) w formie symbolicznego aktu pokory, wykonywanego przez zabójcę wobec przedstawicieli rodu pokrzywdzonego; w związku z tém wyjaśnił też Pawiński sprawę wróżby i wrożdy, o których znajduje się kilka wzmianek w średniowiecznéem ustawodawstwie mazowieckiém. W badaniach nad tym przedmiotem miał już poprzednika w osobie senatora Hubego i Dunina, miał też i następców, gdyż zajmowali się tą rzeczą późniéj znowu Hube, nadto Miklosich i Ulanowski. Wyniki główne do których doszedł, jako to, że pokora co do swéj istoty nosi na sobie charakter świecki, że wróżba i wróżda są pojęciami identycznemi, oznaczającemi stan nieprzyjaźni pomiędzy obu rodami zwaśnionemi, że czasowe wygnanie zabójcy z kraju celem usunięcia ostrości wrożdy jest stosunkowo późną refor-

---

[1] Zgon króla, „Tygodnik ilustrowany" 1886.

[2] Stefan Czarniecki, kilka nowych szczegółów, „Ateneum" 1891.

[2] Nieznany dziejopis polski, notatka bibliograficzna, „Charitas", Petersburg 1894.

[4] O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego. „Bibl. umiej. prawnych" Warszawa 1884.

mą ustawodawczą, zawdzięczającą początek jakiemuś bliżéj dziś nieznanemu statutowi mazowieckiemu, spotkały się częściowo z zarzutami uczonych, w znacznéj części, jak mi się wydaje nieuzasadnionemi; gdyby wszelako miało się nawet okazać że Pawiński błądził w niektórych zapatrywaniach, to przecież praca jego musiałaby zachować trwałą wartość przez to, iż na podstawie kilkuset przez niego zebranych i przy niéj wydrukowanych zapisek archiwalnych, wykazała ponad wszelką wątpliwość, jako instytucya pokory nie jest tylko właściwością partykularną dawnego prawa mazowieckiego, jak o tém dotychczas pospolicie mniemano, ale raczéj rzeczą uznaną w powszechném prawie polskiém, stosowaną także w Wielkiéj i Małéj Polsce.

Drugą pracą, która tutaj należy, jest rzecz o Janie Ostrorogu i jego memoryale o naprawie Rzeczypospolitéj [1]). Pojawienie się jéj przypada na sam środek owego okresu, w którym literatura nasza historyczna zajmowała się bardzo gorliwie owym niewątpliwie wybitnym płodem piśmiennictwa polskiego XV wieku. Pomijając dawniejszą pracę Wegnera, pisali w tym czasie, na krótko przed Pawińskim, o memoryale Ostroroga: Bobrzyński i Caro, wnet potém Rembowski, po raz wtóry Bobrzyński, Małecki i Nowodworski. Wiadomo iż głównym przedmiotem sporu naukowego są dwa pytania: jaką jest data spisania memoryału, a także: czy i jakie zabytki uprzedniéj literatury politycznéj europejskiéj stanowiły źródło pomysłów ostrorogowych. W obu sprawach miał Pawiński swoje zdanie osobne: jako datę powstania memoryału przyjmuje rok 1456, jako źródło, z którego statysta czerpał częściowo natchnienie, pisma Husa i wogóle cały ruch husycki. W pierwszéj kwestyi odnosi się polemicznie do Bobrzyńskiego i Cara, w drugiéj głównie do tego ostatniego, gdyż Bobrzyński nie wypowiedział jeszcze podówczas ściśle określonego w téj mierze zapatrywania; na poparcie obu twierdzeń przytoczył poważne argumenty. Jakiekolwiek w sprawach tych mniemanie ustali się ostatecznie w nauce, pracy téj trzeba będzie przyznać niepoślednia wartość, chociażby ze względu na inne tezy w niéj wyjaśnione; tak przedewszystkiém okazał Pawiński bezpodstawność zapatrywania Cara, jakoby Ostroróg opiérał się na lichéj współczesnéj ramocie niemieckiéj Reisera *(Reformatio Sigismundi imperatoris)*, wyjaśnił istotę programu kościelno-politycznego, jakiemu dał wyraz statysta nasz średnio-wieczny, usuwając mylny, nowożytny podkład liberalny: który mu wbrew rzeczywistemu stanowi rzeczy podsunął Caro; przyznając pismu wielką doniosłość

---

[1]) Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitéj, studyum z literatury politycznéj XV w. „Bilb. Umiej. prawnych", Warszawa 1884.

w stosunku do współczesnego stanu literatury politycznéj europejskiéj, sprowadził jednak znaczenie jego do właściwéj miary, ostrzegając przed zbyt wygórowaném jego przecenianiem; podał wreszcie tak dokładny obraz dziejów rodu Ostrorogów w wiekach średnich i tyle nowych szczegółów do życia samego statysty, że biografią tę nie tylko w porównaniu z tém, co o nim napisano przedtém, uważać trzeba za najlepszą, ale wogóle za najdokładniejszą, jaką po dziś dzień posiadamy.

Nie przepomniał Pawiński o Ostrorogu, kiedy autentyczności jego pisma zaprzeczono ze strony jednego z zasłużonych zresztą współczesnych pisarzy kościelnych. Pojawiło się twierdzenie, iż rzekomy memoryał Ostrorogowy napisany został dopiéro w wieku XVI przez jakiegoś protestanta, który tym sposobem dążył do podkopania wpływu i powagi kościoła, a chcąc pracy téj nadać tém większe znaczenie, umieścił na jego czele nazwisko nieżyjącego już podówczas Ostroroga, jako autora. W osobnym, z zacięciem napisanym artykule [1]) wykazał Pawiński bezpodstawność tego twierdzenia, rozbiérając zarówno zewnętrzną stronę pisma jako też jego treść rzeczową, jak wreszcie i inne wskazówki historyczne, przemawiające stanowczo za autentycznością utworu.

Drugą grupę wydanych w tym czasie pism stanowią dwie biografie, jedna Anny, ostatniéj latorośli Piastów mazowieckich siostry Stanisława i Janusza III [2]), która po śmierci młodszego brata (r. 1526) odzierżyla chwilowo rządy nad Mazowszem, ale wnet z nich ustąpić musiała wobec roszczeń korony; druga przedstawiła młodzieńcze lata Zygmunta I począwszy od zgonu Kazimierza Jagiellończyka aż do powołania go na tron polski r. 1506 [3]). O Annie, o ile zwłaszcza chodziło o wypadki z jéj życia, związane z polityką, mieliśmy nieco dokładniejsze wiadomości w ogłoszonych już poprzednio źródłach; Pawiński pomnożył je znacznie szczegółami, które rzuciły wiele nowego światła na jéj życie prywatne. Do dziejów młodych lat Zygmunta I prócz kilku ogólnikowych wiadomości o jego rządach w Głogowskiém i niewielu zresztą dokumentów, brakło źródeł prawie zupełnie; Pawiński uzupełnił je szeregiem innych nowo odkrytych aktów; nadto znalazł możność korzystania z prowadzonych w tym czasie rachunków nadwornych królewicza, które rzuciły jasne światło na całe jego życie z owego okresu. Trzeba było, co prawda, talentu Pawińskiego, ażeby z tych

---

[1]) Zamach no Ostroroga, („Ateneum“, 1890 r.).

[2]) Ostatnia księżna mazowiecka, Warszawa 1891. Odb. z „Ateneum“.

[3]) Młode lata Zygmunta Starego, Warszawa 1893. Odbitka z „Ateneum“.

suchych dat cyfrowych stworzyć organiczną całość: wyjaśnić nawyczki i upodobania królewica, codzienny tryb jego życia, ujawniające się już wtedy przymioty i wady jego umysłu, serca i charakteru. Znamy w literaturze naszéj jednę tylko podobną pracę, skréśloną na podstawie takiego samego materyału rachunkowego: obraz prywatnego życia na dworze Jadwigi i Jagiełły, zawarty w odpowiednich ustępach wielkiego dzieła Szajnochy. Trzeba dodać, że pod względem daru obrazowania, praca Pawińskiego nie ustępuje w niczém poprzednikowi. Wogóle obie biografie noszą na sobie znamiona studyum psychologicznego bohaterów, dokonanego z wielką ścisłością a przynoszą ważne wyniki nie tylko co do tego właśnie głównego pytania, ale rzucają też pośrednio jasny snop światła na sprawy ogólno-dziejowe. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza biografii Zygmunta I. Poznawszy go takim, jakim go nam ze źródeł wykrzesał Pawiński w latach jego młodzieńczych, zrozumiemy już dokładnie, dlaczego późniéj na tronie polskim okazał się takim jakim był, a nie innym: monarchą zamiłowanym w pokoju, ładzie i porządku, dbałym o wymiar sprawiedliwości, kodyfikatorem praw, zapobiegliwym gospodarzem skarbu, popierającym chętnie rozwój rzemiosł i przemysłu — niesklonnym do wojen, moralizatorem społeczeństwa, a przecież za mało energicznym, ażeby z tém, co było złego, do stanowczéj wystąpić walki.

Jeszcze na kilka lat przed pojawieniem się obu tych ostatnich prac wystąpil Pawiński z nowém, ze względu na swą treść doniosłém dziełem, poświęconém historyi sejmików w Polsce [1]). Z pięciu tomów publikacyi téj, cztery ostatnie podały surowy materyał źródłowy; Pawiński zamieścił w nich zbiór laudów i instrukcyi sejmikowych obu województw kujawskich, jak niemniéj inne akta odnoszące się do dziejów samorządu sejmikowego w tejże ziemi, i to w nieprzerwanym ciągu od r. 1572 aż do upadku rzeczypospolitéj. W szeregu wydawnictw laudów sejmikowych było niniejsze drugiém z rzędu w naszéj literaturze, poprzedzone publikacyą Kluczyckiego laudów dobrzyńskich; przewyższało ją nie tylko pod względem technicznym, ale też obfitością i chronologiczną ciągłością materyału; aż dotąd nie doczekało się uzupełnienia innemi tego rodzaju wydawnictwami. Już przez sam wzgląd na doniosłość, jaką przedstawiają lauda dla rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Rzeczypospolitéj, powitano zewsząd publikacyą Pawińskiego gorącém uznaniem dla wydawcy. I tym razem jednak nie poprzestał on na samém ogłoszeniu materyału; rozpatrzył go kry-

---

[1]) Dzieje ziemi kujawskiéj, 5 tomów. Warszawa 1888.

tycznie jako podstawę do konstrukcyi naukowéj i w tomie wstępnym (pierwszym) wydawnictwa, ogłosił dzieło zasadniczéj wartości o rządach sejmikowych w Polsce od zgonu Zygmunta Augusta aż do politycznego upadku państwa [1]).

Pojawienie się téj książki było w nauce naszéj wypadkiem wielkiéj doniosłości. Wiadomo, że w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitéj, sejmiki odgrywały pierwszorzędną rolę w życiu politycznéem narodu i państwa, stały się organem, w którym ześrodkowała się i za pomocą którego przejawiała na zewnątrz udzielność rządzącego w kraju stanu szlacheckiego, jego idee, dążności i programy polityczne. Zrozumienie dziejów Polski z owych czasów zależało tedy od zrozumienia kolejnych ewolucyi w organizacyi sejmików; praca, która przynosiła rozwiązanie tego pytania, musiała tedy przedstawiać zasadniczą wagę dla historyografii. Taką, stała się pierwsza i jedyna dotąd o tym przedmiocie praca Pawińskiego. Wielkiéj wartości dodawał jéj sam sposób opracowania: sumienność w zgromadzeniu i wyzyskaniu szczegółów, choćby drobniejszych, rozbiór zasadniczy całéj instytucyi, sięgający aż do najgłębszych podstaw jéj bytu, oświetlenie i ocenienie jéj z ogólnego punktu widzenia—idą tu z sobą w zawody. Jaką była organizacya sejmików, wiédzieliśmy wprawdzie już i przedtém dość szczegółowo; mieliśmy téż ogólne wyobrażenie o charakterze ich i znaczeniu w ustroju dawnéj Rzeczypospolitéj polskiéj, ale ścisłe określenie tego charakteru, odgraniczenie poszczególnych stadyów w rozwoju urządzeń sejmikowych, określenie kierunków, którėmi rozwój ten w danych okresach zmierzał, gruntowna analiza przyczyn, dla których był takim a nie innym, oto niemal wyłączna zasługa książki Pawińskiego. Jeszcze w chwili zgonu ostatniego Jagiellona sejmiki są tylko organem reprezentacyi, wybierając posłów na sejm i zaopatrując ich w mniéj lub więcéj wiążące instrukcye. Trzy pierwsze, w tylu innych względach w skutki doniosłe, szybko po sobie następujące bezkrólewia rodzą tę siłę rzutu, która nabywając coraz więcéj energii i rozciągłości, przynosi szlachcie sejmikowéj — a więc wszystkiéj — coraz to nowe zdobycze, coraz szerszy zakres praw. Słabnie skutkiem tego powaga centralnego organu ustawodawczego, sejmu walnego, upada znaczenie centralnych władz rządowych, punkt ciężkości rządów przenosi się do tylu sejmików, ile było ziem w Rzeczypospolitéj; następuje decentralizacya, a przez to osłabienie jednolitéj, energicznéj działalności

---

[1]) Rządy sejmikowe w Polsce na tle stosunków województw kujawskich, jako tom I Dziejów ziemi kujawskiéj także z osobną kartką tytułową. Warszawa 1888.

machiny rządowéj. Aż do połowy XVII wieku proces ten coraz więcéj przybiéra na rozmiarach; w ostatecznym wyniku przynosi on niepomierny wzrost władzy sejmików: częściowy wpływ ich na sądownictwo, większy jeszcze w sprawach wojskowych, przez stworzenie osobnéj milicyi powiatowéj, podlegającéj rozkazom sejmików, pod dowództwem wybiéranych na nich rotmistrzów; największy wreszcie w zakresie skarbowości: powstają osobne podatki i osobny skarb wojewódzki, osobne, z wyboru sejmików wychodzące władze do zarządu tego skarbu powołane, pod naczelnym nadzorem samego sejmiku. Kierownik centralnego zarządu wojskowego i skarbowego „musi zatém w tysiącznych razach znosić się i porozumiewać z sejmikiem, do jego zaściankowych skrupułów, z ujmą dla interesu ogólnego, częstokroć się stosować musi, kiedy potrzeba działać śpiesznie, poruszać z osobna kilkadziesiąt różnych kół, z których każde może miéć odmienny rozpęd i odmienny kierunek rozpędu." Na téj wyżynie wpływu i znaczenia, do któréj wzniosły się sejmiki w pierwszém stuleciu po wygaśnięciu Jagiellonów, utrzymują się one jeszcze przez wiek następny, aż do początków panowania Stanisława Augusta; wszelako już i w tym okresie przychodzi za sprawą saméj szlachty do częściowego ograniczenia zakresu ich działalności; w drugiéj połowie wieku XVIII ograniczenia te przybiérają coraz większe rozmiary; upada samoistny zarząd wojskowy sejmików, upada także osobna skarbowość wojewódzka: sejmik wraca znowu do tych przedewszystkiém funkcyi, jakie spełniał przed zgonem Zygmunta Augusta, staje się organem reprezentacyi, jakkolwiek zresztą przejmuje też na siebie częściowo zadania administracyi miejscowéj, we właściwe jednak ujęte granice. Powaga sejmu i władz centralnych podnosi się i wzmacnia. Na ten punkt warto zwrócić uwagę, kiedy się z racyi niniejszéj książki mówi o historyozoficznych poglądach Pawińskiego i o wnioskach, do jakich wyniki jego dzieła dają podstawę.

Do tychto głównie czasów przed dokonanemi pod koniec istnienia Rzeczypospolitéj zmianami odnosi się ogólna charakterystyka sejmików, podana w pełném treści i głębokich spostrzeżeń zakończeniu dzieła. Sejmik jest zasadniczą jednostką organizacyi Rzpltéj, jéj działalności i jéj życia. Jest on składową częścią całéj jéj budowli politycznéj, ale nie stanowi organu podwładnego wobec państwa, wznosi się na stanowisko z niém równorzędne, na to samo, na którém państwo stoi. Dochodzi do takiego wpływu, że przybiéra charakter jakoby niezawisłego terytoryum, państwa udzielnego. Reprezentuje gminę szlachecką, zorganizowaną w jednę spoistą całość, która ma strukturę mocną, twardą, nieprzenikliwą. Nie dopuszcza do siebie żadnych ży-

wiołów obcych, na wewnątrz rządzi się zasadami równości, braterstwa, wobec państwa broni uprzywilejowanego stanowiska i coraz bardziéj je rozszerzyć usiłuje. W zaskorupieniu korporacyjném nie wznosi się do pojęcia obywatelskości, jest tylko wyrazem i zewnętrzném odbiciem stanowości. Pojęty jako całość sam w sobie, stał on obok innych podobnych kilkudziesięciu całości, które razem wzięte, składają się na organizm Rzeczypospolitéj. Ale z temi innemi całościami, choć ich części składowe te same, nie zawsze łączy się bratersko, niekiedy idzie luzem. Więc kiedy te inne całości przez usta swoich wysłanników głosują na sejmie za pewną ustawą, cofa się i nie pozwala rozciągnąć ustawy na siebie, zrywa sejm, sankcyonuje *liberum veto.* W zakresie administracyi w obszerniejszém tego słowa znaczeniu sięga po coraz nowsze zdobycze i rozbija sprężystość jednolitego zarządu Rzeczypospolitéj. Nie chce tedy zachować właściwéj miary, nie chce ograniczyć się do téj roli, która mu z istoty rzeczy przypadała. Jako siła społeczeńska staje do walki z siłą państwową. Równowaga obu tych sił na wąskiéj spoczywa krawędzi. Zwycięstwo państwa nad społeczeństwem przybija i niweczy indywidualność ducha; zwycięstwo społeczeństwa nad państwem rozprzęga siłę jego organizacyi politycznéj [1]). Korporacyjnego szlachecko-stanowego charakteru nie stracił wprawdzie sejmik do końca istnienia Rzeczypospolitéj, do tego bowiem stosunki ówczesnéj Polski nie były jeszcze dojrzałe; ale dla przywrócenia równowagi między elementem społecznym, a państwowym, uczyniono przecież w drugiéj połowie XVIII wieku nie mało.

Dała nam ta praca obraz rozwoju organizacyi sejmikowéj z czasów stosunkowo późniejszych, bo z t. zw. epoki królów elekcyjnych; pierwszych jéj zaczątków, genezy życia sejmikowego nie tknęła. Ale i to ostatnie pytanie, którego rozwiązania na podstawie starych i nowych, w ostatnich czasach obficie ogłoszonych źródeł, nauka nasza zdawna oczekiwała, zaprzątało oddawna umysł Pawińskiego; jeszcze w r. 1884 w książce o Ostrorogu dawał on nam znać, że się niém zajmuje i że ogłosi osobne o tym przedmiocie studyum. Lubo inne prace oderwały go chwilowo od tego zajęcia, to przecież przyrzeczenia ostatecznie dotrzymał. W r. 1895 pojawiło się nowe jego dzieło, przedstawiające dzieje urządzeń sejmikowych od pierwszych chwil ich tworzenia się aż do pamiętnéj ustawy radomskiéj z r. 1505, któréj zawdzięczamy ostateczną organizacyą sejmu walnego koronnego, taką-jaka już w swych zasadniczych podstawach utrzymała się aż do końca,

---

[1]) Por. moje uwagi w „Przewodniku nauk i literatury“ z roku 1888-go, str. 375 i 376.

istnienia Rzeczypospolitéj [1]). Dzieło to nietylko się łączy treścią z poprzednio omówionėm; stoi téż ono godnie obok niego swoją wartością wewnętrzną. Zapełniło lukę dotkliwie przedtém odczuwaną; nie mieliśmy bowiem książki wyjaśniającéj to pytanie w całości, i to w sposób, któryby odpowiadał dzisiejszemu stanowi źródeł i obecnym wymogom naukowym. Praca Bentkowskiego opiérała się na szczupłym stosunkowo materyale i zarówno w wywodach, jak i poglądach, była już przestarzałą; Łebińskiego rzecz, dotycząca tego samego przedmiotu, choć późniejsza, nie ogarnęła go również wyczerpująco i poruszała się częściowo w kole mylnych wyobrażeń; rozprawa Bobrzyńskiego, wielce cenna zarówno ze względu na nowy materyał w niéj spożytkowany, jako téż nowe poglądy, obejmowała tylko krótki okres panowań, Olbrachta i Aleksandra. Trzeba tedy było pytanie rozpatrzyć na nowo i w całości. Już samo spożytkowanie materyału w ostatnich dwudziestu kilku latach ogłoszonego, kazało się spodziéwać ważnych i ciekawych wyników naukowych. Pawiński zbadał go dokładnie i sumiennie, ale nie poprzestał na nim wyłącznie; sięgnął jeszcze do zabytków rękopiśmiennych i wydobył takie mnóstwo nowych, w części pierwszorzędnéj wagi szczegółów, które też w znacznéj części w dodatkach do dzieła ogłosił, że już sama ich publikacya byłaby mu w stanie zapewnić niespożytą około téj sprawy zasługę. Nie skończyło się wszelako na saméj tylko publikacyi; otrzymaliśmy prócz tego szczegółową, zasadniczych pytań dotykającą, historyą pierwotnych urządzeń sejmikowych. Wyjaśniło się mnóstwo rzeczy pierwszorzędnych bądź to dotąd nieznanych, bądź mylnie pojmowanych. Początek sejmików w Polsce sięga już końca XIV stulecia; sejmiki z r. 1404-go, zwołane w sprawie uchwalenia poboru na wykupno ziemi dobrzyńskiéj, nie są pierwszém tego rodzaju u nas zgromadzeniem. Nie są też zjawiskiem zgoła wyjątkowém przed r. 1454; owszem, ślady ich odbywania, we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitéj, dadzą się odszukać, niemal rok za rokiem przez cały ciąg pierwszéj połowy XV stulecia. W czasie tym sejmik powołany jest wszelako, głównie tylko do stanowienia o poborach, co się da zasadniczo usprawiedliwić uznaną jeszcze w pakcie koszyckim wolnością podatkową szlachty; ci, którzy podatkom nie podlegali, nie mogli być pociągani do świadczeń nadzwyczajnych na cele państwowe bez danego ze swéj strony zezwolenia. Zresztą, orzeka sejmik jeszcze tylko w sprawach administracyi miejscowéj, doty-

---

[1]) „Sejmiki ziemskie. Początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego 1370 — 1505 roku.“ Warszawa, 1895.

czących odnośnéj ziemi; udziału w ustawodawstwie ogólno-państwowém zrazu nie posiada. Dopiéro ustawy nieszawskie z r. 1454 przyznają mu ten udział; stąd wielka ich doniosłość w dziejach ustroju państwa, one bowiem poraz pierwszy stwierdzają wyraźnie udzielność sejmikową; zgodnie z zapatrywaniem, które już poprzednio było wypowiedziane, przyznaje także Pawiński, że w ustawach nieszawskich tkwi właściwy zawiązek i sankcya późniejszego *liberum veto*. Odtąd, wśród sprzyjających okoliczności zdążają sejmiki do coraz większego rozszerzenia swéj władzy; wnet zaczyna się także proces tworzenia jednostek ustawodawczych wyższego rzędu, w których jednak sejmiki nie tracą dawnego swego znaczenia. Przyjęte dotąd dość powszechnie zdanie, jakoby pierwszym typowym sejmem polskim, złożonym z króla, rad koronnych i posłów ziemskich, był sejm z r. 1468, obala Pawiński, wskazując na mylną interpretacyą, jaką dotąd podsuwano odnośnemu ustępowi Długosza; owa jednostka ustawodawcza wyższego rzędu, jaka się teraz tworzy, to przedewszystkiém sejm dzielnicowy, małopolski w Korczynie, wielkopolski w Kole. Tego rodzaju sejm jest właśnie typowym dla całego późniejszegz okresu rządów Kazimierza Jagiellończyka. Dopiéro pod koniec jego panowania nawiązują się coraz silniejsze węzły między obu sejmami dzielnicowemi, doprowadzając w ostatnim wyniku do stworzenia sejmu walnego koronnego, jako zasadniczéj formy sejmowania. Sejmy walne odbywały się już w ostatnich latach życia Kazimierza; od wstąpienia na tron Olbrachta stają się regułą; dawniejsze sejmy prowincyonalne przetwarzają się w zgromadzenia, odbywane w celu wzajemnego porozumienia i wyrównania różnic, jakie zachodziły pomiędzy poszczególnemi ziemiami; są one zatém obecnie tylko zgromadzeniem przygotowawczém, odbywaném przed sejmem walnym, dla którego w rzeczach ustawodawczych ostateczna zachowaną jest decyzya. Prawną sankcyą tego, już poprzednio wytworzonego stanu rzeczy, jest ustawa radomska z roku 1505-go. Wszelako i w sejmach, sejmiki, zastąpione przez swych posłów, wiążącemi instrukcyami opatrzonych, wpływu swego i znaczenia nie straciły.

Wyjaśniły się też w szczegółach i dokładnie dziejowe przyczyny, które na ten szybki rozróst władzy i zakresu działania sejmików stanowczo wpłynęły. Były niemi przedewszystkiém wypadki z czasów panowania Kazimierza Jagiellończyka: naprzód przydługo się wlokąca, przeważnie nieudolnie prowadzona wojna pruska, a w drugiéj połowie jego rządów zapoczątkowana przezeń polityka dynastyczna, w któréj popełniono wiele błędów. Wobec skarbu ciągle wyczerpanego, wobec ustawicznych zaległości pieniężnych, których nie mogło za-

spokoić nawet rabunkowe gospodarstwo królewszczyzn, zdanym był król ciągle na łaskę szlachty, kołatał ustawicznie u niéj o pomoc pieniężną, a nie mógł jéj uzyskać inaczéj, jak tylko przez stopniowe, coraz daléj sięgające ustępstwa. Kiedy Olbracht wstępował na tron, ruch cały był już tak potężny, że król czuł się wobec niego bezsilnym; pustki w skarbie, zapewne i słabość samego Olbrachta ułatwiły ostatecznie zwycięstwo szlachty i sprowadziły, jako konieczne następstwo, za Aleksandra ostateczną sankcyę nowego stanu rzeczy — w ustawie radomskiéj. Już więc w téj pierwszéj epoce swojego rozwoju zdobył sobie sejmik to samo stanowisko udzielne, którego charakterystykę skréślił Pawiński w poprzedniém swojém dziele o rządach sejmikowych w epoce królów elekcyjnych.

Sprawa rozwoju organizacyi sejmikowych w wiekach średnich łączy się tak ściśle z genezą samego sejmu, że Pawiński musiał tu także z konieczności dotknąć pytań, dotyczących urządzenia pierwotnych sejmów. Praca jego przedstawia tedy wielką wagę także i dla téj ostatniéj kwestyi; pod tym względem jednak będzie musiała być uzupełnioną jeszcze historyą rady królewskiéj (senatu) z wieków średnich, drugiego głównego składnika sejmów, którego losami autor pracy bliżéj się nie zajął. Sama zaś historya sejmików oczekuje jeszcze uzupełnienia z okresu środkowego, t. j. z lat 1506—1572.

Nie był jeszcze ukończony druk „Sejmików ziemskich”, kiedy się pojawiły pierwsze groźne objawy choroby, która wnet potém przeciąć miała pasmo dni żywota zasłużonego historyka. Wyczerpany nadmierną, ustawiczną pracą organizm, począł odmawiać posłuszeństwa. Ale kiedy przyszło chwilowe polepszenie, wrócił niestrudzony badacz do zajęć naukowych. Owocem tych jego ostatnich zabiegów była niewielka objętością rzecz o Michale Gröllu, księgarzu warszawskim z czasów Stanisława Augusta, najwybitniejszym obok Dufoura przedstawicielu tego zawodu w ostatnich czasach istnienia Rzpltéj [1]). Ciekawy to szkic: wyjaśniający nietylko daty biograficzne, nietylko zasługi Grölla około rozwoju literatury przez rozwinięcie przedsiębiorstwa nakładowego na szerokie rozmiary i zasługi jego, bardzo wybitne, około podniesienia sztuki typograficznéj polskiéj; ma on znaczenie także i przez to, że rzucił jasny promień światła na ówczesne stosunki księgarskie wogóle, jakotéż na związek ich z współczesnym rozwojem literatury i wzajemne obu tych czynników oddziaływanie na siebie.

Było zwyczajem Pawińskiego, zajmować się tego rodzaju po-

---

[1]) „Michał Gröll na tle epoki Stanisławowskiéj, z dodaniem spisu wydawnictw Grölla, ułożonego przez Zygmunta Wolskiego.“ Kraków, 1896.

mniejszemi pytaniami zazwyczaj po ukończeniu jakiéjś większéj, zasadniczego znaczenia pracy, jak gdyby dla odpoczynku i przygotowania sił do nowych, na szersze rozmiary założonych publikacyi. Gdyby wszystko zostało było po dawnemu, moglibyśmy się byli spodziéwać dalszych ważnych studyów naukowych, dalszych cennych wydawnictw materyałów historycznych. I wiemy na pewno, że Pawiński nietylko się nosił z zamiarem ich ogłoszenia, ale już nawet je przygotowywał. W pracy o sejmikach ziemskich zapowiada wydawnictwo zbioru aktów publicznych z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Skądinąd doszły nas wieści, nie wiem, o ile zasadne, że miał już przygotowany materyał do trzytomowego zbioru średniowiecznych dyplomatów mazowieckich, rzecz pierwszorzędnéj wagi naukowéj, jeśli się uwzględni, że w szeregu wyczerpujących, krytycznych publikacyi dyplomataryuszów średniowiecznych, jakiemi nas obdarzyły ostatnie czasy, jedno tylko Mazowsze ze wszystkich dzielnic Polski Piastowskiéj, nie jest jeszcze w sposób odpowiedni przedstawione. Może téż byłby się znalazł czas, ażeby ostatecznie opracować wydanie średniowiecznych zapisek sądowych łęczyckich, których tekst wydrukował Pawiński jeszcze blisko przed dwudziestu laty. Co zresztą jeszcze byłaby mogła przynieść nam w dalszym ciągu jego niezmordowana zapobiegliwość naukowa— któż to dziś osądzić potrafi? Dzień 24 sierpnia 1896 r. rozwiał wszystkie nadzieje. Strętwiała na zawsze ręka pracownika; uleciał duch, którego twórczość tyle się do postępu naszéj nauki przyczyniała.

Zamknęła się księga jego żywota. My, którzyśmy patrzyli na to, jak się zapisywały poszczególne jéj karty, żałujemy z duszy, że mu nie było daném zapisać ich więcéj; ale już i to, co z niéj wyczytać można, jest i poważném, i piękném—i takiém, że daje powód do uwag zasadnych.

Z jakiego stanowiska oceniać działalność Pawińskiego? Mniemam, że mu się to należy ze względu na cały charakter i kierunek jego pracy, ażeby ją rozważać ściśle jako działalność naukową. Był Pawiński uczonym „z Bożéj łaski"; wniósł do nauki wielką chęć poznania tego, co było jeszcze ciemném, nieprzepartą dążność szukania prawdy i świętą miłość prawdy saméj; całą swoję usilność zwrócił do tego, ażeby nierozwiązane pytania według sił i możności rozjaśnić; wiele z nich, i to ważnych, poruszył, i rzucił na nie jasny snop światła. Jako historyk badał zjawiska dziejowe, ustalał ich istotę, tłómaczył genezę i rozwój; w tém znajdował swój cel pierwszy; czy mamy prawo przypuszczać, że nie jedyny i wyłączny?

Ostatni, zasadny sąd co do pytania, jakie w tym kierunku położył zasługi, należy do przyszłości. Był dzieckiem swojego czasu, a jako historyk szedł w tym samym zasadniczym kierunku, co i całe dzisiejsze dziejopisarstwo: miał te same naukowe cele na oku, używał tych samych środków, posługiwał się tą samą metodą badania. Jaką jest doniosłość owych celów, jaką wartość stosowanéj metody, o tém my, w zatoczoném dziś kole wyobrażeń działający, nie jesteśmy powołani wyrokować ostatecznie; przyszłe pokolenia, patrząc na dzisiejszy kierunek dziejopisarski jako na fakt historyczny, z perspektywy i wyższego stanowiska, wyzwolone z pod wyłącznego wpływu reguł, które dzisiaj są dla nas rozstrzygającemi, a przecież doskonałemi zapewne nie są, będą mogły i znaczenie kierunku samego i stanowisko poszczególnych jego przedstawicieli, ocenić dosadniéj, spokojniéj i całkiem przedmiotowo. Biorąc wszelako rzecz, jak się nam ona obecnie przedstawia, mamy prawo i obowiązek zestawić i przypomniéć pewne fakty i rysy z działalności Pawińskiego, które służyć mogą za wskazówkę do określenia jego stanowiska w odniesieniu przynajmniéj do tego podkładu, na którém się ono urodziło — na tle stosunków historyografii dzisiejszéj.

Więc najpierw fakt pierwszy: Spuścizna, jaką nam zostawił, wynosi w ogólném obliczeniu 17 tomów wydawnictw źródłowych, 14 pomniejszych artykułów naukowych, 20 prac większych, pośród nich kilka, ze względu na przedmiot i sposób opracowania pierwszorzędnéj doniosłości. W zwykłych warunkach musiałoby się złożyć kilka bardzo pracowitych żywotów na to, ażeby razem doprowadzić do takiego wyniku ilościowego w produkcyi naukowéj. Przytoczone cyfry są nietylko probierzem wydatności pracy Pawińskiego i jego po wsze czasy żywéj, ciągle odradzającéj się dążności do rozświetlania coraz to nowych, dotąd pomroką osłoniętych zagadnień; są one zarazem, pod pewnym względem, miarą jego zasług w nauce.

Wielki procent wydawnictw surowego materyału źródłowego wskazuje, w czém dopatrywał się warunków postępu naszéj pracy dziejopisarskiéj. Więcéj i coraz więcéj źródeł, ażeby na nich oprzéć pewniejsze wnioski, głębiéj sięgnąć w tajniki przeszłości, szersze na ich podstawie ogarnąć pytania — oto hasło, przy którém stał wiernie przez całe życie. To hasło, w czasie kiedy działał, rozbrzmiewało na całym obszarze historyografii polskiéj, wiemy, że stało się ono jednym z zasadniczych szlaków całego jéj rozwoju w ostatniém ćwierćwieczu, jednym z głównych powodów jéj odrodzenia i rozkwitu. Szedł Pawiński tu ręka w rękę z innymi, którzy nad wydawnictwem źródeł z tego lub innego okresu, dla rozjaśnienia téj lub owéj sprawy pracowali;

a to poczucie jego o potrzebie wydobywania coraz to nowych szczegółów na jaw, szło tak daleko, że nie przepominał o niéj nawet wtedy, kiedy przestawał już być wydawcą, a sięgał do konstrukcyi naukowéj. W szeregu jego rozpraw i dzieł historycznych, począwszy od najdrobniejszych, skończywszy na największych, nie ma chyba żadnego, któreby się oparło wyłącznie na źródłach poprzednio już ogłoszonych, choć i one nieraz mogły wystarczyć same przez się do sformułowania ważnych wniosków naukowych; każda jego praca opiéra się nadto jeszcze — w mniejszym lub szerszym zakresie — na materyałach rękopiśmiennych, tak że po części też sama zastępuje wydawnictwo; nieraz te przygodnie zużytkowane, w przypiskach lub dodatkach podane źródła przedstawiają pierwszorzędną doniosłość; że tu dla przykładu wymienimy tylko szereg ważnych aktów, ogłoszonych w jego dziele o sejmikach ziemskich średniowiecznych.

Podany powyżéj szczegółowy przegląd jego pracy naukowéj, okazał wielostronność umysłu i talentu pisarza. Próbował sił w najrozmaitszych działach nauk historycznych, począwszy od archeologii, skończywszy na historyi politycznéj. Ale to, czemu najwięcéj trudu poświęcił, co się przez całą jego działalność przewija jakoby nić czerwona, w czém sobie najwięcéj zyskał uznania i najwięcéj przysłużył się nauce, to jego badania nad wewnętrznym ustrojem Polski, społecznym i państwowym. Jak gdyby dla zaznaczenia tego kierunku, na wstępie jego zabiegów naukowych, stoi, jakoby drogowskaz, jego praca o komunach miejskich, na końcu dwa wielkie dzieła o sejmikach polskich; to, co się między obu granicznikami zawiéra, odnosi się również w przeważnéj części do tych samych stosunków. Ten, tak wybitnie zarysowujący się kierunek naukowy Pawińskiego, stoi również w ścisłym związku z współczesnym ruchem historyograficznym polskim, który, porzucając dawną, dość niepodzielnie panującą formułkę tłómaczenia zjawisk dziejowego życia Polski wypadkami zewnętrznéj polityki, zwrócił baczną uwagę na wyjaśnienie stosunków wewnętrznych narodu i państwa. Jak zwykle w takich razach bywa, kierunek ten wpadł nawet w pewną jednostronność; wiemy, że dzisiaj ilość prac, poświęconych historyi politycznéj Polski, stanowi bardzo nieznaczny procent w ogólnéj produkcyi naukowéj. Na poczet zasług Pawińskiego zapisać się godzi, że nie przepomniał i o tych sprawach; prócz kilku rozpraw, poświęconych z osobna historyi politycznéj, badał nadto także wpływ wypadków politycznych na urządzenia wewnętrzne i przez to tém pewniejsze i tém bardziéj zasadne mógł nam tu przedstawić

wyniki naukowe. Dowodem: jego dzieła o skarbowości i sejmikach ziemskich.

Z licznego pocztu spraw wewnętrznego życia Polski, jakie zaprzątały jego umysł badawczy, wybrał dwie przedewszystkiém, na które główną zwrócił uwagę i których rozpoznaniu przeważną część swojego życiał poświęcił: organizacyą rządu, czy to w kształcie zdecentralizowanych rządów sejmikowych, czy téż w jednéj z funkcyi rządu centralnego, jaką był naczelny zarząd skarbowy; a powtóre: stosunki zaludnienia i związane z tém stosunki życia gospodarczego społeczeństwa, zwłaszcza dzieje i rozwój własności ziemskiéj w Polsce; oba — czynniki pierwszorzędnéj doniosłości dziejowéj. Niektóre z należących tu prac, jak mianowicie: jego badania z zakresu statystyki historycznéj, wprowadzając do dziejopisarstwa naszego moment niemal zupełnie poprzednio mu obcy, otwiérając w niém nowe, nieznane poprzednio widnokręgi, nabiérały przez to osobnéj, szczególnéj wartości.

Okresem, który zwrócił na siebie najpilniejszą jego uwagę, były czasy Stefana Batorego. Jemu poświęcił wielką część swoich wydawnictw, nim téż zajmował się w wielu z ogłoszonych przez się prac samoistnych. Nawet w tych dziełach, w których zwróciwszy się do zbadania rozwoju poszczególnych instytucyi państwowych, sięgnąć musiał, z natury rzeczy, po za granice tego okresu, omawia przecież czasy Batorego z szczególną dokładnością i najbardziéj wyczerpująco. Osobistość znakomitego króla, jego męska, ze spiżu wykuta natura mogły w istocie same przez się roztoczyć dostateczny urok, ażeby zwrócić na siebie poważną uwagę badacza téj miary, co Pawiński. Ale działały tutaj niewątpliwie jeszcze inne pobudki zasadnicze. Czas panowania Batorego, lubo krótki, ma w dziejach Polski pierwszorzędne znaczenie. Rozkiełzał się już był podówczas, skutkiem dwu pierwszych bezkrólewi, szeroki ruch szlachecki, zmierzający do zagarnięcia jaknajszerszéj władzy w państwie, druzgocący, w niepowstrzymanym biegu, resztki, jeżeli nie mocy, to przynajmniéj powagi królewskiéj, jaką mieli ostatni Jagiellonowie na tronie polskim. Przyszedł król z urobioném, silném poczuciem władzy monarchicznéj, zapatrzony na wzory zachodnie, gdzie ta władza coraz silniéj się gruntowała, rozumiejący całe niebezpieczeństwo owego ruchu, wyposażony dostatecznym zasobem energii, ażeby z nim podjąć walkę i stawić mu otwarcie czoło. Nikt po nim już téj walki na seryo nie prowadził, bo nawet to, co się pod sam koniec istnienia Rzeczypospolitéj zrobiło dla utrwalenia władzy królewskiéj, stało się nie pod wpływem i naciskiem panującego, ale z inicyatywy ciężko doświadczonego, a przez to trzeźwiejącego społeczeństwa. Czasy Batorego są zatém ostatnią poważną rozprawą

rozkładowych dążności szlachty z pierwiastkiem monarchicznym. Zbadać cały ten proces walki, oto zadanie pierwszorzędnéj wagi dla historyka — i historyi; odpowiedź, jaka się stąd nasunie, będzie zarazem wyjaśnieniem, dlaczego rozwój wewnętrznych dziejów Polski w następnych wiekach poszedł w tym, jaki widzimy, a nie innym kierunku. Całości pytań, wiążących się tu razem, nie zdołał ogarnąć Pawiński, ale wyjaśnił kilka najważniejszych: wykazał, jak w onych właśnie czasach wzmogło się i przybrało na znaczeniu, rozmiarach i wewnętrznéj sile sejmikowanie szlacheckie, rozpatrzył szczegółowo rozumną politykę skarbową Stefana, piętrzone wobec niéj ze strony szlachty trudności, i polityki téj w głównych sprawach ostateczne niepowodzenie.

Istota pytań, rozbiéranych przez Pawińskiego, nie pozwalała jednak z reguły zamknąć się ściśle w okresie dziesięcioletnich rządów Batorego. Badając czynniki wewnętrznego życia państwowego, musiał dla dostatecznego ich oświetlenia i rozpoznania ogarnąć zwykle większe przestrzenie czasu. Zwracał się wtedy do bezpośrednio Batoremu poprzednich czasów obu ostatnich Jagiellonów i Henryka Walezego. Tak postąpił w swych badaniach o skarbowości za Stefana i o stosunkach zaludnienia i własności ziemskiéj w Polsce. Jego działalność dziejopisarska obejmuje tedy przedewszystkiém wiek XVI; temu wiekowi poświęca nawet wielką część innych prac, nie wkraczających już w okres panowania Batorego. Wyjątkowo, jak w piśmie o Ostrorogu, sięga w wiek XV-ty, składając tu zresztą dowody dokładnego rozumienia ducha i kierunków epoki. Czasów Piastowskich nie dotyka; pominąwszy téż kilka pierwszych wydawnictw i kilka pomniejszych rozprawek, nie zajmuje się zosobna dwoma ostatniemi stuleciami istnienia Rzeczypospolitéj. To przeważne ograniczenie się do wieku XVI-go powoduje, że badania jego nad instytucyami państwowemi Polski nie przedstawiają nam całkowitego ich rozwoju, od początku do końca, jeno poszczególne tego rozwoju fazy w rzeczonym okresie. Tylko w obu pracach o sejmikach ziemskich wybiegł daleko po za te granice i przedstawił całość dziejów sejmikowania polskiego, od jego zawiązków aż do ostatniéj chwili, z krótką tylko przerwą niecałych siedmdziesięciu pierwszych lat stulecia XVI, których opracowania bylibyśmy się może doczekali, gdyby mu było dłużéj starczyło życia.

Kierował swój zmysł badawczy do przedmiotów rozmaitéj wartości naukowéj; nie gardził nawet pytaniami drobniejszemi, skoro się nasunęła sposobność ich rozwiązania i można się było stąd spodziéwać pożytku dla nauki. Ale głównie i przedewszystkiém zajmowały go rzeczy zasadniczego znaczenia; stosunki i sprawy, które w dziejowym

rozwoju Polski miały wpływ pierwszorzędny i rozstrzygający. W tém leży monumentalność zabiegów naukowych Pawińskiego; trzeba dodać, że była także monumentalność w samém ich przeprowadzeniu i wykonaniu! Z dobréj szkoły getyngskiego historyka wyniósł dokładne zrozumienie, jaką wartość ma ścisła metoda badawcza: przy tematach o najszerszym zakresie rozpatrywał dokładnie szczegóły najdrobniejsze i odważał znaczenie każdego z nich; ale to, co samo zresztą jest już pożyteczném w nauce, a dla wielu przedstawia się jako ostatni szczebel i ostatni wyraz ich pracy, było dla niego tylko podstawą i materyałem do tworzenia potężnych konstrukcyi naukowych, o śmiałych, wybitnie zarysowujących się liniach. Dążył też zawsze do tego, ażeby rzecz każdą uchwycić z gruntu: wyjaśnić najistotniejsze znamiona badanych instytucyi, zasadniczy charakter omawianych stosunków, a zarazem też przedstawić najgłębiéj sięgające motywa historyczne, którym stosunki te zawdzięczały swój początek i dalsze swoje ukształtowanie się w historyi. Z tém łączy się jeszcze dalsza właściwość jego talentu: że w kreśleniu tych stosunków umiał szczęśliwie połączyć rozbiór ich statyki z przedstawieniem dynamiki dziejowéj. Z prac jego wyrozumiewamy zawsze, jak pewne instytucye, przedstawiają się w danéj chwili w pełnéj, organicznéj całości, jak niemniéj, jak one późniéj w szczegółach, czy też co do całéj swéj istoty się zmieniają. Badał rzeczy i wzdłuż i wszerz i wgłąb; dzierżył w swém ręku nietylko rylec dziejopisarski, ażeby nim kreślić po powierzchni, ale i dłuto, ażeby kuć posągi—o trzech wymiarach.

Jakim był w owych kreacyach większych, w których się zajmuje badaniem życia społecznego i państwowego, takim odnajdujemy go też nieraz i w pracach mniejszych, które poświęca poszczególnym osobistościom historycznym. Pod jego piórem nabiérają one krwi i ciała, ruszają się, myślą — żyją. Stara się im zajrzéć do najgłębszych tajników serca i duszy; z dociekaniami historycznemi łączy zarazem studyum psychologiczne. Tak szczegółowéj analizy psychicznego charakteru Zygmunta I-go, jaką nam dał w szkicu o młodości królewicza, nie mieliśmy dotąd w literaturze naszéj, a nie wiadomo, jak długo przyszłoby nam było czekać na nią, gdyby jéj nie był podjął Pawiński. Miał w sobie coś z Macaulay'a, jak w tamtych rzeczach niejedno z Tocqueville'a lub Gneista; nie miał tylko nic z Droysena lub Treitschkego, bo uważał, że historya może wprawdzie bezwinnie nie dotrzéć do całéj prawdy, ale świadomie fałszować jéj nie powinna.

Początki jego działalności naukowéj schodzą się niemal dokładnie z chwilą, od któréj datujemy nowy ruch w historyografii naszéj, a cała jego późniejsza praca przypada na dalsze czasy kolejnego wzro-

stu i rozwoju tego ruchu,—o którym rozumiemy, że w stosunku do tego, co było dawniéj, był istotnym postępem i przyniósł rzetelne dla nauki, dawniéj niedostępne zdobycze. Było szczęściem dla Pawińskiego, że mu w tym właśnie czasie i w takich warunkach przypadło wystąpić w szranki naukowe; było szczęściem dla dzisiejszéj naszéj historyografii, że w Pawińskim pozyskała współpracownika. Co Pawiński przejął w siebie gotowego z nowego kierunku dziejopisarskiego, a co wydał sam z siebie dla jego podniesienia i udoskonalenia, to pytanie tak subtelne, że o dokładną odpowiedź niepodobna się pokusić; ogólnie biorąc, można wszakże stwierdzić, że dali sobie wzajem wiele i wiele się też wzajemnie około siebie zasłużyli. Jaką jest bezwzględna wartość tych zasług, o tém — wiemy — sądzić będzie dalsza przyszłość; jeśli jednak jéj sąd wypadnie na korzyść dzisiejszego kierunku, jeśli się znajdzie uznanie dla jego celów, środków i metody naukowéj, to będzie można Pawińskiemu wyznaczyć miejsce i zaszczytne bardzo, i bardzo poważne, nietylko w historyografii dzisiejszéj, jak my to z całém przekonaniem czynimy, ale w ogólnym panteonie wiedzy polskiéj, téj, która już próbę czasu przetrwała, i to, co w niéj było śpiżowego, na zewnątrz przejawiła.

Oswald Balzer.



Z NOWYCH POEZYI.

I.

WALCOWNIA.

Rozległa hala, pomroczna hala,
Rząd walców warczy i warczy.
Zgrzytnęła blacha... ręce opala...
Chwytaj w obcęgi!... Pociągaj zdala
Póki sił starczy!...

Po desce stąpa postać tytana,
Do walców z blachą wprzód kroczy,
Wraca i kroczy... Stąpa od rana...
Ćwierć wieku stąpa!... Twarz obłąkana,
Posępne oczy.

Gdyby mu była dola skrzydlata
Kazała tułać się w dali,
Byłby już może obszedł pół świata!
Krocząc po desce, choć przeszły lata,
Nie wyszedł z hali!

Przygasły lampki, bieleją ściany,
Rząd walców wciąż głucho warczy.
Już ranek świta przez pułap szklany!
Odrzuć obcęgi, fartuch skórzany,
Siły nie starczy!...

Tytan przystanął... patrzy do góry...
Dokoła jasność rozlana,
Głuchną maszyny, znikają mury,
A on śród białéj wznosi się chmury,
Gdzie cisza... cisza świetlana...

Zagrzmiały walce... Ręka tytana
Kurczowo obcęgi chwyta...
Co to?... Sen zmroczył?... Dłoń krwią oblana?...
Czuwaj!... Tu deska... deska drewniana
I blacha zgrzyta!

II.

ZADUSZKI.

Koło ruin huty staréj
W noc zaduszną straszno chodzić.
Kiedy pocznie wiatr zawodzić,
Mgły przewalać przez obszary,
Wtedy zwolna śród zwaliska
Nad ścianami łuna błyska,
Jakąś głuchą słychać wrzawę,
Lud upiorów wstaje z ziemi
I rękami cienistemi
Wlecze z ogniów węże krwawe.
Coraz silniéj łuna bije!
Kto tu poległ — znowu żyje!
Każda matka z okolicy,
Każda żona, lub dziewczyna,
Gdy nie zbłądzi śród ciemnicy,
Znajdzie brata, męża, syna.

Syn ku matce zwróci oczy,
Mąż na żonę spojrzy łzawo,
Potém toną we mgłę krwawą,
Huta gaśnie, noc ją mroczy.
Tylko czasem cień kochanka
Krąży dłużéj z mgłą przez drogi —
I po śmierci bez ustanka
Przed kochane spieszy progi!
Lecz daremno krąży w mroku!
Wraca blady do mogiły,
Bo do lubéj już w pół roku
Wszystkie ścieżki się zmieniły! —
Prócz kochanka w noc pomyka
Siwobrody cień Skarbnika,
Między stare patrzy mury,
Czasem w ścianę zakołata,
Lub ostrzeże, lub omami,
Cień milczący i ponury,
Ach, on w nikim nie miał brata!
Nie znał, co to przyjaźń słodka!
Żył na świecie przed wiekami
I po wiekach po nim błądzi,
Chociaż umarł, światem rządzi,
Biada temu, kogo spotka!
Życie ludzkie, choć najkrwawsze,
Jego duszy nie poruszy!
Obcych skarbów strzegł on zawsze
I po śmierci strzeże daléj!
Czasem tylko śród chodników,
Zanim skała się powali,
Puka lekko na górników,
Oni spieszą wnet ku szali,
Gasną lampki, drży sklepienie,
Po omacku mkną przez cienie,
Lecz nikt na dnie nie przepadnie! —
Koło ruin huty staréj
W noc zaduszną cień Skarbnika,
Kiedy pierzchły wszystkie mary,
Niewidzialne drzwi odmyka.

Rozejrzawszy się dokoła,
Schodzi wolno do piwnicy,
Dłonią kryje płomyk świécy
I posuwa się do stoła.
Stawia świecę, potém długo
Szuka klucza ręką drugą,
Wreszcie zbliża się do ściany,
Kędy skarbiec wmurowany.
Klucz obraca drżąca ręka,
Zardzewiały zamek szczęka,
Spadły sztaby... Śród komory
Widać stosy, widać wory!
Starzec składa je na stole,
Liczy, liczy... Lecz co chwila
Łysą głowę w tył przechyla,
Wodzi drżącą dłoń po czole,
Lekkim ogniem twarz się pali...
Przypomina... liczy daléj.
Zliczył wszystko, wory składa,
Klucz obraca, milcząc siada,
Znowu w tył przechyla czoło,
Gdzieś w dal patrzy... W tém śród mroku
Widzi jakiś lud w natłoku,
Żebrze oczy zapadłémi,
Nie śmie mówić, lecz wokoło
Aż czapkami sięga ziemi...
Starzec zadrżał, z krzesła skoczy,
Ręką gniewnie ujął brody,
Groźno palcem ku drzwiom skinął,
Nagle pobladł, przymknął oczy
I powoli na jagody
Gorzki uśmiéch mu wypłynął...
Siadł, bezradne spuścił dłonie,
Jakiś dziwny ból drży w łonie,
Nienazwany, ukrywany,
Nikt go nigdy nie dostrzegał,
Tak głęboko w duszę wbiegał!
Milczał wieki starzec twardy!...
Lecz ilekroć śród komory
Licząc stosy, licząc wory,
Ujrzał w ciszy tajemniczéj.

Tam na progu tych nędzarzy,
Wtedy oprócz zimnéj wzgardy
Ukazywał się na twarzy
Uśmiech smutku i goryczy...

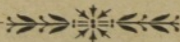
Tak od wieków za tym stołem
Ludzki upiór milcząc siada
I od wieków zwartém kołem
Staje ludzkich widm gromada
I sięgając czapką ziemi
Żebrze oczy zapadłemi!

Andrzej Niemojewski.



WILLIAM MORRIS

i sztuka ozdobnicza w Anglii.



Dzień 3 października b. r. zostanie zaznaczony czarnym kamykiem w rocznikach anglo-saskiego świata, dzień to bowiem śmierci Williama Morrisa, znakomitego poety i najwszechstronniejszego artysty, jakiego wydało społeczeństwo to w naszém stuleciu. Powiodło mu się dokonać prawdziwéj rewolucyi w pojęciach i zapatrywaniach swego narodu na piękno plastyczne. Ideał, któremu służył z nigdy nie stygnącym zapałem, od lat młodzieńczych do ostatniego tchnienia, jednoczył w sobie dobro i prawdę w pięknie. Ono górowało, podług jego przeświadczenia, nad wszystkiemi dodatniemi pierwiastkami zbiorowego życia. Modyfikując jego modłę, stawiając przed światem jego typy i wzory we wszyskich formach abstrakcyjnych i plastycznych, stał się reformatorem społecznym. Jedna tylko osobistość stoi wyżéj od niego jako inspirator i przewodnik tego Odrodzenia artystycznego, które się dokonało wśród świata brytańskiego w drugiéj połowie naszego stulecia: mamy tu naturalnie na myśli żyjącego do dziś dnia, jowiszowego starca, Johna Ruskina. Ale Ruskin jest wyjątkowym geniuszem, który górować będzie nad całém duchowém życiem Anglików. Nie zmniejsza to ani sławy, ani znaczenia Williama Morrisa, że się rozgospodarował w jednéj jego prowincyi i skrystalizował w czynie część jego etycznego i estetycznego kanonu, a przeciwnie chwalić mu

się będzie po wsze czasy, iż znalazł w sobie dość zmysłu praktycznego, energii i wytrwałości, ażeby przyłożyć rękę do rzemiosła i stać się samodzielnym wykonawcą rozległego planu. Trzeba zejść po historycznéj drabinie aż do epoki Medyceuszów i kulminacyjnego rozkwitu sztuki włoskiéj pod sterem takich artystów jak Buonarotti, Vinci, Cellini i t. d. ażeby znaléźć typ tak wielostronnie wykształcony w sztuce i działalność praktyczną płynącą tylu strumykami z jednego i tego samego źródła, pod jedném i tém samém natchnieniem. W naszéj epoce gwarnéj i ruchliwéj, wiodącéj do atomowego rozdrobnienia specyalności, owo nadzwyczajne wytężenie umysłu do jednego celu, owo ugrupowanie sił do wprowadzenia w czyn zasad, idei i smaku wręcz przeciwnych tym co panowały uprzednio, wydawać się musiało z razu eksentrycznym wybrykiem i skazaném na rychłą zagładę. Ale gdy jedne dziesiątki lat po drugich pokazywały Williama Morrisa wiernie stojącego przy swym ideale artystycznym, gdy się mnożyły dzieła jego sztuki, gdy dzięki ich rozpowszechnieniu zmieniał się cały wygląd życia społecznego, wtedy zrozumiéć musiały i najpospolitsze umysły, że nie był to żaden przelotny kaprys mody, ale z głębi duszy narodowéj wysnute przędziwo. I uznano jego oryginalność, jego wartość, zrozumiano jego moralną syntezę i cele podniosłe, którym służył. Te czynniki w jego osobistości, które zdawały się nie harmonizować jedne z drugiemi i nawet wzajemnie się wykluczać, jak np. socyalizm a powrót do gildyi i korporacyi średniowiecznych, jak wyrabianie i sprzedawanie sprzętów domowych i ozdób a pisanie epicznych poematów, stały się wzajemnie się dopełniającémi ogniwami łańcucha. Społeczność uznała go, w ostatnich latach jego pracowitego życia za mistrza, za przewodnika, za dobroczyńcę, który potrafił promieniem czystego piękna rozświecić i uszlachetnić pospolite i prozaiczne środowisko. Wobec tych okazów powszechnéj sympatyi, musiało zmięknąć serce energicznego atlety i odrzuciło niejedną z dawniejszych wyłączności, niejedno ciasne uprzedzenie, któremi się w latach nowicyatu opancerzał jak bronią odporną. Ale co szlachetnéj jego duszy musiało być cenniejszém jeszcze od tego spóźnionego hołdu, który mu składano, to owo przeświadczenie, że dzieło jego nie skończy się z jego śmiercią, że utworzył szkołę, że orszak jego adeptów będzie krzewił drogie mu idee, że ideał artystyczny przeszedł z jego duszy w zbiorową duszę całéj inteligencyi współczesnéj i że jako niepodzielna spuścizna przejdzie do przyszłych pokoleń.

Piękna to tedy osobistość i piękna działalność. Treściwy jéj zarys nie będzie może obojętnym dla czytelników naszych.

William Morris urodził się w 1834 r. w Walthamstow, nieopodal od Londynu, w wiejskiéj posiadłości swych rodziców. Ojciec jego pozyskał był znaczną fortunę w handlu i było to zawsze rażącą sprzecznością widzieć Williama walczącego zawzięcie z organizacyą współczesnego przemysłu, handlu i patronatu wogóle, lubo środki materyalne do téj walki i całą tę zamożność, wśród któréj wzrósł i która towarzyszyła mu przez życie, właśnie tym prozaicznym ale praktycznym zajęciom ojcowskim zawdzięczał. Rozpocząwszy swe nauki w świeżo utworzoném wzorowém kolegium Marlborough, przeszedł następnie do uniwersytetu w Oxfordzie. Chociaż pracowity student, nie ubiegał się o zaszczyty i odznaczenia naukowe. Liberalne rozbudzenie się ducha w starém i zachowawczém gnieździe oświaty wyraziło się było, podczas jego pobytu na uniwersyteckich ławkach, w ruchu Puseizmu, i oddźwięknąć musiało na jego młodéj, entuzyazmu pełnéj osobistości. Gdy najpoważniejsza z instytucyi krajowych, kościół anglikański, zadrżał w swych podstawach pod wpływem idealistycznych reformatorów, to nie dziwota, że młodzieniec w tym wirze się znajdujący stracił odrazu cześć dla ustalonych powag, dla urobionych opinii, dla całego towarzyskiego konwencyonalizmu i że wyrobił w sobie ducha niezależnego, samodzielnego. Jednocześnie zetknięcie się z gronem artystów i poetów wysoce oryginalnych jak Edward Burne-Jones i Dante-Gabriel Rosetti, zbliżyło go do grupy Pre-rafaelitów, która tak olbrzymią rolę odegrała w estetycznym rozwoju społeczności. Widocznie, było pokrewieństwo duchowe między Morrisem a nimi, skoro przez cały ciąg swego zawodu stał wiernie przy ich boku i ich ideały raz na zawsze swojemi uczynił. Specyalnie powołania sobie obrać nie było mu pilno, ale czuje że go do siebie ciągnie piękno, że pragnie, że powinien zostać artystą. Waha się pomiędzy twórczością poety a plastycznego artysty. Jeszcze jako student wydaje miesięcznik dla swych kolegów i pisze do niego poezye i szkice artystyczne; w rok po opuszczeniu uniwersytetu ogłasza, w 1858, pierwszy ze swych wielkich poematów epicznych — *Defence of Genevere* — o formie już kunsztownie wykończonéj, o słowie wysoce melodyjném, o wybujałéj, bogatéj obrazowości. Wczytawszy się we Froissarta i stare kroniki, rozpłomienił w swéj wyobraźni poetyczne wizye średniowiecznego świata, i raz normańskiemu gotycyzmowi hołd oddawszy, nie był w stanie innym służyć bogom.

Ale jednocześnie, gdy pisze poemata na starych legendach saksońskich oparte, wśród których się także w tym samym czasie geniusz Tennysona osiedlił, poświęca się sztuce plastycznéj, rysuje wiele a pod kierunkiem i w pracowni najznakomitszego ze współczesnych architek-

tów krajowych, Edmunda Street, słynnego ze swych budowli w stylu gotyckim, odbywa studya gruntowne. Nie zostaje wszelako budowniczym, lecz przez swe obcowanie kilkoletnie wśród malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, przez uczestnictwo w ich pracach, dojrzéwa w nim i kształtuje się ideał artystycznego piękna, którego ucieleśnieniu całe swe życie chce poświęcić. Umiał dostatecznie władać materyą i techniką, ażeby tworzyć nie jako dyletant i amator, ale jako artysta z zawodu. Wysokie intelektualne i poetyckie wykształcenie, które już posiadał, wskazało mu jednak z góry, że forma, choćby najpiękniejsza sama w sobie, nie ma znaczenia, jeżeli nie ożywia jéj myśl, idea wysoka i czysta, i że ten tylko wznieść się umié na wyżyny twórczéj sztuki, kto potrafi znaléźć harmonijną formę plastyczną, najlepiéj odpowiadającą owemu idealnemu natchnieniu, owéj skrze duchowéj. Przy takim wewnętrznym nastroju Morrisa, zrozumiéć nie trudno, że idąc raz za tym, to znowu za innym wyobraźni swéj popędem, jest albo przeważnie poetą, albo artystą plastycznym. Piękno, w jakichkolwiek kształtach, majaczyło zawsze przed duchowym jego wyrokiem i zawsze go do siebie nęciło. Jak trafnie powiedział H. B. Forman, przechodził on z jednego pięknego snu do drugiego, od złotego snu wytycznéj przeszłości do snu o złotém, wymarzonėm jutrze. A nie tylko do jego poezyi to określenie się odnosi lecz do całéj jego duchowéj twórczości.

Nie mając tu miejsca na szczegółowy rozbiór poezyi Williama Morrisa, ograniczymy się do ogólnéj charakterystyki jego twórczości w téj dziedzinie. Nie potrzeba zapewne przypominać jak wybitne zajął on miejsce wśród drużyny współczesnych poetów. Imie jego zawsze było stawiane wraz z Karolem Swinburne'm obok imienia lorda Tennysona. Gdy umarł bard uwieńczony, głos powszechny narodu oznajmił, że jeden z dwóch powinien zostać poetą-laureatem. Jak samo się przez się rozumié, opinie polityczne i socyalne obudwóch nie pozwoliły im stawiać tego rodzaju kandydatury i czyniły samo przypuszczenie o niéj—komicznėm. Czynimy tę wzmiankę jedynie, ażeby podnieść tę wysoką reputacyę, któréj zażywał jako poeta. Gdybyśmy pragnęli jednym epitetem określić naturę jego twórczości poetyckiéj nazwalibyśmy go romantycznym epikiem. Chociaż rzucał od niechcenia czasami kunsztowne liryki, to był bardziéj na własnym gruncie w szerokich rapsodach epicznych, gdzie się fantazya jego mogła rozbujać swobodnie i gdzie znajdował osnowę do owych obrazowych malowideł, w których się artyzm jego przedewszystkiém ujawniał. Jego wrodzona, że tak powiemy, sympatya wiodła go do epopei. Na dowód tego przytoczyć można, że jako studyum przełożył Odysseę Homera i Eneidę Wergiliusza, a przekładu tego dokonał z tą łatwością i giętkością

słowa, z taką kunsztownością formy, na jaką tylko rozkochany w niedościgłym wzorze poeta mógł się zdobyć. Przychodził tam jak naiwny uczeń, a pokazał że był mistrzem.

Ale jeżeli był z nastroju swego epikiem, to dalekim był od klasycznéj modły a Rzym, rzymska cywilizacya była nawet jego duchowéj naturze wstrętną. Światem przezeń wybranym był świat barbarzyńców średniowiecznych, pełen wielkich heroicznych postaci wodzów, najezdników, pogromców niosących z sobą fale nowo na pole dziejowe występujących narodów, pełen walk, zapasów, młodzieńczéj siły, nadludzkich poświęceń, świetnego rycerstwa, turniejów, religijnych ceremonii wśród gotyckich tumów, giermków i paziów, świątobliwych niewiast, złotowłosych księżniczek, minstreli, bardów. Ta atmosfera romantyzmu średniowiecznego już przez samą swą malowniczą, zewnętrzną stronę mogła oślnić i zachwycić jego zmysły tak wielce na nią wrażliwe, ale posiadała w jego oczach jeszcze inną, głębszą wartość. Widział on w niéj istotę swéj narodowéj odrębności. Gdy na gruzach rzymskiéj inwazyi rozmaite normańskie, brytańskie, skandynawskie, gockie plemiona zalewają swemi najazdami w mgłach sinego morza uwitą wyspę jego, wtedy wytwarza się ta rasa o wielu pierwiastkach, przetopiona w ogniu kilkowiekowych energicznych zapasów w jedną organiczną całość, ta rasa co miała w oddalonych stuleciach zapanować ludzkości. Ku téj jutrzence dziejów swego narodu, ku téj epoce, w któréj wyłania się z powijaków i młodzieńczą okazuje rzeźwość, zwraca się zawsze jego muza i nie zna nad nią milszego dla siebie tła i osnowy.

Jeżeli epicki kierunek jego poezyi wszczął się w owéj „Obronie Guinewry" o któréj uczyniona była już wzmianka, jeżeli ugruntował się w poemacie „Życie i śmierć Jazona", poemacie o siedmnastu pieśniach, napisanych pod wezwaniem starego Chaucer'a, owego najpierwszego a zarazem największego poety, jakiego Anglia spłodziła, to wzniósł się do najpełniejszego rozkwitu w poemacie, który wyszedł w 1870 r. na widok publiczny pod tyt. „Earthly Paradise." Ów „Raj ziemski" jest utworem przypominającym swoją formą oderwanych rapsodów o jednéj przewodniéj myśli „Legendę wieków" Wiktora Hugo, lubo jest w niéj więcéj jednolitości i skupienia; ale natomiast szeroka kosmopolityczna idea ludzkości stłumiona jest u poety angielskiego przez chaotyczną roślinność średniowiecznego gotycyzmu. Nie podobna analizować tego uroczego poematu, trzeba czytać jego obrazowe sceny, stawające co moment na rozkaz czarodziejskiéj różczki wieszcza, a ich piękność znaléść musi drogę do naszéj wyobraźni

i płyniemy wraz z nim po owym świecie średniowiecznym, wpatrując się w archaiczne widziadła o tonach błyszczących, a układających się do harmonijnego kolorytu gobelinowych tkanin.

Idąc daléj jeszcze w kierunku narodowego gotycyzmu, cały ostatni peryod twórczości poetyckiéj Williama Morris w ostatnich dwudziestu latach może być nazwany norweskim. Legendy i sagi norweskie, islandzkie, skandynawskie, staro-germańskie porwały go w swój krąg zaczarowany i mityczne postaci jasnowłosych rycerzy w stal okutych, o lwiéj odwadze, a gołębiéj czułości miały w jego oczach pozór rzeczywistych, żyjących ludzi i nabiéraly go nawet dla czytelników, przenikających za złotą nicią jego poezyi do wnętrza owych tajemniczych przybytków. Pieśń o Sigurdzie Vollsungu i upadku Nibelungów jest najdoskonalszym z tych poematów, ale w każdym z innych, a jest ich wiele, są niejedne wspaniałéj piękności rapsody. Całość jest jednak chmurna i zarzucić jéj można pewną monotonię, któréj nie zawsze kryształowe słowo poety zażegnać potrafiło. Jako dopełnienie téj poetyckiéj twórczości W. Morrisa wymienić jeszcze należy powieści fantastyczno-poetyckie, pisane prozą w ostatnich latach, na tle historycznêm IV-go wieku naszéj ery, zapełnione walkami Gotów z Rzymianami. W następujących po téj pierwszéj powieści innych, autor kréślił epizody epoki późniejszéj, ale zawsze jeszcze średniowiecznéj. Prawdopodobnie miały one stanowić syntetyczną całość cywilizacyi germańskiéj.

Cała poetycka działalność W. Morrisa, chociaż znakomita sama przez się, chociaż wystarczająca do zabezpieczenia mu trwałego miejsca w orszaku narodowych śpiéwaków, jest zaledwie jedną, a nawet nie najcelniejszą stroną jego twórczości. Było jednak koniecznością zacząć od niéj jego charakterystykę, aby ułatwić zrozumienie jego twórczości artystycznéj. Tu i tam jednym i tym samym służył ideałom, a skoro słowo jest łatwiejszym dla wielu do zrozumienia przewodnikiem i tłómaczem myśli przewodniéj, aniżeli dzieła sztuki poetyckiéj, przygotować ono już musiało do pojęcia o nastroju duchowym, jaki do niéj przyniósł Morris. Istotnie, jako artysta, zatknął on swój sztandar wśród epoki i wśród szkoły pre-rafaelizmu i był jednym z najgorliwszych orędowników idei i zasad, które ona wyraża.

Pisaliśmy tu niedawno o pre-rafaelizmie obszernie [1]) i nie ma potrzeby do całéj téj kwestyi powracać. Że William Morris, zaprzyjaźniony z dwoma hegemonami téj grupy, z D. G. Rosettim i Edwardem Burne-Jones, zespolić się musiał z ich modłą, było nieuniknionêm.

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za lipiec 1895 r.

Przy swém uzdolnieniu artystycznóm, takiemu doskonałemu rysownikowi nieby nie było łatwiejszego, jak pójść w ślady swych towarzyszy i jak oni, zostać malarzem. Na szczęście jednak Morris zrozumiał, że sztuki piękne nie zamykają się w malarstwie, w rzeźbie i w budownictwie, że są to tylko pewne ich uzmysłowienia, ale że dziedzina piękna ma szerokie rozmiary, że jest w niéj miejsce dla najrozmaitszych przejawów i że jeżeli sztuka ma oddziałać na życie, podnieść je i uszlachetnić, to powinna przeniknąć do samego jądra życia, ogarnąć je we wszystkich najdrobniejszych jego stronach i szczegółach, powinna uczynić wszystkie objawy, wszystkie przedmioty materyalne ludzkiego środowiska pięknemi. Zrozumiał, jedném słowem, że obok owego klasycznego, ciasnego pojęcia sztuki, w którém społeczeństwa nowoczesne własnowolnie się uwięziły, istnieje jeszcze inna sfera piękna, mianowicie sztuka dekoracyjna czyli ozdobnicza. Jest to dzisiaj — zaledwie w trzy dziesiątki lat po sformułowaniu tego programatu odrodzenia sztuk ozdobniczych—idea tak elementarna, tak utarta i znajdująca tak powszechne zastosowanie, iż potrzeba pewnego wysiłku, ażeby zdać sobie sprawę, że w kanonie estetycznym był to przewrót rewolucyjny, któremu Morris swe siły życiowe poświęcił. Gdy poprzednicy nasi mówili o sztukach pięknych, gdy urządzali ich wystawy, zdawało się im, że wyczerpali materyę wymalowanemi obrazami i wyrzeźbionym kamieniem, i na myśl im nie przychodziło, że artysta może szukać innych form, że może wcielić piękno w rysunek i koloryt kobierca, obicia ściennego, udrapowanéj makaty, kutego metalu, szkła, ceramiki, sprzętów domowych w nieskończonéj ich rozmaitości, że temi okazami wytwornych, doskonale pomyślanych i wykonanych przedmiotów kształci smak publiczny, podnosi dyapazon uczucia estetycznego wśród masy narodowéj. Taki to właśnie ideał zabłysnął przed oczami młodego entuzyasty, którego poczucie piękna było co moment i na każdym kroku obrażane przez pospolitość, brzydotę i niedołężne naśladownictwo form plastycznych, angielskiéj atmosferze obcych: postanowił je zreformować z gruntu i zastawszy środowisko narodowe potwornie szpetném i zostawić je, o ile można, piękném. Nie podobna ani dość wysoko podnieść zasługi tego planu, ani go dość wychwalać za energię i za zmysł praktyczny, z jakim się wziął do jego urzeczywistnienia.

Pamiętać trzeba, że zarówno Morris, jak Rosetti, Burne-Jones, i cała grupa poetycznych idealistów, co się skupiła około bractwa prerafaelitów, byli wszyscy pod bezpośrednim wpływem Johna Ruskina. Jego słynne odczyty w Oxfordzie o sztuce rozpłomieniły ich, a każda z jego krytyk i publikacyi utwierdzały ich jeszcze w kie-

runku podjętym. Morris nigdy swego duchowego pochodzenia od mistrza Ruskina nie zaprzeczał. Gdy przed kilku laty z pod prasy w artystycznéj drukarni Kelmscottu, którą Morris stworzył, wyszła piękna edycya oddzielna tego rozdziału *Stones of Venice*, w którym Ruskin wyłożył istotę i naturę sztuki gotyckiéj, nie omieszkał podnieść znaczenia tego wykładu dla całego szczepu anglo-saskiego i specyalnego wpływu, jaki on wywarł na jego twórczość estetyczną. Nie ma powodu się dziwić, że adepci Ruskina posunęli jego teorye estetyczne do ostateczności i przesady: cała historya umysłowego i artystycznego postępu i rozwoju stwierdza takie powszechne prawo. Uczniowie wyciągają z zasady postawionéj przez mistrza wnioski takie, których się on sam przezornie wystrzegał. I tak, jeżeli Ruskin wskazał gotycyzm jako przyrodzoną formę artystycznéj twórczości szczepu anglo-saskiego, to nie potępił innych form, nie wyklął ich w imię piękna. Tendencyę tę wszelako zdradzają wszyscy jego duchowi sprzymierzeńcy, Morris tak samo jak inni. Zapomnieli oni, że pomiędzy sześciu charakterystycznemi rysami gotycyzmu Ruskin wymienił rozmaitość. Téj nie uwzględnili oni należycie i dlatego wszystkie utwory artystyczne téj grupy, opracowując ciągle te same motywy, wyradzają nużącą monotonię. Ta jednostajność metody była i jest szkopułem dla tak genialnego malarza, jak sir Edward Burne-Jones do zajęcia w sztuce współczesnéj miejsca, jakie mu z wielu powodów się należy, i tę samą uwagę zrobić można wielkiemu Madox Brown. Morrisa ustrzegło od popadnięcia w manieryzm estetyzmu to, że przy wielostronnych zastosowaniach sztuki ozdobniczéj, przy rozmaitości używanych materyałów tożsamość motywu zasadniczego jest widoczna, ale jego opracowanie, jego modulacye mogły i musiały być zawsze odmienne.

Ale nietylko co do abstrakcyjnych pojęć o sztuce, jako takiéj, lecz i co do jéj zastosowań w życiu praktyczném, Morris poszedł za natchnieniem Ruskina i w jego ślady. Naśladownictwo atoli nie było biernem, niewolniczém, ale godziło się z samodzielnością: najlepiéj się to uwidoczniło w socyalistycznych doktrynach Morrisa. Kiedy pierwszy, wierny tradycyom domowym, wyznawał zawsze opinie zachowawcze torysa i anglikanizmu państwowego, on, złamał stanowczo z wszelkim konwencyonalizmem i był nietylko postępowcem, ale wolnomyślicielem, republikaninem, socyalistą. O socyalizmie jego pisano wiele, dziwiono mu się.

Cały jego okrzyczany socyalizm redukuje się do chęci wytworzenia sfery działalności dla masy robotników takiéj, ażeby przestali być bezmyślnymi obsługiwaczami machin, i ażeby praca ich, wykonywana w przyjemnych warunkach, pozwalała im rozwinąć wszystkie

ich moralne i estetyczne zdolności. Rzucił rękawicę fabryczno-przemysłowéj organizacyi dzisiejszéj, a jako idealną formę nie przeciwstawił jej, broń Boże, żadnego komunistycznego falansteru, lecz przeciwnie, warsztat rzemieślniczy epoki przedmachinowéj. Nie pragnął on aż organizacyi cechowéj wieków średnich, ale nie ma wątpliwości, że harmonizowały one bardziéj z jego gotycyzmem, aniżeli demokratyczna równość wobec koła fabrycznego i machiny parowéj. Brakuje temu poglądowi może systematycznéj logiki, ale nie trzeba zapominać, że Morris był poetą, artystą i że jego bożyszczem zawsze i wszędzie było piękno.

Zrobić wszelką pracę ręczną nie ciężarem i dolegliwością, czém jest niezawodnie dla ludzkości od pierwocin jéj bytu, ale przyjemną i pożądaną, dając przez swobodne jéj rozwinięcie każdéj człowieczéj jednostce możność uwydatnienia swéj indywidualnéj działalności: oto jądro jego etycznéj doktryny. Przedsięwzięcie to wydaje się awanturniczém, niewykonalném i warunki, w jakich świat nasz się ukształtował, nie zdają się mu sprzyjać. A jednak w zakresie swéj osobistéj działalności, to jest sztuki ozdobniczéj, udało się je Morrisowi urzeczywistnić.

W przekonaniu jego, celem człowieka na téj ziemi jest zapewnić sobie szczęście. Ażeby go zażywać, potrzeba dwóch warunków: pracy i odpoczynku, a ideałem byłoby znalezienie takiéj formy pracy, któraby dla pracującego sama przez się była wypoczynkiem. Tą formą jest właśnie sztuka i ci, co się w jéj sferze obracają, co się przyczyniają do wytworzenia przedmiotów piękna, są istotami uprzywilejowanemi, którym łatwiéj, niż innym, przyjść może usidlenie tego nieuchwytnego ptaka — szczęścia. Sztuka sama w sobie stara się powiększać dozę szczęścia pomiędzy ludźmi, otaczając ich dziełami piękna, budząc ich instynkty estetyczne i spirytualistyczne, wyrywając ich z atmosfery prozaicznéj i czysto utylitarnéj. Największym wrogiem pracy i twórczości artystycznéj jest przemysł fabryczny i wprowadzenie, zamiast samodzielnéj pracy ręki, głowy i ducha, bezmyślnéj, rutynicznéj wytwórczości machin. Dzisiaj człowiek wogóle, a robotnik w szczególe stał się niewolnikiem machiny, a płaskie, pospolite, wszelkiego źdźbła indywidualizmu pozbawione wyroby, które ona w świat hurtownie rzuca, stały się plagą społeczeństwa, czyniąc je coraz brzydszém, coraz prozaiczniejszém. Sprowadzić machiny do jedynéj roli, jaka im przystoi, mianowicie do ułatwienia czysto utylitarnéj pracy ludzkiéj, jak np. koło młyńskie do mielenia ziarna, powrócić do warsztatów rzemieślniczych, które pozwalają robotnikom rozwinąć swoje zdolności i swój smak indywidualny i które jednocześnie czynią pracę

robotnika nietylko mniéj uciążliwą, ale nawet ponętną samą w sobie: oto cel, oto idea przewodnia, która kierowała działalnością Morrisa. W ten sposób pragnął on rozwiązać z jednéj strony zagadkę bytu robotniczego, z drugiéj — otworzyć na rozcież wrota wytwórczości artystycznéj, wprowadzić do każdego domostwa przedmioty wytwornego kunsztu, zabezpieczyć wszechwładzę piękna.

Streszczając wiernie i o ile można własnemi słowami Morrisa syntezę jego pojęć, nie potrzebujemy zapewne przypominać czytelnikom, że mamy tu do czynienia z poetą, z idealistą, który w lotny swój ideał zapatrzony, traci z oczu wiele czynników pierwszéj wagi. Nie można brać dosłownie ani téj klątwy rzuconéj na przemysł fabryczny i machiny, bo ich dobrodziejstwa dla podniesienia skali bytu społeczeństw i wyemancypowania masy są elementarnym pewnikiem, ani przypuścić na chwilę, że zagadnienie robotnicze rozwiązaném zostanie przez powrót do organizacyi rzemieślniczéj. Jest to donkichotowska z wiatrakami walka. Ma wprawdzie najzupełniejszą słuszność, utrzymując, że robotnicy pracujący w warunkach przyjemnych, pod kierunkiem artystów, i sami prowadzą życie nie zostawiające nic do życzenia i wytwarzają przedmioty plastycznego piękna, które do uszczęśliwienia całéj społeczności się przyczyniają, ale i tutaj jest z jednéj strony przesada, a z drugiéj pominięcie ważnego czynnika ekonomicznego. Spuszcza on zupełnie z uwagi, że owe makaty, rzeźbione meble, kute metale, kryształy, porcelany, biżuterye etc., wytworzone podług jego planów i posiadające niezaprzeczone piękno, są i muszą być bardzo kosztowne, że cena ich czyni je raz na zawsze niedostępnemi dla masy narodowéj. I tak się też rzeczy miały istotnie. Tworząc w swych zakładach prawdziwe arcydzieła, wyroby o wysokiém piętnie artystyczném, Morris pracował zawsze i wszędzie jedynie dla zamożnych warstw towarzyskich. Jest to jeżeli nie wprost przeciwna, to przynajmniéj bardzo oddalona droga od tych ideałów równości społecznéj, do których właśnie on zmierzał!

Gdy się ma w pamięci z jednéj strony ową dominującą w całéj jego naturze cześć dla piękna i gorliwość w jego służbie, a z drugiéj — jego idee ekonomiczne, które pragnęły na miejscu współzawodnictwa postawić stowarzyszenie, a organizacyę społeczną na miejscu dzisiejszéj anarchii indywidualnéj; gdy się daléj uprzytomni jego zasadę, że każdy człowiek jest uprawniony do pracy nietylko godnéj wysiłku, ale wdzięcznéj, ponętnéj, prowadzonéj w sposób zadawalniający jego człowiecze, podniosłe wymogi, to się nie zdziwimy, że Morris założył warsztaty wyrobnicze w Kelmscott, swém rodzinném gnieździe, w Hammersmith, dzielnicy londyńskiéj, gdzie przemieszkiwał, i w Merton Abbey,

gdzie przybrały większe rozmiary i że otworzył sklep na jednéj z najgłówniejszych ulic stolicy, Oxford Street, gdzie sprzedawano wyroby pod jego kierownictwem artystyczném wykonywane. Zdziwił się Londyn, gdy w r. 1863 na szyldzie sklepu wypisano imię Williama Morrisa, słynnego poety i widziano w tém wybryk fantazyi: ci, co go znali osobiście, wiedzieli, że to była właśnie manifestacya całéj jego etyczno-estetycznéj syntezy. Włożył w to przedsięwzięcie nietylko wielkie kapitały, ale całą swą duchową naturę; zawezwał do pomocy wielkich artystów, pobratymców z ducha i specyalistów najdoskonalszych, ale sam był kierownikiem, inicyatorem, zarządcą, duszą instytucyi. Niestrudzony, ciągle wprowadzał ulepszenia, coraz nowe gałęzie wytwórczości dodając do dawniejszych. I trwało to przez całe lat dziesiątki, do ostatniéj chwili życia.

A nie zmniejsza bynajmniéj jego zasługi, że Ruskin wskazał drogę w tym kierunku. Jego Gildya ś-go Jerzego, przędząca płótno na kołowrotkach, protestowała przeciwko przerabianiu fabrycznemu lnu na płótno. Ale zarówno te warsztaty w Langdale i Kerwick, jak przędzenie wełny z czarnych owiec na wyspie Man, nie przybrały tych rozmiarów i tych kształtów, co wyroby Wil. Morrisa. Ruskin był i jest teoretykiem, mistrzem wskazującym szlaki dla pokoleń, odkrywającym najgłębsze mysterya piękna i mógł w swéj miłości do przyrody wskazać sposoby przerabiania jéj surowych płodów w progach wiejskich domostw, ale są to jedynie niedostrzegalne prawie drobiazgi w jego dziele i ze sztuką ozdobniczą nie zostają w najmniejszym związku. Téj zaś Morris chciał służyć i służył istotnie.

Działalność jego obejmowała z natury rzeczy całą zewnętrzną stronę środowiska ludzkiego. Chcąc z brzydkiego i pospolitego, jakiém je zastał, uczynić piękném, miał przed sobą niezmierzone pole, a jak samo się przez się rozumié, nie jest to zadaniem ani jednego człowieka, ani nawet jednego pokolenia. Do owéj pracy wieków położył on jednak kamień węgielny. Nie czujemy się w prawie zaprzątać uwagi czytelnika niezliczonemi drobiazgami, które się na jego reformatorskie dzieło złożyły, ale bez niektórych rysów owo odrodzenie z fizyognomią anglo-saskiego archaizmu byłoby niezrozumiałém. Zatrzymać się nad niemi choć pobieżnie, staje się koniecznością.

Pierwszym i najważniejszym punktem tego programatu musiała być naturalnie budowa domów w stylu gotyckim, jakiego tyle pomnikowych arcydzieł usiał na ziemi angielskiéj wiek Elżbiety. Ale zadanie to przekraczało siły jednostki. Ograniczyć się było trzeba do działania na opinię publiczną i wykazywanie jéj, jak niestosowną, jak niewłaściwą jest pod mglistém i szarém niebem północy, w klimacie wil-

gotnym i zimnym owa architektura grecko-rzymska, ów zbękarciały klasycyzm, w którym rządowa i prywatna twórczość budowlana prawie wyłącznie się była zamknęła w ciągu dwóch ostatnich stuleci. Takim to potwornym gmachom i kamienicom Londyn zawdzięcza swój wygląd jednostajny, posępny, sztywny, pompatyczny. Działalność w tym kierunku i propaganda artystyczna uwieńczone zostały nadspodziéwanie szybkiém powodzeniem. Ci, co nie zwiedzili Anglii od paru lat dziesiątków, nie będą w stanie jéj poznać. W Londynie i wszystkich większych miastach prowincyonalnych zwalono całe dzielnice ciężkich kamienic o pilastrach korynckich i frontonach, a wzniesiono domy z czerwonéj cegły, o wysmukłych liniach, śpiczastych dachach, przyczołkach, zastrzałach, o oknach umieszczonych odpowiednio do rozkładu domu, a nie gwoli martwéj regularności, z framugami, z bujną fantazyą w ozdobach architektonicznych. Ujęte w ramy szmaragdowéj zieleni angielskich trawników i drzew, domy te wyglądają malowniczo i pieszczą oko. Ta sama reforma w stylu budowniczym widoczna jest we wszystkich gmachach publicznych, wznoszonych z ramienia municypalności i państwa: nie można przytoczyć ani jednego, któryby odbiegał od typu narodowego gotycyzmu. Byłoby śmiesznością twierdzić, że przewrót ten jest dziełem Morrisa samego. Ale całe jego otoczenie artystyczne, cała grupa pre-rafaelitów, wszyscy pisarze i publicyści, co się z nim jednoczyli prowadzili tak gorliwą propagandę za tym stylem, iż nie dziwota, że nawet właściciele domów, dbający więcéj o dochody aniżeli o wymogi plastycznego piękna, dali się porwać prądowi. Skoro łatwiéj się sprzedawały i wynajmowały domy tego typu, dlaczegoż nie dogadzać smakowi publicznemu? Filip Webb, jeden z najbliższych przyjaciół i towarzyszy nieodstępnych Morrisa przez lat dziesiątki, budowniczy wielkiego talentu, oraz najznakomitszy ze współczesnych architektów angielskich, Norman Shaw byli głównymi pomocnikami jego na tém polu odrodzenia zmysłu artystycznego.

Ale nie można było czekać z wykonywaniem przedmiotów bezpośredniéj użyteczności, podług kanonu piękna plastycznego aż do chwili, w której wzniesione będą gmachy, dające godne ramy do ich pomieszczenia: byłoby to odkładaniem działalności reformatorskiéj do kalend greckich. Przeciwnie, nawet w domach wzniesionych podług potępionego przez smak wyrafinowany modelu, należało umieszczać sprzęty i graciki estetyczne, a stawiając je w obfitości i w rozmaitości kształtów przed społecznością, dawać jéj udoskonalone typy i podniosłe widmo piękna. Przygotowując grunt starannie i troskliwie, sztuka ozdobnicza musiała wydać żniwo bujne.

Pierwszą troską Morrisa była dekoracya murów wewnętrznych domów przez ścienne malowidła i obicia papiérowe. Nie można zaprzeczyć wyższéj piękności artystycznej pierwszych, ale wyszły one z użycia, chociaż zarówno starożytność Egiptu, Rzymu, Pompei i Włoch średniowiecznych, jak i wiele późniejszych okazów, przekonywające dają nam wzory, że ścienne malowidła mogą się do domowego bytu zastosować. Artyści angielscy, pragnąc wskrzesić malowanie fresków obstawali za tém, że dekorator nie powinien zapominać o swojéj roli pomocnika budowniczego, bo nie jest niczém innéin, jak pomocnikiem i dążyć winien do uwydatnienia charakterystycznych jego rysów. Tam, gdzie albo wzgląd taniości, albo nagromadzenie sprzętów, ozdób i obrazów nie pozwalają na malowidła ścienne, Morris obstawał za malowaniem ścian barwą neutralną, stłumioną, jako dającą tło harmonijne dla wielu, z natury rzeczy nieraz pstrokatych przedmiotów. Gdyby nie był żadnéj innéj reformy dekoracyjnéj przeprowadził, już za tę jedną wdzięcznym-by mu być należało. Anglicy dawniejszych pokoleń lubowali się w barwach jaskrawych, krzyczących i tłómaczyli się atmosferą ponurą swego kraju, wymagającą przeciwstawy. Było prawdziwą męką patrzéć na tę saturnalię rozjuszonych kolorów. Morris uspokoił je i uharmonizował.

Wyrób obić papiérowych był jedną z pierwszych form dekoracyjnéj działalności Morrisa i do dziś dnia stanowi jedną z celniejszych gałęzi w warsztatach Merton Abbey. Nigdzie rewolucyjny przewrót, przezeń dokonany, nie jest bardziéj dotykalnym. Przedtém Anglia była nieudolną, ale niewolniczą naśladowczynią maniery francuskiéj. W epoce drugiego cesarstwa, kiedy na tylu punktach Francya okazała utratę artystycznéj twórczości, panowała tam moda papiérów ohydnych. Naśladowano na obiciach papiérowych włókna tkanin, słoje drzewa, linie zygzakowate marmuru; rysunki geometryczne były jednostajne, ubogie; kwiaty i formy wegetacyjne traktowane były w sposób konwencyonalny. Z tego wszystkiego Morris oswobodził wytwórczość angielską. Zaczął od wezwania najznakomitszych rysowników do dostarczania mu modeli dekoracyjnych, i istotnie gdy artyści, jak Madox-Brown, Hunt, Burne-Jones, Walter Crane i on sam nie wahali się pracować w téj gałęzi, nie dziwota, iż wlali do mechanicznego uprzednio procederu nową krew i nowe soki. Wadą nieuniknioną obić papiérowych jest powtarzanie się jednego i tego samego motywu. Starano się zmniejszyć ją, powiększając szerokość papiéru i tworząc rysunki z arabesek i form roślinnych, zespolone w taki sposób, ażeby nie wykluczały rozmaitości. Troskliwe i sumienne studyowanie flory otworzyło przed wyrobnictwem nowe horyzonty. Skarżą się ci i owi, że słonecz-

nik, kosaciec, lilia, paproć, oset zmonopolizowały roślinne motywa estetów; być może; w każdym razie wyciągnięto z nich prześliczne motywa ozdobnicze. A paw! Ten ptak Junony o wspaniałéj grze barw w swym królewskim ogonie zajmuje wielką rolę w obiciach zakładów Morrisa. Ale ten tylko, który widział je pochwycone w migotliwym blasku złotéj, błękitnéj i szmaragdowéj barwy przez artystę, jak Walter Crane, może zdać sobie sprawę, do jakiéj nierozumianéj dawniéj doskonałości doszło dziś wyrobnictwo obić papiérowych w Anglii. Morris wytworzył całą szkołę naśladowców. Pierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmują Lethaby, Solon, Reuter. Francuzi, którzy przed kilkunastu laty drwinkowali z tego stylu, pochwycili go teraz i starają go sobie przyswoić.

Koloryt odgrywał, jak się samo przez się rozumié, przeważną rolę w całéj ozdobniczéj twórczości i Morris poświęcił mu głębokie studya nietylko teoretyczne, ale chemiczne i techniczne w fabrykach kolorów i w farbiarniach. Praktyczne zastosowania tych pracowicie nagromadzonych wiadomości pokazuje się nietylko w wyrobie obić, ale w tkaninach wełnianych, jedwabiach i aksamitach i nakoniec w kobiercach i haftach, które stanowiły dalszy wątek jego działalności artystycznéj. Zarzucają wszystkim jego wyrobom jednostajność kolorytu i skarżą się, że nie potrafił oswobodzić się z więzów błękitno-zielonéj barwy. Ale ten sam zarzut czyniony bywa obrazom Burne-Jones'a, co nie przeszkodziło mu zająć miejsce u szczytu angielskiéj sztuki. Morris nie jest bynajmniéj zwolennikiem pół-tonów, przeciwnie, wypowiedział po tysiąc razy zdanie, że sam w sobie żaden kolor nie może być dość żywy, dość pełny. Zależy tylko, idąc za wzorem artystów wschodnich, tak mieszać i tak zestawiać tony żywe i jaskrawe, ażeby się wzajemnie dopełniały i układały do harmonii niezakłóconéj. Że jego tkaniny, kobierce, makaty, wrażenie takie sprawiają, nikt zaprzeczyć nie może. Przykładał on niezmierną wagę do tego, ażeby w jego pracowniach tkackich trzymano się starodawnéj metody farbowania surowego materyału, téj, która datowała jeszcze od Pliniusza, a która już za tegoż czasów była przekazana tradycyą. Kolory anilinowe potępiał bezwzględnie. Nie przeszkadzało jednak takie sprowadzenie palety do szczuplejszéj gammy tonów wykonywać arcydzieł. Ścienne makaty, na których odtwarzane były obrazy wielkich mistrzów staro-włoskich, jak Boticellego, zdumiewają nietylko doskonałością technicznego wykonania, równającego się gobelinom, ale i wiernością, z jaką jego tkacze chwytali tony najrozmaitsze kopiowanego niciami obrazu.

Do téj saméj gałęzi sztuki ozdobniczéj należą hafty. Morris w swych pracowniach stwarzał arcydzieła. Wielcy artyści rysowali wzory, a pod kunsztowną igłą pani Morris i jéj córki, oraz grona ich towarzyszek, wykonywano prace, wprowadzające widza w zachwyt oryginalnością pomysłów i doskonałością wykończenia. Nietylko stoją one na téj saméj wysokości, co zabytki przekazane nam ze średniowiecznych czasów po muzeach i zamkach, ale wbrew osobistemu zdaniu Morrisa, który nie starał się przewyższyć, lecz dorównać tylko wzorom gotyckim, są tu okazy same w sobie niezrównane. Nie można dość wysoko ocenić ruchu, jaki Morris nadał w tym kierunku. Jest już obecnie w samym Londynie kilka szkół haftów, uorganizowanych na wzór słynnéj *South Kensington School of Embroidery* i dzięki danemu popędowi, kobiéty stały się istotnemi kapłankami piękna artystycznego. Dzięki ich fantazyi i pracowitości, do każdego domostwa przenikają obecnie wyroby, które swym dyapazonem artystycznym korzystnie odbijają od przedmiotów, wśród których onegdajsze i wczorajsze pokolenia żyć się zgadzały.

Nie potrzeba zapewne podnosić znaczenia jakie Morris dawał szkłu kolorowanemu. Witraże z pracowni Merton Abbey znalazły drogę nie tylko do świątyń i gmachów publicznych, ale zastosowano je do domów prywatnych. Wiadomo do jak opłakanego upadku ta gałęź sztuki ozdobniczéj doszła, gdy się zatraciły wielkie tradycye XIV i XV wieku. Gdy przez postępy metalurgii znaleziono sposób farbowania szkła, zaczęto wyrabiać, w Niemczech przedewszystkiém, ohydne okna kolorowe. W Anglii także błądzono, uważając okna kolorowe za obraz sam w sobie, nie zaś za część składową budowli, do któréj ogólnego charakteru przykładać się one miały. Morris wojując zapalczywie przeciwko szkłu malowanemu a wznawiając obrazową mozajkę na szkle czystéj tradycyi gotyckiéj, wprowadził ten dział artystycznéj wytwórczości na wyżyny. Burne-Jones był wielce użytecznym pomocnikiem jego tutaj. Rysunki i modele, których mu dostarczal, były w swym gotyckim archaizmie nieskończenie pięknemi.

Należałoby uwzględnić prace Morrisa w mozajkach kamiennych i drewnianych, zastosowanych do posadzek, w kuciu metalów a szczególniéj miedzi i stali, ba, nawet tak spodlonego kruszcu jak lane żelazo, w ciesielstwie i stolarstwie, dzięki udoskonaleniu których meble angielskie stanęły w harmonii z komnatami, do jakich są przeznaczone, w emalii, w złotnictwie, w lakiernictwie i w wielu, wielu innych gałęziach. Zaprowadziłoby nas to jednak zbyt daleko i zmuszeni byśmy byli przy każdéj z nich wykazywać jedność koncepcyi, wierność zasa-

dniczym ideom i tę troskę, ażeby wszędzie zostawić pracownikowi swobodę akcyi indywidualnéj.

O jednym tylko dziale jego działalności jeszcze szczególną wzmiankę uczynić wypada, o drukarni. I pod tym względem dokonał radykalnego przewrotu w swém społeczeństwie. Rozkochany w pięknie cierpiał na widok źle wydrukowanéj książki, owego najwyższego wykwintu ducha ludzkiego. Książki, które w pewnéj epoce po wynalazku druku były dziełem kunsztu i rozkoszą dla oka, stały się z biegiem czasu i ulepszeniami mechanicznemi, pospolitemi brzydkiemi, pozbawionemi wszelkiego piękna artystycznego. Postanowił mu je powrócić i dla tego założył w Kelmscott, obok swego domu londyńskiego, drukarnię, która używa już dzisiaj wszechświatowéj sławy—i ku któréj każdy bibliofil zwraca spojrzenia jak ku Mekce jakiéj. Jak samo się przez się rozumié, wykluczono z téj drukarni machiny i powrócono do pracy ręcznéj. Ulane typy liter podług wzoru weneckich drukarzy XV-go stulecia, troska o uharmonizowanie zgłosek z ozdobami, z ramami, starania ażeby każda stronica stanowiła przyjemny obraz sama w sobie, odrazu udowodniły do czego artysta-drukarz jest zdolny. Gdy w 1892 r. wyszła z téj drukarni „Złota legenda" Caxtona w trzech wielkich tomach in 4-to o tysiącu stronic, pozyskała sobie sławę najpiękniejszéj książki wydrukowanéj w Anglii. A trzeba było wiedziéć, że wówczas miał Morris w swéj drukarni tylko j e d n e g o robotnika z j e d n y m chłopakiem do pomocy! Olbrzymie powodzenie, jakie znalazł, skłoniło go do rozszerzenia swéj działalności, do zwrócenia uwagi na papiér, inkaust, na ozdoby rysunkowe tak samo jak na oprawę drukowanych książek. Najgodniejszemi uwagi, najdoskonalszemi wydaniami jego drukarni jest właśnie co ukończona edycya *in folio* poezyi Chaucer'a, ojca poezyi angielskiéj oraz wydanie własnego poematu epicznego „Raj ziemski." W ostatnim peryodzie jego życia drukarnia zaprzątała go więcéj niż inne działy wytwórczości artystycznéj, w których już miał licznych naśladowców i towarzyszy. Tutaj nowe otworzył światy.

Gdy osobistość takiego nastroju znika ze świata, który dłoń jego i twórcza fantazya potrafiły w ciągu krótkiego okresu życia przekształcić i przed którym nowe zakreślił gościńce, na który sprowadził z podniebnych wyżyn promyk piękna nieśmiertelnego, to brak jego uczuć musi społeczeństwo, taką stratą zubożone. W uroczym wstępie do „Raju ziemskiego", znajdują się w harmonijnych strofach powtarzające się dwa wiersze:

„Remember me a little, then, I pray
The idle singer of an empty day."

Jest to prawdziwa licencya poetycka. Nie był ani próżniaczym pieśniarzem, ani dzień jego nie był próżnym. Przeciwnie. Wspomnienie o jakie prosi, nie zaginie u narodu, a każdy z tych co miał sposobność, jak się to piszącemu zdarzyło, obcować z Williamem Morrisem poufale, czuje, że równie pełnego twórczego artysty nie było oddawna a szuka się ze sceptycznem zwątpieniem w mgle przyszłości godnego następcy.

M. E. Trepka.



EWOLUCYA KARY.

I. Istota kary.

Istnieje znane w chemii prawo, że każdy związek chemiczny przy stosownym sposobie postępowania, zarówno jak i każdy pierwiastek wywołuje pewne zjawiska, reakcye, które są właściwe tylko danemu ciału i których wystąpienie zdradza jego obecność. Podobnie ma się rzecz z wrażeniami, jakie wywierają przypadki i okoliczności życia na istoty obdarzone systemem nerwowym; różne fakta pociągają za sobą różne ukształtowanie się sposobu myślenia i wywołują różne uczucia, które dane stworzenie przejawia. Pies szczeka, widząc obcego; wyje, gdy się go zamknie samotnie, gryzie, jeżeli chcą mu odebrać kość. Wyraz jego dobrego lub złego usposobienia nie bywa zbyt różnorodnym, ponieważ liczba rozmaitych kategoryi jego uczuć jest stosunkowo nieznaczna, jakkolwiek większa od liczby ich zewnętrznych przejawów. U człowieka widzimy pod tym względem jak największe bogactwo odcieni: klaszcze on lub syka w teatrze, płacze przy grobie swoich krewnych, zabija przeciwnika w pojedynku, głaszcze po włosach grzeczne dziecko, wychwala cnoty wielkiego człowieka w mowie pogrzebowéj, blednieje lub czerwieni się, mdleje i t. d. Inne wrażenie robi nań do-

bry dramat, aniżeli dobry obiad, sensacyjne przestępstwo — niż wycieczka w góry; także i zewnętrzna forma tych rozmaitych uczuć odpowiada ich różnorodnéj treści.

Czy społeczeństwa stanowią organizmy, lub nie, czy one jako takie posiadają własne systemy nerwowe, lub nie, jest kwestyą sporną; nie ulega jednak wątpliwości, że ludzie, związani w asocyacye, posiadają wspólne interesa i że, patrząc na fakta przez pryzmat tych samych interesów, otrzymują te same wrażenia. Stratę spółki komandytowéj, zawalenie się gmachu gimnastycznego, odczuwają w pierwszym wypadku członkowie spółki, w drugim gimnastycy, jeżeli nie w równéj mierze, to w każdym razie w podobny sposób. Wtargnięcie armii nieprzyjacielskiéj, cholera lub trzęsienie ziemi, stanowią dla wszystkich mieszkańców danego państwa równe niebezpieczeństwo, uczucia ich pod tym względem istotnie się nie różnią. Środki (reakcya) jakie się w danych razach przedsiębierze, są w każdym wypadku inne: w pierwszym, usiłuje się własną armię przeciwstawić nieprzyjacielskiéj, w drugim—powinna kwarantanna, dezynfekcya, ścisła kontrola sanitarna ograniczyć złe, w trzecim—przychodzi się ofiarom katastrofy przynajmniéj z materyalną pomocą.

Niemoralny (społecznie szkodliwy) czyn, zarówno jak i każde inne zjawisko życia społecznego, wywołuje zawsze w daném społeczeństwie reakcyę; formą jéj jest moralna przygana: dany czyn występuje, jako nie pożądany, nie ładny, nie dobry,—myśli i mówi się o nim z pewną odrazą; także w zewnętrznych stosunkach pozostałych członków społeczeństwa do sprawcy okazuje się ich nieprzychylny sposób myślenia. Wita go się oziębléj, nie okazuje mu się najmniejszych oznak przychylności, daje mu się do zrozumienia: „popełniłeś nikczemność, nie podobasz się nam.” Tak np. ma się rzecz na najniższych stopniach cywilizacyi z obowiązkiem zemsty: tchórz, który się od niego uchyla, podlega powszechnéj pogardzie.

Ten rodzaj reakcyi ma w sobie naturalnie coś platonicznego, elementarne dobra danego osobnika: ciało, życie, wolność, honor nie są uszczuplane, sprawca ma się i żyje tak samo, jak poprzednio. Niemoralny czyn jednak może być dla społeczeństwa bardzo szkodliwym, może on naruszać istotne podstawy związku społecznego; wówczas nazywa się on przestępstwem i wywołuje też silniejszą reakcyę, jakkolwiek w tym samym rodzaju. Niemoralny czyn i przestępstwo z jednéj strony, moralna przygana i kara z drugiéj strony, są w istocie identyczne, tylko stopień natężenia w pierwszym wypadku szkodliwości, w drugim reakcyi bywa mniejszy lub większy. Gdzie kończy się je-

dno, a zaczyna drugie—jest to tylko *quaestio facti* i zależy w zupełności od pojęć pozostałych członków tegoż społeczeństwa [1]).

Ma się tu rzecz podobnie, jak z tamami, okalającemi wielkie rezerwoary wodne: wytrzymują one ciśnienie wody tylko do pewnych granic, przekroczenie których sprowadza katastrofę. Taka raptowność reakcyi przeciw przestępstwu występuje zwłaszcza u dzikich, ponieważ u nich szczególnie nosi ona charakter zemsty publicznéj. Granica pomiędzy niemoralném i przestępném jest bardzo niewyraźna, jeżeli przestępstwa zgóry nie są oznaczone jako takie; dopiéro po charakterze reakcyi rozpoznaje się istotę powszechnie szkodliwego czynu, podniesionego do znaczenia przestępstwa. Jeżeli ktoś spóźni się na odczyt publiczny, wówczas przygana wisi w powietrzu, — zamienia się ona w karzącą reakcyę z chwilą, gdy obecni okazują swoje niezadowolenie przez tupanie, sykanie lub gwizdanie [2]). W ten sposób ciche wzburzenie ludności jakiegoś miasta może naraz przybrać zewnętrzny charakter „kociéj muzyki", powszechnego szyderstwa, jak to się dzieje w Grenlandyi, (por. *malum carmen incantari* u Rzymian), lub, jak w średnich wiekach i dziś u dzikich, rabowania domu, w którym mieszka sprawca, przyczém ostatni nieraz ponosi śmierć. Rozumié się, dzisiaj, w cywilizowanych krajach tę tylko formę reakcyi należy uważać za karę, która jako państwowa, w księgach ustaw karnych jest zapisana i zatwierdzona; bezwątpienia jednak wyżéj wymienione demonstracye posiadają dziś jeszcze charakter karzącéj reakcyi w mniejszych związkach społecznych.

Gdzie kontury przestępstwa nie są jeszcze dość jasno zarysowane, gdzie wogóle granica między przestępném i niemoralném waha się, tam powstaje wątpliwość, czy demonstracyę ludową należy uważać za

---

1) Zasadniczym błędem definicyi przestępstwa Tarde'a (Criminalité comparée 186, akt uznany przez opinię za zbrodniczy) jest, że nie odróżnia on rozmaitych stopni intensywności nagany publicznéj. Dlatego téż bardzo słusznie Beaussire 125 „il faudrait au moins un principe de distinction entre l'opinion qui se borne à flétrir et l'opinion qui réclame une peine positive.

2) W klubie tytoniowym (*Tabakkollegium*) u Bakaivi, do którego należał v. Steinen w czasie swego pobytu w Brazylii, nie brakło także tonów mimowolnych. Charkanie, odbijanie, wzdęcia odbywały się bez prze szkody. Bakaivi sam, *nil humani alienum a me esse puto*. W chwili jednak gdy ktoś stanowczo przekraczał granice przyzwoitości, następował natychmiast ze strony reszty obecnych odruch—krótkie silne splunięcie w stronę, skąd dany ton pochodził, a rozmowa szła spokojnie daléj. W razie jednak powtórzenia, mruczał naczelnik Tumagana lub jego ojciec Takko coś, co oznaczało: „Cóż u pioruna, mamy przecież gościa" a sprawca znikał wówczas w ciemnościach (v. Steinen 69).

karę, lub nie. Tak np. w średnich wiekach było w zwyczaju urządzanie kociéj muzyki (*charivari*) przy wstępowaniu wdowy w powtórne związki małżeńskie, zwyczaj ten wyrażał potępienie takiéj niepowściągliwości; podobnie bawarski zwyczaj (*Haberfeldtreiben*), piętnował w opinii publicznéj upadłą dziewczynę. Kościół zakazał wprawdzie urządzania kociéj muzyki, sam jednak nie sprzyjał powtórnemu małżeństwu, lud zaś pozostał przy dawnym zwyczaju i znaleźli się nawet uczeni prawnicy, którzy zaliczali *charivari* do prawnych niekorzyści drugiego małżeństwa, uważali prawie za karę [1]). Dzisiaj, przy wzrastającém nieustannie monopolizowaniu wymiaru sprawiedliwości przez państwo, kocia muzyka podpada pod ustawy karne.

Pomimo to, pozostaje ona wyrazem przygany u pewnéj warstwy ludności, stanowiąc reminiscencyę karzącéj reakcyi; podobnie pewne zwyczaje ludu niemieckiego przypominają dawne plądrowania przestępcy.

Jeżeli za cechę reakcyi karzącéj przyjmiemy jéj publiczny, zewnętrzny, powszechny (albo w imieniu społeczeństwa, które porucza wykonanie kary specyalnym organom, jako to katom lub nadzorcom więziennym w dzisiejszych państwach cywilizowanych, uprawnionym mścicielom na niższych stopniach kultury) charakter, jeżeli przez tę reakcyę rozumiéć będziemy uszczuplenie jednego z elementarnych dóbr danego indywiduum, wówczas z pomocą téj miary będziemy w stanie nawet u dzikich odróżnić niemoralne od przestępnego. Jeżeli czytamy, że Indyanie Potavatomi uważają kazirodztwo za wielkie przestępstwo, ale go nie karzą, to przychodzimy do przekonania, że kazirodztwo tam, zarówno jak w plemieniu Omaha (obok zgwałcenia), lub u pierwotnych mieszkańców Brazylii, stanowi tylko niemoralny czyn, a nie przestępstwo. Również, jeżeli się dowiadujemy, że u Beduinów z plemienia Fejir mordercę członka tego samego szczepu czeka tylko pogarda, nie zaś kara, musimy przyjść do wniosku, że morderstwo w tym narodzie, jak i u wielu innych szczepów o niskiéj kulturze, nie stanowi przestępstwa, zaś ta okoliczność, że ofiarą zbrodni pada przyjaciel, nadaje dopiéro działaniu charakter niemoralnego czynu. Jeżeli wiemy, że na wyspach Markesas panuje w całém tego słowa znaczeniu wolność obyczajów, że żony za małe podarki łamią wierność małżeńską, że małżeństwo nadzwyczaj łatwo może być rozwiązane, ponieważ zależy to w zupełności tylko od woli małżonków, że wskutek młodo-

---

[1]) Wiadomo, że zwyczaj karania przez *charivari* drugiego małżeństwa i źle dobranych związków, był we Francyi tak rozpowszechniony, że nawet królowych nie oszczędzano.

cianych nadużyć niepłodność kobiet jest tak częstém zjawiskiem, iż brzemienna dziewczyna znajduje 20 kandydatów do małżeństwa, zaś obok tego dowiadujemy się o sodomskiéj legendzie, rozpowszechnionéj u mieszkańców Nukahivy, według któréj nadmierna zmysłowość była ukarana przez Boga, to z tego mitologicznego podania, z téj jakby paleontologii etyki wysnujemy wniosek, że jednak wyuzdanie na wyspach Markesas było potępiane, jakkolwiek pod żadną formą nie karane. Zachodzi wielka różnica pomiędzy moralną a przestępną reakcyą pierwotnych narodów. I tak Pomali, Pali, Padi, Fosso albo Sassie ludów malajskich, Mugul u Mikronezyjczyków, lub Uhum u Dajaków, które to wszystkie słowa oznaczają moralność, są pod względem sankcyi daleko słabsze od Tabu (tambu i t. d.), przedstawiającego prawny zakaz pod opieką bogów i rządu.

Reakcya potępiająca staje się karą z chwilą, gdy przyłączają się do niéj cechy publiczności, zewnętrzności i powszechności; tak np. nagana z urzędu ma dziś charakter kary, ponieważ udziela jéj przedstawiciel społeczeństwa w obecności wielu ludzi (gminy). Typową karą była nagana cenzorska w Rzymie (*nota censoria*), choć czyny po których następowała nie były wyszczególnione a system jéj udzielania tworzył raczéj rodzaj prawa zwyczajowego. Za podstawę służył jéj z jednéj strony *decoris dedecorisque discrimen* (Liv. IV c. 8) a Pliniusz z drugiéj strony wspomina o *censorium probrum* analogiczném do naszych przekroczeń policyjnych (*agrum male colere, censorium probrum judicabatur*). Słusznie téż mówi Jarcke: Ten, kogo dotykała nota cenzorska, stał przed resztą ludu zawstydzony.

Także satyryczny śpiéw Grenlandczyków jest karą, ponieważ spotyka on winowajcę na zgromadzeniu ludu, gdzie całe masy przyjmują udział w śpiewaniu, a wiadomo, że na Grenladczyków nic tak nie działa, jak publiczne zawstydzenie. Na Morilö uchodziła nagana sędziów (starców) za ciężką karę. U ludów kaukazkich zawieszają krewnobójcy na znak potępienia kamienny łańcuch.

Charakterystyczną jest historya znaczenia niemieckiego wyrazu *Strafe*. Zjawia się już w wieku XI-ym, a znaczy: silna nagana, ostry wyrzut, poważne napomnienie, t. zw. nagana, która przez swe naprężenie i skutkiem ostréj swéj zewnętrznéj formy, przechodzi granice zwyczajnéj nagany. Państwowa kara jest więc ostrą przyganą ze strony całego społeczeństwa (Klippel).

Jak widzimy, reakcya potępiająca nie różni się istotnie od karzącéj, wspólną w nich jest treść rzeczy, t. j. zadania większego lub

mniejszego zła jednostce, działającéj wbrew pożytkowi społecznemu i jego normom.

Jeżeli w myśl wzniosłego, boskiego idealizmu Chrystusa należy dobrém za złe płacić, to jest to prawidłem życiowém dla jednostki względem drugiéj jednostki; lecz tenże Chrystus, wielki altruista, wzniosły apostoł przebaczenia, w imię idei społecznéj wypędził handlarzy ze świątyni. Chcieć, ażeby społeczna reakcya (jako uszczuplenie w jakiéjkolwiek formie pewnych dóbr osobnika w razie jego anti-socyalnego postępku) znikła ze świata, byłoby to sprzeciwiać się rozwojowi i naturze społeczeństwa, psychologii mas, naturalnemu pragnieniu zemsty, które może przezwyciężyć wielka dusza myśliciela, albo mistyka, nigdy zaś większa grupa ludzi, która uważa anti-socyalny czyn za zły i brzydki i patrzy nań z odrazą i wstrętem. Guyau postawił tezę, że ludzkość w swoim rozwoju zdąża do ideału etyki bez sankcyi i obowiązku (por. *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*). Uczucie, które nam każe dążyć do sankcyi jest poczęści niemoralne. Przyszłe społeczeństwo oprze swą etykę na naturalnéj ekspansyi indywidualnego życia; będzie się etycznym, bo się nim będzie musiało być, ponieważ do tego popychać nas będzie energia życiowa (żyć, jest to wydatkować równie wiele, jak się otrzymuje — według Guyau etyka i altruizm — to jedno). Jeżeli nawet kto będzie postępował nieetycznie, to odpowiedzią na to będzie litość (miłosierdzie dla wszystkich ludzi, jakąkolwiek byłaby ich wartość moralna, intelektualna lub fizyczna — takim powinien być cel ostateczny nawet dla opinii publicznéj. Zdaje nam się, że Guyau myli się co do obu stron przyszłego społeczeństwa, a mianowicie, o ile chodzi o etykę i religię. Jeżeli przepowiada on nam w swojém wielkiém dziele (*L'irreligion de l'avenir*) upadek jawnej religii i dogmatycznéj wiary, w takim razie zjawisko niesłychanéj doniosłości, mianowicie wystąpienie dyletanckiéj religijności wielkich umysłów i wysoce wykształconych ludzi (Tołstoj, M. de Voguë—mistycy) jest zjawiskiem, które z przepowiednią Guyau niezupełnie się zgadza. W życiu społeczném, pod względem religijności widzimy zawsze i wszędzie odpływ i przypływ. Guyau, znajdując się jeszcze pod wpływem wielkiéj rewolucyi, był prorokiem odpływu, lecz zaczyna się już przypływ. Podobnie dzieje się z reakcyą społeczną. Od czasów Beccarii i Hovarda panował pewien sentymentalizm w wymiarze sprawiedliwości: obawa i odraza do kary śmierci, przesadna humanitarność w urządzeniach więziennych. Obecnie zjawia się przypływ socyalnéj selekcyi, która przyjmuje inny punkt widzenia,

uważając karę śmierci za pewnego rodzaju oczyszczenie powietrza [1]). We Włoszech szereg deputowanych oświadczył, że ustawy tak surowe przeciw anarchistom z r. 1894 będą dopóty bez znaczenia, „dopóki kary śmierci na nowo się nie wprowadzi. W Szwajcaryi zniósł Bund 29 maja 1874 r. karę śmierci, lecz już 28 marca 1879 r. przy sposobności zmiany art. 65 konstytucyi związkowéj, przywrócił kantonom swobodę ustawodawczą co do téj kary.

Karząca reakcya musi jeszcze więcéj i jeszcze silniéj, niż potępiająca, zaznaczyć i podnieść element zadanego jednostce zła [2]). O tém zapominają ci teoretycy, którzy mają na widoku albo wyłącznie poprawę, albo uzdrowienie przestępcy i w tym ostatnim razie nie czynią żadnéj różnicy pomiędzy reakcyą przeciw przestępstwu i przeciw obłąkanym. Reakcya przeciw przestępstwu jest i pozostanie zawsze „*malum passionis quod infligitur propter malum actionis*" w wypadkach powszechnie szkodliwego czynu, którego się dopuścił członek danego społeczeństwa [3]).

II. Zemsta krwawa nie jest źródłem kary.

Ludzie, związani w społeczeństwa dla dopięcia jakiegoś celu, nie zapominają o wrzącéj wszędzie walce o byt; związek ich ma ją wprawdzie uczynić lżejszą, ogranicza on ją wprawdzie do wewnętrznych stosunków danego społeczeństwa, mianowicie, o ile to jest potrzebném dla dopięcia wspólnych celów i dla wspólnéj pracy przy wielkim war-

---

1) Por. Häckel: „wprost dobroczynnie działa kara śmierci, jako sztuczny proces selekcyi („Natürliche Schöpfungsgeschichte", 155). „*Pourquoi cette oeuvre séculaire d'epuration ne se pursuivrait— elle pas?*" (Garofalo, „Criminologie", 292).

2) Całkiem słusznie mówi H. Meyer, IV, wyd. 3: „Kara jest przedewszystkiém złem, jakie się komuś wyrządza, szkodą, na jaką się kogoś skazuje." Na myśli o oczyszczającéj sile przykrości, idącéj w ślad za poniesioną karą, oparte jest małe, lecz cenne dziełko Kohlera „Wesen der Strafe".

3) Dlatego nie możemy się zgodzić ze zdaniem v. Bara „Handbuch", I, 319, gdzie tenże twierdzi: „w idealnych stosunkach społeczeństwa możnaby przestępcę pozostawić wprost samym przez się nasuwającym się konsekwencyom jego czynu, lub też zastosować zasadę pokonywania zła nie za pomocą drugiego zła, lecz dobra". Tego słabego punktu teoryi Bara użył H. Meyer dla obalenia całéj teoryi, „ponieważ sama przygana stoi po za istotą kary i również bez wyrządzenia sprawcy szkody mogłaby być wyrażoną." Również v. Hartmann („Phaenomenologie des sittlichen Bewusstseins", 1879, s. 196 — 212, jest zdania, że bezprawie nietylko za pomocą kary, ale także przez przebaczenie możnaby uczynić nieszkodliwém.

sztacie społecznym, ale po za tém pozostaje zawsze wolném rozległe pole, gdzie indywidualne żądze i ideały toczą ze sobą i pomiędzy sobą nieustanną walkę życiową w jakiéjkolwiek formie — walczyć mogą i mają prawo. Nie da się zaprzeczyć, że im wyrozumialéj postępują uczestnicy tych zapasów życiowych względem innych członków téjże społeczności, im więcéj pozwalają im iść przed sobą, tém mniéj egzystencyi ulega zniszczeniu; im więcéj dalsze istnienie ostatnich jest oszczędzane i zabezpieczane, tém silniejszą jest gmina, tém pewniejszą znów jéj przewaga nad drugiemi, więcéj anarchistycznemi grupami, gdzie samowola ma swobodniejsze pole. Liczba norm i co za tém idzie przestępstw, które są ich naturalnym wynikiem, świadczy o stopniu cywilizacyi i stoi do niego w prostym stosunku. W społeczeństwie, skrępowaném w najwyższym stopniu przez najrozmaitsze przepisy i zakazy, znajdzie się jednak zawsze, co wyraźnie zaznaczamy, dość jeszcze wolnego miejsca, aby siły jednostek znalazły swój wyraz i mogły się ze sobą zmierzyć [1]. Względem tego rodzaju faktów społeczność zachowuje się spokojnie i obojętnie; nie przyjmuje ona osobiście żadnego udziału w grze, dba tylko o to, by w wirze walki nie zostały ewentualnie naruszone jéj oczywiste interesa. Na najniższym stopniu rozwoju liczba przestępstw jest bardzo nieznaczna, społeczeństwo mało ma dóbr do ochrony, mało norm do ustanowienia.

U dzikich rozstrzyga siła ciała; silniejszy i zwinniejszy korzysta często ze swéj przewagi do tego stopnia, że słabszy musi mu oddać swoją broń, swoją żonę i dzieci, jeśli chce zachować życie (Buszmeni, Hottentoci, mieszkańcy Ziemi Ognistéj). Jeżeli obrażony i skrzywdzony nie rezygnuje odrazu, wówczas walka trwa daléj; na krok nieprzyjacielski zaczepiony niedługo pozostaje dłużnym w odpowiedzi, czyni on zadość swéj potrzebie zemsty (takie pragnienie zemsty musi się koniecznie na coś wyładować; jeżeli niepodobna dosięgnąć sprawcy, wówczas szalejący Omaha zabija w gniewie np. świnię wraz z jéj małemi), nie zastanawiając się bynajmniéj nad tém, czy ta odpowiedź będzie słuszną, czy nie przewyższy ona zaczépki pod względem siły i grozy. (Cała zemsta pierwotna była przeniknięta nie dążeniem do tego, aby winnych przestraszyć i uczynić nieszkodliwymi, lecz w daleko wyższym stopniu myślą o tém, by sobie samemu dostarczyć zadośćuczynie-

---

[1]) Słusznie mówi Bernhöft, 58: „W państwach cywilizowanych walka o byt nie straciła nic na swojéj sile; przybrała ona tylko formy, które przy powierzchownéj obserwacyi usuwają się oku. Zamiast silniejszéj pięści rozstrzyga wyższa zdolność ekonomiczna. Słabszy ginie nie, jak przedtém, od miecza, lecz od niedostatku.

nie, zadowolnić własną ambicyę). Za naruszenie własności śmierć sprawcy częstokroć nie wydaje się spragnionemu zemsty właścicielowi zbyt wysoką karą [1]). Jeżeli obaj przeciwnicy posiadają rodziny, wówczas te biorą również udział w walce dopóty, póki, co wcale nie należy do rzadkości, wzajem się nie wytępią. Podstawą zatém zemsty krwawéj jest wprost ta okoliczność, że naprzeciw siebie stoją grupy, nie zaś jednostki. Nazwijmy zemstę krwawą wprost wojną, a wówczas cała zagadka jéj powstania jest rozwiązaną, a raczéj znika. Dla społeczności obojętną jest ta familijna albo indywidualna wojna, zarówno jak i jéj wynik. Na wyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego zjawia się już zasada odwetu: zaczyna się już myśléć o zmodyfikowaniu zemsty [2]), o pewném, choćby mechaniczném zrównoważeniu szkody z idącą w ślad za nią represyą: życie za życie, ząb za ząb, oko za oko. Zasada odpłaty, albo właściwiéj wyrównania w formie odwetu nie przedstawia istotnéj modyfikacyi w stosunku do przewodniéj myśli zemsty. (Czynnik wyrównania występuje z niezwykłą jaskrawością przy zemście krwawéj. Podobnie jak w zemście prywatnéj krzywdziciel musi ponieść równy uszczerbek np. utracić analogiczny członek, tak samo i całe szczepy, klany albo rody, w sporze będące, pragną mieć równoważniki: śmierć trzech żołnierzy po jednéj stronie musi druga przypłacić równą liczbą). Chodzi tu o wyrównanie,— mianowicie szczepowi, jak w zemście prywatnéj krzywdzicielowi, ma być to samo odjęte, co poszkodowany drugi szczep postradał. Charakterystyczném jest, że po skończonéj walce liczy się po obudwu stronach trupy i téj stronie, która poniosła większe straty, nadwyżka ta, jako dług, wynagradzaną bywa w pieniądzach (tak jest mianowicie u Bogosów i Somalów). U Ossetów istnieją na ten cel osobne sądy rozjemcze. Często wciąga się do rachunku również zabite zwierzęta. Zasadnicza idea, że indywiduum jest niezawisłe od społeczeństwa i na własną rękę daje wyraz sprawiedliwości, pozostaje zawsze ta sama [3]).

---

[1]) Zemsta w pierwotnéj swéj fazie jest dozwolona bez ograniczeń. Wszystko zależy od miary, ale zarazem i od siły poszkodowanego. Stąd nawet lekkie stosunkowo krzywdy, jak upośledzenie przy podziale zdobyczy, lub poszkodowania majątkowe, jakich dopuszczali się konkurenci w domu Ulissesa, wywołują u Homera czasami śmiertelną zemstę (Bernhöft, 209—210).

[2]) Odwet jest to ograniczona zemsta (Tissot, I, 544). Festus: „de signif. verb.“ p. 363 „talionis permittit lex parem vindictam.“ Isidor Or. V, 27, 24. „Talio est similitudo vindictae.“

[3]) „Nie leży to w charakterze rasy, lecz w charakterze pewnego stanu społecznego, kiedy władza publiczna nie ma dość siły na to, by sama mogła karać zbrodnie. Im więcéj zbliżać się będziemy do anarchii, tém mniéj państwo ścigać

Byłoby jednak wielkim błędem, spotykanym atoli u wielu znakomitych pisarzy [1]) mniemanie, że w takiém społeczeństwie panuje anarchia, że nie zna ono żadnych przestępstw i żadnych kar. Przeciwnie, każda taka społeczność karze przestępstwa, zagrażające bezpieczeństwu publicznemu, jakotéż wszelkie czyny, skierowane przeciw ogółowi, — natomiast mało się interesuje krzywdą jednostek. Społeczeństwa zwierzęce, które indywidualnéj samowoli pozostawiają bieg tak swobodny, karzą jednak cudzołóstwo i zdradę; te same pszczoły, które obojętnie przypatrują się walce dwóch królowych, reagują wspólnie przeciwko nim w razie anti-socyalnego składania przez nie jajek z zarodkami trutni; dwa bobry mogą sobie walczyć o samicę, ale leniwego wygania się ze stada (Dallas) [2]). U pierwotnych mieszkańców Brazylii za zabicie nie wyznacza się żadnéj kary,—sprawca podlega tylko zemście, ale to należy w zupełności do zainteresowanéj rodziny. Pomimo to, czary i gusła są uważane za ciężkie przestępstwo; „zagrażają one podwójnie bezpieczeństwu osób i własności, posiadając mniemaną władzę popełniania zła z pomocą nadprzyrodzonych środków i w sposób nieznany.” Winny téj zbrodni ulega karze śmierci.

U tychże pierwotnych mieszkańców Brazylii, zarówno jak i na wyspach Markesas, mąż mści się na kochanku swojéj żony; najczęściéj w wypadkach, kiedy oszukiwany mąż bije żonę, a cicisbeo przychodzi téj ostatniéj w pomoc, powstaje spór, który kończy się zwykle śmiercią jednego z przeciwników. Jak na całym oceanie, tak i na wyspach Markesas w wypadkach morderstwa i nie dopuszczającéj pojednania obrazy, panuje zwyczaj krwawéj zemsty, a jednak prawodawstwo Tabu zawiéra całkowity system społecznéj reakcyi przeciw powszechnie szkodliwym przestępstwom [3]).

---

będzie przestępstwa, zwłaszcza takie, które nie będą go bezpośrednio interesowały.“ Fustel de Coulanges, „Hist. des inst. pol.“ Dość porównać list biskupa Hinkmara w Reims do Karola Łysego.

[1]) Tissot (I, 544) mówi: „zemsta osobista jest pierwszą formą kary, odwet— drugą,“ — przyjmuje więc, że zemsta jest karą, przecząc tém samém istnieniu kary społecznéj na pewnym stopniu rozwoju. Także Soeffler twierdzi, że najdawniejsze prawo karne z istoty swéj jest tylko przez państwo uregulowaną lub poprostu upaństwowioną zemstą prywatną.

[2]) U zwierząt ssących wciąż trwają większe lub mniejsze spory, ale stare, zgryźliwe samcy, które dla wszystkich są niebezpieczne, bywają wypędzane (Brehm).

[3]) Williams, Fiji, I, 129. Na wyspach Fidżi poszkodowany musi osobiście poszukiwać zadośćuczynienia, o ile chodzi o własne lub drogiéj dlań osoby życie·

Widzimy tam całą seryę prawnie karanych, społecznie szkodliwych czynów, jako to: zdrada, podpalenie, cudzołóstwo, kradzież, czary, brak uszanowania dla naczelników i t. d. U Greków za czasów Homera morderstwo pozostawione jest zemście krewnych i nie stanowi żadnego przestępstwa, ani nawet niemoralnego czynu; morderca, zbiegłszy, może otwarcie przyznawać się do swego czynu, nie stając się przez to niegodnym litości. Uśmiercenie bliskich krewnych, a nawet ojca, spotyka się wprawdzie z potępieniem (Erinnye słuchają klątw obrażonych rodziców), ale gmina, jako władza karząca, nie zawsze wdaje się w te sprawy. A jednak współcześni znali społeczną reakcyę: zdrada, świętokradztwo, szpiegostwo, bunt—były to działania, na które społeczeństwo odpowiadało nałożeniem kamiennéj szaty, albo też wykluczeniem ze związku gentylnego, prawnego lub familijnego. *Corpus juris Georgici* zezwala na zemstę prywatną w całym szereg-wypadków, lecz nakłada publiczną karę na przestępstwa przeciw państwu i religii, na cudzołóstwo i kradzież koni.

Charakterystycznėm jest, że odpowiedzialność zbiorowa serbskiéj gminy ograniczała się pierwotnie tylko do podpalenia, z czasem objęła dopiéro rabunek i kradzież, na końcu wreszcie rozciągnęła się na zabójstwo.

Także Germanie wyróżniali czyny nie dopuszczające pojednania, któremi cały naród czuł się obrażonym, tak wogóle wszystkie społeczeństwa posiadają swoje naturalne przestępstwa, przedstawiające niebezpieczeństwo dla ich trwałéj egzystencyi,—jakkolwiek obraza pojedyńczych członków jest dla tych społeczeństw obojętna. Dopiéro późniéj zaczyna społeczeństwo interesować się czynami, szkodliwemi dla jednostek, które to czyny przedtém pozostawiało w zupełności zemście prywatnéj; przedewszystkiém podciąga ono prywatną i krwawą zemstę pod własną kontrolę: działania, nie sprzeciwiające się pewnym przepisom, nie stanowią przestępstw, wolne są od kary. Tak np. obecnie w Chinach poszkodowany oznajmia urzędnikowi sądowemu zamiar zemszczenia się i wówczas, w razie wykonania zemsty, wolny jest od

---

Mściwość podsyca się jeszcze sztucznie: kładzie się przed swoim domem kij lub kamień na pamiątkę obrazy, zawiesza się nad swojém łóżkiem ubranie zamordowanego przyjaciela, lub téż, jeśli się jest amatorem tańca, odmawia się sobie téj przyjemności dopóty, dopóki zemsta nie zostanie dokonana.

Co się tyczy zwyczaju zawieszania zakrwawionego ubrania por. słowa Antoniego z Nawarry, ojca Henryka IV-go, wyrzeczone do Reinsy: „jeżeli mnie zabiją, weź moją zakrwawioną koszulę, zanieś ją memu synowi i żonie, a przeczytają oni we krwi mojéj, co im czynić należy dla pomszczenia mnie.“ Podobny zwyczaj w Czarnogórzu (Miklosich, „Blutrache,“ 146).

wszelkich zarzutów; podobnie syn lub wnuk, który zabija mordercę swego ascendenta (krewnego wstępnego) bezpośrednio po dokonanym przezeń czynie, również wolny jest od kary. Podobne warunki wstępne obowiązują w Johor na Malacce. Często też stawia się warunek: jeżeli żadne zadośćuczynienie nie było dotychczas ofiarowane przez sprawcę (Avesta). W średnich wiekach (na zasadzie Constit. Frid. I) zemsta rodowa dozwoloną była tylko pod tym warunkiem, ażeby była zapowiedzianą interesowanemu na 3 dni przedtém i żeby skarga, wniesiona na niego przed sędzią była bezskuteczną. Według japońskich ustaw Jyeyasu, mściciel musiał uzyskać sądowe zezwolenie; według czeskiego „Rad prawa ziemskiego" miała być strona obrażająca po trzykroć wezwaną przed sąd napróżno. Jeżeli się zadośćuczyniło ustawowym lub zwyczajowym warunkom, wówczas bezkarność zemsty jest wyraźnie uznaną (*impune necare*). Społeczeństwo idzie jednak daléj: uznaje ono prawo zemsty, uznaje, że osoba, wykonywująca prywatną lub krwawą zemstę, działa prawnie, ale uważa, że prawo to nie powinno przechodzić w samowolę, ani prowadzić do represalii. Społeczeństwo staje po stronie mściciela i będzie mu pomagało w razie potrzeby. Tak np. w Polinezyi, poszkodowani mają prawo mścić się osobiście za niektóre przestępstwa; mogą mianowicie przestępcę zabić lub przynajmniéj ograbić go z całego majątku. Ten ostatni środek zwie się „harourâ", albo „muru"; w razie oporu ze strony winowajcy cała ludność udziela mścicielom pomocy w wymiarze sprawiedliwości. Teraz dopiéro zemsta występuje, jako surogat kary, reakcyi społecznéj, teraz zemstę prywatną można uważać za karę, któréj organem wykonawczym jest poszkodowany — teraz, ale nie wcześniéj [1]).

---

[1]) Wyrazu „kara" często się nadużywa: i tak Letourneau sądzi, że zemsta jest zarazem karą: „zemsta i odwet (w Abissynii) przedstawiają jeszcze bardzo czyste źródła prawa karnego" albo „plemiona Berberów i Etyopów zachowały kwintesencyę sprawiedliwości dzikich — odwet i kary doraźne, wymierzane przez samych interesowanych. Steinmetz, uważając pojedynek za zmodyfikowaną zemstę, powiada: „pojedynek ten nie jest żadnym środkiem dowodowym wobec sędziego, lecz jednocześnie procesem, wyrokiem i egzekucyą", nazywa go karą, a przecież brak tu cech decydujących: reagującéj społeczności i pewności rezultatu walki—wszak w pojedynku może przestępca zwyciężyć. Hanoteau-Letourneau („Kabylie", III, 53) „w owéj epoce (mowa tu o epoce zupełnéj anarchii) prawo karne było tylko prawem obrony osobistéj, prawem życia, opartego na sile. Także Leist nie jest wolny od tego zarzutu, twierdząc: „najdawniejszy aryjski punkt widzenia jest następujący: kto czuje się poszkodowanym przez bezprawie drugiego, sam poszukuje na nim swojéj krzywdy. Wyrządzając sprawcy zło równe wyrzą-

To uznane i ochraniane przez społeczeństwo prawo zemsty (timorya indywidualna) objawia się szczególnie w trzech kierunkach: w prawie ojca rodziny do zabicia uwodziciela podlegających mu kobiét, w takiémże prawie właściciela domu względem złodzieja, wreszcie w służącém niewinnie napadniętemu prawie pozbawienia życia napastnika. Wszystkie te trzy wypadki zaliczają Grecy do κακουργίαι; w żadnym z nich nie mamy do czynienia z konieczną obroną własną, we wszystkich tych wypadkach mściciel był wykonawcą społecznéj sprawiedliwości. W tych samych trzech kierunkach rozwinęła się timorya indywidualna w prawie rzymskiém: małżonek, przydybawszy cudzołożnika, ma prawo zabić go, jak również i cudzołożną żonę (tę ostatnią na podstawie swojéj władzy patryarchalnéj); złodzieja nocnego *(fur nocturnus)* i złodzieja uzbrojonego (t. j. stawiącego opór z bronią w ręku), pozwalają ustawy 12 tablic zabić. Wogóle przy *furtum manifestum* następowała znacznie wyższa kara, niż przy *nec manifestum*; wolny człowiek w drodze *addictionis* stawał się własnością okradzionego; późniejszy edykt pretorski opiewał na poczwórną wartość, a nie jak przedtém podwójną. Przyczyna tego zjawiska leży w starém pojęciu zemsty: trzeba było wzamian dawniejszego, obecnie ograniczonego prawa zabijania ofiarować jakiś równoważnik [1]). Co się tyczy napaści osobistéj, to prawo XII tablic zezwala na odwet w razie cięższego uszkodzenia ciała, jeżeli winowajca nie nakłonił poszkodowanego do innego załatwienia sprawy. Podobnie trzy wypadki timoryi indywidualnéj znajdujemy u Germanów; a więc wolno jest zabić: włamującego się złodzieja w trakcie popełniania kradzieży, mordercę, podpala-

---

dzonemu sobie, mści się na nim, karze go", a jednak w innéin dziele zupełnie słusznie mówi: „przez karę (*poena*, *Pein*) rozumiéć należy skazanie przestępcy przez sąd gminny na ciele, życiu lub honorze." Nawet u v. Bara „nieuznana przez społeczeństwo zemsta jest już karą". U Günthera widzimy niejasność: nie rozróżnia on mianowicie zemsty i reakcyi społecznéj (zemsty ludu). Na tym samym błędzie oparte jest zdanie Jellinka: „u mniéj rozwiniętych narodów prawo karne jest jeszcze ściśle związane z prawem prywatném" i t. d. Kohler nazywa wprawdzie także krwawą zemstę „najdawniejszym rodzajem sądownictwa karnego", ale zaznacza wyraźnie „jest ona zemstą, unormowaną przez zwyczaj prawny", a zatém według jego pojęcia, tylko prawo i obowiązek zemsty należy uważać za surogat kary; dlatego téż mówi znów: „zemsta krwawa jest jeszcze za wiele zemstą, aby mogła być właściwą karą". Dla v. Liszta jest téż rodzajem kary „pokonanie cudzoziemca i całego jego szczepu, w drodze zemsty krwawéj jednego szczepu na drugim."

[1]) W Georgii, według ustawy księcia Jerzego w XIV w., wolno było ścigać i zabić złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku,—zwyczajnie zaś złodziéj płacił potrójną wartość skradzionego przedmiotu.

cza, schwytanego *in flagranti* z pochodnią w ręku, wreszcie cudzołożnika (jak również gwałciciela), jeżeli czyn jego *(copula carnalis)* narusza *mundium* mściciela. Te same trzy wypadki timoryi indywidualnéj znajdujemy w prawie muzułmańskiém, a także u ludów malajski. Tak np. oszukiwany mąż karze wiarołomstwo śmiercią żony i jéj kochanka w Menangkabau na Sumatrze, u Redjangów, Balinezów, na Malacce, Jawie, u Alfoerów z Halmahery. Podobnież schwytany na gorącym uczynku złodziéj podlega prawu zemsty na Jawie, Malacce, u Balinezów, Makassarów, Bataków z Sumatry, Malajów z Menangkabau, Pasmaherów, na Timorze. Także prawnie uznaną zemsta za uszkodzenie ciała lub morderstwo na Jawie, u Makassarów, na Malacce u Boeginezów, zawsze jednak tylko w razie schwytania *in flagranti*. Niezwykłą rozmaitość przedstawiają czyny, pociągające za sobą timoryę indywidualną, u Kabylów: ulega więc śmierci: złodziéj, cudzołożnik, osoba, która okazała pomoc małżonce w dziele wiarołomstwa, daléj indywiduum, usiłujące wtargnąć do cudzego domu w celu zobaczenia się z kobiétą lub kradzieży i t. d. Cudzołożnika na gorącym uczynku może zabić małżonek w Chinach, Japonii w prawie muzułmańskiém, u Veddasów „obrażony małżonek może z a z g o d ą w s p ó ł o b y w a t e l i zastrzelić rywala. To samo prawo panuje w Lombock względem osoby, schwytanéj w domu w nocy a znajdującéj się tam bez pozwolenia. W plemieniu Omaha czarownik ponosi śmierć z ręki krewnych swojéj ofiary. Złapanego na kradzieży można bezkarnie zabić: u Anglosasów, daléj według „Ruskiéj Prawdy” (ogniszczanin, schwytany na kradzieży koni, bydła lub w komorze, ma być zabity jak pies), podług księgi ustaw czarnogórskich (jeżeli kto zabije lub zrani złodzieja podczas kradzieży, ma być wolny od odpowiedzialności, ponieważ wszyscy zgodziliśmy się na to, że takiego człowieka cały kraj powinien ścigać i uczynić nieszkodliwym), według prawa mojżeszowego, według ustaw cara gruzińskiego Jerzego i Wachtanga, statutu litewskiego (1529), kodeksu czarnogórskiego (1796). Według staronorweskiego prawa można za małe uszkodzenie płotu i t. d. zabrać ubranie, za drobne kradzieże, żebraninę obić; statuta włoskie (prawo miejskie) mają timoryę indywidualną przy osobistéj napaści i kradzieży.

Pod wpływem przesadnego poczucia honoru i obowiązku szanowania rodziców [1]), prawo zemsty zostaje podniesioném do znaczenia

---

[1]) Stary włoski wiersz opiewa: „che bell'onor s'aquista in far vendetta.“ — „Co najpiękniejszém jest na ziemi?“ zapytał Osiris, — „pomścić rodziców“ odpowiedział Horus.

obowiązku. Plemiona Karaibów i Tupinamba wyganiają z klanu, jako tchórza, tego, kto się ociąga z zemstą. U Greków niepomszczone cienie zamordowanych rodziców nasyłają Erinnye na niewdzięcznego syna. Kto w Czarnogórzu nie pomściłby w przeciągu roku swego krewnego lub przyjaciela, ten uważałby się za pozbawionego czci i ściągnąłby na siebie pogardę współobywateli. Ostatni z Sassanidów król Parwiz nazywa syna, który nie pomścił śmierci ojca, bękartem. Ustawa księcia kijowskiego, Jarosława, czyni zemstę w niektórych okolicznościach obowiązkiem. Podobny obowiązek znajdujemy u Hebrajczyków (mściciel krwi—*göel haddam*, *cognatus occisi*) powinien zabić człowieka, który przez niedbalstwo pozbawił życia jego krewnego (Pent. IV, 35, 19, por. król. II, 16, 11). Jeżeli mściciela krwi nie ma, albo jeśli tenże nie chce lub nie może wykonać swego prawa czy obowiązku, wówczas dopiéro wdaje się właściwy sąd karny (Talmud Synchedrin, 44, 6. Maimonides H. Boreach, I, § 2, — por. Mayer, 38; Dareste, 22), w statucie litewskim z r. 1529, u Germanów, u Arowaków, w Australii, u narodów Oceanii, u Ossetów, w Marokko, u afrykańskich ludów Akkra, Felup i t. d.

Nie ma chyba narodu o rozwiniętéj zemście krwawéj, gdzieby ta nie była podniesiona do znaczenia obowiązku, uświęcona i rozwielmożniona. Że krewni albo sam poszkodowany działają przytém poczęści w imieniu społeczeństwa, występuje to szczególnie jaskrawo w staronorweskiéj ustawie; jeżeli poszkodowany umiéra od ran, wówczas krewni umarłego powinni zabić sprawcę u nóg trupa; jeżeli jednak krewni nie mają nic przeciwko temu, to winowajcę zabić ma sługa publiczny. Typowy wypadek zemsty, jako surogatu kary, znajdujemy u Eskimów; jeżeli ktoś popełnił morderstwo, lub w jakikolwiek inny sposób naruszył spokój publiczny, wówczas każdy ma prawo go zabić. W takich razach mściciel zapytuje gminy, czy przystaje na to a, gdy wszyscy się zgadzają, zabija mordercę [1]. W średnich wiekach znajdujemy we Francyi i Hiszpanii wyraźnie uznane prawo zemsty [2]. W starodawném prawie polskiém obowiązek zemsty szedł tak daleko, że

---

[1]) Podobne przepisy alamańskiego prawa karnego (Osenbrüggen, 60).

[2]) Tak np. w Bigorze każdy włościanin miał prawo w razie poniesionéj krzywdy zemścić się nawet na rycerzu. Podobnie prawa zwyczajowe z Montpellier (c. XXIX) dają *potestatem et licentiam ulciscendi propria auctoritate*; w Hiszpanii wiele obwodów sądowych (np. w Tudela) nosiło nazwę *Tortum per tortum*, ponieważ w nich dozwoloném było „*hacer mal por mal, tomandose la justicia por su mano*“ (por. Lagrèze, 287).

okradziony sam musiał wieszać złodzieja, inaczéj bowiem sam mógł być przez złodzieja powieszonym (*Scriptores rerum Silesic.*, III, 59).

Od tego stadyum łatwo jest zrobić dalszy krok i te czyny, które nie są wprost skierowane przeciwko bytowi społeczeństwa, uznać pomimo to za społecznie szkodliwe. I tak Koran postanawia, że w wypadkach, kiedy za morderstwo orzeczona jest kara śmierci, morderca ma być schwytany przez władzę i oddany w ręce mściciela krwi dla wykonania wyroku [1]). Dlatego też w Persyi wydaje się mordercę krewnym zamordowanego, jeśli ci nie chcą zgodzić się na karę pieniężną (*compositio*). W ustawie flamandzkiéj czytamy: *de homicidio voluntario convictus parentibus vel cognatis occisi tradetur occidendus*. Zwyczaj wydawania złoczyńcy przez zwierzchność krewnym zamordowanego panuje jeszcze w Wadai, Abisynii, Beludżystanie, Khokandzie, daléj w Bornu, Batak, Unyro, Menangkabau i t. d. [2]). Ponieważ z biegiem czasu państwo przejmuje na siebie i monopolizuje władzę sądową i wykonanie kary, zatém prawo poszkodowanego lub jego rodziny, dawania w jakikolwiek sposób wyrazu pragnieniu zemsty powoli znika; skutkiem rozszerzenia społecznego różniczkowania posiada własny organ reakcyi w osobie kata. W rozwoju jednak nie ma skoków: prawo zemsty nie da się tak łatwo usunąć, pozostawia ono jeszcze zawsze pewne reminiscencye; za taką uważać należy np. wielki udział poszkodowanego w egzekucyi publicznéj. W Hessyi np. był zwyczaj, że gwałcicielowi wbijano w serce suchy, zaostrzony pal, przyczém pierwszych trzech uderzeń miała prawo dokonać zgwałcona, następnie należały do oprawcy. Zdarza się też nieraz, że poszkodowany lub jego rodzina sami zamiast kata dokonywują publicznego aktu tracenia. Prawo być obecnym przy egzekucyi (jeszcze za czasów Demostenesa), mordercy było tylko reminiscencyą przysługującego niegdyś krewnym prawa egzekucyi. W Buttstädt w Turyngii w r. 1470 najstarszy agnat z rodziny ofiary ściął własnoręcznie mordercę; we Fryzyi okradziony wieszał złodzieja. Podobnież u Hebrajczyków: „ręka świadków (krew-

---

1) Jeżeli karą za morderstwo jest śmierć, wówczas władza, względnie gubernator, ma prawo oddać skazanego w ręce mścicieli krwi, zabraniając im wszelako pastwienia się nad nim i przedłużania jego męczarni. W razie innéj kary, władza sama przystępuje do egzekucyi.

2) W Abisynii: gdy winni zostaną uznani za takich, wydaje się ich rodzinie ofiary, która sama wymierza sprawiedliwość. Nie ma tam publicznego kata i krewni zabitego zawsze spełniają ten urząd, który dla nich nie więcéj jest plamiącym, jak rola żołnierzy, rozstrzeliwających swego kolegę; biorą się do tego zwykle w liczbie sześciu, jeżeli zaś liczba członków rodziny nie wystarcza, wówczas król wyznacza im do pomocy swoich ludzi; podobnie było u Longobardów.

nych, przyjaciół i t. d.) powinna go przedewszystkiém dotknąć i zabić, potém zaś dopiéro ręka narodu całego, — i w ten sposób wykorzeniajcie zło z pośród was" (Pent. V, 17, 5—7; V, 19, 15). Podobnie w prawie muzułmańskiém: pierwsze kamienie muszą rzucić ci, którzy przeciw sprawcy składali świadectwo, potém kadhi, na końcu wreszcie cały lud.

Prywatna albo krwawa zemsta rozwija się nietylko w kierunku surogatu kary, o ile uznana za prawną przez społeczeństwo, służy do usunięcia szkodliwych jednostek, lecz również samodzielnie, w kierunku stopniowéj modyfikacyi. Może ona przybiérać nietylko ograniczającą pierwotne instynkta formę odwetu *(talio)*, może się nawet zrzec bezpośredniego działania nieprzyjacielskiego, w miejsce czego poszkodowany przyjmuje od winowajcy wynagrodzenie w jakiéjkolwiek formie: w młodych dziewczynach, jak u Afganów lub Celtów *(pretium ancillae)*, w krowach *(pretium vaccae)*, jak u Ossetów, w Irlandyi, u Hottentotów, w piéniądzach, jak u Germanów, w wielbłądach, jak w prawie muzułmańskiém. Dlaczego jednak zemsta prywatna może być w ten sposób usuniętą?

My sądzimy, że ewolucya ta stoi w związku z rozwojem własności prywatnéj, wówczas bowiem zjawia się chciwość, jako namiętność równa zemście pod względem siły. Społeczeństwo zachowuje się obojętnie względem tych układów, jakkolwiek w pewnych wypadkach czyni ono zawisłém prawo zemsty od niezapłacenia kary piéniężnéj, lub odwrotnie — zakazuje przyjęcia wykupu tam, gdzie zemsta odgrywa rolę surogatu kary. Od zabójcy nie należy przyjmować piéniężnego wykupu bez względu na to, czy działanie było rozmyślne lub nie, ponieważ rozlew krwi obraża nietylko rodzinę zabitego, lecz także Boga w osobie człowieka, na Jego podobieństwo stworzonego, wreszcie plami kraj, w którym sprawca mieszka (Pentateuch).

Tu nasuwają się dwie kwestye: czy wogóle jest się uprawnionym, a nawet zobowiązanym do przyjęcia odszkowania (*compositio*) i jaka ma być jego wysokość (*pretium affectionis* nigdzie prawdopodobnie nie znalazło lepszego zastosowania). W znanéj scenie sądu, przedstawionéj na tarczy Achilesa, toczy się dyskusya i przeprowadza głosowanie nad pierwszém z tych pytań w publiczném zgromadzeniu. Czy chodziło przytém o sędziego polubownego, który miał sprawę rozstrzygnąć, czy też o świadka, który miał zaświadczyć obecność lub nieobecność złego zamiaru, jest dla nas kwestyą bez znaczenia (jako zasadę przyjmuje się, że tylko w razie φόνος ἀκρόσιος można okupić swoją winę wogóle na ziemi. Druga kwestya prowadzi do roz-

wiązania w téjże formie; ktoś przecie musi rozstrzygnąć spór co do wysokości wynagrodzenia, a powołaném jest do tego zgromadzenie ludowe lub starcy. Zrazu załatwia się te kwestye publicznie, późniéj rozwój przyjmuje ten sam kierunek, jak przy sądownictwie pierwotném: powstaje wydział, który zajmuje się daną kwestyą i ogłasza wynik narodowi, którego udział w obradach redukuje się w końcu do *minimum*. Ta, o ile się zdaje powszechna w indo-germańskich plemion forma, znajduje analogię u innych narodów w rozstrzygnięciu naczelnika (króla), lub specyalnych urzędników, którzy występują nie jako bezpośredni organ ludu, lecz — despotycznego władcy. W obudwóch wypadkach powstają pewne normy, określające wynagrodzenia za wszelkie możliwe uszkodzenia ciała i inne *delicta privata*. Prawo zwyczajowe, które się temi kwestyami zajmuje, jest jedyném źródłem, z którego strony, spór wiodące, mogą czerpać. Jeżeli w kraju Amaxosa zabija się mężczyznę, to wié się dokładnie, że czyn ten kosztuje 7 sztuk bydła i że kobiéta jest droższą o trzy sztuki.

Wreszcie zjawia się potrzeba ustalenia raz na zawsze tych norm zwyczajowych, spisuje się tę taryfę, zawiérającą przeważnie ceny ludzkiego mięsa [1]) i wtedy powstają t. zw. ustawy w rodzaju *Lex Salica* i t. p. Byłoby zatém błędném mniemanie, że te systemy opłat stanowią ówczesne prawo karne. Mamy tu do czynienia tylko z *delicta privata*, w których społeczeństwo ustanowiło zadośćuczynienie, należące się poszkodowanemu.

Po za temi ustawami istnieje jeszcze właściwe prawo karne, zawierające reakcyę społeczną. Nie ma błędniejszego zdania nad to, które przyjmuje, że dopiéro z tego systemu grzywien (*compositiones*) i téj taryfy mięsa ludzkiego powstało w drodze specyalnego rozwoju, (mianowicie, że państwo (gmina) zaczęło pewną część (*fredus*) opłaty zabiérać dla siebie) prawo społeczeństwa do karania przestępstw. Weźmy przykład stosunków prawnych u Berberów. Zabójstwo można okupić grzywną, a jednak za to samo zabójstwo czeka kara śmierci przez ukamienowanie, jeżeli łączy się ono z naruszeniem pewnego specyalnego pokoju.

---

[1]) Istnieją tu dwa systemy: płaci się albo cenę uszkodzonego ciała, albo też, dla uniknięcia zemsty, a ewentualnie śmierci, — własnego t. j. okupuje się życie. Pierwszy system jest europejski, drugi azyatycki (panujący też u Węgrów). *Nonnulli dicunt homagium (wergeld) pretium esse hominis interempti*, — ale to jest niedorzeczność, ponieważ *mortuus nullo pretio redimi et a mortuis suscitari potest. Homagium* jest zatém ceną samego mordercy, *quae talis est ut homicidae redimant se ab his, quibus competit iuxta aestimationem capitum suorum* (Verboczi).

Wystarczy przyjrzéć się pierwszéj lepszéj ewolucyi; weźmy np. *lex Salica*: nie ma w niéj (*lex antiqua*) ani jednego słowa o wojskowych i politycznych (bezpośrednio dla społeczeństwa szkodliwych) przestępstwach; także naruszenie obyczajności zdaje się nie pociągać za sobą żadnéj kary. A jednak u Tacyta czytamy o tych *proditores, transfugae, corpore infames*, którzy odpowiednio do rodzaju przestępstwa karani bywają rozmaitą śmiercią [1]; wszędzie w źródłach znajdujemy czyny, które nie dopuszczają pojednania i pociągają za sobą śmierć sprawcy. Do takich zaliczają się w Westrogocyi: podstępne zabójstwo, krewnobójstwo, bigamia, podpalenie, bunt, zdrada stanu; w Danii — pewne rodzaje zabójstwa i kradzieży, podpalenie, zdrada stanu; w Norwegii — naruszenie uświęconego pokoju podczas religijnych lub politycznych zebrań, w świątyni lub na tingu. Podobnie w Islandyi i t. p. Jest-że możliwém, aby za czasów Chlodwika zapanowała naraz zupełna anarchia i społeczeństwo cofnęło się do najpierwotniejszéj epoki, gdzie nie zdążyło się jeszcze wyrobić pojęcia społecznie szkodliwego czynu? [2].

Po za grzywnami, które mają raczéj prawno-prywatny charakter i w mniejszym tylko stopniu przedstawiają reakcyę społeczną, znajduje się w każdém społeczeństwie prawo karne, oddzielną całość stanowiące. Tak np. w staro-indyjskiém prawie obok systemu grzywien (*Pairayatanartham*) istniał jeszcze system przestępstw nie do darowania, obejmujący cztery wielkie zbrodnie (*Mahapatakos*), karane śmiercią. Że to samo miało miejsce za czasów *lex Salica*, dowodzi tyt. XX *lex emendata*, gdzie się mówi: jeżeli ktoś obwinia drugiego przed królem o popełnienie przestępstwa śmiercią karanego i t. d.; jeżeli w całéj *lex Salica* nie czytamy nigdzie o karze śmierci, tutaj zaś naraz słyszymy o całéj kategoryi czynów, pociągających za sobą tę karę [3], to musimy

---

[1]) Uwaga v. Bara. H. St. R. I, 52 (241), że cytowany ustęp odnosi się tylko do przestępstw podczas wojny, nie stoi w sprzeczności z tém, co powiedziano w tekście.

[2]) Do takiego wniosku doszedł np. Letourneau (Justice, 446): „Ślepi lub naiwni adoratorzy Germanii, nieraz za Tacytem wychwalali czystość jéj starożytnych obyczajów; lecz prawa germańskie świadczą przeciwnie o stanie barbarzyńskim, gdzie wykroczenia przeciw obyczajom uważane są, jak i wszystkie inne, za uszczerbek materyalny, nigdy zaś za przestąpienie praw moralnych.

[3]) W kontrowersyi Pardessus'a („Loi salique", s. 663) i Thönissena („Loi salique", s. 244) musimy stanąć po stronie ostatniego. Przyjąwszy hypotezę Pardessus (weźmy jedno tylko przestępstwo np. zdradę stanu), musielibyśmy, chcąc być konsekwentnymi, twierdzić, że karane śmiercią u starożytnych Germanów „Neidingswerke" u północnych i „Meinthaten" u zachodnich, które to czyny nie są zdradą stanu (np. profanacya świątyni, czarodziejstwo, przeciwny naturze nierząd i t. d.) uchodzą bezkarnie.

przyjść do przekonania, że *lex Salica* nie obejmuje właściwych przestępstw (społecznie szkodliwych czynów), na które społeczeństwo reaguje [1]). Ten sam rys charakterystyczny posiada większość *leges barbarorum*, na tém samém stanowisku stoi starodawne prawo polskie. Ustawy, powstałe za czasów Kazimierza Wielkiego pod nazwą Statutu Wiślickiego (1346—1368) przepisują grzywny za najcięższe nawet zbrodnie, lecz co się tyczy przestępstw, zagrażających państwu [2]) król miał prawo wyrokować *(in gratia nostra consistat, nostrae gratiae reconciliari, incidunt in iram nostrae indignationis)*, i wtedy kara śmierci, wygnanie i kary kaleczące niemałą odgrywały rolę [3]). Wskutek tego powstaje nowy rodzaj sądów osobiście królewskich, karać mających rozmaite *latrocinia* i *maleficia*, jakotéż zdradę stanu [4]). Początki tego rozwoju sięgają XIII wieku. Tak więc widzimy, że pozostawione społecznéj reakcyi występki z chwilą ułożenia taryf karnych przechodzą pod jurysdykcyę królewską. Z biegiem czasu liczba tych przestępstw wzrasta, królowie wymierzają przeciwko nim kary państwowe w swoich edyktach (frank. kapitularzach), lub w inny sposób. W podobny sposób u plemienia Amaxosa nakłada się grzywny (w bydle) za kradzież, morderstwo, spędzenie płodu, cudzołóztwo, uwiedzenie, natomiast czary, podszycie się pod stan kapłański, a przedtém też zanieczyszczenie kraalu bydlęcego pociągają za sobą karę śmierci. Bardzo charakterystycznem pod tym względem jest prawo karne narodów malajskich: morderstwo, cudzołóztwo i kradzież można okupić pieniędzmi, natomiast mamy cały szereg przestępstw, uważanych za społecznie szkodliwe i jako takie karanych. Do nich należą: zabójstwo osoby wyżéj położonéj społecznie (u Niaserów), cudzołóztwo z żoną Radji (u Bataków), prócz tych wszelkie narażenie na niebezpieczeństwo bytu publicznego, czyli t. zw. przestępstwa polityczne: zdrada, szpiegostwo, sfałszowanie edyktu królewskiego, wreszcie przestępstwa przeciw dobrym obyczajom: kazirodztwo (nieprzestrzeganie przepisów exogamii, zajście w ciążę dziewczyny) i wogóle fakt, że jest się złoczyń-

---

[1]) Jako wyjątek możnaby uważać tit. 70: „Si quis mulier qui cum seruo suo" ponieważ tit. 55 „uargus sit usque in die illa", nie zawiéra społecznéj reakcyi. lecz środek wyegzekwowania grzywny i wyjęcie z pod pokoju publicznego w stosunku do mściciela krwi.

[2]) *Maleficia* Statutów Wielkopolskich XXXIII, obejmujące *crimina laesae majestatis, proditio* i *latrocinia*, Hube. Ustawod. Kaźm. W. S. 208 i w wypadku, gdy *quienmque in judicio cultellum extraxerit et aliquem vulneraverit* (ib. V *raptores* Stat. Wiślickie XXII.

[3]) Długosz. Hist. pol. III, 164.

[4]) Hube. „Sądy" 288.

cą. Daléj znajdujemy grzywny i reakcyę społeczną jedno obok drugiego u Hebrajczyków (np. Pent. II, XXI, 22, por. ib., 16, 19 i XXII, 17), w Indyach, w ustawie cara Duszana [1]). Jeżeli systemowi kompozycyi nie przypada w udziale zasługa wytworzenia pojęcia kary, to w każdym razie ma on inną t. j. wprowadzenie równoważnika krzywdy. Pierwotna eliminująca reakcya: kara śmierci lub wykluczenie z pokoju powszechnego pod wpływem nowych zapatrywań ulega modyfikacyi; obecnie już niezawsze niweczy się egzystencyę danego indywiduum, — zmusza się go tylko do zadośćuczynienia za materyalną i moralną szkodę, spowodowaną jego przestępstwem. Kompozycya jest tylko jednym z środków, służących do ograniczenia lub usunięcia krwawéj zemsty; ze środków tych możemy jeszcze wymienić: małżeństwo między przedstawicielami dwóch walczących rodów u plemion: Beni Amer, Berberów z Marokko, Bogos, Czerkiesów, adopcya winowajcy lub zaliczenie go w poczet niewolników (*noxae datio*), pojedynek, który raz na zawsze przecina spór, upokorzenie się (prośba o przebaczenie), soro na Fidżi, pokora u Słowian (Hube, Pawiński, Miklosich, Ulanowski); u Kabylów, w Birmie, pojednanie w zabójstwie u Germanów w Czarnogórze i Albanii (obecnie jest to tylko formalność), rzucanie oszczepem w Polinezyi, co nie stanowi pojedynku (ponieważ napastowany nie broni się, lecz stara się tylko uniknąć ciosów) ani też sądu bożego (ponieważ jedna z form tego rzucania polega na tém, że winowajca dobrowolnie pozwala przebić sobie niektóre części ciała). Że kompozycya odegrała większą rolę, niż inne środki załagodzenia sprawy, należy przypisać z jednéj strony téj okoliczności, że spełniała ona lepiéj, niż wszystkie inne oba zadania t. j. wynagrodzenie krzywdy i stanowcze zakończenie sporu, z drugiéj — temu, że poprzedziła ją druga instytucya która rozwinęła się w analogiczny i pokrewny sposób t. j. kupno żony nie będące niczém innem jak karą pieniężną za porwanie kobiety.

(*D. n.*) *Dr. Juliusz Makarewicz.*

---

[1]) Kto zabija rodziców, braci lub dziecko, ulega spaleniu, — w innych wypadkach grzywny—także w Lex Visigothorum (lib. VI), Burgundionum (tit. XXIX) i t. d.



NOWE KSIĄŻKI
dla dzieci i młodzieży.

W świéżych wydawnictwach na gwiazdkę znaczną część zajmują przedruki i tłómaczenia (lub przeróbki); taki sam mniéj więcéj zachodzi stosunek jak i w literaturze dla dorosłych; domowa produkcya nie starczy na potrzeby rozwijającéj się chęci do czytania.

Że się ukazują przedruki, uważać to można za objaw dodatni; są one bowiem łącznikiem widocznym pomiędzy jedném pokoleniem młodych a drugiém, podtrzymują zatém pewną spólność myśli i uczuć.

Mniéj pożądanemi, ale w naszych stosunkach koniecznemi są przekłady, bo lepszą, pożyteczniejszą lekturą dla młodzieży, jest książka osnuta na stosunkach miejscowych. Ponieważ jednak ciekawość na pewnym stopniu rozwoju umysłowego budzą raczéj rzeczy dalekie i niezwykłe niż te, na które codzień własnemi oczyma patrzéć można, wydawcy czyniąc zadość téj skłonności przyswajają piśmiennictwu naszemu takie utwory obce, w których fantazya wielką odgrywa rolę.

Niektórzy nasi pisarze, widząc powodzenie książek Mayne-Reade'a lub Juliusza Verne'a, zapragnęli pójść w ich ślady, ale, z nielicznemi wyjątkami, zdołali formę tylko obcych autorów naśladować, nie umiejąc się przejąć ich wewnętrznemi zaletami. Zdaje się im, iż nagromadzenie rozmaitych rozciekawiających i sensacyjnych przygód, iż puszczenie fantazyi samopas bez kontroli zdrowego rozsądku i poczucia prawdopodobieństwa, wystarczą do stworzenia dobréj książki

dla młodzieży. Zapominają oni o tém, że umysł dziecka jest w pewnym zakresie o wiele logiczniejszym od umysłu ludzi dorosłych i że nie tak znów łatwo daje się obałamucić szeregowi rozpowiadanych mu awantur lub rzeczy nieprawdopodobnych. Pod fantazyą musi być podkład ściśle logiczny, jakim bywa w najdziwaczniejszych napozór pomysłach Verne'a.

Nie wiele zresztą prób w tym kierunku zrobiono u nas: większość beletrystyki naszéj dla młodzieży trzyma się rzeczywistości widzialnéj i stosunków zwykłych, napotykanych czy to na wsi czy w mieście, wśród sfer zamożnych, zubożałych lub zupełnie biédnych. Cnoty i wady naszego życia powszedniego stają osnową opowiadań, które w mniejszym lub większym stopniu ubiegają się nie tylko o zacną dążność pedagogiczną, ale także o piękność pod względem wystawienia charakterów, kreślenia sytuacyi, stylu wreszcie. Nie mamy wprawdzie jeszcze utworów doskonałych w obu tych kierunkach, lecz widoczne są usiłowania w téj mierze. Zauważyć też można, iż życie zwierząt znalazło także swoich malarzy, którzy czy to wprost dla informacyi czy alegorycznie objawy jego zestawiają z właściwościami bytu ludzkiego.

Po tych uwagach ogólnych, przejdźmy do szczegółów.

I.

„Stracona", powieść przez *Cecylię Niewiadomską* (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 315).

P. Niewiadomska pisze żywo, chociaż nie zawsze poprawnie, lubi posługiwać się w charakterystyce osób i ich rozmowie rysami i wyrażeniami realistycznemi, lubi poruszać w swoich utworach zagadnienia, które rutyniczni pedagogowie zwykli poczytywać za nie bardzo stosowne w książkach dla młodzieży.

Jabym takiego zarzutu powieściom jéj nie zrobił; dzisiaj młodzież tak wcześnie zaznajamia się z kwestyami najrozmaitszemi, że byłoby właśnie nie pedagogicznie nie mówić o nich w beletrystyce, przeznaczonéj dla ukształcenia jéj umysłu i serca. Inna rzecz, gdy idzie o niedomówienia, o nie jasne a raczéj nie zawsze dostatecznie wyraźne przedstawienie danéj sprawy; wówczas może się zrodzić pytanie, czy te napomknięte tylko wskazówki mogą oddziałać korzystnie na sposób myślenia czytelników, czy oni wskazówek takich nie pominą, a przez to czy źle nie zrozumieją zamiarów autora.

W „Straconéj” jest kilka takich niezbyt wyraźnych zarysów, dotyczących pracy młodzieży męskiéj i żeńskiéj w kierunku społecznym. Są one pomyślane dobrze, ale nierozwinięte, prawie giną wśród scen odmiennéj natury, przedstawiających zabawę lub usposobienie egoistyczne. Z tego powodu może się kontrasty nie równoważą dostatecznie, a więc nie wywołują harmonii zarówno moralnéj jak estetycznéj.

Możnaby powiedziéć, że w powieści swéj najnowszéj p. N. zadużo zagarnęła osób i interesów do swego obrazu i nie potrafiła rozmieścić ich na właściwych planach; stąd wynikło pewne zamieszanie, tak że po przeczytaniu, niewiele scen i figur utkwi w pamięci, a te, które utkwią, pod względem pedagogicznym nie zawsze nazwać się mogą najlepszemi.

Główna osnowa opowiadania obraca się około Celinki, samolubnéj, pięknéj, w domu pieszczonéj, z silnie rozwiniętym smakiem estetycznym i zamiłowaniem zbytku. Poznajemy ją dzieckiem a rozstajemy się jako z mężatką, która wbrew uczuciu wyszła za znacznie od siebie starszego mężczyznę, zupełnie scudzoziemczałego. Żadne wpływy, ani siostry ubóstwiającéj ją, ani brata, trochę szorstkiego, ani towarzyszek zajętych myślą o dobru ogólném, nie mogły oddziałać na tę naturę biernie dobrą, ale przedewszystkiém w sobie zakochaną. Rodzeństwo musi ją uważać za „straconą” dla siebie i dla kraju i boleje nad utratą osoby bogato przez naturę uposażonéj. Czy Celina jest szczęśliwa? Ona sama twierdzi, że tak, lubo poznać po niéj łatwo wczesne znużenie i znudzenie życiem, nie znającém żadnego innego celu prócz zabawy, gdyż nawet wychowaniem dziecka się Celina nie zajmuje. Poprawy zatém, jak często w życiu, nie ma w téj powieści co do głównéj bohatérki; ale brak ten wyrównywają do pewnego stopnia dobre przykłady innych osób w powieści. *P. R.*

Jadwiga Chrząszczewska. „Gwiazda spadająca”, utwór fantastyczny dla młodzieży. (Warszawa, nakład A. Rzążewskiéj, str. nlb.)

Autorka, która w krótkim czasie licznemi już pracami pozyskała sobie imię w literaturze pedagogicznéj, w najnowszéj swéj książce dość mętne wywołuje wrażenie. Posługując się formą baśni, pragnęła wypowiedziéć jakąś prawdę, lecz nie potrafiła jéj wcielić w kształty dotykalne a wyraźne. Najpewniéj miała być przedstawioną i ukaraną próżność i nienasycona ambicya; pomysł ten wszakże w takich przeprowadzony został warunkach, że jasnym, konsekwentnym nazwać go trudno.

Nie było lepszéj córki, pracowitszéj gospodyni, pilniejszéj prządki nad Hanię, córkę biednéj staruszki. Nie było im źle, ale Hania zapragnęła raz doli świetniejszéj, a szczególniéj téż, żeby na całym świecie nie było zręczniejszéj prządki i żeby wszyscy, ale to wszyscy, ludzie ją chwalili. Matka zganiła to pragnienie córki, przepowiadając, że będzie im z niego (autorka pisze niewłaściwie: z e ń) ból i smutek. Hania usłuchała niby słów matki, ale marzyć nie przestała; poszła do lasu, przypomniała sobie opowiadanie o pustelniku, który ma takie zwierciadło, że każdy duszę własną zobaczyć w niém może. Znalazła pustelnika, zobaczyła duszę własną, jako drobną, lecz czystą gwiazdeczkę, wolnym lotem wznosząca się coraz wyżéj. Na usilną prośbę dostała też od czarodzieja przędzy cudownéj, z któréj potém uprzędła tak piękne pasemka, że córka bogatéj dziedziczki kazała z nich zrobić sobie suknię przecudną. Rozsławiła się Hania; najprzód księżniczka, potém królewna kazały jéj jeszcze piękniejszéj dostać przędzy i ona udawała się do pustelnika, a ten lubo z niechęcią, lubo ostrzegał o niebezpieczeństwie, czynił zadość jéj gorącym błaganiom. Za trzecim razem w cudowném zwierciedle ujrzała zamiast gwiazdki rdzawy płomyk, pełen kopcia i dymu. Z tych resztek gwiazdy kazał jéj pustelnik wziąć promieni na przędzę dla królewny. A gdy jeszcze raz się udała do czarodzieja, usłyszała głos tajemnicy: „Tylko czystym sercom p o z w o l o n e j e s t widziéć cuda na ziemi" Nie mając z czego prząść, nie mogła zadowolnić wymagań, i została wygnana i wszystkich bogactw pozbawiona. Wówczas matka dodała jéj odwagi, powiadając: „nie rozpaczaj, dźwigniemy się znowu".

Niejaśność motywu alegorycznego polega na tém, że owa coraz to piękniejsza przędza pochodziła niby z różnych źródeł, ale ostatecznie chyba z duszy saméj prządki, jak to pustelnik Hani powiedział za trzecim razem. Więc i wina prządki, że się odrazu nie przyznała, skąd bierze przędzę, nie wygląda tak strasznie. Sama autorka nie dała objaśnienia co do słuszności skarg Hani, że przecież nikomu nic złego nie zrobiła, że pomimo bogactw wciąż pracowała. Czytamy tylko te zagadkowe słowa: „Pracowała Hania to prawda, lecz nie było w tém ż a d n é j jéj zasługi, bo z chwilą gdy prząść przestanie, już nic znaczyć nie będzie. Dość dziwne to rozumowanie; praca pozostanie pracą, a gdy Hania posiadała już bogactwa, to nie potrzebowała się lękać nędzy, a że pragnęła wciąż ładniéj prząść i ładniejsze nici, to chyba nie może jéj być poczytane za zbrodnię. Próżną była, zapewne, ale kara za tę próżność trochę za sroga. *P. R.*

Jadwiga Chrząszczewska i *Jadwiga Warnkówna*. „Rok czytania, książka dla młodzieży.” Nakład i własność M. Orgelbranda, 1897.

Są to bardzo zajmujące i oryginalnie ułożone wypisy, przeważnie z autorów krajowych i współczesnych, uzupełnione krótkiemi artykułami obu wydawczyń. Zaletą książki jest układ jéj systematyczny wielce, a przytém nader urozmaicony, odpowiadający dziesięciu miesiącom roku szkolnego, od września do czerwca włącznie. — W każdéj części, oznaczonéj nazwą jednego miesiąca, pomieszczono kilkanaście ustępów lub artykułów prozaicznych i wierszowanych. — Treść ich wielce różnorodna i pouczająca. Znajdujemy tu piękne opisy i opowiadania, wyjęte z dzieł pierwszorzędnych naszych pisarzy, daléj baśni, legendy i krótkie wiersze liryczne, życiorysy znakomitych ludzi, wiadomości z historyi, geografii i nauk przyrodniczych.

Dobor wypisów bardzo trafny i umiejętny, artykuły oryginalne, opracowane starannie tak pod względem treści jak i formy, a wszystko tak rozdzielone na poszczególne miesiące, aby w każdym z nich młodzi czytelnicy mogli znaléść w pewnym porządku następujące po sobie wiadomości, opisy i opowiadania z rozmaitych dziedzin nauki i literatury.

Na czele dziełka znajduje się spis rzeczy ułożony wedle działów i pozwalający oryentować się w całéj jego zawartości. *G.*

Teresa Prażmowska. „Serce.” Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 266.

Bohatérką powieści jest Hela Łozińska, kształcąca się na pensyi w Warszawie. Wychowuje się ona prawie sama, matka bowiem zawsze chora, dziećmi i domem zająć się nie może. Charakter Heli jest szorstki, w sobie zamknięty, pozbawiony serdeczności. Dopiéro wakacye spędzone w majątku wuja, Różyca, pośród kochającéj się szczerze i goraco rodziny, zajętéj pracą, gdzie nikt nie myślał o sobie, lecz przedewszystkiém i zawsze o drugich, wpłynęły na zmianę usposobienia Heli. Najbardziéj oddziałała na nią kuzynka jéj, Helena, która, niegdyś będąc jeszcze małą dziewczynką, z narażeniem własnego życia uratowała Helenkę, lecz została kaleką. Widok nieszczęśliwéj, a mimo to łagodnéj i pogodnéj panienki, jéj słowa, pełne miłości, zbudziły drzémiące w Helence serce; „roztajała” w tém otoczeniu i wraca do domu z silném postanowieniem pozyskania miłości matki i brata, zajęcia się domem i t. d. — W powieści p. Prażmowskiéj obok szlachetnéj myśli, mamy dobrze nakréślone charaktery, zwłaszcza pocią-

gającéj swym łagodnym wdziękiem kaleki — Heleny, oraz żywéj jak iskra jéj siostry. Opowiadanie znanéj już od lat wielu powieściopisarki dla dorosłych jest potoczyste i ładne; trochę tylko zadużo jest dydaktyzmu. *J. A.*

Bronisława Porawska. „Jedynaczka." Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 341.

Rozpieszczona jedynaczka zamożnych rodziców, Elżunia Skrzyńska, chowa się pod kierunkiem dobrego lecz słabego ojca, babki i panny służącéj Selimy, która wywiéra na nią wpływ jaknajgorszy. Elżunia zawładnęła całym domem, i udaną chorobą i pieszczotami zmuszając ojca do uległości dla wszystkich swych zachcianek; w stosunku z domowemi jest gwałtowna i przykra, co najbardziéj daje się we znaki młodéj jéj towarzyszce, Joance. Ta stanowi rażącą sprzeczność z Elżunią: łagodna, cicha i słodka, jest wcieleniem dobroci i uległości. Marzeniem jéj jest połączyć się z bratem Leonem, co już na siebie pracuje. Gdy marzenie to spełnia się, Joanka czuje się zupełnie szczęśliwą, tylko myśl o wuju, p. Skrzyńskim, zaćmiewa to szczęście. Tęsknota bowiem za córką, spędzającą całe miesiące za granicą, pod pozorem nibyto zagrożonego zdrowia, ujemnie wpływa na p. Skrzyńskiego, który, opuszczając się w pracy i nie kontrolując wydatków córki, doszedł do ruiny. Wówczas dopiéro Elżunia powraca z zagranicy, zastaje ojca ciężko chorego. Myśl, że ona jest przyczyną wszystkich tych nieszczęść, głęboko zapada w duszę Elżuni; pod wpływew téj myśli budzą się wszystkie dobre uczucia, drzémiące dotąd w jéj sercu, i rozrzutna, próżna i samolubna jedynaczka, zmienia się w myślącą, dobrą, pełną serca kobiétę.

Ze względu na myśl przewodnią, książkę tę można zaliczyć do najlepszych, razi w niéj jedynie zbyt kontrastowe przedstawienie charakterów obu panienek, oraz niedostateczne umotywowanie nagłéj zmiany, jaka następuje w duszy złéj i zepsutéj Elżuni. *J. A.*

Władysław Kruk. „Sabinka." Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 157.

Sabinka, jedyna córka zamożnéj obywatelki wiejskiéj, jest dziewczynką nad wiek rozwiniętą i oczytaną, lecz zarozumiałą i próżną. Czuje się ona nieskończenie wyższą od wszystkich swych małych przyjaciółek dlatego głównie, że pisuje romantyczne i pełne tajemnic powieści. Gwałtowna przytém i bardzo drażliwa, daje się dobrze we znaki wszystkim otaczającym, głównie zaś swéj kuzynce, Cesi. Pomi-

mo to wszakże, Sabinka ma dobre serce i nieraz robi silne postanowienie poprawy. Poprawy téj jednak zauważyć w niéj nie można; dopiéro choroba Cesi, wynikła wskutek zarozumiałości Sabinki, która nie chciała się przyznać przed swą towarzyszką do nieznajomości pewnych trujących jagód, zupełnie zmieniła przykry charakter téj dobréj w gruncie rzeczy dziewczynki. — Książkę tę, żywo napisaną, czyta się z przyjemnością. Niektóre zwłaszcza jéj części pełne są prawdziwego humoru, do takich np. zaliczyć można ten ustęp, w którym Sabinka bierze na naukę dziewczynkę wiejską, Olesię. Całość jest sympatyczna. *J. A.*

Z. Morawska. „Witek z Kleparza." (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 87).

W „Witku z Kleparza" widzimy słynnego rzeźbiarza wieku XV, Wita Stwosza. Młodość znakomitego artysty, syna zamożnego mieszczanina, bednarza, przedstawiona jest z humorem i życiem. Troski matki artysty o przyszłość syna, który nie mając chęci do rzemiosła ojca, „traci" czas, według jéj mniemania na rzeźbieniu figurek w drzewie, wywołują szczery uśmiech na usta czytelnika, który w obrazku tym, napisanym barwnym i ładnym językiem, znajdzie nietylko pouczające wiadomości (co do Długosza i zostających pod jego kierunkiem królewiczów) lecz i przyjemność. *J. A.*

Andrzéj Laurie. „Kapitan Trafalgar." (Warszawa, G. Centnerszwer, str. 261).

Bohaterem powieści jest dawny korsasz, Jan Cozbiac, zwany kapitanem Trafalgarem. Do rozboju na morzu wziął się on podczas wojny francusko-angielskiéj i przez rząd francuski tajemnie był podtrzymywany; sam wszakże przed śmiercią przyznaje, że okoliczność ta nie usprawiedliwia go bynajmniéj i że, jakkolwiek miał na celu dobro Francyi, rzemiosło jego przecież zasługuje na naganę.

Kapitan Trafalgar ukrywa się w Texas przed rządem angielskim, gdyż na głowę jego nałożono znaczną sumę pieniędzy. Jedyném jego pragnieniem jest zobaczyć przed śmiercią dzieci, mieszkające w Nowym-Orleanie. W tym celu wzywa dawnego swego towarzysza i przyjaciela Jorelace. Jorelace przybywa wraz z synem do Nowego Orleanu, zabiéra Rozittę i Florimonda i wszyscy razem udają się do Texas. Tutaj wszakże zostają otoczeni przez śmiertelnego wroga kapitana, Wick-Lubina, i tylko dzięki podstępowi Rozitty, kapitan ucieka. Rodzina zaś jego dostaje się do niewoli, z któréj zresztą zwalnia

się po paru dniach. Tymczasem kapitan kupuje okręt, na którym wszyscy mają się udać do Europy. Po wielu przeszkodach cała rodzina zbiera się na okręcie i szczęśliwie odpływa. Na tém wszakże nie kończą się nieszczęścia kapitana, które on uważa za karę zasłużoną. Podczas podróży do Francyi, załoga podnosi rokosz. Kapitan, Jorelace i jego syn są ranieni i ratuje ich to tylko, że buntownicy, nie mający pojęcia o dowodzeniu statkiem, zdają to na młodego Narcyza Jorelace, trzymając go wszakże ciągle pod baczną strażą a jego rodzinę w niewoli. Taki jest stan rzeczy, gdy statek zbliża się do brzegów Francyi. Narcyz wiedząc, że dzień przybicia do brzegu, będzie dniem śmierci więźniów, zmusza załogę do opuszczenia okrętu, pod groźbą wysadzenia go w powietrze. Załoga spełnia ten rozkaz przed odjazdem wszakże podpala okręt. Tymczasem kapitan wskutek otrzymanych ran umiéra. Reszta rodziny ratuje się na tratwie, zrobionéj z desek palącego się okrętu, spotyka francuski statek i szczęśliwie dostaje się do kraju. Powieść czyta się z zajęciem, jakkolwiek tłomaczenie (*W. P.*) jest słabe. Pod względem pedagogicznym wszakże, książka ta nie może się liczyć do najlepszych. Jakkolwiek bowiem są w niéj wystawione takie przymioty, jak: odwaga, przytomność umysłu, poświęcenie, to przecież idealizowanie postaci korsarza i otaczanie jéj niezwykłą sympatyą, może w młodym czytelniku niewłaściwe wytworzyć pojęcia. *J. A.*

X. de Sobol. „Wakacye Pawełka.” (Warszawa, Dubowski i Gajewski, str. 110).

Pawełek dziewięcioletni synek państwa Loisel, wzbudza poważną obawę w rodzicach swym gwałtownym i nieuległym charakterem. Dlatego téż, gdy lekarze zalecili pani Loisel przepędzenie letnich miesięcy w górach Tyrolskich, znalazła się ona w wielkim kłopocie, niewiedząc komu powierzyć swe dzieci, zwłaszcza zaś, wymagającego ciągłéj opieki Pawełka. Po długich namysłach postanowiono oddać dzieci pod opiekę ciotki Ivony, mieszkającéj w Bretanii, zwłaszcza, że obok jéj folwarku mieszkał wielki przyjaciel dzieci p. Alain, któremu ojciec Pawełka wiele zawdzięczał. Z początku Pawełek zachowywał się na wsi dość spokojnie, wkrótce wszakże sprzykrzyła mu się ta przymusowa grzeczność i zaczął broić psoty raz po raz. Wreszcie, zazdroszcząc swemu małemu braciszkowi nagrody w postaci żywego kucyka, jaką mu obiecał p. Alain, wsadził go na konia, sądząc że Henryś przestraszony wyrzeknie się kucyka. Henryś spadł z konia, a chociaż nie poniósł żadnéj szkody, widok wszakże bladego i zimnego bra-

ciszka silnie wstrząsnął Pawełkiem, w którym w téj saméj chwili nastąpiła zmiana.

Powiastka ta żywo i zajmująco pisana, może być z przyjemnością odczytana przez młodsze dzieci, starszych opis psot Pawełka już nie zainteresuje. Tłomaczenie dość niepoprawne.

J. A.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Wojciech Dzieduszycki. „O wiedzy ludzkiéj.“ Lwów, 1895.

Kto myśli, że przeczytawszy książkę: „O wiedzy ludzkiéj”, dowié się, jakiemu kierunkowi filozoficznemu hołduje jéj autor, tego spotka niemiły zawód. Królujące na wstępie zdanie: „Cały świat, który znamy, jest jedynie sumą naszych wiadomości, czyli naszych wyobrażeń, i o żadnym innym świecie nie wiemy zgoła i nie możemy wiedziéć”, kazałoby się domyślać, że mamy przed sobą idealistę. Podobnie, tylko krócéj i poprawniéj wyrażał się Schopenhauer na wstępie swego głównego dzieła filozoficznego, wołając: „świat jest mojém wyobrażeniem.” Ale Schopenhauer został wierny swéj myśli przewodniéj, i mógł pomimo pewnych sprzeczności w ostatecznym rozwoju swego systematu mówić o swém dziele, że zawiéra tylko jedną myśl.

„Systemat filozoficzny” hr. Dzieduszyckiego zawiéra wiele myśli; niestety jednak, są to myśli przeważnie obce, a co gorsza, wykluczające się wzajem. Tak musimy rozwiać odrazu wygórowane wyobrażenie autora, któremu się wydaje, że stworzył „systemat kompletny, tłómaczący wszystkie zjawiska za pomocą konsekwentnie strzeżonych zasad.” My dostrzegliśmy tylko jedną „konsekwentnie strzeżoną zasadę”, t. j. zapożyczanie myśli u obcych autorów i to myśli częstokroć sprzecznych z własnemi zapatrywaniami — ale to właśnie uwalnia nas od obowiązku przedstawiania całokształtu dróg, po jakich krąży myśl autora, zanim doprowadzi cierpliwego czytelnika do ostatecznych wyników swego rozumowania, do pojęcia świata jako „myśli Boskiéj”.

Do téj teoryi wrócimy jeszcze, tymczasem chcielibyśmy przytoczyć kilka przykładów na poparcie naszego zarzutu.

Po wyżéj przytoczoném wyznaniu idealistyczném, robiącém ze świata tylko sumę wyobrażeń ludzkich, które autor popiéra jeszcze twierdzeniem, że i „nasz własny podmiot wprowadzamy za pomocą refleksyi pomiędzy przedmioty", a więc pomiędzy wyobrażenia, dowiadujemy się niespodzianie (str. 116), że „nasze ciało... jest rzeczywistością niezawisłą od istnienia naszego umysłu!" Na inném miejscu słyszymy, że „wszechświat jawu jest tylko możliwym tam, gdzie istnieją duchy poznające; wszechświat ten istniéć może tylko tam, gdzie duchy mogą postępować"—na jeszcze inném (str. 202): „świat jest naprawdę, on nie jest po za nami, on byłby bez nas takim samym, jakim jest." Biada tym, którzy nie uwierzą na słowo hr. Dzieduszyckiemu, wyrok o nich wydany — są oni „jednêm z dwojga, łotrami albo nikczemnikmi". A jednak — i to są znowu słowa autora samego:—„Istoty, które nie mogą istniéć same przez się, także nie istnieją same dla siebie. Takiemi istotami są wszystkie istoty, nie będące poznającemi podmiotami, a zatém wszystkie ciała... Wszystko to istnieje tylko dla duchów." Takie określenie ciał nie przeszkadza jednak autorowi uważać je za „nieprzenikliwe, zajmujące przestrzeń i dające się zważyć".

Wreszcie skołatany nasz umysł dostaje jeszcze raz obuchem: „podmiotem wszechświata, tworzącego niewątpliwą jedność, nie jesteśmy my—może nim być tylko istota wszystko przenikająca, wszechobecna, mądra". Tu zapoznaje nas autor z zasadniczą myślą swego dzieła: Świat, który był początkowo wyobrażeniem człowieczém, aby potém stać się rzeczywistością, niezależną od myśli ludzkiéj, przemienia się obecnie w wyobrażenie Boskie: „Bóg wyobraża sobie świat i swoje wyobrażenia narzuca duchom poznającym, które sobie także na swoje podobieństwo wyobraził, a wszystko jest tém, czém je sobie Bóg wyobraził." Oddychamy — zdaje nam się, że teraz dobiliśmy już do jakiéjś pewniejszéj przystani. Znalazłszy prawdziwą realność w Bogu, gotowiśmy skwitować z niezależnéj realności świata, zrzekamy się nawet własnego niezależnego bytu, aby dzielić z całym wszechświatem rolę wyobrażeń Boskich. Ale radość nasza nie trwa długo — wobec podanych nam dwóch rodzajów wyobrażeń: boskich i naszych, budzi się w nas wątpliwość, co jest wyobrażeniem boskiém, narzuconém nam, a zatém realnością, co zaś naszém wyobrażeniem, błędnym ognikiem, prowadzącym nas na bezdroża po trzęsawiskach życia? — Możemy spać spokojnie. Podług hr. Dz. „szukanie za pewnikami, niezawisłemi od doświadczenia, jest i musi po wiek wieków pozostać mrzonką niedorzeczną", więcéj nawet, „musimy ograniczyć zadanie

wszelkiéj nauki do opisywania i klasyfikacyi naszych doświadczeń" a jednak jest on skłonny zdradzić nam wszelkie tajemnice ducha, Boga i wszechświata. Bo czémże inném jest duch, jeżeli nie „związkiem nierozerwalnym uczucia, rozumu i woli." To twierdzenie, które początkowo nazywa skromnie „hypotezą i czémś podobném do teoryi"), podoba mu się tak, że już w następném zdaniu „istnienie duchów" zamienia się w pewność, „o któréj nawet dziecko wié". Ale doświadczenie, uznane za jedyne źródło poznania, nie daje nam wskazówek co do natury duchów. I na to jest rada.

Hr. Dzieduszycki wprowadza nowy „rodzaj wiedzy", intuicyę. Dowiadujemy się, że to taki „rodzaj wiedzy, któréj nie nabywamy ani za pomocą zmysłowego, ani za pomocą umysłowego doświadczenia" co jednak nie przeszkadza, że na inném miejscu określa się ją jako „zewnętrzne, umysłowe doświadczenie". Owa intuicya oddaje systematowi autora jeszcze inne, niemniéj ważne usługi, pośrednicząc w pojęciach piękna i stojąc na straży sumienia.

Substancyę określali rozmaici filozofowie w różny sposób—godzą się jednak wszyscy na dwa zasadnicze przymioty: trwałość i niezawisłość. Słynne orzeczenie Kartezyusza określa ją jako *res, quae ita existit ut nulla alia re indigeat ad existendum*, Locke jako „samo przez się istniejące." Schopenhauer widział w niéj abstrakcyę materyi, wyższy rodzaj, któremu z atrybutów materyi pozostała tylko trwałość i t. p. Inaczéj hr. Dzieduszycki. U niego są substancye rzeczami złożonemi. Jako przykłady substancyi przytacza nam lampę — części lampy, a nawet pęknięcie lampy! Na str. 107 „jest" rzeczą oczywistą, że zdarzenie, okazujące trwałe zjawisko, wytwarza n a c z a s j a k i ś substancyę!" Także dusza nasza, a nawet uczucia są substancyami; o uczuciach „nie należy jednak mówić, że są naprawdę substancyami... tylko rzeczami złożonemi." Ale na początku określił autor substancye jako rzeczy złożone. Czémże więc różnią się uczucia od substancyi?! — Po tém wszystkiém dowiadujemy się (na str. 109), że „nie możemy nadać nazwy prawdziwéj substancyi niczemu innemu, jak tylko podmiotowi. Bardzo dobrze, gdyby tylko zechciał autor oznaczyć, jaka różnica zachodzi między „prawdziwemi a nieprawdziwemi" substancyami.

Podobny zamęt panuje i w innych określeniach. „Dusza i sprawy duszy są nierozciągłe"—wyrokuje autor, nie przeszkadza mu to jednak wnioskować, że „duchy znajdują się tam, gdzie stykają się z ciałami" i że „dusza ludzka znachodzi się (!) w okolicy mózgu", a nawet że „dusza zmienia miejsce, które zajmuje w przestrzeni!"

Ale przestrzeń sama? Przestrzeń i czas określają się jako „isto-

ty rzeczywiste". Na innem miejscu jest przestrzeń „możnością istnienia ciał", czas „możnością powstawania zdarzeń". Rzucamy w przechodzie pytanie, czy możność jest istotą i przechodzimy do genezy tych dwóch pojęć. Hr. Dzieduszycki radzi sobie krótko: „Bóg stworzył czas i przestrzeń i próżném jest pytanie, co Bóg robił zanim zaczął tworzyć. Takiego czasu nie było, bo czas powstał" i t. d. Co do nas, nie chcieliśmy pytać o to, wolelibyśmy raczéj, żeby nam autor wytłómaczył, jak może powstawać czas nie w czasie, skoro do atrybutów „powstawania" i czas należy. Hr. Dzieduszycki nie czuje przygnębiającéj komiki swych słów, kiedy zupełnie seryo twierdzi, „że mogła być chwila", kiedy czasu nie było.

I po tém wszystkiém wypada na Kanta i jego zwolenników taki piorun: „Kto za Kantem powtarza, że czasu i przestrzeni nie ma, plecie słowa pozbawione sensu!" Pozostawiamy rozwadze czytelnika, czy Kant podniesie się kiedykolwiek w opinii ludzkiéj po tym gromie, sami zaś zatrzymamy się jeszcze chwilkę nad pojęciami naszego „filozofa" tyczącemi woli.

Jak czytelnicy się domyślają, jest hr. Dzieduszycki zwolennikiem wolnéj woli człowieka. Nie myślimy mu przeczyć, chociaż nie rozumiemy, w jaki sposób godzi on „narzucone" człowiekowi wyobrażenia z jego wolną wolą. Zaprzeczyć jednak musimy rozumowaniu, jakie autor przy téj sposobności przed nami roztacza. Podług niego, „końcem każdego szeregu przyczyn bywa stan, który trwa." Jeżeli np. piorun uderzy w drzewo i zapali je, wydaje się autorowi spopielenie pnia ostatecznym wynikiem. Daléj nie sięga. Ale spopielenie jest dziełem nietylko ognia powstającego za uderzeniem piorunu, lecz wogóle każdéj zupełnéj ku utlenianiu materyałów, zawierających węgiel, za pomocą żaru, sprawy od tysięcy wieków nadzwyczaj rozpowszechnionéj na naszym globie. Dlaczego jednak popiół, „wynik ostateczny" owéj sprawy nie zasypał dotąd świata, jest i pozostanie zapewne i nadal tajemnicą.

Zdaje się, że przykładów dosyć! I podług autora książki: „O wiedzy ludzkiéj" tylko taka „rzecz jest możliwa, w któréj nie ma wewnętrznéj sprzeczności." Sądzimy, że wykazaliśmy, iż uważanie książki hr. Dzieduszyckiego za filozofią, należy na mocy tych danych do niemożliwych. Przemawiają zatém i inne okoliczności. Przedewszystkiém brak ścisłości w określeniach. Słowa, które autor uważa za synonimy, łącząc je wyrazem „czyli", przedstawiają bardzo często zupełne odrębne pojęcia. Tak już w naczelném zdaniu, które przytoczyliśmy, czytamy: „wiadomości czyli wyobrażenia"; a jednak to dla filozofa pojęcia odmienne. Takich przykładów możnaby przytoczyć

legion. Ale autor nie odróżnia nawet dostatecznie elementarnych pojęć z dziedziny nauk ścisłych, mówiąc np. (na str. 167), że waga i masa „na jedno wychodzi”.

Język autora jest rozwlekły, obracający się częściéj w terminach codziennéj gwary, niż w określeniach filozoficznych, częstokroć błędny. Nie mówimy po literacku: „jak dostrzegamy dwa zjawiska... odróżniamy je”, a jednak są to zwroty, powtarzające się stale w tém dziele.

A teraz, czy zapatrywania autora, czy mianowicie zasadnicza myśl jego, przedstawiająca świat jako wyobrażenie Boskie, jest nowa?

Berkeley, który żył przeszło dwa wieki temu, opiérając swój system na zdaniu swego poprzednika Locke'a, że poznanie nasze nie sięga daléj jak nasze wyobrażenie, stworzył system idealistyczny pod godłem: „*esse est percipi*”. Na pytanie, skąd wyobrażenia pochodzą, daje odpowiedź: „Obrazy fantazyjne tworzymy sami, rzeczywiste wrażenia wywołuje w nas Bóg. Wszystko istnieje w Nim...” i t. d.

Bylibyśmy wdzięczni hr. Dzieduszyckiemu, gdyby dał nam w swéj książce rozbiór krytyczny głównego dzieła Berkeleya, które już posiadamy w tłómaczeniu Feliksa Jezierskiego: „Rzecz o zasadach poznania.” Ale jeżeli się z nim zgadzał, to należało podać źródło, z którego czerpał. Lecz autor, zapożyczywszy idealizm i pojęcie świata, jako myśli Boskiéj od Berkeleya, zapożycza jeszcze zasadę „świat jest wyobrażeniem” od Schopenhauera, pogoń za absolutem, „ideę bezwzględnie niezawisłą” od Hegla, zapatrywanie, ograniczające wiedzę do klasyfikacyi i opisywania doświadczeń od pozytywistów — i zrobiwszy z tego wszystkiego synkretyczny zlepek wykluczających się wzajemnie teoryi, nazywa to „własnym systematem filozoficznym”.

Z zalet książki hr. Dzieduszyckiego chcielibyśmy podnieść wysłowienie jasne, nie kryjące się za górnobrzmiące a puste frazesy, nie piętrzące słów o uczoném brzmieniu a bez wewnętrznéj treści. Ile razy przedstawia nam swoje zapatrywania, nie mamy wątpliwości, o co autorowi chodzi. Wypada zaznaczyć, że i co do treści wypowiadanych przekonań nie zawsze widzimy się zmuszeni stawać w opozycyi. Wyemancypowanie się z pojęcia sił fizykalnych jako odrębnych istności, odrzucenie atomów, jako podstawy nie dostatecznie tłómaczącéj objawy bytu, gotowiśmy zaliczyć do dodatnich wyników rozumowania autora. I przykłady, które autor jak się zdaje samoistnie zebrał i zastosował, zazwyczaj są trafne i świadczą o dość rozległéj wiedzy, mianowicie z dziedziny anatomii porównawczéj i paleontologii.

Szkoda że autor nie zdołał jéj wyzyskać do wytworzenia logiczniejszéj całości. *P. Stroma.*

Dr. Ludwik Geiger: „Odrodzenie i humanizm we Włoszech i Niemczech.“ Przełożył z niemieckiego Stanisław Mieczyński. Warszawa, nakład i druk Lewentala, 1896, str. 558.

Cechą znamienną dzieła — pracowita uczoność jego autora, streszczona w olbrzymim spisie źródeł, z których, w saméj książce, najczęściéj się powtarza dzieło Jakóba Burckhardta *Die Cultur der Renaissance in Italien* (Lipsk, 1877 — 8), przetłómaczone niedawno na język polski, jak się o tém dowiadujemy z krótkiéj przedmowy d-ra Piotra Chmielowskiego, który zarazem zaznacza, że Geiger, obok dokładnéj znajomości przedmiotu, odznacza się wykładem jasnym, nie przeciążonym balastem zdań pobocznych, — przytém styl jędrny, nie upędzający się za kwiatami poezyi lub zwrotami retorycznemi, lecz żywo i dobitnie charakteryzujący ludzi i stosunki. W tych ramach „Odrodzenie i humanizm" zawiéra istotnie mnóstwo cennych spostrzeżeń życiorysowych i bibliograficznych, przeważnie jednak natury słownikarskiéj, encyklopedycznéj. Żywot i pisma takiego np. Jana Boccacia (str. 50—87) lub Erazma z Rotterdamu (501—522) mogłyby być żywcem wyjęte i podane jako monografie odrębne, w sobie zamknięte. Inne natomiast, nie mniéj sławne imiona, poprzestawać muszą na wzmiankach pobieżnych, niekiedy znikają nawet w tłumie, z którego ogólne znamiona wieku lub kierunku występują na wierzch dość ciężko, zawile. Osobistości podrzędne nie mogą wprawdzie pochłonąć i zaćmić ani Danta ani Aryosta (233), lecz taki Baltazar Castiglione rodzic „Dworzanina" Górnickiego (214—215) lub Mikołaj Macchiavelli (297 — 300), lub Konrad Peutinger, pierwszy wydawca średniowiecznych historyków niemieckich, z którego zbiorów wyszła późniéj rozgłośna mapa cesarstwa rzymskiego w wieku IV-ym — *Tabula Peutingeriana* (355), mieliby może prawo do przestronniejszego miejsca, nawet w poczcie takich znakomitości, jak sławny hebraista i okkultysta Reuchlin (480 — 500) lub sławniejszy jeszcze od niego, w swoim czasie Jan Dalburg, który „między filozofami był Platonem, między muzykami Tymoteuszem, między mówcami Demestenesem, między astronomami Firmikiem, między matematykami Archimedesem, między poetami Wirgilim, między kosmografami Strabonem, między kapłanami św. Augustynem, między pobożnymi — Numą Pompiliuszem" (429). W ogólności, autor poświęca sporo miejsca poetom i uczonym renesansu; artystom—tyle co nic. O Leonardzie da Vincim jest wzmian-

ka, że robił portret Izabelli d'Este (171), o Tycyanie, że u niego roboty zamawiał Alfons z Ferrary, syn Herkulesa I (220), o Albrechcie Dürerze, że współcześnik papieża Leona X-go cesarz Maksymilian dawał mu zlecenia artystyczne „mające wszczepiać w widza wyobrażenie o blasku i potędze majestatu" (335), o Holbeinie, że robił portrety Erazma Roterdamskiego i ilustrował niektóre dzieła humanistyczne (359). Odrobinę więcéj otrzymali jedynie Rafael i Michał Anioł, pierwszy o tyle, o ile poszukiwał macenasostwa Leona X i z niego korzystał (284—286), drugi z powodu, że się kształcił pod kierunkiem rzeźbiarza Bartolda w akademii założonéj przez Wawrzyńca de Medici w ogrodach tego protektora sztuki (188), oraz dla tego, że mu papież Juliusz II polecił ozdobienie malowidłami kaplicy sykstyńskiéj (267 i nast.) Nadto znajdujemy wzmiankę pobieżną o malarzu weneckim z początków wieku XV-go Janie Bellenim (258) i kilkanaście wierszy o Benvenucie Cellinim, w inném gdzieś miejscu — w połowie wieku XVI-go. Skrupulatność w notowaniu szczegółów czy koniecznie chodzić musi w parze ze skąpstwem widoków historyozoficznych? Nie można się tém tłómaczyć, że znaczenie okresu odrodzenia w dziejach powszechnych powinno być znane z historyi elementarnéj. Każde poszukiwanie nowe — o ile rzeczywiście jest nowém — zwęża, rozszerza lub w inny jakiś sposób zmienia elementarz i modyfikacyę tę należy mieć przedewszystkiém na oku. Rzecz to w każdym razie ciekawa, że dzieło, obejmujące nie tylko wieki XIII do XV-go włącznie (str. 3), lecz też i spory jeszcze kawał XVI-go nie daje najmniejszego pojęcia ani o przyczynach ani o skutkach wszechdziejowego przeobrażenia umysłowości europejskiéj, dokonanego na podstawie i pod wpływem wiedzy i umiejętności starożytnych Greków i Rzymian. Nie chodzi nam wcale o jakieś sprzężenia i filiacye renesansu ze świtającą dobą czasów nowożytnych i z jéj zwiastunami dalszymi lub bliższymi, Kartezyuszem, Bakonem, Kolumbem, Kopernikiem (co do tego ostatniego spotykamy w książce jedynie drobne napomknienie na str. 178: „zdaje się, że nie należał do uczniów Kodrasa Urceo nauczającego w Bolonii od r. 1482 greczyzny i zmarłego w r. 1500"); ale sądzimy, że w pracy poświęconéj wielkim praojcom odrodzenia z popiołów umarłego świata, dobrzeby było spotkać parę wskazówek: przez jakie to np. klęski i cudowne ocalenie przechodził Tucydydes, lub w jakie maurytańskie, żydowskie, klasztorno-scholastyczne szaty przebierał się Arystoteles, zanim się dostali do księgozbiorów naszych praojców z epoki Medyceuszów. Nie sposób chwalić uspecyalizowania przedmiotu do tego zamurowanego stopnia, że nawet Guttenberg wspomniany został jedynie w tym celu, ażeby pokazać, że odrodzenie niemieckie nie wszyst-

kie swe pierwiastki zapożyczyło od Włoch (311 i nast.). Co do bezstronności autora, jako Niemca... — tak przynajmniéj przypuszczamy, skoro dzieło wyszło w języku niemieckim, nie może być o tém mowy z okoliczności pracy rzetelnie naukowéj. Zaznaczamy wszakże parę delikatnych odcieni lekkiego uprzedzenia do reformacyi, czy téż tylko żalu do niéj, że brutalnie traktowała humanizm. „Reformacya, zastąpiwszy humanizm, unicestwia do pewnego stopnia jego błogie następstwa i owoce" (324); „współczucie dla spraw narodowych, dla wielkich spraw umysłowych ludu znika" (535); „odtąd, zamiast zagadnień ogólno-ludzkich, podobają się publiczności wyłącznie pisma ulotne i rozprawy teologiczne" (536). Uderzyło nas także nieoczekiwane zdanie z powodu Savonaroli: „Śmierć Savonaroli na stosie, choć mu zjednała sławę męczeństwa, nie nadaje bynajmniéj prawa do nazwy reformatora. Ponieważ w gwałtownych kazaniach i pismach występował przeciw papiestwu, protestanci więc, upatrujący w zniszczeniu téj potęgi jedno ze swych zadań, zaliczali go między swoich, ale całkiem niesłusznie. Savonarola bowiem tkwi głęboko w scholastyce, którą inowiercy zwalczali jako siłę nie mniéj groźną od papiestwa" (202).

I. T. Hodi.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Michał Rollé.* **Z przeszłości.** Okręg Rowski. Starostwo Barskie (do r. 1774). Lwów, nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1896, 8-vo, str. 232. — Wstępując w ślady swego ojca (którego pamięci poświęcona jest ta książka) młody autor opowiada dzieje jednéj tylko części Podola, téj mianowicie, z któréj z czasem utworzone zostało starostwo Barskie, opowiada je szczegółowo, nie pomijając żadnéj wsi, żadnéj osady, o któréj w źródłach znalazł wzmiankę. Zaczepiwszy o czasy Koryatowiczów, przedstawia barwnie kiełkujący ruch osadniczy w XV-ym wieku, straszne najazdy tatarskie, zabiegi kolonizacyjne, przeprowadzane systematycznie przez królowę Bonę, gospodarstwo kolejne następnych starostów: Herburtów, Tworowskiego, Golskiego, Żółkiewskiego i późniejszych, historyę wójtostw, przekształcenie starostwa w dobra dziedziczne i procesy ze szlachtą, któréj ta przemiana zagroziła zgubą. Praca ta oparta jest przeważnie na materyałach rękopiśmiennych, jak inwentarze, lustracye, akta procesowe; bez mapy szczegółowéj (któréj, szkoda, że do dzieła nie dołączono), nie znając Barszczyzny naocznie, trudno kontrolować o ile traf-

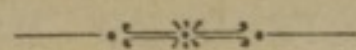
ne jest lokalizowanie nazw osad, które albo nie istnieją wcale, albo inaczéj dziś są nazywane; zresztą w krótkiéj notatce mniéj stosowne byłoby na to miejsce. Zaznaczymy więc mimochodem, że między Albertem Rowskim z r. 1407 a Wojciechem Starzechowskim r. 1538 tak znaczny jest przedział czasu, że dopatrywać między nimi łączności krwi na podstawie samego imienia, jest wielce ryzykownêm, imię bowiem Albert czyli Wojciech bardzo było w Polsce upowszechnione. Wojciech z Wszeradowa był kasztelanem kamieńskim w Wielkopolsce, na pograniczu Pomorza; z kroniki Janka wiemy, że wydatną odgrywał rolę w wojnie domowéj, zwanéj wojną Nałęczów z Grzymalczykami, na owéj kasztelanii widzimy go w latach 1390—1413, potém w 1423—1425 był wojewodą kaliskim, i ani z Podolem, ani z jego stołeczną twierdzą, Kamieńcem, nie miał żadnego związku. O Fedku Neświckim pisał p. Józef Wolff („Kniaziowie Lit.-Rus.", 1895, str. 275—276). „Dowhird prawił" nie znaczy rządził, lecz przedstawiał dany interes, załatwiał, forytował, a odpowiada wyrażeniu *„ad relationem"* w dokumentach łacińskich. Wyraz „angaryowani" nie jest błędem i nie wymaga żadnéj poprawki (str. 56). Nowotworu „udobrodziejstwował" (str. 11) należy unikać.

= *Armand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna illustrowana.** Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz,* b. prof. uniw. Dwa tomy. Warszawa, nakład Maurycego Orgelbranda. — Wypuszczony świéżo z pod prasy zeszyt 49 — 50 zamyka wydawnictwo poważnego dzieła, noszącego w oryginale niemieckim tytuł *„Die Erde in Karten und Bildern".* Przyswajając naszemu piśmiennictwu tę pracę, tłómacz uważał za swój obowiązek dane liczbowe statystyczne, odnoszące się w oryginale do roku 1888, zastąpić nowszemi, które zaczerpnął z wydawnictw niemieckich, ogłoszonych w r. 1895 i 1896. Prócz téj zmiany „opis cesarstwa Rosyjskiego tak w Europie jak i w Azyi" jest w książce polskiéj opracowany „niezależnie od oryginału, według najlepszych źródeł"; przy opisie Królestwa tłómacz posługiwał się głównie „Słownikiem geograficznym". Tom I-szy zawiéra opisanie Europy i Azyi; tom II-gi wypełniają Australia i Oceania, Ameryka północna, środkowa i południowa, Afryka, obszary podbiegunowe, arktyczny i antarktyczny. Ostatni rozdział zajmuje się „ruchem i stosunkami wzajemnemi na kuli ziemskiéj", środkami komunikacyjnemi na lądzie i morzu, wreszcie urządzeniami pocztowemi, telegraficznemi, telefonami i balonami. Pomieszczona w końcu tablica porównawcza warunków klimatycznych podaje dla 74 miejscowości ich szerokość geograficzną, wzniesienie nad poziom morza, najniższą, najwyższą i średnią tempe-

raturę, oraz przeciętną opadów. — Abecadłowy skorowidz wymienionych w dziele miejscowości ułatwia poszukiwania potrzebującemu doraźnéj informacyi. Dodajmy, że 517 ilustracyi zdobi to pożyteczne wydawnictwo.

═ Przed terminem, mającym obowiązywać na przyszłość, i w objętości trzy razy większéj niż normalna, wyszedł pierwszy numer nowego pisma p. t. **Krytyka lekarska**, któréj redaktorem i wydawcą jest zaszczytnie znany okulista, p. *Zygmunt Kramsztyk.* Będzie to pismo wychodziło w 1 dniu każdego miesiąca w objętości jednego arkusza druku lub więcéj. Za cel postawiło sobie nie gromadzenie spostrzeżeń szczegółowych, ani też roztaczanie zasobów erudycyi w tym kierunku, lecz rozbiór zasadniczych pojęć naukowych, przedstawianie historyi poglądów i metod, krytyczne rozpatrywanie całkowitéj działalności uczonych, jak nie mniéj prac świéżo się ukazujących; wreszcie roztrząsanie spraw zawodowych, a mianowicie sprawy etyki lekarskiéj. W pierwszym już numerze znajduje się uwidocznienie tego programu. Naczelny, najobszerniejszy artykuł, napisany przez prof. Hoyera, gruntownie rozpatruje „Zasadnicze pojęcia naukowe w świetle krytyki poznania", występując przeciw mechanicznemu wyłącznie poglądowi na wszystkie zjawiska bytu. P. Teodor Dunin rozpoczął wizerunek biograficzno-naukowy Władysława Matlakowskiego. P. Konrad Dobrski dotknął sprawy etyki w artykule „O stosunku lekarzy do towarzystw ubezpieczeń na życie. Dr. Józef Peszke w dwu miejscach podał przyczynki do dziejów medycyny i chirurgii, jeden z dzieła Oczki, drugi z zielnika Siennikowego. Sam redaktor umieścił kilka rozbiorów krytycznych, uwydatniając w nich zasady, któremi w ocenach pomieszczanych w piśmie przezeń ogłaszaném, kierować się mają sprawozdawcy. Jedną z nich jest odróżnianie książek „suchych", dostarczających tylko wiadomości, od książek, które pobudzają umysł do pracy i twórczość jego podnoszą. Pożytek z pierwszéj kategoryi, do któréj „ogromna większość dzisiejszych książek należy", jest wielce względny; bo gdy wyłącznie tylko będą czytane takie dzieła, mogą wywrzéć wpływ szkodliwy, obniżając i zabijając działalność umysłu, jego twórczość, jego samodzielność. Dlatego też wysoko cenić trzeba, zdaniem p. Kramsztyka, „twory umysłów gorętszych, które myśl pobudzają, chociażby bardzo ścisłéj krytyki nie wytrzymywały, chociażby zawiérały nawet i pewne błędy naukowe." Wogóle pierwszy ten numer „Krytyki lekarskiéj" spełnia zadanie, jakie redakcya sobie zakréśliła: pobudza do myślenia i dyskusyi, i może być przez niefachowca nawet odczytany z zajęciem i niewątpliwym pożytkiem.

ROSYA i AUSTRYA NA WSCHODZIE.



Prawdopodobnie rok 1897-my będzie nareszcie oglądał rozwiązanie téj kwestyi wschodniéj, która w ciągu niespełna dwóch stuleci była przedmiotem nieustających niemal trosk mocarstw bezpośrednio sąsiadujących z Turcyą: Rosyi, Austryi, czas jakiś Polski i Wenecyi. Dłuższy pobyt w Petersburgu ambsadora rosyjskiego nad Bosforem, p. Nelidowa, wymiana w drodze telegraficznéj widoków mocarstw w sprawie reform tureckich, powrót p. Nelidowa do Konstantynopola, w połowie grudnia 1896 r., przez Wiedeń, jego kilkndniowe narady z austro-węgierskim ministrem spraw zagranicznych, zamknięte uroczystém przyjęciem u dworu, wskazują niemylnie, że Europa zdobyła się.... zdobędzie się może na krok stanowczy, — zależny głównie od porozumienia się: Anglii z Rosyą i Rosyi z Austryą.

To ostatnie najbardziéj zaciekawia w chwili obecnéj opinię publiczną — i nie bez powodu. Od r. 1797-go, to jest od usunięcia z rachub międzynarodowych staréj Rzeczypospolitéj Polskiéj, stanowiącéj niegdyś najcięższy kamień obrazy w stosunkach dworu wiedeńskiego z petersburskim, okrągły wiek doświadczeń dziejowych przekonał najdowodniéj, że ani nad Newą, ani nad Dunajem nie było nigdy — więc i dziś nie może być poważnie mowy o skutecznéj interwencyi na półwyspie Bałkańskim — w odosobnieniu, „na własną rękę". Żaden też domysł, choćby najgenialniejszy, nie odsłoni tu rąbka tajemnic przyszłości bez uprzedniego zajrzenia do księgi dziejów.

Przebieżymy pokrótce główne historyczne fazy stuletniego tego procesu na podstawie urzędowych źródeł dyplomatycznych.

Po podpisaniu w d. 20 (31) stycznia 1797 r. w Krakowie aktów ostatecznego — pod względem terytoryalnym — rozmiedzowania ziem podbitych lub zagarniętych i po ogłoszeniu, nieco przedtém jeszcze, w d. 15 (26) tegoż miesiąca i roku w Petersburgu deklaracyi trzech mocarstw podziałowych, oznajmiającéj dworom i ludom europejskim, że sprawę tę uważają za załatwioną i zamkniętą [1]), Prusy dość manifestacyjnie oddzieliły się od dwu „tymczasowych i specyalnych" swych sprzymierzeńców, przenosząc się — również tymczasowo i specyalnie — do Francyi rewolucyjnéj; Austrya pozostała w obozie koalicyi zachowawczéj, wciąż wyglądając, w niefortunnéj walce z Francuzami nad Renem i we Włoszech, odsieczy wojskowéj od Rosyi i pomocy pieniężnéj od Anglii. Kanclerz niemiecki, Thugut, zawiesił na czas nieoznaczony wszystkie swe plany „południowe", tureckie, osnute na dodatkowym i sekretnym artykule traktatu przymierza z Rosyą, zawartego d. 14 (3) czerwca 1792 r. w Petersburgu na lat ośm [2]). Trzeba się było oszczędzać, trzeba chwilowo zrzec się nadziei doraźnego i jednoczesnego rozszerzenia granic świętego rzymskiego cesarstwa „na cztery boki". Obecnie, po mniéj więcéj dobrowolném przyczynieniu się do obalenia nietrwałéj ściany od północy, skupić wypadło wszystkie siły monarchii rakuskiéj ku zachodowi, gdzie — zwłaszcza po odpłynięciu w d. 9 maja 1798 r. Bonapartego do Egiptu, przedstawiała się możność powetowania niepowodzeń poprzednich, zapieczętowanych pokojem w Campo-Formio 17 października 1797 r.... [3]). Rezultat — znany: po świetnéj, lecz za krótkiéj kampanii sprzymierzonych wojsk rosyjsko-austryackich we Włoszech i Szwajcaryi, po mniéj szczęśliwych tryumfach oręża rosyjsko-angielskiego w Holandyi (sierpień—wrzesień 1799), karta dziejów odwróciła się nagle. „Był chmurny dzień października (opowiada Beranger w swojéj autobiografii), — siedzieliśmy w czytelni nad gazetami, milczący i zadumani. Drzwi od ulicy rozwarły się naraz gwałtownie i ktoś wpadając zawołał: Napoleon wrócił z Egiptu!... Całe zgromadzenie — a było nas osób ze czterdzieści—zerwało się na równe nogi i jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się z piersi: niech żyje Francya!"... Zanim wieść ta przedarła się przez pograniczne straże austryackie, Europa wiedziała już o bitwach pod Marengo (14 lipca 1800 r.) i Hohenlinden (3 grudnia t. r.)... Na ten to właśnie czas przy-

[1]) T. Martens. „Recueil des traités", II, 289, 290.
[2]) Id. ib., str. 207-211.
[3]) Vivenot. „Rastadter Congress", 15-17.

padał termin odnowienia sekretnego i dodatkowego artykułu ugody z r. 1792 w sprawach tureckich. Zdaje się, że w Wiedniu — wśród gorączek wojennych — zupełnie o tém zapomniano. Przytém, braterstwo orężne z r. 1799 zostawiło po sobie dużo kwasów i złorzeczeń wzajemnych. Szczególnie kilka epizodów z oblężenia Ankony i zatargi z austryackim generałem Froelichem (incydent pod nazwą *„insulte au pavillon"*) rozgoryczyły do tego stopnia cesarza Pawła I, że ambasador austryacki w Petersburgu, Cobentzl, zniewolony był podczas całego karnawału 1800 r. nie pokazywać się u dworu, a w kwietniu tegoż roku ambasador rosyjski w Wiedniu, Kołyczew, otrzymał od swego monarchy rozkaz wyjechania do Karlsbadu i zupełnego następnie wyniesienia się z granic państwa habsburskiego [1]).

Od téj pory kwestyę wschodnią, zarówno jak i wszystkie inne, europejskie, Napoleon skupił wyłącznie w swoich wszechwładnych dłoniach. Czy pod koniec panowania Pawła I umawiał się z Rosyą o warunki ekspedycyi kozackiego korpusu Płatowa do Turkestanu i Indyi, czy w początkach panowania Aleksandra I-go otwiérał lub zamykał przed Rumiancowem i Czyczagowem wrota Carogrodu, Austrya najzupełniéj biernie i w milczeniu przyjmowała jego wyroki, wcale się już nawet w końcu nie dziwiąc, że kawałki obietnic, jakie stąd na nią spadały niekiedy (bądź w Serbii, bądź w Macedonii), pozostawały zawsze zawieszone w powietrzu, gdy to, czego od niéj żądano w zamian za te przyrzeczenia, natychmiast zostawiało widome po sobie ślady, czy to na mundurach, czy na ziemi... Z Rosyą, przez cały ów okres napoleoński, Austrya zawarła wprawdzie kilka traktatów odpornych lub zaczepnych, ale żaden z nich nie dotyczył wyraźnie Turcyi. Pierwszy, z d. 25 października 1804 r. skończył się na wejściu Francuzów do Wiednia (13 listopada) i na bitwie austerlitzkiéj (2 grudnia); drugi, z d. 28 lipca 1805 r. posiekany wskutek zbliżenia się Rosyi do Napoleona w Tylży i Erfurcie, zlikwidowany został w bitwach 1809 r. pod Eckmühl (22-go kwietnia) i Wagram (5—6 lipca); trzeci, już po wojnie 1812 r., podpisany w Reichenbach 27 lipca 1813 r., otrzymał ostatnią napoleońską zapłatę pod Droznem (26—27 sierpnia). Kongres wiedeński, który téj epopei położył koniec, nie dopuścił Turcyi do swoich narad i w aktach, regulujących losy Europy, najmniejszéj o niéj wzmianki nie zostawił, pomimo nalegania pełnomocników Francyi, których instrukcye opiewały: „Jakkolwiek Porta Ottomańska nie brała żadnego udziału w ostatniéj wojnie, to jednak z uwagi, że jest ona mocarstwem europ-

---

[1]) Milutin. „Historya wojny 1799 roku", wyd. 2-gie, Petersburg, 1857, t. II, str. 155 i nast.

pejskiém, uważamy za rzecz niezbędną dla utrzymania równowagi europejskiéj, ażeby też i istnienie Turcyi zabezpieczone zostało" [1]).

Zabezpieczenie to sułtan znajdował czas jakiś w literze i duchu świętego przymierza, w zasadzie legitymizmu i zachowawczości, którą z największą starannością uprawiał przedewszystkiém Metternich, kierownik głównych prądów międzynarodowych od r. 1814 do 1848-go. W saméj Rosyi ochronna owa dla Turcyi tarcza tak dalece górowała nad wszelkiemi innemi pożądaniami i popędami, że kiedy w lutym 1821 r. wybuchły na Multanach pierwsze płomyki powstania greckiego i w kwietniu wkroczyły do Morei, nie kto inny tylko gabinet petersburski najkategoryczniéj oświadczył się przeciwko ruchowi. Z tego powodu pomawiano politykę Rosyi o powolność na wpływy i zachcianki Metternicha; późniejsze atoli badanie dokumentów archiwalnych nie zupełnie stwierdziło ten pogląd. Dwór petersburski miał aż nadto swoich powodów do popierania ustalonych haseł porządku publicznego i strzeżenia niepogwałcalności uświęconych wiekami podstaw społecznych, ażeby potrzebował szukać na tym gruncie natchnienia aż w Wiedniu. Zresztą, w stosowaniu ogólnych reguł konserwatyzmu na półwyspie Bałkańskim, ujawniły się od samego początku poszlaki lekkiego najpierw, coraz późniéj widoczniejszego antagonizmu Rosyi z Austryą. Sprzeczność dążności wystąpiła ze szczególniejszą siłą w czasie rokowań nad pierwszym rosyjskim projektem interwencyi zbiorowéj na rzecz Grecyi z d. 12 stycznia 1824 r. W obawie, aby Anglia na własny pożytek nie wyzyskała wzrastającéj wśród klęsk zaciętości powstańców, Rosya zaproponowała mocarstwom europejskim zniewolenie wspólnemi siłami Turcyi do reform i ustępstw częściowych: Grecya podzieloną będzie na trzy drobne księstwa pod zwierzchnictwem sułtana, załogi tureckie zasiądą w głównych miastach i twierdzach, kraj otrzyma autonomię administracyjną, na mieszkańców nałożony zostanie haracz i t. d. Wówczas to Austrya dała się słyszéć ze sławną swoją formułą: „żadnych półśrodków! — albo pozostawcie Turcyę w pełni jéj wszechwładztwa, albo dajcie Grecyi całkowitą i bezwarunkową niepodległość" — i już od téj alternatywy dwór wiedeński nie odstąpił ani wobec protokółu petersburskiego z d. 4 kwietnia 1826 roku (umowa Rosyi z Anglią), ani wobec londyńskich umów lipcowych z r. 1827 pomiędzy Rosyą, Francyą i Anglią, które sprzymierzeńców doprowadziły do bitwy nawaryńskiéj (20 października), Rosyę zaś popchnęły następnie do wojny 1828—1829 r. Zachowanie się Austryi w tych wypadkach historycy rosyjscy podziśdzień uważają za arcy-

---

[1]) Talleyrand. „Mémoires", II, 231.

dzieło przebiegłości, gdyż— powiadają— ów radykalizm metternichowski, owa jego „niepodległość grecka” miała na oku jedynie uchylenie się od zrobienia „czegośkolwiek nie-chimerycznego” (słowa cesarza Aleksandra I przed zgonem, 1 grudnia 1825), przyczém, rzucając kość niezgody pomiędzy sprzymierzeńców, Austrya schlebiała Turcyi (1-ą częścią alternatywy), a jednocześnie podniecała wygórowane żądania Greków... I niezbyt mocno bronił się Metternich od podobnych posądzeń, osobliwie wtedy, gdy pokój adryanopolski (14 września 1829), poprzedzony protokółem „sprzymierzeńców” 2 marca 1829, w dostatniéj mierze uwzględnił drugie jego „albo” (w Grecyi i częściowo w księstwach naddunajskich), wtedy gdy rozpalające się zarzewia rewolucyjne, we Francyi, Belgii, Polsce, nadały ogromną powagę motywom pierwszego—zachowawczego jego „albo.” Wzbiło to nawet kanclerza austryackiego w taką dumę, że odtąd z wielką pewnością siebie powtarzał niejednokrotnie: „idę z Rosyą dopóki ona za mną podąża...” [1]).

Wykwit machiawelizmu, czy dobrze zrozumiany interes polityczny, w każdym razie to niezawodne, że pewien „radykalizm” austryackich mężów stanu w kwestyi wschodniéj przewija się wzdłuż całéj historyi państwa rakuskiego, od czasów głośnéj wyprawy króla Jana III, która zaczepną i napływową falę turecką popchnęła wstecz, ku łożyskom odwrotu i odporności, aż do dni naszych, kiedy dawne potopy bisurmańskie suchemi już dnami świecić zaczęły. Wiele różnorodnych przejść przyczyniło się do wyrobienia w tegoczesnéj dyplomacyi wiedeńskiej przekonania, że to, co dla Metternicha było tylko luźnym, przygodnym wybiegiem—zręcznéem posunięciem pionka na szachownicy przysłowiowéj „wierności greckiéj”, stać się w końcu musiało poniekąd dogmatem i wytyczną linią uczciwego postępowania na przyszłość. Stopniowa, powolna emancypacya ludów półwyspu bałkańskiego, wywołanie wśród nich takiego wzajemnego na siebie oddziaływania, ażeby się w niém krzyżował wzrost niebezpiecznych dążności unifikacyjnych, bądź rasowych, bądź religijnych, stworzenie jednérn słowem pod Bałkanami Austryi „drugiéj”, odwodowéj — programat taki powstać mógł dopiéro po całkowitém wyczerpaniu materyału pod wszelki inny wybór. A wyczerpywał się on bardzo szybko i wszechstronnie. Akcya zaborcza i równoległa, zapoczątkowana teoretycznie przez Kaunitza w memoryale z r. 1772 o podziale Turcyi, mającym równoważyć czy też dopełniać takież pomysły Fryderyka II na innéem polu, pokazała już we dwa lata późniéj swą wartość prak-

[1]) Metternich, „Mémoires“, III, 504; IV, 127, 161, 212, 370 i w wielu innych miejscach.

tyczną, kiedy Rosya, w moc traktatu kajnardżyjskiego zdobyła „słonia czarnomorskiego”, Austrya zaś złapała zaledwie „muchę bukowińską”,—jak to w r. 1795, przy ostatecznym obrachunku zysków i strat krymskich, bawarskich, polskich, Ostermann, Markow i Zubow jednomyślnie przypomnieli Tauenzienowi, pełnomocnikowi pruskiemu, rozpaczliwie wołającemu o Kraków, przeznaczony z góry dla Austryi, właśnież jako dodatek do „muchy.” System znowu odwrotny, opiekuńczy, stawiający całość i nietykalność Turcyi na miejsce poprzedniego zajazdu i rozbicia, mamił nieco dłużéj, ale też i zużył się znacznie głębiéj. Doniosłość swą ujawnił on najdobitniéj w okresie lat 1833—1840, kiedy w obronie Padyszacha od rokoszowych zamachów Mehmed-Alego wojska rosyjskie rozłożyły się obozem na azyatyckiém pobrzeżu Bosforu. Wprawdzie, Palmerston pocieszał wówczas Metternicha pamiętnemi słowy o rychłém ozdrowieniu chorego człowieka; „kto Turcyę nazywa gałęzią obumarłą — powiadał — sam nie wié co plecie,—kilka lat pokoju, a z nędzarza znowu wyjdzie potentat.” Ale potentat ukazał się błyskawicznie dopiéro w kilkadziesiąt lat późniéj, — i zniknął odtąd bodaj czy nie na zawsze. Tymczasem, rozwiało się z kolei i owo „widmo czerwone”, którém dyplomacya metternichowska płoszyła senne majaczenia o prawie i swobodzie Rumunów, Serbów, Greków, Bulgarów, a to przez napędzanie na nich mroźnych pogróżek i ostrzeżeń z północy. Jednakowoż sztuczka możeby i dokazała cudu, gdyby straszydło zachodnie chciało było pozostać zdala, poprzestać na błąkaniu się z flintami konstytucyjnemi po wąwozach hiszpańskich, na dobijaniu się do wrót Westminsteru pod postacią zagłodzonego Irlandczyka, na klejeniu co drugi poniedziałek barykad w Paryżu, na wyprawianiu serenad z pochodniami po uniwersytetach niemieckich; niestety, wkrótce wpadło mu do głowy zajrzéć w żywe oczy samemu sztukmistrzowi tych postrachów, skąpanemu na dwa lata przedtém we krwi galicyjskiéj. Od téj daty trzeba było raz na zawsze otrząsnąć splamione palce od robót ocalających sąsiada, skoro własne ocalenie zawisło już tylko na włosku cudzéj wspaniałomyślnéj protekcyi... To też, gdy z kolei nadciągnęła wojna krymska, zastała ona w Austryi zaledwie splątane resztki starych wątków, chaos wyobrażeń, rozterkę dążności, kosz zdartych i oplwanych tradycyi dyplomatycznych. Że w tém piekle nie mógł się zoryentować monarcha młody, dwudziestokilkuletni, wyniesiony na tron w warunkach niemożliwych, okrutnych, fatalnych, — to rzecz prosta, wytłumaczona; stokroć dziwniejszsze to, że się nie znalazł wtedy ani jeden skrybent archiwalny, coby parę wiązek relacyi poselskich skompilować napręd-

ce potrafił w jakimkolwiek bądź kierunku, czy to na temat kaunitzowski, tak usilnie zalecany w imieniu Rosyi przez barona Meyendorffa, czy według szematu metternichowskiego, tak gorąco popieranego przez ambasadorów mocarstw zachodnich. Osowiała, idyotyczna deptanina na miejscu Buola uchodziła — aż do pierwszego dnia kongresu paryskiego — za majstersztyk w swoim rodzaju... Piękny zaiste majstersztyk! Skupił on w sobie, nie pominąwszy najdrobniejszego szczegółu, z jednéj strony: wszystkie bitwy od Magenty do Solferina, z drugiéj: wszystkie klęski lat 1866 i 1870-go, na które Rosya spoglądała z obojętnością dłużnika, wypłacającego zaległe raty „zdumiewającéj świat niewdzięczności". Dziś, odczytując przedśmiertne listy cesarza Mikołaja I-go, ogłoszone przed paru laty w urywkach przez p. Tatiszczewa, oraz w jedném z czasopism petersburskich, politycy wiedeńscy zaciérają zapewne ręce z radości, że się na tém tylko nareszcie skrupiło... [1]).

Nareszcie?... — Przyszłości, naturalnie, przesądzać niepodobna. Wnosząc atoli z przebiegu zdarzeń przedostatniéj dziejowéj doby stosunków wschodnich — zdarzeń poprzedzających wojnę 1877 — 78 i bezpośrednio z niéj wypływających, urazy dawne najszczerzéj puszczono w niepamięć, — do nowych zaś nie było powodu, na cokolwiekby tam zresztą, utartym zwyczajem, tu i owdzie powoływano się w rozmowach potocznych. Co prawda, z traktatu berlińskiego, modyfikującego, na niekorzyść Rosyi, pokojową ugodę san-stefańską z d. 3-go marca 1878 r., pozostały dotąd nienaruszone — bodaj czy nie same tylko artykuły dotyczące Bośnii i Hercogowiny. Ale wiadomo, że Bośnię i Hercogowinę posiada Austrya nie z racyi uchwał berlińskich. Uchwały te stwierdziły jedynie, w granicach międzynarodowéj sankcyi europejskiéj, reichenbachską ugodę Rosyi z Austryą z d. 8-go lipca 1876 r., która jednocześnie omówiła i kwestye sporne *à venir*, np. bulgarską. Podczas dwuokresowego rozwoju téj ostatniéj — battenberskiego i koburskiego — nie było widać, aby popełnione zostały specyalne jakieś błędy, przynajmniéj tam, „gdzie już nie było wcale błędów do popełnienia". Przeto i dzisiaj, wobec notyfikacyi p. Nelidowa, przyjętéj w Wiedniu do wiadomości, nie trudno zostać prorokiem

---

1) Jomini. „Etude diplomatique sur la guerre de Crimée", Petersburg, 1878, t. II, 134 i nast. Tatiszczew. „Cesarz Mikołaj i dwory zagraniczne", Petersburg, 1889, str. 117 — 125. „Russkij Wiestnik", 1888, zesz. X, 135 — 183; XI, 1 — 59.

co do dalszych losów przyjaznego porozumienia się dwu mocarstw lądowych najbliżéj zainteresowanych w sprawach tureckich. Regulacyjną zasadą działania będzie: rozszerzenie i wzmocnienie samorządu jednostek usamowolnionych na półwyspie w wieku XIX-ym — przez nie i dla nich wyłącznie; gwarancye — do zbiorowego uwzględnienia mocarstw.

Prawdzic.



NEKROLOGIA.

† **Jakób Rogowicz**, urodzony w Kaliszu 15 lipca 1839 r., ukończywszy szkoły w mieście rodzinném, w r. 1859 wstąpił do warszawskiéj akademii medyko-chirurgicznéj, a potém, gdy utworzona została szkoła główna, tu na wydziale lekarskim otrzymał stopień doktora medycyny. Od r. 1864 do 1868 był asystentem kliniki położniczéj. W r. 1868 założył pierwszy prywatny zakład dla kobiét, a w r. 1890 wszedł do grona założycieli warszawskiego zakładu ginekologicznego. Co do jego działalności pisarskiéj, to sięga ona r. 1866, kiedy założone zostało nowe pismo lekarskie p. n. „Klinika." Z początku był jego współpracownikiem, a następnie redaktorem. Po zamknięciu „Kliniki" ś. p. Rogowicz zaczął wydawać „Medycynę", kierując nią od r. 1873 do 1881. Obok pracy zawodowéj i wydawniczéj redagował „Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego" w r. 1875, 1876, pełnił zastępczo obowiązki sekretarza stałego Tow. lekarskiego i członka zarządu téj instytucyi. Od r. 1879 do 1888 wydawał i redagował „Rocznik medycyny polskiéj." Wiceprezesem Tow. lekarskiego był od r. 1885 do 1887. Zostawił około 70 rozpraw, umieszczonych przeważnie w „Klinice" i „Medycynie". Zmarł 25 listopada 1896 r.

† **Bronisław Henryk Hoffman**, magister prawa i administracyi ze szkoły głównéj, b. obrońca prokuratoryi Królestwa Polskiego, w końcu adwokat przysięgły, zmarł w Warszawie w grudniu r. 1896, mając lat 53. Pisywał artykuły i rozprawy z dziedziny prawa.

† **Aleksander (Leszek) Dunin hr. Borkowski**, urodzony około roku 1810, szkoły średnie ukończywszy we Lwowie, wyjechał r. 1827 wraz

z bratem Józefem na uniwersytet do Czerniowiec. W dziedzinie literackiéj zaczął pracować już od r. 1830, drukując w „Haliczaninie" poemacik p. t. „Kozak". Drugi jego poemat „Orły z Herburtów" wyszedł r. 1838 w „Pracach literackich" ogłoszonych we Wiedniu. Zbiorek poezyi p. t. „Wieszczenia Lechowe, które Bóg dał na początku r. 1835" wyszedł w Krakowie r. 1848. Więcéj atoli aniżeli te wiersze zyskały rozgłosu pisma satyryczne ogłoszone p. t. „Parafiańszczyzna" (tom I r. 1843 we Wrocławiu, tom II w r. 1849 w Poznaniu), „Nie-powieści i nie-rozprawy" (1846, Lwów), „Cymbalda, poema heroiczne z wypadków naszego czasu" (1845), „Cymbalda na cały tydzień" (1848). W r. 1848 wszedł ś. p. Borkowski na widownię polityczną. Wybrany razem ze Smolką i Ziemiałkowskim do parlamentu, dzielił ich prace w Wiedniu i Kromieryżu, zająwszy stanowisko skrajnego opozycyonisty. Mowy jego odznaczały się, obok stylu kwiecistego, zręczną dyalektyką i zacięciem sarkastyczném. Wierszem i prozą posługiwał się również w podobnym kierunku. Oto napisy tych utworów: „W przedmiocie konstytucyi 25 kwietnia", „Wyjątek z Gazety i myśl Herwegha", „Sejm ustawodawczy rakuski ze szczególniejszą uwagą na poselstwo polskie" (2 tomy, 1850, Poznań). Ostatnie to dzieło wyszło także w przekładzie niemieckim. Na polu naukowém pracował ś. p. Borkowski, badając literaturę sanskrycką; ogłosił: „Setki Bhartriharisa, poezye Indyan" (w „Roku" poznańskim 1845). Wiele artykułów estetyczno-krytycznych drukował w lwowskim „Dzienniku mód paryskich" i w „Pamiętniku literackim." Ważniejsze z nich są: „O powieściopisarstwie nowożytném", „O pismach czasowych W. Ks. Poznańskiego" (1850), „O najdawniejszych zabytkach pisemnych" (t. r.). Po r. 1850 usunął się z widowni politycznéj i literackiéj; wszedł na nią ponownie dopiéro w r. 1866 jako poseł na sejm krajowy. Oto główniejsze prace z tego ostatniego okresu: „Pamiętnik urywkowy współczesny", „Mowa w d. 31 grudnia 1866", „Mowa sejmowa posła samborskiego z 1 marca 1867), „Dualizm" (1867), „Z powodu listu otwartego Fl. Ziemiałkowskiego do Józefa Szujskiego, (1867), „Mowa sejmowa" (z 21 września 1867), „Odpowiédź na list ostwarty, umieszczony w Dzienniku lwowskim Nr. 187" (1868), „Quodlibet, gałązka z wielkiego kalejdoskopu" (1869), „Mowa sejmowa... posła samborskiego z d. 7 października 1871." Był nadto ś. p. Borkowski prezesem Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, i mowy na zebraniach tego towarzystwa wygłaszane, niekiedy drukował np. z 3 listopsda 1872 r. Ostatnie lata spędził we Lwowie usunąwszy się od życia publicznego. Zmarł tamże w pierwszéj połowie grudnia 1896 r.

† **Aniela Milewska**, autorka, właścicielka Mikorzyna pod Koninem, umarła w połowie grudnia, mając lat 54 Wiele robiła dla oświaty ludu, brała czynny udział w czasopiśmiennictwie, pomieszczając artykuły w „Dwutygodniku dla kobiet", w „Tygodniku powieści," w „Kaliszaninie", „Wiśle", „Zorzy", „Gazecie rzemieślniczéj." Osobno ogłosiła: „Anna", dramat w 4 aktach (Warszawa 1873), „Zygmunt, obrazek dramatyczny", „Władysław", komedya (1876), „Matka artysty", powieść (1879), „Sieroce dzieje", „Na tle małego miasteczka", „Miłość a pieniądze", „Pamiętnik garbuska", „Nasze panny" (1894), „Studentki" (1896). Talent to był nie wybitny, ale szczery i poczuciem dobra ogólnego przejęty.

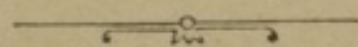


Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Декабря 1896 г. — Druk Jana Cotty.

KWESTYA KOBIÉCA

W PARLAMENCIE NIEMIECKIM.



W ostatnim tygodniu swéj ubiegłéj kadencyi, parlament niemiecki zajmował się sprawą, która niezmiernie rzadko pojawia się na porządku dziennym ciał prawodawczych. Mówię o kwestyi kobiécéj, omawianéj przy obradach nad czwartą księgą kodeksu cywilnego, poświęconą prawom rodzinnym. Paragrafy, dotyczące położenia kobiéty, najwięcéj wśród ogółu budziły zainteresowania, gdyż odnosiły się do kwestyi żywotnéj, któréj uregulowanie, duchowi czasu odpowiednie, było gorącém życzeniem więcéj, niż połowy społeczeństwa niemieckiego.

Wiek XIX-ty przyniósł całemu światu kobiécemu wiele zmian, przetworzył do gruntu warunki życia kobiét ze wszystkich sfer nieledwie — wyparł znaczną ich część z zamkniętéj cztérema ścianami domu-fortecy i zmusił do udziału w pracy zawodowéj, do samodzielnéj walki o byt. Zmieniło się nietylko położenie kobiéty po za rodziną, lecz i same stosunki rodzinne i praca domowa innego nabrały znaczenia i charakteru, — a wskutek tego zrodziły się w umysłach kobiécych inne dążenia, potrzeby i zdolności. Przewrót dokonany natém polu jest tak widoczny, że nawet najzawziętsi konserwatyści, mimo niechęci dla tak zwanego ruchu kobiécego, oczywistości faktu zaprzeczyć nie mogą; w zasadzie téż nikt nie mógł odmówić słuszności żądaniu, aby nowy kodeks z faktem tym się liczył i do pewnego stopnia go

uwzględnił. Nawet twórcy nowéj ustawy przyznawali publicznie, że ruch kobiécy ma racyę bytu i ma przyszłość przed sobą, twierdzili jednak, że poczynili dla niego ustępstwa zupełnie dostateczne, t. j. takie, jakie poczynić mogli stojąc na stanowisku bezstronném, uwzględniając nietylko potrzeby kobiét, lecz interesa całego narodu. Mimo tych zapewnień, ostateczne uchwały parlamentu nietylko nie wywołały wśród kobiét najmniejszego objawu zadowolenia, ale dały początek jeszcze żywszéj agitacyi, jeszcze głośniejszym protestom i wprost namiętnym wybuchom oburzenia przeciw zakamieniałemu egoizmowi męskich przedstawicieli narodu. W parlamencie samym głosy były podzielone. Kobiéty znalazły gorliwych, zdolnych i odważnych obrońców, lecz mimo dość żywéj dysputy, mimo wielu śmiałych prawd pięknie wypowiedzianych — znać było w toku obrad, że nawet najgorętsi zwolennicy równouprawnienia na razie ważnych reform przeprowadzić nie mają nadziei. Wreszcie nie swojéj, lecz cudzéj sprawy broniąc, nie mieli oni ochoty czynić z niéj punktu decydującego o przyjęciu lub odrzuceniu nowéj ustawy.

Oburzenie kobiét ze stanowiska ich potrzeb i uzasadnionych żądań, zrozumiéć i usprawiedliwić łatwo — i gdyby ciała prawodawcze w decyzyach swoich kierować się miały wyłącznie czystém poczuciem sprawiedliwości, dziwićby się należało, dlaczego u samego schyłku XIX-go stulecia naród, który kroczy w pierwszych szeregach cywilizacyjnego pochodu ludzkości, powziął uchwały tak niezgodne z duchem czasu. Kto jednak przyjrzy się bliżéj cokolwiek téj kuźni politycznéj, z któréj wychodzą prawa krajowe, kto uwzględni wszystkie towarzyszące okoliczności: skład parlamentu, charakter jego członków, pobudki grające główną rolę w zachowaniu się stronnictw, — ten przyzna, że wynik ostateczny był zupełnie naturalny, przewidziany i tylko optymistki łudzić się mogły, iż petycye kobiéce osiągną zamierzony skutek.

Przedewszystkiém w parlamencie niemieckim, zarówno jak i we wszystkich innych ciałach prawodawczych, interesa grają główną rolę — zasady podrzędną. Nie w imię zasad, lecz w obronie wspólnych interesów łączą się ludzie w stronnictwa, — nie w imię zasad, lecz w obronie interesów zwalcza się przeciwników, popiéra sprzymierzonych. One też stanowią podstawę do ugrupowania się stronnictw przy wszystkich ważniejszych rozprawach.

Téj podstawy tutaj brakło zupełnie. Chodziło o rozszerzenie praw kobiéty w rodzinie, a zatém o pewne ścieśnienie władzy mężowskiéj. Któryż z przedstawicieli narodu osobiście mógł być interesowany w téj sprawie? Żaden. Przeciwnie, ci wszyscy, co brali w obronę

nieobecnych, t. j. kobiéty—działali zupełnie bezinteresownie, stali wyłącznie na zasadniczém stanowisku. Że tacy ludzie w parlamencie stanowili mniejszość, to nikogo zadziwiać nie powinno. Prawda, że położenie to powtarza się zawsze, gdy chodzi o reformę, w któréj uprzywilejowani mają przypuścić upośledzonych do wspólnych praw, — ale też dlatego takie reformy przechodzą z trudnością, przygotowują się zwolna, a czasem nawet dokonywane bywają dopiéro wskutek wstrząśnień gwałtownych.

Niechętnie ludzie robią ofiarę z władzy i przywilejów. Nawet wtedy, gdy one są krzyczącą niesprawiedliwością, uspokajają sumienie zdaniem, że dobrze użyte stają się właśnie gwarancyą porządku i dobra publicznego. W obecnym ustroju społecznym wspólność interesów wiąże głównie między sobą ludzi pewnéj klasy, pewnéj warstwy narodu. To też te stronnictwa właśnie, które reprezentują dążności klasowe, mają największą jednolitość i spójność. Najnamiętniejsze walki wywołują też wnioski parlamentarne, dotykające interesów klas panujących choćby w najdrobniejszéj okoliczności. Ciekawym tego przykładem była burza w szklance wody, podniesiona przez konserwatystów przy paragrafie kodeksu dotyczącym wynagradzania szkód, wyrządzanych przez zwierzynę. Wielka własność ziemska, t. j. panowie myśliwi, stanęli do walki z własnością drobną, t. j. posiadaczami zagonów kapusty i rzepy, a w animuszu wojowniczym doszli tak daleko, że od bezkarności szkód wyrządzanych przez zające, czynili zależném przyjęcie całego kodeksu. Dysputa o zającach była bardziéj wyczerpująca, niż którakolwiek z dysput odnoszących się do tego dzieła; słusznie też poseł Träger zauważył: „sądzę, panowie, że i potrzeby kobiéty są conajmniéj równie ważne, jak natura i potrzeby zajęcy. Strzeżcie się, aby przy końcu naszych obrad kobiéty nie zawołały: ach, czemuż nie jesteśmy zającami!"

Ale kwestya kobiéca nie była bynajmniéj kwestyą klasową i dlatego nie roznamiętniała nikogo. Ta okoliczność tłómaczy także orginalne ugrupowanie się stronnictw przy głosowaniu nad odnośnemi paragrafami. Członkowie arystokracyi występowali obok przedstawicieli sfery robotniczéj, stronnictwo rządowe szło ręka w rękę z t. zw. stronnictwami przewrotu, co wywołało nawet niejednokrotnie humorystyczne uwagi mówców, a dyskusyi nadawało lekko żartobliwy charakter.

Gdyby powyżéj przytoczone okoliczności nie wyjaśniły dostatecznie rezultatu dyskusyi, sam skład parlamentu pozwalałby go do pewnego stopnia przewidywać. Najliczniejszém stronnictwem, jak wiadomo, jest obecnie centrum; głos jego decyduje też zwykle o losach ustaw

proponowanych. Centrum wzięło w rękę sprawę kodeksu cywilnego, dostarczyło największéj liczby członków komisyi nad nim obradującéj, ze swego łona wybrało prezydenta téjże komisyi, a nakoniec postarało się przy ostatecznéj dyskusyi *in pleno*, o komplet posłów wystarczający do prawomocnego stanowienia uchwały. Niemcy stronnictwu temu przedewszystkiém zawdzięczają, iż ważna ta praca ustawodawcza już w tegoroczné́j kadencyi załatwioną została. Ponieważ jednak centrum samo przez się większości w parlamencie nie stanowi, było więc ono zmuszone do poczynienia pewnych ustępstw, a ich kosztem okupiło możność nadania całemu kodeksowi jaknajbardziéj konserwatywnego i zgodnego z wyznaniowém swém stanowiskiem charakteru. Sojusz z konserwatystami opłaciło udzieleniem poparcia w „ważnéj" sprawie zajęczéj, aprobatę zaś stronnictw rządowych, rezygnując ze zniesienia ślubów cywilnych. Na takim kompromisie zbudowana większość niezachwianie opiérała się wszelkim reformom postępowym i stale odrzucała wszystkie wnioski, dążące do zmiany patryarchalnych, według zasad Pisma św. regulowanych stosunków. Z drugiéj strony jednak zauważyć należy, że stronnictwa postępowe, korzystając z rzadkiego i niespodzianego poparcia stronnictw rządowych, odwzajemniały się partyi katolickiéj, odrzucając również wszelkie poprawki przez nią proponowane, a dążące do cofnięcia prawodawstwa w kierunku średniowiecznym. Dzięki temu, księga praw rodzinnych w trzeciém czytaniu przyjętą została prawie bez zmiany,—w téj formie, w jakiéj przedstawiono ją parlamentowi po przeróbkach komisyi. Ponieważ szerszy ogół o pracach komisyi nie był dokładnie poinformowany, a znał kodeks jedynie w ogólnym zarysie z projektu rządowego i ostatecznych uchwał parlamentarnych, wytworzyły się o nim dość mylne przekonania i dużo błędnych krąży wieści. Obrady w komisyi były z natury rzeczy o wiele gruntowniejsze i bardziéj wyczerpujące, niż w szybkim tempie prowadzona i dość powierzchowna dyskusya parlamentarna. Tam téż najwięcéj dokonano przeróbek i najdokładniéj znaczenie paragrafów wyświetlono.

Przeróbki dotyczyły przeważnie szczegółów, mających niekiedy bardzo doniosłe w życiu prywatém znaczenie, lecz nie zmieniających ogólnego charakteru ustawy. Wzięta jako całość, nie może się ona bynajmniéj do reform postępowych zaliczać, w pewnych względach, np. w części dotyczącéj rozwodów, jest w porównaniu z pruskim landrechtem wprost krokiem wstecznym. Wszystkie drobne ustępstwa, duchowi czasu poczynione, dostały się do niéj prawie przypadkowo, gdyż myślą przewodnią twórców nie było bynajmniéj otwiéranie dla prawodawstwa niemieckiego nowych i szerokich horyzontów. Prawnicy,

którzy projekt rządowy układali, mieli przedewszystkiém na myśli owo narodowe i patryotyczne znaczenie. Pragnęli oni, aby kodeks, był wyrazem ducha niemieckiego, aby się opiérał na tradycyach narodowych, to téż wyłącznie w prawodawstwie niemieckiém szukali wzorów i wskazówek, a na wszelkie przez opozycyę przytoczone przykłady postępowych reform, przeprowadzonych zagranicą, odpowiadali, że to, co jest zgodne z naturą Anglików lub Szwedów, może być wprost niewłaściwém w zastosowaniu do narodu niemieckiego. Zarzut to zresztą zupełnie powierzchowny i więcéj na teoretycznych podstawach, niż na obserwacyi życiowéj oparty. Współczesna cywilizacya ma charakter bardzo kosmopolityczny i niweluje nawet rasowe, a cóż dopiéro narodowe różnice. W każdéj dziedzinie umysłowego i moralnego życia istnieje międzynarodowa łączność i wzajemna wymiana zdobyczy cywilizacyjnych.

Literatura, sztuka, nauka, obyczaje nawet i mody przenoszą się przez naśladownictwo z kraju do kraju, przekraczając zwycięsko kordony graniczne, i właśnie ten ruch międzynarodowy chroni naszą cywilizacyę od chińskiéj skostniałości. Nic dziwnego jednak, że właśnie w roku jubileuszowym cesarstwa niemieckiego umysły, nastrojone na wysoką nutę patryotyczną, bezkrytycznie przyjmowały takie powoływanie się na ducha narodowego i skłonne były uważać te zwroty stylistyczne za ważne argumenty. Nie należy zapominać o jednym dość silnym czynniku, który na redakcyę nowéj ustawy oddziaływał. Ma ona, jak wiadomo, zastąpić kodeksy dotychczas obowiązujące w różnych państwach rzeszy.

Mimo entuzyazmu dla wielkości niemieckiéj, istnieją jednakże w tych poszczególnych kraikach dążności partykularystyczne, drobne rywalizacye, wreszcie pewne przywiązanie do miejscowych zwyczajów i form prawnych. Chcąc dla nowego kodeksu uzyskać przychylne przyjęcie zarówno rządów związkowych, jak i u ludów pod ich panowaniem żyjących, należało uwzględniać sprzeczne kierunki, pojęcia, dążenia, należało budować nową księgę praw na zasadzie wzajemnych ustępstw, co nadało jéj cokolwiek bezbarwny, kompromisowy charakter. Wskutek tego nie jest ona ostatnim, najdoskonalszym wyrazem niemieckich pojęć prawnych, lecz raczéj ich przeciętném określeniem. Usuwa wprawdzie najbardziéj wsteczne zabytki praw i zwyczajów, lecz bynajmniéj nie dorasta do wysokości pojęć postępowych, nowożytnych. Zachowuje ścisły związek z przeszłością przez poszanowanie tradycyi — na obecne czasy może być ze względów praktycznych dogodną, lecz nie trzeba być prorokiem, aby przewidziéć, że w bardzo

krótkim czasie okaże się niewystarczającą i koniecznych reform wymagać będzie.

Słusznie zauważył jeden z mówców parlamentarnych, że prawodawcy budują gmach, pod osłoną którego całe pokolenia chronić się będą; przy budowie zaś każdego gmachu publicznego należy koniecznie uwzględniać spodziewany rozrost, gdyż inaczéj gmach ten stanie się wkrótce niemożliwym do użycia. Uwaga ta przebrzmiała bez echa, i budowa wzniesiona przez reprezentantów narodu niemieckiego dziś ledwie dostateczna, niewątpliwie długo służyć nie będzie mogła. Jeden z posłów wolnomyślnych wypowiedział zdanie, które na pozór paradoksalne, przy bliższém śledzeniu rozpraw nad kodeksem, niezmiernie trafnością uderza: „Zostawiliśmy za dużo wolnego pola prawnikom" powiedział. Możnaby zarzucić, że najwłaściwszą jest rzeczą kwestye prawne specyalistom zostawić,—doświadczenie jednak uczy, że prowadzi to do zbyt teoretycznego traktowania rzeczy. Znawcy starożytnych i współczesnych ksiąg prawnych nie zawsze bywają bystrymi obserwatorami stosunków rzeczywistych, z zamiłowaniem swego zawodu nie łącząc dostatecznego doświadczenia życiowego, często używają subtelnych i zawiłych kombinacyi tam, gdzie prostemi środkami znacznie lepszy skutek możnaby osiągnąć.

Wszystkie wady i usterki kodeksu cywilnego, odbiły się w ujemny sposób na owéj 4-éj księdze, która takie namiętne oburzenie, wśród kobiét wywołała.

Najobszerniejsze rozprawy w kwestyi równouprawnienia wytoczono z okazyi paragrafu, który przyznaje mężowi decyzyę we wszystkich sprawach dotyczących pożycia wspólnego, w szczególności zaś w wyborze miejsca pobytu i mieszkania. Zresztą chwiejne stanowisko ustawodawców zaznaczyło się i przy tym paragrafie wzmianką, iż żona może odmówić mężowi posłuszeństwa, jeżeli jego decyzya jest nadużyciem praw przysługujących mu. Przypuszcza się zatém, że w razie sprzeczności zdań, słuszność może być po stronie żony, uprawnia się ją nawet w pewnych wypadkach do oporu,—ponieważ jednak nie określono co uważać należy za nadużycie, żądaniom jéj nie dano żadnej wyraźnéj, legalnéj podstawy. Jest to, jak trafnie naznaczono w parlamencie, *lex imperfecta*, prawo, które żadnego praktycznego następstwa nie ma i miéć nie może. Jeśli małżeństwo żyje w zgodzie, jest rzeczą obojętną, kto z dwojga swoje projekty i zamiary przeprowadza, a w każdym razie małżonkowie regulują wspólne pożycie bez najmniejszego względu na brzmienie paragrafów. Jeśli się spory między nimi zaostrzają tak że jedynym punktem wyjścia staje się rozstrzygnięcie sądu, wówczas sprawiedliwi sędziowie pod pojęcie nadużycia praw pod-

ciągnąć mogą każdą taką decyzyę męża, która istotne poważne szkody i krzywdy żonie lub dzieciom przynieść może. Rzeczywisty stan rzeczy niby się nie zmienił, gdyby ten paragraf pominięto, lub na jego miejsce zapisano zasadę, że kwestye wspólnego pożycia rozstrzygają oboje za wzajemném porozumieniem, a gdy to jest niemożliwe, sąd bada po któréj stronie jest słuszność. Jeżeli jednak paragraf ten nie posiada żadnéj doniosłości praktycznéj — miał on dla wszystkich stronnictw znaczenie zasadnicze: konserwatystom chodziło o legalne stwierdzenie władzy mężowskiéj, socyalistom o zaznaczenie równouprawnienia kobiéty w rodzinie, wolnomyślni żądali skreślenia paragrafu, gdyż domowe stosunki małżonków nie mogą i nie powinny być regulowane przez państwo. Projekty socyalistów i wolnomyślnych odrzucono, wskutek tego utrzymało się prawo, na mocy którego mąż rządzić, a żona opór mu stawiać może.

Daleko więcéj doniosłości praktycznéj miał paragraf 1258, który w dosłownem tłomaczeniu przytaczamy: „Jeśli żona wobec osób trzecich zobowiązała się do czynności, którą osobiście spełnić musi, mąż ma prawo umowę unieważnić, bez poprzedniego oznaczenia terminu, wyjąwszy jeśli na nią zezwolił, lub jeśli sąd opiekuńczy na wniosek żony w jego zastępstwie zezwolenia udzielił. Sąd opiekuńczy zastąpić może męża, jeśli choroba lub nieobecność czyni niemożliwém odpowiednie oswiadczenie z jego strony, wreszcie, jeśli odmawiając zezwolenia, dopuszcza się nadużycia praw przysługujących mu.”

Paragraf ten stanowi dla wszystkich mężatek niesłychane utrudnienie pracy zawodowéj. Każda zarobkująca kobiéta przyjmuje zobowiązania, które osobiście wypełnić musi; w spełnianiu ich zależna od każdorazowego kaprysu lub humoru męża, straciłaby zupełnie zaufanie swych pracodawców, a odwoływanie się do sądu opiekuńczego niby w tym razie nie pomogło, gdyż trudno wymagać od osób trzecich, aby potrzebując pracownicy, czekały cierpliwie rozstrzygnięcia procesu małżeńskiego. To też nad ustępem tym w komisyi wywiązała się długa dysputa, w któréj dość oryginalne przytaczano argumenta. Obrońcy paragrafu dowodzili jego konieczności, twierdząc, że w razie odrzucenia go, kobiéta mogłaby wbrew woli męża wstąpić na scenę, co zniszczyłoby nieodwołalnie harmonię domową. Odpowiedziano na to, że wstąpienie męża na scenę również może ujemnie wpłynąć na wspólne pożycie, a jednak prawo nie pozwala żonie unieważnić jego ewentualnéj umowy z dyrekcyą teatralną. Nareszcie po odrzuceniu kilku wniosków dążących do osłonienia żony przed samowolą męża, komisya przyjęła zmianę wychodzącą niewątpliwie na korzyść kobiet. W obecném brzmieniu paragraf 1258 daje mężowi prawo zerwania

umowy żony tylko wtedy, jeśli sąd opiekuńczy do tego go upoważnił; sąd zaś może to uczynić, jeśli czynności żony szkodliwie na stosunki rodzinne wpływają. Ważna różnica polega na tém, że nie żona, lecz mąż musi odwoływać się do decyzyi sądu, chcąc ze swego prawa użytek zrobić.

Drugą dłuższą dyskusyę wywołały prawa dotyczące stosunku majątkowego małżonków.

Jest to jeden z najsłabszych ustępów kodeksu, i w nim najwięcéj może się odbiło niejasne i chwiejne stanowisko ustawodawców. Sprawiedliwość przyznać nakazuje, że usiłowali oni ile możności zabezpieczyć majątek żony przed samowolą męża. Ponieważ jednak w duchu dawnéj tradycyi przewagę mężowską utrzymać pragnęli, ponieważ materyalna niezależność mężatki wydawała im się zbyt niebezpieczną nowością i jakoby pokrzywdzeniem powagi i władzy mężczyzny, uciekli się do tysiaca wybiegów i półśrodków, które niezmiernie sprawę wikłają, których użycie w ważnych wypadkach staje się niepraktycznėm i bezcelowém, a zbytecznėm zupełnie tam, gdzie kobieta przezorna i praw swych świadoma zawczasu postara się wolność swą zabezpieczyć.

Wniosek barona Stumma o wprowadzenie zupełnego rozdziału majątkowego jako normy prawnéj, mimo gorącéj obrony stronnictwa rządowego i partyi wolnomyślnych, odrzucono. Niemniéj jednak taki rozdział majątkowy staje się według nowego prawa możliwym, o ile kobiéta w przedślubnéj umowie o niego się postara, wolno bowiem ludziom wstępującym w związki małżeńskie regulować wzajemne stosunki majątkowe na kilka sposobów. Zupełną niezależność zagwarantować sobie może żona, wykluczając przedślubnym kontraktem t. zw. wspólność zarządu i używalności. Wówczas następuje zupełny rozdział majątkowy i każde z małżonków samodzielnie swemi interesami zarządza. Jeśli przed ślubem żadna umowa zawartą nie została, znajduje zastosowanie norma prawna t. j. tak zwana wspólność zarządu. Owa wspólność polega na tém, że wszystko, co żona posiada, staje się majątkiem wniesionym i przechodzi pod zarząd i w używalność męża. I przy tym systemie jednak pozostawiono kobiecie maleńką furtkę do niezależności materyalnéj, wyróżniając od wniesionego t. zw. wyłączony majątek. Do wyłączonego majątku, niepodlegającego zarządowi męża, należy: 1) to co żona własną pracą lub samodzielnie prowadzoném przedsiębiorstwem zarobi; 2) co w kontrakcie małżeńskim jako wyłączony majątek oznaczono; 3) to co żonie testamentem lub darowizną przekazane zostało z zastrzeżeniem, iż ma stanowić jéj wyłączony majątek. Prawo mężowskiego zarządu nie rozciąga się również na

przedmioty do użytku osobistego przeznaczone, mianowicie ubranie, klejnoty, narzędzia pracy. Rozdzielanie majątku wniesionego i wyłączonego wprowadza nie małą gmatwaninę do tego ustępu kodeksu, i dziś już sprawia, że niektóre jego paragrafy mylnemu tłomaczeniu podlegają. Tak np. rozeszła się wieść, że przysługuje mężowi prawo zarządzania osobistym zarobkiem żony. Powód do tego mniemania dało zdanie zamieszczone w paragrafie 1346: „Zum eingebrachten Gute gehört auch das Vermögen, das die Frau während der Ehe erwirbt" (wniesionym majątkiem jest i taki, który żona w czasie pożycia małżeńskiego zarobi). Z powyżéj jednak przytoczonego określenia wynika, że wyraz „erwirbt" nie jest użyty tutaj w sensie osobistego zarobku, lecz raczéj zysku, wskutek czego pod zarząd męża dostać się może majątek przez żonę w spadku otrzymany, zdobyty wskutek pomyślnie przeprowadzonego procesu, zysk wynikający z podniesienia się ceny ziemi lub papierów publicznych, słowem wszystko, czém się żona zbogacić może, wyjąwszy tego, co własnéj, samodzielnéj pracy zawdzięcza.

System wspólności zarządu sam przez się już wymaga dość zawiłych kombinacyi. Są interesa, do których mąż potrzebuje zezwolenia żony, luż żona zezwolenia męża,—inne, w których każde samodzielnie rozporządzać może. Koszta zarządu w pewnych razach pokrywać ma mąż z własnéj kieszeni, w innych obciążają one majątek wniesiony. Znajdują się np. ścisłe określenia, w jaki sposób mąż ma zużytkowywać gotówkę do majątku żony należącą, w jaki sposób przyjmuje odpowiedzialność za przedmioty zużyte i zniszczone i t. p. Wszystkie te drobiazgowe przepisy w praktyce żadnego prawie nie mają znaczenia, jak również nie mają znaczenia prawne środki, które wniesiony majątek przed lekkomyślnością lub marnotrawstwem męża chronić winny. Nawet żądanie zabezpieczenia majątku żony o tyle tylko odpowiada celowi, o ile mąż posiada jakąś nieruchomość, na któréj sumę żony zahypotekować można,—i o ile ostrożność tę przedsięwzięto dość wcześnie, zanim lekkomyślny małżonek zdążył strwonić otrzymany posag. To samo w wyższéj jeszcze mierze odnosi się do prawa, które pozwala żonie wnieść skargę o zniesienie wspólności zarządu. Skarga taka bywa zwykle owocem gorzkiego doświadczenia, które kobiéta znacznemi stratami majątkowemi okupiła. Że zaś one z góry przewidzieć się nie dadzą, trudno im w porę zapobiédz. Wobec rozległego zakresu swobody mężowskiéj, mężczyzna może w jedną noc majątek swéj żony w karty przegrać, zanim właścicielka jego dowié się o tym fakcie.

Przeciwko tak określonym prawom majątkowym podniosła się zarówno w komisyi jak i w parlamencie bardzo poważna opozycya, do któréj, jak wspomniałam, przyłączyło się stronnictwo rządowe z baronem Stummem na czele. Przytaczano wiele ważnych argumentów, powoływano się na stwierdzoną już u znacznéj większości kobiet zdolność do prowadzenia interesów, na wykazaną przez nie ostrożność, oszczędność i zaradność, nie dającą się zaprzeczyć wobec faktu, że znacznie większy procent mężczyzn niż samodzielnych kobiet podlega ruinie majątkowéj. Podnoszono również i stronę moralną kwestyi, dowodząc, że rozdział majątków wpłynąłby poniekąd na zmniejszenie się gonitwy za posagami, na poważniejsze traktowanie związków małżeńskich. Wprawdzie i w tym razie panny majętne niewątpliwie pożądańsze stanowiłyby partye, jednakże korzyści z bogatego ożenku wynikłe tylko takim mężczyznom przypadłyby w udziale, którzy szacunek i zaufanie żony pozyskać i trwale utrzymać umieją. Ta moralna strona proponowanéj ustawy nie trafiała do przekonania większości parlamentarnéj. Dążność do bogacenia się przez małżeństwo, widocznie bardzo zakorzeniona u męzkiéj połowy narodu niemieckiego, zdradziła się niezmiernie naiwnemi uwagami wypowiadanemi w komisyi. Istnieje paragraf, na mocy którego wolno żonie bez zezwolenia męża przyjąć lub odrzucić spadek. Otóż w komisyi stawiano wniosek o skreślenie tego ustępu ze względu na to, że mężowi może być bardzo potrzebnym majątek, którego żona się zrzeka. Nie jest to przecież jedyny w życiu wypadek, w którym człowiekowi cudze piéniądze potrzebnemi być mogą, nikt jednak nie ośmieli się ze względu na własną korzyść, rościć praw do tego, co należy do innych. Ci panowie jednak tak przywykli uważać majątki żon za swą niezaprzeczoną i nienaruszalną własność, że każdy samodzielny krok ze strony istotnych właścicielek wydaje im się po prostu uzurpacyą. Jest to pewnego rodzaju skrzywienie pojęć moralnych, które samo przez się dowodzi jakim anachronizmem w końcu XIX stulecia są dzisiejsze stosunki prawne w małżeństwie.

W obronie wspólności zarządu a przeciw rozdziałowi majątków jako normie prawnéj przytaczano jeden argument, który miał pozorną słuszność za sobą. Twórcy projektu dowodzili, że należy koniecznie zachować solidarność interesów w małżeństwie, że niesprawiedliwością byłoby wkładać na męża ciężar utrzymywania domu, a żonę od wszelkich obowiązków względem rodziny zwalniać. Proponowane przez obrońców równouprawnienia rozkładanie kosztów utrzymania w stosunku do dochodu małżonków, wymagałoby ciągłych obliczeń— jak się wyrażano, aptekarskich rachunków między małżeństwem. Przez

oddanie majątku żony pod zarząd męża, kwestya ta reguluje się w sposób prosty, gdyż dochody z niego w razie potrzeby użyte być mogą na utrzymanie wspólne. Przy bliższém wejrzeniu w sprawę, zarzut ten traci wszelkie znaczenie. Wspólność zarządu pozwala mężowi pokrywać wydatki wyłącznie z majątku żony, a swoje dochody kapitalizować, co przecież bynajmniéj pojęciom sprawiedliwości nie odpowiada. W razie rozdziału majątkowego, zgodne małżeństwa niewątpliwie bez wielkich trudności rachunkowych solidarność interesów oraz równowagę praw i obowiązków zachowaćby zdołały. W razie sporów kwestyę również dość łatwo rozwiązaćby można, zważywszy, że istnieje w Niemczech podatek dochodowy, który do corocznych a p t e k a r s k i c h obliczeń zmusza urzędników skarbowych. Ponieważ przy proponowanym systemie, dochody każdego z małżonków osobno byłyby opodatkowane, wszelkie zawikłania i wątpliwości same przez się upadają.

Cały ten ustęp kodeksu i w komisy i w parlamencie przyjęto bez zmiany, co jest niewątpliwą krzywdą dla znacznéj większości kobiét, nie dość przezornych lub niedostatecznie poinformowanych, by zawczasu niezależność majątkową zabezpieczyć sobie mogły. Krzywda kobiét w bardzo wielu wypadkach staje się krzywdą dzieci, gdyż daleko częściéj zdarza się ojcom, niż matkom, grzeszyć lekkomyślnością i zaniedbywaniem swych względem rodziny obowiązków. Nie dowodzi to zresztą wyższości natury kobiecéj, lecz jest poniekąd wynikiem wychowania i zwyczajów panujących. Instynkt macierzyński ogólnie biorąc, silniejszym bywa, niż instynkt ojcowski, — a i po za tém kobiéta przeważnie przebywając w domu i bliżéj zżyje się ze swemi dziećmi i mniéj ma sposobności do trwonienia piéniędzy na pozadomowe rozrywki. Bez względu na to, że wychowanie dzieci głównie w jéj ręku spoczywa, że jest ono dla niéj najszczytniejszém powołaniem, jak zgodnie twierdzą wszyscy, a zwłaszcza obrońcy starego porządku, władzę rodzicielską wyłącznie piastuje mężczyzna. Tylko wtedy władza rodzicielska przechodzi w ręce matki, jeśli ojciec umrze, lub wskutek nadużycia praw swoich zostanie sądownie ich pozbawiony. Wdowa, wychodząc za mąż powtórnie, traci władzę rodzicielską nad dziećmi,— wdowiec żeniąc się nie traci jéj. Trudno przypuścić, aby obserwacya życiowa dawała powód do mniemania, że w pierwszym wypadku częściéj dzieje się krzywda dzieciom, niż w drugim. Rozwód nie narusza praw rodzicielskich ojca nawet względem tych dzieci, nad któremi opiekę matce powierzono. Ten ostatni ustęp zawiéra jedną z najbardziéj krzywdzących niesprawiedliwości, i pominąwszy prawa kobiéty,

wprost ze względu na wychowanie dzieci szkodliwym okazać się musi. Paragrafy odnośne przeszły bez zmiany, przyznano jednak matce, wykonywającéj władzę rodzicielską, prawo zastępowania dzieci w czynnościach prawnych, czego jéj pierwotny projekt rządowy odmawiał.

Najszerzéj zastosowano zasadę równouprawnienia w rozdziale ważnym wprawdzie, lecz dotykającym mniéj osobistych, mniéj żywotnych interesów kobiét, niż prawa małżeńskie i macierzyńskie. Jako opiekunka małoletnich, kobiéta została zupełnie w prawach swych z mężczyzną zrównana, co jest niewątpliwie ważną i pożyteczną w prawodawstwie nowością. Z chwilą wejścia w życie nowego kodeksu, t. j. od r. 1900, służyć będzie kobiétom prawo obejmowania opieki nad małoletniemi i zasiadania w radach familijnych. Pierwotny projekt rządowy nie szedł w tym względzie tak daleko, poprawkę odnośną uczyniono w komisyi pod wpływem dość charakterystycznych motywów. Uznano, że opieka nad sierotami jest zadaniem zupełnie dla natury kobiéty odpowiedniém, że wyzyskanie energii i zdolności jéj w tym kierunku może stworzyć dla niéj właściwe pole działania i odwrócić ją od „niezdrowych" prądów emancypacyjnych.

Obok téj racyi wypowiedzianéj głośno, świadomi rzeczy mogli nawiasowo dodać następujące wyjaśnienie. Ilość małoletnich, nad którymi potrzeba wyznaczyć opiekę, jest stosunkowo dość wielka, gdyż nietylko siéroty, lecz każde dziecko nieprawe otrzymuje opiekuna. Od przyjęcia opieki wymówić się nie można. Kwalifikacye wymagane nie każdy posiada, dzięki temu pewna kategorya mężczyzn bywa przeciążona obowiązkami względem dzieci, które ich nic a nic nie obchodzą. Chodziło tu więc o podzielenie się z kobiétami ciężarem, który niejednemu zawadza, a w takim razie równouprawnienie jest rzeczą pożądaną i zupełnie na czasie. Mniejsza zresztą o pobudki; mają one na razie znaczenie jedynie psychologiczne. Sam fakt rozszerzenia pola działalności kobiéty w tym kierunku jest i ze względów zasadniczych dużo wart i nie pozbawiony doniosłości praktycznéj. Mieści się w nim pewne uznanie jéj umysłowéj i moralnéj dojrzałości; a z drugiéj strony wątpić nie można, że prawo to szerokie znajdzie zastosowanie i że kobiéty z nowéj dla siebie roli choćby przez dobrze zrozumianą ambicyę będą się starały jaknajlepiéj wywiązać.

W zestawieniu z całością księgi praw rodzinnych, rozdział o opiece stanowi nowy dowód niekonsekwencyi prawodawców. Zajmując podrzędne stanowisko jako żona, jeszcze więcéj upośledzona jako matka — dopiéro w stosunku do cudzych dzieci odzyskuje kobiéta wszystkie prawa i absolutną równość z mężczyzną. Wobec tego nikt

twierdzić nie może, aby ograniczenie praw kobiéty w rodzinie wynikało z jakiéjkolwick rozumowéj zasady, lub miało na celu dobro potomstwa. Jedynym jego zrozumiałym motywem jest obrona interesów i przywilejów mężczyzny, a zatém czynnik zupełnie egoistyczny — choć bardzo naturalny, bardzo ludzki, bardzo pospolity.

I tu znów stwierdza się wypowiedziana przezemnie na wstępie uwaga, że uchwały ciał prawodawczych nie są zwycięstwem idei lub zasad, lecz rezultatem starcia się sprzecznych interesów.

J. Moszczeńska.



Z POEZYI
Pawła Verlaine'a.

Moje zwykłe marzenie.

(Z „Poèmes Saturniens").

Śnię często — przejmująco, dziwnie — o nieznanéj
Kobiécie. Ja ją kocham, i kocha mnie ona.
Nigdy całkiem ta sama, ni całkiem zmieniona,
Kocha mnie, i pojmuje, i goi me rany.

Bo ona mnie pojmuje! Serca mego ściany
Dla niéj jednéj przezrocze, zagadki zasłona
Dla niéj jednéj opada! Gdy skroń ma znużona,
Ona jedna ją chłodzi rosą łzy wylanéj.

Krucze, lniane czy złote są jéj włosy wiotkie,
Nie wiem. Imię? Pamiętam, że dźwięczne i słodkie,
Jak imiona najdroższych wygnańców żywota.

Spojrzenie jéj podobne posągów spojrzeniu,
A głosu dalekiego, cichego pieszczota
Ma dźwięk głosów kochanych, zmilkłych w grobów cieniu.

Rozmowa sentymentalna.

(Z „Fêtes galantes").

W starym parku samotnym, sród wieczornéj mgły,
Dwie postaci przed chwilą wolnym krokiem szły.

Oczy zgasłe, uwiędła krasa ust różowa,
I ledwie dosłyszalne są ciche ich słowa.

W starym parku samotnym, śród wieczornéj mgły,
Dwie mary wskrzeszać chciały dni minionych sny,

— Pamiętasz nasze dawne szałów uniesienia?
— I po cóż chcesz pan u mnie takiego wspomnienia?

— Na me imię czy zawsze serce twoje drgnie?
Czy zawsze duszę moją w snach widujesz? — Nie.

— Ach, niewysłowionego szczęścia złote zorze,
Kiedyśmy usta do ust cisnęli! — Być może.

— O, modrość owych niebios! o, nadziei wzlot!
— Nadzieja pierzchła w bólu za chmur czarnych splot.

Tak szli, gdzie traw zdziczałych łąka legła płowa,
I noc tylko słyszała szeptane ich słowa.

(Z „La bonne chanson").

V.

Zanim, ranna gwiazdo blada,
Z lazurowych zejdziesz łąk,
— W cząbrach stada
Przepiórczane dzwonią wkrąg —

Zwróć ku piewcy, który oczy
Ma miłosnych pełne śnień,
— W nieb roztoczy
Już skowronek wita dzień —

Zwróć spojrzenie, co w jasności
Już się topi rannych zórz;
— O radości
Pośród łanu złotych zbóż! —

Potém myślą zaświéć moją
W dali tam — och! w dali, tak!
— Rosy stoją
W trawy źdźbłach, dyamentow szlak —

W słodkie sny, pieszczące miętko
Drużkę mą, co jeszcze śpi...
— Prędko, prędko,
Bo już oto słońce lśni!

VI.

Biały sierp wązki
Wzeszedł nad bór;
Z każdéj gałązki
Świegotów chór
Płynie gęstwiną...

O, ma dziewczyno!

Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...

Marzeń godzina.

Ogromna, tkliwa
Cichość i mir
Z szafirów spływa,
Z gwiaździstych lir
Słodko się chyli!...

O, czar téj chwili!

XIX.

A więc to będzie w jasny, letni dzień:
Weselne słońce, spólnik méj radości,
Zrobi piękniejszą—w szat białych świetności—
Twą drogą piękność—od prawdy i śnień;

Niebo niebieskie, jak namiot wysoki.
Fałdów przepychem wokół naszych czół
Drgać będzie szczęsnych, lecz przybladłych wpół
Z oczekiwania, z błogości głębokiéj;

I przyjdzie wieczór, wonny oddech róż
Pieścić się będzie, igrać z twym welonem,
A gwiazd orszaki okiem uśmiechnionêm
Pozdrowią szczęsnych — nowożeńców już!

(Z „Romances sans paroles").

Il pleut doucement sur la ville.
A. Rimbaud.

Łzy mżą na dnie serca,
Jak dészcz mży ponad miastem.
Cóż za ból się wwierca
Aż do głębi serca?

O, słodki szelest deszczu
Na ziemi, na dachach!
Dla serca w męki dreszczu —
O, ten miękki śpiew deszczu!

Łzy mżą bez przyczyny
W sercu, które się dręczy.
Co? żadnéj zdrady, winy?
Ten żal — bez przyczyny.

Najgorsza to z żałości,
Gdy się nie wié, dlaczego...
Bez złości, bez miłości,
Serce w takiéj żałości!

(Z „Sagesse").

Nieba widać, przez dachu kąt,
Modrość i ciszę.
Drzewo jakieś, przez dachu kąt,
Liście kołysze.

Dzwonek w niebie, widocznėm stąd,
Dzwoni cichutki,
Ptak na drzewie, widocznėm stąd,
Śpiéwa swe smutki.

Boże, Boże, życie jest tam,
Proste, spokojne.
Ten łagodny pogwar ot tam
To miasto rojne.

Cóżeś zrobił, ty, co, tak sam,
Szlochasz w żałości,
Cóżeś zrobił, ty, co-ś tak sam,
Ze swéj młodości?

Sztuka poetycka.

(Z „Jadis et Naguère").

Gędźby nad wszystko, gędźby w każdéj chwili!
Przeto wiersz raczéj Nieparzysty bierz,
Mglistszy, płynniejszy, rozpuszczasz go, gniesz,
Nic w nim, co cięży lub się nie uchyli.

Pamiętaj także, przy wyborze słów,
Zbyt nie unikać niedbałości pewnéj:
Oh, nic milszego od piosnki rozwiewnéj,
Gdzie się Niepewne z Pewném łączy znów.

To piękne oczy za gazy zasłoną,
To południowy, złoty, drżący pył,
To, gdy jesienny ziemię pomrok skrył,
Błękit z gwiazd jasnych tonią niezgłębioną.

My chcemy tylko odcieniowych smug,
Nie barwy świetnéj, nie, tylko Odcienia!
Oh! mgła odcienia jedyna spromienia
Sny z marzeniami, z fletnią tęskny róg!

Sensów końcowych strzeż się najprzykładniéj,
Nieczystych śmiéchów, złéj Dowcipu gry,
Przez które cieką z ócz Lazuru łzy, —
I wszystkich czosnków tych kuchni czeladniéj!

Kark bez wahania retoryce skręć!
A dobrze zrobisz, w energii rozpędzie,
Gdy przytrzesz Rymom zbyt lśniące krawędzie.
Nie strzeż? — Zobaczysz, gdzie je porwie chęć!

O, któż wypowié wszystkie Rymu grzechy?
Dzieciak ogłuchły, lub negr wściekły snadź
Musiał jarmarczny ten klejnot nam dać,
Co fałszywemi brzmi grzechotek echy!

Gędźby jedynie, zawsze, wszędzie dbaj!
Niech wiersz twój będzie czémś nagłém w przelocie,
Co—czujesz—pierzcha z duszy już w nawrocie
W innych miłości, innych niebios kraj.

Niech wiersz twój będzie szczęśliwą przygodą,
Którą ci wiatru porannego pęd
Przywiał z woniami tymianków i mięt...
Reszta jest tylko literacką modą.

Niemoc.

(Z „Jadis et Naguère").

Jam jest Cesarstwo rzymskie u schyłku konania,
Które, patrząc, jak idą Barbarzyńce białe,
Układa akrostychy wytworne, niedbałe,
Stylem złotym, gdzie niemoc sennych słońc się słania.

Duszy samiutkiéj, mdło aż, w nudzie, co ochłania. -
Zkądciś tam wieści niosą walk olbrzymich chwałę.
O, nie módz, przez tę słabość, przez żądze tak małe,
O, nie chciéć zaznać nieco tego falowania.

O, nie chciéć, o i nie módz umrzéć chociaż nieco!
Wszystko wypite! Ty tam, nie śmiéj się z mych żali!
Wszystko, wszystko wypite! zjedzone! — Cóż daléj?

Tylko garść słabych wierszy, co ot w ogień lecą,
Tylko niewolnik nicpoń, co nie dba o pana,
Tylko ból jakiéjś troski, co źre pierś, nieznana.

Przełożył *Miriam.*



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]

II.

W kilka dni potém na jedną z małych stacyi kolei Wiedeńskiéj wpadł pociąg pośpieszny, wyrzucił z siebie dwóch podróżnych i odsapnąwszy, poleciał daléj.

Podróżnymi byli Krępic i Znamieniecki.

Nie wchodząc wcale do poczekalni, obadwaj z kuferkami w rękach przeszli korytarz i stanęli na cementowych schodach wychodzących na podwórze, a w téjże chwili wąsaty stangret, siedzący na koźle węgierskiego wózka, rozwinął bat nad czwórką szpaków, zajechał z wielką fantazyą przed owe schody i z uśmiéchem widocznego zadowolenia zdjął ceratową czapkę.

Krępic i Znamieniecki zdjęli także swoje, a ten ostatni zawołał:

— Jak się macie, Pipczyński!

— A dobrze, proszę jaśnie... proszę wiel... proszę pana—brzmiała zadowolona odpowiedź.

Znamieniecki parsknął wesołym śmiechem i rzuciwszy: — „coś

[1]) Patrz zeszyt styczniowy „Ateneum“ r. b., str. 10.

wam nie idzie, obywatelu Pipczyński!" — ulokował w wózku najpiérw kuferki, a potém kolegę i siebie.

Konie pomknęły rżąc i wyrzucając głowami i zaraz za stacyą wpadły na wązką, twardą drogę, z któréj dwóch stron ciągnęły się dwa łany żyta, rozkołysanego w słońcu i podobnego to do szarego stepu, to znów do migotliwego oceanu. Młodzi się rozejrzeli, całą piersią wciągnęli nieokréślony, lecz upajający zapach pól, a Znamieniecki, co chwila przesuwając ręką po kłosach, które to się nachylały, to podnosiły i prawie muskały koła węgierskiego wózka, zwrócił się do wąsatego woźnicy.

— Co słychać, Pipczyński?

— A nic—odparł stary, nie odwracając głowy. — Wej nie dali jak wczora, przedaliśma Górki...

Znamieniecki drgnął lekko i dopiéro po pewnéj chwili rzucił nowe pytanie:

— Cóż to, nie urodziło się, czy co?

— Ee! ni. Fur była moc i sypało nikiej mak, ale jak te psie pary żydy się zawzieni i cięgiem dajom nie całe trzy ruble za żyto, a bez mała po śtyry ruble za pszenicę, nikto nie wstrzymo i Miemiec-by zbenkrotował.

Pipczyński podrapał się frasobliwie koło ucha, zaklął na podręczną i nie mogąc się doczekać żadnéj nowéj uwagi ze strony młodego pana, począł ciągnąć daléj sam:

— Bezmała dwadzieścia pięć lat, tośma mieli Karolówkę, Górki i Wygróbkę; potém zamanówszy przybywało—to Leszczyny, to Karniki, to Przyręba, a tero to już wej cięgiem na ocip. Poszła Przyręba, dyabli wzieni Karniki, chłopi Wygróbkę, tero Miemiec Górki i tylo!... Zeby tak z pseprosenięm jasna pani ockła, toby pewnikiem znowuk się... zamerła od żałości.

Stary huknął z bata, zaklął na podręczną, poczém mruczał:

— Psie krwie żydy parchy—wyszczuć psami, abo co?

Znamieniecki nie chwytał już ręką kłosów, tylko siedział zamyślony, Krępic od czasu do czasu na niego spoglądał, a konie tymczasem rwały na wyścigi z wiatrem, minęły wspaniały las dębowy i wydostały się na wzgórze, z którego oko widza mogło objąć przestrzeń znaczną.

Po lewéj stronie drogi, ciągnął się wciąż las dębowy, naprost i po prawéj nieprzejrzane łany i łąki, a z pysznéj zieleni tych łąk spoglądało w niebo olbrzymie, połyskliwe oko—jezioro.

To jezioro leżało jakby w szerokim jarze, na którego przeciwległych, łagodnych stokach, widać było zdala zabudowania, ogrody i białe chaty dwóch dużych folwarków.

Ten z rozległym ogrodem, dochodzącym do samego brzegu jeziora, to Kamionka Olchowiczów — drugi, z błyszczącemi wieżyczkami kościoła i płaskim dachem dworu, to Karolówka, rodzinny majątek Znamienieckich.

Teraz droga zakréśliła wielkie półkole, jakiś czas jeszcze się wiła między łanem żyta i pszenicy, poczém skręciła pod kątem prostym na lewo. Wózek mknął po łagodnéj pochyłości, tuż koło parkanu ogrodów Kamionki, a potém wpadł w jar i posuwał się przez łąki, cicho jak ptak.

Znamieniecki odwrócił głowę, rzucił wzrokiem na gontowy, śpiczasty dach, wyglądający ciekawie z morza zieleni i znów rozpoczął gawędę z Pipczyńskim.

— A cóż tam nowego w Kamionce?—zapytał.

— A nic. Jak pan Rodziewicz zbankrotował, to i tam się tero wylizać nie mogą. Pani Rodziewiczowa przyjechała z dziećmi na lato i panienka ze śkoły tyz.

— Pamiętasz Rodziewiczów? — zwrócił się do Krępica Znamienieckiego.

A Krępic, który przed czterema laty spędził był wakacye w Karolówce, ujrzał teraz przed oczami jak żywych, grubego Olchowicza, szczupłą i suchą panią Olchowiczową, słodką twarz pięknéj panny Maryi Olchowiczówny i wesołą, junacką jéj narzeczonego — Jana Rodziewicza.

— Pamiętam—rzekł—ale nie rozumiem, bo przecież Rodziewicz uchodził za zamożnego.

— Tak, ale tylko uchodził. Ta opinia o wielu obywatelach została jeszcze z czasów, kiedy płacono szesnaście, albo i więcéj rubli za parę. Jak zaczęto brać po ośm, medale poczęły się odwracać z zadziwiającą szybkością.

Umilkł i po małéj chwili ciągnął daléj w zamyśleniu.

— Trochę to jednak dziwne, że oni jakoś nie umieją się przystosować do nowych warunków. Przecież powinna być jakaś rada, aby, jeśli nie dorabiać, to choć utrzymać w rękach to, co mają. No! co prawda mój ojciec trzymał w rękach za dużo, bo miał poprostu pasyę nabywania ziemi... ale, ja właściwie nie znam ani jego rachunku, ani też stanu majątkowego. Nad zmianą warunków zastanowiłem się pierwszy raz dopiéro wtedy, gdy ojciec odwołał mnie z Lipska i miał do mnie długą przemowę, o konieczności posiadania w ręku produk-

cyjnego fachu, na wypadek, gdyby się złe czasy nie poprawiły. Wtedy to mi się wydało trochę dziwne, trochę zabawne, ale jeśli teraz jeszcze sprzedał Górki — hm...

Urwał i zamyślił się głęboko, Krępic wpadł także w zadumę, a wózek, minąwszy jezioro, począł się teraz wspinać na przeciwległe wzgórze, poczém skręcił i wtoczył się w długą aleę kasztanową, na któréj końcu migotały białe ściany i cynkowy dach pałacyku.

Teraz Pipczyński huknął z bata ze wszystkich sił, wielkim kłusem przejechał aleę, okrążył wielki kląb, na którym wieńcem kwitły sztamowe róże i pięły się festony dzikiego wina i pod kolumnami podjazdu osadził konie na miejscu.

Młodzi wyskoczyli, a w téj saméj chwili po białych stopniach ganku zbiegł chłopak w szaréj liberyi, zabrał rzeczy i w chłodnéj sieni zdjąwszy z obu przyjaciół zwierzchnie ubranie, oznajmił, że jaśnie pan jest w gabinecie.

Więc Znamieniecki nacisnął klamkę drzwi prawych i puścił kolegę przed sobą.

W dużym, bezsłonecznym pokoju, o dwóch oknach, zasłoniętych szaremi roletami, przy wielkiém, dębowém biurku, na którém piętrzyły się stosy papiérów i szarych ksiąg rachunkowych, siedział ojciec Zygmunta, Stanisław Znamieniecki.

Na widok młodych ludzi położył pióro, wstał i bez uśmiechu, z jednakim wyrazem na twarzy, podał rękę obudwóm.

Był wysoki i szczupły, włosy miał jasne, gdzieniegdzie przeświecające srebrem i przerzedzone nad czołem, oczy blado-niebieskie, bystre i chłodne, nos rzymskiego patrycyusza i bardzo wąskie usta. Wzbudzał coś w rodzaju poszanowania, czy bojaźni, ale przeważnie szedł od niego chłód.

Krępic się skłonił i uścisnął podaną rękę, Zygmunt poniósł ją do ust i patrzył w oczy ojca z wyrazem, w którym obok zwykłego rozmarzenia, widać było teraz radość.

Ale twarz chłodnego mężczyzny pozostała niewzruszenie spokojną. Zlekka ścisnął palce syna, ustami musnął jego włosy, poczém ruchem ręki wskazując młodym miejsce na szeslongu, który stał wysunięty na środek pokoju, siadł w swoim fotelu i zapytał głosem zadziwiająco dźwięcznym i czystym.

— Podróż musiała was, panowie, zmęczyć, bo zdaje mi się, że dziś jest upał.

— Nie — zaprzeczyli obadwaj, a Krępic dodał — że czas jest bardzo ładny, że oni zatrzymali się w Warszawie dwa dni i że po

takim wypoczynku, dzisiejsza podróż nie mogła ich zmęczyć żadną miarą.

Wtedy, po dość długiém milczeniu, Znamieniecki rzekł:

— W takim razie byliście pewno, panowie, u Rotte'go?

— Byliśmy — odparli równocześnie, szybko się podnosząc, a Zygmunt wyciągnął do ojca rękę i zawołał żywo.

— Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że pamiętałeś nietylko o mnie. Andrzéj był tak przejęty twoją dobrocią...

Ale Znamieniecki nie dał mu skończyć. Wzruszył ramionami obojętnie, utkwił swoje iście stalowe oczy w twarzy Krępica i rzekł wolno.

— Tylko nie poczuwaj się pan do żadnéj wdzięczności, bowiem ja, w każdym interesie, przeważnie, mam własną korzyść na celu. Uważam pana za człowieka praktycznego i trzeźwego, a że dla Zygmunta wpływ takiego towarzysza jest nader pożądany, że pragnę, byście panowie byli razem jak najdłużéj, przeto tylko w tym celu, mówiłem o panu z Rotte'm. Jeżeli kiedykolwiek będzie kto komu dłużny, to prawdopodobnie tylko ja panu.

Młodzi usiedli w milczeniu na dawném miejscu, Znamieniecki zaś, dodawszy jeszcze obojętnie — że panu Krępicowi nie potrzebna protekcya, bo zbyt dobre pozostawił wspomnienie w fabryce — umilkł także i z wielką uwagą począł się przyglądać swoim paznogciom, które miały kształt migdałów i były bardzo starannie oszlifowane.

Zygmunt utkwił oczy w dywanie zaścielającym pokój, Krępic w krajobrazie Klaudyusza Lorrain'a, wiszącym nad biurkiem gospodarza domu, obadwaj doznawali wrażenia, którego najściślejszém określeniem byłby prawdopodobnie wyraz — zimno; i w tym dużym, przyćmionym pokoju, zapanowała teraz cisza tak zupełna, że brzęczenie jedynéj muchy, która się rozbijała rozpaczliwie o szyby okna, stawało się wprost denerwującém.

Gospodarz domu przerwał milczenie pierwszy. Oderwał oczy od swych cienkich palców, zwrócił je w stronę szeslonga i zapytał głosem, jak zwykle, miarowym:

— Czy nie będzie to z méj strony zbyt niedyskretném, jeśli zapytam obu panów o ich najdalsze plany i nadzieje na przyszłość? Wiem, że młodzi, a zwłaszcza też pionierzy pewnych klas, są ambitni, mają zazwyczaj szerokie skrzydła i dążą wysoko. Ja tego nie ganię, chciałbym i w Zygmuncie odkryć podobne dążenia, i dlatego byłbym panu, panie Krępic, bardzo obowiązany, gdybyś zechciał choć częściowo wtajemniczyć mnie w swoje zamiary co do przyszłéj karyery.

Krępic podniósł na pytającego wzrok, w którym wyraźnie się malowało zdziwienie i jakby wahanie i rzekł po krótkiéj chwili namysłu.

— Moje zamiary są bardzo proste i zwyczajne, więc łatwo mi być szczerym. Chcę przedewszystkiém pracować, a o karyerze nie marzę, bo wiem, że ją trudno zrobić.

Znamieniecki zaczął znowu oglądać paznogcie i nagle zwrócił się do syna.

— Czy i ty hołdujesz tym samym ideałom, co pan Krępic? — zapytał, nie patrząc na niego.

A Zygmunt zaczerwienił się, lecz odparł dość stanowczo:

— Tak, ojcze, i mam zamiar nie sprzeniewierzyć się im.

— Taak?—powtórzył Znamieniecki przeciągle, a w tym jednym wyrazie zmieściło się i zdziwienie i coś w rodzaju zawodu i ciekawość, a przedewszystkiém szyderstwo.

W pokoju zapanowała znowu cisza, przykrzejsza teraz niż poprzednio i trwała póty, póki Znamieniecki nie skończywszy nowego przeglądu palców, nie podniósł się, mówiąc:

— Mam nadzieję, że jeszcze pomówimy w tym interesującym przedmiocie, tylko późniéj. Teraz idźcie, panowie, odświéżyć się po podróży i za małe półgodziny przychodźcie na obiad. Porządek u mnie nie zmieniony. Obiad o szóstéj, po za tém proszę nie krępujcie się zupełnie i po pracy odpoczywajcie w taki sposób, jaki wam się wyda najodpowiedniejszym.

Zygmunt i Krępic podnieśli się także i wyszli. W przedsionku, u wejścia na szerokie schody, wiodące na pierwsze piętro, czekała na nich pani Kulasińska, zwana Bonią.

Zobaczywszy młodych, najpierw dygnęła głęboko, poczém, gdy ją Zygmunt za ręce schwycił, z wielkiém uszanowaniem nachyliła się i pocałowała go w ramię.

Zygmunt uczynił to samo, ale rąk jéj nie puszczając, począł teraz z wesołym uśmiechem patrzéć w jéj oczy, wyblakłe i mrugające z zadziwiającą szybkością. Wtedy stara się rozpłakała, wyrwała ręce i objąwszy go za głowę, całowała w oczy, w czoło i we włosy.

A Zygmunt wciąż się uśmiechał i mówił żartobliwie:

— Otóż to! Bonia chciała się już wyprzéć Zygmusia, chciała go przywitać tak samo, jak pana Olchowicza z Kamionki, ładnie—bardzo ładnie Boniu...

Na to Bonia rozpłakała się jeszcze rzęsiściéj i przez łzy poczęła powtarzać, a głos jéj się urywał co chwila.

— Ładny mi Zygmuś... mężczyzna jak się patrzy... wielki pan... wąsy już widzę urosły, a Bonia głową nawet do ramienia nie sięga... tak.

Za każdym powrotem młodego Znamienieckiego, próbowała go witać z szacunkiem należnym przyszłemu dziedzicowi i za każdym razem płakała z rozczulenia, odkrywając w nim nie zmienionego, dawnego Zygmusia.

Teraz oczy fartuchem obtarła i uśmiéchając się do własnych myśli, a sapiąc, poczęła obu młodych prowadzić na górę.

Była to osoba okazałéj tuszy i posiadała poczciwą twarz, o szerokości niezwykłéj. Ongi, jak to twierdziła sama, miała być przystojną i obfitującą w konkurentów, ale za mąż nie wyszła, bo zanadto ceniła swoją godność szlachecką i za bardzo się przywiązała do swéj wychowanki, przy któréj spełniała urząd bony i z którą się nie rozstała nawet wtedy, gdy pan Stanisław Znamieniecki wywiózł młodą żonę z domu rodziców i uczynił panią Karolówki. Matka Zygmunta przywykła uważać swoją dawną wychowawczynię więcéj za przyjaciółkę niż za sługę, a gdy młodéj kobiéty nie stało, Bonia wszystkie tkliwsze uczucia, mieszczące się w jéj szerokiéj piersi, przeniosła na Zygmunta. Do gospodarza domu miała pewne uprzedzenia, a właściwie bała się go, że jednakże okazał jéj wielkie zaufanie i w jéj ręce złożył zarząd całego Karolowieckiego dworu, nie opuszczała go i bez wielkiéj energii, ale z nieposzlakowaną uczciwością, przyjęte obowiązki wypełniała.

W długim korytarzu młodzi minęli drzwi kilkoro, poczém Bonia otworzyła jedne i pierwsza wtoczyła się do dużego, balkonowego pokoju, który drzwiami przysłoniętemi portyerą, łączył się z drugim podobnym. Czysto tu było jak w szklance, na biurku i na stole przed kanapką, stały wielkie bukiety żółtych róż, widocznie rękami Boni ułożone, bo niezbyt zgrabne, zapuszczone rolety powstrzymywały nawałę słoneczną, a gorące półświatło, atmosfera przesycona zapachem kwiatów i miły chłód, czyniły wrażenie przyjemne i wręcz przeciwne temu, jakie się odbiérało w gabinecie gospodarza domu. Bonia obrzuciła oba pokoje badawczym wzrokiem, sprawdziła czy właściwe materace włożono w łóżka i nie znalazłszy nic do poprawienia, rzekła:

— Rozgośćcie się chłopcy i zaraz przychodźcie na obiad, bo niedługo każę podawać.

Poczém wyszła, sapiąc i oddychając ciężko. Zygmunt tymczasem poskoczył do okna, podniósł roletę, a gdy złotawy potok światła zalał ściany, meble i posadzkę, otworzył jeszcze drzwi balkonowe i wybiegł.

Krępic poszedł za nim i ujrzał widok, który już przed cztérema laty zachwycał go, kolegę zaś zawsze rozmarzał.

Jezioro leżało im u nóg, a było tak błękitne i takie ciche, jakgdyby zahypnotyzowane światłem i milczeniem. Na przeciwległym brzegu, Kamionka, cała w zieleni i w blaskach, wygrzéwała się na słońcu i przeglądała w wodzie. Na prawo, świéżo skoszone łąki ciągnęły się aksamitnym szmatem, aż hen, pod stopy dąbrowy; na lewo — błękit i błękit bez końca, pocentkowany gdzieniegdzie srebrem skrzydeł mewy, a nad tém wszystkiém jakaś mgławica nieuchwytna, niedojrzana, ale przemawiająca rozmarzeniem, zadumą i tęsknicą słodką, choć bezdenną.

Zygmunt wyciągnął ramiona, jak gdyby chciał to wszystko przygarnąć do siebie i wchłonąć, a potém je zarzucił nad głową i począł mówić rozmarzonym głosem.

— Nie masz pojęcia, jaka we mnie jest olbrzymia siła kochania! Konserwowano mnie w lodzie, ale wystarczą łzy Boni, albo ot taki szmat jeziora, by wszystko we mnie tajało i rozpływało się w jakąś słodycz, w jakąś tęsknotę, sam nie wiem za czém.

Opuścił ręce, stał tak chwilę i nagle położył dłoń na ramieniu Krępica.

— Słuchaj! — zawołał z żalem i nie odwracając oczu od szyby wodnéj —gdybym teraz nie miał ciebie i Boni, może palnąłbym sobie w łeb... Niech co chce mówi Kubacki, ale idea i miłostki, które jemu wypełniają życie, nie każdemu są w stanie wystarczyć za wszystko. Aby być szczęśliwym, trzeba jeszcze miéć choć jedno ciepłe, ludzkie serce, mniejsza z tém, ojca, siostry, czy żony, byle wiedziéć, że się je posiada, byle w nie wierzyć...

Na to Krępic uścisnął mu rękę silnie i rzekł:

— I ja nie mam ani jednego takiego serca, a jednak mam ochotę żyć i szukać szczęścia. Przytém, bardzo wierzę w tamtych i w ciebie i może dlatego, nie czuję się zupełnie sam.

— Ja także wierzę w ciebie — szepnął Zygmunt, poczém umilkli i nie puszczając rąk, stali tak póty, aż we drzwiach ukazał się służący i cichym głosem poprosił ich na obiad.

Obiady, jak to niedługo zauważył Krępic, były jedyną, niesłoneczną chwilą w Karolówce.

Siedząc na wprost spokojnéj, jakby zakrzepłéj postaci ojca Zygmunta, zdawało mu się zawsze, że zupa jest zamało gorąca. Patrząc na śnieżny obrus, na sztywne kryształy i cicho się snującą służbę, mimowoli zwracał się myślą w przeszłość, do niskiéj matczynéj zagrody, do fajansowego z szafirową obwódką talérza, do różowego barszczu, któremu podobnie dobrego nie jadł potém nigdzie i myślał, że szczęście, zamiast się ślizgać po wykwintnych posadzkach, woli się czasem ukryć pod słomianą strzechą, bo tam cieplćj.

Ale po za obiadami przyjaciele nie widywali prawie gospodarza domu. Całemi dniami przesiadywał w gabinecie, samotnie, albo w towarzystwie licznych interesantów i wyjeżdżał często, oni zaś zrzucali wtedy z siebie lodową powłokę, która na nich krzepła pod spojrzeniem jego stalowych oczu, ze śmiechem pożywali we dwóch ranne śniadania i późne wieczerze, przy których zawsze im asystowała Bonia, po całych dniach wygrzéwali się na słońcu, gadali bez przerwy i bez zmęczenia i było im we dwóch dobrze.

Najwięcéj godzin spędzali w parku, w miejscu, gdzie pod staremi świérkami słońce się przedziérało z trudem i kładło na murawę żółte, drgające plamy i gdzie między gałęziami drzew błyskało jezioro.

Oni leżeli w hamakach, patrzyli w skrawki błękitu nieba albo wody, snuli wielkie projekty, marzyli głośno i nierzadko sprzeczali się zawzięcie. Za zobopólną zgodą nie czytali nic, ale po kilku dniach Krępic silniejszy fizycznie, uczuł, że ten bezmyślny wypoczynek, zaczyna go nudzić i nużyć. Więc począł rzucać różne projekty, mające służyć do racyonalniejszego zabicia czasu, ale natrafił na silny opór Zygmunta.

— Daj mi pokój—mówił tenże — nie jestem jeszcze zdolny do niczego i sama myśl o jakimkolwiek wysiłku myślowym, czy fizycznym, przeraża mnie.

Krępic przestał rzucać projekty, ale za to nie mogąc już sypiać tak długo, jak Zygmunt, począł wstawać wcześniéj i zaglądać coraz częściéj do biblioteki Karolowieckiéj.

Ta biblioteka — to był duży, o trzech oknach pokój, położony obok wielkiego parterowego salonu i sali bilardowéj. Obicia w nim były ciemne, szafy i stoły dębowe, duże i ciężkie, meble bardzo stare, pokryte bronzową, złoconą skórą. Czystość tu była wielka, ale chłód jeszcze większy, niż w całym Karolowieckim dworze. Krępic przed cztérema laty zapoznał się był bliżéj z tym pokojem i teraz strzeliła

mu nagle myśl uporządkowania biblioteki i pokatalogowania książek. Zwierzył się ze swoim zamiarem koledze, ale Zygmunt wzruszył ramionami i rzekł:

— Ojca się o to spytaj, bo jak widzisz, ja tu jestem prawie takim samym gościem, jak ty.

Więc Krępic podniósł swój projekt podczas obiadu i sankcyą najwyższą uzyskał nader łatwo.

— Jeżeli pan nie masz nic lepszego do roboty — mówił Znamieniecki—proszę, rób pan, co ci się tylko podoba.

A po chwili dodał:

— Tam nawet powinny gdzieś być dawne katalogi, ale wątpię, aby się teraz na co przydały. Kiedyś, już dawno, wychodząc z zasady, że książki są do czytania, pożyczałem je na wszystkie strony, ale że nikt nie oddawał, zamknąłem w końcu szafy i teraz to wszystko leży bezużyteczne. Przypuszczam, że znajdą się tam wielkie braki.

Mówił dłużéj niż zwykle, co mu się rzadko zdarzało i był zdaje się zadowolony z prośby Krępica, bo miał na wąskich ustach coś, jakby życzliwy uśmiéch.

— Czy pana już znudził wypoczynek? — zapytał jeszcze po krótkiém milczeniu.

— Trochę—odparł Krępic szczerze--jestem zanadto zdrów i silny, by absolutnie nic nie robić, a czytanie jeszcze mnie męczy.

— Zupełnie to rozumiem — zgodził się gospodarz — bo w wieku pana byłem tak samo energicznym i czynnym, ale Zygmunt wdał się ww...., nie we mnie.

Krępic słuchał go trochę ździwiony.

— Zygmunt nie jest energiczny? - powtórzył.

— No, może się źle wyraziłem; czasami on umié być energicznym—nawet zanadto, ale to słomiany ogień, płomień duży, a popiołu potém jeszcze więcéj.

Zygmunt się uśmiéchnął trochę smutnie.

— Nie wiedziałem—rzekł,—że ojciec się stara zbadać moje wewnętrzne ja i że je ocenia tak trafnie.

A Znamieniecki zwrócił na niego oczy, które teraz były trochę mniéj błyszczące i dodał:

— Zresztą nie mam o to do ciebie pretensyi, bo pretensya nie zmieni stanu rzeczy, przytém—nie twoja w tém wina. Umilkł i wpadł w zwykłe zamyślenie, które fałdowało mu gładkie czoło w dwie pionowe zmarszczki, biegnące tuż przy sobie nad wydatnym nosem.

Krępic spędzał teraz całe ranki w bibliotece. Zygmunt niemal przemocą musiał go codziennie odrywać od zakurzonych foliałów, poczém go prowadził na śniadanie i na miłe *farniente* pod świerkami. Dobre to były dnie, pogodne, ciche i właśnie takie, o których późniéj wspomnienie, zamiast zachodzić mgłą, złoci się i ubiéra w uroki nie istniejące nigdy a zawsze świeże.

Ale jednego dnia, biblioteka zrobiła Krępicowi niespodziankę. Zauważył na dnie szafy, wielkie, płaskie pudło, i wyciągnął je z trudem. A gdy zdjął wierzch i sporą ilość arkuszy papieru, pokrywających zawartość pudła, z ciemnego wnętrza, z prześlicznie rzeźbionych w róże i rumiany, dębowych ram, spojrzały na niego rozmarzone oczy Zygmunta, osadzone w twarzy młodéj dziewczyny, idealnie pięknéj. Główka, w wieńcu białych róż na brązowych włosach, z wielkiemi szafirowemi oczami, z ustami wyciętemi na kształt łuku amora, w najmniejszym szczególe przypominała mu kolegę, a pomimo to, była głową anioła. Krępic nie miał pojęcia, by natura była w stanie uwięzić w twarzy ludzkiéj tyle pierwiastku poezyi, marzenia, ideału, jedném słowem zaświatowości.

Patrzył, przecierał obraz ścierką i znów patrzył prawie zamodlony, dziwiąc się potrochu, że anielska twarz dziewczyny nie rozpływa się w mgle, że nie odlatuje z ziemi, do swéj właściwéj dziedziny — w błękity.

— Matka Zygmunta! — pomyślał i nagle stanęła mu przed oczami postać kobiety, którą wyobraził był sobie dawniéj pod wpływem opowiadań pani Olchowiczowéj z Kamionki i różnych wzmianek kolegi.

— To nie była kobieta — mówiła pani Olchowiczowa, — to był żyd w spódnicy. Znamieniecki żył pieniędzmi i skupowaniem ziemi, to prawda, ale ona przeszła nawet jego. Razem z nim siadywała nad regestrami, wiedziała o każdym interesie, lepiéj od geometrów znała pomiary każdego majątku, lepiéj od adwokatów i rejentów przepisy prawne, ujadała się z żydami i z kupcami, a on był dumny z tego i nie robił nic bez niéj, bo przewyższała go sprytem i chciwością.

Ale gdy potém kupili Przyrębę od Bassiniego, karta się odwróciła i pokazały się jeszcze inne rzeczy. Bassini był chłopak ładny, pół włoch, pół polak, więc się pani zakochała i naraz, jak grom spadła wiadomość, że Znamieniecka uciekła od męża za granicę.

Miała dziecko, mąż ją kochał, była bogata, niczego jéj nie brakowało, ale jak kobieta raz przestanie być kobietą i zacznie się wdzie-

rać w prawa mężczyzny, zawsze się w końcu stoczy w błoto. Ona — Olchowiczowa, wiecznie jéj przepowiadała smutny koniec, i — przepowiedziała. Znamieniecka po kilku tygodniach napisała do męża, żeby jéj pozwolił wrócić do dziecka—w głowie takich kobiet, nawet takie rzeczy się mieszczą—jéj się to wydawało możliwem—no! ale Znamieniecki naturalnie nie pozwolił, a ona—zastrzeliła się, prawdopodobnie dla tego, że i tamten ją rzucił.

Tego ostatniego szczegółu pani Olchowiczowa nie była pewna, zwłaszcza iż chodziły wieści, że i Bassini w łeb sobie palnął, ale fakt faktem, że to była kobieta bez serca, bez zasad moralnych i bez religii.

Taki był obraz matki Zygmunta, kréślony przez panią Olchowiczową, która była kobietą dobrą i rzadko mówiła źle o drugich, Krępic więc starał się wyobrazić sobie panią Znamieniecką targującą się z kupcami, piszącą kontrakty, asystującą przy pomiarach ziemi, a tymczasem z rzeźbionych ram patrzyły na niego prześliczne oczy Zygmunta, a idealna główka zdawała się mówić: — jam jest kwiat uczucia, jam jest natchnienie, jam jest ideał, którego nic nie zdoła ściągnąć na ziemię.

Klęczał przed portretem i jak urzeczony wpatrywał się w czyste czoło dziewczyny uwieńczone różami, w to czoło, na które późniéj miała się targnąć samobójcza dłoń zrozpaczonéj kobiety. Zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy, a w tejże chwili wszedł do biblioteki Zygmunt.

Stanął za plecami Krępica, spojrzał i równocześnie schwycił go za ramię, mówiąc zniżonym głosem.

— Czemu ty to wyjąłeś.

A Krępic się podniósł, z wysiłkiem dźwignął ciężki portret, oparł go o ścianę i wskazując Zygmuntowi, rzekł:

— Gdybym był tobą, nie rozstawałbym się z tém ani na chwilę. Ta twarz, gdyby nawet nie była twarzą mojéj matki, dla mnie byłaby wsparciem — bodźcem do wszystkiego, co dobre.

Zygmunt się roześmiał, a ten śmiéch był dziwny.

— Czy ty wiész co mówisz? — zawołał—Kubacki miałby tu jeszcze jeden dowód więcéj, na poparcie swoich twierdzeń o kobietach, więcéj nic.

— To nie prawda! — odparł Krępic z przejęciem. Popatrz ty w te oczy, zupełnie takie jak twoje, spójrz na to czoło i na te niewin-

ne, zupełnie dziecinne usta i pomyśl, że ta kobieta jest, a raczéj była tém, o co ją obwiniają. To jest niemożebne, to jest wprost przeciwne naturze! Ile ona miała lat, gdy wyszła za mąż?

— Siedmnaście, ten portret jest właśnie z tych czasów.

— Siedmnaście... — powtórzył Krępic i znowu utkwił oczy w obrazie—siedmnaście—dziecko—może o gorącém sercu i rozmarzonéj głowie, a przy niéj, twój ojciec Zygmuncie...

Popatrzył na przyjaciela i nagle począł mówić szybko, jakby w gorączce.

— Słuchaj, nie mam prawa poruszać tajemnic twojéj rodziny, nie dotykałem ich nigdy, pomimo, iż wiedziałem więcéj, niż przypuszczałeś, ale nieraz raziły mię twoje słowa, w których może bezwiednie zdradzałeś się z żalem do twojéj matki—mało z żalem, prawie z pogardą. Może ci to nie trafi do przekonania, ale mojém zdaniem, dzieci nie powinny sądzić rodziców, a zwłaszcza matki i tobie byłoby lepiéj gdybyś, zamiast się truć żalem, przebaczył i kochał jéj wspomnienie. Tak myślałem dawniéj, a teraz, gdym zobaczył tę twarz, wprost cię nie pojmuję. Toż ona nie mogła być winna, toż to musiał być anioł, któremu wyskubano pióra ze skrzydeł i kazano żyć—pieniądzem! Powiédz? — czy ty możesz sobie wyobrazić, dwudziestoletnią kobietę, z zamiłowaniem uprawiającą handel i ciułającą grosze? Ja nie — a jeszcze, gdy patrzę na twarz twojéj matki, po sto razy, nie! To musiała być nieszczęśliwa kobieta, to może była ofiara, która w szale, porwana miłością tamtego, spragniona jéj jak kwiat rosy, rzuciła wszystko i o wszystkiém zapomniała. A teraz pomyśl, jak ona musiała ciebie kochać, kiedy się opamiętała tak prędko i miała odwagę napisać list do twego ojca. Toż to było straszne upokorzenie dla kobiety, która umiała się zdobyć na samobójstwo!

Zygmunt stał oparty o poręcz wyzłacanego krzesła, a po jego twarzy, jak światła i cienie, przesuwały się różnorodne wrażenia i myśli. Krępic popatrzył na przyjaciela, jeszcze raz rzucił wzrokiem na twarz jego matki, idealnie dziewiczéj, a jednak podobnéj do syna, jak są do siebie podobne dwie bliźnie krople wody i wyszedł cicho, bardzo wzruszony.

A wieczorem tegoż dnia, Bonia ujrzawszy nad łóżkiem Zygmunta portret swéj dawnéj wychowanki, stanęła jak wryta, poczém tak się rozpłakała, że młodzi nie wiedzieli co z nią robić.

Zygmunt posadził ją na kanapie, dał jéj się napić wody, a potém zaczął ją prosić głosem, któremu trudno było się oprzéć.

— Boniu, powiédz mi co o matce! To poskutkowało odrazu. Bonia wytarła oczy i nos, utkwiła przygasły wzrok w portrecie i nie patrząc na młodych, którzy usiedli obok siebie i oczami zawiśli na jéj ustach, poczęła mówić zupełnie tak, jak gdyby opowiadała bajkę.

— Zabroniła jéj mówić Zygmusiowi o sobie, bo się bała, że ją będzie przeklinał, ale była taka dobra, że płakała nad każdym obdartym dziadem i raz, a miała wtedy z dziesięć lat, zdjęła pantofelki, dała je babie, co przyszła z dzieckiem po prośbie i sama poszła do dworu boso. A potém była taka ładna, że gdy się modliła w kościele, ludzie zamiast na święte obrazy, patrzyli na nią. Tylko była trochę inna niż wszystkie panny. Śmiać, to się śmiała jak dzwonek i tańczyć lubiła okrutnie, ale jak czasem przyszła noc ciepła i na pełni, to nie szła spać, choć ją Bonia prosiła, tylko stawała w oknie, patrzyła na ów księżyc i ciągle gadała do siebie, głośno, a do wiersza.

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni,
Lasy i pola już odarł z zieleni...

Bonia nie pamiętała dobrze, ani tego wiersza, ani tego drugiego, który panienka widać lubiła najwięcéj, bo najczęściéj powtarzała:

Ach! być „paetom“ czy wiész dziewczyno,
Co to „paetom“ być znaczy?

To nawet nie było zupełnie do sensu, ale panienka wyglądała wtenczas zupełnie tak, jakby jéj tylko brakowało skrzydeł i Boni najlepiéj wtedy szło z pacierzami.

A potém przyjechał pan. Był ładny i mówili jeszcze, że mądry i bogaty. Panienka zawsze bladła jak wchodził, przy ślubie to się trzęsła jak osika i wyglądała niby święty opłatek, a starsza pani mówiła, że u państwa tak wypada. Bonia pojechała z rzeczami do Karolówki, a państwo młodzi do ciepłych krajów. Kończył się maj, jak wrócili. Wtenczas w Karolówce było pięknie jak w niebie, tak pięknie, że nawet Boni chciało się czasem płakać, gdy w wieczór wyjrzała przez okno. Kwiatów była wielka moc, a pachniały, że aż dusiło, słowiki śpiéwały jeden przez drugiego i jezioro wyglądało, jakby kto srybra nalał do jaru.

Myślała, że panienka całe noce teraz będzie gadała do księżyca. — Ah, być „paetom” — ale panienka dzień i noc pieściła pana, ciągle siedzieli razem, nic nie widzieli i kochali się jak turkawki.

Potém urodził się Zygmuś, pani długo chorowała, a pan kupował Karniki i ciągle jeździł. Na to jeżdżenie pani się z początku gniéwała,

potém płakała, a jeszcze potém wzięła i dawaj z panem rachować i jeździć, tak już było ciągle.

Bonia wolała to, niż żeby się złościła, albo nie sypiała po nocach z płaczu, ale czasem serce ją bolało, bo takie rzeczy, to przecie nie dla pani. I pani nie było z tém dobrze. Często przychodziła do dziecinnego pokoju, ściskała małego tak mocno, że aż krzyczał, albo razem z nim siadała przy niéj, tuliła się jak kociak i skarżyła jak dziecko— zimno mi Boniu, zimno.

Czasami ją Bonia prosiła, żeby częściéj zaglądała do Zygmusia, ale ona się wtenczas podnosiła, marszczyła brwi i mówiła, — że Zygmusiowi to wszystko jedno, bo Zygmuś jéj nie kocha i nikt jéj nie kocha.

A potém przyszło nieszczęście. Ten antychryst, co ją urzekł, oczy miał jak węgle i jeżeli pan był jako lód, tamten był jako ogień.

Jak i kiedy się to stało, Bonia nie wiedziała. Pani jeździła do Przyręby z panem, albo i sama, ten gałgan także tu przyjeżdżał i przesiadywał, aż gdy pojechali pisać kontrakt, przyszła noc, któréj Bonia nie zapomni nigdy, choćby żyła sto lat.

Pani weszła do dziecinnego pokoju w futrze i w kapeluszu, blada jak nieboszczyk. Uklękła przy dziecku, całowała je tak, że chyba i jednego miejsca nie przyzostawiła, a płakała, a trzęsła się jako liść na wietrze. Nie mogła się oderwać, wstawała i znów wracała, a w końcu ją—Bonię schwyciła za rękę i wyciągnęła do sypialnego pokoju. Tam kazała jéj uklęknąć przed krzyżem i przysiądz, że nie opuści dziecka do śmierci i że mu nigdy nie będzie mówiła o matce. Bonia dopiéro wtedy zrozumiała, że się ma stać jakieś wielkie nieszczęście, więc choć nie wiedziała jakie, u nóg pani się włóczyła i puścić jéj nie chciała.

Ale akurat konie zaszły, pani się wstrzęsła, wyrwała, wyleciała przed dom jak wiatr i tyle ją Bonia widziała.

Pan przyjechał dopiéro w trzy dni. Jak przeczytał list, co pani na biurku zostawiła, podobno stanął jak słup, a z oczu, to mu szedł ogień.

Potém pojechał do Przyręby, ale i tam już nie było nikogo... Bonia zakryła szeroką twarz tłustemi rękami i długo siedziała w milczeniu, którego nie przerywali jéj, ani Krępic, ani Zygmunt, ale po chwili znowu zwróciła oczy na obraz anioła-dziewczyny i mówiła daléj, tylko głosem cichszym i jakby złamanym.

— Żeby choć jéj dał czas na odpokutowanie... toż ten antychryst

z diabelskiém nazwiskiem poprostu ją urzekł — ale u wielkich państwa jest jakiś honor, a pokuty nijakiéj nié ma.

Sama przyniosła panu list z czerwonemi markami, bo poznała, że to od niéj, a choć jéj nogi dygotały od strachu, przy drzwiach stała i czekała, czy się czego nie dowié.

Ale nie dowiedziała się nic. Pan przeczytał, roześmiał się tak, że aż ją mrowie przeszło, długo chodził po pokoju jakby nigdy nic, a potém na nią spojrzał i krzyknął:

— Marsz, do dziecka!

A w dziesięć dni potém przyjechali pańswo Olchowiczowie oboje, u pana siedzieli długo, w pałacu zaś wzięli gadać, że pani się zabiła.

Jako i zastrzeliła się, a w gazetach ponój pisało, że i ten antychryst także.

Pan wziął znowuk jeździć i rachować—jak dawniéj, na dziecko nie chciał patrzéć, jako że było takusieńkie jak matka i wszystko było jak było, tylko już nie stało jéj biednéj, zabitéj na duszy.

Bonia załkała głośno, mówiła jeszcze, że dwa razy do roku zakupuje msze święte i pości co środa, żeby dla niéj choć czyściec wyprosić, w końcu tak się rozszlochała, że wyszła z pokoju, w pośpiechu klapiąc wielkiemi pantoflami.

Przyjaciele zostali sami. Zygmunt siedział zapatrzony w posadzkę, Krępic zaś wstał i począł latać po pokoju, co chwila zatrzymując się przed portretem. Wreszcie stanął przed kolegą.

— Widzisz! gdyby nie głupie przesądy, nie wykrzywione pojęcia honoru i oschłość serca, ta biédna, krucha istota, byłaby dziś może zacną i nawet szczęśliwą kobietą. Twój ojciec miałby w sobie więcéj ciepła, a ty, nie byłbyś bez matki!

Lecz Zygmunt nic mu na to nie odpowiedział. Siedział bez ruchu, bez słowa, rozebrał się i położył spać i przez parę dni chodził jak senny.

Krępic, pomimo pozornéj szorstkości, czuł głęboko i czasami umiał się zdobyć na subtelność uczuć prawie kobiécą. Teraz mu się nie narzucał, czekał i dopiéro po paru dniach rzekł:

— Słuchaj Zygmuncie, pogoda jest ciągle wspaniala, a my prawie z niéj nie korzystamy. Nie masz pojęcia, jak mię dziś ciągnie jezioro... popłyńmy do Górek.

— A popłyńmy—odparł Zygmunt apatycznie, poczém poszli do parku i w parę minut już się kołysali na wodzie.

W powietrzu unosiła się senność, niebo było raczéj szare niż błękitne — jakby spłowiałe od żaru słońca, woda pod uderzeniami wioseł przelewała się jak płynna masa szafiru o postrzępionych rąbkach ze śniegu i srebra, a młodzi wiosłowali zawzięcie, lecz w milczeniu.

Nagle Zygmunt puścił wiosło, rozejrzał się, odetchnął i rzekł:

— Żyjemy jak we śnie, to jezioro jest także jak sen, a mnie teraz przydałby się na głowę zimny prysznic...

Zadumane oczy utkwił w przeciwległym brzegu i nagle rzucił.

— Jedźmy do Kamionki!

— Czy to ma być prysznic? — uśmiechnął się Krępic.

— Nie, ale przecież jakieś życie, ruch, jedném słowem zmiana... Ta Karolówka to coś zupełnie oderwanego od świata, można w niéj zostać poetą, albo waryatem...

Począł wiosłować z podwojoną energią, a w kwadrans potém przybili do przeciwległego brzegu w tém miejscu, gdzie w ogrodzie Kamionki jest grabowa altana. W piasku nadbrzeżnym bawiło się dwoje dzieci, trzechletni chłopiec i dwuletnia dziewczynka, w altanie zaś były trzy kobiety, młode, lecz różnego wieku.

Gdy Krępic i Znamieniecki wyskoczyli z łodzi, dzieci poczęły klaskać w ręce, kobiety zerwały się z darniowéj ławeczki, a najstarsza, z ujmującym wyrazem ust, delikatną twarzyczką i ciemnémi włosami, uśmiechała się do nich wołając.

— Śliczni, uprzejmi sąsiedzi! Podobno już od trzech tygodni siedzi się w Karolówce, a do Kamionki zupełnie jak za morze...

— Za morze, jak za morze kuzyneczko, ale za jezioro! — odparł jéj równie wesoło Zygmunt i poniósł do ust rączkę pani Bodziewiczowéj, poczém obrzucił wzrokiem jéj towarzyszki.

Jedna z nich, panienka z krótkiemi włosami, które w czarnych pierścieniach spadały na ramiona i tworzyły ramę do główki o nosku wschodnim, czarnych oczach i bardzo pąsowych ustach, wyglądała jak cyganka i ciekawie patrzyła na nowoprzybyłych. Druga, jeszcze dziewczynka, może lat trzynastu, a może piętnastu, biała, przezroczysta, miała piwne oczy, niezwykle duże, włosy jak len a na twarzy apatyę, właściwą dzieciom chorym na bezkrwistość i skrofuły. Zygmunt i Krępic przywitali dziewczynkę, a gdy potém obadwaj skłonili się przed panienką, podobną do cyganki, pani Bodziewiczowa wybuchnęła wesołym śmiechem.

— Jakto — wołała — pan jéj nie poznaje, panie Zygmuncie? Maniusi Sławskiéj pan nie poznał?

Z twarzy Zygmunta znikł wyraz okraszony niepewnym uśmiechem, który sili się mówić — ależ wiem, poznaję, a właściwie nic nie wié i nic nie poznaje. Widocznie uradowany wyciągnął teraz rękę do panny Maniusi i mówił:

— Przepraszam, rzeczywiście nie przypuszczałem... Nie trzeba widocznie nigdy zapominać, że młode panienki są jak poczwarki, w których siedzi przyszły motyl.

— Co znaczy, że byłam poczwarką... śliczny kompliment, — roześmiała się panna Sławska.

— To tylko szczerość, tém przyjemniejsza, że teraz można mówić tylko o motylu. Ale pani pozwoli, że jéj przedstawię mego kolegę i przyjaciela. Andrzéj Krępic.

Panienka wyciągnęła rękę do uścisku, potém całe towarzystwo opuściło altanę i skierowało się ku domowi, do którego wiodła bardzo stara, grabowa aleja. Ta aleja była tak szeroka, że wszyscy mogli zupełnie swobodnie postępować obok siebie w szeregu, ciągnęła się wokoło całego ogrodu i kończyła tuż przed werendą salonu.

Zygmunt postępował obok panny Sławskiéj i pytał:

— Czy pani już dawno bawi w Kamionce? Czy rodzice są także?

A ona patrzyła na niego uśmiéchniętemi oczami, opowiadała — że przyjechali wszyscy, ale tylko na parę dni, że są w przejeździe, że lato spędzą w Ischl'u i że ponieważ ona w tym roku dorosła, więc rodzice obiecali jéj pokazać Paryż i Wenecyę. Śmiała się przytém jak rozbawione dziecko i co chwila błyskała na niego czarnemi oczyma.

Tymczasem pani Bodziewiczowa mówiła do Krępica, że jéj bardzo żal męża, który nigdy nie może razem z niemi odpocząć na wsi i jest strasznie zapracowany i wypytywała go o egzamina, oraz o sposób w jaki obadwaj przepędzają czas w Karolówce.

Blada dziewczynka zaś postępowała tuż obok siostry, patrzyła wprost przed siebie i nie odzywała się wcale, a gdy przez oszklone drzwi wszyscy weszli do salonu, umeblowanego trochę po staroświecku natychmiast znikła.

Lecz salon nie był pusty. Obok jednego z weneckich okien stał stolik do kart, a przy nim siedziało dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

— Jak ty nędznie grasz! — wołał właśnie wysoki, tęgi pan w szarym kitlu, do szczupłéj, jakby zasuszonéj blondynki, w ciemnéj perkalowéj sukni.

— Ale skądże! — broniła się pani Olchowiczowa — przecież leży—bez jednéj.

A pan Łamkowski, ojczym panny Maniusi zanosił się od śmiechu i wołał:

— Bez dwóch byłbym, bez dwóch kuzynko! Dziękuję ci i proszę o częściéj.

— Eh! po co bez dwóch... dla mnie i bez jednéj dosyć,—zaczęła pani Olchowiczowa i urwała zobaczywszy we drzwiach gości.

Zaraz téż podnieśli się wszyscy. Gospodyni pocałowała Zygmunta w głowę i bardzo serdecznie powitała Krępica, a gospodarz wycałował obydwóch i począł mówić ogromnie głośno.

— Wyobraźcie sobie, wychodzi pod drugą rękę w najmocniejszy kolor i obrabia senatorowi króla. Przecie gracie w preferansa?

— Nie gramy — odparł Zygmunt, który właśnie przedstawiał państwu Łamkowskim Krępica.

— Co? ani be?

— Ani be.

— Aha! nauczyliście się w winta, ba! postępowcy! Ale my tu jeszcze na partykularzu uprawiamy prefka i wiścika.

Pan Łamkowski zaś wyprostował swoją szczupłą figurkę, poprawił na palcu pierścionek z wielkim brylantem i gładząc ręką siwe faworyty rzekł:

— Daj im pokój, oni świat przerabiają, a ty im każesz grać w winta. Jakże? Dyplomy przywieźliśmy, teraz odpoczywamy, a potém co?

— A potém będą robili miliony!— przerwał mu Olchowicz i westchnął. — Bodaj to być młodym i w dodatku inżynierem, dyrektorem, albo administratorem paru fabryczek! Takiemu nic nie doje, ani deszcz, ani susza, ani ceny, ani serwituty — pan całą gębą i kwita!

Zygmunt na to odparł z powagą.

— Daj Boże, żebyś pan to wymówił w szczęśliwą godzinę. Jak tylko zostaniemy administratorami paru fabryczek, zaraz tu gdzie w sąsiedztwie kupimy sobie włości i razem będziemy narzekali na ceny, na żydów i na serwituty.

Olchowicz popatrzył na niego ze ździwieniem, które jego wypukłe oczy jeszcze wypuklejszemi uczyniło.

— Jakto, co, kpisz, czy o drogę pytasz? Kapitały topiłbyś w ziemi, waryacie?

— Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek zrobił kapitały, gdyby jednak—w ziemi jest dużo do roboty.

— To pocóż u dyabła ta nauka i wydatki? — wybuchnął Olchowicz. Trzeba było odrazu z ojcem siedziéć i gospodarować!

— Mój ojciec jeszcze nie chce pomocy, więc ja tymczasem popróbuję sił na innem polu.

Ale Olchowicz wziął go pod ramię i zbliżywszy się razem z nim do Łamkowskiego, począł mówić zniżonym głosem.

— Właśnieśmy tu mówili z senatorem, że twój ojciec jest zwaryowany maniak, wiész? Nikt w takich krytycznych czasach nie spekuluje ziemią, a on znów sprzedał Górki i podobno kupuje dwa folwarki od Stobickiego, które chce parcelować. Waryat! ja ci to mówię. Jeśli masz rozum, pieniądz rób, ale z nim od ziemi daleko, rozumiész?

Zygmunt pokręcił głową.

— To będzie trudno,—rzekł—bo przecież choć przy Karolówce i Leszczynach chyba zostanę.

— Phi... niewiadomo,—skrzywił się Olchowicz—Karolówka ładny kawał ziemi i lasu, trzysta lat w ręku Znamienieckich, ale... jabym się w takie romanse nie bawił. Póki jeszcze czas sprzedałbym wszystko i postawiłbym fabrykę, rozumiész? Jak postęp, to niech będzie postęp i kwita.

Na to Łamkowski się uśmiéchnął.

— Tak się to mówi, jakby przyszło co do czego, Kamionki byś nie sprzedał.

— Co, nie sprzedałbym? Proponowałem Znamienieckiemu, ale jemu teraz parcelacya w głowie, chłopi by mi graby wycięli, a przecie nie dla nich ojciec sadził. Słuchaj, daj mi ty dwa tysiące rubli za włókę, a jutro Kamionka będzie twoja. Mam już tego wszystkiego po sam nos—i żydów i tej pszenicy po cztery ruble i serwitutów, a najwięcéj tych kochanych chłopków, co to podobno w powieściach ładnie gadają, ale z kłonicą w garści nie, o, nie!

Łamkowski, który mieszkał w Warszawie, umieszczał swoje kapitały na domach i sam miał ich dwa, tylko wzruszył ramionami, więc Olchowicz znowu się zwrócił do Zygmunta.

— Twój ojciec w tém jednem rozum pokazał, że cię na fachowca wykierował, a ty się tego trzymaj i na ziemię pluj.

Poczém go za ramię ujął i zniżywszy głos zapytał.

— Czy prawda, że Rotte zakłada w Moskwie, czy też w Odesie filię swojéj fabryki i ciebie z Krępicem wysyła na reprezentantów?

Znamieniecki parsknął śmiéchem.

— Ładnieby wyglądał, gdyby go tam reprezentowali tacy studenci jak my,—rzekł i po chwili dodał seryo.

— My zresztą mamy zamiar pracować w kraju.

A Łamkowski na to pogładził faworyty i kiwnął głową.

— Masz racyą, ja także miałem dawniéj myśl wynieść się za granicę, ale potém przyszedłem do przekonania że i tu można wiele zrobić.

— No i cóż ty robisz? — zapytał Olchowicz bardzo ździwiony, wiedział bowiem, że jego kuzyn prowadzi w Warszawie dom otwarty, że co dzień chodzi do Stempkowskiego na kawior i na ćwiartkę porteru, skutkiem czego przezwano go „ćwiartką" i że po za tém niczém więcéj się nie zajmuje.

Lecz senator wydął usta trochę wzgardliwie i zwracając się raczéj do Zygmunta niż do gospodarza domu tak mówił:

— Nie myślcie, żeby arystokracya nie rozumiała, iż antagonizm klas, to gordyjski węzeł. Ona wié o tém, ale wié także, iż go nie należy przecinać. Cięcie pokaleczyłoby wiele palcy, a zgodne rozwiązanie, nikomu nie zrobi krzywdy i, myśmy to zrozumieli.

— Więc? — zapytał Zygmunt bardzo ubawiony, nie tyle namaszczonym tonem senatora ile oczami Olchowicza, który teraz przypominał wołu.

— Więc to jest pole, na którém dzisiejsza arystokracya ma bardzo wiele do roboty i dla którego ja pozostałem w kraju. Moje salony, to teren na którym gromadzą się wszystkie żywioły i ściérają wszystkie zdania. Ja równie uprzejmie witam u siebie adwokata, literata, studenta, jak i księcia, barona i finansistę. Mogą się porozumiewać, a jeśli się nie porozumieją, to już nie będzie moja wina.

-- Wobec tego, tatko musi i pana Znamienieckiego zaprosić na nasze soboty!—zawołała panna Maniusia, która znudziwszy się rozmową pań z Krępicem, stanęła za krzesłem ojczyma i rączkami objęła jego szyję.

— A naturulnie, to się samo przez się rozumié. Pamiętaj o naszych sobotach Zygmuncie i kolegę także przyprowadź. Zobaczysz, nawet tacy burzyciele tronów i ołtarzy jak wy, nie znudzą się u nas, nie mówiąc, że mogą się wiele nauczyć!

A tymczasem pani Olchowiczowa badała Krępica, czy rodzina jego ojca nie pochodzi przypadkiem z Litwy, na co Krępic odparł spokojnie, że nie, bo Krempice na Litwie piszą się przez *m* i są szlachtą, a jego ojciec był chłopem i zwyczajnym Krępicem przez *ę*. Wtedy pani Olchowiczowa się zmieszała i spojrzała na panią Łamkowską, poczém obie zaczęły ukradkiem wodzić oczami po twarzy i całéj postaci młodego inżyniera i jakby się dziwić, skąd chłop doszedł do ta-

kich rysów, takiéj figury i ruchów, w których nie było wprawdzie nic szczególnego, ale które niczém nie raziły w salonie.

A pani Bodziewiczowa cała zarumieniona, tłómaczyła mu, że mama bardzo lubi wyprowadzać rodowody, że zna na palcach genealogię mnóstwa rodzin i że na wsi ludzie jeszcze zachowali trochę starych przyzwyczajeń, które ostatecznie nikomu nie szkodzą.

Krępic wszakże nie był urażony. Trochę go bawiło zakłopotanie pani domu i badawczy wzrok pani Łamkowskiéj, a delikatność uczuć widoczna w rumieńcach i w słowach pani Bodziewiczowéj, nawet go rozrzewniła. Przytém, podobało mu się w Kamionce. Te wszystkie twarze były jakieś cieplejsze, niż twarz Zygmuntowego ojca, od ścian nie wiało takim chłodem, jak w Karolówce. Właśnie zachodziło słońce, weneckie okna zapaliły się czerwonym ogniem, napoiły gorącą barwą spłowiałe obicia ścian i mebli i atmosfera pokoju stała się niewymownie spokojną. Krępic rozmawiał z paniami, a równocześnie wodził wzrokiem po staroświeckich sprzętach i z przyjemnością patrzył, to na charakterystyczną postać Olchowicza, obok delikatnéj Zygmunta, w którego włosach migotało złoto zachodu, to na angielską twarz senatora, obok cygańskiéj buzi jego pasierbicy.

Ale czerwone blaski gasły i uciekały przed zmrokiem, pan Olchowicz począł bardzo głośno skarżyć się na serwituty i przysięgał, że na przyszły rok zasieje przelot, a szelmy chłopy niechaj wtedy pasą na drugoletniém koniczynisku! — wniesiono zapalone lampy, poczém blada dziewczynka ukazała się na progu i oznajmiła podanie kolacyi.

Wszyscy przeszli teraz do jadalnego pokoju i przy wtórze wesołego śmiechu dzieci i panny Maniusi, zabrali się do pożywania kurcząt z sałatą.

Panna Sławska była widocznie usposobienia żywego, mówiła dużo i lubiła, aby się nią zajmowano. Siedząc obok Zygmuta, namawiało go teraz, by im towarzyszył za granicę, a gdy się śmiał ubawiony tym projektem, gniewała się jak dziecko, które nie rozumié, by mu można cośkolwiek odmówić. Łamkowski patrzył na nią prawie z uwielbieniem, a jego żona jakby z prośbą i niepokojem.

Z całego towarzystwa tylko dwie osoby milczały, blada dziewczynka i gospodarz domu.

Pan Olchowicz nałożył sobie na talérz piramidę z kurcząt, z wielką systematycznością ogryzał kostki i nie mieszał się wcale do ogólnéj rozmowy, lecz gdy piramida zamieniła się w stos ruin, otarł usta i dał

dowód, że proces pożywania bynajmniéj nie stoi na drodze procesowi myślenia.

— Tak, tak — rzekł nagle, jakby w odpowiedzi na wątpliwości, które mu w czasie rozprawy z kurczętami mózg przetrawiły—gadajcie co chcecie, ale teraz nie ma jak fach w garści! Znamieniecki w tém jedném rozum pokazał, a i ja zrobiłbym tak samo, gdybym miał syna.

Tu machnął ręką ze zniechęceniem i dodał:

— Tylko... czy to Pan Bóg wié, komu synów dawać? Taki osioł Stobicki ma aż czterech, a wszystko jołop w jołopa, na gospodarzy idą, żeby potém żydom buty pucować.

Na to Zygmunt rzekł:

— Pan za to możesz miéć zięcia fachowca.

— O, to z pewnością. Mam już dość jednego gospodarza, co teraz łapy liże — drugi może być goły, byle miał fach. Prawda Emilciu, ty weźmiesz sobie inżyniera, albo chociaż doktora, co?

Po tych słowach pani Bodziewiczowa się zaczerwieniła i poczęła drżącemi rękami odwiązywać serwetę z szyi swego syna, panna Sławska błysnęła oczami najpierw na Zygmunta, potém na bladą dziewczynkę, ta zaś podniosła oczy na ojca i rzekła spokojnie:

— Dziękuję ci tatku... ja wcale nie wyjdę za mąż.

Powiedziała to wolno i apatycznie, ale nagle rozbłysłe oczy zdradziły, że była podrażnioną. Krępicowi te oczy wydały się teraz niezwykle ładne.

A Olchowicz się roześmiał, ogromnie ubawiony, poczém zapytał:

— A cóż ty, mała, będziesz robiła, sprzedawała rutę, chę?

Panna Emilcia spuściła oczy, usta jéj drżały, ale w końcu podniosła główkę i rzekła dość pewnym głosem:

— Ja będę aktorką.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a najgłośniéj i najserdeczniéj śmiał się Olchowicz.

— Dałbym ja ci... dałbym ja ci... — powtarzał wśród wybuchów dobrego humoru i ociérał łzy, które mu płynęły z oczów gradem.

Tylko Krępic się nie śmiał i z zajęciem obserwował dziewczynkę. Na jéj buzię najpierw buchnęły rumieńce, potém wystąpiła bladość, a w oczach ukazało się kolejno, ździwienie, gniéw i wreszcie dwie wielkie łzy, z któremi panienka się nagle zerwała i uciekła.

— Niedobry pan jesteś!—zawołała wtedy panna Sławska i wybiegła także.

A Olchowicz przeprowadził obie wzrokiem aż do drzwi, poczém rzekł:

— Jakbym tylko ja się śmiał!... i miała się téż czego rozbeczyć... Z temi pensyonarkami nigdy nie można trafić do ładu.

Gospodyni zaś westchnęła i poczęła się żalić do pani Łamkowskiéj na dzisiejsze pokolenie panien, na pensye i wogóle na świat, który był zupełnie inny, gdy one były młode.

— Taki piętnastoletni smarkacz—kończyła — twierdzi teraz, że małżeństwo jest ubliżeniem dla kobiéty. Dorastające panny czytają książki, przy których dawniéj mężatki się rumieniły i wyciągają z nich wnioski, które mnie się zupełnie nie mogą w głowie pomieścić.

Lecz Olchowicz tylko wzruszył ramionami.

— Masz téż czém sobie głowę zawracać! Jak dorośnie, a zjawi się konkurent, pójdzie za mąż i będzie taką samą żoną jak wszystkie.

— Ale musicie ją koniecznie zawieść do Ciechocinka—odezwała się pani Łamkowska. — Usta jéj zgrubiały, nos się robi jakiś niekształtny i skrofuły mogą jéj zupełnie twarz popsuć.

Na to pani Olchowiczowa westchnęła i spojrzała z wymówką na męża, ten zaś trochę spochmurniał, wreszcie wstał i zawołał raźno:

— Dałbym ja jéj, żeby mi była brzydka!

Poczém wszyscy przeszli do salonu, gdzie obie panny wpół się objąwszy chodziły i rozmawiały bardzo żywo. Młodzi zbliżyli się do nich, panna Emilcia zrobiła ruch, jak gdyby chciała uciekać, ale towarzyszka ją przytrzymała.

— Ona nie cierpi mężczyzn — zawołała śmiejąc się do Zygmunta.

— Jakto, wszystkich? — ździwił się Znamieniecki i patrzył na dziewczynkę z komicznym wyrazem przygnębienia. — Co myśmy pani zrobili, panno Emilciu?

— Nic — odparła krótko.

— Więc za cóż pani nienawidzi mnie i biédnego Krępica.

— Wcale panów nie nienawidzę, tylko... nic mnie nie obchodzicie.

— Więc obojętność! Alež to gorsze niż nienawiść.

Nie odpowiedziała mu, tylko odwróciła głowę, a panna Sławska rzekła:

— Ona dowodzi, że mężczyzni są tyrani, że gnębią kobiéty i że kochać trzeba tylko słabych, nie mocnych.

— A pani jak myśli?

— Tak samo.

— Niepodobna! Niech pani zrobi wyjątek dla jednego mężczyzny, tylko dla jednego...—prosił.

— Ani myślę! Pojedzie pan do Ischl'u?

— Aha! już pani zrobiła.

— Wcale nic! Ale pojedzie pan?

— Na przyszły rok.

Sprzeczali się daléj, a tymczasem Krępic postępował obok panny Emilci i dokładał starań, by przemódz jéj uporczywe milczenie. Po części mu się to udało, bo zaczepił o temat pensyi, koleżanek i profesorów.

— A może pan zna i Mejcherta?—pytała dziewczynka już z pewném zajęciem.

— A znam, to mój kolega gimnazyalny. Cóż on paniom wykłada?

Skrzywiła się.

— Wykłada arytmetykę, ale to osioł! — tu zmieniła ton mowy i naśladując potępionego Mejcherta, zaczęła mówić słodko — dostanie pani dziesięć groszy, z jedną trzecią pójdzie pani po bułeczki...

Krępic się roześmiał, panna Emilcia także, a pani Bodziewiczowa przesłała mu zdaleka spojrzenie, w którém chłopak wyczytał wdzięczność.

Gdy młodzi opuścili Kamionkę, była już godzina dwunastu. Pan Łamkowski zapowiedział na jutrzejszy dzień swoją wizytę w Karolówce, a panna Maniusia uczepiona u jego ramienia, rzekła:

— Pozwolę ci tatku, jeżeli nie powrócisz sam.

— Tylko z nimi? A jeśli nie będą chcieli?

— Muszą, bo ja chcę.

Łamkowski się śmiał i ściskał ręce obu przyjaciół.

— Nie macie pojęcia, co to za tyranka!

A w chwilę potém łódź płynęła cicho po jeziorze i ciągnęła za sobą srebrzysty warkocz drgających fal, gwiazdy zapalały w wodzie długie płomyki, księżyc przyglądał się bezmyślnie nocnym urokom, a młodzi wiosłowali w téj ciszy i mieli w duszach także ciszę.

Lecz po chwili Zygmunt przerwał milczenie.

— Wiész, ta mała jest zabawna, Olchowicz ciekawy okaz jako mamut, a ten wuj Łamkowski, to istna małpa zielona. Ani myślałem, że się tak ubawię.

Opowiedział o społecznych zasługach senatora i o węźle gordyjskim, lecz Krępic był nastrojony na ton pobłażliwy.

— Tacy ludzie przynajmniéj nie są szkodliwi — mówił — i, kto wié, czasami mogą nawet zrobić coś dobrego, bo mają serce.

— Gdzieżeś ty je dopatrzył?

— W jego przywiązaniu do panny Sławskiéj.

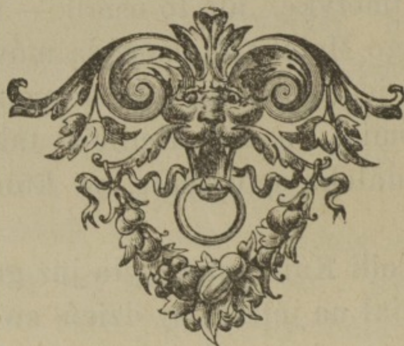
— A ładna, co?

— Tak sobie, dzieciak!

— Phi... flirtować umié.

Znowu zamilkli, Krępic myślał, że panna Emilcia stanowczo dziwnie odbija na tle Kamionki i że pani Bodziewiczowa jest tak cicha i spokojna, jak dzisiejsza noc letnia, a fale pluskały im pod wiosłami i przeléwały się srebrem.

(*D. c. n.*). *Exterus.*



DWA KONGRESY.

Technika drukarska, mimo świetnego rozwoju swego, nie zdołała w świecie naukowym zastąpić konieczności osobistego porozumiewania się. Wynikiem jéj coraz liczniéj mnożące się kongresy, wiece, zjazdy, konferencye i naukowe pogadanki, zapełniające referatami szpalty czasopism, jak to się działo szczególnie podczas tegorocznych wakacyi parlamentarnych w czasie, gdy martwy sezon był u zenitu, a gazety cierpiały na chroniczną jałowość. Zamiast parlamentarnego gadulstwa, wypełniały łamy naukowe rozprawy, jeśli nie zawsze pouczające, w każdym razie jednak zawsze bardziéj rzeczowe i świadczące regularnie o głębszém stosunkowo zrozumieniu odnośnéj sprawy, niż przeciętne rozprawy ciał prawodawczych.

Z téj całéj masy kongresów wybrałem dwa, które po części doniosłością, częścią ciekawym przebiegiem rozpraw zasługują na obszerniejszą wzmiankę i zdolne są wzbudzić zajęcie szerszych kół publiczności.

Omówię je w porządku chronologicznym, t. j. tém bardziéj, że koléj w jakim się odbywały odpowiada pragmatycznemu przedstawieniu ich treści, zależnych wzajemnie w niektórych punktach: najnowszych odkryć. I tak np. dokładne zrozumienie postępu i żądań współczesnéj kryminalistyki wymaga znajomości najnowszych odkryć w dziedzinie psychologii. Omówienie więc przebiegu kongresu psychologii przed kongresem kryminalistycznym, jest w obecnym wypad-

ku dogodném o tyle, że nie wymaga zmiany porządku chronologicznego a przyczynia się równocześnie do lepszego zrozumienia następnie omówionego przedmiotu.

Doniosłe znaczenie kongresów—przedewszystkiém naukowych—objawia się w szybkiém a bezpośredniém porozumieniem się koryfeuszów wiedzy. Wynikiem tego szybkiego „wyładowania energii psychicznéj" jest wielka umysłowa podnieta i silne a zdrowe zapłodnienie umysłu ideami częścią nowemi, częścią wyklarowanemi z wątpliwości, na których pozbycie się trzeba pojedynczemu, samotnemu pracownikowi, ograniczonemu wyłącznie do laboratoryum i książek, nieraz długich lat. Téj zmudnéj pracy kilkulecia dokonywa nieraz jedno zetknięcie się z kolegą-fachowcem na kongresie naukowym. Nic téż dziwnego w zjawisku obserwowaném regularnie na horyzoncie pewnéj dziedziny naukowéj, że po dotyczącym ją kongresie, zwykle poziom jéj się we wszystkich kierunkach podnosi z początku raptownie, potém równomiernie—aż do następnego kongresu, gdzie po rozpatrzeniu poczynionych nowych zdobyczy naukowych, po usunięciu zbytecznych naleciałości i hamujących szybszy ruch wątpliwości—nauka posuwa się znowu szybkim krokiem naprzód.

Jednak zaletą pierwszorzędną kongresów jest pewnik, że popularyzują wiedzę. Działy naukowe, oparte na subtelnych obserwacyach, rachunkach i hypotezach, okazują dopiéro swą prawdziwą siłę żywotną przy zetknięciu z światem codziennym. W tém zmieszaniu teoryi z brutalną praktyką leży demokratyzowanie nauki. Kongresy więc spełniają równocześnie dwie prace: potęgują szybkość postępu pewnego działu nauki i podnoszą intelektualny poziom współczesnego tłumu, żądnego praktycznych wyników badań naukowych. Amerykańska zasada „czas to pieniądz", znajduje zastosowanie tak w życiu praktycznem jak w nauce. Nauka staje się tém samém praktyczną. Scholastyczne dyskusye, spekulacye metafizyczne, ustępują pola dzielnym a szybkim obserwacyom, których wyników tegoczesne społeczeństwo z upragnieniem wyczekuje, by je w konkurencyjnéj walce o byt natychmiast wypróbować i z nich skorzystać. Ta ogniowa próba, któréj każdy nowy pomysł, każdy nowy wynalazek podpada—nadaje właśnie obecnéj nauce owo czerstwe zdrowie i umożliwia tém samém dążność do ulepszeń, do nowych wynalazków, do nowych ulg dla nękanéj, zdenerwowanéj ludzkości.

Na wzmiankę zasługują jeszcze—zanim przystąpię do właściwego omówienia rzeczy—po pierwsze panowanie na kongresach szablonu tradycyjnie przekazanego przez pewną „szkołę"—i po drugie, kolizya rozpraw w sekcyach z rozprawami na walnych zgromadzeniach.

W pierwszym wypadku cześć oddawana przez delegatów kongresowych jakiéjś uświęconéj wielkości naukowéj jest zazwyczaj tak wielka, że brak na kongresach miejsca i sposobności na uznanie nowych teoryi i nowych pomysłów. Czynność kongresu ogranicza się zwykle do dokładnego przetrawienia rzeczy znanych. Nie wynika jednak z tego, aby polemika toczona w materyi zupełnie nowéj, jak się to np. działo obecnie na kongresie kryminalistycznym, nie podziałała zapładniająco na glebę naukową i nie wpłynęła na przebieg przyszłych kongresów.

Co do drugiego wypadku—z sekcyami—sprawa przedstawia się tak, iż tyle ich zwykle jest, i tyle w każdéj omawianych bywa najróżnorodniejszych tematów, iż nawet marzyć nie można o spełnieniu pracy umysłowéj koniecznéj do powierzchownego przejęcia całego zadania kongresu. Praca ta zresztą o ile jest niemożliwa, o tyle jest zbyteczna: nauka współczesna wykazała złudę dążeń do t. zw. wszechstronności. Tegoczesny uczony wié o tém najdokładniéj, że najwyższy szczebel nauki, możliwy do osiągnięcia, jest dokładna specyalizacya w pewnym ściśle ograniczonym kierunku. Rozprawy w sekcyach mają mu właśnie tę pracę ułatwić. Rozprawy zaś na walnych zgromadzeniach mają częściowo zapobiedz niebezpieczeństwu, grożącemu każdemu specyaliście: zasklepienia się w zbyt ograniczonym zakresie naukowego fachu,—a częścią przyczynia się do wyświetlenia pewnych spraw natury ogólnéj, przez omawianie ich z rozmaitych punktów widzenia, zajmowanych właśnie przez specyalistów.

Nie można zresztą zaprzeczyć, iż przeciętna organizacya kongresów pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Technika przeprowadzania obrad tak, aby wycisnąć z nich wszelką dającą się osiągnąć korzyść dla uczestników kongresu,—nie jest jeszcze wydoskonalona. Przyczyna jednak nie leży w zacofaniu lub zastoju, lecz w zbytniéj młodości kongresów naukowych wogole, a zwłaszcza kongresów naukowych tak skombinowanych i tak zróżniczkowanych, jak to się dzieje w czasach najnowszych.

Bądź co bądź, mimo wszelkie braki i słuszne zarzuty, nigdy nie stała nauka tak wysoko jak obecnie—i nigdy, dzięki kongresom, nie widniała jéj przyszłość tak piękna, jak za naszych czasów.

I. Kongres psychologiczny.

Został otwarty w Monachium dnia 4 sierpnia w wielkiéj auli królewskiego uniwersytetu przy współudziale czterystu zapisanych ucze-

stników i mnóstwa publiczności płci obojéj. Jeśli się zważy, iż przed czterema laty wątpiono wogóle o możliwości przyprowadzenia do skutku kongresu psychologicznego, można dopiéro ocenić jego doniosłość, sądząc po silném zainteresowaniu się nim całego cywilizowanego świata, reprezentowanego przez uczonych różnych narodowości i języków. Poprzednie dwa kongresy odbyte w Londynie i Paryżu były wprawdzie licznie zwiedzone, nie podobna ich jednak porównać z obecnym.

Kongres ten jest międzynarodowym w ścisłém tego słowa znaczeniu. Z Ameryki przybyli: Stanley, Petersen, Titchener i t. d. Z Anglii spora liczba, w któréj odznaczają się przedewszystkiém Bramwell i Myers. Z Francyi przybyli Richet, Janet, Courtier, Bérillon, Bernheim. Z Austryi Exner, Ehrenfels, były profesor filozofii Brentano. Z państwa rosyjskiego Dawid, Tokarski, von Tschisch (Dorpat), Mendelsohn i t. d.

Wobec ogromnego nawału materyałów, należało przeprowadzić odpowiednią organizacyę. Uchwalił więc komitet centralny stworzenie pięciu niezawisłych sekcyi, odpowiadających pięciu rodzajom nadesłanych wykładów,—i na posiedzeniach tych sekcyi miał być obrobiony materyał, przekraczający ramy walnych zgromadzeń. Nadesłanych tematów było 170. Z tego uchwalono omówić na walnych zebraniach 12, reszta przeszła do odpowiednich sekcyi. Pierwsza z nich obejmowała przedmiot dotyczący anatomii i fizyologii mózgu, fizyologii i psychologii zmysłów—i psychofizyologii; druga obejmowała psychologią normalnéj indywidualności; trzecia psychopatologią i psychologię kryminalistyczną; czwarta psychologię snu i śnienia, a nadto zjawisk hypnotycznych i im pokrewnych; wreszcie piąta sekcya obejmowała wszystkie zjawiska z dziedziny psychologii porównawczéj i pedagogicznéj.

Ponieważ kongres miał trwać dni cztery, — trzy zostały przeznaczone na walne zgromadzenia,—jeden na sekcyjne.

Na każde posiedzenie sekcyi obliczył komitet sześć do ośmiu wykładów. Każdy z nich nie może trwać dłużéj w sekcyi nad 20 minut; na walném zgromadzeniu najwyżéj pół godziny. Mówcy zabierający głos w dyskusyi mają czas ograniczony do pięciu minut. Więcéj jak dwa razy jeden mówca nie może zapisywać się do głosu w téj saméj dyskusyi. Uczeni zgłaszający się z wykładami, mieli polecone przysłać sekretaryatowi kongresowemu streszczenia swych wykładów, nie wynoszące więcéj nad jedną do dwóch stron druku.

Te i inne ograniczenia, mające na celu umożliwienie opanowania ogromnego materyału, osiągły rzeczywiście pożądany skutek. Rozprawy potoczyły się tempem obliczoném, a wobec ścisłego przestrzega-

nia przez uczestników uwag komitetowych, nie zaszedł ani jeden wypadek, mogący wpłynąć niepomyślnie na normalny przebieg rozpraw.

A zachodziło niebezpieczeństwo zawikłania i sporów między komitetem a pewną kategoryą uczestników, mogących się czuć obrażonymi z powodu wystąpienia komisyi kierującéj rozprawami w sekcyach. Tą podobno była czwarta sekcya: hypnotyzerska. Przeszło piąta część wszystkich nadesłanych wykładów odnosiła się — zjawisko charakterystyczne w naszych czasach—do hypnozy i t. p. Wobec szczupłości czasu, komisya zmuszona była postępować w wyborze najodpowiedniejszych wykładów na ten temat bardzo surowo, a podczas obrad sekcyjnych padła bardzo słuszna uwaga, iż zwolennicy „okultyzmu" powinni zwołać swój specyalny kongres, jeśli czują taką nadzwyczajną a konieczną potrzebę omówienia kwestyi, którą obecna nauka przyjmuje z niezachwianym drwiącym sceptycyzmem. Okultyści oszczędzą sobie tém samém niepotrzebnych skarg na zacofanie i zaślepienie obecnego świata uczonych, który poza odwiecznym szablonem nie widzi nowych, dziewiczych horyzontów...

Uczestników kongresu przyjęła gmina monachijska ucztą w ratuszu. Na drugi dzień (5 sierpnia) przyjmował swych kolegów (!) dr. okulista, książę bawarski, Ludwik Ferdynand w Amalienburgu, willi położonéj w książęcym parku Nympfenburgu.

Dnia 4-go sierpnia otworzył kongres przewodniczący dr. Karol Stumpf, berliński profesor filozofii, wykładem „o metodach i ogólnych zasadach psychologii". Mówca opanował przedmiot wszechstronnie i jasno przedstawił ogromne trudności, napotykane w drodze do zbadania tajemnicy życia umysłowego. Mimo wszysko, usiłowania podejmowane nietylko przez fachowców lekarzy i przyrodników, ale nadto przez jurystów, socyologów, historyków, etnologów i lingwistów, przez fizyków, teoretycznych filozofów przyrody, estetyków i pedagogów a wreszcie przez anatomów, zoologów, fizyologów, patologów i psychiatrów—zadanie pozostało nierozwiązaném. Między fachowymi psychologami są również rozmaite poglądy na wartość metod zastosowanych w badaniach psychologicznych. Jedni z nich kładą największą wagę na obserwacye własnéj osoby, inni na porównawczą metodę obserwowania rozwoju umysłowego u dzieci i zwierząt, — jeszcze inni wierzą jedynie w eksperymenta. Są nadto badacze dochodzący drogą opisową do skréślenia najsubtelniejszych elementów — i badacze szukający rozwiązania zagadki w genialnie zbudowanych hypotezach, dotyczących fizyologicznéj i psychologicznéj mechaniki mózgu. Lecz ta praca, rozstrzelona na pozór, jednoczy się w dążeniu do wspólnego celu: odgadnięcia tajemnicy duszy. I praca ta odbywa się jak przy budowie

tunelu: w dwóch wprost przeciwnych kierunkach wiercą robotnicy skałę; lecz słychać już przez cienką ścianę, dzielącą obie grupy, potężne uderzania młotów bijących o twardą opokę...

Najważniejszém zadaniem czekającém na rozwiązanie — prawił mówca daléj—jest stare jak świat zagadnienie: określenia wzajemnego stosunku duszy do ciała, psychicznéj a fizycznéj strony istoty ludzkiéj. Cała wiedza zdąża jedynie do rozwiązania tego problemu, a podział historyi rozwoju ludzkości na epoki, zależy przedewszystkiém od stanowiska zajętego przez społeczeństwo w tym względzie. Zadaniem więc psychologii współczesnéj jest rozwiązać albo przynajmniéj badać pytanie najstarsze a dotychczas nierozwiązane. Zadanie to brzmi, by użyć wyrażenia nieśmiertelnego Galileusza: *Rem vetustissimam inquirere ratione novissimo.*

Już Fechner, twórca metody psycho-fizycznéj, bronił zasady, że ciało i dusza są nierozłącznemi, że jedno jest bez drugiego nie możliwe, że są tylko wewnętrznym i zewnętrznym objawem tego samego zjawiska. Na obronę tego poglądu wysilał Fechner wszystkie zasoby swego geniuszu, swego bystrego dowcipu i świetnéj stylistyki. „Niestety — i ta hypoteza, chociaż wspaniała—ma przecież, jak wszystko na świecie, swoje dwie strony: jest nadzwyczajnie poetyczną i niezwykle ponętną, ale téż niemniéj ciemną... Jéj prawdziwéj istoty nikt się jeszcze nie dopatrzył, i nikt inaczéj nie wytłomaczył, jak przez alegoryę."

Ten brak ścisłości w określeniu pojęć i dwuznaczność, tkwiąca w przedstawieniu rzeczy—przyczyniły się do fałszywego zrozumienia myśli Fechnera i wysnucia z niéj wniosku wprost niedorzecznego, iż funkcye cielesne i psychiczne są sobie „równoległe", t. j. działają z osobna bez wzajemnego oddziaływania i nigdy nie łączą się w jedną całość. Istnieją zatém te dwa światy tak, jak gdyby każden z nich istniał sam jeden. Jeśliby jednak koniecznie należało już przyznać materyi pewien wpływ na funkcye duszy — nie można przecież twierdzić tego samego o działaniu duszy na ciało, które od wpływów psychicznych jest zawsze i wszędzie—zdaniem owych glosatorów Fechnera—wolne; organizmy więc żyją i spełniają swoje instynktowe materyalne funkcye, gdy tymczasem „właściwi ludzie" t. j. ich umysły rozmyślają, rządzą, dyplomatyzują, tworzą poematy i t. d.—ale zawsze jedno niezależnie od drugiego.

Szczególnie przeciwko temu właśnie rozumieniu fechnerowskiéj teoryi zwrócił Stumpf zjadliwe ostrze ironii, posługując się przytém pracami badacza wiedeńskiego E. Macha, znanego ze swych prac w dziedzinie badań psychologicznych.

Minister wyznań i oświaty v. Landmann, który imieniem rządu bawarskiego przywitał kongres, wyraził życzenie, aby kongresy psychologiczne położyły tamę „pewnym błędnym doktrynom i aby drogą nauki przywróciły dogmat o odpowiedzialność każdego człowieka za swe czyny do pierwotnego znaczenia."

Na to otrzymał zaraz odpowiédź od profesora Liszta z Halli, który ze szczególnym naciskiem zaznaczył w swym wykładzie „o odpowiedzialności kryminalistycznéj", iż z wezwaniem ministra, aby kongres środkami nauki rehabilitował dogmat wolnéj woli, pod żadnym warunkiem się nie zgadza. Braki w obecném prawie karném rzucają się same w oczy, — a powodem ich właśnie zastarzały „dogmat o odpowiedzialności", który z dogmatem o „wolnéj" woli ma rażące podobieństwo, mimo, że nauka wolną wolę już dawno ze słownika naukowego wypleniła. Jeśli już mamy do czego dążyć drogą nauki,—kończy profesor Liszt — dążmyż do stworzenia racyonalnego kodeksu karnego i do zastąpienia tegoczesnych więzień urządzonemi odpowiednio domami poprawy.

Profesor Richet (z Paryża) miał wykład „o boleści" (*sur la douleur*) „któréj zadaniem jest chronić dotknięte nią istoty przed szkodliwemi wpływami." ...Boleść powstaje albo z powodu bardzo intensywnego albo też anormalnego wzburzenia systemu nerwowego, tak że cel swój (ochrony) osiąga boleść w sposób „doskonalszy", niż się to dzieje przy pomocy bezwiednych refleksów. Nie wytłomaczył jednak referent, dlaczego niektóre gwałtowne trucizny, jak np. morfina, haszysz, nikotyna, a po części kofeina, theina i inne nie tylko nie sprawiają naszemu organizmowi boleści, lecz owszem pewną rozkosz. Nadto jest boleść—zdaniem Richeta—podstawą wszelkiéj moralności. Dlaczego? Ponieważ bez poprzedniego uczucia boleści nie zdobyłby się żaden człowiek na litość, a doświadczenie nadto poucza nas, iż choroby osłabiające wrażliwość na doznawany ból, pociągają za sobą równocześnie deprawacyę moralnego charakteru rekonwalescenta.

To osłabienie wrażliwości na ból tłomaczy również bardzo prawdopodobnie demoralizujący wpływ alkoholu i narkotyków—a po części też suggestyi i hypnozy na organizmy ludzkie.

Z wykładów dni następnych, wymienię tylko te, które najwięcéj zyskały rozgłosu. Zaznaczę jednak wprzód charakterystyczną cechę obecnego kongresu: jest nią nadzwyczajna uwaga poświęcona pedagogii.

Już sam fakt, iż największa liczba uczestników pochodzi z klasy pedagegów (profesorowie uniwersytetu) przyczyniła się do wysunię-

cia stanowiska psychologii wobec pedagogiki i ich wzajemnego oddziaływania na pierwszy plan. Sprawa ta była omawiana nadzwyczaj obszernie w piątéj sekcyi, przeznaczonéj wyłącznie na przedyskutowanie tego przedmiotu. Nowo osiągnięty rezultat nie jest wprawdzie doniosły w tym stopniu, aby w dziejach racyonalnego rozwoju publicznego i prywatnego wychowania stworzył epokę, jest on jednak sporym krokiem naprzód do owego wydoskonalenia metody pedagogicznéj, zdolnéj „stwarzać” ludzi—jak się wyraził pewien optymista—zdolnéj charaktery urabiać w dowolne formy, jak rzeźbiarz tworzy posągi. Nie wchodzę w zasadniczą wartość tego twierdzenia, stojącego w rażącéj sprzeczności z teoryą Lombrosa,—*relata refero* a przedmiot omówię obszerniéj, skoro w sprawozdaniu przyjdzie nań koléj.

Na drugiém walném zgromadzeniu przypadło przewodnictwo obrad (według turnusu narodowości) profesorowi Richetowi. Zabrał głos ulubieniec całego zgromadzenia lipski profesor psychiatryi i dyrektor domu obłąkanych dr. Paul Flechsig dla omówienia swéj oryginalnéj teoryi „o centrach asocyacyi w mózgu ludzkim.”

Hyrtl wyraża się w swém wiekopomném dziele „Zasady anatomii” o badaniach mózgu, że są one częścią anatomii najzmudniejszą i najmniéj dającą rezultatów. Badając bowiem inne organa, można po części z kształtów ich wnioskować o funkcyach, które spełniają. Tymczasem z mózgiem sprawa ma się całkiem inaczéj. Nadzwyczaj zawikłana budowa nie dozwala rozpatrzéć dokładnie jego składu i mimo niewątpliwego przekonania o ścisłym związku istniejącym między funkcyami umysłowemi a funkcyami fizyologicznemi mózgu—niepodobieństwem było aż do niedawna rozświetlenie tajemniczego mroku, osłaniającego ten związek. Trzeba było zatém poprzestawać na powierzchownych i ogólnych spostrzeżeniach, bez możności wykazania dlaczego się to wszystko dzieje właśnie tak a nie inaczéj—i na jakiéj zasadniczéj prawdzie możliwe jest sformułowanie i określenie systemu tych skombinowanych objawów psychicznych.

Już samo zbadanie opony mózgowéj z jéj niezliczonemi zmarszczkami, fałdami i zaklęsłościami o kilometrowych długościach, było wprost nie do osiągnięcia, jeśli się weźmie na uwagę niedołężny sposób naukowéj metody badania i zupełną nowość przedmiotu. Ale brak metody i odpowiednich instrumentów był nie jedyną przeszkodą. Drugą—może jeszcze ważniejszą od pierwszéj, była teologia, która swą metafizyczną siatką, jak pajęczyną, zasnuła wejście do tego *mysteryum* duszy ludzkiéj, szukanego przez ludzkość od lat tysiąców. Tłomaczenie zagadki „rozumu” i duszy ludzkiéj na podstawie fizyologii jest jeszcze obecnie przez teologię i jéj przedstawicieli wzbranianém. Dla

czego? Odpowiedź na to pytanie należy do historyi cywilizacyi ludzkości—nie do kongresu psychologicznego. Dość, że tak jest—stwierdzamy fakt, — a dalszym wynikiem tego faktu jest niedołężność słownictwa naukowego co do mózgu. Nowe odkrycia wymagają nowych, najkrótszych określeń. Badacz więc, poświęcający się odkryciu nieznanéj dziedziny naukowéj, ma do spełnienia dwie ciężkie prace: techniczną i lingwistyczną. I stąd tłómaczy się mnogość nowych wyrazów, które co roku wzbogacają międzynarodowy słownik, tworząc, nieznany dotąd w dziejach ludzkości, język międzynarodowy.

Wytrwałość, poświęcenie i skromność prawdziwéj nauki, pokonywają jednak wszelkie przeszkody — i stanu obecnego badań mózgowych nie można nazwać inaczéj, jak (uwzględniwszy młodość nauki) ze wszechmiar zadawalniającym. Oczywiście, nie należy tu ani na chwilę zapominać o celu psychologii. Nie jest on tak daleki, jak czystéj, spekulatywnéj metafizyki teologicznéj—ale téż o tyle od niego praktyczniejszym, że go można osiągnąć. Nie chodzi psychologii o powstanie duszy, ale jedynie o wytłómaczenie jéj funkcyi na zasadzie współczesnéj fizyologii i chemii, aby przez tę dyagnozę przynieść ulgę choréj ludzkości.

Po długich, ciężkich badaniach, wymagających wytrwałości i cierpliwości, o których profan nawet pojęcia mieć nie może — udało się wreszcie wypełnić przepaść dzielącą funkcyę od organu i znaleść kompas, wiodący nas do wyznaczonego celu w chaotycznym labiryncie komórek mózgowych. Oryentujemy się już, jakkolwiek—oczywiście—nie lepiéj, aniżeli na to pozwala nasza młoda nauka. Pierwszym niezmordowanym pracownikiem na tém polu był wiedeński profesor Maynert, ten „piewca epiczny mózgu" *(Epiker des Gehirns)*, który badania swe prowadził bez odpowiednich instrumentów, bez pomocy z zewnątrz—oddany własnemu geniuszowi wynalazcy. I rzeczywiście, jest on pierwszym, co stworzył metodę, odpowiednie instrumenty i wskazał drogę, po któréj jego epigonowie dążą pewnym krokiem do jasno określonego celu.

Prace Fritsch'a i Hitzig'a wykazały niezbicie, iż mózg podzielony jest na części, z których każda odnosi się do pewnych funkcyi organizmu. Przy pomocy prądu elektrycznego wykazano na mózgu psa, iż drażniąc pewne sfery opony mózgowéj, wywołuje się pewne stale się powtarzające ruchy reszty ciała. Pierwszy krok był tém samém uczyniony. Chodziło teraz o ściste określenie tych dziedzin. Dokonał tego profesor Hermann Munk, który podał dokładny plan mózgu fizyologiczny i funkcyonalny przy pomocy swéj słynnéj metody ekstyrpacyi, t. j. wycinań całych części mózgowia. Był to jedyny ekspery-

mentalny sposób przekonania się o związku dotyczących części z resztą organizmu. Wiwisekcya ta wykazała, które funkcye zostają w danym razie sparaliżowane—i w ten sposób zdołał Munk podać dokładną mapę mózgu, według któréj część jego tylna (od potylicy) spełnia funkcye wzroku, przednia (ciemię) funkcye motoryczne, boczna (skronie) funkcye słuchowe i t. d.

Zapomniał jednak Munk o wykazaniu w mózgu dziedziny spełniającéj czynność najważniejszą, a mianowicie: myślenia — i tu właśnie uzupełnia jego teoryę prof. Flechsig swą hypotezą o centrach spójkowych (asocyacyjnych).

Myślenie polega—jak już zresztą język łaciński instynktowo słowem *co(a)gito* odgaduje — na współudziale wrażeń wszystkich zmysłów. Im lepiéj zmysły wrażenia przyjmują, czyli im zmysły są wraźliwsze, a następnie im dokładniéj te wrażenia są skombinowane, tém myślenie jest dokładniejsze i bogatsze w rezultaty, tém dokładniejsze pojęcia tworzy indywiduum o przedmiotach, sprawiających na jego zmysłach wrażenia. Chodziło więc o wykrycie fizyologicznych funkcyi sprawiających właśnie owo współdziałanie wrażeń, które teorya już drogą czysto abstrakcyjną wykryła. Fizyologicznie i anatomicznie udowodnił ją Flechsig przy pomocy swéj oryginalnéj, od niego nazwanéj metody badania opony mózgowéj. Naukowa jéj nazwa brzmi: ewolucyjna metoda Flechsiga *(Flechsig'sche entwickelungs-geschichtliche Methode für das Studium der Gehirnbahnen).*

Przewody nerwowe w mózgu i zagłębienia tworzące się na jego oponie, nie znajdują się odrazu w stadyum pełnéj zdolności funkcyonowania. Następuje to stopniowo i to bardzo powoli. Przy pomocy barwnych nastrzykiwań masą, również przez Flechsiga wynalezioną, można ten proces na preparatach bardzo dokładnie zaobserwować. Widzi się więc, jak grupy, z początku zlane z sobą w jedną całość, z czasem się rozdzielają; jak stopniowo postępuje rozwój nerwów przewodnich, łączących zmysły z odnośnemi częściami mózgu—i jak z tych części wywiązują się następnie, z rozwojem indywiduum, motoryczne przewody, nawiązujące stosunki mózgu z całym organizmem. I — co najważniejsza—tą samą metodą namacalną wykazuje Flechsig prawdę swéj hypotezy spójkowéj: podobnie więc, jak się widzi, najdokładniéj rozwój stosunku reszty organizmu z mózgowiem, podobnie przekonywamy się, że część mózgu, dojrzewająca najpóźniéj, nie wstępuje nigdy w bezpośredni stosunek ze zmysłami, ale ogranicza się jedynie do wzajemnego łączenia pojedyńczych sfer mózgowych, przyjmujących bezpośrednio wrażenia zmysłowe. Właśnie te części mózgu, bierne

wobec pojedyńczych zmysłów, a czynne wobec sfer mózgowych, nazywa Flechsig centrami spójkowemi *(Associations-Centren)* i widzi w nich substrat, zasadę wyższych czynności umysłowych, t. j. logicznego myślenia.

Że tak jest rzeczywiście, wykazał to Flechsig na swych znakomitych preparatach, a nadto przytoczeniem licznych wypadków patologicznych, obserwowanych codzień w klinikach psychiatrycznych. Anormalny stan tych ośrodków nie pociąga za sobą sparaliżowania żadnego ze zmysłów. Dotknięty nim osobnik ani głuchnie, ani ślepnie, ani nie traci mowy, smaku lub powonienia,—ale w sposobie jego myślenia następuje widoczna rozterka. Zatraca się logiczny związek między wrażeniami—i indywiduum popada w stan — obłąkania. Sekcyonując mózg waryata, można przez mikroskop przekonać się jak najdokładniéj o patologicznych zmianach zaszłych w komórkach i włókienkach spójkowéj części mózgu.

Skoro więc zajdą w mózgu takie zmiany patologiczne, natenczas jasne pojęcia ustępują miejsca halucynacyom, a zdolność korzystania z przeszłych doświadczeń i snucia z nich świéżych wniosków—słabnie i powoli zanika. Z tego, niezliczone razy obserwowanego a nożem i mikroskopem sprawdzonego zjawiska widzimy, iż obłąkanie umysłowe nie jest jedynie zewnętrzném, abstrakcyjném zagmatwaniem logiki myślenia, nie mającém z wewnętrznym stanem organizmu nic wspólnego. Pogląd ten, trzymający się dotychczas uparcie niektórych głów, jest z gruntu błędny. Widzimy bowiem, że obłąkanie jest tylko wynikiem chemicznego zaburzenia w ośrodkach spójkowych — powstaje więc na zasadzie czysto fizycznéj. I z téj zasady wychodząc — profesor Flechsig kończy temi słowy wykład: może psychiatrya naukowa za swe hasło przyjąć słowa, włożone przez poetę w usta króla Lear'a: „My przestajemy być sobą, skoro natura gnębiącym naciskiem zniewala duszę, — wraz z ciałem znosić katusze."

Długi, nieskończony oklask nagrodził głęboki, z przejęciem i poezyą wygłoszony referat uczonego męża. Sala i galerye w niemej ciszy słuchające zajmujących i mimo całéj głębi, z niezrównaną swobodą i przystępnością przedstawionych rezultatów długoletnich badań w laboratoryum, zgodnie wieńczyły nieustraszonego pioniera postępu, który z uśmiechem szczerego zadowolenia dziękował za uznanie wdzięcznéj publiczności. W bardzo ożywionéj dyskusyi, wywołanéj tym wykładem, zabiérali między innemi głos profesorowie: Teodor Lipps (Monachium), Stumpf (Berlin), Ebbinghaus (Wrocław), Forel (Jena) i Dechterew (Petersburg). Na szczególniejszą wzmiankę zasłu-

guje replika pierwszego z wymienionéj grupy, Lippsa, odznaczająca się ciętą dyalektyką: Nie zgadza się na ograniczenie specyalistów do czystéj psychologii, to jest do wyłącznego badania mózgu, ponieważ jednostronność taka prowadzi do izolowania téj części medycyny od reszty biologicznych zjawisk; nie zgadza się również z zuchwałém hasłem Alberta Langego (słynny psycholog duński) „psychologia — bez duszy”. Wystąpienie jego, a zwłaszcza ostatnia wzmianka polemiczna, jest objawem dla obecnych stosunków uniwersyteckich—nadzwyczaj charakterystycznym. Oto badacze, nie wzdrygający się w swém laboryatoryum lub na swéj klinice przed snuciem najparadoksalniejszych wniosków, gdy przychodzi do zastosowania owych, wysnutych przez nich samych wniosków, w praktyczném życiu społeczeństwa, w stosunku do tradycyjnych dogmatów o moralności, cnocie i t. d. — albo stają bezradni, albo wprost cofają się wstecz z obawy przed „zbytnią” oświatą, mogącą łatwo sprowadzić przewrot uświęconych tradycyi...

Profesor Giuseppe Sergi (professor ord. di Antropologia, Roma) miał wykład o naturze i siedzibie afektów. Rozpoczął od słów Langego, że nie afekty i nie wszelkie inne wzruszenia są powodami fizyologicznych zjawisk towarzyszących im pospolicie, lecz przeciwnie — są one ich wynikiem. Jeśli więc np. Pascal czyni z gorzką ironią uwagę, że pobożność większéj części ludzi polega jedynie na pokropieniu się święconą wodą i klepaniu — w udanym zachwycie — pacierzy, podobnie i Lange jest zdania, iż rzeczywisty stan duszy jest wobec afektu zjawiskiem drugorzędném. Człowiek musi być fizyologicznie, z urodzenia, skłonnym do pobożności i nabożeństwa: modli się i przewraca obłudnie oczami, bo to mu już leży w naturze. W dalszym ciągu omawia referent siedzibę afektów i — odmiennie od dotychczasowych hypotez — szuka jéj nie we właściwym mózgu, lecz w przedłużeniu rdzenia pacierzowego.

Ostatni wykład na drugiém walném posiedzeniu, miał profesor Preyer (Jena) o psychologii dziecka, któréj dokładne poznanie, w związku z całą psychologią porównawczą, może się nadzwyczaj przyczynić do gruntownego poznania psychicznéj organizacyi człowieka. Cały rozwój psychiczny ludzkości przechodzi w skróceniu każde dziecko normalnie rozwinięte. Z początku brak mu zupełnie znamion różniących człowieka od zwierzęcia. Nie zna ono nawet afektu bojaźni. Ale już w przeciągu jednego roku prześciga pod względem inteligencyi zwierzę, a następnie daje coraz lepsze dowody szybko wzrastającéj pojętności i tém samém zbija twierdzenie, że „podstawą myślenia jest mowa”. Dokładne zbadanie duszy dziecięcéj przyczyniłoby się do rozwiązania zagadki o powstaniu instynktowego pojęcia czasu i prze-

strzeni. Wykład nie stał zresztą na wysokości poprzednich, zwłaszcza Flechsiga; był jedynie reprodukcyą poglądów i twierdzeń oddawna znanych i uznanych.

Na ostatniém walném (b. licznóm) zgromadzeniu, przewodniczył Zygmunt Exner, profesor fizyologii w uniwersytecie wiedeńskim. Głos zabrał były wiedeński profesor filozofii, dr. Ludwik Brentano, którego przed dwoma laty minister Madeyski zmusił do ustąpienia. Sprawa ta była w swoim czasie bardzo głośną w całéj prasie niemieckiéj. Wykład traktował o wrażliwości *(Ueber autokinetische Empfindungen)*.

W pierwszéj części swych wywodów zwrócił Brentano uwagę na językowe określenia wrażeń, odnoszących się do rozmaitych zmysłów. Te same określenia służą do scharakteryzowania np. pewnéj farby i pewnego tonu. Mówi się o „krzyczących farbach”, o dobrze cieniowanéj instrumentacyi, o wrzaskliwym kolorycie i t. p. To pomieszanie cech z rozmaitych dziedzin wrażliwości, objawia się szczególnie jaskrawo we współczesnéj literaturze francuskiéj, gdzie jest rozmyślnie i z artyzmem uprawiane. Znane jest nadto w nauce owo określenie pierwszego wrażenia czerwonego światła sprawionego na ślepym od urodzenia, który w dojrzałym wieku został operowanym: zdawało mu się, że słyszy silny dźwięk trąbki (krzycząca barwa). Z tych wszystkich zjawisk obserwowanych, można wnioskować o wspólném źródle wszystkich wrażeń, będącém zarazem źródłem całego życia duchowego. Psycho-fizyologii pozostaje do zbadania właściwa natura tego życia duchowego, przyczém analiza psychologiczna musi badać naprzód objawy najprostsze, a następnie zdążać do skomplikowanych. W drugiéj części referatu rozbiérał Brentano istotę „napięcia” wrażenia *(Intensität der Empfindung)*. Jest ono — zdaniem referenta — drugorzędną cechą odnośnego wrażenia. Cechą zasadniczą jest przedewszystkiém jego barwa i charakter sam przez się.

Wykład Brentana, jako nie-medyka, ma znaczenie jedynie ze względu na zręczne poglądowe zestawienie faktów i wysnucie z nich — drogą czysto logiczną — wyż wymienionych wniosków. Nie mówią one — w gruncie rzeczy — nic nowego, ale że referent z powodu zajścia z ministrem zyskał nadzwyczajną u publiczności i kolegów po katedrze popularność, przeto słuchano zajmującego i pięknie wygłoszonego wykładu z uwagą, a mówcę obdarzono oklaskiem.

Następny wykład wrocławskiego profesora filozofii, d-ra Hermana Ebbinghausa „o najnowszéj metodzie badania zdolności umysłowych i zastosowania jéj do uczucia”, stanowi krok w psychologii pedagogicznéj. Doniosłość nowéj metody tém bardziéj się uwydatni

im lepiéj uzmysłowimy sobie dotychczasową niedołężność wychowania szkolnego w tym kierunku i ujrzymy niezwykłą prostotę środków, przy pomocy których psychologia pedagogiczna osiąga niebywałe dotychczas rezultaty.

Przedewszystkiém chodziło o wykrycie takiéj metody, któraby dała wyniki możliwie najpewniejsze, a nie jak dotychczasowe, przybliżone. Np. metoda słynnego pedagoga austryackiego, Burgersteina, polega na zatrudnianiu kilkugodzinném dzieci zadaniami rachunkowemi i wnioskowaniu następnie z ilości wykonanéj pracy i stopniowo wzrastającéj ilości błędów rachunkowych o stopniu zmęczenia. Na zasadzie téj metody doszedł Kraepelin do przekonania, iż już w trzeciéj godzinie takiego zajęcia, dzieci znajdują się w pewnego rodzaju narkozie, wywołanéj zmęczeniem *(Ermüdungsnarkoze)*, która czyni dłuższą naukę zupełnie bezcelową. Nauka ta byłaby dla dzieci męczarnią, gdyby nie ich „błogosławiony przymiot roztargnienia, który im dozwala wyrwać się z żelaznych uścisków nauki szkolnéj." Tę metodę jednak uważa Ebbinghaus za nieodpowiednią, ponieważ rachunki są dla dzieci zajęciem nietylko najbardziéj nużącém, lecz zarazem najbardziéj nudném; osiągnąwszy więc jakiś rezultat z tego rodzaju badania, niewiadomo ile w nim przypisać wpływowi zmęczenia, a ile znudzenia. Metodzie Griesbacha, polegającéj na mierzeniu wrażliwości skóry, referent nie przypisuje również wielkiéj doniosłości.

Uwzględniwszy nadto fakt, że właśnie najwięksi geniusze nie szczycili się ani zbytniemi zdolnościami matematycznemi, ani nadzwyczajną pamięcią, zbudował Ebbinghaus swą metodę na zasadzie — domyślności. Więc nie pamięć lub wrażliwość skóry, lecz wrodzony spryt jest, według referenta, jedyną najpewniejszą zasadą metody, mogącéj dać pojęcie o sile zdolności dziecka. Najpewniejsza cecha umysłowéj zdolności we wszystkich kierunkach polega na uzupełnianiu pewnych skojarzonych wrażeń, uwzględniwszy wprzód właściwy cel. Np. skoro lekarz z zawikłanych symptomów stawia dyagnozę, lub skoro generał ze skąpych informacyi domyśla się stanowiska nieprzyjacielskiego i odpowiednie rozkazy wydaje, albo gdy artysta z pospolitych rysów swego modelu wydobywa ogólne cechy i tworzy typową postać—to wszyscy tu działają jedynie według wyż podanéj metody—i tym sposobem wystawiają sobie sami świadectwo swych zdolności — a nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać, czy ten lub ów mistrz w swym zawodzie ma dobrą pamięć, albo czy umié dobrze rachować, lub czy ma wrażliwą skórę.

Metoda ta, zastosowana do dzieci, polega przedewszystkiém na wypełnianiu zdań, gdzie niektóre słowa są albo zupełnie wypuszczone

albo tylko zaznaczone. Ze związku ma się dziecko domyśléć znaczenia opuszczonego wyrazu. Jako charakterystyczną próbkę przytacza prelegent zdanie następujące: „*Eine Abtheilung Grenadiere wurde ausgeschickt, um unsere T — — und V — — ins Lager zu bringen*" (Oddział grenadyerów został wysłany, aby naszych *z* — — i *r* — — przeniósł do obozu). Jest to zdanie wyjęte z opisu oblężenia Kolbergu, a zadaném było w pewnéj szkole żeńskiéj. Widocznie bardzo moralnie wychowana dziewczynka wypełniła braki przy „*T* — —" i „*V* — —" na „*Tanten*" i „*Verwandten*" zamiast „*Todten*" i „*Verwundeten*". Bez względu na ten mimowolny komizm, jaki czasem w podobnych wypadkach się trafia, zgadzają się wszyscy pedagogowie, którym referent polecił tę metodę do wypróbowania, że jest z zastosowywanych dotychczas najlepszą, ponieważ dozwala sądzić zdolności dzieci z bezstronnością i ścisłością prawie matematyczną. Wnioski zatém, dotyczące pomiarów zmęczenia dziatwy szkolnéj, a osiągniętych tą metodą, wykazują, że praca już w trzeciéj godzinie co do ilości wzrasta *(Quantität)*, ale pod względem jakości *(Qualität)* poczyna raptownie upadać. Obliczenia te nie są jeszcze skończone, ale jakkolwiek jest, rezultat wykazuje ścisłość, pod każdym względem zadawalającą i upoważnia tém samém do nadziei, że dla wychowania publicznego świtają wreszcie lepsze czasy.

Wykład d-ra P. Janeta, profesora psychologii w paryskiém w Collège de France, p. t. „O konieczności hipnotyzowania histeryków i opieki nad chwiejnymi" *(Le besoin de l'hypnotisme chez les hystériques et le besoin de direction chez les douteurs)* dowodzi, jak bezzasadnym jest zarzut, iż naukowa psychologia współczesna zasklepia się w laboratoryach zdala od trosk i nędzy życia codziennego, ograniczając się do tworzenia z żywych obserwacyi, oderwanych pojęć i klasyfikowania ich następnie w systemy.

Janet wykazuje wpływ hipnozy na histeryków i dowodzi, że przy pomocy suggestyi dadzą się u nich nieraz najcięższe choroby na pewien czas usuwać. Z początku są pacyenci od wszelkich chorobliwych objawów zupełnie wolni, odżywianie jest normalne, czynności umysłowe w porządku. Ale po pewnym, niezbyt długim, czasie, zjawiają się wszystkie dawne symptomy i to z niemniejszą, jak przedtém, gwałtownością. Tu można obserwować objaw w wysokim stopniu interesujący: pacyenci okazują nałogową potrzebę powtórzenia hipnozy, powtórnego poddania się jéj wpływowi, a w razie zadośćuczynienia ich żądaniu, chęść owa powtarza się w coraz krótszych odstępach czasu. Janet zwraca uwagę, iż pod tym względem histerycy niczém się

nie różnią od nałogowych alkocholików, morfinistów i t. p. nałogowych miłośników środków narkotycznych.

Z czasem osiąga osoba hipnotyzera nad swojém medyum nieograniczoną władzę i wypełnia jego całą jaźń, cały byt umysłowy i fizyczny. Przed laty odwiedził Charcota pewien młody lekarz z prośbą o środek, którym mógłby się pozbyć młodéj histerycznéj pacyentki, wyleczonéj przez niego właśnie w ten, cudowny sposób. Zdaniem referenta, każde histeryczne indywiduum, poddane przez jedną dobę bezustannemu wpływowi hipnozy, traci na zawsze własną wolę, i jakkolwiek żyje napozór zupełnie normalnie, jak wszystkie osoby z jego otoczenia, przestało ono w rzeczywistości być sobą i znajduje się wobec swego hipnotyzera w stosunku bezwzględnéj niewolniczości. Nierzadkie są wypadki, gdzie pewne osoby niezdolne są do najdrobniejszéj rezolucyi. Lekarz ich jest bezustannie zarzucany pytaniami w rodzaju: Czy mam jeść? Czy mam wstać, albo siąść? Czy mam wyjść?—a rozkazy spełniają rzeczywiście, jak automaty. Po pewnym jednak czasie trzeba je, jak zégarek, nanowo nakręcić.

Ten stan umysłowy ustępuje czasem, skoro zajdą nagle w życiu pacyenta jakieś gwałtowne rozstrzygające wypadki, wymagające szybkiéj a stanowczéj rezolucyi. Np. co roku zjawia się w szpitalu Salpêtrière po kilka tuzinów dziewcząt, które nie mogą się zdecydować na zamążpójście i popadają w pewien specyalny, chorobliwy stan *abulii*, t. j. zupełny brak własnéj woli, zupełna bezwładność energii umysłowéj. Jedyny środek leczniczy na to—według Janeta—jest, poddanie im odpowiedniéj rezolucyi.

Również ciekawym typem chorobliwości są „moralni zbrodniarze”, t. j. indywidua cierpiące na bezustanne wyrzuty sumienia z powodu urojonych zbrodni. Chorzy ci zjawiają się co pewien czas u lekarza po „pociechę”. Parę słów — a odchodzą szczęśliwi, aby po jakimś przeciągu czasu znowu w tym samym celu powrócić.

Janet kończy zdaniem, iż wszyscy jesteśmy po trochu takiemi naturami niewolniczemi, to téż owa przewaga demoniczna, jaką sobie potężne osobistości zyskują nad ogółem, nie jest czémś tajemniczém.

Prof. Lipps z Monachium kończy ostatnie walne posiedzenie wykładem „o pojęciu nieświadomości w psychologii”, w którym zaznacza konieczność ograniczania się do metody badania doświadczalnéj i do ścisłego przestrzegania pozytywnego czynnika psychologii. Z metafizyki należy zupełnie zrezygnować. W psychofizyologii ma głos tylko „czysta” psychologia; wszystko inne jest tylko przeszkodą w jéj rozwoju.

Tym wykładem zostały walne rozprawy zamknięte. Pozostają jeszcze do omówienia najważniejsze referaty w sekcyach.

Zasadniczéj wartości wykład, który przedewszystkiém zasługuje na wzmiankę, miał znany neurolog frankfurcki, profesor dr. L. Edinger. Temat: „Czy psychologia może z współczesnéj anatomii mózgu ciągnąć korzyści?"

Od ćwierci wieku przeszło szukają psychologowie konkretnéj podstawy dla nauki o duszy w anatomii mózgu. Mimo to, znaczeznaczenie téj gałęzi badania zagadnień psychologicznych, nie jest stosunkowo tak doniosłém, jak w rzeczywistości być powinno. Powód leży w fakcie, że psychologowie zwracali dotychczas uwagę jedynie na mózg wielki i jego funkcye. Ta jednostronność w badaniu stała wyświetleniu kwestyi wyższych funkcyi umysłowych na przeszkodzie, gdyż mechanizm tych funkcyi będzie dopiéro wtedy należycie zrozumiany, skoro zostaną przedewszystkiém zbadane owe zasadnicze, najprymitywniejsze mechanizmy, które pozornie tak są przejrzyste, że już z góry można obiektywnie przewidzieć, jakie czynności leżą w ich zakresie. Ścisłe zrozumienie i obliczenie funkcyi całego aparatu mózgowego można osiągnąć jedynie drogą porównawczéj anatomii mózgu. W tym celu należy rozpocząć najściślejsze badania według teoryi ewolucyjnéj, t. j. od zwierząt najniższych w górę, stopniowo aż do mózgu ludzkiego. Referent wykazuje prawdę swych wywodów na licznych a znakomitych preparatach.

W drugiéj sekcyi referował dr. Christian baron von Ehrenfels, prywatny docent filozofii na uniwersytecie wiedeńskim „o etyczném poczuciu wartości", prof. Lipps „o wrażeniu estetycznem i złudzeniu optycznem", prof. Ribot „*L'abstraction des émotions*", Lazzarini Giulio, profesor filozofii w Pawii, „o definicyi prawdy", a nadto wielu innych o najrozmaitszych dziedzinach umysłowéj działalności człowieka, przedewszystkiém zaś o zasadniczém zagadnieniu estetyki psychologicznéj.

Mimo wszechstronnego rozpatrywania téj ostatniéj kwestyi, stanowczo jéj nie rozwiązano. Zgodzono się na jedno, że wrażenie estetyczne jest jedynym w swym rodzaju stanem psychicznym, który niezależnie od obiektu, ma swe właściwe znamiona, a mianowicie swobodne kojarzenie wyobrażeń, czyli niehamowany bieg fantazyi wobec częściowego zaniku potrzeb fizycznych. Nad tę ogólną definicyę, brak wszelkiéj szczegółowszéj. Co jest istotą piękna? Dlaczego rytmiczny, melodyjny dźwięk muzyki lub deklamacyi, albo widok pięknego malowidła, budzi w nas uczucia tak różne od owych, które się czerpie w monotonii życia codziennego? Gdzie jest źródło tych uczuć?

Te pytania pozostały nierozwiązanemi. Metafizyka ze swojemi spekulacyami, kategoryami, sylogizmami, całą logiką, dyalektyką — mimo odwiecznych szperań i wietrzeń za prawdą—pozostawiła zagadkę tym samym tajemniczym sfinksem, jakim ją zastała. Zaś młoda nauka, jaką jest psychologia eksperymentalna, ledwie tknęła zagadki bezlitośnym nożem badacza, a już można zaznaczyć krok naprzód, drobny wprawdzie, lecz wobec odwiecznego zastoju ogromny.

Metoda, którą współczesna psychologia zdąża do celu, jest ewolucyjna. U zwierząt niższego rzędu brak jest wszelkiego poczucia estetyki; czynność narządów ogranicza się tam do walki o byt. W miarę, jak się organizm zwierzęcy rozwija, ustępuje dotychczasowa ścisła celowość narządów, organizm nie ogranicza swych funkcyi wyłącznie do walki o byt, lecz poczyna szukać „przyjemnego wypoczynku, zabawy". I właśnie w tych bezcelowych funkcyach, objawiających nadwyżkę energii życiowéj, niespotrzebowanéj w walce o byt — leżą pierwsze zaczątki, najprymitywniejsze formy sztuki. Hipoteza ta rozwinięta jest w dziele, świéżo wyszłém z druku p. t. „*Die Spiele der Thiere*" (1896) przez Grossa, nie wyjaśnia jednak faktu, dlaczego ów zmysł estetyczny w walce o byt nietylko nie słabnie, lecz, owszem, coraz lepiéj się rozwija. Teorya Darwina naturalnego doboru wyświetla sprawę, lecz tylko częściowo. O zupełném rozwiązaniu powyższych pytań—dotychczas mowy być nie może. W każdym razie jesteśmy na dobréj drodze, sądząc po rezultatach, zdobytych już w tak krótkim czasie.

W trzeciéj i czwartéj sekcyi, obradujących wspólnie, referował profesor Forel o hipnozie i wrażliwości na suggestyę. Rozróżnia on histeryę wrodzoną i nabytą, przyczém zaznacza, iż histerya nie jest prostym, luźnym symptomem patologicznym, lecz kompleksem symptomów, których wybitną cechą jest chorobliwa czułość na wpływ suggestyi *(pathologische Suggestibilität und Auto-Suggestibilität)*. Liczne szczeble, dzielące normalny stan od histeryi, odznaczają się, im są odleglejsze od granicy zdrowia, tém silniejszą czułością na suggestyę. Ogromną doniosłość w kliniczném zastosowaniu auto-suggestyi wykazuje referent na wypadku, gdzie następstwem była śmierć pacyenta.

Profesor Voisin (Paryż), który pierwszy zwrócił uwagę świata medycznego na doniosłość suggestyi w lecznictwie, wykazuje na licznych wypadkach, że możliwość zastosowania jéj w terapii jest nierównie rozleglejsza nad obecne uwzględnianie jéj w medycynie.

W kwestyi halucynacyi i telepatyi potoczyła się cięta dyskusya. Mrs. Sidgwick broniła rezultatów statystyki halucynacyjnéj, zebranéj

przez specyalny komitet (Sidgwick-Comittée), stojący pod przewodnictwem jéj i jéj męża, Mr. Henry Sidgwick, prof. filozofii moralnéj w Cambridge. Zadaniem tego komitetu jest publikowanie autentycznych (!) faktów halucynacyi, gdzie dane osoby przeczuwają jasno śmierć lub wielkie nieszczęście, spotykające pewną bliską ich sercu istotę—a tém samém udowodnienie rzeczywistego istnienia telepatyi psychicznéj. Publikacye komitetu Sidgwicków odznaczają w całéj masie pism okultystycznych ogromnemi rozmiarami materyału statystycznego. Praca zużyta na zebranie tego materyału, przedstawionego kongresowi, jest dziełem olbrzymiego natężenia i cierpliwości. Czy jednak masa zdolna jest zastąpić dowód? Ktoś z obecnych zauważył złośliwie, iż właśnie ten ogrom jest tylko jednym dowodem więcéj *contra*, ponieważ trudno od komitetu Sidgwicków żądać dobrowolnego zrzeczenia się pomyślnych (!) rezultatów długoletniéj pracy. A rezultaty uzyskane przez panią Sidgwick drogą ścisłego wnioskowania są konsekwentne... do śmieszności. Twierdzi ona, że ilość wypadków, w których halucynacya albo raczéj telepatya, uprzedziła rzeczywiście dane indywidua co do nieszczęść im zagrażających, jest 292 razy większą od rezultatu uzyskanego zwykłym rachunkiem prawdopodobieństwa!...

Na te wywody odpowiedział profesor filozofii z Upsali dr. Bager-Sjögren polemicznym referatem p. t. „Czy jest możliwe w drodze międzynarodowéj statystyki halucynacyjnéj uzyskać potwierdzający dowód istnienia wpływów telepatycznych?" Z pomiędzy dowodów przytoczonych celem wykazania bezpodstawności hipotezy halucynacyjnéj, zasługuje na uwydatnienie dowód, wykazujący najsłabszą stronę zebranego materału statystycznego: Że pomiędzy halucynacyą a odnośném nieszczęściem istnieje związek natury czysto duchowéj, czyli że wypadek nadaje się do statystyki, w rodzaju zebranéj przez komitet, można jedynie w ten sposób udowodnić, jeśli się uda wykazać zupełny brak wszelkiego innego związku między obudwoma zjawiskami. Jeśli np. syn ma wiadomości o ciężkiéj chorobie matki — i w bezsennych nocach twarz jéj nie schodzi mu z oczu i ten stan trwa aż do ostatniéj, smutnéj wiadomości — w takim razie istnienie telepatyi jest wykluczoném, ponieważ przeczucie wywołane zostało nie w drodze czystego, t. j. duchowego związku, lecz w sposób zupełnie naturalnego uprzedzenia. Dopóki zaś w statystyczném archiwum Sidgwicków znajdują się podobne wypadki, póty wnioskom snutym stamtąd brak dostatecznego uzasadnienia.

W rzędzie obrońców pani Sidgwick, a raczéj hipotezy telepatyi, stanął słynny Richet. Zresztą, prócz dowcipnych napaści i gorzkiéj ironii sceptyków, brak było rozprawie nad tym przedmiotem właściwéj

cechy przedmiotowości naukowéj. Przedstawiciele tegoczesnéj nauki uniwersyteckiéj nie mogą zdobyć się w swéj większości na poważne traktowanie spirytyzmu i t. p. fenomenów.

Rzeczywiście racyonalném badaniem okultyzmu zajął się profesor psychiatryi na uniwersytecie w Giessen, dr. Robert Sommer. Na wysłuchanie jego referatu „O graficznéj metodzie odgadywania myśli" i na zbadanie wynalezionego przezeń aparatu, zebrały się wszystkie sekcye razem. W ściśle naukowym wykładzie opisał prof. Sommer drogę, którą doszedł do swego wynalazku. Na myśl tę naprowadziły go spirytystyczne produkcye, w których brał umyślnie udział. Szczególnie zajęło go „odczytywanie myśli" w razach takich, jak np. gdy osoba z zawiązanemi oczyma, lecz oprowadzana za rękę przez drugą osobę, odnajduje ukrytą rzecz. Referent udowodnił, iż podczas takiego oprowadzania, osoba oprowadzająca, wiedząc o kryjówce, nie może nigdy tak dalece nad sobą zapanować, aby wzruszenie nie objawiło się choćby najlżejszym odruchem. Otóż przyrząd prof. Sommera umożliwia graficzne notowanie tych odruchów. Zatém pierwszy krok na drodze doświadczalnych badań tajemnicy odczytywania myśli jest zrobiony!

Zjawił się również na kongresie „zdemaskowany" fakir peszteński. Pan Bheema Sena Pratapa z kasty wojowników Szattrija zaprzeczył, w wydanéj przez siebie broszurze, stanowczo wszelkim „demaskowaniom". Dla udowodnienia prawdy tego twierdzenia, dał się pogrążyć przez d-ra Hoffmanna w sen letargiczny „Yoga", trwający całą dobę. Po upływie tego czasu zbudził go dr. Hoffmann przez silne naciéranie tylnéj części głowy. Po ocuceniu był bardzo znużony, zażądał mléka, wypił go dwa litry — i odzyskał natychmiast dawną rześkość.

W piątéj sekcyi miał profesor fizyologii w Wiesbadenie, dr. W. Preyer, odczyt „O indywidualności w piśmie"; dr. Antonio Marro, profesor w Turynie, „*Les psychoses de la puberté*" (stany duszy w stadyum dojrzewania), mowa dziecka i narodów niecywilizowanych; W. Preyer „Psychologia dziecka"; dr. Edgar Bérillon (Paryż) „Wartość pedagogiczna suggestyi hipnotycznéj" i „Zasady pedagogii suggestywnéj", a nadto znaczna liczba innych. Tematów tych rozbiérać nie będę.

Wypadkiem dnia było doświadczenie ulepszoną maszyną Röntgena. Berlińskie towarzystwo aparatów elektrycznych zaprosiło uczestników kongresu do wzięcia udziału w doświadczeniu. Rezultat przewyższył wszelkie oczekiwania, bo nietylko uwidoczniono części kostne organizmu, ale można było badać całe wnętrze przeświecanego indywiduum, ruchy serca, stan płuc i t. d.

Wieczorem po odbyciu ostatniego posiedzenia, t. j. 7 sierpnia r. z., zebrali się wszyscy kongresowicze na wspólny bankiet. Po licznych toastach, wniósł podsekretarz stanu, Mayr, zdrowie uczonego świata i pośród ogólnych oklasków zaznaczył, iż nauka musi być międzynarodową, jeśli się ma rozwijać. Uczeni wszystkich narodów łączcie się! *Die Gelehrten verschiedener Nationen müssen getrennt marschiren, aber vereint schlagen!*

Miejsce i czas przyszłego kongresu: Paryż w r. 1900.

II. **Kongres antropologiczno-kryminalistyczny.**

Silna reakcya przeciw teologiczno-jurystycznym pojęciom klasycznéj szkoły prawa karnego, objawiła się w czterech kongresach kryminalistycznych szybko po sobie następujących: w Rzymie, Paryżu, Brukseli i—ostatni—w Genewie. Zadanie, nad którego rozwiązaniem kongresy te pracowały, polegało najprzód na medycznem zbadaniu pojęcia zbrodni. Według szkoły klasycznéj, opierającéj się na prawie rzymskiém, zbrodnia jest objawem „wolnéj woli" danéj jednostki, która, mając do wyboru dwie drogi: cnoty i przestępstwa, wybiéra „dobrowolnie" drogę przestępstwa. Tymczasem badania psychiatrów wykazały zupełną błędność tego poglądu. Skalpel anatoma wykrył, iż wola ludzka jest nadzwyczaj skombinowanym objawem funkcyi organizmu, że o „swobodnéj" woli mowy być nie może, a niektórzy, jak np. Huxley, posunęli się tak daleko, iż nazwali człowieka wprost automatem, maszyną zależną niewolniczo od własnego systemu nerwowego i od mniejszéj lub większéj wrażliwości na wpływy otoczenia.

Poglądy te podjął i niejako wcielił w sobie profesor medycyny sądowéj na uniwersytecie turyńskim Cesare Lombroso—i dał początek szkole kryminalistycznéj, która, opiérając sie na hypotezie o zupełnym braku wolnéj woli, rozpoczęła systematyczną wojnę z zastarzałemi tradycyami prawniczemi.

Jako typ zbrodniarza, przyjmuje Lombroso „przestępcę z urodzenia" *(incorrigibili nati)*, a badania jego szkoły ograniczają się do wyszukania t. zw. stygmatów zbrodniczości, objawiających się nietylko w anomaliach anatomiczno-fizyologicznych, jak np. w niezwykłéj budowie czaszki, w całéj fizyognomii, i w anormalnych funkcyach organizmu, ale nadto w zupełnym braku wrażliwości moralnéj, w t. zw. *moral insanity* (moralne szaleństwo) i w towarzyszącéj mu zwykle epilepsyi. Zbrodnia jest—według Lombrosa—atawistycznym wybrykiem natury ludzkiéj, a ponieważ objawia się wbrew albo i bez woli człowie-

ka, niepodobna więc — po sprawiedliwości — karać za tego rodzaju czyny. Na zbrodniarzu spoczywa ręka „przeznaczenia". Jest on ofiarą fatalizmu i cierpi niezasłużenie. Co już Mahomet w islamizmie ogłosił za dogmat wiary, to przyjmuje obecnie Lombroso i jego szkoła za pewnik naukowy.

Bezwinność i bezkarność zbrodni uznaje więc nowa szkoła w zasadzie. W praktyce jednak, będąc zmuszoną uwzględnić społeczeństwo, w którém zbrodniarz żyje, szuka sposobu uczynienia nieszkodliwym osobnika anormalnego i zabezpieczenia tym sposobem otoczenia przed następstwami jéj chorobliwego stanu. Metoda, którą się kieruje, wykazuje właśnie słabe strony Lombrozyanizmu i niedojrzałość kryminalistycznéj teoryi, do zastosowania jéj w praktycznéj kryminalistyce. Lombroso żąda bowiem dla „zbrodniarzy z urodzenia" (t. j. niepoprawnych czyli „nieuleczalnych", w odróżnieniu od zbrodniarzy „przygodnych" t. zw. takich, którzy jedynie przypadkowym zbiegiem okoliczności zostali pchnięci do zbrodni)—„zupełnego uczynienia ich nieszkodliwymi" czyli dożywotniego więzenia.

W zasadzie niepodobna temu żądaniu odmówić konsekwencyi. Lombroso zapomina jednak o rzeczy najważniejszéj — a to: o daniu ścisłéj definicyi „zbrodniarza z urodzenia". Dopóki brak jéj, póty przeprowadzenie reformy kryminalistycznéj — według planu Lombrosa — jest niewykonalne, choćby z samego względu na biurokracyę, która jedna zyskałaby na tém, zdobywając sobie nowe pole samowładczéj działalności. Wprawdzie Lombroso sam przyznaje, iż jego teoryi brak wykończenia, że anatomiczno-fizyologiczne cechy zbrodniczości wykryte przezeń, mimo iż są niezawodne, stanowią jedynie pojedyńczy ton muzyczny, z którego niepodobna stworzyć akordu, jeśli nie przyłączą się doń jeszcze inne stygmaty fizyczne i moralne", — ale tém wyznaniem ani teoryi swéj nie wzmacnia, ani słabéj jéj strony nie usprawiedliwia.

Niedokładności te Lombrozyanizmu, zauważone zostały natychmiast po jego narodzinach. Już przed laty wykazywali je: Brouardel, Manouvrier, Benedict i inni uczeni. Doszło nawet do tego, iż na przedostatnim kongresie w Brukseli ogłoszono bankructwo teoryi Lombrosa, a pomiędzy wszystkimi uczestnikami znalazła się ledwo jedna osoba, mająca odwagę stanąć w obronie mistrza, — a była nią pani Tarnowska, doktór medycyny z Petersburga. Sam Lombroso był nieobecny; nie trudno téż było uporać się przeciwnikom z jego teoryą.

Zarzut, czyniony jéj ogólnie, nieuwzględnienie socyologii kryminalnéj w określeniu typowego zbrodniarza — skłonił pewną część uczniów Lombrosa do secesyi z jego szkoły i do utworzenia no-

wéj *scuola terza*, która za swe zadanie podaje: uzupełnienie teoryi Lombrosa opiérającéj się na zbyt jednostronném akcentowaniu czynników biologicznych, przez wciągnięcie w rachubę socyologii kryminalnéj. Koryfeuszami téj szkoły są Enrico Ferri, Colajanni, Alimena, Carnevale i t. d.

Mimo różnicy, dzielącéj obie szkoły, zgadzają się one na jedno: że Lombroso jest niezaprzeczonym ojcem nowego kierunku w kryminalistyce i, że mimo pewnych niedokładności, teorya jego jest podstawą, na któréj przyszła kryminalistyka oprzéć się musi. Secesyoniści badają zbrodniarza nie tylko ze stanowiska czysto anatomicznego, nie uważają jego anormalnego stanu za wyłączny owoc konstytucyi fizycznéj, lecz nadto za wynik wpływu otoczenia, i za konieczny produkt popędu przystosowania.

Lombroso upiéra się przy anatomii, jako wyłącznym czynniku *scuola terza* przy socyologii kryminalnéj. Kongres ma rozstrzygnąć po czyjéj stronie jest słuszność. Hasłem burzliwych rozpraw jest: *pro* lub *contra* Lombroso.

Prezydent rzeczypospolitéj szwajcarskiéj Lachenal otworzył kongres dnia 24 sierpnia b. r. w olbrzymiéj auli uniwersytetu genewskiego. Pomiędzy obecnymi nie zauważyłoby nawet oko nieuprzedzonego widza, postaci drobnego przysadkowatego człowieczka, o wielkiéj charakterystycznéj głowie, wybitnych rysach twarzy, w okularach i ze szpakowatą energiczną brodą *à la Henri IV*: Lombroso. Obok niego wyglądał Enrico Ferri okazale: młody smukły, wysokiego wzrostu, śniadéj twarzy, o żywych oczach i pięknén czole. Uwagę publiczną ściągali nadto: szwajcarski psychiatra Forel (znany czytelnikom z kongresu psychologicznego), belgijski ex-minister sprawiedliwości Lejeune, tajny radca dworu v. Liszt z Halli, wreszcie petersburski psychiatra profesor Bechterew, rosyjski prokurator Fojnicki, i *enfant terrible* kongresu senator Zakrewski, nadto mnóstwo lekarzy, prawników i ciekawéj publiczności. Po wybraniu biura kongresowego i wstępném słowie prezydenta, który zwracał szczególną uwagę na fakt, iż tu poraz pierwszy bierze kryminalistyka obok stygmatów anatomiczno-fizyologicznych w rachubę czynnik socyologiczny — ogłoszono kongres za otwarty i pierwszy zabrał głos, wśród hucznych oklasków, Cesare Lombroso.

Mówił o postępach kryminalnéj antropologii i socyologii począwszy od roku 1890. Uwzględniwszy najnowsze prace, zbliżamy się — zdaniem referenta — do owéj nieznanéj dotychczas ścisłéj definicyi „wrodzonego a więc nieuleczalnego zbrodniarza.” Dowodzą tego badania Winklera, Mondio'a, Carrary, Lippmanna, Motti'ego, Ottolenghi'e-

go i innych. Lippmann sprawdził np. u wielkiéj ilości nałogowych zbrodniarzy liczne nacięcia w skórze, przedstawiające rysunki, zdania, napisy i t. p. Mondio i Motti wykazują u zbrodniarzy anormalny kształt mózgu, nierówną ilość i zmniejszenie wagi zwojów mózgowych; nadto u 90 procent zbrodniarzy zboczenia w rozwoju wewnętrznych organów, jak np. serca, które wykazuje często bezpośrednie połączenie dwóch komór, anomalię nerek i t. p. Ottolenghi zaznacza nadto u zbrodniarzy liczne wypadki psychicznéj epilepsyi. Wszystkie te spostrzeżenia potwierdzają tylko jego teoryę. Czy to jednak przekona ludzi, którzy już z góry są do jego hypotezy uprzedzeni? „Wątpię.”

Oświadczenie niniejsze wywołało — jak łatwo przewidzieć—burzliwą dyskusyę. Po replikach psychiatry Näckego i brukselskiego profesora Dallemagne'a przemawiali Forel i Ferri. Pierwszy starał się obozy pogodzić. Mitygował napastników uwagą, że jeśli nawet znajdują w teoryi uczonego turyńskiego błędy, nie należy jednak zapominać: że on to jest twórcą systematycznych badań kryminalistyczno-antropologicznych, i że chcąc odmówić wprost teoryi jego wszelkiéj podstawy „wylewa się z wanienki dziecko razem z wodą.” Enrico Ferri, namiętny zwolennik Lombrosa, wypowiada *credo* założonéj przez siebie *scuola terza* i wprowadza temat odrazu na obiektywne tory, pozbawiając go subiektywnego czynnika Lombrosa. Treść jego przemówienia jest mniéj więcéj następującą: Zbrodniarz z urodzenia nie jest typem wyłącznie anatomicznie anormalnym. Jest to indywidualność skombinowana i aby ją zrozumiéć, należy wziąć pod uwagę trzy czynniki: biologiczny, psychologiczny i socyalny. Sama zbrodniczość jest owocem współdziałania trzech sił: atropologii danego osobnika, następnie jego fizycznéj konstytucyi i wpływu środowiska społecznego, w którém żyje. Z naciskiem podnosi Ferri fakt, że niejeden może się urodzić z cechami zbrodniczości a przecież umiéra po długich latach, bez dopuszczenia się najmniejszego przestępstwa, jeśli żył w otoczeniu i warunkach, skąd mógł czerpać siły do powstrzymania się od czynów karygodnych. I na odwrót: mimo złego otoczenia znajduje czasem indywiduum w sobie samém dość siły do oparcia się wpływowi zewnętrznemu... Lombroso nie uwzględnia dostatecznie czynnika społecznego w kryminalistyce; studyuje on przestępcę zanadto w laboratoryum, a za mało w społeczeństwie, wobec którego przecież zbrodniarz staje się winnym.

Sądząc z owacyi, które spotkały Ferri'ego po odczycie, należy wnosić, iż nowa szkoła ma obecnie więcéj zwolenników od czystego Lombrozyanizmu, mimo że, jak słusznie zauważył Dallemagne, teorya Ferri'ego różni się tak zasadniczo odteoryi pozytywnéj szkoły krymi-

nalistycznéj, iż jest prawie zupełnie nową hipotezą. Skoro bowiem Lombroso uwzględnia tylko jeden punkt widzenia zbrodni ze stanowiska psychofizyologii i anatomii—i dąży przedewszystkiém do zbadania tylko tych czynników metodą naukową mikroskopu i noża,—Ferri rozszerza perspektywę i tém samém czyni zasadę jeszcze zawilszą. Do badań psychofizyologicznych jednostki przyłączają się u niego badania objawów społecznych, które światu naukowemu są nieskończenie mniéj znane, niż objawy indywidualne. To zwiększenie trudności jest jednak o tyle zbawienne, że skłania sędziego do nadzwyczajnéj ostrożności w badaniu i osądzeniu jakiéjkolwiek sprawy kryminalnéj; wyklucza więc tém samém zbyt wygórowaną podmiotowość w widzeniu stanu rzeczy i daje prawdopodobieństwo wyroku obiektywnego.

Z szkoły Lombrosa zabierali głos Anfosso w sprawie nowych pomiarów kraniologicznych, które mają z matematyczną dokładnością wykazać istnienie stygmatów zbrodniczości w budowie czaszki. Referent twierdzi, że wynalazł aparat wykrywający anormalną budowę czaszki w sposób czysto mechaniczny i rozwiązujący tém samém w tak prosty a pewny sposób najważniejszą część hipotezy Lombrosa.

Lombrozyonista Pailhas stara się wykazać dyagnostyczną wartość dokładnéj znajomości kształtów ludzkiego ucha, które odpowiednio do charakteru indywiduum przybiera najrozmaitsze formy. I tak np. uważa referent uszy mocno odstające za cechę zbrodniczości; mocno przyrośnięte lub bardzo drobne miękisze, oznaczają nerwowy, zdegenerowany temperament; grube zaś, mięsiste i swobodnie wiszące umysł inteligentny i charakter energiczny.

Wywody te trafiły na zjadliwą krytykę Naeckego i Forela.

Profesor Marro z Turynu referował o związku między dojrzewaniem organizmu a skłonnością do zbrodni i obłąkania. Wykład ten oparty na badaniach według teoryi ewolucyjnéj, rzucił nowe światło na tę dziedzinę kryminalistyki. Marro zwraca uwagę na drugorzędne objawy towarzyszące dojrzewaniu organizmu: zwierzę w tym czasie otrzymuje stałą formę i pewny charakter. Ptaki zmieniają upierzenie, jeleń dostaje rozłożystych rogów, człowiek zyskuje silną muskulaturę, równocześnie głos mutuje, tors rozwija się, kościec nabiéra tęgości i gibkości. Równolegle z temi objawami postępują zmiany wewnętrzne organizmu. Samce w tym czasie są niezwykle rozdrażnione i napastnicze, samiczki zachowują się wyzywająco i kokietują. Posłuszny pies nie słucha głosu pana, pogromca zwierząt nie odważa się wstąpić do klatki uległych mu zresztą bestyi. Na ten właśnie czas przypada u mężczyzny najgwałtowniejsza skłonność do przestępstwa, gdy tymczasem u kobiety faza ta występuje dopiéro późniéj, w okresie macie-

rzyństwa, gdy jéj fizyczna konstytucya jest wzmocniona a poczucie siły spotęgowane.

Czém jest zwyrodnienie i jaki jest jego stosunek do kryminalistyki—omawiał profesor Dallemagne. Zdaniem referenta mieszczą się w nazwie zwyrodnienia pewne procesy biologiczne, dążące do zniszczenia albo saméj jednostki albo téż całego gatunku. Degeneracya jest normalnym procesem biologicznym, ujawniającym się w doborach: płciowym i naturalnym, dokonywanych — odpowiednio do teoryi Darwina—pod wpływem czynników społecznych i indywidualnych. Wyniki tego procesu polegają na zboczeniach już to natury anatomicznéj, już biologicznéj, już socyologicznéj. Ostatni rodzaj zboczenia ujawnia się w braku zdolności przystosowania do otoczenia, czyli do walki z istniejącym porządkiem społecznym, która zowie się „zbrodnią" i jest według istniejących praw karygodną. Wniosek, jaki stąd wysnuwa konsekwentnie referent jest, że kryminalność i zwyrodnienie nie mają w zasadzie ze sobą nic wspólnego, jakkolwiek faktycznie ujawniają się zwykle jedno w towarzystwie drugiego.

W dyskusyi wywiązanéj nad tym tematem zarzucano referentowi uznanie degeneracyi za normalny, biologiczny proces. Definicya ta jest fałszywa. Dallemagne pomieszał widocznie pojęcia zwyrodnienia z pojęciem inwolucyi czyli zeszczątkowania narządów (*la regression fonctionnelle*). Inwolucya polega na zaprzestaniu używania niektórych narządów i sprowadzenia przez to naprzód zastoju w ich rozwijaniu się, a następnie ich zeszczątkowania czyli cofnięcia się do stanu zupełnéj bezużyteczności, jak np. u człowieka szczątki ogona.

Jeśli więc funkcyonalność niektórych organów człowieka zmniejsza się z postępem cywilizacyi, np. siła wzroku, słuchu, węchu i t. p. a zwiększa się natomiast działalność innych organów (np. mózgu) — w tym wypadku przebieg procesu biologicznego jest rzeczywiście zupełnie normalny—ale téż wtedy nie nazywa się w ścisłym języku naukowym, zwyrodnieniem, lecz inwolucyą.

Degeneracya zaś we właściwém słowa znaczeniu, jako masowy objaw chorobliwy, ma swe źródło w masowéj nędzy i proletaryzowaniu społeczeństwa. Uwzględniwszy w téj mierze zbieg wypadków, otrzymuje się rezultat, mocą którego zwyrodnienie może być, ale nigdy nie musi być, wynikiem wrodzonéj skłonności do zbrodni, gdyż ono mogło równie dobrze wyniknąć z biegiem czasu, pod wpływem życiowych warunków, w których rozwijało się dane indywiduum. Nie podobna więc utożsamiać kryminalności z degeneracyą, bo jedno i drugie ma zupełnie odmienne źródła i jednostka zdegenerowana jest wprawdzie

zazwyczaj kryminalną, ale jednostka kryminalna nie zawsze musi być zdegenerowaną.

Enrico Ferri w odczycie na temat: „Kryminalistyka a temperament" stara się wykazać, że istniejący czwórkowy podział temperamentów, na flegmatyczny, sangwiniczny, melancholijny i choleryczny, nie jest wystarczającym. Do wymienionéj liczby dołącza Ferri temperament piąty: kryminalistyczny. Uzasadnia to referent faktem, iż każde przestępstwo jest czynem anty-socyalnym człowieka podległego wszelkim wybrykom swego systemu nerwowego, osłabionego nieprzyjaznemi wpływami, częścią natury fizyologicznéj, częścią socyalnéj. Temperament taki, jako anormalny nie podchodzi pod żadną z czterech nazw tradycyjnych i domaga się koniecznie zaliczenia do nowéj a nieuwzględnionéj dotychczas kategoryi temperamentów: kryminalistycznéj.

Aktualne zastosowanie nowéj teoryi kryminalistycznéj w praktyce, omówił amsterdamski profesor Van Hamel, założyciel „Międzynarodowego zjednoczenia kryminalistów", w referacie „o zwalczaniu anarchizmu ze stanowiska antropologii kryminalnéj." Wnioski, które wysnuł z rozumowania na powyższy temat, znajdują wyraz w następującém orzeczeniu kategoryczném: Anarchiści są bez wyjątku zwykłymi zbrodniarzami, a nie politycznymi; anarchiści są częścią zjawiskami natury patologicznéj, częścią zaś są to zwykli zbrodniarze, którzy teoryi anarchistycznych używają jedynie za pokrywkę dla swych samolubnych celów. Pierwsi z nich (rzeczywiście chorzy) mają być pozamykani w domach obłąkanych, — drudzy mają ponosić najsurowsze kary, nawet śmierć, ponieważ obowiązkiem i prawem społeczeństwa jest bronić się wszelkiemi sposobami przed szkodliwemi czynami zbrodniczych jednostek, jak to już zresztą Spinoza czystą spekulacyą w swéj „Etyce" udowodnił.

Definicyi rzeczywiście chorych t. j. zwyrodniałych zbrodniarzy dla odróżnienia ich od zwykłych przestępców—referent nie podaje...

W obronie anarchistów stają Lombroso i Ferri. Pierwszy uważa ich za „Philoneistów" (zwolenników postępowych reform), działających jedynie z poświęcenia dla dobra ludzkości i w imię miłości bliźniego. „Prawdziwy anarchista" działa zawsze w najlepszéj wierze." Dlatego należy—zdaniem tego uczonego—traktować anarchistów, jak wszystkich innych przestępców politycznych nie zaś według specyalnych praw wyjątkowych. Mimo swego niepokonalnego wstrętu do instytucyi sądów przysięgłych, gotów Lombroso zgodzić się ostatecznie na zastosowanie ich przy sądzeniu zbrodni fanatyków religijnych i politycznych, a więc i anarchistów. „Jednak (z przekąsem) te trybunały

sędziów przysięgłych musiałyby się składać wyłącznie z senatorów i deputowanych... Nie należy zresztą zapominać, że *tempora mutantur*, a co dziś jest zbrodnią, już jutro może być bohaterstwém."

Jeden Ferri nie odstępuje mistrza. Potwierdza i popiéra gorąco jego wywody. Crispi ginie ostatecznie za swe prześladowania anarchistów, od piorunów wymowy młodego reformatora z katedry, a cały obecny system karny równa Ferri z ziemią... System więzienny, to „*absurdum* XIX-go wieku" musi ustąpić miejsca nowemu systemowi karnemu, zgodnemu z duchem czasu. Jak ten system ma wyglądać — Ferri sam jeszcze dobrze nie wié... Mniejsza jednak o to... Pewnikiem jest w każdym razie, że tylko hygiena „socyalna i reforma społeczna" zdolne są uzdrowić świat współczesny. Na czém jednak jedna i druga polega—o tém milczą jego wymowne usta...

Słynny kryminalista francuski Tarde miał odczyt „o kryminalistyce zawodowéj." Nazwę tę należy rozumiéć dwojako: po pierwsze—zbrodnie popełniane przez należących do pewnego oznaczonego zawodu, a następnie zbrodnie właściwe jakiemuś specyalnemu zawodowi. Co do pierwszego rodzaju przestępstw wykazuje Tarde, że we Francyi na każde 10,000 ludzi przypada następujący procent zbrodni: w rolnictwie 0.84; w przemyśle 1.32; w handlu 1.0; w zawodach liberalnych (z wyższém wykształceniem) 2.39. Te ostatnią grupę dzieli Tarde na pojedyńcze kategorye i obdziela je zbrodniami: kler 0.71; profesorowie i pedagodzy 1.58; lekarze 1.86; aptekarze 3.79; akuszerki 8.60; literaci i uczeni 4.49; artyści 4.02; urzędnicy pocztowi 7.45; notaryusze, adwokaci, urzędnicy sądowi 28.13 Co do zbrodni właściwych specyalnym zawodom, — najbardziéj charakterystycznemi są np. u kupców podstępne bankructwa, u akuszerek spędzenie płodu i t. p. Zaznaczyć jednak wypada, iż statystyka jest bardzo niedokładna, na co zresztą Tarde sam zwraca uwagę. Wnioski więc, z tych dat statystycznych snute, należy brać nadzwyczaj sceptycznie.

Kwestyę „kleptomanii" omówił profesor lyoński Lacassagne, wydawca pierwszorzędnego czasopisma francuskiego poświęconego kryminalistyce „Archives de l' Antropologie criminelle" i autor słynnego dzieła, świéżo wyszłego z druku p. t. „Zbrodnia, samobójstwo i rozwód", do którego przedmowę napisał Bertillon, wynalazca systemu antropometrycznego. „Klepto-mania" jest chorobliwym popędem do spełnienia kradzieży, objawiającym się u ludzi dobrze uposażonych majątkowo, a więc bez troski o jutro. Kradzieże takie spełniane są zwyczajnie w wielkich (galanteryjnych!) magazynach. I tak zdarzają się wypadki, iż elegancko ubrana dama kradnie pierścionek, broszkę lub jakąkolwiek fatałaszkę. Czy to rzeczywiście kradzież w krymina-

listycznêm znaczeniu? Psychiatra zaprzecza, twierdząc, iż taka osoba działała w stanie niepoczytalnym. Ludzie tacy badani o powód przestępstwa, odpowiadają zwykle: „Zdawało mi się, że to wszystko do mnie należy." Najciekawszemi okazami pod tym względem są młode bony, które z prowincyi przyjeżdżają do Paryża i można je nieraz obserwować na ulicy, jak stają olśnione i hipnotyzowane blaskiem wspaniałych wystaw sklepowych. Te wystawy uważa Lacassagne za najgłówniejszy powód kleptomanii, na którą jest, jego zdaniem, tylko jedna rada: strzedz się kleptomanów w sposób możliwie najmniéj rażący.

Forel widzi w têm zjawisku jedynie następstwo *tartarinady* t. j. zbytniego chorobliwego rozdrażnienia fantazyi.

O stosunku alkoholizmu do kryminalistyki mówił Legrain, dyrektor paryskiego szpitala dla alkoholików. Referent zowie pijaństwo źródłem największéj liczby zbrodni. Następstwa tego nałogu nie ograniczają się jedynie do zupełnego zdegenerowania jednostki, lecz przenoszą się na potomstwo, które nabywa po nałogowych rodzicach „cechy zbrodniczości z urodzenia." Nałogowy pijak działa nietylko demoralizująco na swe najbliższe otoczenie i wyrządza mu najrozmaitsze szkody materyalne, ale napady *delirium*, zjawiające się chronicznie, czynią go również niebezpiecznym dla osób daléj stojących. Chodzi więc o sposób zapobieżenia szerzącemu się alkoholizmowi. Na zakładanie szpitalów i schronisk dla nałogowców i przymusowe internowanie ich tamże, zgadza się referent tylko częściowo. Jest raczéj za tworzeniem stowarzyszeń wstrzemięźliwości, których członkowie mieliby za obowiązek zupełne wstrzymywanie się od gorących napojów. Innéj rady Legrain na tę klęskę nie zna; Forel ogranicza się do wyrażenia swéj sympatyi dla wniosku szanownego referenta, a kongres przyjmuje radę do wiadomości.

Najgwałtowniejsze sceny wywołał odczyt byłego nadprokuratora charkowskiego, senatora Zakrewskiego, „O stosunku prawa do antropologii kryminalnéj". Zdaniem jego, nie ma psycho-patologia z prawnictwem nic a nic do czynienia, a przyznanie słuszności nowożytnéj psychyatryi oznacza — jego zdaniem — tyle, co zastąpienie sędziego przez lekarza... Antropologia kryminalna nie ma—zdaniem p. Zakrewskiego—już dlatego żadnego prawa bytu jako samodzielny dział naukowy, iż brak jéj kontrastu, a mianowicie: antropologii cnoty!.. Jurysprudencya nie może kapitulować na korzyść medycyny!.. Wywody swe zakończył fundamentalnêm... twierdzeniem, że stosunek prawa do antropologii jest ten sam, co prawa np. do—geografii!..

Można być ostatecznie zasadniczym przeciwnikiem Lombrozyanizmu, jak senator Lejeune, *Abbé* Baets i inni, ale nie wynika jeszcze

z tego, aby w naukowej dyskusyi zapominać o granicach przyzwoitości parlamentarnej i czepiać się wprost osoby przeciwnika, pomijając bronione przez niego poglądy. Wszyscy przeciwnicy naukowi Lombrosa, zabierający głos na kongresie, poruszali się w zakresie najdaléj idącéj przedmiotowości i walcząc z niesympatyczną sobie teoryą kryminaloga, oddawali zawsze jemu samemu cześć, należną każdemu samodzielnemu i śmiałemu myślicielowi. Zakrewski obszedł się z Lo*m*brosem, jak ze zwykłym oskarżonym. Ale też podobnéj repliki, jaką mu dał Ferri, z pewnością w swém życiu od żadnego adwokata nie usłyszał. Zarzut ignorancyi, zacofania i umysłowéj ślepoty — był jeszcze najmniejszym.

Lombroso, w odpowiedzi *pro domo sua*, zachowywał się bardzo wstrzemięźliwie i zauważył tylko, że współczesna antropologia kryminalistyczna zbyt wysoko i silnie stoi, aby się miała zniżyć do obrony od podobnych napaści lub doznać jakiegolwiek od nich uszkodzenia.

Osaczony w ten sposób ze wszystkich stron pan Z. uważał za stosowne przemówić parę słów na swą obronę. Nie miał wcale zamiaru obniżać wysokiéj wartości badań szkoły pozytywnéj prawa karnego— i jedynie tylko musi odmówić współczesnéj kryminalistyce antropologicznéj wszelkiego prawa bytu do samodzielnego istnienia, które sobie rości. Zgromadzenie przyjęło to oświadczenie do wiadomości i przeszło nad całą sprawą natychmiast do porządku dziennego.

W zastępstwie byłego profesora uniwersytetu moskiewskiego N. Drilla odczytał p. Fojnicki (który zeszłego roku wydał na spółkę z paryskim profesorem Leveillé ogromnéj doniosłości dzieło „o deportacyi”), rozprawę „o podstawach poczytalności w prawie karném.” Zasadą, na któréj opiérają się współczesne systemy klasycznego prawa karnego, jest dogmat o wolnéj woli. Tymczasem antropologia kryminalna, opiérając się nie na wynikach z metafizycznych spekulacyi, lecz faktycznych doświadczeń, zaprzecza stanowczo istnieniu swobody woli, jako pojęciu *a priori*—a na jéj miejsce stawia przeznaczenie (determinizm, fatalizm). Człowiek więc, według téj nowéj nauki, nie działa tak lub owak, dlatego że chce działać właśnie tak a nie inaczéj, lecz dlatego, że inaczéj działać nie może, że tak działać musi. Cała czynność ludzka nie jest niczém inném, jak tylko produktem indywidualności danéj jednostki, z wszystkiemi jéj żądzami i namiętnościami. I dlatego właśnie w postępowaniu czyli w działalności każdego człowieka, odbija się cała fizyczna i moralna istota jego jaźni. Teoretyczny wniosek, konsekwentnie wysnuty z tego rozumowania jest, iż odpowiedzialność w ścisłém słowa znaczeniu, za

swe czyny jest wykluczoną. Jeśli jednak w praktyce rzecz się ma inaczéj, leży powód nie w charakterze pojedynczego indywiduum — lecz w charakterze zjednoczenia osobników czyli w zorganizowaném społeczeństwie.

Pojęcie złego i dobrego jest więc określeniem postępków ludzkich ze stanowiska społecznego: czyn pożyteczny dla ogółu jest dobrym,—czyn dla ogółu szkodliwy—złym. Człowiek, spełniający czyny złe, jest dla społeczeństwa szkodliwy; ponieważ zaś nadto przestępuje tém samém ustawy państwa, któremi broni się zorganizowane społeczeństwo przeciw szkodliwym wpływom, staje się tém samém „przestępcą" czyli „zbrodniarzem" i zostaje za swe czyny pociągniętym przez państwo do odpowiedzialności. Jakkolwiek zatém człowiek jest w gruncie rzeczy niewinną ofiarą fatalizmu—według Lombrosa, — nie zwalnia go to jednak od odpowiedzialności wobec społeczeństwa, które dając mu możność korzystania z licznych wygód, nakłada nań równocześnie pewne surowe obowiązki — i za niespełnienie ich karze. Kara więc nałożona na zbrodnie nie oznacza dążenia do pomsty ani chęci poprawienia przestępcy, lecz poprostu akt obrony społeczeństwa przeciw szkodliwemu dla niéj zachowaniu się niektórych jednostek. Zapatrywanie to nie jest nowém. Już Spinoza w czwartéj części swéj „Etyki" wypowiedział i udowodnił je z niezrównaną logiką.

Referent zapatruje się również na zbrodniczość ze stanowiska determinizmu. Na kongresie psychologicznym w Monachium bronił téj tezy tajny radca v. Liszt. Zachodzi teraz pytanie jak wybrnąć z dylematu, jak pogodzić fizyologicznie stwierdzoną niewinność zbrodniarza z dobrem społeczeństwa, zagrożonego przez świat zbrodniczy. Referent wywiązuje się z zagadnienia, uznając w zasadzie nieunikniona konieczność zastosowania systemu kar do zbrodni, jednakowoż nie według istniejącego szablonu klasycznego prawa karnego. Szablon ten ustanawia ściśle *minimum* i *maximum* dla pewnéj zbrodni, ale nie uwzględnia indywidualności zbrodniarza. Po odpokutowaniu przestępstwa odzyskuje zbrodniarz wolność bez względu, czy tkwi w nim jeszcze ów szkodliwy czynnik pchający go do zbrodni, czy też nie. „Więzień odzyskuje na nowo możność rzucenia się na społeczeństwo" by się posłużyć wyrażeniem słynnego jurysty Iheringa. Nowa szkoła kryminalistyczna potępia ten system karny. Zadaniem społeczeństwa jest—według niéj—nie karanie zbrodniarza, lecz wyleczenie go. W jaki sposób można ten idealny cel osiągnąć, referent nie mówi...

Nad reformą systemu karnego wywiązuje się ożywiona dyskusya. Generalny inspektor więzień w Londynie major Artur Griffiths stwierdza również bezcelowość systemu karnego, będącego obecnie

w zastosowaniu, ponieważ zbrodniarze już po krótkim czasie rozpoczynają na nowo dawne szkodliwe dla społeczeństwa rzemiosło. Jedyny sposób zapobieżenia téj recydywie leży—zdaniem referenta—w nieograniczoném co do czasu internowaniu, jednak nie w więzieniach, lecz w wiejskich koloniach albo w domach roboczych; zupełne uwolnienie może nastąpić tylko wtedy, jeśli stan „pacyenta" nie budzi już obawy.

Na ten wniosek zgadza się Lombroso, stwierdza jednakowoż równocześnie, iż środek ten może być zastosowanym tylko do małéj liczby „przygodnych" zbrodniarzy. W stosunku do zbrodniarzy zwyrodniałych jest zupełnie bezcelowy, bo niezdolny odnieść jakikolwiek zbawienny skutek. Pewne ulepszenia systemu karnego, podjęte ostatniemi czasy przez niektóre państwa jak Szwajcaryę, Anglię, Belgię, Stany Zjednoczone Ameryki północnéj i inne, a polegające na „zawarunkowaném skazaniu" oskarżonego, objawiającém się w „odroczeniu pokuty" (*sursis à l'exécution*, *probation of good conduct*, *Aufschub des Strafvollzuges*) skoro chodzi o młodocianych przestępców, i w „nieoznaczonych wyrokach" (*indeterminate sentences*, *Unbestimmte Strafurtheile*) skoro chodzi o nałogowych zbrodniarzy, — te ulepszenia są jeszcze najpraktyczniejszemi środkami na „przygodnych" zbrodniarzy. Cóż jednak począć ze zwyrodniałymi? Lombroso dochodzi do następującego wniosku:

Jedną ich część należy uważać za zupełnie nieuleczalną—i w tym wypadku wszelka zmiana miejsca pobytu jest bezcelową, bo bezskuteczną. Inna część, do któréj należą epileptycy i dziedziczni alkoholicy, są czasem do uratowania. Dokonać może tego jedynie metodyczne leczenie lub trepanacya czaszki—zależnie od wypadku. Ważném jest również „leczenie psychiczne" t. j. usunięcie od zwyrodniałego wszelkiéj sposobności dopuszczenia się zbrodni. Z czasem popęd zbrodniczy słabnie i przy odpowiednich warunkach nie rozwija się, tak, iż pewne indywiduum można uważać za normalne.

Na uwagę zasługują również wywody pewnego belgijskiego uczonego o szkodliwości systemu celkowego dla więźniów cierpiących na halucynacye. W samotności celi więziennéj, halucynacye zyskują tylko na sile, gdy tymczasem na wolném powietrzu, przy ciągłém zajęciu mózg zajęty jest bezustannie nowemi wrażeniami i nie ma czasu na chorobliwe tworzenie halucynacyi. Referent jest za koloniami roboczemi.

Wywody pewnego kryminalisty francuskiego o łatwości z jaką można nad niektóremi osobami zyskać wpływ bez zastosowania hipnozy, — i jak je następnie łatwo skusić do wydania fałszywego świadec-

twa—nakłoniły kongres do powzięcia uchwały, domagającéj się zupełnego usunięcia tajnego prowadzenia badań przez sędziów śledczych.

Eksminister sprawiedliwości Lejeune, z którego imieniem wiąże się wzorowa reforma belgijskiego systemu więziennego, wyraża w podniosłych słowach swą radość, iż znalazła się nareszcie w kryminalistyce dziedzina, na któréj „starzy" i „młodzi", klasycy i pozytywiści mogą sobie podać ręce do wspólnéj pracy. Tą dziedziną jest reforma systemu karnego. Jako uczeń klasycznéj szkoły kryminalistyki, przybyłem na kongres, aby wspólnemi siłami szukać środka zaradczego przeciw rozwojowi zbrodniczości, téj straszliwéj klęski ludzkości... Przysłuchiwałem się wywodom pana Ferri'ego, następnie osobiście z nim rozprawiałem—i zyskaliśmy obaj przekonanie, że, pominąwszy drobne różnice teoretyczne, zgadzamy się w praktyce do joty. Drobnostką różniąca nas, jest pogląd na wolność woli — ale sprawa ta jest przecież dla praktyki zupełnie obojętną... Co do mnie, nie żądam od antropologii kryminalistycznéj niczego innego, jak tylko, by pouczała sędziego i prawodawcę!... Nacóż mamy się błąkać po jałowém polu metafizycznych spekulacyi? Pozostańmyż lepiéj na polu praktyczném, gdzie się możemy jednoczyć we wspólnéj pracy pożytecznéj!

Ogólne wzruszenie. Ferri prosi zgromadzonych o przebaczenie, jeśli dał się zbyt unieść temperamentowi wobec zarzutów p. Zakrewskiego i innych przeciwników swego najukochańszego mistrza i duchowego ojca,—Lombroso zaś, by go już przestano wreszcie uważać za tygrysa czatującego na przestarzałe tradycye... bo w rzeczywistości jest niewinny jak królik!...

Na bankiecie, którym zakończono sześć dni trwające obrady, wniósł Lombroso zdrowie pani dr. Tarnowskiéj z Petersburga „naszéj wiernéj i niestrudzonéj towarzyszki broni."

Przyszły kongres w ojczyźnie Spinozy, Amsterdamie 1901 r.

(Wiedeń).

Karol Bicz.



TEORYA KONSUMCYI BOGACTW.

I.

Bodźcem do ekonomicznéj działalności człowieka są materyalne i moralne potrzeby, które odczuwa, starając się je zadowolnić i wyszukując ku temu środków, produkuje on bogactwa, gdyż pod tą nazwą należy rozumiéć wszystko, co człowiekowi przydać się może; proces zaś zaspakajania potrzeb ludzkich za pomocą bogactw nosi nazwę konsumcyi bogactw.

W klasyfikacyi zjawisk ekonomicznych, konsumcya bogactw, ze względów pedagogicznych, występuje zwykle na końcu, w istocie jednak należy jéj się pierwsze miejsce, historycznie poprzedziła ona tak produkcyę, jak i obieg bogactw, sięga po za życie społeczne, składa się z pierwiastków wchodzących w zakres zarówno ekonomii politycznéj, jak etyki i nauk przyrodniczych i jest jedném z ogniw łączących zjawiska społeczne ze zjawiskami przyrody, czego dowodem kwestya zbytku, interesująca zarówno ekonomię polityczną, jak moralność i hygienę. Konsumcya bogactw nietylko poprzedziła produkcyę, ale ją wywołała, kieruje nią i rządzi; wszystko, co człowiek wytwarza, do czego dąży i co stara się osiągnąć kosztem największych wysiłków, nie jest samo w sobie celem, lecz jedynie środkiem zaspokojenia jakiéjś potrzeby, służy do zużycia, do skonsumowania innego, a innego prze-

znaczenia mieć nie może, to też cała działalność ekonomiczna człowieka, jego praca pod wszelkiemi postaciami, jakie przybiérać może, musi się stosować do wymagań konsumcyi i przez nią bywa normowaną i regulowaną.

U pierwotnego człowieka konsumcya ograniczała się na bogactwach naturalnych, to jest takich, których dostarczyć była w stanie sama natura, bez udziału i pomocy pracy ludzkiéj. Jakkolwiek niektórzy przeczą istnieniu bogactw naturalnych w ścisłém tego słowa znaczeniu, utrzymując, że nawet zerwanie owocu z drzewa i włożenie go do ust jest pracą, że owoc przez samo zerwanie z czysto naturalnego staje się bogactwem wyprodukowaném, gdyż posiada użyteczność, któréj, wisząc u drzewa, nie posiadał, rozumowanie to grzeszy sztuczną subtelnością; sądzimy, że produkcyą należy nazywać nadawanie naturalnym bogactwom wyższego, bardziéj widocznego stopnia użyteczności, niezaprzeczenie też konsumcya musiała poprzedzić produkcyę i długo obchodziła się bez niéj, jak to dotąd dzieje się u dzikich i u zwierząt.

Dopiéro w miarę wzrostu liczby ludzi i ich potrzeb, przy wyższém rozwinięciu umysłowém, a trudniejszych warunkach życia, pojawiła się produkcya; dopóki bogactwa naturalne wystarczały człowiekowi, nie miała ona racyi bytu. Przyszedł jednak czas, w którym brak bogactw naturalnych dawał się uczuwać coraz silniéj, wtedy to niezaspokojone potrzeby i wynikłe stąd cierpienia naprowadziły człowieka na myśl, nadawania naturalnym bogactwom, za pomocą umiejętnie skierowanéj pracy, więcéj utylitarnych własności, aniżeli posiadały z natury, zaczął on wtedy przystosowywać bogactwa naturalne do swoich potrzeb, powiększać stopień ich użyteczności, czyli produkować.

Wiadomo powszechnie, że człowiek nie jest w stanie stworzyć ani jednego atomu materyi, że produkując, nie powiększa jéj pod względem ilości, lecz jedynie zmienia pod względem jakości, nadając jéj własność zaspakajania jakichś potrzeb, czyli zwiększając użyteczność bogactw naturalnych, albo nawet stwarzając tę użyteczność niekiedy w całości. Z drugiéj strony, konsumcya bogactw nie unicestwia materyi, lecz niszczy użyteczność, którą posiadała, czyli odbiéra jéj i niweczy własności zaspakajania nadal potrzeb ludzkich. Tak więc bogactwa naturalne przez produkcyę nabywają własności, które przez konsumcyę zatracają; konsumcya też i produkcya panują ponad wszystkiemi innemi zjawiskami ekonomicznemi: pierwsza jest ostatecznym celem wszystkich dążeń i zabiegów człowieka, druga jest środkiem do osiągnięcia najlepiéj i najskuteczniéj tego celu.

II.

Wszelkiéj produkcyi we właściwém jéj znaczeniu, czyli nadawaniu naturalnym bogactwom własności utylitarnych, towarzyszyć musi praca, wymagająca wysiłku, a tém samém pewnego przymusu i przykrości, kiedy konsumcya bogactw, będąc zaspokojeniem jakiéjś potrzeby, czy to fizycznéj, czy umysłowéj, rzeczywistéj czy urojonéj, wywołuje w człowieku uczucie przyjemności, a przynajmniéj zmniejszając uczucie przykrości, chwilową przynosi ulgę. Różnica ta sprawia, że człowiek bywa zwykle skłonniejszy do konsumcyi, aniżeli do produkcyi, często trwoni nieopatrznie bogactwa, któremi może rozporządzać, a oszczędność, czyli powstrzymywanie się od natychmiastowego użycia z myślą o przyszłości swojéj i swego potomstwa jest cnotą ekonomiczną, wymagającą pewnéj siły woli, rozsądku i zdolności przewidywania, co nie tak często spotykać się daje, jak pospolicie sądzą.

Nauka bardzo mało zajmowała się dotąd konsumcyą bogactw; niektórzy jéj przedstawiciele odmawiali nawet konsumcyi miejsca w ekonomii politycznéj, utrzymując, że jéj zjawiska są czysto moralnéj natury, to téż do ostatnich czasów konsumcyą bogactw rządziły najfałszywsze teorye i jaknajszkodliwsze przesądy, które krytyka naukowa dopiéro w wyższych warstwach społecznych zdołała zwalczyć i obalić.

Nie można zaprzeczyć, że sposób, w jaki winna się odbywać konsumcya bogactw jest jedném z najważniejszych zagadnień społecznych; mając na uwadze z jednéj strony pracę umysłową i fizyczną, jakiéj wymaga produkcya; z drugiéj — ilość ludzi żyjących w nędzy i niedostatku i przeróżne cierpienia, na jakie większość ich jest skazana, trzeba przyznać, że racyonalna konsumcya bogactw, dążenie do tego, aby się ona odbywała zgodnie z naturalném prawem ekonomii sił, z jaknajmniejszą dla społeczeństwa stratą utylitarnych własności materyi, posiada w praktyce ekonomicznéj pierwszorzędne znaczenie. Jakkolwiek prawodawstwa współczesne poddają rozmaitym niesłusznym ograniczeniom rozporządzanie przez właściciela należącemi doń bogactwami, sam sposób konsumcyi i niszczenia tych bogactw żadnym legalnym ograniczeniom nie podlega; prawo użycia i nadużycia „*jus utendi et abutendi*” jest i dziś główną zasadą prawa własności, tak jak było nią w prawodawstwie rzymskiém, a wszelkie próby ograniczania konsumcyi prywatnéj czynione wielokrotnie pod postacią środków i praw przeciwko zbytkowi, nie odniosły oczekiwanego skutku i przez

władze publiczne zaniechane zostały. Uznano też za sprawiedliwe i pożyteczne pozostawić nadal konsumcyę po za sferą ograniczeń legalnych, pozwalając każdemu używać swéj własności w sposób odpowiadający najlepiéj jego gustom, inteligencyi i rozwinięciu moralnemu.

Wszystkie bogactwa, czy to naturalne, czy wyprodukowane, jedynie przez konsumcyę mogą stać się użytecznemi dla człowieka, jest ona zawsze ostatecznèm ich przeznaczeniem, jedne bywają konsumowane szybko, inne powoli, jedne bezpośrednio przez producentów, inne, będące w obiegu, przez ofiarujących wzamian produkta swéj własnéj pracy, jedne bywają użyte na natychmiastowe zaspokojenie potrzeb ludzkich, inne obrócone na kapitał, poddane konsumcyi przemysłowéj, służą człowiekowi za narzędzie do dalszéj pracy i nowéj produkcyi. Należy jednak pamiętać o tém, że konsumcyi towarzyszy zawsze zniszczenie, odbiéra ona bogactwom wszystkie te cenne własności, które składały ich użyteczność, nigdy też nie może być obojętnym dla społeczeństwa sposób, w jaki się konsumcya odbywa, ani towarzyszące jéj okoliczności, gdyż cel jéj — zaspakajanie rzeczywistych potrzeb, może być osiągnięty lub nie. Skutki wszelkiéj konsumcyi mogą być pożyteczne lub szkodliwe, a więc dobre lub złe, konsumcya zatém jest zjawiskiem wchodzącém w zakres etyki ekonomicznéj i może być moralną lub niemoralną.

III.

Wszystkie bogactwa, jakeśmy to powiedzieli, powinny być konsumowane, inaczéj chybiłyby swemu przeznaczeniu, uległyby zniszczeniu pod wpływem czasu i przyczyn zewnętrznych, nie przynosząc człowiekowi żadnego pożytku; sama więc kwestya konsumcyi nie może podlegać dyskusyi, co nie jest skonsumowane przez człowieka, ginie dla niego bezpowrotnie, w imię téj zasady skąpstwo winno być bezwarunkowo potępione, naraża ono bogactwa na bezowocne zniszczenie, jakkolwiek trzeba przyznać, że dzięki łatwiejszéj i mniéj ryzykownéj lokacyi kapitałów, oraz rozsądniejszéj ocenie zjawisk codziennego życia, chorobliwy ten objaw oszczędności coraz rzadziéj spostrzegać się daje.

Istnieją dwa, zasadniczo różne w swych skutkach, rodzaje konsumcyi bogactw, a na téj różnicy polega cała doniosłość, jaka jéj przypisywaną bywa; różnica ta występuje w całéj pełni zwłaszcza w bardziéj oddalonych skutkach, jakie za sobą pociąga konsumcya:

może ona być produkcyjną lub nieprodukcyjną, czyli użyteczną i sprzyjającą dalszemu wzrostowi bogactw, lub bezużyteczną, czyli stającą wzrostowi temu na przeszkodzie. Z tego wynika, że stan ekonomiczny każdego społeczeństwa, ilość kapitału, jego jakość, jego podział, zależą w znacznéj mierze od sposobu używania bogactw, któremi ono rozporządza, czyli od ich konsumcyi; produkcyjna — zasadza się na umiejętném zużytkowaniu wszystkich własności utylitarnych, jakie materya zawiérać może, czy to przez człowieka współczesnego, czy pod postacią kapitału przez późniejsze generacye, nieprodukcyjna trwoni te własności, zatraca je bezpowrotnie, nie korzystając z nich wcale, powiększa ilość niezaspokojonych potrzeb i jest tém samém przyczyną wielu cierpień, których można było uniknąć. Ponieważ zaś kierunek konsumcyi nadają jednostki składające społeczeństwo, zależna jest ona w zupełności od stopnia rozwinięcia ich moralnego i umysłowego.

W rzędzie produkcyjnych konsumcyi bogactw należy postawić na pierwszém miejscu racyonalne zadawalnianie rzeczywistych potrzeb człowieka, sprzyjające normalnemu jego rozwojowi, gdyż jest on nietylko lokacyą *par excellence* produkcyjną, mogącą przedstawiać kapitał, nie dającéj się ocenić wartości, lecz jest naturalném nietylko źródłem, ale i celem wszelkiéj działalności ekonomicznéj. Znajomość praw natury i dane, których nauka dostarcza dla określenia i ocenienia w każdym szczególnym wypadku racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby i odpowiadającéj téj potrzebie konsumcyi, są już dziś wystarczające, aby mogły kierować postępowaniem człowieka. Dotąd funkcya ta przypadała zwykle w udziale moralności metafizycznéj, opierającéj się na oderwanych pojęciach d o b r e g o i z ł e g o, dziś hygiena i nauki społeczne uzyskały w kwestyi konsumcyi bogactw głos decydujący, gdyż potrzeby ludzkie i środki, któremi mają i mogą one być zaspakajane, podlegają prawom natury, badanie i formułowanie tych praw jest przedmiotem powyższych nauk, których teoryom praktyka bezwarunkowo winna być posłuszną.

Bezpośrednią, natychmiastową konsumcyę bogactw można, również rozpatrywać z punktu widzenia jéj produkcyjności i uważać ją za nowy czynnik produkcyi. Zapominając na chwilę o tém, że zadawalnianie potrzeb ludzkich, jest celem działalności ekonomicznéj, a zapatrując się na człowieka jedynie jako na narzędzie produkcyi, łatwo spostrzedz, że racyonalna konsumcya bogactw przez niego samego sowicie się opłaca, skoro jest dobrze skierowania, że jest on najlepszą kasą oszczędności, gdyż kapitał, który umysł jego zawiérać może, nie zna granic. Nagromadzenie siły, energii, zdrowia, kultury intelektual-

néj i moralnéj, nietylko pozwala człowiekowi zaspakajać rozumnie i celowo własne potrzeby, rozwijać się normalnie i żyć całą pełnią swych sił i zdolności, lecz i pod względem społecznym i altruistycznym ważne posiada znaczenie. Ponieważ człowiek jest duszą i sprężyną wszelkiéj pracy, powodzenie jéj przeto i dodatnie rezultaty, zależą od moralnéj jego wartości, od pierwiastków składających intelektualną jego istotę, jak niemniéj od normalnego pod względem fizycznym rozwinięcia jego organizmu. Wydatki téż i ofiary ponoszone na wychowanie dzieci, czyli konsumcyę bogactw, mającą na celu przysposobienie przyszłych pokoleń do walki z naturą i umiejętnego życia, należy uważać za produkcyjną w wysokim stopniu, za kapitalizacyę, gdyż oddziaływa ona dodatnio na rozwój dalszéj produkcyi i odradza się pod postacią bogactw materyalnych i moralnych, których wartość przewyższa zwykle wielokrotnie wartość przedmiotów i usług, jakie należało skonsumować, aby bogactwa te wytworzyć. Rozpatrując kwestyę konsumcyi, nietylko materyalne bogactwa należy mieć na uwadze, trzeba pamiętać i o bogactwach moralnych, które umysł ludzki pod przeróżnemi postaciami zawierać może, a które objawiają za pomocą usług, jakie ludzie rozporządzający takiemi bogactwami są w stanie innym oddawać. Usługi te nie dają się dokładnie ocenić na piéniądze i nawet nie są przez wszystkich dokładnie rozumiane, niemniéj bogactwa intelektualne stanowią znaczną, a może nawet większą i lepszą część bogactw społecznych, a jakkolwiek są krótkotrwałe, gdyż znikają wraz z jednostką, która je posiadała, jednak dobrodziejstwa, które z nich wypływają dla ludzkości, mnożą się z niesłychaną szybkością, oddziaływają na siebie wzajemnie i trwają tak długo, jak długo trwa cywilizacya, która dała im się rozwinąc. Tak np. obliczono, że korzyści, które dotąd przyniosły saméj Francyi odkrycia Pasteur'a, przewyższają znacznie kontrybucyę wojenną, jaką zapłaciła ona Niemcom, czyli 5 miliardów franków.

Wyprodukowane bogactwa długo były używane, pod naciskiem instynktu samozachowawczego, na natychmiastowe zaspokojenie potrzeb jednostek, myśl o losie przyszłych pokoleń jest zdobyczą nowych względnie czasów; u wielu ludów panowała wiara, że bogactwa, które człowiek posiadał za życia będą mogły służyć mu po śmierci, i w tym celu palono na stosie wraz z umarłym całe jego mienie. Dopiéro gdy instynkt zachowania gatunku począł się przejawiać w stosunkach społecznych i przenikać z coraz większą siłą do zjawisk ekonomicznych, człowiek stał się przewidującym i począł przeznaczać część wyprodukowanych przez siebie bogactw na ułatwienie życia swemu potomstwu, w tym celu nauczył się oszczędzać, a zaoszczędzone

bogactwa kapitalizować, konsumując je produkcyjnie. Gdyby bogactwa bywały natychmiast całkowicie zużywane na zaspokojenie ludzkich potrzeb, stan materyalny społeczeństw, nietylko nie polepszałby się wcale, lecz suma już istniejącego kapitału zmniejszałaby się z dniem każdym, a stopień cywilizacyi wciążby się obniżał. Jeżeli istnieje postęp ekonomiczny i ludzie rozporządzają coraz większą ilością bogactw uprzyjemniających i uszlachetniających życie, winni oni to owym bogactwom, zwanym kapitałem, które każda generacya produkuje i oszczędza, czyli przekazuje za pomocą produkcyjnéj pracy i konsumcyi następnym pokoleniom, a których część, nosząca nazwę kapitału amortyzacyjnego, jest przeznaczona na zastąpienie kapitału zużytego i zniszczonego przez produkcyę. Nie może być pracy produkcyjnéj bez zużycia bogactw naturalnych i kapitału, a oszczędności bez towarzyszącéj jéj konsumcyi, każdy kto chce kosztem swéj wstrzemięźliwości i poświęcenia zapewnić na przyszłość sobie lub swemu potomstwu łatwiejsze warunki bytu, ten nie może gromadzić i chować swych bogactw, gdyż prędzéj czy późniéj uległyby one zniszczeniu, lecz musi je sam skonsumować produkcyjnie, albo dawać komuś do skonsumowania, żądając wzamian innych, nowych bogactw pod postacią wykonania jakiéjś pożytecznéj pracy lub oddania jakichś usług; proces ten nosi, jak wiadomo, nazwę lokacyi kapitałów.

Lokowanie kapitałów nie jest w saméj rzeczy niczém innném, jak tylko konsumcyą i zamianą bogactw: bogactwa zachowane i nagromadzone bywają ofiarowane wzamian za wyprodukowanie innych, nowych bogactw, utylitarne własności pierwszych, które giną przy konsumcyi przemysłowéj, odradzają się i odnajdują pod postacią utylitarnych własności drugich. Nie należy jednak sądzić, aby podobny proces zamiany jednych bogactw na drugie, prócz tego, że daje zarobek pracującym nie przynosił społeczeństwu żadnych innych korzyści; przy konsumcyi przemysłowéj utylitarne własności wyprodukowanych bogactw winny przewyższać utylitarne własności bogactw zkonsumowanych, na tém zasadza się powodzenie przedsiębiorstw przemysłowych, umiejętna lokacya kapitałów, dokonana w normalnych warunkach winna przynosić zyski, a na sumie tych zysków polega cały wzrost bogactw w społeczeństwie, a tém samém dobrobytu. Nie wielu rozumie jasno i dokładnie proces lokacyi kapitałów, konsumcyi przemysłowéj i produkcyjnéj, niemal codziennie ma się na to dowody; głównym tego powodem jest kredyt i rozmaitość postaci, które przybiéra i pod któremi się ukrywa; dla większości skomplikowany mechanizm nowożytnego kredytu zakrywa istotę wielu zjawisk ekonomicznych i przyczynia się w znacznéj mierze do powierzchownéj i fałszywéj ich oceny.

IV.

Widzimy więc, że istnieją dwa różne rodzaje konsumcyi produkcyjnéj: pierwsza, wypływająca z instynktu samozachowawczego, ma na celu natychmiastowe zaspokojenie racyonalnych potrzeb człowieka i sprzyja normalnemu jego rozwojowi; nazwijmy ją konsumcyą osobistą, druga, mająca swe źródła w instynkcie zachowania gatunku, dąży do powiększania ilości bogactw w społeczeństwie i służy nie do zaspakajania potrzeb współczesnych, lecz ma na celu dostarczanie przyszłym pokoleniom kapitału, czyli narzędzi do pracy, nosi ona nazwę konsumcyi przemysłowéj. Wszystkie zjawiska, odnoszące się do racyonalnéj konsumcyi bogactw, można podciągnąć pod jedną z dwóch powyższych kategoryi; istnieją jednak jeszcze liczne odmiany rozrzutności, bezmyślnego niszczenia bogactw, czyli konsumcyi nieprodukcyjnéj, służącéj do zaspakajania potrzeb sztucznych i urojonych, narażającéj jednostki i społeczeństwa na bardzo znaczne straty materyalne i moralne szkody.

Racyonalna konsumcya nie niszczy nigdy bezpowrotnie utylitarnych własności bogactw, odradzają się one, albo w samym człowieku, przy konsumcyi osobistéj, albo przy konsumcyi przemysłowéj, w wyprodukowanych przez niego bogactwach, gdy tymczasem rozrzutność, pomimo sympatyi, jaką się częstokroć cieszy u pospólstwa, żadnych rzeczywistych usług nie oddaje, a zniszczone przez nie bogactwa, całkowicie są dla ludzkości stracone. Nie chodzi tu o poświęcenie i ascetyzm; cnoty ekonomiczne, praktyczne zasady naszéj nauki, bynajmniéj ascetycznemi nie są, przeciwnie, zmierzają one ku coraz zupełniejszemu zaspakajaniu materyalnych i umysłowych potrzeb człowieka; jeżeli zaś wymagają pewnych ograniczeń konsumcyi, to tylko takiéj, która w mniéj lub więcéj oddalonych swych skutkach okazuje się zgubną, a na razie zaspakaja potrzeby sztuczne, urojone, nie wypływające z fizycznéj ani moralnéj organizacyi człowieka, lecz jedynie z nieładu panującego w jego wyobraźni. Sztucznym potrzebom odpowiadają fałszywe bogactwa, których produkcya, zarówno jak i produkcya bogactw rzeczywistych, prawdziwych, wymaga nakładu czyli naturalnych bogactw, pracy i kapitału; wszystko to idzie na marne, gdy tyle rzeczywistych potrzeb nie ma czém ludzkość zaspokoić; należy jednak mieć nadzieję, że skoro wyniki nauki i praktyczne rady teoryi, dostępne dziś dla ograniczonéj liczby ludzi, przenikać będą do coraz niższych warstw społecznych, zapotrzebowanie i konsumcya, któ-

re, jak wiadomo, rządzą wszelką produkcyą, uwolnią świat od fałszywych bogactw, téj najstraszniejszéj plagi ekonomicznéj, która naraża społeczeństwa na daremną utratę sił żywotnych. W miarę, jak pod wpływem racyonalnych pojęć hygieny i piękna, zmniejszać się będzie konsumcya tych pseudo-bogactw, zmniejszać się będzie w tym samym stosunku ich produkcya; zanim jednak zniknie ona zupełnie, wiele jeszcze bogactw pochłonie ludzkość nieprodukcyjnie, niby dziecko, które zanim dojdzie do rozumu, musi psuć, co spotka na swéj drodze.

Sztuczne potrzeby i związana z niemi konsumcya fałszywych bogactw odgrywają w społeczeństwie tak ważną rolę ujemnemi swemi skutkami, że musimy się nad niemi dłużéj zatrzymać; uosabiają się one w zbytku, który należy w ekonomii politycznéj do kwestyi spornych; wielu utrzymuje, że racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby dokładnie okréślić nie można, że pojęcie potrzeby jest względne i czysto indywidualne, że co dla jednego jest koniecznością, dla drugiego będzie zbytkiem. Nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy mają jednakowe potrzeby, że zależą one od fizycznego i intelektualnego ustroju danéj jednostki, niemniéj zdają się istniéć jasno zakréślone granice, poza którémi potrzeby tracą swoje normalne, naturalne cechy i stają się jedynie wytworami chorobliwéj i rozpróżniaczonéj wyobraźni; oto potrzeby, które nazywamy sztucznemi, bogactwom zaś przeznaczonym ku zaspokajaniu tych potrzeb, Emil de Laveleye nadał miano fałszywych bogactw *fausses richesses*. Otóż, o ile ocena racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby teoretycznie przedstawia wielkie trudności i wymaga gruntownéj, naukowéj znajomości tak fizycznéj jak i psychicznéj organizacyi człowieka, o tyle odróżnienie fałszywego bogactwa od prawdziwego w praktyce łatwo się odbywa, wystarcza bowiem danie odpowiedzi na pytanie: „czy zniszczenie danego bogactwa byłoby stratą dla ludzkości lub nie?" Klasyczny przykład Emila de Laveleye najlepiéj to wyjaśnia. „Jestem zdania—powiada on—że rzecz jakaś może być warta olbrzymie sumy, kosztować bardzo wiele, a być pomimo to, nietylko bezużyteczną, ale nawet bardzo szkodliwą. Chińczycy kupują od Anglików za 400 milionów opium, to gorzéj niż niepotrzebne, bo trucizna, a cesarz chiński bardzoby mądrze zrobił, gdyby kazał wrzucać do morza cały ładunek tego narkotyku, który mu Anglia przysyła." Ilość fałszywych bogactw jest bardzo wielka, zwłaszcza w krajach cywilizowanych, posiadają one także swoje opium — alkohol, który pod względem złych skutków w niczém mu nie ustępuje; jeżeli do fałszywych bogactw, które są konsumowane, dodamy fałszywe usługi, czyli pracę ludzką użytą niepotrzebnie lub szkodliwie, otrzymamy sumę nieprodukcyjnych konsumcyi, którą,

opierając się na bardzo umiarkowanych obliczeniach Nowikowa, określić można dla społeczeństw cywilizowanych na 100 miliardów rocznie.

Należy bowiem mieć na uwadze, że jak powiada John Stuart Mill, „żądając jakiegoś przedmiotu i płacąc zań, nie dostarczamy témsamém środków do wyprodukowania go.” Ktoś inny musiał dostarczyć na to swéj pracy i swego kapitału; otóż jeżeli żądany przedmiot należy do fałszywych bogactw, jeżeli jest bezużyteczny albo szkodliwy, to pomimo że może często przedstawiać bardzo wysoką wartość zamienną, społeczeństwu przynosi szkodę, gdyż cały nakład pracy, kapitału i naturalnych bogactw, który trzeba było zużyć na jego produkcyę, został doszczętnie zmarnowany i nie odrodzi się już nigdy ani pod postacią bogactw materyalnych ani moralnych.

V.

Zwykle bogactwa fałszywe podwójną przynoszą szkodę: nietylko ich produkcya naraża na straty ale i konsumcya oddziaływa ujemnie na człowieka, jakkolwiek nie zawsze w tak widoczny sposób jak opium albo alkohol; umysł i charakter posiadają również swoje narkotyki, które znieczulając pewne ich władze a pobudzając inne, wyprowadzają psychiczny ustrój człowieka z normalnéj równowagi. Wszystkie warstwy społeczne posiadają właściwe sobie sztuczne potrzeby, na zaspokojenie których wyrzucają czas i pieniądze, niższe—alkohol i tytoń, wyższe — sport, modę oraz szyk, ową karykaturę i parodyę prawdziwego wykwintu, wprowadzany przez osoby lekkomyślne a naśladowany przez wszystkie pospolite i estetycznie nierozwinięte jednostki.

Wiadomo, że zabawki odpowiadają u dzieci prawdziwéj i normalnéj potrzebie, a umiejętnie wybierane i stosowane, bywają nawet ważnym czynnikiem pedagogicznym; nie powinny jednak być zbyt wyszukane i drogie, doświadczenie bowiem uczy, że zwyczajne i tanie zabawki najwięcéj dzieci zajmują, drogie zaś najczęściéj nie odpowiadają celowi; zresztą po co wydawać pieniądze niepotrzebnie, kiedy mniejszym kosztem dziecko może się zabawić równie dobrze a nawet lepiéj. Ponieważ dziecko jest małym człowiekiem a człowiek dużém dzieckiem, powyższe rozumowanie, zastosować można bez zmiany do sportu, czyli wszelkiego rodzaju zabaw dla ludzi dorosłych; odpoczynek i zabawa jest bezwątpienia potrzebą, powinna jednak zachować w społeczeństwie właściwe, skromne miejsce które jéj się należy,

a przedewszystkiém nie kosztować dużo, nie kosztować więcéj aniżeli rzeczywiście warta, bo jakkolwiek są ludzie, którzy mają na wyrzucenie, to społeczeństw takich dotąd nie ma, a ludzkość zaledwie część koniecznych swych potrzeb zaspokoić jest w stanie. Tymczasem sport zdaje się absorbować wyłącznie czas i działalność niektórych sfer, jest on nieodłącznym warunkiem i główną cechą szyku, kosmopolitycznym charakterem, jaki posiada, otwiéra podwoje wyższego towarzystwa, zaciéra różnice wykształcenia i wychowania, a stanowisko sportsmana jest dla światowego pospólstwa zaszczytem, godnością, wzbudzającą podziw, zazdrość, i nieledwie szacunek. I nie może być inaczéj gdy się zwróci uwagę na wielką doniosłość, jaką opinia publiczna przypisuje niektórym zdarzeniom sportowym: czyż parlament angielski nie zawiesza swych posiedzeń w dniu wyścigów o nagrodę Derby?

Uważamy za zbyteczne rozwodzić się nad moralnemi szkodami, jakie sport przynosi społeczeństwu, kiedy wyjdzie z naturalnych swych granic; sportsman to człowiek zabawy, człowiek, który ten lub ów rodzaj zabawy wziął sobie za specyalność i jemu się wyłącznie poświęca a przynajmniéj głównie oddaje; pominąwszy zaburzenia psychiczne, jakie tego rodzaju życie musi sprowadzać w jednostce, sztuczna, podniecająca atmosfera życia sportowego, zły przykład, nieodłączny pierwiastek hazardu, nierachowanie się z materyalnemi warunkami, nie tylko na bezpośrednie otoczenie ale i na dalsze warstwy społeczne oddziaływają nader demoralizująco. Nie można nic zarzucić sportowi, o ile jest środkiem pedagogicznym; aby go usprawiedliwić, wystarczyłyby usługi, jakie oddaje on młodzieży angielskiéj, dla dorosłych ruch i praca muskułów jest również nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju organizmu i równowagi pomiędzy fizycznemi i umysłowemi jego funkcyami, daleko jednak od tego do sportu, jako instytucyi społecznéj, jest on zabawą, zabawką i niczém więcéj, musi zużytkowywać pewną ilość bogactw, lecz powinien poprzestawać na ilości niezbędnie potrzebnéj, takiéj, jakiéj wymaga rzeczywista, zdrowa i normalna potrzeba rozrywki, nie zaś zaspokojenie próżności, spaczonéj miłości własnéj, złych instynktów, sztucznych wrażeń i urojonych przyjemności.

Inną otchłanią w któréj ginie i marnieje nieprodukcyjnie znaczna ilość bogactw, jest moda, stosuje się ona nie tylko do fałszywych bogactw i urojonych, sztucznych przyjemności, lecz i do bogactw prawdziwych, a zasadza się na ciągłéj zmianie przedmiotów, czy to pod względem przeznaczenia, barw, czy kształtów; moda jest uganianiem się za nowością, tak ze strony tych, którzy uchodząc za wzór wykwintu, modę tworzą i wprowadzają, jak i ze strony ogółu, który wyrokom

jéj bywa bezwzględnie i bezkrytycznie posłuszny. Absolutna władza mody i wpływ, jaki ona wywiera na postępowanie, zwłaszcza wśród warstw zamożniejszych, jest zjawiskiem które trudno wytłómaczyć, składa się bowiem z rozmaitych pierwiastków: miłości własnéj, potrzeby wrażeń estetycznych, chęci przypodobania się i wielu innych; analiza tych pierwiastków i krytyka mody, jako zjawiska społecznego, zaprowadziłaby nas jednak za daleko.

Ekonomia polityczna potępia modę dla tego, że pobudza do nieprodukcyjnéj konsumcyi bogactw, a straty, na jakie naraża społeczeństwo, polegają na tém, że przedmioty użyteczne, w dobrym stanie, mogące jeszcze długo odpowiadać racyonalnym potrzebom, bywają pod naciskiem mody zarzucane, niszczone i zastępowane nowemi, a wartość, jaką przedstawiały, utylitarne własności, któreby im były pozwoliły oddać ludziom jeszcze wiele usług, giną bezpowrotnie dla bogactwa krajowego. To téż moda przynosi podwójną szkodę i, jak powiada Say, „przez częste jéj zmiany społeczeństwo traci nietylko to, co konsumuje, ale i to, czego nie miało czasu skonsumować.”

VI.

Zajmowaliśmy się dotąd wyłącznie konsumcyą prywatną, czyli kierowaną przez jednostki we własném imieniu, istnieje jednak jeszcze konsumcya publiczna, a nazwę tę nosi zużytkowanie przez władze publiczne bogactw, jakie pod postacią podatków dostarczane bywają przez obywateli. Konsumcya publiczna objawia się w wydatkach, jakie władze publiczne ponoszą w interesie ogółu, nie posiada ona wszakże żadnych właściwych cech charakterystycznych, któreby odróżniały ją zasadniczo od konsumcyi prywatnéj, podlega tym samym prawom naturalnym i powinna być rządzona w praktyce temi samemi zasadami, gdyż teorye ekonomiczne są stałe i nie zmieniają się, czy będziemy je stosować do zjawisk życia prywatnego, czy publicznego.

Zachodzi jednak różnica pomiędzy dwoma temi rodzajami konsumcyi, pierwszą kierują obywatele, będący równocześnie właścicielami konsumowanych bogactw, kiedy drugą rozporządzają przedstawiciele władz publicznych, czyli urzędnicy, mający powierzoną administracyę funduszów publicznych. Z różnicy téj wynika, jak mówi Cocquiel, „że jeżeli konsumcya nieprodukcyjna dozwoloną jest oso-

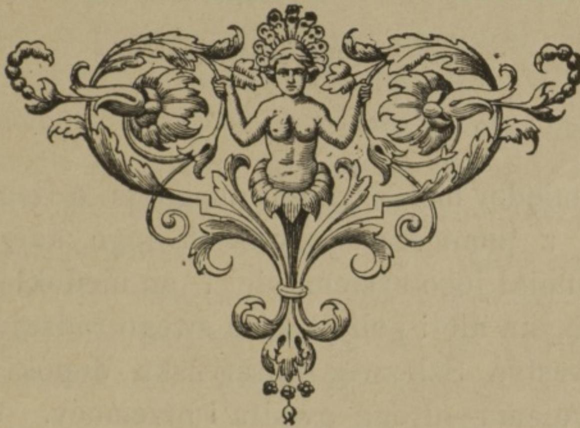
bom prywatnym w imię i na mocy ich prawa własności, to władze publiczne, nie będąc właścicielami, lecz jedynie administratorami i pełnomocnikami, bezwarunkowo prawa tego nie mają i baczną winny zwracać uwagę, aby ofiary ponoszone przez społeczeństwo, odradzały się pod postacią prawdziwych bogactw i usług na korzyść tegoż społeczeństwa. Przeznaczenie bogactw, dostarczanych przez podatki, jest jasno i dokładnie określone, mają one być przedewszystkiém używane na zapewnienie obywatelom bezpiecznego i spokojnego korzystania z praw, które posiadają, innemi słowy na to, „ażeby prawo miało na usługi siłę"; Montesquieu mówi to samo określając podatki: „jest to część bogactw, którą obywatele oddają za to, aby mogli pozostałemi bogactwami bezpiecznie rozporządzać." Dwoma zasadniczemi i naturalnemi atrybucyami władz publicznych, są ochrona społeczeństwa przed wewnętrznemi i zewnętrznemi nieprzyjaciółmi prawa, oto cel, ku któremu winna być skierowana konsumcya publiczna, cel bezwzględnie pożyteczny i słuszny, prócz tego dozwolono władzom tym czerpać z powierzonych im funduszów na niektóre cele użyteczności ogólnéj, tego rodzaju atrybucye władz publicznych nie są związane ani z bytem, ani z naturalnemi funkcyami państwa, posiadają one też jedynie wartość względną, a władze publiczne, występujące w roli przedsiębiorców, winny znajdować się na równych prawach z odnośnemi przedsiębiorstwami prywatnemi. Dochodzimy w ten sposób do wniosku, że konsumcya publiczna, nie mająca na celu dwóch zasadniczych funkcyi władz publicznych, o tyle jest słuszną i pożyteczną, o ile obywatele korzystają z oddawanych im przez te władze usług w ścisłym stosunku do ofiar, jakie drogą podatków zmuszeni byli na nie ponieść.

Panuje wielce rozpowszechniony i tém szkodliwszy przesąd, że wszelka konsumcya jest pożyteczną, że jakikolwiek użytek władze publiczne zrobią w obrębie państwa z powierzonych im bogactw, społeczeństwo zawsze na tém skorzysta, gdyż „piéniądze pozostają w kraju."

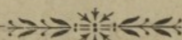
Argument ten nie posiada żadnéj wartości, przy każdéj konsumcyi wewnętrznéj piéniądze pozostają w kraju (co jest zresztą rzeczą małéj wagi), ale bogactwa, które piéniądze te przedstawiały i na kupno których zostały użyte, są skonsumowane czyli zniszczone, zarówno jak przy każdéj konsumcyi prywatnéj. Jeżeli konsumcya publiczna będzie nieprodukcyjną, nie odrodzi się pod postacią usług oddanych obywatelom, ani pod postacią nowych materyalnych bogactw ogólnego użytku, narazi ona społeczeństwo na stratę tak, jak nieprodukcyjna

konsumcya prywatna, naraża na stratę jednostki. Do takich konsumcyi należy zaliczyć koszta militaryzmu, czyli utrzymywanie na stopie wojennéj nadmiernéj ilości wojska, który w saméj Enropie pochłania corocznie bogactw wartości czterech i pół miliardów franków; doliczywszy zaś straty, na jakie bezczynność około czterech milionów ludzi naraża społeczeństwa, otrzymamy sumę ośmiu do dziewięciu miliardów franków, którą konsumcya publiczna pochłania corocznie nieprodukcyjnie.

W. Domański.



KWESTYA EGIPSKA.



Znaną jest pomiędzy metafizykami anegdota o Heglu, który miał się wyrazić, że z pomiędzy wszystkich jego adeptów jeden tylko Rosenkranz rozumiał jego system, ale i on niedokładnie go rozumiał. Nie tylko metafizyka ale i polityka ma swego rodzaju łamigłówki. Była nią długo kwestya Szlezwig-Holsztyńska dopóki jéj Bismarck nie rozwiązał po swojemu—drogą gwałtu i przemocy. Obecnie i od lat już wielu istnieje na międzynarodowéj widowni inne zagadnienie tak powikłane, tylu najeżone trudnościami, iż się nieraz przypuszcza całkowitą jego nierozwiązalność. Starodawny Egipt usiał swe pustynie sfinksami: dzisiejszy stał się sfinksem sam w sobie. Anglicy zawładnęli nim *de facto*, ale prawnego gruntu do zatrzymania téj zdobyczy nie mają. Wielkie mocarstwa europejskie nie mają zamiaru na takie bezprawie zezwolić. Ale i pomiędzy niemi nie ma jedności zapatrywań. Jedne z nich protestują przeciwko zaborowi w imię równowagi europejskiéj, drugie zgodziłyby się może, gdyby, w ten lub ów sposób, otrzymały jaką kompensatę. Interesa krzyżują się tedy jedne z drugiemi a każda strona za swym własnym obstaje. Jedni marzą o powrocie do dawnego *condominium* francusko-angielskiego; drudzy pragnęliby postawić Egipt pod kontrolę tak zwanego koncertu europejskiego, choćby miał się skończyć kocią muzyką. Istnieją sceptycy, doradzający powrót Egiptu do lenniczéj zależności od Turcyi, zale-

żności która w praktyce zeszła była do prostéj formalności i istnieją optymiści zuchwale żądający usamowolnienia tego kraju pod hasłem: Egipt dla Egipcyan. Są nakoniec tacy, co nie widzą innego sposobu wyjścia z trudności jak uznanie Egiptu za neutralny i domagają się zwołania w tym celu konferencyi międzynarodowéj. Nie brakuje téż i takich, którzy w przewidywaniu wojny, coby się z okazyi uregulowania téj kwesty wszczęła, zgadzają się na przedłużenie nieograniczone obecnego stanu rzeczy.

Ani na chwilę nie rozpogodził się horyzont i do dawniejszych komplikacyi przybywały nowe. Europa czuje, że im dłużéj trwa okupacya angielska, tém trudniéj będzie uregulować kwestyę egipską ogólnym wymogom gwoli. Coraz téż więcéj jest symptomów wskazujących, że dokuczliwy ten wrzód pęknąć musi. Noże operacyjne trzymane są w pogotowiu. Niebawem podniesie się zasłona nad sztuką, któréj węzła ani przebiegu nie znamy, ale która, jesteśmy pewni, posiadać będzie wszechpotężny interes.

Nie zawadzi, w przededniu takiéj doniosłéj chwili cywilizacyjnéj, rozejrzéć się w około, rozpoznać położenie rzeczy, przypomniéć wypadki najważniejsze dnia onegdajszego, zapomniane właśnie dla tego, że nie zdążono zapisać ich jeszcze na marmurowych tablicach historyi, zważyć i ocenić siłę czynników, które każda ze stron działających do gry z sobą przyniesie. Takie, ale takie tylko jest zadanie obecnego szkicu. Nie rości on pretensyi do odsłonięcia z góry toku jutrzejszych wypadków, lecz ogranicza się do bezstronnego, obiektywnego przedstawienia tych, które się głównie do poplątania węzła przyłożyły.

Leżąc w miejscowości, gdzie się stykają trzy części naszéj półkuli, Egipt już przez samo położenie geograficzne posiada pierwszorzędną wagę. Nawet gdyby cywilizacya jego nie była rodzicielką greckiéj i wszystkich późniejszych, nawet gdyby jego dzieje nie obfitowały w epiczne rapsody, gdyby najznakomitsi wodzowie starego i nowego świata nie byli staczali wiekopomnych bitew nad brzegami tego Nilu, który sam w sobie jest unikatem, nie mogło być obojętném Europie jaki rząd, jaka organizacya w nim się rozsiędzie i ustali. Nominalnie Egipt jest posiadłością lenniczą sułtana tureckiego. I wtedy gdy jego potęga była istotną i gdy była postrachem Europy nigdy nie dawała się uczuć dotkliwie temu zamorskiemu krajowi. Mocarstwa chrześciańskie uzyskały wtedy jeszcze rozmaite ustępstwa dla swoich poddanych osiedlających się w Egipcie: były one zabezpieczone przez wzajemne umowy czyli kapitulacye. Najdawniejsze z nich sięgały XV i XVI wieku. Od dawna tedy datują przywileje mocarstw europejskich

posiadane w kraju lenniczym Turcyi. Gdy z biegiem czasu mocarstwo tureckie słabło, traciło na wpływie i znaczeniu, Egipt czuł się samowolniejszym, bardziéj niezależnym a Europa, pod wygodną zasłoną kapitulacyi rozgospodarowywała się tam coraz szerzéj. Wiadomo do jak podrzędnéj roli zeszła władza zwierzchnicza potomków wielkiego Solimana, gdy generał Bonaparte walczył pod piramidami z oligarchią mameluków. Owa kampania egipska Napoleona, jeden z najfantastyczniejszych epizodów dziejów nowożytnych, choć krótkotrwała, rzuciła pierwsze podwaliny do hegemonii francuskiéj w dolinie Nilu. Turcya ograniczała się do pobierania rocznego haraczu w wysokości 750,000 funtów tureckich, co się równa 675,000 funtów szterl. angielskich i nadawszy firmanem swą sankcyę każdemu nowemu wicekrólowi, zostawiała mu wszelką swobodę administracyi wewnętrznéj, tak samo jak finansowéj, zaciągania pożyczek, bicia monety, utrzymywania armii i nawet zawierania traktatów handlowych z obcemi mocarstwami.

Łatwo tedy zrozumiéć, że Europa zrosła się była w ciągu naszego stulecia z myślą wciągnięcia Egiptu w swoją własną sferę. Zacofany stan kraju, znajdującego się w odwiecznym bezrządzie, jego ubóstwo, niewola ludności, niski dyapazon cywilizacyjny usprawiedliwiać się zdawały najzuchwalsze ambicye a bezradność i chroniczna niemoc Turcyi przyczyniały się do ich wzmocnienia. Rządy europejskie działały naturalnie z przezornością i oględnością, narody za to z niepowstrzymaną energią, biorącą swój początek w nadziei zysków, rzuciły się na Egipt jak na łup gotowy. Aleksandrya, Kair i cała Delta stały się targowiskiem, na którém Lewantczycy, Turcy, Arabowie, Grecy, Włosi, Austryacy, Anglicy i Francuzi handlowali, spekulowali, frymarczyli, pożyczali piéniądze na lichwę, rzucali się na najrozmaitsze przedsięwzięcia, które ich zbogacały, ale wycieńczały i rujnowały do reszty biedną i nieposiadającą siły odpornéj ludność miejscową. Nienasycona ta szarańcza międzynarodowa pożérała Egipt a ochotną rękę pomocniczą znajdowała we władzach miejscowych przedajnych i zgangrenowanych do szpiku kości. Gdy się przegląda finansową i ekonomiczną historyę tego nieszczęśliwego krajn w biegu naszego stulecia, jednemu tylko dziwić się można, że i tę plagę mógł przetrzymać.

Wśród tego chaosu jakiego Egipt stawał się pastwą w pierwszéj połowie naszego wieku, jedna tylko wielka postać występuje na pierwszy plan. Jest nią Mehemet-Ali. Nie ma wątpienia, że to była jedyna genialna osobistość, jaką wydał zwyrodniały muzułmanizm naszych czasów. Historya zachowa w pamięci jego wyniesienie się z podrzędnego na najwyższe stanowisko siłą woli i systematyczną działalnością,

jego reformatorskie przedsięwzięcia, prace publiczne, stworzenie potężnéj armii, jego zwycięstwa heroiczne i olbrzymie klęski, jego ambicya wywalczenia dla Egiptu całkowitéj niezależności a dla siebie dziedzicznego tronu. Traktat 1841 roku położył kres tym roszczeniom, ale zabezpieczył jego spadkobiercom władzę wice-króla. Wojna z Mehemetem-Ali przekonała ostatecznie świat europejski, że o zwierzchnictwo tureckie troszczyć się nie ma potrzeby.

Za reformatorskich jego rządów Francya znacznie wysunęła się naprzód i wyprzedziła inne narody co do swego wpływu w Egipcie. Nie mogło być inaczéj, skoro Francya była jedyném mocarstwem, popierającém Mehemeta-Ali w jego walce o niezależność od Turcyi: zdawało się to być dalszym ciągiem wyprawy napoleońskiéj. W oczach Egipcyan Francya reprezentowała wszystkie idee swobody, cywilizacyi, prawa. Do niej się téż udawał możnowładzca muzułmański po pionierów postępu. Inżynierowie, finansiści, prawnicy, profesorowie francuscy przenieśli na ziemię Faraonów ziarno nowéj kultury. Wszyscy Egipcyanie klasy zamożniejszéj wychowywali się w szkole francuskiéj. Piętno jéj ryło się nawet na lotnym gruncie pustyni, któréj wygląd i charakter się zmieniał. Egiptologowie francuscy, ze słynnym Mariette'm na czele, wydobyli na jaw Memphis, Serapeum, Karnak i niezliczone pomniki dawno przebrzmiałéj przeszłości. Stworzenie muzeum w Bulaq samo jedno wystarczyć może do uwiecznienia roli, jaką Francya odegrała w Egipcie. Ostatniém ogniwem tego szeregu nieocenionych zasług miało być następnie przekopanie międzymorza Suez.

Gdy Francya nie przestaje się krzątać około dzieła cywilizacyi w Egipcie, w sferze państwowéj, na którą ubocznie tylko i pośrednio działać mogła, idzie daléj rozkład i demoralizacya. Można nawet powiedziéć, że owo barbarzyństwo unieruchomione od XV wieków ale trzymające jeszcze społeczność w swych zardzewiałych wrzeciądzach, ujawniło dopiéro całą swą niezdolność do dalszego istnienia, gdy się zetknęło z metodą i z organizacyą europejską. Pod lekkim pokładem tego zewnętrznego lakieru, nieprzerwanie w głębi nurtowała zgnilizna. Nieudolni dwaj następcy Mehemeta-Alego, Abbas-Basza i Said-Basza, nie byli w stanie zatrzymać Egiptu na spadzistéj drodze dezorganizacyi. Ale dzieło ruiny ostatecznego dosiągnęło kresu za rządów wice-królewskich Ismaëla-Baszy.

Ismaël-Basza, człowiek zdolny i o umyśle otwartym, był jednocześnie istotą pozbawioną najelementarniejszéj moralności. Oddając się wyuzdanéj rozpuście, zamiłowany w oryentalnym przepychu, dzia-

łał jak satrapa, którego kaprysy stawały się prawem. Potrzeba mu było pieniędzy dla zaspokojenia swych zbytkowych potrzeb, i wypróżniwszy skarb publiczny, zaczął zaciągać pożyczki. Wczorajsze to dzieje, ale czyta się je jak czarodziejskie bajki. Nigdy podobnego marnotrawcy nie było na tronie. Gdy w 1863 wstąpił nań, dług państwowy Egiptu wynosił wszystkiego 3,000,000 funtów szt., a po upływie lat trzynastu, w 1876 wzniósł się do nieprawdopodobnéj sumy 89,000,000 funtów szt. I zaszło to w kraju o 6 milionach mieszkańców i o 5 mil. akrów uprawnéj ziemi, w kraju wyłącznie rolniczym, bez żadnego przemysłu rękodzielniczego! Przedsiębierczy a pozbawiony skrupułów Ismaël-Basza to rzucał się, po skonfiskowaniu na swoją rzecz ogromnych przestrzeni gruntu, do uprawy plantacyi trzciny cukrowéj i do fabrykacyi cukru, to zakładał plantacye bawełny. Nie tyle szło mu o praktyczne przeprowadzenie tych przedsięwzięć, jak o zamydlenie oczu wierzycielom i otrzymanie od kapitalistów europejskich nowych pożyczek. Opłacał lichwiarskie procenta, fantastyczne: w roku 1873 za 30 mil. funtów zapłacił 32 miliony procentu. Sypał milionami w Konstantynopolu, w Egipcie, po wszystkich stolicach utrzymywał hordy darmozjadów i pieczeniarzy. W ten sposób w czasie 13-letnich swych rządów, powiększył dług państwowy 35 razy. W samym kanale suezkim, którego koncesyę nadał francuskiéj kompanii Ferdynanda Lessepsa, uwięził skarb egipski przeszło 16 mil. funt. szterlingów.

Jak przewidziéć było można zgóry, nadeszła chwila gdy Ismaël Basza nie mógł już znaléźć sposobu zaciągnięcia nowéj pożyczki, bez wprowadzenia uprzednio pewnego porządku, pewnéj regulacyi do swych finansów. Mocarstwa europejskie, które spoglądały z filozoficznym spokojem na to bezprzykładne marnotrawstwo, uznały moment za właściwy do wzięcia finansowéj likwidacyi Egiptu w swe ręce. Opieka nad interesami materyalnemi ich poddanych, zagrożonych utratą pożyczonych wice-królowi kapitałów, była ich obowiązkiem, ale nie trudno przypuścić że łączył się z nim także i polityczny interes wyzyskania na swą korzyść ruiny Egiptu. Dwa mocarstwa, najwięcéj w pożyczkach zainteresowane, otrzymały od Europy mandat do przeprowadzenia likwidacyi egipskiego długu: były niemi Francya i Anglia. Jako ich reprezentanci, udali się pp. Joubert i Goschen do Egiptu w 1876 r. Ale chedyw, któremu dotąd wszystkie pokątne operacye się udawały, mniemał, że uda mu się wykręcić i omamić komisarzy francusko-angielskich. Zaczął od przedstawiania fałszywych bilansów, od ukrywania istotnego położenia rzeczy i trzeba było dwóch lat, ażeby, przyparty do muru, zgodził się na udzielenie im prawa rzeczywistéj kon-

troli. Operacya likwidacyjna, w któréj przewodnią rolę odegrali ze strony Francyi p. de Blignières, a ze strony Anglii p. de Rivers-Wilson, skończyła w r. 1879-ym i dług państwowy egipski ustalony w sumie 98,685,930 funtów szt., podzielony został na kilka kategoryi. Po sprowadzeniu raty procentowéj do 5 i 4%, połowa dochodów skarbu przeznaczona została na ich opłatę i na umarzanie długów, a druga na normalne wydatki krajowe. Przy oszczędności i dobréj wierze, Egipt mógł być uratowany od bankructwa, a kapitaliści europejscy od zaprzepaszczenia swych wymagalności. Ale Izmaël-Basza, widząc się spętanym, srożył się na kuratelę, w którą popadł, uciekł się do buntu. Zagrożony przez oba rządy, że nie pozostaje mu nic innego jak abdykować i opuścić Egipt, nie brał ich rozkazów na seryo, podejrzywał ich zgodę, intrygował na obie strony i ostatecznie apelował do swego zwierzchnika, sułtana, o protekcyę przeciwko presyi francusko-angielskiéj. Ale Porta Ottomańska, któréj okoliczność zdawała się pomyślną dla wzmocnienia niknących jéj praw, pragnęła uczynić nowego vice-króla bardziéj od siebie zależnym i rozkazała Ismaëlowi-Baszy abdykować i bezwłocznie Egipt opuścić. Stambuł nawet został mu wzbroniony i zmuszony został udać się na wygnanie, które dopiéro w roku 1895 śmiercią się skończyło.

Ale z wygnania nie przestawał intrygować, siać rozterek, pobudzać armię egipską do buntów. Przychodziło mu to tém łatwiéj, że nowy vice-król, Tewfik-Basza, był osobistością słabą i chwiejną. Czuł się w ścisłéj zależności od komisarzy francusko-angielskich, a drżał przed otwarcie spiskującymi oficerami swéj armii, wśród których Arabi-bej wybitną rolę odgrywać zaczyna. Nigdy sytuacya Egiptu nie była bardziéj mętna, bardziéj groźna. Budzące się do bytu stronnictwo narodowe, rząd krajowy, wahający się i niewiedzący skąd czerpać natchnienia, Porta czyhająca na opanowanie kraju, popadającego w anarchię, a Francya i Anglia czujące potrzebę wspólnéj, energicznéj akcyi, ale nie posiadające jasno zakréślonego jéj planu: oto sytuacya 1880 i 1881 roku.

Znajdujący się wówczas u steru władzy we Francyi, Gambetta dostrzegł z właściwą sobie bystrością, że chwila interwencyi czynnéj mocarstw europejskich się zbliża i rozpoczął w tym celu z lordem Granville negocyacye dyplomatyczne. Czytając tę korespondencyę dwóch gabinetów i komentarze, jakie o niéj napisał dyplomata francuski, hrabia Benedetti, oddać trzeba hołd Gambecie za jego śmiałą inicyatywę i lojalność, a akcya rządu angielskiego ukazuje się we właściwém świetle. Było pożądaném dla gabinetu Saint-James, który dotąd nie miał żadnych innych, prócz finansowych przywilejów w Egip-

cie, być powołanym, być upoważnionym niejako do rozszerzenia swéj sfery działalności. O ile był skory do przyjęcia propozycyi Gambetty, o tyle wzdragał się przed zawarciem jakiéjkolwiek ścisłéj umowy, bo przeczuwał, że z chwilą, gdy efemeryczny gabinet jego runie, ten co po nim nastąpi w inną stronę pokieruje nawę polityki francuskiéj i zostawi Wielkiéj Brytanii otworem bramy Egiptu.

I przewidywania gabinetu angielskiego sprawdziły się całkowicie. Stronnictwo radykalne francuskie, pozbawione wszelkiego jasnego wyobrażenia o międzynarodowych obowiązkach, o polityce tradycyjnéj swego kraju, czuło ślepą i gwałtowną nienawiść do wielkich wypraw kolonialnych. Raz pozbywszy się Gambetty, narzuciło jego następcy, słabemu p. de Freycinet politykę bierną. W chwili, gdy stronnictwo wojskowe egipskie pod sterem Arabi-beja buntowało się przeciwko *condominium* francusko-angielskiemu, gdy cały Egipt zdawał się jedną prochownią, grożącą wybuchem, flota francuska i angielska wysłane były na wody Aleksandryi dla protekcyi europejskich kolonii. Ale jednocześnie izba francuska, idąc za radą p. Clemenceau i jego koteryi, oświadcza, że Francya powinna od całéj téj sprawy umyć ręce i wycofać się co prędzéj. Ta decyzya, któréj p. de Freycinet posłusznie się poddał, ale która go skłoniła do złożeuia steru rządu w inne ręce, była największym błędem, jaki Francya popełnić tylko mogła: było to samobójstwo polityczne. Napróżno od lat 14 sarkają Francuzi na rozwój sprawy egipskiéj, wręcz ich interesom i tradycyi przeciwny: nie mają prawa do zwalania winy na kogobądź innego, gdyż popełnili ją sami. Sami wpuścili wilka do owczarni; azaliż mają się dziwić, że popełnił tam spustoszenia?

Anglicy natomiast nie stracili ani jednéj chwili, ażeby skorzystać z zostawionéj sobie swobody działania. Gdy motłoch w Aleksandryi dopuszcza się gwałtów i bezprawi na Europejczykach, admirał angielski Seymour oświadcza, że przystąpi do bombardowania Aleksandryi. Pierwsze kartacze angielskie siać zaczynały ruinę i pożogę w handlowéj stolicy Egiptu, a eskadra francuska admirała Conrada, zwinąwszy żagle, odpłynęła spokojnie. Wypadki następowały jedne po drugich, stanowcze i szybkie. Zniweczenie Alksandryi przez działa admirała Seymour'a, wylądowanie armii angielskiéj pod dowództwem generała a do dziś lorda i feldmarszałka, Wolseley, bitwa pod Tel-el-Kebir — istotna komedya, w któréj nie stal ale złoto angielskie główną odegrało rolę, tryumfalne wejście do Kairu, gdzie nikt o oporze nie myślał: są to wypadki, których przypominać nie ma potrzeby. Anglicy przywrócili ład i porządek, Anglicy złamali bunt militarny Arabi-beja, zesłali go na rozkoszne wygnanie do Ceylonu i rozpuścili armię świéżo prze-

zeń uorganizowaną. Nic naturalniejszego, że słaby Tewfik-basza schylił się bez protestacyi przed władzą zwierzchniczą tych opiekunów, co mu tron zabezpieczyli i że stał się niemym wykonawcą ich zleceń. Uorganizowano zbrojną policyę miejscową pod komendą oficerów angielskich, a stały garnizon ich armii ze sztabem generalnym czuwał nad porządkiem i nad bezpieczeństwem Egiptu, czuwa do dziś dnia i do tego samego obowiązku i nadal gotowym się oznajmia.

Rok 1882-gi był tedy momentem, w którym dwa wielkie mocarstwa zachodnie znalazły się na rozstajnych drogach i każde z nich odtąd przy swéj polityce obstaje. Francya zamknęła się w sferze dyplomatycznych protestacyi i powstrzymała się od wszelkich kroków czynnych. Anglia działa energicznie, usadawia się w dolinie Nilu, zagospodarowuje, a na protestacye rządu francuskiego, oraz tych gabinetów, co się od czasu do czasu w téj sprawie odzywają, odpowiada, że jéj zdaniem chwila wycofania swéj załogi i powrócenia do *statu quo ante* jeszcze nie nadeszła. Nigdy gabinet Saint-James nie oświadczył urzędownie, że posiada prawo przyłączenia Egiptu do wieńca swych kolonii, ani nawet że protektorat swój nad nim postara się ulegalizować. Bynajmniéj. Wszystkie gabinety, bądź Gladstone'a i lorda Rosebery, bądź lorda Salisbury, stają na tym wygodnym gruncie okupacyi *de facto*. Księgi żółte i niebieskie, w których oba rządy swą korespondencyę dyplomatyczną ogłaszają, mieszczą na swych kartach cały szereg oświadczeń, pod których monotonną i bezbarwną formą kryje się zawsze niezmiennie jedna i ta sama polityka. Nie ma potrzeby tych depesz przytaczać.

Ale jeżeli sam fakt zajęcia Egiptu przez Anglię nie uległ żadnéj radykalnéj zmianie od lat czternastu, to byłoby niesprawiedliwém oskarżać Wielką Brytanię, jak to czynią jéj przeciwnicy wogóle, a Francuzi w szczególe, że udała się ona do Egiptu w myśl zgóry powziętego planu i że ani na chwilę swego zapatrywania nie zmieniła. Było w naturze rzeczy, w charakterze i w polityce Anglii, pragnienie ciągnięcia z Egiptu jaknajwiększych korzyści. Brak decyzyi ze strony Francyi, niedołęstwo i ślepota jéj improwizowanych polityków i mężów stanu, mogły tylko zaostrzyć ten apetyt i wskazać na możliwość jego zaspokojenia. Ale stałego, zgóry ukartowanego projektu zaborczego Anglia nie miała. Jest zaletą jéj ciała dyplomatycznego, iż posiada elastyczną ruchliwość, z którą w prawo i w lewo z równą łatwością w miarę okoliczności ewolwuje. Niepodobna nie dzielić opinii, sformułowanéj przez sir Alfreda Milner w doskonałém i wyczerpują-

cém jego dziele *England in Egypt* [1]), który dowodnie wykazuje, że w chwili interwencyi i okupacyi nikt w Anglii nie podejrzewał trudności, jakie ona tam napotka i przeciwności, jakie będzie miała do pokonania. Rzucono się nieopatrznie w nieprzejrzaną kniejç, i odtąd rąbią się w niéj poręby.

Nie należy także, nawet w złéj woli, robić Anglię mędrszą, aniżeli jest nią w istocie. Były chwile, gdy nie wiedziała sama co zrobić ma z tym fantem. W r. 1883 lord Dufferin, ambasador angielski w Konstantynopolu, wysłany został do Kairu z misyą rozejrzenia się w stosunkach egipskich, nakréślenia planu przyszłéj organizacyi i wytknięcia granic *modus vivendi.* Powrócimy do téj misyi, a tu wzmiakujemy o niéj tylko, jako o dowodzie, że rząd angielski znalazłszy się, wskutek abdykacyi Francyi, panem sytuacyi, chodził omackiem w pierwszych czasach i zlecił najzdolniejszemu ze swych mężów stanu rozwiązać ów węzeł, który się wcale niewygodnym okazywał. Ale oprócz tego, znacznie późniéj, bo w r. 1887, a zatém po pięcioletniéj okupacyi Egiptu, rząd angielski oświadczył gotowość wycofania się. Mówimy o tym wielce ciekawym epizodzie dyplomatycznym, noszącym nazwę konwencyi sir Henryka Drummond-Wolffa. Nie potrzeba przypominać, że po katastrofie generała Gordona w Chartumie, gdy runął był cały ten dalekonośny plan zawładnięcia Sudanem — plan tak niespodzianie w chwili obecnéj z popiołów powstający! — rząd angielski, zaskoczony tylu i tak rozmaitemi trudnościami w Egipcie, postanowił się zeń wycofać. W r. 1886-ym sir Henryk Drummond-Wolff zawarł w imieniu swego rządu umowę z Wysoką Portą, jako mocarstwem zwierzchniczém, mocą któréj Anglia naznaczała rok 1889-ty, jako datę swéj całkowitéj ewakuacyi Egiptu. Ów trzechletni peryod uznany był za potrzebny do całkowitego uspokojenia i uorganizowania Egiptu. Takie zobowiązanie się, usankcyonowane aktem dyplomatycznym, było ważnym krokiem ze strony rządu angielskiego, i chociaż nie da się zaprzeczyć, iż były w tym dokumencie artykuły zredagowane tak, że otwiérały Anglii w pewnych przypadłościach furtkę do nowéj interwencyi, to nie mniéj przeto zdawać się mogło, iż rząd francuski, w dobrze zrozumianym interesie własnym znajdzie w téj konwencyi użyteczny i pożądany dla siebie *locus standi.* Ale zamiast pośpieszyć się, zamiast wywrzéć nacisk na Portę, aby tę konwencyę ratyfikowała, rząd francuski postąpił sobie wbrew przeciwnie. Ów trzechletni termin ewakuacyi wydawał mu się zbyt odległym! Na jakie okoliczno-

---

[1]) Pierwsza edycya wyszła w r. 1892, w końcu 1894 wyszła już piąta. Nowa jest w druku.

ści liczył, ażeby przed jego upływem zmusić Anglików do wycofania się, pojąć nie można. Było to zaślepienie, był brak przezorności politycznéj nie do darowania. Gdy Francya w r. 1887 wymogła na Porcie, ażeby konwencyi z sir H. Drummond-Wolffem nie ratyfikowała, mniemała, że otrzymała zwycięstwo dyplomatyczne. Istotnie sama na siebie miecz ukuła. Nie trzy, ale dziesięć lat upłynęło już od téj chwili, a Anglicy, których propozycyę odrzucono, mają rozwiązane ręce, i wiadomém jest, jak się w Egipcie odtąd rozgospodarowali. Francuzi, którzy mają dar spostrzegania cudzych błędów, a zapominania o swoich, nie przestają utyskiwać na zdradziecką i podstępną politykę Anglii w Egipcie. Słuszność nakazuje przypomnieć, że jest w tych oskarżeniach i jednostronność i przesada.

Jeżeli wzniósłszy się ponad spory francusko-angielskie, kryjące jedne i drugie pod pokrywką misyi cywilizacyjnéj zażarte interesy egoistyczne, weźmiemy pod rozbiór jedynie gospodarkę Anglików w Egipcie, rezultaty i owoce, jaką ich okupacya przyniosła dla tego kraju, gdy się porówna ekonomiczny i społeczny stan jego przed laty czternastu z dzisiejszym, to trzeba przyznać, że Anglicy wychodzą z tego porównania nietylko dodatnio, ale świetnie. Dokazali w tym krótkim przeciągu czasu rzeczy nadzwyczajnych, które nawet w téj krainie cudów na podziw i na poklask zasługują. Z barbarzyństwa, z chaosu, z niewoli, z ruiny, podnieśli Egipt do niespodziewanego stopnia udoskonalenia. Ażeby zmierzyć drogę przebytą, nie ma potrzeby wertować kilkudziesięciu tomów raportów urzędowych i wykazów statystycznych, ogłaszanych w *blue books* angielskich. Są w przedmowie do piątéj edycyi wyż wzmiankowego dzieła sir Alfreda Milner: „Anglia i Egipt" fakta, które on, były sekretarz stanu przy wydziale skarbowości, czerpał u źródła, i które ze względu na swój charakter urzędowy za wystarczające do rozświecenia kwestyi uznać można. Ograniczymy się do ich streszczenia.

Gdy się porówna organizacyę administracyjną jakiegokolwiek państwa europejskiego z tą, jaka istniała w Egipcie jeszcze za *condominium* francusko-angielskiego, trzeba przyznać wraz z naszym autorem, że ta ostatnia kwalifikowała się jako typ komiczny do operetek Offenbacha daleko właściwiéj, aniżeli do systemu rządowego w kraju ucywilizowanym. Faworytyzm, nieudolność, przekupstwo, nieład nie do pojęcia, kolizye rozmaitych władz, brak karności, odwlekanie systematyczne wszelkich spraw ważniejszych, wymagających studyów i pracy, cechowały z dawien dawna tę spruchniałą, zgniłą administracyę oryentalną. Potrzeba było nadzwyczajnych wysiłków, ażeby złamać złą wolę hierarchii urzędniczéj i jéj tradycyonalną odrętwiałość.

Właśnie dlatego, że Anglicy brali się do reformy administracyi wewnętrznéj bez żadnego mandatu, własnowolnie, natrafiali na każdym kroku na opozycyę otwartą, albo przynajmniéj na bierny opór. Słynne były spory, jakie agenci angielscy pp. Vincent, Lloyd i inni wieść byli zmuszeni z władzami miejscowemi. Nubar-basza, głowa rządu, podburzał swych podwładnych i udawało mu się nieraz wysadzić ze swych pozycyi owych przybyszów, co zamierzali wprowadzić ład i uczciwość do miejscowéj administracyi. Trzeba było jawnego buntu Nubara-baszy przeciwko reformie sądownictwa, ażeby wydrzéć mu władzę. Dopiéro w r. 1891 za rządów Riaz-baszy udało się rezydentowi angielskiemu, sir Evelynowi Baring, dzisiejszemu lordowi Cromer, postawić organizacyę Egiptu na regularnych fundamentach i odtąd każdy rok nowy ustala ją i polepsza.

Najlepszym probierzem dobréj administracyi i wewnętrznéj polityki są finanse. Sukcesy osiągnięte pod tym względem pod egidą Anglii, są nieocenione. Była już mowa wyżéj o likwidacyi długu egipskiego w r. 1879 i ujednostajnieniu go w olbrzymiéj sumie 98 milionów funtów. Ale dopiéro od konwencyi londyńskiéj, zawartéj w marcu 1885 r., datuje reorganizacya finansów egipskich. Mocą téj międzynarodowéj umowy, upoważniony został Egipt do zaciągnięcia nowéj pożyczki 9,000,000 f., zagwarantowanéj przez wszystkie sześć wielkich mocarstw: użyta ona została na indemnizacyę za zburzenie Aleksandryi, na spłacenie długu ruchomego i obrócono jeden milion na wielkie prace publiczne, które produkcyjność kraju tak wielce podniéść miały w latach następnych. Ważną także ulgę dla finansów krajowych przyniosło, że rata procentowa sprowadzona została do 3½%.

Nie chcąc nużyć uwagi czytelnika drobiazgami skarbowości egipskiéj, poprzestaniemy na przypomnieniu, że dla zabezpieczenia regularnéj opłaty procentów od długu państwowego, ustanowiona została instytucya międzynarodowa, nosząca nazwę *Caisse de la dette*. Skarb krajowy zobowiązany jest przedewszystkiém wnosić do niéj sumę wymagalną dla zaspokojenia wierzycieli. W ostatnim etacie na r. 1896 suma ta wynosiła już 3,802,683 funt. egip. Ponieważ zaś całość dochodów tego etatu wynosiła nie mniéj jak 10,260,000 f. eg., zatém skarb nie znajdował się w najmniéjszych trudnościach i mógł znaléźć nietylko fundusze na wszystkie swe potrzeby bieżące, ale jeszcze odłożyć znaczne sumy do swéj kasy rezerwowéj, która stanowi obecnie jedną z silnych i niezmiernie użytecznych instytucyi.

Ale, jeżeli obecnie przychodzi to snadnie, to trzeba było mozolnych i upartych wysiłków, aby finanse egipskie podniéść na takie wyżyny. Nie dość było w przeciągu tych kilku lat przez skrupulatną ad-

ministracyę i wiele prac produkcyjnych, powiększyć ogólny dochód skarbu z 8 do 10 milionów funt. egip., trzeba było jeszcze wpoić w cały świat urzędowy miejscowy przeświadczenie, że fundusze publiczne są własnością narodu, że ich ani zagrabiać, ani frymarczyć niemi nie ma sposobu, i że z przyjętych zobowiązań, z terminowych wypłat wywiązywać się należy nietylko względem wierzycieli zagranicznych, ale względem każdego, najpokorniejszego fellaha.

Rezultaty gospodarstwa finansowego muszą być uznane przez najzawziętszych nawet nieprzyjaciół Anglii. Umorzono długu państwowego zgóry milion funtów i oszczędza się już przez to 30,000 funt. szt. na coroczne procenta. Na samej konwersyi długu Egipt, który w r. 1880 obracać musiał 66% całego swego dochodu na procenta, zyskał tyle, że obecnie obraca na ten cel tylko 45% i z każdym rokiem ciężar ten się zmniejszać będzie. Gdy sobie wspomnimy, że 4% zunifikowany dług egipski, który stał za Izmaela-Baszy na giełdach europejskich 27%, a w przeddzień okupacyi angielskiéj zaledwie 50%, przeszedł już obecnie nominalną swą wartość i stoi na 105, to się zrozumie całą doniosłość téj rewolucyi finansowéj. Obecnie papiéry wartościowe egipskie są skrzętnie poszukiwane przez kapitalizujących. Ci sami Francuzi, którzy urzędownie nie przestają protestować przeciwko okupacyi angielskiéj, obawiają się w duchu wycofania się ich i spadku swych akcyi. Ta ukryta solidarność pieniężnego rynku europejskiego z Anglią jest, niewątpliwie, jedną z najsilniejszych jéj podpór.

Anglicy skarżą się jednak, że mają związane ręce przez kontrolę Europy i że stan finansowy Egiptu byłby znacznie lepszy, a rozwój kraju daleko szybszy, gdyby rząd miejscowy, po odłożeniu sumy wymagalnéj na opłacenie procentów i na amortyzacyę, miał swobodę działania. Istotnie przez konwencyę londyńską 1885 r., rząd egipski ma wyznaczone sobie pewną stałą sumę roczną na wydatki normalne i oprócz tych, do których jest upoważniony, nie może podjąć żadnych innych, jakkolwiek gwałtowne byłyby potrzeby, jakkolwiek korzystnym nakład jednorazowy. Wszyscy pisarze i publicyści angielscy rozwodzić się nie przestają nad temi niedogodnościami i zaprzeczyć im niepodobna. Ale ponieważ stan finansowy Egiptu mimo tych hamulców i tak jest świetny, można rozwiązanie tych kłopotów zostawić przyszłości.

Wszystkie przytoczone powyżéj dane, tyczące się polepszenia stanu finansowego Egiptu i wzrostu dochodów jego skarbu, nabiorą dopiéro całego swego znaczenia, gdy się doda ten ważny czynnik, iż osiągnięto te rezultaty przy ciągłém zmniejszaniu podatków i ciężarów

pańszczyźnianych, których brzemię gniotło uprzednio naród cały, a przedewszystkiém fellahów. Zmniejszenie podatków, zniesienie pańszczyzny: oto wielkie zasługi Anglików w Egipcie. Przed konwencyą londyńską podatek gruntowy, stanowiący dwie trzecie części dochodu skarbu egipskiego, wynosił był z górą 5 mil. funt. eg. Konwencya zmniejszyła go o 450,000 i obecnie pomimo znacznego powiększenia obszaru uprawianych gruntów, skarb z tego źródła w ostatnim budżecie za r. 1896 otrzymuje 4,870,000 f. eg. Jest to ulga wielka dla rolników, a stwierdza ją łatwość, z jaką podatek gruntowy obecnie wpływa do kas skarbowych.

Większego jeszcze znaczenia była kwestya pańszczyźniana. Nie potrzeba zapewne przypominać ohydnego, despotycznego charakteru systemu pańszczyźnianego w Egipcie. Niewzruszalnie wiąże się on z ziemią Faraonów i ów łagodny, potulny fellah, gnany batogiem bez żadnéj protestacyi do pracy nad kanalizacyą, irygacyą i wszelkiego rodzaju robót użytku publicznego, zmuszony do opuszczania swojéj zagrody i swego zagonu na pierwszy rozkaz niesumiennych, przedajnych, barbarzyńskich dozorców, jest typem tragicznym, a cichy jęk tych milionów istot ludzkich cierpiących katusze i bezlitośnie wyzyskiwanych z pokolenia w pokolenie, nie może zostawić obojętnym nikogo o źdźble sumienia. Humanitaryzm angielski jest może mniéj efektowny, mniéj deklamacyjny aniżeli francuski, nie dekretuje on „praw człowieka”, ale za to, gdzie tylko może w czyn je wprowadza, znosi niewolę, darmochy i z niewolników czyni swobodnych obywateli. Zbyteczném byłoby dodawać, że wszystko, co europejska administracya cywilizowana uczynić była w stanie dla zmniejszenia nadużyć, dla ulżenia brzemienia pracy pańszczyźnianéj, zostało zrobione przez Anglików z chwilą, gdy wzięli na siebie dzieło przekształcenia organizmu miejscowego. Ale nie paliatywów trzeba było: całkowite zniesienie pańszczyzny stanęło przed nimi jako gwałtowny, nieodzowny postulat. Ażeby pracę przymusową, darmochy, zastąpić swobodną, potrzeba było pieniędzy. Skarb nie posiadał ich zrazu, a gdy je znalazł następnie, nie mógł użyć ich na tego rodzaju wydatki. Jedyny sposób, jaki miał rząd angielski, do dokonania téj reformy, było zużytkowanie na skup pracy pańszczyźnianéj — owéj sumy 450,000 funt. eg., które konwencya międzynarodowa londyńska 1888 roku przeznaczyła na obniżenie podatku gruntowego. Ponieważ dwie te części zagadnienia są prawie jednoznaczne i oddziaływające na te same warstwy robotnicze, rząd angielski postanowił przepołowić tę sumę i obrócić tylko 200,000 na zmniejszenie bezpośredniego podatku gruntowego, a 250,000 na skup pańszczyzny. Zdawaćby się mogło, że jedyny za-

rzut, jaki operacyi takiéj dałby się uczynić, jest jéj połowiczność i nieśmiałość. Stało się jednak inaczéj w rzeczywistości. Projekt wykupienia darmochów napotkał ze strony humanitarnéj i demokratycznéj Francyi najzawziętszą, upartą opozycyę. Nic pocieszniejszego, jak noty i memoryały dyplomacyi francuskiéj, protestujące przeciwko temu targaniu się Anglii na wiekami uświęconą organizacyą pracy w Egipcie! Trzy lata ta kampania, o któréj bez rumieńca wstydu mówić niepodobna, trwała i dopiéro w r. 1889-ym udzieliła Francya swéj sankcyi na takie zużytkowanie wyż rzeczonéj sumy. Od razu połowa ludzi, których praca potrzebowaną była rok rocznie do czyszczania kanałów irygacyjnych, została rozpuszczona. Nadzwyczajna popularność téj operacyi wywołała żądanie, ażeby znaleziono natychmiast 150,000 funtów do całkowitego zastąpienia darmochów przez pracę płatną. Nubar-basza i jego następca Riaz-basza otrzymują od zgromadzenia narodowego upoważnienie do ściągnięcia dodatkowego podatku od właścicieli ziemi na ten cel. Ale nie potrzeba było uciekać się do tego podatku. Wskutek konwersyi niektórych długów, skarb egipski w r. 1890 mógł rozporządzać nietylko tą sumą, ale dwa razy większą. Gdy ponownie udał się z przedstawieniem do wielkich mocarstw, o zużytkowanie owych sum na skup pańszczyzny, napotkał powtórnie odmowę ze strony Francyi, która skruszona została nareszcie po długiéj i niestrudzonéj kampanii dyplomatycznéj. Gdyby cały ten zatarg nie był historyą dnia wczorajszego, nie byłoby podobném dać mu wiary.

Za daleko-by nas zaprowadziło, gdybyśmy szli krok w krok za rozmaitemi postępami, dokonanemi przez Anglików w innych gałęziach administracyi, jak policyi i bezpieczeństwa publicznego, urządzeń sanitarnych, reformy więzień i t. d. Na oddzielną wzmiankę zasługuje atoli sądownictwo. A nie łatwą było rzeczą wprowadzić reformy do niego i zabezpieczyć niezależność trybunałów w kraju, gdzie istnieje, jedna obok drugiéj, aż cztery odrębne organizacye sądownicze. Egipt posiada naprzód trybunały religijne, sądzące muzułmanów, daléj trybunały mieszane, sądzące sprawy pomiędzy muzułmanami a cudzoziemcami, następnie trybunały konsularne, dochodzące przestępstw kryminalnych, popełnionych przez obywateli do ich jurysdykcyi należących i nakoniec trybunały miejscowe do spraw cywilnych, oraz kryminalnych Egipcyan. Samo się przez się rozumié, że Anglicy nie mogli się mieszać do żadnego z trzech pierwszych, a ograniczyć się musieli do ostatniego. Postawili sobie za cel tak podnieść, oczyścić i udoskonalić, rybunały krajowe, ażeby stało się interesem europejskiéj i całéj napływowéj ludności do nich się uciekać. Na żad-

ném polu walka pomiędzy wpływem angielskim a francuskim nie była bardziéj zacięta, jak w sądownictwie i skończyła się dopiéro w roku 1890-ym, gdy się udało Anglikom mianować p. Scott'a, sędziego, zajmującego wysokie stanowisko w Bombay, głową sądownictwa krajowego. Wziął się on energicznie do dzieła reorganizacyi, wydalił wielu sędziów, którzy byli jedynie dekoracyjnemi darmozjadami, podniósł znacznie płacę tych, którzy zasiadają w trybunałach pierwszéj i wyższéj instancyi, ażeby ich bezstronność zabezpieczyć, zniósł tortury przy śledztwach, przyśpieszył procedurę, zmniejszył jéj koszta i formalności, i położył podwaliny organizacyi sądowniczéj, o jakiéj niedawno jeszcze Egipt nawet marzyć nie mógł.

Obraz działalności angielskiéj nie byłby dokładnym bez uwzględnienia tego, co zrobili w dziedzinie robót publicznych. Nie ma kraju, gdzieby one były niezbędniejsze i można powiedziéć, że Egipt zniknąłby, zamienił się w pustynię bezludną, gdyby one choć na chwilę ustały. Nawadnianie gruntu, utrzymywanie kanałów dawniejszych, budowa nowych, regulacya poziomu wody przez szluzy, upusty, tamy i t. p., jest tutaj kwestyą bytu. Okupacya angielska znalazła cały system wodny w stanie opłakanym. Zrozumiéć to łatwo, gdy się przypomni, że wielki reformator egipski, Mehemet-Ali, rozpoczął wielkie dzieło irygacyi Delty dla uprawy bawełny i trzciny cukrowéj, a zatém zamienił gospodarstwo rolne kilkomiesięczne na całoroczne. Ten plan nie mógł być wykonany bez przyzwania na pomoc zdatnych inżynierów. Powołano ich wprawdzie z Francyi i ich prace pod względem technicznym były nieposzlakowane. Ale ponieważ za następców Mehemeta-Ali nie posiadali ci inżynierowie francuscy prawa prowadzenia tych prac, nadzoru nad ich wykonywaniem, zatém popełniono w tysiącznych miejscach kapitalne błędy. Pomieszano kanały nawadniające ziemie z irygacyjnemi, nie postanowiono drenowania na téj saméj stopie, co irygacyi, pobudowano szluzy i upusty w złych miejscach, zaléwano niepotrzebnie całe powiaty, kiedy sąsiednie nie miały wody i wilgoci. Oprócz tego, zamiast ogólne dobro miéć na oku, otaczano troską grunta pewnych właścicieli, a zaniedbywano inne.

Zadanie Anglików było o tyle łatwiejsze, że mogli nietylko plan nakréślić, ale i wykonać. Sir Colin S. Moncrieff, który przez dziesięć lat przewodniczył wydziałowi robót publicznych i który przyzwał do pomocy znakomitych inżynierów, miał tedy do zwalczenia tylko techniczne trudności i na szczęście umiał im podołać. Trzeba było dopełniać i zmieniać plan i system dawniejszy, a jednocześnie wprowadzać w czyn—nowy. Zdawać się to mogło nieraz pracą Penelopy. Rezultaty są już jednak dodatnie. Stare kanały, zamulone i bez ujść zo-

stały oczyszczone i przedłużone; zaprowadzono dreny, które zostały zupełnie oddzielone od kanałów irygacyjnych; poziom wielu kanałów sprostowano, wprowadzono w użycie nowy system szluz i zaprowadzono metodę systematyczną do zatrzymywania pokładów użyzniającego mułu. Co do tego ostatniego punktu, dokonano rzeczy nadzwyczajnych. I tak, w kanale Ismailia, łączącym Nil z kanałem Suezkim, sprowadzono ilość mułu z 300,000 kub. metrów do 120,000 w r. 1884. Kanał Nagar wymagał dawniéj do uprzątnięcia 500,000 metr. kub. mułu pracy 20,000 robotników przez dni 40; nowe przyrządziły sprowadziły jego ilość do 30,000 m. k. i zaoszczędziły pracy i piénię dzy. Każdy rok następny dodawał nowe zdobycze do tego wielkiego dzieła.

Lecz są to drobiazgi tylko w porównaniu do innego przedsięwzięcia. Już Napoleon podczas kampanii egipskiéj wskazał na potrzebę zbudowania grobli w poprzek Nilu na punkcie, gdzie się rozdwaja i wytwarza deltę: był to jedyny sposób podniesienia stałego poziomu rzeki. Za Mehemeta-Ali, inżynier francuski, Mongel-bey, rozpoczął istotnie budowę owego słynnego *Barrage*, złożonego z dwóch mostów połączonych murem na 1,000 metrów długim z arkadami, ułatwiającemi przepływ wód i tamującemi go przez potężne żelazne wrota. Budowano tę groblę przez lat dwadzieścia i kosztowała blisko 2 miliony f. szt., pomimo bezpłatnéj wówczas pracy pańszczyźnianéj. Nie dokończono jednak nigdy tego znakomicie pomyślanego dzieła, a gdy miało miejsce kilka wypadków z tymczasowemi upustami, zaniedbano go zupełnie i uznano go w r. 1883-im za pozbawione wszelkiéj wartości praktycznéj. Jednocześnie zaniedbano budowy trzech kanałów, które były częściami składowemi téj tamy. Sir Colin Moncrieff zamiast urzeczywistniać kosztowny plan, do jakiego się wówczas właśnie rząd egipski zabiérał, podniesienia poziomu całego Nilu przez system pomp, postanowił doprowadzać do pożądanego końca prace nad *Barrage* inżyniera francuskiego Mongél, i pomimo opozycyi i wrzawy, po dwuletnich próbach, które wykonalność ich udowodniły, wziął się do dzieła. Gdy w r. 1885 konwencya londyńska dostarczyła 1,000,000 f. na roboty publiczne, znalazł fundusze, których przedtém brakowało. Po sześcioletniéj pracy, która przez inżynierów wszech krajów uznana została za wzorową, wielkie przedsięwzięcie zostało szczęśliwie dokonane. Można uważać obecnie system nawodnienia Egiptu za organicznie przeprowadzony i wymagać on tylko będzie utrzymywana i stopniowego dopełniania.

To co się stało w dolnym Egipcie dzięki *Barrage*, w innéj formie i innemi sposobami dokonane zostało w górnym Egipcie przy pomo-

cy prac znanych pod nazwą *Sharaki*, czyli rezerwoarów wodnych. Jako owoc tych robót 50,000 akrów ziemi jest już obecnie regularnie nawodnianych. Jest to wiele, ale jest niczém w porównaniu do tego, czémby się mógł stać Egipt rolniczy, gdyby się dał urzeczywistnić plan p. Willcocks, zbudowania wielkiego rezerwoaru centralnego w górnym Egipcie. Od kilku lat p. Garstin, następca Sir Colin Moncrieafa i całe ciało inżynierów angielskich agitowało w tym przedmiocie i komisya międzynarodowa wyznaczona przez rząd przychyliła się do tego planu. Ponieważ jednak do wykonania zarówno tych robót jak innych wielce użytecznych, potrzeba wielkich kapitałów, a Egipt podnieść ich nie potrafi bez sankcyi mocarstw, zatém, wyrazić można obawę, iż nie prędko to jeszcze nastąpi.

Gdy się tedy ściśle rozbierze działalność Anglików w Egipcie, stajemy wobec rezultatów tak dodatnich, że z czysto humanitarnych, cywilizacyjnych względów, można im tylko przyklasnąć. Ile razy rząd angielski albo prasa wykazuje rozmiary wprowadzonych ulepszeń, natychmiast ich przeciwnicy, Francuzi, stawiają pytanie dlaczego, wobec tak podniesionego poziomu, Anglicy nie wycofają swéj armii i nie zostawią Egiptowi swobody dalszego rozwoju. Argument ten nie wytrzymuje krytyki. Walczą przeciwko niemu dwa względy. Naprzód jest oczywistém, że kilkunastoletnie rządy angielskie nie wystarczyły do zaszczepienia na gruncie egipskim istotnéj cywilizacyi. Cały szereg wieków barbarzyństwa stworzył tam organizm na którym zasady europejskie, społeczne, prawne, finansowe, i t. d. położyły zaledwie lekką warstwę pokostu. Jeżeli reorganizacya Egiptu ma być istotnie użyteczna, to należy prowadzić ją daléj, systematycznie, nie zaś przerwać w chwili, gdy dopiéro materyały budowlane nagromadzone zostały. Następnie nie wystarcza wycofać armię okupacyjną angielską i reprezentantów jéj cywilnych, trzeba uprzednio nakréślić plan nowego ustroju i otrzymać nań sankcyę mocarstw europejskich. W braku téj zgody leży właśnie szkopuł największy.

Pierwsze pytanie, które się nasuwa każdemu, co się z opinią i wolą narodu o którego losy chodzi, przedewszystkiém liczyć pragnie, jest: czego sobie sami Egipcyanie życzą i jak się oni na okupacyę angielską zapatrują. Jeżeli nie może ulegać wątpieniu, iż masa fellahów, która płaci mniéj podatków, którą oswobodzono od pańszczyzny, która przestała być prześladowaną i wyzyskiwaną, błogosławić musi tę jutrzenkę sprawiedliwości i prawa, która ich wiekową niedolę rozświécać zaczyna, to jest równie pewném, że klasy uprzywilejowane, że sfery urzędowe są w gruncie serca przeciwnikami Anglików i że powitałyby koniec ich rządów okrzykami radości. Nie można zapominać ani o oporze

biernym albo otwartym jaki Nubar basza i wielu mężów stanu i potentatów miejscowych stawiali dawniéj Anglikom, ani o rękawicy jaką im cisnął Abbas-Hilmi, obecny chedyw, w pierwszych miesiącach po wstąpieniu na tron ojcowski. Zgnietli Anglicy ten bunt, tak jak dali sobie radę z dawniejszą opozycyą! Ale takie starcia nie przechodzą bez śladu, i wyższe sfery egipskie nie mogą ich kochać. Twarda, dumna, pełna arogancyi ich postawa, przeciwważa nieraz wartość istotnych ich usług, oddanych społeczności. Na dnie opozycyi i uczuć nieprzyjaznych, żywionych przez Egipcyan przeciwko nim, leży nie tylko podrażniona miłość własna, nie tylko poczucie skrępowanéj niezależności, ale także żal że przeszły już czasy samowolnéj gospodarki, łupiestw i baksziszów niewyczerpanych.

Jeżeli tedy Egipt urzędowy, i jeżeli się tak wyrazić wolno, towarzysko narodowy, żywi złą wolę do Anglików, to nie należy zapominać, iż jest ciągle jątrzony i podbudzany przez stronnictwo francuskie. Francya, która w ciągu całego ostatniego stulecia tak wpływową rolę odgrywała w Egipcie i która uwieńczyła swą działalność cywilizacyjną przez przekopanie kanału suezkiego, ma tam, jak łatwo zrozumiéć, liczną klientelę. Nie tylko stronnicy jéj geniuszu łacińskiego i bezstronni wielbiciele jéj historycznéj roli, ale jednocześnie cała chmara kosmopolitycznych awanturników, zuchwałych przedsiębiorców, wszystkie żywioły o podejrzanéj moralności i programatach radykalnych nie przestawają przemawiać za wyzwoleniem się z kurateli angielskiéj. Słuchają ich, jak zrozumiéć łatwo, Egipcyanie z rozkoszą. Ale nie ma wątpienia, że gdyby jutro Francuzi zajęli w Egipcie, to samo dominujące stanowisko, jakie obecnie posiadają Anglicy, znaleźli by się, prędzéj czy późniéj, w takich samych trudnościach z urzędowym światem miejscowym.

Jeżeli nie naród egipski jako taki, to przynajmniéj zwierzchnie jego warstwy niezadowolone są z okupacyi i interwencyi angielskiéj, jeżeli te same uczucia żywić by im przyszło względem Francuzów albo mieszanéj jakiéjkolwiek okupacyi europejskiéj, to z kolei wypada zatrzymać się przed drugiém pytaniem, a mianowicie: czy Egipt potrafi dać sobie radę sam, bez dyrekcyi i udziału mocarstw europejskich, innemi słowy, czy jest zdolny do autonomii.

Samo się przez się rozumié, że doniosła ta zasada autonomii, samorządu, nie może być zastosowana do Egiptu w sensie politycznym, ale jedynie administracyjnym. Do ustroju konstytucyjnego, do systemu parlamentarnego społeczeństwo to, dopiéro z barbarzyństwa wyrwane, nie dorosło i długie jeszcze lata wody Nilu będą wznosić się i opadać, zanim do niego dorośnie, długie jeszcze lata pod egidą silne-

go ale ojcowskiego i sprawiedliwego rządu, społeczeństwo to jedynie rozwijać się może. Ciało reprezentacyjne byłoby obecnie maskaradą i stałoby się pośmiewiskiem, jak wszystkie takie próby na muzułmańskim Wschodzie skończyłoby się bankructwem. Ale do samorządu administracyjnego jest Egipt, zdaniem wielu teoretyków i optymistów zdolny. Ci, co znają dokładnie społeczność egipską, są atoli innego zdania. Nie wiadomo, gdzie szukać tam żywiołów energicznych, światłych, uczciwych. Masa narodowa składa się, jak wiadomo, z fellahów, ludności rolniczéj, zupełnie biernéj i nie mogącéj rościć najmniejszéj pretensyi do funkcyi publicznych. Klasy średniéj, téj którą społeczeństwa europejskie stoją, nie ma tam dotąd, w braku wszelkiego przemysłu i rozwiniętych specyalnych gałęzi wytworczości, i w braku oświaty. Warstwa ulemów wskutek swego fanatyzmu religijnego i swéj wiedzy, w scholastycznym dogmatyzmie zakrzepłéj, nie jest przeznaczona do wytworzenia takiéj klasy. Dotąd są tylko słabe wskazówki jakby się ta średnia warstwa utworzyć mogła. Koptowie, Syryjczycy, Ormianie, Żydzi, Lewantczycy, i cała ta handlująca, gwarliwa, wielojęzyczna ludność europejska, zamieszkująca Aleksandyę i Kair, może z czasem, osiedliwszy się na dobre, i zespoliwszy swe interesa z interesami kraju, utworzyć społeczność jednolitą. Naturalnie potrzeba będzie nie mało czasu na taki proces asymilacyjny.

Obecnie dwa tylko czynniki z natury swéj nadawać by się mogły do autonomicznéj administracyi Egiptu: arystokracya, powiększéj części pochodzenia tureckiego, nieliczna ale bogata oligarchia i biurokracya, cała ta szara, bezbarwna, masa Effendi'ch którymi zapełnione są wszystkie biura i zarządy krajowe. O arystokracyi egipskiéj to tylko powiedziéć można, że żyła z przywilejów, z uciskania fellahów, i że jest wrogo usposobiona do wszystkich reform, które jéj majątkowe stanowisko podkopały. Jeżeli reakcyjne ich tendencye nie ulegają wątpliwości, to natomiast o rozumie stanu, o znajomości spraw publicznych tych baszów i tych bejów nic wiedziéć nie można. Ich młodzi synowie, wychowani po europejsku, oddają się z zapałem europejskiéj rozpuście, ale nie powstał z pośród nich ani jeden mąż stanu, administrator, urzędnik o szerokich i jasno sformułowanych aspiracyach. Co do biurokracyi urzędniczéj, to za młoda jest jéj tradycya ażeby się od jéj przedstawicieli jakiéjkolwiek inicyatywy spodziewać było można. Są to pokorni, czołobitni, ospali, źle płatni a zatém przedajni urzędnicy: całość ich stanowi mechanizm, do którego ożywienia potrzeba by niemałego wysiłku.

Nieodzownym wynikiem téj analizy jest obecna przynajmniéj nieudolność Egiptu do rządzenia się w duchu metod europejskich. Zo-

stawieni sami sobie, popadliby nieodwołalnie w dawniejszą nieudolność, nieład, chaos, prywatę i marnotrawstwo majątku krajowego. Potrzeba wychować tę społeczność, pstrokaty, przypadkowy nieledwie zlepek różnorodnych czynników, potrzeba dać jéj spójnię, potrzeba przez rozwój ekonomiczny wytworzyć w niéj warstwy średnie, potrzeba przez szkoły i instytucye publiczne ukształtować jéj inteligencyę. Europa, uważająca Egipt za kraj geograficznie odrębny ale zresztą nierozerwalnie od niéj zawisły, wzięła na siebie rolę Mentora i zawiniła by ciężko przeciwko ludzkości, gdyby rozpoczęte dzieło przerwała, zanim jéj wychowaniec nie stał się pełnoletnim.

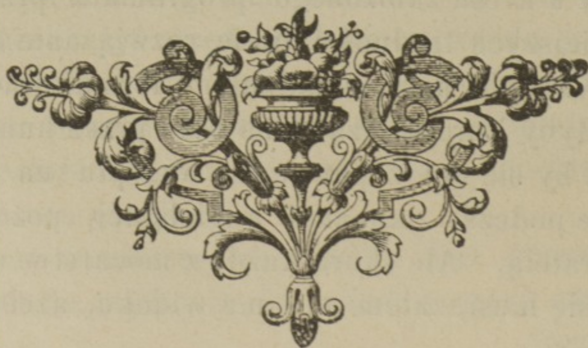
Czytelnik, który miał cierpliwość iść aż dotąd za naszemi wywodami, zrozumié teraz łatwo dlaczego teorya o neutralizacyi Egiptu jest w naszych oczach wprost przeciwną obecnemu interesowi tego kraju. Gdyby ogłoszony i uznany był dzisiaj za państwo niezależne od Turcyi, samodzielne i neutralne tak, jak są neutralnemi Belgia albo Szwajcarya, dwóch by to wymagało warunków. Pierwszym, uprzednim było by zniesienie kapitulacyi, przez które dotąd mocarstwa europejskie ochraniają bezpieczeństwo i prawa swych obywateli przed gwałtami i uciskiem społeczeństwa muzułmańskiego. Uznając Egipt za państwo niezależne, zdolne do samorządu, nie było by można jednocześnie windykować specyalnéj jurysdykcyi dla swych poddanych. Byłoby stratą czasu wykazywanie, że żadne mocarstwo europejskie nie zgodziłoby się obecnie wyrzec się z uprzywilejowanego swego stanowiska wobec znaku zapytania, jakim by ów zneutralizowany Egipt pozostać musiał. Drugim warunkiem uznanéj neutralizacyi byłoby powstrzymanie się od wszelkiéj interwencyi do spraw Egiptu. Nawet gdyby młody jéj mechanizm cywilizacyjny runął pod naciskiem tryumfującéj reakcyi, nawet gdyby jaka rewolucya militarna w rodzaju téj, którą Arabi-Basza był przedsięwziął, na nowo Egipt wstrząsnęła w swych posadach, nawet wtedy Europa była by zmuszona z objektywnym spokojem przyglądać się takim katastrofom. Tak postawiona kwestya sama w sobie niesie rozwiązanie. W przyszłości oddalonéj może Egipt być zneutralizowany. Obecnie jest jeszcze na to zawcześnie.

Stanęliśmy u kresu założonego programatu przedstawienia czytelnikom główniejszych trudności, jakie rozwiązanie kwestyi egipskiéj przedstawia. Nie było naszém zadaniem formułować jakiegokolwiek rozwiązania. Gdyby Europa rządzona była przez humanitarnych filantropów, zgodzili by się oni zapewne, ze względu na ulepszenia jakie zaszły w Egipcie podczas okupacyi angielskiéj, pozostawić je nadal pod tą samą kuratelą. Ale skoro każde z mocarstw o swój własny interes troszczyć się musi, zatém nie ma widoku, ażeby się zgodziły na

wzmocnienie stanowiska Anglii ich kosztem. Opozycya przeciwko okupacyi angielskiéj nie ustanie, przynajmniéj ze strony Francyi, która przebaczyć nie może Anglikom win i błędów przez siebie samą popełnionych.

W ostatnich czasach Anglicy zresztą popsuli w wysokim stopniu swoją pozycyę przez wyprawę do Sudanu. Ci, co nie zapomnieli wypadków historycznych niedalekiéj przeszłości, przypominają sobie wyprawę podjętą przez armię egipską pod dowództwem generała Hicks do Sudanu. Egipt wówczas, w 1883 r., chciał o własnych siłach pozyskać swe naturalne granice. Gdy zuchwałe to przedsięwzięcie skończyło się porażką, lord Cromer, ówczesny sir Evelyn Baring, rozkazał Egipcyanom w imieniu Anglii wycofać się z Sudanu. Podejmując w roku zeszłym, po upływie lat trzynastu znowu te samą wyprawę do Dongoli i Chartumu, rząd angielski zamierzał, jak urzędownie ogłosił, wywiązać się z moralnego zobowiązania przyjętego względem Egiptu. Europa nie dała jednak wiary takiemu programatowi i otwarcie podejrzéwa Anglię, że chce podbić Sudan albo dla siebie saméj, albo dla Egiptu w razie gdyby jéj całkowicie przysądzony został. Sposób, w jaki Anglia zagarnęła kapitały na tę wyprawę z *Caisse de la dette*, wywołał protestacyę mocarst europejskich, a przynajmniéj Francyi i Rosyi. Czytelnicy wiedzą, że w następstwie procesu wytoczonego Anglii, ta ostatnia zwróciła zagrabioną sumę skarbowi egipskiemu. Nie polepszyło to jednak bynajmniéj sprawy. Gdy w roku bieżącym armia egipsko-angielska daléj w pustynię sudańską się zapuści i gdy zwycięskie jéj proporce zatknięte zostaną na murach Chartumu, kwestya stanie znowu w całéj swéj doniosłości przed Europą, i roztrzygnąć przyjdzie co z tym powiększonym Egiptem uczynić wypadnie. Jeżeli gdziekolwiek to tutaj rola proroka, przepowiadającego przyszłość, nikomu uśmiechać się nie może.

N. T.



EWOLUCYA KARY.

(Dokończenie *).

III. Reakcya społeczna.

Właściwa reakcya społeczna (naturalnie mamy tu na myśli reakcyę pierwotną przed powstaniem dzisiejszych związków państwowych) może przybierać trojaką postać: 1) zemsty publicznéj, społecznéj, instyktownéj (*Vindicta publica*, Τιμωρία), 2) władzy sądowéj, ojca rodziny — z czego wywiązała się późniéj jurysdykcya rodowa i szczepowa, zawsze skoncentrowana w ręku jednéj osoby (*paterfamilias*, naczelnik), 3) sądownictwa sakralnego, rozciągającego się na wszystkie czyny zawierające obrazę bóstwa. Wszystkie te trzy czynniki mogą istnieć obok siebie, lecz również mogą występować oddzielnie, pojedyńczo. W społeczeństwach zwierzęcych i najpierwotniejszych ludzkich, znajdujemy albo publiczną zemstę, albo też wyłączne prawo sądzenia w rękach jedynowładcy, najsilniejszego indywiduum. Na wyższych szczeblach kultury widzimy, jak czynniki te toczą ze sobą walkę konkurencyjną, nie da się jednak zaprzeczyć, że sądownictwo sakralne, opiérające się na religii i istnieniu bogów, zjawia się najpóź-

*) Patrz zeszyt styczniowy r. b., str. 143.

niéj,—daléj, że władza sądowa ojca rodziny stoi w związku z późniejszém wyznaczaniem *(delegatio)* specyalnych urzędników (sędziów), co stanowi właściwą podstawę dzisiejszego stanu rzeczy w państwach cywilizowanych.

A) Zemsta społeczna.

Instynktowna reakcya społeczeństwa przeciw członkowi naruszającemu w jakikolwiek sposób jego normy i narażającemu na szwank jego dobra, ma za podstawę to samo pragnienie zemsty, które Indyanin z plemienia Omaha wyładowuje w braku winowajcy na świni, to samo, które mieszkańca wysp Fidżi powstrzymuje od zabaw, to samo wreszcie, które potrafi przez całe dziesiątki lat podtrzymywać wzajemną nienawiść dwóch walczących skutkiem zemsty krwawéj ze sobą rodów. Różnica polega tylko na tém, że tutaj indywiduum (członek społeczeństwa) staje w kolizyi z e s p o ł e c z e ń s t w e m.

Niejednokrotnie używają źródła niemieckie wyrażenia *Rache* zamiast *Strafe (Schwabenspiel*, 310; *Strassburger Stadtv*, XI) i słusznie dlatego orzeka Loeffler o stosunkach germańskich, mówiąc: publiczna kara w wielu kierunkach nie okazywała się niczém innem, jak aktem zemsty, wykonanym przez państwo.

Żądza zemsty u tłumu nie jest bynajmniéj zjawiskiem epoki pierwotnéj, u dzikich tylko spotykaném, amerykańska sprawiedliwość doraźna (prawo lynchu) [1]), wypadki, kiedy rozzłoszczony tłum szturmem zdobywa więzienie, by zamordować znienawidzonego zbrodniarza [2]).

---

[1]) Bardzo interesujące dane statystyczne znajdujemy u Artura Desjardins: „Le droit des gens et la loi de lynch aux Etats-Unis." „Revue de deux mondes", 1891, 13/V, s. 34. Okazuje się z nich (ib. 330), że jeszcze w dzisiejszych czasach prawo lynchu stanowi dopełnienie sądu. Dzienniki amerykańskie wyliczają w roku 1884—103 egzekucye sądowe na 219 wypadków lynchu, w 1885—108 na 181, w 1886—83 na 133, w 1887—79 na 123, w 1888—87 na 144, w 1889 — 98 na 175. Nowe społeczeństwa uważają taki wymiar sprawiedliwości za zupełnie słuszny: John Bryce wyraził z tego powodu zdanie: „Prawo lynchu, jakkolwiek rażącém wydać się może europejczykom, jest obecnie wolne od wszelkiego gwałtu samowolnego" (far removed from arbitrary violence) (ib. 331).

[2]) Każde wykroczenie, popełnione na placu targowym u Kabylów, karaném bywa natychmiast—wzburzony bowiem tłum kamienuje sprawcę; zadaniem jednak urzędnika targowego (*amek' k'eran*) jest nie dopuścić do takiéj natychmiastowéj reakcyi, ma on odstawić przestępcę przez swoich ludzi do aresztu, aby go późniéj ukarać, zdarza się jednak często, że tłuszcza zabije go po drodze. Hanoteau et Letourneux, „Kabylie", III, 304.

Są to dowody, które pozwalają w tym względzie uważać tłum za zbiorowe indywiduum, identyczne pod względem psychologicznym z osobą fizyczną. Zemsta społeczna, jak zemsta wogóle, nie zna psychicznie żadnych granic, zniszczenie znienawidzonego indywiduum jest jéj celem, jéj ideałem—jaką zewnętrzną formę obrać, to dla niéj obojętne. Wobec zamknięcia się pierwotnych grup społecznych w sobie, całość osobnika i trwałość jego egzystencyi zależy od przynależności do jakiegolwiek związku. Po za obrębem szczepu czyha na niego śmierć: walka z siłami natury, z dzikiemi zwierzętami i z obcymi, a więc wrogo usposobionymi ludźmi, przewyższa siłę odporną jednostki. Wykluczenie ze społeczności równa się śmierci. Gmina dopina wówczas swego celu: z chwilą wygnania nienawistnego człowieka — tenże przestaje być jéj członkiem, dla niéj subiektywnie przestaje istniéć, obiektywnie zaś jest bardzo bliskim faktycznego rozstania z życiem. Jednym z rodzajów wygnania był germańskt zwyczaj sadzania na okręt bez steru złodziei i morderców, których egzekucyi chciano uniknąć, następnie zaś puszczania okrętu na morze (Grimm R. A., 701). Występuje tu ze szczególną siłą prawdopodobieństwo śmierci wygnanego. Ten sam zwyczaj znajdujemy na wyspie Tobi: przestępcę ze związanemi rękami spuszczają na morze w dziurawém czółnie (Waitz, V, 2, 117). Tak więc zemsta ludu występuje w obudwu postaciach *promiscue*; prawdopodobnie jednak uśmiercenie jest jéj formą najpierwotniejszą lub przynajmniéj stosowaną przy ważniejszych naruszeniach pokoju publicznego, jako reakcya najsilniejsza. Żadną zaś miarą nie możemy zgodzić się ze zdaniem, że wygnanie jest najprymitywniejszą, bo najlżejszą formą zemsty [1]). Choćbyśmy nawet nie podali w wątpliwość téj lekkości, to nie da się jednak zaprzeczyć, że nie stanowi ona istotnéj cechy zemsty; z drugiéj strony—zemsta prywatna wskazuje nam, że uśmiercenie nie należy bynajmniéj do trudnych zadań. I tak, jeżeli zwrócimy uwagę na reakcyę karną w społeczeństwach zwierzęcych, to znajdziemy tam oba sposoby wyłączenia obok siebie: zdrajców się zabija, leniwe zaś i zgryźliwe indywidua skazuje się na

---

[1]) Kara śmierci wymaga takiego stanu socyalnego, w którym władza publiczna jest dostatecznie silną na to, żeby we wszelkich warunkach zapewnić wprowadzenie w czyn wyroków sądowych, tymczasem u najmniéj nawet rozwiniętych narodów łatwo jest wyłączyć winnego ze wspólnego życia narodowego i oddać go na łup zemsty pierwszego lepszego. Thonnissen (Loi salique) stosuje teoryę powyższą także do Germanów, lecz właśnie tam najmniéj wytrzymuje ona krytykę— por. Bruner RG., I, 169. Mianowicie, pozbawiony opieki publicznéj złoczyńca, ulega wszelkim możliwym prześladowaniom ze strony członków gminy, którzy wspólnemi siłami starają się jego gospodarstwo zniszczyć, spalić i zburzyć.

wygnanie; prawdopodobném więc jest, że czyny bezpośrednio dla społeczeństwa szkodliwe pociągają za sobą śmierć, zaś nietowarzyskość, która wychodzi na jaw w całym szeregu niewiele znaczących czynów lub zaniechań, karana bywa wygnaniem. Jaskrawo występuje ten stosunek u Indyan Chippeway, którzy na wygnanie skazali krewnobójcę, gdy się jednak dowiedzieli, że winien on jest też śmierci białego agenta, wówczas jeden z współplemieńców zabił go tomahawkiem. U Pschawów krewnobójstwo uchodzi bezkarnie — sprawca naraża się tylko na powszechną pogardę; u Svanetów, jakkolwiek również tolerują takiego człowieka, jednak ponosi on już pewną karę, — nosi mianowicie zewnętrzną oznakę wzgardy publicznéj — kamienny łańcuch; wreszcie u Tuschinów skazują go na trzyletnie wygnanie (takie stopniowanie przedstawiają zapatrywania pokrewnych narodów na kwestyę szkodliwości krewnobójstwa). Wszystkie te narody wyróżniają prócz tego przestępstwa, w których reakcyę społeczną stanowi śmierć winowajcy. Tak np. zbiór praw zwyczajowych Dagestanu uważa za obowiązek wszystkich członków rodu postępować w ten sposób wobec zbrodniczego członka. Nie ma na ziemi społeczeństwa pierwotnego, któreby nie reagowało za pomocą śmierci na przestępstwa członków. Możnaby całe tomy zapełnić przykładami tych pierwszych zarodków kary, my jednak zadowolnimy się tylko najbardziéj charakterystycznemi. W Benin (Afryka) ludność przychodzi na sąd uzbrojona, w celu zabicia winowajcy natychmiast po stwierdzeniu winy. W podobny sposób wykonywa się wyrok w Loango, Angola, Pallaballa. Achelis uważa to za zwyczaj u wszystkich ludów pewnego stopnia kultury rozpowszechniony, że ludność przychodzi na zgromadzenia przeważnie uzbrojona, by załatwiać tam spory, rozstrzygać o pokoju i wojnie, a także zawyrokować o winie zbrodniarza i wyrok na miejscu wykonać.

U Ossetów ojcobójca ściąga na siebie nieubłaganą zemstę ludu, który otacza go i podpala jego dom, wraz z nim i z całym jego dobytkiem. Jeżeli, co rzadko się zdarza, gość zostanie zraniony lub obrażony, wówczas cała wieś zbiéra się dla sądzenia sprawy i zazwyczaj strącają winowajcę ze związami rękami i nogami ze skały w rzekę. Zwyczaj strącania ze skały (Tarpejskiéj) istniał również w Rzymie (w razie fałszywego świadectwa) (Gell. XX, I, Liv. VI, 20. Dionys. II, 56); był to ostatni ślad *vindictae publicae* [1]. Oryginalną i okrutną

[1] Ihering, Geist, I, 212. Wyraz *Vindicta publica* znajdujemy w wiekach średnich, np. u Bartolusa („Actio criminalis ad vindictam publ."), to samo znajdujemy w Atenach.

formę posiada zemsta publiczna u Tasmańczyków: cudzołóżca przywiązany do drzewa służy za cel dla strzał współobywateli [1]). U Turkmenów zdrajca bez procesu bywa przez lud zabijany, rodzina jego skazana na wygnanie, dobytek zaś zniweczony. U Karaibów cudzołóżca ginie na publicznėm miejscu pod ciosami ludu. U Miriditów (w górnéj Albanii) ojciec lub bracia pozbawiają życia uwiedzioną dziewczynę; jeśliby tego nie uczynili, zostałaby ukamienowaną lub spaloną przez ludność [2]). U starożytnych Sasów kobiéty własnoręcznie wykonywały wyrok, na jaki skazaną była shańbiona dziewczyna; także u Wyandotów dziewczynę, dopuszczającą się nierządu, sądziła rada ze starych kobiét złożona, która naturalnie również wykonywała wyrok. Nadzwyczaj charakterystycznym jest fakt, że Τιμωρία w Grecyi jeszcze za czasów historycznych oznaczała jednocześnie pomoc, zemstę i karę. Najczęściéj używaną formą karzącéj zemsty ludu było za czasów Homera kamienowanie. Ta sama forma była w użyciu u Franków i Hebrajczyków [3]). A również znaną była Aztekom, w Abissynii, Khokandzie, w prawie muzułmańskiém, u ludów Benguela i Zulu. U Hessów kamienowanie połączone było z przeszywaniem strzałami. Według praw norweskich nie przywiązywano przestępcy, lecz formował się z ludu szpaler, przez który musi on biedz, wszyscy rzucają nań kamieniami, torfem lub innemi przedmiotami. U Kabylów wszyscy mieszkańcy wioski obowiązani są do rzucania kamieni na przestępcę, jeżeli czyn jego narusza interesa całéj wsi. U demokratycznych Dakotów, gdy jaki naczelnik przywłaszczy sobie prawo reprezentowania szczepu, spotyka go za to mocne poturbowanie, jeżeli nie śmierć. W rzadkich wypadkach otrucia lub usiłowania w tym kierunku na wyspach Mentawei cała ludność chwyta sprawcę, wiąże go i rzuca w morze. Odróżnienie drugiéj formy zemsty publicznéj, t. j. wygnania od uśmiercenia, nie jest bynajmniéj łatwém zadaniem, ponieważ z jednéj strony proces wypędzania połączony bywa ze spaleniem domu i często-

---

[1]) If an offence be committed againt the tribe, the deliquent has to stand white a certain number of spears are, at the same time, thrown at him (Ling. Roth., 72) — należy odróżnić od analogicznéj formy załagodzenia sporów prywatnych.

[2]) Zupełnie analogiczne przepisy zawiéra prawo karne Longobardów (Roth. 189, 221; Liutpr. 24); por. Osenbrüggen. Lang. 30.

[3]) W razie występku przeciw religii, bałwochwalstwa, czarów, bluźnierstwa, profanacyi sabbatu, oporu względem rodziców lub przeklinania ich, ciężkiego występku cielesnego, kazirodztwa, pederastyi, nierządu zwierzęcego, zgwałcenia narzeczonéj (Mayer, 59—60).

kroć śmiercią winowajcy [1]), z drugiéj strony jest możliwém, że przestępca dla uniknięcia śmierci sam opuszcza gminę. Tak np. u Kabylów wyrok, skazujący na wygnanie, wydają na przestępcę, który ucieczką uratował się od skazania na śmierć. Z tego też powodu, według prawa islandzkiego, otrzymuje się nagrodę za zabicie człowieka, wyjętego z pod pokoju publicznego. Wygnany był szkodliwém zwierzęciem, do uśmiercenia którego należało ludzi zachęcić. Kto zabił banitę, otrzymywał nagrodę. Podobnież prawo czarnogórskie z r. 1796 obiecuje nagrodę za zabicie złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku. Ustawy anglosaskie i islandzkie przyrzekają premię pieniężną za zabicie wyjętego z pod pokoju publicznego (Wilda), a według prawa norweskiego otrzymywał ten, kto schwytał złodzieja, wszystko, co tenże miał na sobie, a co było tegoż własnością (Amira) [2]).

Każdy przestępca był zarazem wyjętym z pod opieki prawa, ponieważ w każdéj chwili mógł paść ofiarą zemsty ludu lub bezkarnéj samowoli [3]), nie można było wiedziéć, czy zachowa on lub utraci życie. W czasach późniejszych, gdy na widownię wystąpiło sądownictwo urzędników państwowych, przestępca dopóty nie był wyjęty z pod opieki prawa, dopóki sędzia nie skonstatował jego winy; ale schwyta-

---

[1]) Najdawniejszą formą wyjęcia z pod pokoju publicznego jest powszechnie uśmiercenie winowajcy i zburzenie jego gospodarstwa. To postępowanie pierwotne można sobie przedstawić, jako wyrugowanie zbrodniarza przez tłum z jego domu, przyczém zdarza się często, że sam on ponosi śmierć.

[2]) Wyrazy oznaczające wyjętego z pod pokoju publicznego: sansk.-wedyjskie — *parâ vrj*, angls. — *vrecca*, star.-sas. — *wrekkio*, ahd. — *reccho*, altn. — *rekrr* (O. Schrader, „Sprachvergleichung und Urgesch.“), czerk.—*abrek*, słow. *izgoj* (Kowalewski, „Devoir“, Revue de soc., II, 86), służą zarazem dla oznaczenia przestępcy; rozróżnia się nawet rozmaite rodzaje „wilka“, t. j. wygnanego (*vargr*, *varg*, *vearg*, *warc*, *wolf*, *wulf*), a mianowicie: *mordvargr* (mordercę), *brennuvargr* (podpalacza), *gorvagr*, *uvisavargr* (Amira, „Zweck und Mittel“, 47—48). W języku prawniczym longobardzkim nosi wyjęty z pod pokoju publicznego nazwę *fehgangi*, wyraz stojący w związku ze staroniemieckim *fêh*, anglosaskim *fâh*, fryzyjskim *fach*, *inimicus* (Brunner). Ustawy anglosaskie nazywają go *fah*, nieprzyjacielem króla i wszystkich jego przyjaciół. W jednym z kapitularzy karolińskich występuje jako: *nobis et populo nostro inimicus*. Hiszpańskie „Fueros“, zapowiadając banicyę, używają zwrotu: „*exeat nimicus*“. Wyrok banicyi, wydany na margrabiego Ekberta z Miśnii, zawiéra ustęp: *Publicus regni hostis et domini sui imperatoris* (Brunner).

[3]) Tak np. mniejsze związki oświadczają większym, że nie przyjmują one żadnéj odpowiedzialności za swojego byłego członka i nie myślą mścić się za niego (Dorsey, „Omaha“, 369). Tak według Farinaciusa *assassini*, *publici latrones et stratarum disroboratores* stają się przez sam czyn swój banitami, a więc każdy może ich zabić (Kohler, „Z. f. int. Priv.“, Str. R. V, 245.

ny na gorącym uczynku stawał się odrazu wyjętym z pod pokoju publicznego, wina jego wówczas nie ulegała wątpliwości [1]) i dlatego wolno go było zabić. Myśl tę zawiéra znany ustęp z „Fausta" Goethego, gdzie Siebel woła w winiarni Auerbacha: „Bijcie, ten łajdak jest wyjętym z pod pokoju publicznego", podstawą tego twierdzenia była okoliczność, że Mefistofeles dopuścił się oczywistego czarnoksięstwa, a zatém na gorącym uczynku go schwytali.

Ażeby wygnanemu uczynić niemożliwą dalszą egzystencyę w obrębie gminy, burzy się jego dom, zasypuje studnię i zabija drzwi; zwyczaj ten jest tak naturalną, na przyczynowym związku opartą konsenkwencyą zasadniczéj idei wygnania, że na całéj kuli ziemskiéj z nim się spotykamy [2]). Tak np. „Prawda Ruska" nakazuje wygnać podpalacza i zburzyć jego dom, podobnież ustawa cara Duszana; członkowie marki i mieszkańcy wsi u Germanów rozwalali dom przestępcy na znak, że chcą go wykluczyć z gminy. U Ditmarsów palono do szczętu dom przekupnego sędziego (Grimm R. A., 729). W średnich wiekach burzono często mieszkanie zbrodniarzy, niezależnie od wyznaczonéj im kary. Zwyczaj plądrowania i niszczenia domu spotykamy u Franków, Fryzów, Saksonów, a także i u ludów skandynawskich; w starofrancuskiém prawie nosi to nazwę *droit de ravage*.

Francuscy i hiszpańscy królowie w średnich wiekach pozwalali, lub nawet nakazywali takie burzenie [3]). W tych razach, gdy r o z k a z czy p o z w o l e n e zburzenia domu wychodzi od władzy, samo burzenie traci charakter *lynchu*, a nabiéra cechy raczéj kary ubocznéj; statut miasta Pistoi przepisuje wprost: *domus et turres funditus destruantur et arbores et vites estirpentur* — a p a ń s t w o p o n o s i k o s z t a s p u s t o s z e n i a. Prawo zwyczajowe w Bigorre zezwalało na *l'arsis* i *l'abatis* domów zbrodniarzy. Bardzo ciekawym jest pewien edykt fryzyjski z r. 1111, zezwalający na taką doraźną sprawiedliwość [4]). W państwie byzantyjskiém zrujnowanie domu weszło w zastosowanie, o ile się zdaje, jako kara za zdradę (akt z r. 1319. Miklosich, „Blutrache", 137). Za reminiscencyę takiego sposobu wygnania musimy

---

[1]) Glossa do Szp. I, 51 (Brunner, DRG. II, 483).

[2]) „Devoir", Rev. de soc., II, 89.

[3]) Król Aragonii Sancho rozkazał, żeby nikt nie zamieszkiwał domu splamionego zbrodnią; daléj, żeby dom ten był zwalony, a na jego miejscu rozpoczęto uprawę roli. Mieszkańcy wsi Plan, chcąc zburzyć dom zbrodniarza, zwrócili się do Karola, króla Francyi, z prośbą o pozwolenie, na co tenże zezwolił w *lettres patentes* z 28 kwietnia 1408 r. (Lagrèze, 273).

[4]) Ob has causas (morderstwo i zgwałcenie) permittimus fracturas et combustiones domorum (Schwarzenberg, I, 72, 6—Grimm, 730).

uważać zwyczaj, o jakim wspomina doniesienie urzędowe z r. 1666 w Moguncyi: jeżeli żona pobiła swego męża, wówczas sąsiedzi wchodzą na dach domu męża, wyrębują szczyt i zrywają dach aż do czwartéj łaty od góry (Grimm, 723). Według starochińskiego Li-ki ze zburzonego domu ojcobójcy czyniono chlew. Ten sam zwyczaj znajdujemy u Normanów we Francyi i u Fryzów, we Flandryi, u Bulgarów i Słowian połabskich, u Azteków, na Samoa, w starożytnych Węgrzech i Atenach. U Melanezyjczyków jest w użyciu ograbienie przestępcy (*muru*). Grecy już za czasów Homera znali wygnanie [1]). U plemienia Maraczaj (Kaukaz) w razie shańbienia niewiasty zbiéra się cały lud, „starzy" zaś wydają wyrok, skazujący sprawcę na wygnanie; w przeciwnym razie, nie jest on pewny życia. Na wyspach Mentawei morderca zmuszony jest opuścić swój kampong. U Malajów z Menangkaban znajdujemy takież wygnanie z „*suku*"; wypędzony zwie się wtedy „wygnanym publicznie, żeby wszyscy o tém wiedzieli". U małego starożytnego plemienia zach. jawańskiego Baduis ma nie być innych kar, prócz wykluczenia ze świętéj gminy. Podobny skutek pociąga za sobą nieprzestrzeganie zwyczajów gminy, u Chewsurów na Kaukazie. Wygnanie znajdujemy jeszcze u Defir-Beduinów, Tuszynów, w Bihar, Saran, u plemion Muszeras, Bodos (w Darjiling), Santalów. W Rzymie prawo wykluczenia miały pierwotnie rody, późniéj przeszło ono na państwo, głównym w tym kierunku tegoż organem był cenzor, mający prawo wyłączyć z senatu, z *tribus*, ze stanu rycerskiego.

Udział ludu w wykonaniu wyroku śmierci uznać musimy za reminiscencyę zemsty publicznéj. Jeszcze w r. 1524 chłopi Dietmarscy własnoręcznie zabili skazanego na śmierć Henryka von Zutphen, ponieważ nie było kata. Lecz tylko w razie potrzeby, t. j. jeżeli kata nie ma lub jeśli ten nie mógł sam jeden dać sobie rady, występuje obowiązek gminy udzielenia pomocy i to dopiéro za formalném wezwaniem ze strony sędziego. Gdy w Pratel trzeba było powiesić złodzieja koni, a Bazyleja nie chciała pożyczyć kata, wszyscy mieszkańcy musieli zająć się powieszeniem go na drzewie orzechowém. Wieś Wiesenbrun we Frankonii, należąca do urzędu w Castel, miała prawo nie wydawać złodzieja krajowemu sądowi, lecz wieszać go, przyczém wszyscy mieszkańcy musieli dotknąć stryczka (Grimm, 886).

Podobnie miała się rzecz według starego prawa islandzkiego, a według Frostupengslög, chłopi mieli towarzyszyć egzekucyi złodzie-

---

[1]) Odyss. XVI, 381—382.

ja, który zaś nie był obecny, płacił karę przepisaną na wypadek nieobecności na zgromadzeniu gajoném (*thing*).

Według przepisu prawa czarnogórskiego z r. 1796 kara śmierci wykonywa się przez ukamienowanie i rozstrzelanie. Dzisiejsza wojskowa egzekucya wyroku śmierci jest ostatnim śladem zemsty publicznéj.

Od czasu do czasu, zwłaszcza w epoce rozruchów ludowych, zjawia się i dziś znów stara zemsta społeczna nawet na wysokim stopniu kultury. Dość przypomniéć, że komuna paryska, bezwiednie odnowiła *droit de ravage*, kiedy zadekretowała 10 maja 1871, zrównanie z ziemią domu ówczesnego prezydenta republiki Thiersa, którego z pewnością, w razie gdyby był się ukazał, traktowanoby jak człowieka wyłączonego z pod pokoju publicznego. Nie inaczéj miały tłumy w roku 1848 w Berlinie postąpić z pałacem księcia pruskiego, uznanego za wyjętego z pod prawa — od zniszczenia zupełnego uratował ów dom ktoś bardzo zręcznie przez napisanie krédą wielkiemi literami na ścianie frontowéj „własność narodowa"—w ten sposób w miejsce zniszczenia nastąpiła konfiskata. Zemsta ludu, pomimo swego społecznego charakteru, pozostaje zawsze tylko zemstą, τιμωρια *vindicta*, ze wszystkiemi jéj właściwościami [1]).

Pod względem prawnym i socyologicznym zemsta publiczna różni się od prywatnéj, lecz pod względem psychicznym, jako wyraz danego stanu umysłu, są one całkiem identyczne; zemsta publiczna ma się do indywidualnéj, jak w muzyce akord do toniki: jest on silniejszy, bogatszy w odcienie, lecz czy będzie się nazywał *c-dur*, czy *c-moll*, zawsze jego punktem wyjścia będzie ton *c*. Wskutek tego zemsta publiczna musi przejść po tych samych stopniach rozwoju, przebyć tę samą drogę psychologiczną, jaką przebyła w historyi prawa zemsta indywidualna.

Widzieliśmy więc, jak powstaje zemsta prywatna, instytucya, na mocy któréj w niektórych wypadkach indywiduum ma p r a w o pozbawić życia drugą osobę, daléj, że jest stadyum, w którém indywiduum (poszkodowany) ma powszechnie uznany o b o w i ą z e k zabicia sprawcy. Zaznaczyliśmy obie te fazy rozwoju, jako epoki surrogatów

---

[1]) Jak walka rodów (*Fehde*) oznacza nieprzyjaźń rodu, uprawnionego do zemsty, podobnie wyjęcie z pod pokoju publicznego jest wyrazem nieprzyjaźni całego ludu. Brak pokoju i ochrony prawnéj stanowi negatywną, zaś nieprzyjaźń społeczna—pozytywną stronę wyjęcia z pod pokoju publicznego. (Brunner II, 166). Charakterystyczném jest, że wyjęty z pod pokoju, a zatém wydany na łup powszechnéj nienawiści, nazywa się *faidosus* (*fath* w źródłach fryzyjskich) por. Richthofen. Fries. R. Q. 186, 188, 190.

kary, ponieważ akty zemsty występują w takich warunkach nie jako samowola tylko, lecz jako akt zastępstwa społeczeństwa, słabo jeszcze interesującego się sprawą karania przestępstw, naruszających prawa jednostek, nie zaś gminy, jako takiéj. Są też wypadki, w których również dla zemsty społecznéj stoją otworem obie drogi t. j. prawo albo obowiązek wszystkich członków danéj grupy społecznéj, zabić wyjętego z pod pokoju przestępcę. W tym razie grono osób, powołanych do zastępstwa interesów publicznych, jest daleko liczniejsze, nie tylko bowiem poszkodowany lub szczupłe kółko krewnych, lecz wszyscy członkowie społeczeństwa są uprawnieni lub zobowiązani do zemsty. Tak np. u Indyan Wyandot znajdujemy dwa stopnie wyjęcia z pod pokoju. Słabszy polega na tém, że w razie, jeżeli przestępca dopuści się jeszcze raz czynu podobnego do tego, za który został wyjętym z pod opieki prawa, wówczas wolno każdemu go zabić, a śmierć jego nie wywoła krwawéj zemsty ze strony jego rodu. Silniejszy stopień jest téj treści, że każdy należący do szczepu zobowiązany jest zabić przestępcę, jeżeli go gdzie napotka.

Nie należy mieszać tego podziału ze staronorweskiém wyjęciem z pod pokoju: surowém za *ubotaverk* i zwyczajném (*utlagr*). Miarą jest tu możność wynagrodzenia szkody za pomocą kary pieniężnéj (por. Amira Altnorw. V v.). Post nie odróżnia tych dwóch różnych punktów wyjścia. (Grundriss I, 251 N. 1).

U Germanów bardzo wybitnie występuje to przejście od prawa do obowiązku zemsty: kiedy najdawniejsze zwyczaje wcale nie nakładały kary na opuszczenie sposobności ścigania i zabicia wilka, w późniejszém spotykamy już odnośny obowiązek. Wyrok skazujący Ekberta margrabiego Miśnii na banicyę, przepisuje wyraźnie jego ściganie (*persequendus*).

Podobny obowiązek leżał na wszystkich członkach gminy (u Germanów), którzy musieli rzucać kamienie i ziemię na złodzieja ulicznego, biegnącego (jako *Pechvogel*) szpalerem, utworzonym z ludu. Kto nie rzucił, podlegał karze 9 uncyi. Według anglosaskiego rozporządzenia (Aethelstan IV 6 § 5) ośmdziesięciu ludzi zająć się ma takiém ukamienowaniem złodzieja. Kto trzy razy chybi, dostaje trzy rózgi. U żydów istniał obowiązek ukamienowania fałszywego proroka, namawiającego na bałwochwalstwo (Pent. V, XIII 9—10). Prawo zemsty publicznéj widzimy w cytowanych wyżéj, uznanych przez państwo, prawach zwyczajowych lub w przywileju mieszkańców Pampeluny, na mocy którego mogą oni zabić bez procesu urzędnika sądowego w razie nadużycia przezeń władzy, (Lagrèze, 288). Jeszcze w r. 1796 posta-

nawia prawo czarnogórskie, że mordercę wolno każdemu i wszędzie zabić.

Nieograniczona zemsta musi, jak wiadomo, uledz z biegiem czasu modyfikacyi, któréj wyrazem będzie instytucya odwetu (*talio*). Także zemsta ludu, stosownie do swych cech zasadniczych, musi przejść tę fazę, ponieważ odwet (*talio*) nie jest specyficzném stadyum w rozwoju zemsty prywatnéj, lecz metodą odpłaty. Lud nie napada już na zbrodniarza, nie zasypuje go gradem kamieni, ani nie odpycha go, występuje tu poraz pierwszy idea owéj metafizycznéj sprawiedliwości: *suum cuique tribuere*. Podobnie jak w zemście prywatnéj krzywdziciel i poszkodowany, w zemście krwawéj dwa rody, tak tutaj znów, przy *vindicta publica*, stoją naprzeciw przestępca i społeczeństwo; to ostatnie mści się za zadane mu zło, skazując złoczyńcę na analogiczną przykrość. Tak np. za podstawę mojżeszowego prawa karnego należy uważać zasadę: szkoda za szkodę, oko za oko, ząb za ząb; jak kto drugiego skrzywdził, tak i jego skrzywdzić należy. W Grecyi panowała podobna zasada. (Hermann. Lehrb. 70 Anm. 9, por. też Günther I, 76, v. Bar. I, 9). Ażeby dać pełny wyraz takiemu wyrównaniu Solon przepisał, aby za wybicie oka człowiekowi jednookiemu wyłupiono sprawcy oba oczy. Obok tego mechanicznego systemu odpłaty rozwija się drugi t. zw. symboliczny odwet, który obejmuje kary wyraziste [1]). Ten symboliczny odwet służy celom kryminalno-politycznym, *ostendere scelera, dum puniuntur*, ochraniania społeczeństwa od ewentualnego powtórzenia przestępstwa.

Zdrowe myśli pierwotnéj, eliminującéj zemsty publicznéj niedługo podlegały analogii zemsty prywatnéj i jéj późniejszéj fazy, właściwego odwetu; szukały one zawsze wolnego miejsca dla siebie; zamiast prawnego lub fizycznego tępienia obrano inną drogę: przyszło się mianowicie do tego prostego przekonania, że przestępca nie popełni powtórnie tego samego przestępstwa, jeżeli się go pozbawi potrzebnych narzędzi. Dokładne badania jednak wykazują, że wiele przestępstw bywa karanych w jeden i ten sam sposób (np. przez ucięcie

---

1) Zatrzymujemy wyrażenie „symbolicznego odwetu", jakkolwiek wydaje się ono nam niewłaściwie użytém por. Leist. A. A. jus gent. 325: „występuje tu odrębna myśl prawna, którą należy ściśle odróżniać od zasady odwetu. Powinno się odpokutować tą samą częścią ciała, którą się zgrzeszyło (a więc nie w ten sposób, w jaki ucierpiał przeciwnik)". W pierwszym odwecie przewodnią myśl stanowi mechaniczna odpłata, wyrównanie, w tym zaś „symbolicznym"—uczynienie kogoś nieszkodliwym. Może lepiéj byłoby zamiast tego ulubionego wyrażenia Posta przyjąć używane przez Francuzów (Tissot I, 546, Letourneau) „kary wyraziste czyli analogiczne do zbrodni" (*peines expressives ou analogues au crime.*).

ręki); specyalizacya tego odzwierciadlania jest trudna, obrazowe przedstawienie niedokładne i wieloznaczne. Społeczeństwo wychodziło tu bezwąpienia z inego założenia, a mianowicie uczynienia przestępcy nieszkodliwym. Tak np. według Manu (VIII, 270) za obrazę członka wyższéj kasty obcina się sprawcy (*sudra*) język; jeżeli osoba, należąca do jednéj z niższych kast, targnie się jakąkolwiek częścią ciała na członka kast wyższych, ma jéj być ta część ucięta (ib. 279); jeżeli go więc ze swawoli oplwa, powinien król skazać ją na obcięcie obu warg i t. d. (ib. 282). Ta sama myśl tkwi w naszéj konfiskacie, narzędzi zbrodni i zakazie wykonywania rzemiosła. Przestępca nie powinien więcéj mieć okazyi do znalezienia się w położeniu, umożliwiającém powtórne dokonanie zbrodni. Także w Abisynii w wypadkach ciężkiego krzywoprzysięstwa wyrywają przestępcy język. U Germanów krzywoprzysięsca tracił rękę, którą podnosił przy akcie przysięgi, podobnież było w Węgrzech. Jeżeli ktoś niesprawiedliwie oczernił drugiego, naraził się tém samém na utratę języka według rozporządzenia króla Edgara (Wilda 959 — 969). W Egipcie kastrowano gwałcicieli; człowiekowi, który zdradził tajemnicę państwową, obcinano język; fałszowanie monet, wag, miar i pieczęci państwowych karano ucięciem obu rąk. W wizygockiéj księdze ustaw za przeciwny naturze nierząd przewidzianą jest kastracya. Przy kradzieży należy odróżniać dwa systemy uczynienia nieszkodliwym: jeden chce, aby złodziéj nie widział, drugi—aby pozbawiono go narzędzia czynu t. j. ręki [1]). Drugi system, jako logiczniejszy, jest też więcéj rozpowszechniony: w Atchinie, Tonkinie, Kokandzie, Kaszgarze, na Maldivach, w sułtanacie Borneo, na Sumatrze, w Birmie, według ustaw kałmuckiego chana Galdana, w Bornu, u Indyan Daryjskich, w prawie węgierskiém, w średniowiecznėm prawie niemieckiém, na Kamczatce; pierwszy—oślepienie spotykamy na wyspie Ferro, u Indyan z Cuzco, w Serbii (Zakonnik cara Duszana), u szczepów Chibchas, Karagwe (Kongo) i Madżiarów. (Post. „Anfänge 223. Bausteine I, 292. Ursprung, 107. Afrik II, 88. Grundriss II, 242. W średniowiecznych prawach włoskich znajdujemy oba punkta widzenia *promiscue*). Na wyspie Fate, na do-

---

[1]) Jeżeli na Kamczatce pochwycono złodzieja, który dopuścił się licznych kradzieży, przywiązywano go do żerdzi, następnie za pomocą zapalonych witek brzozowych przypiekano mu ręce w ten sposób, że palce pozostawały na całe życie zgięte ku wewnętrznéj stronie dłoni, daléj psuto mu narzędzia, służące do kradzieży i powszechnie uznawano za złodzieja, ażeby każdy mógł go się wystrzegać. (Steller. Kamtschatka 356).

mu człowieka, który źle mówił o naczelniku, wieszają jego szczęki. Osobom, które się dopuściły obrazy, szpiegom i fałszerzom obcina się ręce lub palce. Fałszerzowi monet u Anglosasów (Aethelstan II, 14, I) ucinano rękę, która popełniła przestępstwo, i przytwierdzano do warsztatu. Jeżeli czeski mieszczanin lub włościanin uderzył kogo, tracił rękę, podobnież każdy, kto wobec króla i dworu zranił drugiego mieczem lub nożem; analogiczny przepis zawierała węgierska *Carta* z r. 1270, udzielona mieszkańcom Cosve. Téj saméj idei uczynienia nieszkodliwym hołduje też piętnowanie [1]), przestępca jest raz na zawsze naznaczony, — przez piętnowanie mówi się jego współobywatelom: miejcie się na baczności, on to jest" „piętnowanie ma na celu uczynienie zbrodniarza znanym dla każdego, a więc też i dla władz". Rozmaite wypalone piętna zastępują zatém w życiu praktyczném dzisiejsze akty o poprzedniem karaniu przestępcy (kontestacye karne, czyli tak zwana w Królestwie Polskiém przed r. 1876 „regestratura sądowa"). Ten sam cel osiąga się przez ostrzyżenie głowy, pręgierz, jazdę na ośle i t. d.; gmina nie tak łatwo zapomni osobę, któréj przypadło w udziale takie pohańbienie. Dalszą fazą analogiczną, którą zemsta publiczna na podobieństwo zemsty prywatnéj przejść musi, jest pewna forma załagodzenia t. j. prośba o przebaczenie. Jak „pokora" u Słowian i odpowiednie instytucye Kabylów, w Birmie i t. d. powinny odwieść poszkodowanego od zemsty, tak też np. fidżyjskie *soro* ma ten sam cel w stosunku do obrażonéj społeczności. Z pięciu rodzajów *soro* pierwszy stosuje się do kradzieży, uwiedzenia i cudzołóztwa, drugi do zaniedbania obowiązków urzędowych, trzeci wchodzi w zastosowanie w razie powstania lub rewolucyi, czwarty ma znaczenie międzynarodowe, — polega mianowicie na zrzeczeniu się przez zwyciężonych władztwa w danym kraju, piąty dotyczy zemsty prywatnéj. Ten rozwój *soro*, gdzie jedna i ta sama instytucya obejmuje 2 rozmaite wypadki, gdzie w ten sam sposób proszą o przebaczenie osobę prywatną i gminę, dostarcza nam uderzającego dowodu jednolitości punktów wyjścia i ewolucyi zarazem. U plemienia Omaha znajdujemy pokutę publiczną, trwającą dwa do czterech lat. Winowajca ma się wstrzymać od pe-

---

[1]) Bezwątpienia odzwierciedlenie przestępstwa gra tu wielką rolę; tak np. u Franków (*cap. de moneta c.* 5.), którzy na czole fałszerza pieniędzy wypalali napis: „*falsator monetae*"; to samo widzimy w Chinach, Birmie, w okręgu Dźwińskim za czasów Wasyla Dymitrowicza i t. d., ale jest to tylko środek, do celu wiodący, jak to wyraźnie zaznacza Ta Tsing Len-li 281; por. Manu. VIII 352: władca powinien za pomocą przejmujących zgrozą kar uczynić zbrodniarza dla wszystkich znanym.

wnych potraw, ograniczyć się do przepisanego odzienia, nie strzydz włosów i t. d. (Dorsey, 369).

Ten sam charakter ma kościelna pokuta publiczna. Kościół chrześciański posiada, jak i każde inne społeczeństwo, naturalne prawo wykluczenia opornych członków, pod co da się podciągnąć całe kościelne prawo karne w swych istotnych częściach składowych. Zarazem najgłówniejszym środkiem przymusowym w kościele była exkomunika, dla uniknięcia któréj trzeba było się upokorzyć, to znaczy we wschodnim kościele przejść 4 stadya: *flentes*, *audientes*, *substrati*, *consistentes*, co odbywało się w gmachu kościelnym, w zachodnim zaś stać przed domem biskupa (*poenitentia solennis*) [1]) lub w przepisanym stroju przedsięwziąć podróż pokutną około świata *peregrinatio per mundum*, *poenitentia publica* [2]). Wiadomo nam, że między prawem karnem całéj grupy społecznéj a jednéj jéj części nie ma istotnéj różnicy; te same idee, które powołały do życia *soro*, stanowią podstawę pokuty kościelnéj i upokorzenia, praktykowanego w kastach indyjskich: skruszony winowajca staje z oznakami żalu przed zgromadzoną kastą, słucha w milczeniu wyrzutów, jakie mu robią, częstokroć otrzymuje uderzenia i płaci karę pieniężną. W końcu obiecuje poprawę, roni parę łez i robi „sachtanga" t. j. pokłon, przy którym pada twarzą na ziemię. Ten dotychczas analogiczny rozwój jednéj i drugiéj zemsty musiał doprowadzić do jednakowego epilogu t. j. kompozycyi. Różnica polega na tém, że zamiast jednostce—płaci się karę społeczeństwu (królowi), co zresztą w zupełności zgadza się z zasadniczą ideą. Państwo (król) jest stroną obrażoną, do niego ma być zwrócona prośba o przebaczenie, jemu, a nikomu innemu, szkoda ma być wynagrodzoną [3]). U Chewsurów (Kaukaz) gmina godzi się z wykluczonym (*Noltwetili* wł. uciętym), gdy ten ofiaruje do *chati* (świątynia gminna) kocioł i srebrną czaszę, zabija wołu i warzy *ludi* (piwo). W podobny sposób szwedzki *biltogher*, lub staronorweski *utlagr* mogli się wkupić w pokój za 40 marek. Staropolski *proscriptus* lub *expulsus* (w XIII w.) mógł uzyskać pokój za 2 marki złota [4]). Według statutu Wiślickiego

---

[1]) Sacco induti, nudis pedibus, vultibus in terram demissis se reos esse ipso etiam habitu et vultu protestantes ante foras episcopi. Montbach Statuta synodalia Dioeces. Wratisl. 21—38. Ulanowski: Mikołaj z Błonia 147.

[2]) Peregrinatio per mundum cum baculo cubitali et cum scapulari et cum huiusmodi. Et fit publice ideo: ut publicum peccatum habeat publicam disciplinam. (Mikołaj z Błonia, de sacr. pen. Ulanowski 141).

[3]) Jest to znana we frankońskiém królestwie grzywna „bannus", którą musiano płacić za przekroczenie królewskiego zakazu. (por. Brunner II, 34, 52, 623).

[4]) *Abbate intercedente sub pactione duarum marcarum auri in totum gracie reformatus*. (Hube, Prawo polskie w w. XIII, 166).

za podpalenie (*incendium*), rozbój (*violentia sive spolium publice strate*), gwałt przed sądem (*cultellum vel gladium praesumpserit*), opór przeciwko wyrokowi sądowemu (*de judicio per suam rebellionem decesserit*) przestępca płaci królowi [1]) najwyższą grzywnę w wysokości 70. Charakterystycznem jest, że według Prawa Salickiego nawet w wypadkach, gdzie karząca siła państwa była obrażona *sine voluntate judicis, sine permissu judicis*), występuje tylko kompozycya. To samo ma miejsce w razie, jeżeli ktoś zabije sacebarona i przywłaszczy sobie jego władzę, lub komu innemu ją odda. Nieinaczéj ma się rzecz z podłożeniem ognia pod kościół lub budynek, w którym przechowują się święte relikwie, daléj z profanacyą grobów lub świętokradztwem. A jednak poza temi kompozycyami pozostaje pewna część przestępstw powszechnie szkodliwych, które wywołują nieubłaganą reakcyę społeczną, których żadną miarą nie można było okupić pieniędzmi. Są jednak, niestety, poważni badacze, którzy w téj kwestyi, jak i w wielu podobnych, czują się w prawie twierdzić co innego [2]).

---

[1]) Stat. Wiśl. X za *strepitus in judicio* według Stat. Wielk. IV—15 (Hube. Ustawod. Kaźm. W. Text. IX, XXXIX). Wszystkie te czyny mogą być uważane, jako akty powstania, oporu przeciw ustanowionéj władzy; dlatego też pociągają one za sobą najwyższą karę, którą się płaci królowi, jako stronie obrażonéj. Kara siedmdziesiąt po łacinie *septuaginta* zwaną była *poena regalis* dlatego, że płaciło się królowi albo jak mówiono królestwu, wnosiła się do skarbu królewskiego (Hube, Sądy, 236) por. *nostre camere applicanda* (Stat. Wielk. IV, Wiśl. IX).

[2]) Tak np. Post. „Grundriss“ II, 256: wszędzie na ziemi istnieje w historyi rozwoju prawa karnego epoka, w któréj wszystkie bezprawia w gruncie rzeczy wyrównywa się przez płacenie kompozycyi. Najcięższe nawet zbrodnie, jak morderstwo, mogą być okupione. Kara śmierci i kary cielesne nie istnieją. Zjawisko to jest w zupełności powszechném.“ Ta teza Posta wydaje się nam trochę zanadto apodyktyczną, zwłaszcza wobec przytoczonych przezeń argumentów. Tak np. u Gruzinów w kodeksie Jerzego (1318 — 1346) wspomina się wprawdzie wyłącznie o kompozycyach, ale cytowane przestępstwa są: morderstwo, obelga, porwanie kobiety i kradzież, a zatém nie ma żadnego, zagrażającego bytowi społecznemu. *Corpus juris Georgici* (I, 1361—1391) powtarza te same przepisy, podwajając zarazem wysokość kompozycyi, zawiéra jednak również inne przestępstwa, skierowane przeciw państwu i religii i karane wyłupieniem oczu. Przestępstw tych również za czasów księcia Jerzego nie można było zapewne okupić pieniędzmi, w przeciwnym bowiem razie byłyby wymienione w taryfach, określających wysokość kompozycyi. Podobnie ma się rzecz z prawem polskiém. Najstarszy pomnik prawa polskiego z XIII wieku zawiéra tylko kompozycye, ale przestępstwa tam wymienione są: kradzież, zabójstwo, zgwałcenie, uwiedzenie, cielesne uszkodzenie. Za to Statuta Wiślickie z r. 1346 — 1368 wspominają o przestępstwach przeciw społeczeństwu, które król karze dowolnie śmiercią lub wygnaniem (obok poprzednio wspomnianych, karanych grzywnami). Przytaczana

W wielu *leges barbarorum* reakcya społeczna przejmuje terminologię od systemu kompozycyi (*de vita sua componat*), jednak istota jéj przez to nie zatraca się, znajduje ona późniéj silną pomoc w sądownictwie królewskiém, które karze śmiercią cały szereg przestępstw. O tym czynniku wymiaru sprawiedliwości karnéj pomówimy w innén miejscu, tymczasem zaś poprzestaniemy na twierdzeniu, że zemsta społeczna, idąc w rozwoju swym równolegle z prywatną, łączy się naraz z kompozycyą, nie tracąc jednak swéj samodzielności: z dwóch rzek powstaje trzecia w ten sposób, że każda z początkowych się rozdwaja, dwie nowe odnogi łączą się i tworzą trzeci prąd. Zemsta prywatna, jako wyraz pewnego stanu psychicznego, zostaje wprawdzie ograniczona, lecz nie znika, zemsta publiczna (reakcya społeczna) w rzadkich, najważniejszych tylko wypadkach ma możność rozwinięcia się, kompozycya zaś wchodzi w zastosowanie przy naruszeniach praw prywatnych i przy większości przestępstw. Z biegiem czasu rzeka kompozycyi znów się rozdwaja; jedna część w charakterze kar pieniężnych [1]) łączy się z reakcyą społeczną (system kar), druga zachowuje swoją samodzielność pod nazwą prawno-prywatnego odszkodowania pieniężnego. Jest to właściwy charakter kompozycyi (por. np. termin prekluzyjny kodeksu malajskiego Nawôlô-pradôlô (art. 8 u Wilkena 95). Odtąd więc pozostają trzy wielkie prądy: reakcya społeczna, kompozycya zredukowana do odszkodowania cywilnego i obracająca się w granicach norm prawnych zemsta prywatna.

---

już ustawa Jarosława dotyczy tylko morderstwa, uszkodzenia cielesnego i kradzieży, a zatém znanych wypadków systemu taryfowego. Całkiem niesłusznie powołuje się daléj Post na Słowian południowych (Dareste 226), ponieważ według statutu Vinodolskiego okupuje się pieniędzmi: morderstwo, uszkodzenie ciała, kradzież, obrazę, ale powtórne podpalenie karze się zawsze śmiercią, a zdrajcę książe dowolnie sądzi,—jeżeli zaś porównamy ten przepis z polskiém *in gratia nostra consistat* lub lombardzkiém *in potestatem regis judicare*, z wyrażeniami: *in misericordia, in potestate regis, ducis, en merci du roi, du seigneur* używanemi w źródłach francuskich, flamandzkich, normańskich i anglonormańskich, to znaczenie jego będzie dla nas jasne. Również cytata z Brunnera D. RG. II, 612 — 623 (co się tyczy Germanów) jest niefortunnie wybraną, ponieważ znajdujemy tam tylko znane wypadki kar pieniężnych; należało zwrócić uwagę na str. 598—600 (o karze śmierci). Uważam za zbyteczne rozbieranie innych cytat, ponieważ są one wszystkie w ten sam sposób, jak powyższe, zebrane. Także cała teorya Littrégo (*l'idée de dedommagement a améné l'idée de peine* opiéra się na fałszywém założeniu, że w rozwoju pierwszego lepszego narodu znajdziemy epokę, w któréj wszystkie przestępstwa można było okupić pieniędzmi).

[1]) Typowy rozwój w bramińskich Indyach: „niezależnie od tego odróżnia się jeszcze dokładnie pozostałości starożytnéj taryfy kompozycyi, zamienionéj w taryfę kar“ (Dareste, Etudes 78), co do średniowiecznych statutów włoskich miast por. Kohler, Studien II, 84.

B) Kary patryarchalne [1]).

Istoty towarzyskie *(les êtres grégaires)* albo podlegają silnéj władzy, albo też ją redukują do *minimum*. Bociany i kruki, Eskimowie, Indyanie Paraguayu i t. d. nie mają żadnéj władzy centralnéj,—małpy, konie, Negrzy, Fidżianie potrzebują jéj i rzeczywiście mają swoich przewodników stada, ewentualnie naczelników. W tych społeczeństwach, gdzie przewodników nie ma lub gdzie czasowo nie posiadają oni wielkiego wpływu, reakcya społeczna występuje wprost, jako instynktowna zemsta ludu; gdzie jednak silniejsze indywidua identyfikują się z gminą, jéj dobro uważają za swoje, chronią ją od niebezpieczeństw kosztem i z poświęceniem własnego niebezpieczeństwa, tam indywiduum takie uważa każde przestępstwo (powszechnie szkodliwe działanie), za naruszenie lub zagrożenie własnych interesów, jako własną obrazę i dlatego sam stara się reagować.

Najnaturalniejszy proces rozwoju czyni ojca rodziny autokratycznym władcą. Przewodnik stada u zwierząt ssących, jeżeli wogóle jakie indywiduum zajmuje w rzeczywistości to niezwykłe stanowisko, jest jedynym męskim, dojrzałym członkiem społeczeństwa, pozostali członkowie — są to jego kobiéty i dzieci. U dzikich patryarcha jest ojcem szczepu, wszyscy inni są w zasadzie dziećmi, wnukami i kobiétami. Późniéj występują adoptowani członkowie lub zwyciężeni, ale pierwsi są rzadkiém zjawiskiem, drudzy nie mają pełnych praw obywatelskich. Z patryarchalnéj rodziny powstają szczepy, z patryarchów — naczelnicy. Rozwój taki nie jest jedynie możliwym, zdarza się bowiem, że w gminie, żyjącéj w pomieszaniu płciowém *(Promiscuität)*, pewna energiczna (silna, odważna lub bogata) jednostka uzyskuje duży wpływ na drugich [2]), jakkolwiek są to tylko pojedyńcze wypadki, a rozwój silnéj władzy sądowéj naczelnika, która w początkach jest prawem życia i śmierci, jest naturalnym wynikiem władzy

---

[1]) Według M. Morasso, władza sądowa patryarchy jest nawet jedyném źródłem społecznego systemu kar („La evoluzione", 15).

[2]) Nie ma może dzikiego ludu na ziemi, którego egzystencya fizyczna byłaby więcéj zbliżoną do zwierzęcéj, niż Buszmenów: nikt nie ma tam większego od innych poważania, np. przez odziedziczenie godności — rozstrzyga tylko siła fizyczna, a silniejszy, obrotniejszy wyzyskuje ją często do tego stopnia, że słabszy musi mu ustąpić swoją broń, a nawet swoją żonę i dzieci, jeżeli chce zachować życie (Lichtenstein, II, 517—518).

patryarchalnéj. U Cyklopów, gdzie, według przekonania Greków, panowała zupełna anarchia prawna, ojciec rodziny miał prawo sądzić i karać. W starożytnéj Gallii głowa domu miała prawo życia i śmierci (Waitz, *Anthrop.*, II, 420) w stosunku do żony i dzieci, to samo prawo miał Dumpse u plemienia Maravis (*Caesar de b. gall.*, VI, 19). Punktem wyjścia władzy sądowéj indyjskiego *raji*, rzymskiego *rex*, greckiego βασιλεος (instytucye wspólnego pochodzenia staro-aryjskiego) jest stanowisko ojca domu. To prawo sądzenia Rzymianie nazywają *animadversio*, Grecy także τιμωρία (zemsta, reakcya). Każde wykroczenie uważa się za obrazę ojca domu [1]). W Rzymie *paterfamilias* mógł swoją żonę wygnać lub sprzedać, jak również skazać ją i dzieci na śmierć. Tę czysto impulsywną reakcyę pojmowano późniéj jako wykonywanie woli bogów, chodziło o *fas*, pan domu był wobec bogów odpowiedzialnym za sprawiedliwe wykonywanie sądownictwa, które miało się opiérać na *pietas*, zarówno u rzymskiego *paterfamilias*, jak u staro-aryjskiego *pati*. Starogermański ojciec rodziny w czasach, kiedy się z nim spotykamy, również był skrępowany pewnemi zasadami sprawiedliwości w wykonywaniu władzy sądowéj [2]). Kobiétę, która się dopuściła cudzołóstwa, wypędzano (Tacitus Germ., 19) z domu nago z obciętemi włosami, względnie ścinano (v. Richthofen, *Ges. des westerlauerschen Frieslands RQ.*, 409) za rospustę, ewentualnie chłostano lub sprzedawano (Liutpr., 121). Jeżeli schwytano kobiétę na cudzołóstwie, lub jeśli godziła ona na życie męża, wolno ją było zabić (Rothari, 202, 200; Lex. Bajuv., VIII, 1; Visig., III, 44; por. Wilda, 821—829; Brunner R. G., I, 75; Osenbrüggen Lang., 30). Podobne prawa zabicia cudzołożnéj żony znajdujemy u Słowian (por. Leg. St. Adalb. u Jireček 55, *et sub manu conjugis jussa est subire sententiam*). To samo *jus vitae ac necis* miał germański ojciec domu względem swoich dzieci (Rothari, 321). Australijski ojciec familii panuje w swém rodzinném kółku zupełnie dowolnie i despotycznie (Waitz, VI, 790), podobnie w Armenii (Dareste, 120). Władzę dyscyplinarną pana domu musimy przyjąć za istniejącą, odkąd wogóle istnieją rodziny ludzkie (Leist GJKG., 296). To sądownictwo patryarchalne po części dało

---

[1]) Sędzią ich (syna i żony) był ojciec rodziny — mógł on skazać na śmierć tak samo, jak to czyniła władza publiczna (Fustel de Coulanges, 102).

[2]) *Non licet uxorem interficere ad suum libitum, sed rationabiliter* (Formuła *Liber Papiensis* w „Rothari“, 200. M. G. legum, IV, 344). Z drugiéj strony był on zmuszony karać winnych, bo w przeciwnym razie wdawało się państwo — por. „Roth.“, 189, 221; Liutpr., 24; podobnie u Mirydytów (Gopcevich, 318).

początek despotycznéj jurysdykcyi naczelnika szczepu lub posłużyło jéj za wzór. Tak np. naczelnik wsi w Chinach jest bardzo często patryarchą klanu i rodu i sprawuje władzę sądową nad jego członkami (Pauthier, *La Chine moderne*, 256); dziś jeszcze jest ta instytucya uznaną przez państwo. Władza naczelna w starożytnéj Walii i u Indyan nosi niezatarte ślady rozwoju, opartego na urządzeniach rodowych (Post. Bausteine, I, 114). Nie inaczéj wygląda władza naczelna u Hottentotów (Fritsch, 97). Ci patryarchalni naczelnicy wyrokują samodzielnie i nakazują wykonanie wyroku swoim katom. Tak np. naczelnik plemienia Ma-Atabele trzyma specyalnych ludzi, zwanych królewskimi sztyletami, którzy trudnią się zabijaniem w nocnéj porze ludzi, uznanych przez króla za szkodliwych (Hollub. Z. f. Ethn., XXV, 196). Naczelne stanowisko rozwinęło się w nieograniczoną władzę nad życiem i własnością poddanych u Kirgizów, Rediangów na Sumatrze, w Niamniam, w Nutka, w Bucharze, Chiwie, Shoa, Dahomeyu, Marokko, u Natchezów we Florydzie, w Abisynii, Persyi, Usambara, Dschagga, Cayor. Z nieograniczonéj téj władzy rozwija się z jednéj strony późniejsze królewskie prawo wymierzania chłosty (jak jeszcze w starożytnéj Walii i według kodeksu cara Wachtanga), z drugiéj strony jurysdykcya królewska, którą król z początku sam sprawował (Manu, frankońscy, staropolscy królowie, w staréj Walii, Peru, Meksyku i t. d.), późniéj zaś zastępowali go urzędnicy (np. Amapakati u plemiemienia Amaxosa), którzy zdawna wyręczali go w drobnych sprawach, a obecnie otrzymali w całéj rozciągłości pełnomocnictwo do sądzenia w imieniu króla. Naczelnicy, względnie królowie odgrywają większą rolę w epoce kompozycyi, — rolę, która posiada pierwszorzędne znaczenie ze względu na powstanie państwowego prawa karnego; mianowicie, przestępstwa nie dopuszczające kompozycyi (jedyne właściwe przestępstwa) są pociągane przed trybunał króla, który sądzi je według własnego uznania (staropolscy i starofrankońcy królowie, książęta południowo-słowiańscy). W ten sposób idea przestępstwa, jako społecznie szkodliwego czynu, została uratowaną od zabagnienia w czysto materyalném zadośćuczynieniu, w ten sposób zachowaną została w całości zasada reakcyi społecznéj.

Czy słusznem jest jednak, abyśmy kary wymierzane przez autokratę uważali za akty reakcyi społecznéj? Na pytanie to należy odpowiedzieć twierdząco: w pierwszéj fazie rozwoju władca taki jest tylko wykonawcą powszechnéj woli, — jeżeli o tém zapomina, zostaje opuszczony, wygnany lub zamordowany: w drugiéj fazie na nic mu się zda nietykalność, jeżeli jest on prawdziwą lub domniemaną przyczyną nieszczęść swojego narodu; w trzeciéj fazie rozstrzyga wyłącznie po-

wszechne dobro. Nad greckim królem stali θέμιστες, w bóstwo zamieniona wola społeczna, szwedzki musiał zaprzysiądz (Wilda, 29), staroaryjski wogóle pytał się u ludu o zdanie, ilekroć chodziło o nowy przepis (Bernhöft, 113) [1]. *Regis voluntas suprema lex* jest tylko wtedy, jeżeli społeczeństwo nie ma nic przeciwko temu. Okrucieństwo niektórych autokratów, jak np. afrykańskich kacyków, musi wzbudzić myśl: dlaczego społeczeństwo je znosiło? Nie zapominajmy jednak, że męczeni i katowani Negrzy płaszczą się w poniżającém służalstwie przed swoim despotą, że nieraz po śmierci autokraty masy uderzały w płacz, zaczęły nosić żałobę i w rozpaczy i żalu nieutulonym oczekiwały strasznéj przyszłości. Naród posiada nietylko taki ustrój, na jaki zasługuje, lecz również taką formę rządu, jaką chce mieć większość.

C) *Czynnik sakralny.*

W epoce, kiedy każde przestępstwo stanowi obrazę bóstwa, dostrzegamy również w reakcyi pewną domieszkę pierwiastku sakralnego; reakcya jednak nie zatraca swojéj istoty — forma jéj tylko jest inna. Jeżeli dla przebłagania bogów poświęca się im na ofiarę przestępcę, to wykonawcami tego aktu są te same osoby, które występują w każdéj reakcyi: złoczyńca jest albo wyjęty z pod pokoju publicznego i każdy może go bogom ofiarować, gdzie tylko go napotka, albo téż rzuca się na niego wzburzony tłum, okazując bogom w ten sposób nieprzychylne swoje zapatrywanie na dane przestępstwo, wreszcie przyśpieszeniem śmierci przestępcy mogą się zająć ludzie wybrani, mianowicie kapłani, odpowiadający katom lub prawnie upoważnionym mścicielom krwi (ponieważ stoją najbliżéj bogów). Jak niezbędném jest zabicie na ofiarę zbrodniarza, wskazuje zwyczaj mongolskiego plemienia Abor w Indyach; dla ułagodzenia spowodowanego przestępstwem gniewu bogów, jeżeli pod ręką nie ma przestępcy, zabija się am w pośpiechu pierwszą lepszą świnię, ponieważ *periculum in mora*, krew płynie, społeczeństwo symbolicznie wypełniło swój obowiązek, gniéw bogów wyładował się na świnię (Letourneau, Justice, 45; por. Dalton Bougal, 24).

Tak u Germanów przestępcę, wyjętego z pod pokoju publicznego (*vargr*), ofiarowywał albo pierwszy lepszy, który go napotkał, albo

---

[1] Formalnie nie było to potrzebném, za to bardzo często w rzeczywistości wskazaném, ponieważ lud, jeśli tylko był jednomyślny, mógł z pomyślnym skutkiem stawić opór i pokrzyżować jego plany.

też kapłani [1]). Każdy wyrok śmierci wykonywano w takiéj formie ofiary, przynajmniéj co się tyczy Skandynawii [2]). Śmierć ofiarną zna także prawo fryzyjskie (Lex Fris. add. II). Co do prawa frankońskiego, v. Bar (L. D. Str. R. I, 53, Nota 242) uważa hipotezę identyczności ludzkiéj ofiary i kary śmierci za bezwarunkowo niesłuszną. Przeczy temu jednak postanowienie, zawarte w notatce prawnéj z początku IX w. (L. Cham., c. 38), które każe się domyślać, że Frankowie również niegdyś poświęcali na ofiarę bogom złodziaja-recydywistę (Brunner, I, 176), jakkolwiek egzekucya nie stanowiła bynajmniéj kapłańskiego monopolu: członkowie gminy, którzy złapali na gorącym uczynku lub wygnanego złoczyńcę (*vargr*) mieli prawo zabić go na ofiarę bez udziału kapłana (Brunner, DRG, II, 468). Często nawet pytano bogów, czy poświęcony im zbrodniarza jest dla nich przyjemną ofiarą (Brunner, ib. I, 176; II, 468). Przyjęta przez bogów ofiara ludzka uważana była za świętą, stąd też wszystko, co pochodziło od straconego, było błogosławioném. Palec jego, zakopany pod progiem sprowadzał na dom stałe błogosławieństwo. Kość z uda powieszonego, przytwierdzona do drzwi, zabezpiecza od kradzieży, a w najcięższéj chorobie pomaga picie krwi straconego (Brunner, II, 476). Nie inaczéj było w Rzymie. Wszystkie kary śmierci epoki królewskiéj były aktami ofiary (przestępcę ścina się toporem; topór jednak u Rzymian był narzędziem rzeźnika — okoliczność ta, jak również cała forma tracenia odpowiadała w zupełności zabijaniu zwierząt ofiarnych [3]). Za dowód może posłużyć słowo *supplicium*, które oznaczało jednocześnie ofiarę dla ubłagania bogów (Festus; Paul. Diac. *voc. supplicia*) i karę śmierci (Liv. 2, 5, X, Cic. pro Rosc. Amer., 25); człowieka, który obraził bogów poświęcano im uroczyście na ofiarę, jeżeli nie został przedtém zabity. Z chwilą, kiedy u bogów nastąpił podział pracy, złoczyńcę zawsze poświęcano właściwie obrażonemu bóstwu. Z tą samą konsekwencyą, tych, którzy przekraczają święte normy Tabu, zabija się na cześć bogów, jako własność bóstwa. Dzieje się tak na wyspach Markesas (na świętych *morais*), na Tahiti, w Meksyku, u Irokezów, u Pelauczyków, nawet u Żydów znajdujemy pewne ślady tego zwyczaju (każda krew jest dla człowieka *tabu*; jest ona świętą, nie wolno jéj dotykać, ponieważ należy ona wyłącznie do Boga, zatém człowiek,

---

1) Richthofen L. Sax. 186, Note I.

2) Łamanie karku np. odbywało się na kamieniu ofiarnym, topienie — w ofiarném błocie lub wodospadzie; stryczek był również narzędziem ofiarném (Amira, Zweck, 58—59, według K. Maurera, Bekehrung, II, 195).

3) Mommsen, „Todesstrafe“; por. Mommsen Geschichte, I, 175, 176; Staatsrecht, II, 49; v. Bar. S. 6; Brunnenmeister, 168; Leist, 387.

który się jéj dotknie, sam musi być poświęcony bóstwu na ofiarę (Lippert, II, 142).

Geneza pustoszenia i plądrowania domu przestępcy da się również w fazie sakralnéj, sprowadzić do źródeł religijnych. Dom, w którym zbrodniarz, a więc wróg bogów mieszkał, należy zniszczyć jako miejsce nieszczęścia, dzieło jego rąk zniweczyć, bo wszystko, co od bezbożnika pochodzi, wywołuje gniéw bóstwa.

Jeżeli w jakim narodzie panuje zwyczaj peryodycznego składania ofiar, to przestępcy stanowią naturalnie główny materyał (obok jeńców wojennych i t. d.). Tak np. w Dahomeyu, gdzie z roku na rok na cześć umarłych królów (bogów) składa się ofiary ludzkie, używają na ten cel skazanych przestępców, których do dnia ofiary trzyma się w zamknięciu [1]). Podobnież w Atenach i wogóle u Jonijczyków przy święcie Thargalii, poświęcano bogom „dwóch najgorszych ludzi, przestępców i nicponi, którzy nie warci byli życia"; zabijano ich na przeznaczoném na to miejscu, ciała palono, a popiół rzucano w morze [2]).

Cele reakcyi sakralnéj spełniają obok kapłanów osobne, na całéj kuli ziemskiéj rozpowszechnione związki tajemne. Powstają one zawsze wśród ceremoniału religijnego, każdy nowowstępujący członek musi także przejść długotrwałą procedurę nowicyatu (zazwyczaj w lesie), członkowie noszą poświęcane fantastyczne stroje (zwykle skóry zwierzęce, co może pozostawać w związku z totemizmem i animizmem). Związki (afrykańskie: Purra, Sindungo, Egboe, Njembe) mają do spełnienia poważne zadanie utrzymywania porządku w obrębie danéj grupy społecznéj, motywa religijne i polityczne łączą się u nich w jedną całość. Zajmują się nadzorowaniem całego życia społecznego aż do najdrobniejszych szczegółów, spełniają obowiązki policyi, sędziego śledczego, sędziego wyrokującego i kata równocześnie, przyczém szczególną uwagę zwracają na konduitę kobiécą, dzieci i niewolników. Niektóre z tych związków mają pewien typ odrębny, pewną specyalność, która wyznacza im pewien szczególny zakres działania i tak słynny związek Purra zajmuje się głównie godzeniem zwaśnionych ro-

---

[1]) Müller, Dorier, I, 329; Pauly, „Realencyklopädie der class. Alterthumswissenschaft, VI, 2, 1748; Schoemann, Griech. Altherthümer, II, 257; Leist GIRG., 262.

[2]) Po za skazanymi na śmierć za jakąkolwiek zbrodnię, których się traci w takich wypadkach, żaden inny Dahomejczyk nie był nigdy poświęcony. W ostatnich latach i najniższa liczba ofiar ludzkich obejmowała dwudziestu skazańców, których egzekucye rezerwowano na te dni uroczystości (E. Foa, „Le Dahomey").

dów, a nawet szczepów, przez to że kładzie tamę ich wzajemnemu wytępianiu się—środkiem do tego groźba reakcyi Purry przeciw obu narodom (szczepom). Tak wywiéra ona dobroczynny wpływ na całe okręgi, przeszkadzając wybujałemu wykonywaniu zemsty krwawéj.

Egboe na wybrzeżu zachodnio-afrykańskiém znów ma charakter bardziéj handlowy, powstanie swe zawdzięcza wielkim jarmarkom na olej, a celem, który sobie wytknął jest spełnianie czynności policyi targowéj, a równocześnie czuwanie nad wypełnianiem należytém zobowiązań prawno-prywatnych, i utrzymaniem normalnych stosunków kredytowych, niezbędnych wobec stykania się z Europejczykami, że obok tego wciąga związek Egboe w obręb swéj kompetencyi działalność policyi zwyczajnéj, jest tylko naturalnym wypływem dominującego stanowiska i wybitnéj roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. Związek Njembe znów (w południowéj Gwinei) ma na celu ochronę kobiét od zbytu surowego traktowania przez mężczyzn (mężów).

Głęboki wpływ na rozwój reakcyi i prawa karnego wywarły powstające na wyższym stopniu cywilizacyi sądy pokutne (*Sühngerichte*). Pytanie, czy zabójstwo (niezamierzone) podoba się bogom (ὅσιον) i czy sprawca może się oczyścić i zmazać winę, stało się kryminalną kwestyą winy. Sądy te stanowią w historyi prawa karnego niewątpliwie epokę: tylko niewinnego sprawcę dopuszcza się do oczyszczenia i łaski, tym sposobem łamie się zasadę winy obiektywnéj (*objective Schuld*), wprowadzając pierwiastek subiektywizmu. Równie dobrze, jak u Greków, także indyjskie sądy pokutne (sądy Prayaçeitta) nosiły ten sam charakter sakralny. Miały one wprawdzie pewien pozór sądownictwa świeckiego przez to, że właściwie król (rajàn) miał prawo wyznaczać karę, jednak bramini byli tu fachowcami, którzy po części udzielali rad, po części sami bezpośrednio rozstrzygali wątpliwe kwestye (Leist, „Allt Ar. Jus gent.”, 349).

Dotychczas zajmowaliśmy się pozapaństwową karą i reakcyą, państwowa zaś jest naturalnym wynikiem pierwotnéj reakcyi ludu; jakkolwiek trzy wymienione wyżéj czynniki w rozmaitych stadyach i warunkach przedstawiają różne połączenia, może jednak przeważać sakralny element pojednania, jak w starożytnych Indyach, gdzie nawet kara śmierci była samopoświęceniem, — albo też czynnik patryarchalny (królewski), jak w państwie frankońskiém i starożytnéj Polsce, albo wreszcie właściwa *vindicta publica*, która zwycięsko potrafiła się utrzymać w Atenach i u Hebrajczyków w formie kamienowania. Dziś

jeszcze w karze państwowéj widzimy reakcyę społeczną, która w jakiéjkolwiek formie przeniesiona przed wiekami na monarchę, wykonywaną bywa przez jego zastępców-sędziów; na miejscu idei królestwa występuje idea państwa; sprawiedliwość wymierzaną bywa wprawdzie w imieniu władcy, ale jego stanowisko sędziowskie staje się tylko cieniem; ma on tylko zastrzeżone pewne przywileje, jak prawo łaski, umorzenie śledztwa. W każdym razie z socyologicznego punktu widzenia należy uznać, że w tym względzie mamy do czynienia z jednym z owych kół Vica, gdzie się powraca do początku: jakkolwiek formalnie karze się przestępstwa jeszcze w imieniu panującego księcia, jednak tendencya uważania społeczeństwa za punkt wyjścia reakcyi nie ulega najmniejszéj wątpliwości.

Wewnątrz państwa znajdują się stowarzyszenia, które należy za społeczeństwa uważać; te mają też własne przestępswa i własne kary (reakcyę). Jedną z najpotężniejszych społeczności w krajach europejskiéj kultury jest kościół; posiada on całkowity i skomplikowany system cenzur i kar (por. Loening: *Gesch. d. k. Strafrechts*, München: *Gesch. d. k. Strafrechts*, Katz: *Gesch. d. k. Strafrechts*), które w czasie, gdy państwo udzielało kościołowi *bracchium saeculare* i połączyło ekskomunikę większą z banicyą, stały się państwowemi, późniéj musiały się ograniczyć do swoich, czysto kościelnych stosunków, obecnie zaś z roku na rok ulegają coraz to większéj redukcyi. Także prawo karne innych stowarzyszeń zanika w państwie, nie mając potrzebnego do rozwoju miejsca i powietrza w granicach ustaw państwowych; zachowuje się tylko powszechnie uznane prawo wykluczenia opornych [1]) i pewne kary, który „przestępca" dobrowolnie i chętnie płaci. Najlepszym typem tych kar w stowarzyszeniach są kary klubowe, gdzie np. za każdą godzinę gry w karty ponad oznaczoną godzinę trzeba płacić pieniężną karę. Stowarzyszenie zewnątrz państwa pozbywa się krępujących go więzów odzyskuje swoją samodzielność, kary jego zyskują na sile kolorytu. Na miejsce wygnania wstępuje zemsta społeczna w formie prawa lynchu, powszechnie szkodliwe indywidua

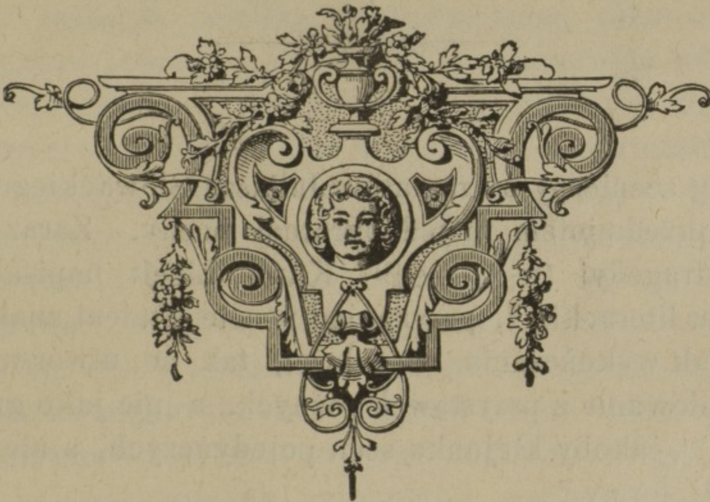
---

[1]) Por. „Wykluczenie z wielkiéj wolnomularskiéj loży uczciwych ludzi" (Schopenhauer, „Grundprobleme der Ethik").

ł) Nie należy tego mieszać z prywatno-prawnemi karami z umowy (co czyni np. v. Bar, I, 359, twierdząc: „to dyscyplinarne prawo karne podpada jurydycznie w zupełności pod pojęcie umowy), ponieważ mamy tu do czynienia z pewnym rodzajem odszkodowania, tam zaś z reakcyą, którą społeczeństwo łączy z przekroczeniem swoich norm.

muszą zniknąć z powierzchni ziemi. Tak postępują wszędzie poszukiwacze złota w okolicach, gdzie sprawiedliwość państwowa nie istnieje lub jest martwą literą, tak postępuje się dziś tam, gdzie wymiar sprawiedliwości pozostawia wiele do życzenia. Państwo nazywa tę instynktowną reakcyę samowolą i przestępstwem, walczy przeciw niéj, ale dopóki samo nie ma dostatecznéj siły do usunięcia rzeczywistych przyczyn złego: własnéj słabości i niedostatecznego wymiaru sprawiedliwości, dopóty musi ulegać w walce.

Dr. Juliusz Makarewicz.



Balzac i Juliusz Słowacki.

Najbardziéj sceniczny z dramatów Juliusza Słowackiego „Mazepa," był już przedmiotem niejednokrotnéj oceny. Zaraz po wyjściu z druku téj tragedyi (w r. 1840) Karol Libelt napisał jéj rozbiór w „Tygodniku literackim", przyznając poecie „talent znakomity", ale wytykając brak wykończenia w całości, tak że utwór wydał mu się „jakoby zabudowanie z przystawek różnych, a nie jako gmach jednowymianowy (?), jakoby klejonka scen pojedyńczych, a nie jako gładki odlew z jednéj formy."

Po przedstawieniu „Mazepy" na scenie (w Krakowie 1851, we Lwowie 1861, w Poznaniu 1870, w Warszawie 1873) ukazywały się sprawozdania mniéj lub więcéj szczegółowe, w których zalety i wady estetyczne kompozycyi i charakterów z rozmaitych punktów widzenia były rozpatrywane, ale dosyć pobieżnie. Z ocen gruntownych dwie szczególniéj zasługują na uwagę: Antoniego Małeckiego i Stanisława Tarnowskiego. Małecki w dziele swojém o Słowackim pierwszy wskazał (na podstawie listów poety) psychologiczną przyczynę niejednolitości w układzie tragedyi. Poeta nasz bowiem dwukrotnie zabierał się do obrobienia tematu: raz w r. 1834, a drugi raz w 1839. Pierwsze obrobienie spalił, jak sam pisze w listach, drugie, w którém niewątpliwie przechować się musiały reminiscencye z pierwszego, nienależycie spojone z nowemi pomysłami, oddał do druku. Małecki w rozbiorze

swoim zastanawiał się głównie nad pytaniem, kto jest bohaterem tragedyi („Mazepa”, „Wojewoda”, „Amelia”) a przyszedłszy do przekonania, że ostatecznie „Amelię” uważać należy za taką osobę, w której skupia się zasadniczy interes akcyi, zarzucił téj postaci brak prawdziwéj tragiczności. Przyznawał „Mazepie” niepospolite zalety sceniczne, „dla których też dramat ten nazawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycyą w repertoryach”; zarzucał atoli tragedyi „rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisaną”; wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczały, „to jedno (przedstawienie „Amelii” jako tragicznéj ofiary), w którém się ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora”, zawyrokował, że „przeciw niejednemu w téj dążności protestować koniecznie trzeba.”

Tarnowski pisał o „Mazepie” najprzód w rozbiorze dzieła Małeckiego, a następnie w „Kronice Rodzinnéj” 1874 (obecnie przedruk w I-ym tomie „Rozpraw i Sprawozdań” 1895, str. 109—138). Obie te oceny są w zasadzie zupełnie zgodne ze sobą; różnice dotyczą drobnych szczegółów jedynie. Tarnowski z właściwém sobie subtelném poczuciem estetyczném, wykazawszy w pierwszéj połowie rozprawy ujemne strony utworu (naciąganie w układzie, nienaturalność w akcyi, przesada w sytuacyach; figura Wojewody—okropna, a figura króla — chybiona i nieprzyjemna do widzenia), w drugiéj nadzwyczaj ujmująco i prawie zawsze przekonywająco przedstawił zalety (trzy postaci wielkiego uroku: Amelia, Zbigniew, Mazepa; dwa stosunki pełne poezyi i smutku: miłość Zbigniewa i Amelii, przyjaźń tegoż z Mazepą kilka scen bardzo pięknych, choć pięknych może lirycznym raczéj niż, dramatycznym pierwiastkiem; wreszcie niektóre ustępy, które liczyć się mogą do najrzewniejszych, najbardziéj wzruszających Słowackiego wierszy). Z tego zestawienia zawnioskował, że chociaż „Mazepa” jest złym dramatem, to przecież jego piękności są takie, „że czynią zadość za usterki” i że „liczyć się on będzie do znakomitszych dzieł dramatu polskiego, nawet jeżeli ten dramat stanie się bogatszym niż jest dziś”.

Pod względem estetycznym niewieleby tedy już można przydać lub zmienić, i kompozycya bowiem i charaktery i sytuacye rozpatrzone zostały ze stron różnych; chyba tylko jeszcze styl i wiersz zasługiwałby na rozbiór szczegółowszy.

Natomiast sprawa pochodzenia pomysłów nie jest jeszcze wyczerpana. Różni dotychczasowi krytycy napomykali o niéj jedynie, znając tę właściwość talentu Słowackiego, że tam, gdzie chodziło o na-

kréślenie jakiéjś realnéj sytuacyi, ulegał on zazwyczaj wpływowi autorów, w których się rozczytywał.

W r. 1895 p. Kazimierz J. Zimmermann pomieścił w Sprawozdaniu c. k. wyższéj szkoły realnéj we Lwowie sumienne, choć stylowo bardzo słabo napisane „Studyum nad genezą Mazepy, tragedyi Juliusza Słowackiego” (str. 42). Zebrał tu wszystko, co do owéj pory w téj sprawie powiedziano, i dał sam od siebie kilka bardzo ciekawych i bardzo cennych wskazówek, skąd i jakim sposobem brał Słowacki pomysły do swojego utworu.

Pochop do napisania tragedyi dał Słowackiemu niewątpliwie poemat Byrona p. t. „Mazepa” oraz zamieszczony przy nim wyjątek z „Historyi Karola XII” przez Woltera, przedstawiający znaną legendową przygodę późniejszego hetmana. W postaci Mazepy jako pazia, w postaci wojewody dużo jest rysów podobnych u angielskiego i naszego poety, poczynając od samego zaznaczenia stanowiska społecznego. Ale zadaleko idzie p. Zimmermann, gdy opiérając się na tłomaczeniu „Mazepy” Byrona, dokonaném przez Chodźkę, chce upatrywać podobieństwo nie tylko w sytuacyi ale i w słowach:

U Byrona:

Ducha B o ż é j r o d z i c y posłałem w niebiosy,
A na twarz przywoławszy d u m y tło zwodnicze,
Spokojnie w Wojewody patrzałem oblicze.

U Słowackiego:

..... Próżno — cierpiéć muszę.
Wartoby téż i na śmierć przygotować duszę
I pomodlić się P a n n i e N a j ś w i ę t s z é j przy trumnie —
To potém czoło moje będę nosił d u m n i e.

W oryginale u Byrona nie ma nacisku na wyłączne nabożeństwo do Matki Boskiéj, gdyż Mazepa modli się do Najświętszej Panny i do jednego czy dwu innych świętych (*and with one prayer to Mary Mother, and, it may be, a saint or two*); nie ma téż mowy o dumie; Mazepa oświadcza tylko, że się z losem swoim pogodził (*as I resign'd me to my fate*).

Słuszne są uwagi p. Zimmermanna o stosunku obu wojewodów, odznaczających się dumą rodową i osobistą oraz zapalczywością: „Rysy te są u obu postaci konieczne, naturalne, a wypływają z podobieństwa sytuacyi, w jakiéj się znaleźli niespodzianie ci dwaj obrażeni, a gwałtowni i w gniewie niewładnący sobą mężowie. Wspomnieć téż nie zawadzi, że taką postać typową dumnego magnata mamy już w Maryi Malczewskiego, znajdujemy ją téż u Korzeniowskiego (Dy-

mitr i Marya), a nawet sam Słowacki kréślił podobne charaktery w Bieleckim i Horsztyńskim. Jest to typ wspólny wielu utworom poezyi, jako zasadniczy rys mający wygórowaną dumę rodową i — co za tém idzie — upór nie dający się ugiąć, choćby głową nałożyć przyszło."

Z tém zasadniczém zastrzeżeniem należy téż pojmować dalsze wywody autora, wskazujące pewne podobieństwa między postaciami „Mazepy" a osobistościami Szekspira w „Otellu" i Wiktora Hugo w „Hernanim."

„Mazepę" do „Otella" zbliża zazdrość męża niesłusznie podejrzewającego żonę i przez to sprowadzającego katastrofę. Niektóre rysy Otella odnajdujemy w Wojewodzie. Bohaterki—Amelia i Desdemona pokrewne są sobie: charaktery to bierne, a mimo to wielkie na czytelnika wywierają wrażenie przez swą niewinność, która nie zdołała się obronić przed zagubą. „Drobne przypadki wystarczają, aby od tych, których kochają tak szczerze, usłyszały słowa potępienia: Desdemona gubi chustkę, która się dostaje zdradą Jaga w ręce Kassya i to stanowi dla Otella dowód winy żony; Amelia zaś zapomina wachlarz, na którym Mazepa słów kilka pisze o swéj obecności, a to jest wystarczającém dla Zbigniewa, ażeby ją o stosunki z paziem posądzić; a przecież ani Desdemona, ani Amelia tu nie zawiniły." W szczegółach, w sytuacyach są także, lubo dalekie podobieństwa. Kilka ich rozpatruje autor, we właściwych granicach znaczenie tychże zamykając.

Z powodu „Hernaniego" mówi autor: „Tąż samą dumą i uporem, tą samą zawziętością w zemście odznaczają się Silva i Wojewoda. Kiedy w akcie III, scenie 7-éj nie chce Silva Don Carlosowi wydać Hernaniego, i na nalegania jego odpowiada dumnie, żeby Carlos zamek zburzył, a ukrytego znajdzie, przypomina żywo Wojewodę w akcie V sc. 6, kiedy goniec przybiega, dopomnieć się w imieniu Jana Kazimierza o wydanie pazia;—wtenczas mówi Wojewoda: Złota wolność szlachecka! Zamku nie dam. Niech król bierze!... U obu znajdujemy tęż samą cześć dla przodków i uszanowanie dla ich portretów. Silva nie chce złamać prawa gościnności i wydać Hernaniego królowi, wskazuje przytém na portrety przodków, których musiałby się wstydzić po takim czynie;—a Wojewoda także odwołuje się do przodków (akt V, sc. 7): Moje antenaty! Cieszcie się — ja ostatni nie bez szlachetności Światowi daję habdank." W ostatniéj scenie Silva, zmusiwszy Hernaniego do wypicia trucizny, widząc, że z miłości do tegoż ginie także Donna Sol, którą Silva kochał, zabija się ze słowami: na wieki-m

potępion; — Wojewoda również umiéra z rozpaczą w sercu; nie przebaczywszy zmarłym, każe się od nich pochować... daleko."

Co do miłości pasierba i macochy wskazywano już dawniéj podobieństwo „Mazepy" i „Don Carlosa", ale nie bardzo wierzono we wpływ Schillera na Słowackiego; miejsc uderzających analogią nie odnaleziono i p. Zimmermann robi jedno tylko zestawienie: oto Don Carlos stara się u Schillera ukryć swą miłość przed Elżbietą i raz tylko—podobnie jak Zbigniew, w tragedyi Słowackiego — zrywa to milczenie, które za święty swój obowiązek poczytywał. Niewłaściwie p. Z. powtarza za Tarnowskim, że taki sam stosunek pasierba i macochy przedstawili Eurypides i Racine; wszakżeż u nich nie ma wzajemności uczucia. Natomiast przypomnienie „Paryzyny" Byrona jest na miejscu.

O wpływie Calderona powiada p. Z. że odbił się on w „Mazepie" tylko ogólnie w zamiłowaniu do zawikłań, w nadaniu wielkiéj roli przypadkowi, we wchodzeniu nie w porę osoby, która szwank jakiś na honorze ponosi, w ukrywaniu się w alkowie. Najwięcéj podobieństwa, lubo dalekiego dostrzega między „Lekarzem swego honoru" a „Mazepą" (Gutierre—Wojewoda; Mencia—Amelia; zazdrość, okrucieństwo). Uwydatnia mianowicie szczegół, że Słowacki musiał czytać „Lekarza swego honoru" w tłomaczeniu polskiém Kamińskiego. U Calderona Gutierre „obmywszy swój honor krwią żony, nie tylko nie ponosi za to kary, lecz owszem za pośrednictwem króla otrzymuje rękę Leonory, którą dawniéj kochał. Kamiński nie przyjął tego zakończenia, które go oburzało; u niego Gutierre skazany za czyn swój okrutny na wygnanie, nie chcąc zniżać się do prośby, przebija się, mówiąc: „Gutierre łaski nie przyjmie nikczemnie" i pada u stóp króla. Podobnie u Słowackiego: „Panie! ukorz się" — prosi Chmara, a Wojewoda odpiéra pogardliwie: „Do błota", poczém przebija się i umiéra wobec króla.

Ciekawym, a przez p. Zimmermanna dopiéro odkrytym i dowiedzionym faktem jest, że do charakterystyki Jana Kazimierza, posługiwał się Słowacki, prócz niektórych rysów wziętych z „Mazepy" Byrona, książką Jerzego Samuela Bandtkiego: „Dzieje polskiego Królestwa," oraz powieścią Aleksandra Bronikowskiego „Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francyi" w przekładzie Adryana Krzyżanowskiego.

Równocześnie z p. Zimmermannem zajął się wskazaniem drobnych źródeł, z których to i owo zaczerpnął Słowacki w „Mazepie", p. Ferdynand Hösick w rozprawie: „Anhelli i Trzy poematy." Mówi tu o dalekich reminiscencyach z „René" Chateaubrianda, „Romeo i Julii",

„Otella”, „Króla Leara”, „Hamleta” Szekspira, z „Piekła” Dantego, a wreszcie z „Indyany” George Sanda. Przeważna część podobieństw atoli wskazanych tutaj musi być zakwestyonowana, zwłaszcza zaś zestawienie z „Indyaną”, gdyż są to rzeczy bardzo dalekie, bardzo ogólnikowe i niepewne.

Nikt natomiast dotychczas nie wspominał o wpływie jednego z największych powieściopisarzów francuskich, o wpływie Honoryusza Balzaca, a przecież jedna scena bardzo ważna i bardzo efektowna w „Mazepie” niewątpliwie tu ma swe źródło.

Czy Słowacki znał osobiście Balzaca, nie wiemy: to pewna, że obaj bawili współcześnie w Genewie r. 1834; trudno przypuścić, ażeby obecność sławnego już wtedy powieściopisarza nad Lemanem, przeszła bez zwrócenia na siebie uwagi, i żeby Słowacki nie zapragnął go widzieć. Jakkolwiek zresztą ma się rzecz z osobistą znajomością obu pisarzów, wątpić nie podobna, że powieści Balzaca czytywać musiał Słowacki, gdyż miały one w Europie całéj rozgłos znaczny, u nas tłomaczono je w dość znacznéj ilości.

Otóż pomiędzy owoczesnemi utworami Balzaca znajdował się jeden p. n. „La grande Bretèche.” W zbiorowém wydaniu „Komedyi ludzkiéj” znakomitego powieściopisarza nie ma pod nim położonéj daty, jak pod innemi, a nawiasowe objaśnienie, że jest to koniec, „Autre étude de femme”, napisanéj między 1839 a 1842, mogłoby wprowadzić badacza w błąd gruby, jakoby „La grande Bretèche” powstała dopiéro po owém „Drugiém studyum nad kobietą.” Mam pod ręką dowód stanowczy, iż tak nie jest; „La grande Bretèche” najpóźniéj drukowaną być mogła w r. 1833, gdyż w tymże roku jeszcze wyszła w swobodnym przekładzie polskim p. t. „Tajemnica” w NNr. „Tygodnika Polskiego” (z maja), wychodzącego w Warszawie pod redakcyą Damazego Dzierożyńskiego. Okoliczność ta rozstrzyga stanowczo i nieodwołalnie wszelkie wątpliwości chronologiczne. Słowacki mógł czytać „La grande Bretèche” w r. 1833 czy 1834, w każdym razie przed powzięciem planu do pierwszego zarysu „Mazepy.”

Otóż w téj krótkiéj powiastce rozgrywa się dramat straszliwy, który silnie oddziałał na wyobraźnię poety i sprawił, że kulminacyjną z niego scenę przeniósł do „Mazepy”, z pewnemi zmianami, zastosowanemi do ogólnego pomysłu.

Było to za czasów wojny z Hiszpanią. Jeden z jeńców, grand hiszpański, został wysłany do Vendôme, gdzie dawszy słowo, iż o ucieczce nie pomyśli, mógł się obracać swobodnie. Był to młodzieniec piękny, niewielkiego wzrostu, lecz dobrze zbudowany; ręce mia

delikatne i pieszczone, długie czarne włosy, oko pełne ognia. Z brewiarzem w ręku jak ksiądz chodził na msze i na wszelkie nabożeństwa, stawał o dwa kroki od kaplicy pani de Merret, ale oczu z nad książki nie podnosił. Pewnego razu zniknął bez wieści. Pani de Merret zamieszkiwała stary zamek feudalny La grande Bretèche, miała męża nadzwyczaj gwałtownego i okrutnego. Pokój zajmowany przez nią znajdował się na dole; przy nim był mały gabinecik (*un petit cabinet de quatre pieds de profondeur environ*) służący jéj za szatnię. Na trzy miesiące przedtém pani de Merret poważnie zasłabła, tak że mąż przeniósł się do pokoju na pierwszém piętrze. Przypadkiem (*par un de ces hasard impossibles à prévoir*) pewnego wieczoru wrócił pan de Merret o dwie godziny późniéj niż zazwyczaj z klubu, w którym czytywał dzienniki i rozprawiał o polityce. Żona jego myślała, że on już oddawna śpi w swoim pokoju. Tymczasem panu de Merret przyszła chętka zajść do żony, która przy obiedzie była bardzo ładnie ubrana. W chwili gdy obracał klucz do pokoju żony, zdało mu się, że posłyszał zamykanie drzwi od gabineciku, ale gdy wszedł, znalazł żonę samą stojącą przed kominkiem. Pomyślał sobie, że to może pokojówka Rozalia weszła do gabinetu, ale jakieś podejrzenie niewyraźne, lecz dotkliwe uczyniło go nieufnym; spojrzał na żonę i dojrzał w jéj oczach pomieszanie, w głosie pewne podrażnienie. W tém weszła Rozalia; jakby piorun weń uderzył. Pani de Merret, widząc ponurą twarz męża, odprawiła służącą. Wtedy mąż stanął przed nią i rzekł zimno: „Pani! jest ktoś w jéj gabinecie!” Ona spojrzała na męża z miną spokojną i odpowiedziała z prostotą: „Nie, panie.” To n i e oburzyło pana de Merret; nie wierzył, a jednak nigdy mu żona się nie wydała ani czystszą ani skrupulatniejszą niż w téj chwili. Podszedł ku gabinetowi, by go otworzyć; pani de Merret wzięła go za rękę, wstrzymała, spojrzała nań wzrokiem melancholijnym i rzekła mu głosem wzruszonym nadzwyczajnie: „Jeśli nie znajdziesz nikogo, to wszystko między nami będzie skończone.” Niesłychana godność w postawie żony powróciła panu de Merret głęboki dla niéj szacunek i natchnęła go jednem z tych postanowień, którym brakuje tylko większéj widowni, by się stały nieśmiertelnemi. „Nie — odrzekł—Józefino, nie pójdę. W jednym i w drugim wypadku, bylibyśmy rozłączeni nazawsze. Słuchaj, znam całą czystość twéj duszy i wiem, że wiedziesz życie święte, nie zechciałabyś popełnić grzechu śmiertelnego nawet kosztem życia.” Na te słowa pani de Merret spojrzała na męża wzrokiem obłąkanym.—„Patrz, oto krucyfiks twój—dodał ten człowiek. Przysięgnij mi wobec Boga, że tam nie ma nikogo; uwierzę ci i nigdy drzwi tych

nie otworzę." Pani de Merret wzięła krucyfiks i rzekła: „Przysięgam." — „Głośniéj—rzecze mąż—powtórz: Przysięgam wobec Boga, że nie ma nikogo w tym gabinecie." Ona powtórzyła wyrazy bez żadnego zmieszania. „To dobrze — powiedział zimno pan de Merret i zapytał żonę, skąd wzięła krucyfiks. Odpowiedziała, że kupiła go u jubilera; kłamała, był to bowiem podarunek granda hiszpańskiego. Pan de Merret zawołał Rozalii i kazał sprowadzić jéj narzeczonego, mularza, ze wszystkiemi potrzebnemi materyałami i narzędziami, reszcie służby surowo polecił udać się na spoczynek. Zanim mularz zabrał się do zamurowania gabinetu, pan de Merret obiecał mu zapewnienie dostatecznego utrzymania z warunkiem, że nazawsze opuści te okolice i nikomu nie powié, co robił téj nocy. Pomimo czujności pana de Merret, żona jego potrafiła się porozumiéć z Rozalią, by mularz pozostawił szparę u dołu. Mularz na znak, że polecenie zrozumiał, stłukł szybę we drzwiach gabinetu (gdy pan de Merret był odwrócony), a wówczas na chwilę pani de Merret, Rozalia i mularz ujrzeli twarz męską ponurą i ciemną, włosy czarne, wzrok ognisty... Po ukończeniu roboty, pan de Merret położył się w pokoju żony, a mularza oddał pod straż zaufanemu kamerdynerowi. Nazajutrz wstawszy, powiedział obojętnie, że pójdzie do mera niby po paszport, ale przytém zabrał krucyfiks. Gdy po wyjściu męża, pani de Merret wraz z Rozalią zabrały się do wyjmowania cegieł, raptem stanął po za nimi pan de Merret; żona zemdlała. „Połóż panią do łóżka" — rzekł chłodno. Wtém nadszedł jubiler, po którego był posłał. Ten na zapytanie pana de Merret oznajmił, że krucyfiksów od Hiszpanów przechodzących nie kupował. „Dziękuję panu — rzekł mąż wymieniając z żoną spojrzenie tygrysie a do kamerdynera powiedział: jedzenie dla mnie zostawiać będziesz w pokoju pani; jest ona chora i nie opuszczę jéj, aż wyzdrowieje. Okrutny szlachcic przez dni dwadzieścia pilnował żony. W pierwszych chwilach, gdy dawał się słyszéć jaki szelest w gabinecie zamurowanym i gdy Józefina chciała go błagać za umierającym, odpowiedział jéj, nie dopuszczając do słowa: „Przysięgłaś na krzyż, że tam nie ma nikogo." Potém się rozłączyli; poumierali niebawem jedno po drugiem.

Taka jest w streszczeniu główna osnowa powiastki Balzaca. Kto zna wielką scenę 4-tą aktu III-go „Mazepy", łatwo zauważy nie dające się zaprzeczyć podobieństwo z katastrofą tu odmalowaną. Od słów Wojewody: „Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka" aż do jego nakazu: „A wy, co tam byliście tego muru blizcy, milczcie!" wszystkie zasadnicze momenta: przysięga na krucyfiks, zamurowanie, szelest człowieka"—są te same w La grande Bretèche" i w „Mazepie." Że

zatém pomysł do efektownéj sceny zamurowania wziął Słowacki z Balzaca, to najmniejszéj wątpliwości nlegać już nie może. Podobieństwo wskazywane dawniéj, czy to z „Lekarza swego honoru" czy z „Indyany" o ukrywaniu się w alkowie, tracą zupełnie swą wartość, gdy mamy analogie o wiele bliższe, o wiele dosadniejsze.

Lecz analogie tylko, nie tożsamość. Wziąwszy zasadnicze momenta z Balzaca, obrobił je Słowacki po swojemu, zgodnie z nadanemi swoim osobom właściwościami i z osnową całości. Bo ani Wojewoda ani Amelia, ani Mazepa nie są podobni z usposobienia i z istoty swego charakteru do państwa de Merret i granda hiszpańskiego.

Wojewoda i pan de Merret są wprawdzie okrutnikami, ale odmiennego całkiem temperamentu. Gdy pan de Merret jest okrutnym na chłodno, Wojewoda jest gwałtownikiem niezważającym na żadne względy. Bohater francuski chce uniknąć wszelkiego rozgłosu, więc też jaknajmniejszą możliwie ilość wtajemnicza w sprawę, która się nie powinna przedostać w świat; zachowuje ostrożności jaknajwiększe, by ten jego zamiar mógł przyjść do skutku. Przeciwnie Wojewoda, nie pohamowany w rozjątrzeniu, działa jawnie w obliczu służby, jakby pragnął, ażeby hańba jego (mniemana) rozeszła się po całéj Polsce. Pan de Merret, jako człowiek „dobrze wychowany", nie mówi w całéj scenie ani jednego ubliżającego słowa swéj żonie; Wojewoda przeciwnie jako pasyonat, słuchający jedynie poszeptów namiętności, używa wyrazów grubych, trywialnych, wstrętnych dla napiętnowania żony, chociaż nawet jeszcze nie miał rzeczywistych dowodów jéj winy. Pan de Merret spokojnie i chłodno (przynajmniéj na pozór) dąży do wykrycia prawdy i urzeczywistnienia swego zamiaru; Wojewoda miota się jak szalony, byleby słowem i czynem nasycić nieugaszoną żądzę zemsty; czujny jest pod jednym tylko względem—poszukiwania wszelkich poszlak, jego hańbę urojoną stwierdzających.

Pani de Merret i Amelia różnią się od siebie zasadniczo: pierwsza jest występna, druga—całkiem niewinna. Zachowanie się też obu podczas straszliwéj sceny jest odmienne. W samym tylko jéj początku istnieje podobieństwo, jak pani de Merret, tak i Amelia nie dopuszcza poszukiwania w alkowie, mówiąc: „Stój wasze! Pierwéj w tych piersiach srogie utopcie pałasze, Nim dotkniecie firanek." Ale gdy pani de Merret okazuje się w dalszym ciągu niczém niezachwianą, lubo wié napewno, że zamurowany zostanie człowiek żywy, Amelia łagodna i tkliwa z natury, przytém przeświadczona, iż w jéj sypialni nie ma nikogo, chcąc dowieść swéj niewinności nie tyle wobec męża, ile wobec Zbigniewa, tłumi w sobie poczucie dumy i sama prosi pasierba, by firanki odsunął, dodając: „ja wiem, że twój ojciec nie wié, Co ja cierpię;

lecz niech się przekona oczyma; — oczy są jego sercem, on innego nie ma.” Pani de Merret zachowuje się podczas całéj sceny przytomnie, kłamie i przysięga z pogodném czołem, z miną niewiniątka; ma dość przebiegłości, by pomimo czujnego nadzoru, porozumiewać się z Rozalią i mularzem, jest obłudną do szpiku; Amelia, choć czuje się całkowicie niewinną, chwieje się, ledwie nie omdlewa, zniża się do prośby i błagania („Litości, panie! niechaj twa zaciętość zmięknie; ja bardzo cierpię!”). Pani de Merret umiéra śmiercią naturalną, przyśpieszoną srogiemi katuszami moralnemi, kiedy przez dni dwadzieścia pod czujném okiem męża nie mogła opuścić sypialni tuż obok zamurowanego i zwolna zamierającego kochanka; Amelia sama dobrowolnie bierze truciznę, nie mogąc wytrzymać nacisku hańbiących podejrzeń i śmierci Zbigniewa.

I człowiek zamurowany przedstawia się nam inaczéj wobec autorów. Granda hiszpańskiego znamy tylko z opisu; na chwilę przy zamurowywaniu ukazuje się nam twarz jego ponura i ciemna, włosy czarne, wzrok ognisty. Był on rzeczywiście kochankiem pani de Merret. Mazepa chciał wprawdzie być kochankiem Amelii, ale nim nie był ani na chwilę, a w scenie straszliwéj już nawet z powodu przyjaźni zawartéj ze Zbigniewem, już wszelką myśl płochą porzucił i pragnął ostrzedz jedynie Amelię przed grożącém jéj ze strony króla niebezpieczeństwem. Balzac nie usiłował nawet ubocznie malować katuszy zamurowanego; w obranéj bowiem formie opowiadania, analiza taka byłaby wprost niewłaściwą. Słowacki włożył w usta Wojewody (zapewne niezbyt właściwie pożyczając mu swojéj wyobraźni) fantazyjny (a przedwczesny) obraz zamurowywanego, gdy mówi wskazując alkowę:

Tam leży tajemnica, tam żeńskiéj obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca —tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara;
Tam letargnik żyjący swego ciała strawą
Ze szklanemi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą
Gryzący ręce.

Prócz tego, ponieważ Słowacki nie myślał Mazepy zostawić zamurowanym, jak Balzac granda hiszpańskiego, więc dał nam w scenie 5 aktu IV opowiadanie o wrażeniach i uczuciach, jakich doznawał paź królewski zamknięty w alkowie.

Poeta nasz skomplikował sytuacyę, wprowadzając do niéj Zbigniewa, który z początku z całém przekonaniem broni niewinności macochy, a potem posłyszawszy szelest w alkowie i znalazłszy wachlarz, na którym Mazepa kilka słów napisał, broni jéj już z rozpaczy, lubo Amelią pogardzać musi.

Czy tak przetworzona scena robi większe wrażenie niż jéj pierwowzór u Balzaca? Gdyby wrażenie zależało tylko od pięknych słów, brylantowego stylu, żywéj, iskrzącéj się wyobraźni; to należałoby przyznać wyższość Słowackiemu. Ale tak nie jest; wrażenie zależy od ogółu wszystkich czynników, wchodzących w skład jakiegoś faktu, a więc od uczuć, pobudek, sposobu zachowania się i wyrazów, jakiemi się ludzie w danéj sytuacyi posługują. W téj mierze Balzac lepiéj obrachował swoje efekta. U niego sytuacya sprawia nie tyle okropne, ale głęboko tragiczne wrażenie. Bo u niego scena zamurowania przedstawiona została nie jako pomysł teatralny, który następnie ma być sprostowany, lecz jako rzeczywisty i niemal konieczny wynik charakterów i zawikłania, w jakie one popadły; tu odmurowania, jak w „Mazepie" być nie może. Pani de Merret jest winną i ponosi karę sroższą niewątpliwie niż śmierć natychmiastowa, karę tkwiącą w świadomości wciąż odnawianéj powolnego konania kochanka; w owym zamurowanym gabinecie rzeczywiście zamknięte zostało udręczenie straszliwe dla „żeńskiéj obłudy." Pan de Merret, małomówny, pozornie spokojny, zdobywający dowód po dowodzie, że żona zawiniła zdradą, kłamstwem, obłudą, jest zapewne strasznym, ale nie wstrętnym, jak Wojewoda, siejący zniszczenie wśród niewinnych i jakby przechwalający się swą rzekomą hańbą. Milczenie zamurowywanego granda wymowniejszém jest od czułostkowych nieco słów Mazepy. Niewinność Amelii i Zbigniewa sprawia, że cierpimy, że się oburzamy na niesprawiedliwość losu i zaślepienie ludzi; kara za winę pani de Merret, chociaż okrutna, wywołuje wrażenie tragiczne, przejmując grozą, ale jednocześnie czyniąc zadość poczuciu sprawiedliwości, przekonywając, że fałsz i obłuda nie odnoszą tryumfu. Balzacowi wierzymy, że sprawa odbyła się rzeczywiście we wszystkich szczegółach tak, jak on nam ją przedstawia; co do Słowackiego wyrazić musimy tu i owdzie niejakie wątpliwości, czy wszystko to, co mówią jego osoby, było przez nie powiedziane, i czy ich zachowanie się istotnie było takiém w przebiegu całéj sceny, jak on ją odmalował. Balzac obserwował pilnie zjawiska rzeczywiste w życiu ludzkiém; i starał się wiernie a dosadnie przenosić do swoich obrazów powieściowych; Słowacki żył więcéj w świecie wyobraźni, a zstępując na grunt realny sądził, że mu wolno na nim tak swobodnie, nawet dowolnie postępować, jak w dziedzinie rojeń fantazyjnych.

P. Chmielowski.

Cudzoziemcy o nas

I O NASZYCH SPÓŁBRATYMCACH.

„Russes et Slaves“—par Louis Leger. Hachete. Paris, 1896.

Przed trzydziestu przeszło laty jeden z Francuzów, o bystrzejszym od swych spółziomków wzroku, rozpoczął studya nad Słowiańszczyzną i szeregiem artykułów rozmaitéj treści starał się poznajomić rodaków z tajemniczemi dla nich krajami i ludami. Przedsięwzięcie wydawało się wielu nazbyt śmiałém i autor wyznaje, że spotykał się daleko częściéj z zarzutami niż z zachętą. Wierzymy temu bez trudności. Dla najbliższych spadkobierców oświaty helleńsko łacińskiéj, świat cywilizowany kończył się u granic ich państw; na wschód, za Renem, za Alpami rozpoczynały się barbarzyńskie strony, tém dziksze i groźniejsze, im daléj od Alp i Renu. Nikogo nie obchodziły dzieje ludzi i krain, o których *vox populi* głosił, że są napoły pokryte lasem, pełnym niedźwiedzi, napoły otwarte pustym, bezbrzeżnym stepem, a co gorsza, śniegiem przez półroczną zimę zawiane. Z baśni, rozsiewanych przez rzadkich po Słowiańszczyźnie podróżników, którzy dla zapewnienia poczytności swym powierzchownym relacyom, przesadzali i czernili wszystko, co im nie szło w smak, wybiło się zaledwie na widownię kilka imion; kilku ludzi swą wartością narzuciło się Zachodo-

wi, nakazało dla siebie uszanowanie; po zatém, ucywilizowany Zachód, z wyjątkiem bardzo nielicznych erudytów lub dyplomatów, nic nie wiedział, o niczém pojęcia nie miał.

Nie dziw przeto, że zamiar studyowania téj „dziczy" wydawał się większości zadaniem bardzo niewdzięczném, ale młody uczony nie zraził się i przed kilku laty powtórzył dobitnie, że wypadki przyznały mu słuszność, „iż żadne plemię w Europie nie zasługuje na badania poważniejsze od słowiańskiego, bo żadne nie dało od pół wieku większych dowodów żywotności i uzdolnienia cywilizacyjnego.

W jaki sposób, raczéj według jakiego planu zamiar swój autor przeprowadził, objaśnią nam jego własne słowa, napisane w przedmowie do drugiéj seryi tych studyów, które zasłużona firma Hachette w roku zeszłym puściła w obieg, pod nadanym im w pierwszéj tytułem „*Russes et Slaves. Etudes politiques et litteraires. Par Louis Leger, Professeur au Collège de France*" (Paris, Hachette et C., 1896).

„Usiłowałem wyświetlić ustępy, dzieła, pomniki, osobistości, z życia politycznego lub literackiego Czech, Bułgaryi, Kroacyi, Polski, Rosyi, Serbii. Starałem się utrzymać równowagę między temi ludami niejednakiéj wagi, bo wszystkie mają prawo do naszéj sympatyi, bo ich interesa, pod różnemi nazwami jednoczyły się często z naszemi, bo wszystkie — zwycięskie czy zwyciężone, sławne czy nieznane — stawały w obronie chrześciaństwa i cywilizacyi... Obok tryumfującéj Rosyi umieściłem Polskę, któréj historya jeszcze nie skończona, a literatura bezwątpienia jedną z najsławniejszych w Europie; — Czechy, które, walcząc z Germanami, walczą w naszéj zarazem sprawie; — Słowian bałkańskich, długo pomijanych przez dyplomacyę europejską, które prędzéj, niż się spodziéwamy, rozstrzygną kwestyę wschodnią."

Wierny swemu założeniu, wybrał w tomie, o którym mowa, rzeczywiście takie postaci i dzieła, które swe społeczeństwo lub chwilę dziejową najlepiéj przedstawiają. Trzy pierwsze artykuły poświęcone są Rosyi, *qui sollicite surtout la curiosité du public intelligent* i któréj się z tego powodu dostała „lwia część". Mają swe miejsce Serbowie, Czechy, Bulgarzy i o nas nie zapomniano. Trzy artykuły omawiają: 1) Sprawę założenia katedry literatur słowiańskich w Paryżu, 2) „Pana Tadeusza", 3) Żywot Niemcewicza.

Opowiadanie o założeniu wyż wymienionéj katedry potwierdza to, co się rzekło u wstępu niniejszego: że Francya, a więc naturalnie Włochy, Hiszpania z Portugalią, Anglia, nie mówiąc o drobnych państewkach nic nie wiedziały o bożym świecie słowiańskim. I wątpić wolno azaliby pomyślano w r. 1840 o piśmiennictwie słowiańskiém,

gdyby skoligacony z Mickiewiczowstwem publicysta Leon Faucher [1]) nie zagaił sprawy. Renan, opowiadał prof. Leger, jakoby ten projekt nie znalazł wielkiéj łaski u Ludwika Filipa, ale ks. Orleańska, „któréj Goethe niegdyś opowiadał o geniuszu poetyckim Mickiewicza", miała przełamać skrupuły jego. Minister oświaty, Cousin, poparł téż ze swéj strony kandydata i przedstawił wniosek izbie deputowanych. Dokument, wyłuszczający powody otwarcia nowéj katedry, podpisany przez Salwandy'ego, czytany przez ministra oświaty, „był taką tkaniną błędów, że już tém samém dowodził potrzeby studyów o Słowiańszczyźnie, wykazywał bowiem panującą o niéj nieświadomość w sferach najbardziéj urzędowych. Autor raportu nagromadził najgrubsze błędy." „Błędów tych nikt nie spostrzegł ani w izbie deputowanych, ani w izbie parów", zakwestyonowano tylko samą sprawę, a niejaki pan Auguis uwiecznił się niewiadomością, z jaką wystąpił gwałtownie przeciw propozycyi ministra.

„Język słowiański—twierdził ten poczciwiec—nie jest właściwie językiem literackim. Co to jest język literacki? (pyta daléj). Taki, który w swych różnych narzeczach posiada pomniki godne bliższego zbadania. Niech mi zatém wolno będzie spytać izby, jakie są pomniki literackie w języku słowiańskim? Pomniki literackie piśmienne Polski, Rosyi, Litwy, Węgier (*sic*), Dalmacyi, Styryi, Kroacyi?—U Słowian wszystko, co nosi cechę oryginalności, jest tłómaczeniem dzieł francuskich lub niemieckich..." I nowy ten Herostrat przychodzi do konkluzyi, „że się nie zgadza z godnością narodową powierzać poecie cudzoziemskiemu katedrę w zakładzie francuskim."

W zgromadzeniu, będącém kwiatem swego kraju, „nie znalazł się nikt, ktoby naukowo mógł odeprzéć zarzuty" pana Auguis. Deputowany Denis bronił propozycyi ze szlachetnych pobudek, mianowicie: że obowiązkiem jest Francyi *de faire comparaître devant elle toutes les grandes littératures* — i być zawsze propagatorką oświaty", ale w argumentacyi faktami nie był szczęśliwszym od swego przeciwnika: „zacytował pieśni podrobione i runy, które nigdy nie istniały. W izbie parów dopiéro de Gerando odezwał się ze znajomością rzeczy i wniosek Cousin'a został przyjęty, „ale w rzeczywistości tak obrońcy, jak napastnicy, nie mieli jasnego pojęcia ani o zakresie naukowym nowego przedmiotu, ani o usługach, jakie tenże mógł oddać."

---

[1]) Ożenił się z kuzynką p. Adamowej.

Uposażenie nowéj katedry „miało wielki rozgłos w Europie”, a wybór profesora liczne wywołał komentarze. Pomijam je, by się zatrzymać dłużéj nad sądem prof. Leger o swym wielkim, bądź co bądź, poprzedniku, który, podaję go jego własnemi słowy, w skróceniu. Z początku Mickiewicz usiłował zachować względem wszystkich Słowian, przyobiecaną p. Cousin, bezstronność naukową. Wykład jego nosił przeważnie cechę syntetyczną. Prowadził równolegle przegląd dziejów literatury rozmaitych narodów: Polaków, Morawców, Czechów, Serbów, Rosyan. To je brał jako solidarne z sobą, to znów starał się zaznaczyć ich indywidualność, lecz było mu trudno nie uledz napiérającym nań wpływom, oprzéć się oddziaływaniu otoczenia, w jakiém żył, wychowania, jakie odebrał. Trudno mu było pozostać bezstronnym względem Rosyi, a nawet względem innych narodów sąd jego nie był bez uprzedzeń.

Żarliwy katolik nie pojmował ruchu husyckiego, który przecież jest jedną z najcharakterystyczniejszych stron życia moralnego i literackiego Czech. Właściwością wykładu historycznego jest metoda, a Mickiewicz pozostawał i tu poetą *et il se trouve singulièrement depaysé.* Od młodości jedną z cech jego geniuszu był nieprzeparty pociąg do mistycyzmu, nienasycone pragnienie cudowności. Mistycyzm, cudowność, mogą być przedziwnym żywiołem poetyckim, lecz są negacyą krytyki i nauki.

Wykłady Mickiewicza stenografowane, przejrzane przez niego i wydane, tworzą pięć tomów *in 8-vo*, a w nich zaledwie jedna trzecia poświęcona historyi lub literaturze słowiańskiéj: poeta zajmuje się rozprawami politycznemi, filozoficznemi, religijnemi, nawet marzeniami, które się nam teraz wydają bardzo dziwne. Były one jednak właściwe psychicznemu, a raczéj psycho-patologicznemu usposobieniu jego. Głęboko dotknięty nieszczęściem, szukał pociechy w dziełach mistyków... stąd niektóre z jego natchnień poetycznych graniczą z halucynacyą... Spotkawszy niejakiego teozofa, nazwiskiem Towiański, wziął go za posłańca niebios i odtąd stał się powolném narzędziem w ręku téj dziwnéj osobistości... pod jéj wpływem zaprzestał myśléć samodzielnie... Literatura słowiańska całkiem niemal pominięta w wykładach z r. 1843 i 1844... Lekcye przybiérają coraz więcéj charakter apokaliptyczny... Lekcye tak dziwne... zwróciły uwagę rządu i izb... W roku 1844-ym Mickiewicz został uwolniony, zachowując dwie trzecie pensyi.”

Tu trzeba wspomniéć, że profesor jest urzędnikiem nieusuwalnym, ale poeta nasz wskutek cudzoziemskiego swego pochodzenia nie

miał prawa, we Francyi, do tytułu profesora; mianowano go w oficyalnéj mowie *chargé de cours*, a sam wykład, w ogłoszeniu *Cours provisoire* — nazwa ta utrzymała się podczas krótkiego zastępstwa Francuza Cypryana Robert'a, który jak niespodziewanie zajął miejsce w Kolegium francuskiém, tak również niespodziewanie je porzucił. (Pewnego pięknego poranku, nie rzekłszy nikomu słowa, znikł z horyzontu i nikt dotąd nie wié, co się z nim stało. „Zniknięcie jego mało zwróciło uwagi. Słuchaczów miał nielicznych, przyjaciele byli przyzwyczajeni do jego dziwactw, a imię nie używało popularności." Zdaje się, że umarł w Ameryce).

Po Cypryanie Robercie dostała się, jak wiadomo, katedra Aleksandrowi Chodźce, zawsze pod jednaką nominacyą. Prof. Leger z szacunkiem i życzliwością o nim się odzywa zawsze. Tu znajdujemy następujące zdanie: „Al. Chodźko, urodzony w początku bieżącego stulecia, odbył gruntowne studya w Wilnie i Petersburgu. Będąc konsulem rosyjskim przez czas długi w Persyi, zwrócił na siebie uwagę znakomitemi pracami nad mową, literaturą i historyą muzułmańskiego wschodu. W młodości zaś swojéj wydał poezye, pozwalające rokować najpiękniejsze nadzieje... Poetą nie został, lecz stał się niepospolitym językoznawcą, i w tym charakterze zastąpił Mickiewicza w Collège de France. Z katedry swojéj nie zrobił, śladem poprzednika, trójnoga Sybilli, lecz poprzestał na wykładach, z bardzo wykształconym literackim smakiem i rozległą erudycyą, o licznych arcydziełach piśmiennictw: serbskiego, czeskiego, rosyjskiego lub polskiego. Ci, którzy, podobnie jak ja, uczęszczali na jego prelekcye, zachowali bardzo żywo w pamięci jego zajmujący sposób uczenia (dosłownie: *enseignement aimable*), w którém *le poète du temps jadis se retrouvait encore sous le philologue.* Można było czasem nie podzielać zdania profesora, lecz niepodobieństwem było nie uczcić jego skrupulatnéj bezstronności, obszernego oczytania, rozległych wiadomości... i najmilszéj uprzejmości (*l'exquise cordialité*), z jaką przyjmował ucznia... wydał w r. 1864 *Contes des paysans et des pâtres slaves*, o których Michelet mawiał, że są „bosko przetłómaczone" (*c'est divinement traduit*), w roku 1876 „Pieśni historyczne ukraińskie," — w r. 1869 „Gramatyka staro-słowiańska dostąpiła zaszczytu, że ją wydano w drukarni narodowéj."

„Pana Tadeusza" nic podobnego nie spotkało, nikt go nie czyta, bo „Francuzi nie mają czasu uczyć się języka polskiego, którego się nie używa ani w dyplomacyi, ani w handlu. Nawet w dobie największéj sympatyi dla rycerskiego tego i nieszczęśliwego narodu nie mo-

gliśmy się nigdy pokusić o przekroczenie granic gramatyki lub słownika,—„to też Polacy muszą sami tłómaczyć swoich wieszczów, głosić ich sławę... Ah! gdyby Mickiewicz pisał po rosyjsku, rzecz byłaby inna. Przed wielu laty... zaznaczyłem zwrot sympatyi francuskich, które wyszły na korzyść literatury rosyjskiéj. Od r. 1877 kierunek ten się wzmógł... Leon Tołstoj zwłaszcza wzniecił prawdziwą gorączkę. Dano nam zrazu jego przedniejsze dzieła, następnie drugorzędne potém drobniejsze próby—w końcu pozbiérano drzazgi i śmiecie z jego pracowni. Choćbym się miał okazać zacofanym, lub „reakcyonerem", spróbuję popłynąć przeciw prądowi, przeciwstawić upodobaniu (*engouement* dosłownie), które przejdzie, zamiłowanie racyonalne tworów, które nie przeminie.

Tak więc, pomimo zarzutów, jakie tu i owdzie robi autor poematowi, stawia go jednak w rzędzie tych dzieł nieśmiertelnych, przed któremi po wieki ludzkość schyla czoło. Jak je autor pojmuje i ocenia, własne jego słowa (w skróceniu) najlepiéj nas objaśnią.

„Dwojakiém było źródło, z którego Mickiewicz czerpał natchnienie do „Pana Tadeusza", jedném—to epopea napoleońska (któréj młodzieńczy poeta był świadkiem to zachwyconym, to przerażonym); drugiém—tęsknota za krajem... I możnaby go nazwać poematem tęsknoty, nostalgii...

„Opiéwając swój kraj, opiewał zarazem anarchiczne obyczaje, drogie swym przodkom. Gdyby był w usposobieniu rozpaczliwém lub mistyczném, byłby to temat dziwnie żałosny i tragiczny;

....fuimus Troes et ingens
Gloria Dardanidum.

Lecz był w wesołym humorze; ojczyznę widział przez cudowny pryzmat młodości, wolał śmiać się niż płakać i z ostatniego zajazdu na Litwie stworzył epopeę bohatérsko-żartobliwą; „Iliadę" tragi-komiczną, która przywodzi na pamięć to poematy Homerowskie, to „Don Kiszota", to znów „Pulpit" lub „Pieniaczy".

Rozpoczynając swoje epos miał poeta w pamięci Hermana i Dorotę, ale bohatérowie Göthego nigdy się nie śmieją. Są olimpijsko-spokojni, jak ich twórca, gdy przeciwnie bohatérowie Mickiewicza są weseli, a epizody żartobliwe lub komiczne tryskały z pod jego pióra z taką łatwością, jak opowieści tragiczne w innych jego utworach. Ustępy takie zapełniają większą część poematu i może za przeważną w nim odgrywają rolę. Mickiewicz sam chętnie przyznawał, że

poemat jego nie miał podniosłego charakteru: „Powinienem był—mawiał—podwyższyć go o pół tonu. Ale już za późno.”

Po opowiedzeniu treści „Pana Tadeusza” swym rodakom, p. L. ocenia go: „Tadeusz i Zosia grają taką rolę, jak Leander i Izabela w „Pieniaczach”: są mili, wdzięczni, sympatyczni, ale trochę bledzi... Dwie pieśni ostatnie są epilogiem, lecz epilogiem mistrzowskim. Treść poematu w gruncie błaha, mogłaby też być osnową pierwszéj lepszéj powieści, ale Mickiewicz rzucił nań szereg ustępów dydaktycznych, lirycznych, opisowych, które stanowią najświetniejszą i najtrwalszą część utworu: np. spory bez końca rejenta z asesorem o zalety kusego i sokoła; polowanie na niedźwiedzia, polowanie na zająca, w których się przewijają kolejno sceny to zabawne, to wspaniałe. Cała pieśń czwarta z opisem borów litewskich cudowna. Polowanie na niedźwiedzia, w którém Robak ocala życie synowi i hrabiemu, to iście epiczny ustęp, wreszcie *le morceau de bravoure*, to gra wojskiego na rogu. Jedna z pieśni prawie cała poświęcona grzybobraniu, i chyba nigdy nie opisano bedłek równie iskrzącym się rymem. Mickiewicz nie gardzi najpospolitszemi zdarzeniami: np. Telimeny pokąsanéj przez mrówki. Obrazy karczmy żydowskiéj oraz zaścianku, są wykonane po mistrzowsku, z upodobaniem i z olśniewającém bogactwem kolorytu... Lecz zanotujmy raz na zawsze, iż pomimo całéj wesołości „Pana Tadeusza”, nie przestaje w nim krążyć szereg smutnych myśli, którym poeta obronić się nie może.

Społeczeństwo odmalowane przez Mickiewicza—to społeczeństwo znane mu z lat dziecinnych z Litwy: szlachta hałaśliwa, rozmiłowana w kieliszku i łowach, w szumnobrzmiących tytułach, z których nie jeden wymagałby długiego komentarza. Przesiąkłe tradycyą lokalną i parafiańskiem, najśmielszy z nich był raz w Warszawie. Tym typom prowincyonalnym przeciwstawi typy kosmopolityczne: hrabiego i Telimeny. Krystyn Ostrowski twierdził, że charakter hrabiego jest urojonym. Nie zgadza się na to p. Chmielowski „w swém pięknem dziele o Adamie Mickiewiczu” — ja też podzielam jego zdanie. Od XVIII w. Rosya i Polska wytwarzały na wyścigi takie okazy szlachty kosmopolitycznéj i wytwarzają je dotąd. Nikt jednak nie śmiałby twierdzić, że prototyp Telimeny nie istniał. Biografowie Mickiewicza posuwają się nawet daléj w swych przypuszczeniach i dają nam do zrozumienia, że poeta ją znał osobiście i karykaturując jéj wizerunek pozwolił sobie na spóźnioną nieco zemstę.

Za rzeczywistego bohatéra uważa autor Robaka: uosobienie błędów i żalów szlachty polskiéj z XVIII-go wieku, a broni poematu od

zarzutu, że nie zawiéra zajmującego głębszego charakteru kobiéty. Cóżby tu robiła poważna postać niewieścia — pyta. Miałażby godzić swary, zapobiegać pantagrulicznym biesiadom i nierozsądnym wybrykom? W takim razie poemat upada, „albowiem utrzymuje się dzięki żywiołom szału i nieprawdopodobieństwa, jakie zawiéra" (*tel qu'il est il ne se tient que grâce aux éléments de folie et d'invraisemblance qu'il renferme*).

Kończy zaś p. Leger tą uwagą, że poemat zyskał na tém, gdy Mickiewicz stracił z oczu wzór, który miał u wstępu, to jest Hermana i Dorotę. Idąc za własném natchnieniem, posługując się tylko wspomnieniami młodości, stworzył poemat, który acz nie da się podciągnąć pod rubrykę klasyfikacyi oficyalnéj, jest przecież bezwątpienia arcydziełem przynoszącém chlubę XIX stulecia."

Trzeci artykuł, nas tyczący się— to życiorys Niemcewicza, „którego prochy spoczywają we Francyi i któremu się od niéj należy wspomnienie przynajmniéj." Autor przeważnie się zajmuje jego publiczną działalnością, przedstawiając go jako typ jednego z zacnych obywateli, nie pomija przecież jego pisarskiego zawodu i przetłómaczył bardzo udatnie jeden z jego śpiewów historycznych: dumę o hetmanie Żółkiewskim.

Zdajemy najobszerniéj sprawę z tego, co nas bezpośrednio obchodzi, już to mając w pamięci radę jednego z historyków-myślicieli, że potrzeba koniecznie wiedziéć, jak nas sądzą obcokrajowcy, bo wymiana poglądów tylko rozszerzyć może nasz horyzont umysłowy — już to dlatego, że zajęcie się ogółu osobistościami, które mu chlubę przyniosły, nigdy nie gaśnie, że każde słowo o nich, dobre czy złe, znajduje oddźwięk w jego sercu. Nie chcemy jednak pominąć milczeniem tego, co prof. Leger mówi o naszych pobratymcach.

Sam on wyznaje, że Rosyi dostała się w jego dziele „lwia część". W tomie studyów, wydanych w roku bieżącym, znajduje się najpierw artykuł o jéj „Rozwoju umysłowym". Jest to treściwe bardzo, lecz jasne przedstawienie tego, czém była Rosya i jakie przechodziła zmiany, zanim Piotr W. i Katarzyna wprowadzili ją na widownię polityczną europejską. W dziele, mającém na celu spopularyzowanie pewnego przedmiotu, takie artykuły są nieocenione. Przeciętny czytelnik, któremu brak czasu lub chęci do samodzielnych, głębokich badań, dowiaduje się z łatwością w ten sposób wielu nowych, zajmujących, ważnych lub na dobie będących kwestyi.

Von Wizin swemi scenicznemi utworami, z których dwa przed.

niejsze „Brygadyer" i „Niedorośl", autor streszcza—maluje społeczeństwo rosyjskie w XVIII-ym wieku, zaś „Pierwsze lata Katarzyny II", to opowiadanie o jéj latach najmłodszych, skończone u progu dziejów, które coraz większego nabiérają znaczenia. Tu, śród innych, posługiwał się autor pracą [1]) naszego ziomka, p. Kazimierza Waliszewskiego, któremu oddaje wielkie pochwały za bezstronność poglądu i poważne a obszerne studya.

Niezmiernie zajmujące szczegóły z pierwszéj części dziennika Zacharyasza Stojanowa, zgasłego w r. 1889-ym w Paryżu, opowiadając początki walki Bulgaryi z Turcyą, malują jednocześnie stan społeczny i polityczny téj krainy. Biéda, nędza, ucisk, ciemnota: typy proste, nieraz oryginalne i dziwaczne, jak do komedyi, nieraz bohatérskie i tragiczne, jak gdyby je starożytna Roma wychowała. Duchowieństwo, w swoim rodzaju, szczególne. Ks. Cyryl, mnich pewnego klasztoru, z krzyżem w jednéj, a pistoletem w drugiéj ręce—jak ten, który przed kilkuset laty nabijał strzelbę i liczył różaniec — kapelan wojskowy w oryginalny sposób katechizował swe owieczki. Jakiegoś wieśniaka, który przybył do konfesyonału, spytał: „Ilu Turków chcesz zabić? Ileś sporządził ładunków? Jeśli mniéj niż 300-tu, nie możesz przystąpić do komunii." Penitent tłómaczy, że się nie spodziéwał takich pytań. „A ja w taki sposób spowiadam" — odparł ks. Cyryl.

Stojanow, który w swém życiu najrozmaitszych próbował zawodów, pastucha, krawca, nauczyciela wiejskiego, był raz dyakiem. Wezwano księdza do choréj kobiéty; ten przez pośpiech czy roztargnienie zamiast rytuałowéj książki, chwyta „Zasady arytmetyki" (traf bowiem chciał czy zwyczaj, że wszystkie jednako oprawiano) i obaj śpieszą do umierającéj. Niefortunna zamiana odkrywa się dopiéro na miejscu. Co począć, pyta zakłopotany Stojanow. — Nie frasuj się, uspokaja go kapłan, odpowiadaj tylko „chwała ci Panie" lub „Panie, zmiłuj się", a wszystko pójdzie dobrze.

Rozbita drużyna chroni się w góry; nawpół dziki pastuch daje im schronienie w swym szałasie i opowiada swe dzieje, które, dając się streścić w kilkunastu słowach, malują najlepiéj losy poddanych chrześciańskich na półwyspie Bałkańskim. Otrzymał biédak basto-

---

[1]) „Une monographie très sérieuse, très agréablement écrite, richement documentée et fort impartiale... M. Waliszewski est avant tout, historien et son livre est, malgré un titre un peu mondain, une oeuvre de haute et sérieuse histoire", p. 73.

nadę przeszło dwadzieścia pięć razy. Pięć razy wprowadzano go na rusztowanie, a piętnaście razy odarto go z jego nędznego mienia!

Studya nad Słowiańszczyzną kończą się wspomnieniem o kilkakrotnym pobycie w Czechach i o widocznym a szybkim rozwoju téj dzielnéj ludności. Autor z nietajoną sympatyą kréśli obraz trudności, jakie Czesi zwalczać musieli i z których wyszli zwycięsko. Mówiąc o tém, co jest dziś, cofa się do lat dawniejszych, do Żyżki i Husa, by w porównaniu z przeszłością, lepiéj się uwydatniły owoce trudów spółczesnych, świadczących „o żywotności energii i bezustannie pomnażaném bogactwie narodu czeskiego.” Gmachy takie, jak teatr i muzeum sztuk pięknych, Rudolfinum zwane, dają świetne świadectwo „rozwojowi umysłowemu i moralnemu”. Znaną jest powszechnie dramatyczna historya tego teatru, który, na dokończeniu będąc, spłonął 11 sierpnia 1881 roku przez nieostrożność robotnika i został bezwłocznie odbudowanym w obszerniejszych rozmiarach, urządzony wspanialéj, ozdobiony malowidłami Liebschera, Hynaisa, Zeniska, Brożika. Z powodu teatru, wspomina autor o orkiestrze i muzyce czeskiéj. „Wstyd—powiada—dla Ateńczyków, czy Beotów paryskich, że dotąd nie znają „Sprzedanéj narzeczonéj” Smetany. Miejmy przynajmniéj nadzieję, że na wystawie 1900 r. Czesi ukażą nam swe muzykalne bogactwa i sprawią, że Francuzi dopełnią swego artystycznego wykształcenia.”

Zaznaczywszy w zajmujący sposób wszystkie ich cywilizacyjne zdobycze, zamyka autor swe wspomnienia temi słowy: „Czesi-słowianie mają prawo być dumnymi ze swych pokojowych tryumfów, a ich przyjaciele witają z całą życzliwością ich moralne zwycięstwo i życzą im najusilniéj, aby zajęli przynależne miejsce w radzie Austro-węgierskiego państwa, którego nie powinni byli utracić i którego już nikt im się nie ośmieli zaprzeczyć.”

Z przytoczonego sprawozdania sam czytelnik osądzić zdoła, że autor zachował obiecaną w przedmowie równą miarę dla wszystkich. Jakiekolwiek są jego sympatye osobiste, nic ich tu nie wykazuje; nie pozwoliły one sprzeniewierzyć się poważnemu zadaniu historyka i literata. O wszystkich, o których mówi, zachowuje niepodległość sądu, z jednaką bezstronnością wytyka wszystkim błędy, podnosi zalety. Można czasem nie zgodzić się z autorem, ale nie można zaprzeczyć mu szczerości i dobréj wiary. Równie jak nie zboczył od założenia, nie skrzywił planu. Osoby i utwory przezeń wybrane noszą wybitne piętno indywidualności i pomagają cudzoziemcom do zoryentowania się w obcym dla nich świecie. Naturalnie, że studya, które obecnie omawiamy, nie dają wszechstronnego obrazu, ale że są częścią obszer-

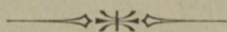
niejszéj całości, nie zaś całością samą, nie mamy prawa wymagać od nich do dna wyczerpanego przedmiotu, a zaznaczyć potrzeba, że są napisane w sposób żywy, jasny, zajmujący, z sumiennością i znajomością rzeczy i mogą oddać prawdziwą przysługę nietylko cudzoziemcom, nieświadomym spraw słowiańskich, lecz i samym-że Słowianom, o których jakieś Sacher Masochy, Francosy et Com. plotą „duby smalone"... na wstyd obu stronom: i téj, którą czernią, i téj, która naiwnie tym czernidłom wierzy.

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.



NOWE KSIĄŻKI

dla dzieci i młodzieży.



Cecylia Niewiadomska. „A. B. C. poglądowe. Nauka czytania i pisania ułożona według najnowszych zasad wychowawczych, z 345 rysunkami J. Holewińskiego, z dodaniem powiastek i wierszyków najcelniejszych autorów.” (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 116 wielkiéj 8-ki).

Po „Słówku do uczących”, w którém autorka objaśniła metodę, jakiéj się trzymać należy przy nauce czytania, następują tablice przedstawiające rozmaite przedmioty; przyczém dołączone są pytania celem wydobycia z dziecka odpowiedzi o tych przedmiotach i wprawienia go w rozpoznawanie ilości, kształtów i kierunków główniejszych. Daléj mamy tablicę z najprostszemi rysunkami dla wyćwiczenia ręki dziecka w trzymaniu pióra lub ołówka oraz w robieniu krések. Tablica V-ta podaje litery pisane i ich połączenia, kończące się wyrazem: *szczaw*. To bezwarunkowo zawcześnie i niezgodnie ze wskazówkami zawartemi w przedmowie, Tam bowiem kazano zapoznać dziecko ze wszystkiemi samogłoskami, zarówno drukowanemi jak pisanemi, a dopiéro potém, przystąpić do połączeń samogłosek ze spółgłoskami i robić stopniowo, zaczynając od połączeń najłatwiejszych. Wobec téj zasady jakże można było umieszczać tablicę, w któréj jest już i *sz*, *rz* i *szcz*?... Dalsze tablice są już ułożone według zasad wyrażonych w „Słówku do

uczących"; zrobić wszakże musimy uwagę, że nie wszędzie przestrzegano ścisłéj metodyczności. I tak zawcześnie, zaszybko zjawia się połączenie *dwu* spółgłosek z *jedną* samogłoską *lak*, *lek*, *kol*, *kul*ka, *lal*ka, *kil*ka i t. p. Zawcześnie i bez odpowiedniego przygotowania podano wyrazy, w których *i* jest tylko znakiem zmiękczenia, nie zaś samogłoską np. kob*ie*tę, buk*ie*ty, *bie*, *biu*, *bio* na str. 15. Wogóle nie usystematyzowała autorka nauki o spółgłoskach zmiękczonych, wprzód zapoznawszy z takiemi połączeniami, jak *bie*, *wie*, *nie*, *sie* i t. p. zanim na str. 28 zestawiła spółgłoski na końcu wyrazów ze znakiem zmiękczenia piszące się (*ń*, *ć*, *ś*, *ź*). Niepotrzebnie téż na str. 10 autorka podała połączenie *ky*, które wyjątkowo się u nas w wyrazach pospolitych zdarza (*ky*rie, a k*y*sz), gdyż wogóle pisownia nasza przyjmuje tylko połączenie *ki*. Pragnęlibyśmy, ażeby w przyszłém wydaniu te usterki metodyczne usunięto; bo zalety książki, jako to umiejętny dobór wyrazów takich, żeby tworzyły zdanie, staranne rysunki (za czarno tylko odbite), ustawiczne łączenie pisma i druku czynią ją pożyteczną, lubo dostępną jedynie dla zamożniejszych osób. Przeważną część książki wypełniają opowiadania i opisy wierszem i prozą, wybrane i ustopniowane rozważnie. Wiele z nich opracowała p. N. sama, niektóre wzięła z pism Konopnickiéj, St. Jachowicza, Chęcińskiego, Anczyca, Z. Morawskiéj, Weryho, Chrząszczewskiéj, Jadwigi Warnka, Or-ota. Znajduje się tu kikanaście zagadek.

„Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9" ułożyły *S. Sempołowska* i *J. Unszlichtówna*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 205).

Jak powiedziały same autorki, książka ta ma być pierwszą „czytanką" po elementarzu i starczyć na rok jeden. Układ jéj dokonany został według zasady „koncentracyi" t. j. starano się tu skupić około nauki języka „cały zasób wiadomości, jaki dziecku należy dać w pierwszym roku systematycznego nauczania, prócz nauki rachunków." Autorki radzą, by każdą powiastkę dokładnie z dziećmi opracowywano, tak że przeciętnie jednéj poświęcić należy dwie lekcye. Rozpoczyna się to dziełko od zdań prostych (C h ł o p c z y k b i e g a. D z i e w c z y n k a c z y t a i t. p.). Z przeczytanych zdań dziecko ma wypisać wyrazy oznaczające osobę lub rzecz, o któréj zdaniu mówimy. Autorki ostrzegają, aby na razie nie używać terminu technicznego — podmiot. Podobnie postępować trzeba przy wybieraniu orzeczeń, dopełnień, określeń i t. d. Zasadnicze pojęcia o składni w sposób indukcyjny wytworzą się przez szereg takich ćwiczeń. Potém przechodzi do pojęcia o częściach mowy, o deklinacyi i konjugacyi. Oprócz wia-

domości z zakresu gramatyki, nabywają dzieci przy czytaniu umieszczonych w książce ustępów, wiedzy przyrodniczéj i historycznéj, oraz kształcą się pod względem moralnym: gdyż każda niemal powiastka może stanowić punkt wyjścia pod jednym z tych względów lub nawet pod dwoma z nich. Wreszcie z czytaniem połączone są dyktanda i wypracowania piśmienne. Powiastki i opisy, jak niemniéj wiersze dobierały autorki starannie; wszelako nie uniknęły usterek językowych i stylowych; niektóre z nich są nawet dość rażące.

Teresa Jadwiga. „Nowe opowiadania ciotki Ludmiły." Z 10 ilustracyami M. Kotarbińskiego. (Petersburg, K. Grendyszyński, 1897, str. 250.

Zasłużona w dziedzinie literatury pedagogicznéj p. Teresa Jadwiga Papi, która w roku zeszłym ukończyła 25 lat pracy piśmienniczéj, ogłosiła przed kilku laty pierwszą seryę „Opowiadań ciotki Ludmiły," gdzie w formie pogadanek przedstawiła dzieje Polski za Piastów i Jagiellonów; obecnie mamy dalszy ciąg i dokończenie téj pracy, mieszczące w sobie główniejsze wypadki z doby królów obieralnych. Opisawszy tryb życia właściciela wsi Górki, różniącéj się znacznie od innych ją otaczających, wskazawszy przyjazny stosunek między dworem a chatami wieśniaczemi, autorka wkłada w usta p. Jadwigi opowiadanie o czasach Stefana Batorego, Zygmunta III, Jana Kazimierza, Sobieskiego, Leszczyńskiego, Augusta II i III, wspomina wreszcie króciutko o tém, jak się bawiono za Stanisława Poniatowskiego. Wybierała naturalnie autorka takie wypadki i takie rysy charakterów, które wybitnością swoją mogły się wrazić w pamięć prostych, mało jeszcze rozwiniętych słuchaczów, by stać się dla nich wzorem lub przestrogą. Wobec trudności, jakie miała do pokonania, nie można wielkiego kłaść nacisku na to lub owo uchybienie w opracowaniu; częstokroć nie od autorki zależało ich uniknięcie. Natomiast należy się szczera pochwała za uwzględnienie rysów cywilizacyjnych, interesujących lub ważnych, za szczere umiłowanie przedmiotu i wszczepianie tego umiłowania w czytelników.

Wł. L. Anczyc. „Księga sławniejszych odkryć geograficznych podług najnowszych źródeł zebrana." Wydanie czwarte. Przejrzał i uzupełnił Władysław Umiński. Z licznemi rycinami w tekscie. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 433, V).

Ukazanie się téj książki w czwartém wydaniu przemawia za jéj wartością; a że ją układał Anczyc, tak dobrze umiejący wniknąć w potrzeby umysłu młodocianego i odpowiedniéj dla niego użyć mowy,

nie ma więc potrzeby mówić dużo o zaletach wykonania. Dodać tylko należy, iż w wydaniu obecném, p. Władysław Umiński, który własnemi pracami dowiódł, że zaciekawić potrafi młodzież swojém opowiadaniem, porobił znaczne uzupełnienia, zwłaszcza w dziale wypraw do bieguna północnego. Nawet najnowsze sprawozdanie z podróży Nansena zostało w dodatku uwzględnioném. Mapki, dodane w końcu książki, będą nader pożądaném dla uważniejszego czytelnika, zobrazowaniem szczegółów zawartych w tekście; wskazują bowiem drogi, jakiemi znakomitsi odkrywcy i podróżnicy kroczyli, by zbadać mało znane lub zgoła nieznane okolice świata. Pragnąłbym, ażeby p. Umiński zwrócił na to uwagę, iż u nas przestawianie zaimka który poza rzeczownik jest uprawnionem tylko w pewnych ściśle określonych wypadkach, że np. w zdaniu: „uganiano się za niedźwiedziami, mięso których dostarczało doskonałego pożywienia", przestawienie to jest nieprawidłowe. Wartoby także, ażeby pamiętał, iż powtarzanie tego samego wyrazu w tém samém zdaniu lub w najbliższém nie może się nazywać ozdobą stylu.

Or-ot (*Artur-Oppman*). „Powinszowania wierszem i prozą do użytku dzieci i młodzieży oraz toasty i wiersze okolicznościowe dla osób dorosłych. (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897, str. 138).

Za dużo wydawcy obiecali w przedmowie, powiadając, że pragnęli „położyć kres dotychczasowéj tandecie" w sprawie książek z powinszowaniami; po takiéj bowiem zapowiedzi spodziewać się można było, iż w ich podręczniku znajdą się istotnie same wyborowe wiersze. Tymczasem spotyka nieraz czytelnika zawód, bo tak samo jak w dawniejszych tego rodzaju wydawnictwach, obok rzeczy dobrych, są mierne, są nawet i liche. Chociaż Or-ot jest niewątpliwie poetą, to wszakże pisząc taką masę powinszowań, nudził się widocznie jednostajnością tematu i drzémał sobie dosyć często, zarówno kiedy chodziło o treść, jak i wówczas, gdy z wysłowieniem i rymem się porał. Zapominał też czasami, że przypominam i przypominam sobie (str. 41) są to czasowniki o odmienném znaczeniu, że formy: posiwieli wy, my zebrali się i t. p. nie są po literacku poprawnemi.

„Trzy małe kotki." (Warszawa, G. Centnerszwer, 1896).

Jest to maleńka książeczka dla maleńkich dzieci; ryciny zabawne, przedstawiające kotki-dzieci, co przez roztrzepanie pogubiły mitenki, zabrane przez kruka-handlarza, więcéj tu są warte od tekstu dość słabo rozwiniętego i nie wyzyskującego należycie wszystkich motywów,

jakie w ilustracyach zostały zaznaczone. Można z téj książeczki czytać przygody kotków dzieciom; można też dać ją i samym dzieciom do czytania. *P. R.*

Zofia Bukowiecka. „Historya o Antku Rolniku.” (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 375).

Treść powieści jest krótka i prosta: syn zamożnych obywateli wiejskich, Antek Grujski, wróciwszy na wakacye do rodzinnego domu, dowiaduje się o ruinie swych rodziców i o sprzedaży ukochanego majątku, Szymanowice. Antek nie może pogadzić się z myślą, że na zawsze opuszcza wieś i pracę na roli, układa zatém wraz z siostrą, Zosią, plan, polegający na tém, aby po ukończeniu nauk kupić choćby najmniejszy kawałek ziemi i uprawiać zagon ojczysty, na równi z wieśniakami. Po paroletnim pobycie za granicą, Antek urzeczywistnia swe zamiary, kupuje trzy włóki pod Ostrowcem i zaczyna z siostrą nowe życie, ciche, spokojne, pracowite, pełne uroku, niepozbawione wszakże cierni, zwłaszcza dla Zosi, wychowanéj w innych warunkach. Przeświadczenie jednak o dobrém spełnianiu obowiązków obywateli kraju i życzliwość otaczających, zapewniają Antkowi i Zosi zupełne szczęście.

Obok postaci dwojga głównych bohaterów, na dalszych planach spotykamy inne, niemniéj sympatyczne, jako to: rodziców, zacnego stryja Piotra, Henryka i Marylki, Ireny, któréj tajemnicze pochodzenie dodaje wiele zajęcia powieści. Z opowiadaniem łączą się opisy obchodu świąt i uroczystości na wsi, legendy i pieśni miejscowe, w czasie zaś wędrówki Antka i Zosi po Sandomierskiém, zaznajamiamy się z zabytkami przeszłości, ludem i przyrodą téj części kraju. Ze względu na wszystkie te zalety, myśl przewodnią zdrową i świéżą, powieść tę zaliczyć należy do najlepszych, jakie w tym roku wyszły dla młodzieży. *J. A.*

Władysław Umiński. „Od Warszawy do Ojcowa.” (Petersburg, nakład Grendyszyńskiego, str. 257).

W końcu czerwca czterech gimnazistów opuszcza potajemnie Warszawę i swych rodziców, aby odbyć po kraju wielką podróż w „celach naukowych.” Dowódca wyprawy, Konrad Ilski, ukrywając przed swymi towarzyszami jéj cel, zaczyna zwiedzanie kraju od Wilanowa, skąd prowadzi gromadkę swą do Czerska, Kazimierza, Janowca, gór Św. Krzyzkich i Chęcin. Młodzi podróżnicy doznają wszędzie niezwykłych, lecz niezawsze miłych przygód, z których wszakże cało wycho dzą, dzięki jakiéjś niewidzialnéj opiece. Po parotygodniowéj podróży,

chłopcy zostają okradzeni przez cyganów; w tém smutném położeniu znowuż jakiś dobroczyńca przychodzi im z pomocą, kładąc w lesie na drodze pudełko z piéniędzmi. W końcu wyprawa udaje się do Ojcowa, gdzie spotyka ją niezbyt miła niespodzianka w postaci ojców. Teraz dopiéro okazuje się, że p. Ilski i Dębski śledzili swych synów już od Kazimierza, pomagając im w chwilach krytycznych; wybaczają oni chłopcom awanturniczą wycieczkę, ze względu na szlachetną myśl, z jaką ona przedsięwziętą została i zwiedziwszy piękności Ojcowa, uwożą ich do domów.

Powieść żywo napisana, zajmie niezawodnie każdego młodego czytelnika, który nie tylko znajdzie w niéj wiele ciekawych wiadomości tak z geografii, jak i z nauk przyrodzonych, lecz zapozna się z osobliwościami, zabytkami, ludem i przyrodą swego kraju. *J. A.*

Walery Przyborowski. „Na Oceanie Spokojnym." (Petersburg, księgarnia Grendyszyńskiego, str. 296).

Bohatérem powieści jest Patryk Dunmore, Irlandczyk. W chwili opowiadania znajduje się on w opłakaném położeniu, gdyż wyrzucono go z dzierżawy za niezapłacenie czynszu; nie mając ochoty do pracy, szuka śmierci. Gdy wszakże chce się już rzucić z wysokiéj wieży, znajduje na niéj skrzynkę, zawierającą przepis co do sposobu wytwarzania złota z ołowiu i staje się przez to posiadaczem bogactw nieprzebranych. Biédny i uciskany dawniéj dzierżawca zamyśla teraz pomścić się na Anglii za niedolę swych rodaków; zakupuje przeto pancernik „Odwet" i wydaje wojnę Anglii, zapowiadając, że niszczyć będzie okręty. Wszystkie wysiłki rządu w celu złamania potęgi przeciwnika są daremne. W końcu jednak „Odwet" tonie, z powodu niedbalstwa załogi, która na tratwie chroni się w zaroślach przed pogonią. Pod wpływem nieszczęścia łagodnieje mściwy charakter Patryka, który zakłada na wyspie Oceanu Spokojnego Nową Irlandyę, aby tam dać schronienie i pracę biednym i uciśnionym Irlandczykom.

Całą zaletą powieści „Na Oceanie Spokojnym" jest żywe i zajmujące opowiadanie, gdyż naukowych wiadomości czytelnik nie znajdzie w niéj zupełnie a nieprawdopodobieństwo pomysłu, niemal dziecinne pojęcia bohatéra o możności walki z Anglią, nie mogą być uważane za rzecz pedagogicznie dobrą; końcowy zaś morał wydaje się przyczepionym raczéj dowolnie, niż koniecznym wynikiem treści.

J. A.

Walery Przyborowski. „Madejowe łoże." Opowiadanie historyczne z wieku XI. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa str. 255).

Na tle zaburzeń i walk, jakie zapanowały w Polsce po śmierci Mieczysława Gnuśnego, autor rozsnuwa znaną legendę o rozbójniku Madeju. Do chaty zbója przybywa chciwy władzy Masław, który, pragnąc zawładnąć tronem polskim, prosi Madeja o pomoc. Wspólnemi siłami napadają oni na Płock, gdzie wówczas przebywał archidyakon Janko, oddawna już myślący o schwytaniu Madeja, dla którego w lochach zamkowych przygotował straszne męki. Masław wszakże zdobywa Płock i na wymyślném w tortury łożu ginie zamiast Madeja sam archidyakon. Na tém legenda się urywa; autor w dalszym ciągu opisuje najazd Czechów na Polskę, oblężenie i zdobycie Gniezna, rabunek grobu św. Wojciecha, w końcu powrót królewicza Kazimierza na tron Polski i śmierć Masława. W epilogu zaś wraca do legendy o Madeju. Następca archidyakona Janka, a niegdyś towarzysz słynnego rozbójnika, jadąc puszczą spotyka pod drzewem klęczącego starca. W tym pokutniku poznaje Madeja, który wyspowiadawszy się ze swych krwawych czynów i otrzymawszy rozgrzeszenie, umiéra.

Powieść napisana jest językiem ładnym, czyta się ją z zajęciem. Niektóre wszakże sceny naprzykład strzelanie Staszka do ludzi archidyakona i śmierć Janka, sprawiają niemiłe wrażenie; wogóle za dużo tu scen krwawych, wymyślań i t. p. *J. A.*

Cecylia Niewiadomska. „Powiastki króciutkie." (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 144).

W kilkudziesięciu powiastkach opowiedziane mamy zdarzenia przeważnie z życia dziecięcego wzięte, a malujące zalety i wady te ich małego światka; a więc: uczynność i dobroć serca („Dobra Andzia", „Brat i siostra", „Podwieczorek"); niezgodność („Kłótniki," „Niegodne rodzeństwo"); nieposłuszeństwo i jego skutki („Nie wyglądaj oknem", „Nieszczęście"). W niektórych powiastkach autorka dowcipnie i żywo maluje nam zwyczaje zwierząt (Śpioch, Zajączek, Azor i Misia); inne w końcu są tylko zręcznemi anegdotkami, jak np. „Pytanie Irenki", wszystkie zaś mogą się podobać i zająć dzieci od lat sześciu, gdyż są one wierném odbiciem ich zalet i małych przewinień. Rażą tylko tu i owdzie niezbyt estetyczne opisy, jak np. roztrzaskanych członków dziecka, które wypadło z okna na bruk. *J. A.*

Marya Weryho. „W zimie." Książeczka dla małych dzieci. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 235).

W pierwszéj części książeczki mamy opisane obyczaje niektórych ptaków i sposoby, jakiemi zabezpieczają się one od głodu i zimna. Na żądanie sowy, chcącéj udzielić ptakom jakiéjś mądréj rady

na zimę, zabiérają po kolei głos: kuropatwa, sroka, dzięcioł, sójka, wrona, wróbel, cietrzew i głuszec. Opowiadanie przerywa jastrząb', tłómacząc ptakom, że sowa, pod pozorem życzliwości, chciała dowiedziéć się o ich zwyczajach, aby tém łatwiéj mogła na nie polować.

Z powiastek, znajdujących się w drugiéj części książeczki, w „Szaruściu" autorka maluje przywiązanie pieska do swego dobrego pana, w „Nieszczęściu Wojtka" złe skutki, jakie pociąga za sobą nieposłuszeństwo, w „Małym żebraku" przedstawiona jest miłość tatka dla matki. Jedną z najpiękniejszych powiastek w tym zbiorku jest „Mróz", gdzie opowiedziano, jak wszechładnie panujący mróz ustąpić musiał przed ożywczemi promieniami słońca.

Książka stanowić może miłą i pożyteczną rozrywkę dla dzieci od lat sześciu. Napisana jest językiem dość czystym i barwnym. *J. A.*

Marya Weryho. „Opowiadania prawdziwe." (Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, str. 153).

Zbiorek ten składa się z szesnastu powiastek, malujących już to zwyczaje niektórych zwierząt, (Tchórz, Zające, Pająki, O szczupaku drapieżniku) już rozmaite wady, właściwe ludziom, lecz uosobione w postaci zwierząt, już to przywiązanie wnuka do dziadka (Pajac). Do najładniejszych zaliczyć należy: „Wesele biedronki", w której autorka opowiada, jak cicha i łagodna biedronka, zaprosiła swych krewnych i przyjaciół na wesele córki, urządzając przyjęcie na wierzchu purchawki, oraz „Nic nie ginie" gdzie przewodnią myślą jest, że róża więdnąc nie zamiéra nazawsze, lecz wraz z nadejściem wiosny zakwita, gdyż nic w naturze nie ginie.

Żywość opowiadania i barwny język cechują ten nowy utwór utalentowanéj autorki. *J. A.*

F. Morzycka. „Wielki charakter, czyli życie Beniamina Franklina." (Warszawa, nakładem księgarni A. Rzążewskiéj, st. 74).

W sposób przystępny i jasny autorka rozwija przed czytelnikiem całe życie Beniamina Franklina, począwszy od jego dzieciństwa, aż do śmierci. Franklin przedstawiony jest nietylko jako człowiek, lecz i jako uczony, działacz społeczny i polityczny, narówni ze swym przyjacielem, Waszyngtonem, twórca Stanów Zjednoczonych i prawodawca.

Wyjątki z dzieł Franklina przyczyniają się nie mało do ożywienia opowiadania, napisanego stylem trochę ciężkim. *J. A.*

Juliusz Verne. „Cudowna wyspa.” Przekład M. D. Z szesnastoma ilustracyami. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 389).

Czterech francuskich muzyków udaje się do San-Diego, sądząc, że tam łatwiéj zdobędą sobie środki do życia. Wskutek złamania koła u bryczki znajdują się nagle sami, w nocy, w nieznanéj okolicy. W tém opłakaném położeniu przychodzi im z pomocą Kalikstus Mumbar, zabierając artystów do siebie. Na drugi dzień podróżni dowiadują się, że są na Standard-Island, wyspie, zbudowanéj ze stalowych sześcianów. Wyspa ta jest miejscem zamieszkania samych miliarderów, z których dwaj najbogatsi, właściciele dwóch portów, żyją w ciągłéj niezgodzie, walcząc o wpływy w mieście. Niezgoda ta oraz żądza władzy staje się powodem zguby Standard-Island'u i jéj mieszkańców, gdyż dwaj bogacze, zakupiwszy całą wyspę, wydają wprost przeciwne rozkazy, co do kierunku, w jakim ona ma płynąć. Oczywiście podstawa stalowa wyspy rozrywa się, jeden port ulega zniszczeniu, załoga zaś jego chroni się na drugim, który szczęśliwie dopływa do Nowéj Zelandyi. Obie wrogie sobie rodziny godzą się, następuje ślub młodego Tankerdona z miss Caverley, poczém wszyscy odjeżdżają do Chicago.

Powieść ta, jak i wszystkie Verne'a, przykuwa uwagę czytelnika żywo zajmującą treścią, obok któréj czytelnik znajdzie opisy wielu wysp na Oceanie Spokojnym, ich ludności, przyrody i fauny. Tłomaczenie niezbyt poprawne. *J. A.*

Eugeniusz Müller. „Młodość sławnych ludzi.” Przekład Jana Chęcińskiego. (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 311).

W formie opowiadania ujęte są wiadomości z życia, głównie zaś z wieku młodzieńczego, sławnych ludzi najrozmaitszych epok, stanów i narodowości. A więc mamy tu szczegóły z działalności wielkich wojowników, poetów, muzyków, malarzy, uczonych, dwóch wielkich papieży, małych bohatérów i bohatérek. W galeryi wielkości nie brak nawet sławnego francuskiego kucharza Antoniego Carême.

Książka ta, czytana uważnie przez starszą młodzież, przyniesie wiele korzyści, bawiąc i ucząc zarazem. Opowiadanie prowadzone jest żywo, przekład bardzo dobry. *J. A.*

Jadwiga Chrząszczewska. „Dar.” Powieści dla młodzieży opracowane według Alfonsa Daudeta. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 226).

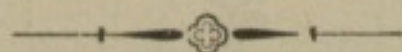
Książka ta składa się z sześciu powiastek, z których jedna opowiada nieszczęście młodéj kózki, żądnéj swobody i wesela, lecz na

samym wstępie do samodzielnego życia, ginącéj pod pazurami wilka („Kózka ojca Bartłomieja"); inna przedstawia smutny obraz zniszczenia, po przejściu szarańczy nad kwitnącém przed chwilą polem; inna wreszcie jest historyą starego młynarza, wywożącego co wieczór gruz i cegłę ze swego wiatraka, aby sąsiedzi nie domyślili się, że nie ma roboty. Najdłuższą z powiastek są „Przygody Tartarina z Tarasconu"; treść jéj zbyt dobrze znana jest czytelnikom lubiącym Daudet'a, aby ją przytaczać.

Wszystkie powiastki starsza młodzież czytać może z prawdziwą przyjemnością, nie tylko ze względu na zajmującą treść, lecz i na śliczne, poetyczne wysłowienie. *J. A.*



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



C. Bogucka, C. Niewiadomska i J. Warnkówna. „Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach, ułożone systematycznie. Stopień I. Stopień II.“ Warszawa, 1897, 8-vo, str. 264 i 254.

„Ćwiczenia stylistyczne” składają się z pięciu części. Część pierwsza i druga zawiéra w sobie opisy, porównania, powiastki i opowiadania, wiersze do przerobienia na prozę i listy; w części trzeciéj do tych pięciu rodzajów przybywa jeszcze szósty — rozprawki, nadto dział powieściowy jest powiększony przez dodanie opowiadań historycznych, podań, legend i życiorysów; wreszcie w części piątéj nie ma już wierszów do przerobienia na prozę, są natomiast rozbiory literackie, oraz życiorysy, stanowiące dział odrębny. Tym sposobem wszystkich rodzajów ćwiczeń stylistycznych jest ośm: opisy, porównania, opowiadania różnéj treści (jako materyał do streszczenia), wiersze do przerobienia na prozę, charakterystyki, rozprawki, rozbiory literackie i listy. Ćwiczenia w formie dyalogów pominęły autorki zupełnie — i bardzo słusznie, rodzaj to bowiem ćwiczeń za trudny dla uczącéj się młodzieży, a przeto w nowszych czasach ze szkół usunięty.

Dzieląc podręcznik na pięć części, autorki miały na celu „stopniowanie trudności”, „zaczynając od tematów najłatwiejszych i przechodząc do coraz trudniejszych.” Stopniowanie to jest przeprowadzone systematycznie i umiejętnie; śmiało można trzymać się kolei, wskazanéj przez autorki, co niepospolicie ułatwia pracę uczących.

Przyjrzyjmy się teraz bliżéj każdemu poszczególe gatunkowi ćwiczeń stylistycznych, zaczynając od opisów.

Część pierwsza i druga zawiérają w sobie opisy bardzo łatwe, t. j. opisy rzeczy, które dziecko zna dobrze bądź z osobistego doświadczenia, bądź z elementarnéj nauki o rzeczach; chodzi tu więc o to tylko, aby potrafiło myśli swoje wyraziś jasno; rozpatrzywszy plany opisów, ułożone przez autorki, łatwo się przekonamy, że odznaczają się one i jasnością i systematycznością; tak np. plan opisu p. t. „Pies" składa się z następujących części: 1) Jakiém zwierzęciem jest pies? (domowém); 2) Jak się nazywają główne części jego ciała? 3) Czém są zakończone łapy? 4) Jakie ma zęby? 5) Jakiéj wielkości bywają psy? 6) Jaki z nich mamy pożytek? 7) Jakie znasz odmiany psa? Na powyższe pytania każde dziecko łatwo znajdzie odpowiedź i wskutek tego nie zniechęci się zaraz na wstępie do ćwiczeń piśmiennych. Dobrze zrobiły autorki, że na czele umieściły takie właśnie opisy, które niewątpliwie są o wiele łatwiejsze dla początkujących, aniżeli streszczanie choćby najłatwiejszych bajeczek lub powiastek. Część trzecia, czwarta i piąta mieszczą w sobie opisy już znacznie trudniejsze, jak np. „Wędrówki ptaków", „Wiosna", „Wyrób papiéru", „Uprawa roli", „Pogrzéb Wisza" (ustęp „Staréj Baśni"), „Wycieczka do ogrodu botanicznego" i t. p. Z tych jedne przeznaczone są do streszczeń, inne do samodzielnych wypracowań, inne wreszcie wzięte są z zakresu geografii i nauk przyrodniczych, i tym sposobem płynie z nich korzyść podwójna: obok wprawy w ćwiczenia piśmienne uczący się lepiéj przyswajają sobie rzeczy, które poznali już poprzednio.

Po opisach następują porównania. Jak ważne stanowisko powinien zajmować ten dział wśród ćwiczeń piśmiennych i jak bardzo przyczynia się do rozwoju umysłowego, zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się długo; dość przypomnieć, że porównanie jest środkiem do odróżniania cech istotnych od przypadkowych, że więc jest niezbędném do wytworzenia sobie ścisłego i dokładnego pojęcia o rzeczy. Wobec tego, zdaniem naszém, za mały nacisk położyły autorki na porównania; tak np. w części pierwszéj mamy ich tylko cztery (wobec 62 opisów). Zresztą tematy do porównań dobrane są przeważnie trafnie, lecz nie zawsze we właściwéj części umieszczone; tak np. temat „Rozum i wykształcenie" w porównaniu z innemi tematami części trzeciéj jest za trudny; należałoby go zamieścić w części ostatniéj. Takie zaś porównania, jak „Krasicki i Naruszewicz", oraz „Okres Zygmuntowski i Stanisławowski", może lepiéj byłoby dołączyć do „Rozbiorów literackich".

Bardzo dobrém stopniowaniem odznacza się dział „Powiastek i opowiadań”. Znajdujemy tu kolejno bajki, powiastki, legendy, anegdoty i opowiadania historyczne, baśnie, podania, wreszcie większe utwory literackie, jako to: nowele i poezye. Nie brak i tematów do opracowania samodzielnego, jak np. „System feudalny i rycerstwo w wiekach średnich” lub „Jaką rolę odegrało w historyi morze Śródziemne”, które to jednak tematy należałoby może zamieścić w dziale „Rozprawek”. Streszczanie przeczytanych utworów ma wielką doniosłość pedagogiczną, uczy bowiem zwięzłości w wyrażaniu myśli. Szkoda, że autorki nie podały w części pierwszéj wzoru, w jaki sposób należy prowadzić z uczniami streszczania. Zauważamy więc, że w szkołach niemieckich początkowe streszczania polegają na pomijaniu w zdaniach złożonych—niektórych zdań podrzędnych, zwłaszcza określających i wogóle takich, bez których myśl przewodnia jest zrozumiałą; tym sposobem uczeń wprawia się w odróżnianie myśli głównych od drugorzędnych—co właśnie stanowić powinno cel i istotę streszczania. W zastosowaniu do większych opowiadań wymaganie to można określić w ten sposób, że uczeń powinien pomijać w streszczeniu swém epizody. Jeszcze jedna uwaga co do „Opowiadań”. Z utworów poezyi, przeznaczonych do streszczenia, autorki uwzględniły tylko poezyę epiczną; niepodobna zaprzeczyć, że utwory epiczne najwięcéj nadają się do streszczania, w miarę jednak rozwoju umysłowego i wprawy stylistycznéj ucznia, można zadawać mu streszczenia łatwiejszych utworów lirycznych, jak np. elegii oraz pieśni liryczno-opisowych lub liryczno-dydaktycznych, a nawet utworów poezyi dramatycznéj; doskonale zwłaszcza nadają się ku temu arcydzieła tragików greckich, jako posiadające akcyę niezawikłaną, zwłaszcza „Oresteia” Eschylosa, oraz „Król Edyp” i „Antygona” Sofoklesa. Świéżo wydany przez pp. Chmielowskiego i Grabowskiego „Obraz literatury powszechnéj w przykładach i streszczeniach” (książka, któréj, mówiąc nawiasem, wartoby używać przy nauce stylistyki i teoryi poezyi) dostarcza w tym względzie bogatego i różnorodnego materyału.

„Wierszów do przerobienia na prozę” posiadają „Ćwiczenia stylistyczne” wiele, może nawet zbyt wiele. Nadto z części czwartéj, która zawiéra w sobie już „Rozprawki moralne i naukowe”, możnaby wiersze usunąć w zupełności.

W dziale „Listów” słusznie uwzględniły autorki nietylko listy treści ogólnéj, ale także listy interesowe—*sit venia verbo*—jak np. listy „do sędziego”, „do wójta o paszport” i t. d. Nie wadziłoby także zaprowadzić w nauce szkolnéj pisywania kontraktów, rachunków, pokwitowań, świadectw służbowych i t. p. Zwyczaj ten jest praktyko-

wany z powodzeniem w szkołach niemieckich [1])—z uwagi na potrzebę znajomości pewnych form prawnych, z któremi — po ukończeniu nauki szkolnéj — nie każdy wychowaniec będzie miał sposobność się obznajmić.

Co się tyczy z kolei „rozprawek naukowych i moralnych" (do którego to działu możnaby zaliczyć po części charakterystyki), to zagranicą, mianowicie w Niemczech, dość często odzywały się i odzywają głosy przeciwko wszystkim wogóle „ćwiczeniom abstrakcyjnym" w nauce szkolnéj, — z uwagi, że celem ćwiczeń piśmiennych w szkole powinna być jedynie reprodukcya, nie zaś samodzielna produkcya. Wymaganie to jednak nie jest uzasadnione i, jeżeli się nie mylimy, polega poprostu na nieporozumieniu; jeżeli uczeń jasno zdaje sobie sprawę z tematu (który też dlatego powinien być sformułowany jak najdokładniéj) i jeżeli treść tematu nie przekracza granic jego wiadomości, nabytych drogą nauki lub doświadczenia, to ćwiczenie „abstrakcyjne" będzie takąż reprodukcyą, jak każde inne; chodzi tylko o to, aby uczeń potrafił wyłożyć swe myśli logicznie i systematycznie. Do ćwiczeń na tematy oderwane najlepiéj, naszém zdaniem, nadają się przysłowia, sentencye, chryje i wogóle ćwiczenia, których celem jest dowieść danéj prawdy drogą rozumowania i przykładów; takie ćwiczenia mogą w bardzo wysokim stopniu przyczynić się do rozwoju umysłowego ucznia, uczą go bowiem myśléć logicznie. Plan takich ćwiczeń powinien być, o ile możności, ujęty w formę sylogizmu; jeżeli np. mamy pisać wypracowanie na temat „Można być pożytecznym, nie będąc znakomitym", to plan powinien być, mniéj więcéj, taki: 1. Człowiekiem pożytecznym jest ten, kto sumiennie wypełnia swe obowiązki (dlaczego? *a*, *b*, *c*...). 2. Sumienne wypełnianie obowiązków nie zawsze idzie w parze z rozgłosem (dlaczego? *a*, *b*, *c*...; przykłady!). 3. A zatém: można być pożytecznym, nie będąc znakomitym (i odwrotnie; tu można przytoczyć kilka przykładów, np. Herostrata, od których zresztą można wypracowanie rozpocząć (we wstępie). Dla opracowania chryj istnieje nawet gotowy szemat, uświęcony przez retorów starożytnych (*quis?*, *quid? cur? contra, simile et paradigmata, testes*), który i dziś jeszcze da się zastosować w wypracowaniach nie bez pożytku dla uczącéj się młodzieży. Otóż wielka szkoda, że autorki w szeregu „rozprawek naukowych i moralnych", zbyt mało uwzględniły ten rodzaj wypracowań, które byłyby odpowiedniejsze, aniżeli takie tematy jak „O miłości", „O odwadze", „O kobiecie", „Przyjaźń"; zresztą i ta-

[1]) Por. np. von Zeyneks, „Deutsche Stilistik und Poetik". Siebente Auflage. Graz, 1896, str. 114: Geschäftsaufsätze.

kie wypracowania nadają się do ćwiczeń szkolnych, należy jednak ściśléj formułować tytuły, aby one odrazu oświécały ucznia, o czém ma pisać.

Zaznaczyć daléj trzeba, że plany nie we wszystkich rozprawach ułożone są, jak należy. Tak np. plan rozprawki na temat „O potrzebie pracy" jest następujący:

Wstęp. Człowiek rodzi się z potrzebami, musi więc pracować.
Rozwinięty temat. 1. Różność pracy według różności uzdolnienia.
2. Żadna praca nie hańbi.
3. Trzeba się do niéj przyzwyczyjać za młodu.
Zakończenie. Smutne skutki próżniactwa.

W planie tym część, która powinna być środkiem tematu, t. j. odpowiedź na pytanie: „Dlaczego człowiek powinien pracować?" została umieszczona we wstępie; środek tematu powinien właśnie wykazać różnorodne przyczyny (z punktu widzenia praktycznego, moralnego i t. d.), dla których człowiek pracować musi. Albo np. w wypracowaniu „Zabobony" we wstępie mowa o przyczynach zabobonów, poczém w części głównéj znajdujemy pytanie: „Co właściwie nazywamy zabobonem?" Porządek tych dwu punktów planu powinien być odwrotny: aby bowiem zrozumiéć przyczyny zabobonów, trzeba najprzód dokładnie zdać sobie sprawę z ich istoty (definicya musi poprzedzać wyłuszczenie przyczyn, skutków i t. p., chyba że celem wypracowania jest dać definicyę jakiegoś przedmiotu — w takim razie metoda indukcyjna powinna miéć bezwarunkowo pierwszeństwo nad dedukcyjną). Ale zarzut ten niektórych tylko tematów dotyczy; większość planów jest ułożona — pod względem treści — bardzo dobrze; takim np. rozprawom, jak „Znaczenie rzek dla cywilizacyi", „Znaczenie odkrycia Ameryki", „Walka człowieka z naturą" nic zarzucić nie można.

W dziale wypracowań z piśmiennictwa niektóre tematy są za obszerne i, jako takie, dla uczących są nieodpowiednie; należy tu np. temat „Rzut oka na rozwój poezyi dramatycznéj w literaturze polskiéj do XIX wieku; wiadomości o naszéj dawnéj poezyi dramatycznéj są jeszcze zbyt niedokładne, aby o jéj całokształcie można było sobie należyte wytworzyć pojęcie. Jakim sposobem może uczeń wywiązać się choćby jako tako, ze swego zadania, jeżeli ani jeden z podręczników literatury nie podaje nawet należytéj klasyfikacyi utworów poezyi dramatycznéj (dyalogi, intermedya, sztuki moralne, dramaty w duchu kla-

sycznym i t. d.), nie mówiąc już o tém, że kilku rodzajów (jak np. misteryów „O męce pańskiéj") nie uwzględniano zupełnie? W wymaganiu, aby tematy z literatury nie były za obszerne, posuwamy się jeszcze daléj: naszém zdaniem, nie należy zadawać uczniom takich tematów, jak np. „Charakterystyka Mickiewicza" lub „Charakterystyka Korzeniowskiego"; wprawdzie autorki wskazują wszędzie źródła pomocnicze, — ale w takim razie wypracowania z literatury staną się streszczeniami przeczytanych studyów, a więc ćwiczeniami nie samodzielnemi. Tymczasem nauka historyi literatury nastręcza właśnie nieprzebrane mnóstwo tematów do ćwiczeń samodzielnych, przyczém metoda indukcyjna da się w nich zastosować wybornie. Tak np. można zadać uczniowi wypracowanie „Krasicki, jako satyryk"—na podstawie kilku satyr, które wskazać należy (uwzględniając — rzecz prosta — satyry najbardziéj typowe); wprawdzie będzie indukcya niezupełna, ale trudno—niepodobna wymagać, aby uczeń w przeciągu kilku dni, przy innych zajęciach, uważnie przeczytał wszystkie satyry. Albo np. można na podstawie kilku przeczytanych i objaśnionych sielanek Szymonowicza, Karpińskiego i t. d. zadać temat: „Co to jest sielanka?" i t. p. I tu znowu indukcya będzie niezupełna, ale jakkolwiekbądź uczeń, pisząc takie ćwiczenia, nauczy się uogólniać swoje własne spostrzeżenia, dzieląc je podług pewnych kategoryi, z których dopiéro ostateczny wyprowadzi wniosek. Przeciwko „rozbiorom literackim" w nauce szkolnéj nie mamy nic; trzeba tylko, aby rozbiór zredukować do granic minimalnych, poprzestając na treściwém i systematycznėm streszczeniu utworu, charakterystyce osób działających i t. p., bez wdawania się w szczegółową krytykę. Wybór dzieł przeznaczonych przez autorki „Ćwiczeń stylistycznych" do rozbiorów, jest trafny i zupełnie odpowiedni.

Jeszcze jedna ogólna uwaga co do planów, zamieszczonych w „Ćwiczeniach". Dobry układ planu jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi; polega on na usystematyzowaniu zebranego materyału, na ujęciu go w pewne grupy, słowem—na podziale; jeden z najważniejszych warunków podziału polega na tém, aby części składowe wykluczały się wzajemnie. Jeżeli w planie ćwiczenia nie uwzględnimy tego warunku, to uczeń o téj saméj rzeczy będzie musiał pisać w różnych miejscach ćwiczenia, nie będzie sobie zdawał należycie sprawy ze stosunku, jaki pomiędzy poszczególnemi częściami planu zachodzi, a zatém nie nabędzie umiejętności logicznego i systematycznego wypowiadania myśli. Otóż temu kardynalnemu warunkowi nie wszystkie plany „Ćwiczeń stylistycznych" odpowiadają. Tak np. w planie ćwiczenia „Połów wielorybów" punkt trzeci brzmi: „korzyści", czwarty zaś: „tran i fiszbin,

jako cenne produkty"; dwa te punkty nie wykluczają się, ponieważ punkt czwarty jest jedną z części składowych trzeciego; należało je więc ująć w punkt jeden za pomocą poddziału korzyści: *a*) tran, *b*) fiszbin. A oto plan ćwiczenia „Samolub":

1. Myśli przedewszystkiém o sobie.
2. Nie kocha prawdziwie nikogo.
3. Poświęca dobro innych dla własnéj przyjemności lub korzyści.
4. Jest nieczuły na cierpienia innych.
5. Niesprawiedliwy w sądzeniu innych.
6. Wymagający względem otoczenia.
7. Nie troszcząc się o dobro innych, nie przynosi pożytku społeczeństwu.
8. Nie ma przyjaciół.
9. Nie może być prawdziwie szczęśliwym.
10. Umiéra nie żałowany i najbliżsi prędko o nim zapominają.

Plan ten należało ułożyć zupełnie inaczéj, mniéj więcéj w sposób następujący. Punkt pierwszy „Myśli przedewszystkiém o sobie" powinien być ogólnym tytułem środka ćwiczenia. Stąd:

1) Wniosek: Nie kocha prawdziwie nikogo:
   a) poświęca dobro innych dla własnéj przyjemności;
   b) jest nieczuły na cierpienia innych;
   c) niesprawiedliwy w sądzeniu innych;
   d) wymagający względem otoczenia.

2) Skutki: *a*) dla społeczeństwa: nie przynosi mu pożytku;
   b) dla samego samoluba:
      α) nie może być prawdziwie szczęśliwym, ponieważ:
      β) nie ma przyjaciół; a stąd:
      γ) umiéra nie żałowany i najbliżsi prędko o nim zapominają.

Wogóle przy pisaniu ćwiczeń należy koniecznie przyzwyczajać uczniów (w miarę ich rozwoju umysłowego), aby odróżniali pojęcia ogólne od częściowych, aby więc w planie był nietylko podział, lecz i poddział. Bezstronność atoli każe przyznać, że nie brak w „Ćwiczeniach stylistycznych" planów, które — pod względem układu — są bez zarzutu, jak np. „Pożytek z lasów", „Wpływ położenia nadmorskiego na handel i cywilizacyę", „Znaczenie odkrycia Ameryki" i wiele innych.

Powyższe sprawozdanie z „Ćwiczeń stylistycznych" okazuje, że książka szanownych autorek nie jest bez zarzutu. Nie wynika z tego jednak bynajmniéj, aby nie posiadała prawdziwéj wartości; przeciwnie zawiéra ona, naszém zdaniem, tyle cech dodatnich, że jéj pożytek w nauce języka jest niewątpliwy; przez to należą się autorkom słowa nie tylko uznania, ale i wdzięczności ze strony nauczycielek i nauczycieli języka polskiego. *Ignacy Chrzanowski.*

S. Dickstein. „Hoene-Wroński, jego życie i prace." Kraków, 1896. Nakładem Akademii Umiejętności.

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia żył, myślał, pracował i cierpiał we Francyi mąż, o którym bardzo sprzeczne wśród nas krążyły wiadomości: gdy jedni uważali go za skrajnego dziwaka, inni przypisywali mu znaczenie pierwszorzędnego geniusza. Mężem tym był Hoene-Wroński.

Już sama skrajność takich o nim pojęć każe się domyślać jakichś szczególnych przyczyn; były niemi: różnorodność, ogrom i nieprzystępność prac Wrońskiego, wyjątkowy charakter i nieprzychylność współczesnych Wrońskiemu uczonych.

Osobą i pracami tego wyjątkowego męża żywo zainteresował się znany u nas matematyk i wielki miłośnik literatury naszéj matematycznéj—p. S. Dickstein, który téż, zaopatrzony w nieposlednią wiedzę i dużą erudycyę, z całym zapałem zabrał się do zbadania życia i prac Wrońskiego, nie szczędząc czasu, pracy, ani kosztów, jakich tak trudne zadanie wymagało. Dzięki tym wytrwałym staraniom pana D., znajdujemy się obecnie w posiadaniu pięknego dzieła p. t. „Hoene Wroński, Jego życie i prace", wydanego przez Akademię Umiejętności w Krakowie, z portretem Wrońskiego i podobizną jego pisma.

Praca p. Dicksteina składa się z dwóch części: z zarysu biograficznego i z wykazu dzieł oraz rękopisów Hoene Wrońskiego. Zadaniem jéj, obznajmienie rodaków z życiem i pracami Wrońskiego oraz zachęcenie i ułatwienie dalszéj pracy nad krytycznêm ocenieniem wartości pomysłów tego niezwykłego człowieka.

Józef Marya Hoene Wroński urodził się 24 sierpnia 1778 r. w Poznaniu lub jego okolicach (rzecz ostatecznie jeszcze nie roztrzygnięta) z rodziców pochodzenia czeskiego (Antoni i Gertruda z Gruberów). Lata dziecińśtwa nie są znane. W bardzo wczesnym wieku pojechał do Warszawy i wstąpił do korpusu kadetów. Mając lat 15 ukończył edukacyę, a w r. 1794 zapisał się do szeregów artyleryi narodo-

wéj, jako porucznik. Podczas oblężenia Warszawy przez Prusaków był przy bateryi na Czystém; pod Maciejowicami zaś dostał się do niewoli i wstąpił do służby rosyjskiéj, którą w dwa lata później opuścił w randze podpułkownika. Zaraz po opuszczeniu służby wyjechał z kraju, by już nigdy do niego nie wrócić. Pierwotnie chciał Wroński wstąpić do legionów, ale w drodze zatrzymał się w Niemczech, gdzie uderzony wysokim rozwojem filozofii, zaczął ją gruntownie studyować.

Przez dwa lata czytał dzieła różnych filozofów, z tych Kant wywarł tak silny wpływ na umysł Wrońskiego, że jego dążeniom nadał zupełnie nowy kierunek.

W 1800 roku przyjechał do Francyi i osiadł w Marsylii, gdzie przebył lat dziesięć. Tu postanowił oddać się wyłącznie pracy nad filozofią i nad reformą wiedzy. Przez te lat dziesięć położył podwaliny całego swojego rozległego systemu wiedzy i filozofii i przygotował wszystkie niemal zagadnienia, nad któremi miał pracować w ciągu długiego swego żywota. „Gdy się przejrzy rękopisy — powiada autor—zachowane z téj epoki, gdy się rozważy, w ilu różnorodnych kierunkach umysł jego był wówczas czynnym, nie możemy wyjść z podziwu dla téj niezwykłéj organizacyi umysłowéj i dla ogromu pracy, jaki Wroński złożył w tych nieznanych dotąd światu papierach.”

W Marsylii téż pojawiły się pierwsze drukowane prace Wrońskiego: „Le bombardier polonais”, „Critique de la raison pure” i t. d. Wroński znał kilkanaście języków, ale pisał tylko po francusku.

W 1810 r. przybył do Paryża, gdzie spędził większą część życia wyjeżdżając w celach naukowych, tylko na czas względnie krótki do Anglii (1819), Belgii (1826) i do Niemiec (1851).

Umarł 9 sierpnia 1853 r., pozostawiając po sobie szczupłą garstkę wiernych i fanatycznych wielbicieli swéj nauki, do których przedewszystkiém zaliczyć należy żonę zmarłego—z domu Montferrier, córkę przybraną Batyldę Conseillant, szwagra Montferrier, Auge'go, Durutte'a; z polaków: Antoniego Bukatego i Leonarda Niedźwieckiego. Temu ostatniemu głównie zawdzięcza p. D. pobudkę i zachętę do zajęcia się osobą i pracami Wrońskiego.

Zaraz po przybyciu do Paryża, przesłal Wroński Akademii ukończoną jeszcze w Marsylii rozprawę p. t. „Premier principe des méthodes analytiques”, lecz uznania nie pozyskał. Gdy to samo spotkało go i później ze strony Biura Długości oraz Towarzystwa królewskiego w Londynie, stał się zaciętym nieprzyjacielem ciał naukowych i „patentowanych uczonych”, z którymi częste i zjadliwe prowadził polemiki. To pociągnęło za sobą wielkie rozgoryczenie uczonych przeciwko

Wrońskiemu—do tego stopnia, że Legendre na walném posiedzeniu Akademii miał podobno głośno wypowiedziéć następujące słowa: „Kto jest ten człowiek, który tylokrotnie powstaje przeciwko opinii uczonych; który żyje swoją prawdą, nie będącą naszą prawdą, występuje przeciwko nam w sposób gwałtowny i obrażający! Dawniejszy rząd rozkazem tajemnym (*lettre de cachet*) odstawiłby go do Bastylii."

Działalność Wrońskiego była wszechstronna, a zawsze przyświecała jéj idea zreformowania wiedzy.

Przedewszystkiém zajmowała go filozofia oraz matematyka czysta i stosowana. Filozofię oparł na pomyślanym przez siebie „absolucie", który „dydaktycznie" określa w następujący sposób: „absolut — to zagadnienie zasadnicze człowieka, to zasada pierwsza, zawierająca w sobie samej przyczynę (powód) swego bytu, t. j. warunek własnéj rzeczywistości, a która tym sposobem istnieje sama przez się; zasada, która przez to właśnie zawiéra w sobie warunek rzeczywistości wszechświatu." Rozważania filozoficzne doprowadziły go do doktryny mesyanizmu, która, według słów Wrońskiego, obejmuje w sobie nie tylko wszystkie jego badania czysto naukowe, ale ma zarazem kierować losami ludzi i narodów ku ich zbawieniu, t. j. najwyższym przeznaczeniom.

Z matematyki czystéj zajmował się analizą, teoryą liczb, rachunkiem prawdopodobieństwa, geometryą (najmniéj); z matematyki stosowanéj: balistyką, astronomią, mechaniką nieba, geodezyą, fizyką, lokomocyą i t. p. Budował modele przyrządów ratunkowych i astronomicznych, czynił wynalazki na polu lokomocyi; w celu ich eksploatowania zawierał milionowe umowy, które zrywał, gdyż wspólnicy domagali się szybkiego zrealizowania zobowiązań, przeszkadzając mu tém samém w prowadzeniu badań teoretycznych nad pomyślanemi wynalazkami.

Również żywo zajmował się historyozofią, ekonomią, polityką i prawem. Pisywał listy otwarte do monarchów, papieża i ministrów.

Wzory matematyczne podawał nie wskazując najczęściéj drogi, jaką do nich doszedł. Mówiąc o wydaném w 1812 r. dziełku p. t. „Résolution générale des équations de tous les dégrés", wyrzekł te słowa: „Aby ludziom niezajmującym się nauką dać przykład wartości nieskończenie wielkiéj odkryć naukowych, powiem im, że w r. 1812 ogłosiwszy „Rozwiązanie ogólne równań wszystkich stopni", którego, mimo niezmiernych prac, nie potrafiono znaléźć po dzień dzisiejszy, zachowałem w tajemnicy dowód tego rozwiązania, a to z powodów

najwyższéj wagi, by je ogłosić w czasie właściwym, lub też... Gdyby jakikolwiek panujący ofiarował mi milion, a nawet kilka milionów, abym obecnie dał ludziom to ważne odkrycie, oświadczam, że téj ceny nie przyjmę. Nie jest w mocy ani żadnego panującego, ani wszystkich monarchów świata, ani wszystkich ludzi żyjących, posiąść tę prawdę, gdy zechcą; i gdybym dla wyższych powodów uważał za właściwe ponieść ją z sobą do grobu, ludzie i przez dziesięć wieków nie mogliby dojść do niéj..."

„Gdy Wroński kreślił te słowa — dodaje autor — wartość jego pracy była już osądzona naukowo. Matematyk włoski Ruffini, ten sam, który wyprzedził Abela w dowodzie sławnego twierdzenia o nierozwiązalności algebraicznéj równań stopnia wyższego nad czwarty, ogłosił w Pamiętnikach włoskiego Towarzystwa nauk w r. 1820 rozprawę, odczytaną jeszcze w marcu 1816 r., zawierającą krytykę teoryi Wrońskiego i wykazał zupełnie ściśle, że metoda ta jest błędna. W roku 1818 matematyk portugalski Joao Evangelista Torriani, odpowiadając na pytanie konkursowe Akademii nauk w Lizbonie „Dać dowód wzorów podanych przez Wrońskiego w jego rozwiązaniu ogólném równań" wykazał w oddzielnéj rozprawie, że metoda Wrońskiego dla równań stopnia wyższego nad czwarty jest fałszywa."

Nie należy stąd wnosić, aby i inne prace matematyczne Wrońskiego podobnemu uległy losowi. „Wzory, podane w „Prolegomenach" i następnie w „Reformie matematyki" były poddane późniéj krytyce naukowéj i wszystkie okazały się, z niewielkim wyjątkiem, ścisłemi i wystarczającemi."

Niektóre rezultaty otrzymane przez Wrońskiego wydają się na pozór niemożliwemi, a jednak są prawdziwe. W „Kanonach logarytmów" np. pomieścił na jednéj karcie to, co w zwykłych dotąd używanych tablicach logarytmów zajmuje setki stronic. Na pierwszy rzut oka wydaje się to niemożnością, jednak jest prawdą, którą każdy łatwo sam zbadać może, gdyż p. D. wydał „Kanony" w 1890 r., a tém samém dał wszystkim możność przekonania się o prawdzie.

I niektóre inne prace Wrońskiego są także sprawdzone, można więc być pewnym, że chociaż z pośród niezbadanych wiele może być błędnych lub nieodpowiadających dzisiejszemu stanowi nauki, to jednak mogą być i takie, co posiadają wysoką wartość naukową. Chodzi więc o to, aby bezstronna i ścisła krytyka powybierała rzeczy wartościowe i wzbogaciła niemi naukę, ku czemu za punkt wyjścia może służyć opisywana przez nas w téj chwili książka, stanowiąca wielkie ułatwienie dla chcących i mogących się oddać tego rodzaju badaniom.

Wroński wierzył niezachwianie w swoje wysokie powołanie reformatorskie i w swoją nieomylność; wierzył, że posiadł wiedzę bezwzględną i nawoływał ludzkość, aby szła za nim. W „Prodrome de Messianisme" powiada: „W położeniu, w którém upodobało się umieścić autora przez dozwolenie mu przeniknięcia do sanktuarium stworzenia, ma on dwa obowiązki do spełnienia względem ludzi. Jeden polega na przekazaniu im tych prawd bezwzględnych, drugi na starciu z tych prawd wszelkich widoków osobistych. Pierwszy — spełnia w téj książce..." Przedstawiając Towarzystwu królewskiemu w Londynie swoje równania „hydrostatyczne, hydrodynamiczne" woła w uniesieniu: „Takiemi są, panie prezydencie, siedm praw zasadniczych teoryi płynów, które przekazuję na całkowitą odpowiedzialność Towarzystwu królewskiemu. Prawa te, jako czysto matematyczne, są nieomylne, i nic na świecie, żadna potęga ludzka nie mogłaby ich unicestwić. Towarzystwo królewskie nie będzie istniało, Wielka Brytania pomiesza swe popioły z popiołami Grecyi i Rzymu, ziemia sama przestanie wypełniać przestrzeń, którą przebiega — a te siedm praw rządzić będzie i rządzi zawsze zjawiskami fizycznemi wszechświata!"

Jakkolwiek często znajdował się w ciężkich warunkach bytu, nigdy nie tracił odwagi. Chociaż wcześnie opuścił kraj rodzinny i nie miał z nim bliższych stosunków, nigdy o nim nie zapomniał. Wzmiankowaną pracę „Résolution générale des équations de tous les dégrés" zadedykował „à la Pologne, ancienne patrie de l'auteur." W 1831 roku ogłasza list do Cesarza Mikołaja I w obronie Polaków. Przy śmierci „Polska, ta droga ojczyzna Wrońskiego, powiada panna Conseillant, była ostatnim znakiem jego życia."

W opisywaném tu dziele opowiada autor o życiu i pracach Wrońskiego chronologicznie, opisując pięknym językiem wszystkie jego zdarzenia życiowe, walkę z trudnościami materyalnemi, nadzieje, zwątpienia i zawody, jakich doznawał. Ważniejsze, zasadnicze prace streszcza i wypowiada o nich swe zdanie, zaopatrując tekst główny w liczne i ważne dopiski. Krok w krok za tym opisem naturalnie iść nie możemy, ograniczymy się więc tylko do ogólnéj charakterystyki Wrońskiego, według tego, jak ją sobie z książki autora przedstawić zdołaliśmy.

Był to mąż ogromnych zdolności, nadzwyczajnéj wiedzy i niesłychanéj pracy. Wszystkim swoim utworom dawał podkład filozoficzny o dążnościach uogólniających i reformatorskich, posiadając zaś niepospolite zdolności—jak się autor wyraża — architektoniczne, starał się wszystko, czém się zajmował, podporządkować pod ogólny, zgóry

przez siebie obmyślony systemat. Przekonany o swém posłannictwie i nad wyraz pewien swéj nieomylności, gardził każdym, kto nie uznawał prawd przez niego głoszonych, posiadając zaś wielką odwagę, nie cofał się przed namiętną polemiką, nie szczędząc zarzutów nieuctwa najpoważniejszym uczonym i instytucyom. Ta niewstrzemięźliwość słowa sprowadziła wiele cierpień na Wrońskiego i stała się główną przyczyną, że prace jego pozostały bez należytego uznania i w swoim czasie nie wywarły takiego wpływu, jaki wywrzéć były powinny; dziś zaś, gdy namiętności minęły, nauka poszła daléj i sięgnęła głębiéj — pozostawiając pracę Wrońskiego na uboczu. Pomimo to, wszystkie niezbadane dotąd pisma Wrońskiego poddane być winny starannéj i bardzo ścisłéj krytyce, możemy bowiem pomiędzy niemi wiele znaléźć rzeczy takich, które i dziś jeszcze duże znaczenie dla nauki miéć mogą.

W części drugiéj podaje autor wykaz dzieł, broszur i rękopisów Hoene-Wrońskiego.

Dzieł i broszur drukowanych wymienia sto kilka, z tych:

a) Treści matematyczno-fizycznéj	28
b) Lokomocya	8
c) Filozofia, polityka, ekonomia społeczna i t. p.	35
d) Polemika	11
e) Odezwy, programy, prospekta i *diversa* . .	23

Rękopisów znajduje się przeszło trzysta:

Matematyka czysta i stosowana obejmuje	217	rękopisów.
Lokomocya	37	„
Statystyka i ekonomia polityczna . . .	19	„
Filozofia i pedagogika	23	„
Polityka i prawo	20	„
Varia	16	„

Rękopisy Wrońskiego znajdują się w bibliotece kornickiéj; nabył je hr. Działyński za sumę 100,000 franków od p. Batyldy Conseillant.

Pism o Wrońskim wymienia autor drukowanych 150 (w tém 22 ogłoszonych przez siebie) i w rękopisach 11.

Ażeby dać pojęcie o ogromie spuścizny po Wrońskim, dość powiedziéć, że gdy w 1870 r. powstała (nieurzeczywistniona późniéj) myśl wydania „Dzieł zupełnych" Wrońskiego, obliczono, iż objąćby je można w dziesięciu wielkich tomach *in folio*, o 800 stronicach każdy, a koszt wydania oceniono na pół miliona franków. Gdy teraz pomyślimy, że wszystkie te prace musiał autor przejrzéć, wiele przeczytać, rozważyć i z tego wszystkiego zdać sobie sprawę dla stworzenia ca-

łości, to łatwo każdy z czytelników zrozumié ogromną zasługę p. Dicksteina, którą też słusznie oceniła Akademia Umiejętności, wydając dzieło własnym nakładem i nie szczędząc kosztów, aby strona zewnętrzna odpowiadała wewnętrznéj wartości książki. *B. D.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *N. Michaux.* **O wyobraźni.** Studyum psychologiczne. Przełożył z francuskiego *Antoni Lange.* Warszawa, nakład i druk Lewentala, 1896, str. 128. — Zjawiska, składające się na całość, zwaną wyobraźnią są dwojakie: pierwsze—pojęcia lub wyobrażenia, drugie—postrzeżenia. Działalność postrzeżeń na nasz mózg wyjaśniamy sobie zwykle przez oddziaływanie zjawisk świata zewnętrznego. Postrzeżenie samo w sobie podzielone być może na wrażenia i idee. Czy jedne mogą być oddzielone od drugich i odwrotnie: zastanawiali się nad tém fizyologowie i filologowie, jako nad misternym węzłem, którego rozwiązanie pierwsi uważają za ukończone, a które u psychologów wywołuje zaprzeczenie. W każdym razie jedne zależne są od drugich, funkcya jednych wywołuje podniecenie drugich, t. j. postrzeżenia wywołują idee; zdarza się, że i idee wywołują podniecenie zmysłów. Wrażenia wtedy są jednak za słabe, aby mogły wywoływać nowe; wskutek zaś téj ich słabości podnoszą żywość wyobrażeń. Wyobrażenia mocniejsze gromadzą wokoło siebie słabsze, co stwarza wywyższenie i panowanie jednéj większéj idei, pozostawiającéj po za sobą pewną ilość mniejszych. Panowanie większéj nie zawsze bywa niepodzielne: następstwem tego jest kojarzenie idei. Po tych szczeblach dochodzi Michaux do ostatniego, do wyobraźni. Mówi o niéj jako o warunku niezbędnym w inteligencyi człowieka: im więcéj myśli, tém i ona większa, potężniejsza, z czego wypływają widzenia i halucynacye zmysłów wyższych. Wyobraźnia jest niejako duszą zmysłów i umysłu ludzkiego. Bez niéj nie obchodzi się żadne odkrycie (a właściwie ona jest pierwszą i nieodłączną od niego), żaden utwór pióra, pędzla czy dłuta. Nazywa ją autor „idealném widzeniem". Z konieczności musiałem przebiedz tylko ogólną treść studyum powyższego, pozostawiając niektóre rozdziały na boku, jako nazbyt znane z psychologii ogólnéj, a które w pracy p. Michaux zajmują kilkanaście rozdziałów, jak: marzenia, halucynacye, pamięć i inne. Bezwątpienia cenniejszém byłoby studyum „O wyobraźni", gdyby panował

w niém styl naukowy, gdyby autor porzucił zbyteczne dla myślącego czytelnika wykrzykniki, rozmyślne utrzymywanie ciągłości wykładu przez stawianie pytań, na które dopiéro potém następuje odpowiedź. Takiego stylu używa jednak wielu uczonych francuskich, choć zalecić go można tylko w dziełkach popularnych. *er.*

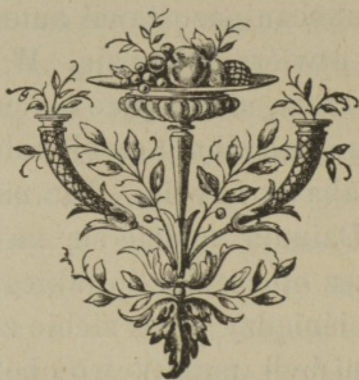
== Sienkiewicz w jednym ze swoich utworów powiada, że w życiu starego kawalera tkwi dramat, bądź przypadek, zabijający nazawsze myśl o małżeństwie. Jakby potwierdzeniem tych słów jest zdanie, wyjęte z opowiadania emeryta (*Walerya Marrené*: **Historya zwyczajnego człowieka**. Warszawa, nakład i druk Lewentala) — „został mi z téj przygody jakiś lęk, jakaś niechęć do kobiét; o małżeństwie nie pomyślałem już nigdy" (str. 272). Łatwo się domyśléć, że przygoda to była miłosna: panna, ideał bohatéra powieści, nie zważając, że była już z nim po słowie, wzięła potajemnie ślub z innym. Wiadomość o tém przyprawiła narzeczonego o chorobę, a zdarzenie nazawsze pozostało w pamięci. Ten moment—to jedynie zajmująca część w opowiadaniu emeryta; resztą trochę wzmianek o Warszawie w połowie naszego wieku, trybie i sposobie życia mieszkańców małéj zamożności—więcéj nic. Figury nie nowe; znaliśmy, znamy i chyba znać zawsze będziemy i szczere, skromne, zacne dziewczęta w rodzaju Justyny, i dobre matki, i płoche, zalotne, bezmyślne Józie, dla których po za ozdobą własnéj twarzyczki nic nie istnieje, chciwie upatrujące bogatych mężów; znamy i młodych ludzi, do których nie można zastosować słów z „Historyi człowieka zwyczajnego": „za młody jesteś, abyś był mądry." Były i będą żony w rodzaju prezesowéj, mające starych mężów i — kochanków, panny, pozwalające się wykraść, jak Helena w opowiadaniu. Historya to rzeczywiście bardzo pospolita: chłopiec, po ukończeniu kilku klas, poświęca się służbie biurowéj. Opowiada o swém dzieciństwie, domu i wszystkiém, co go otaczało, bardzo szczegółowo i doprowadza życie swoje do lat dwudziestu czterech (wspomnianéj przygody z narzeczoną) — i na tém urywa. Świat dziecięcy jego nie zawiéra wydarzeń nadzwyczajnych. I dlatego (przykro to zasłużonéj skądinąd autorce powiedziéć) wybór „Historyi" nie trafny. Samo opowiadanie monotonne, zaledwie w kilku miejscach iskierką humoru błyszczące. Styl pozbawiony szczególnych zalet, a miejscami nawet trochę zaniedbany. Bohatér, który powiada: „zdaje mi się, że tylko w braku innego przedmiotu ona królowała w mojém sercu", co (dodajmy) „uderzeń swoich przyśpieszyć nie może, ani buchnąć płomieniem rozpaczy i wzgardy", nie posiadający żadnego pragnienia, żadnéj myśli, celu, ani ideału życiowego — jest jako automat.

Stąd opowiadanie jego, często nużące, nie może obudzić prawdziwego zainteresowania, ani zatrzymać przy sobie czytelnika.

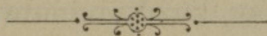
Inaczéj rzecz się ma z ostatnią powieścią *Michała Bałuckiego* p. t. **Wiś i Dziunia** (Warszawa, nakł. S. Lewentala). Autor, który zapożycza wyłącznie tło od swego miasta, nie skąpiąc mu często satyrycznego śmiechu, i bohatérów ostatniego utworu swojego wprowadza do Krakowa. Tylko jeżeli satyra w poprzednich jego pracach była pobłażliwa, to przez usta dziadka i literata Szczerby w „Wisiu i Dziuni" wypowiada słowa bardzo smutne, acz prawdziwe, a satyra ta zastanawia na długą chwilę. „Gdybym ja chciał pisać wszystko, co wiem i widzę, świat-by się zdumiał, że takie małe miasto ma tyle brudu i śmiecia" (str. 235). Dawniéj opisywał Bałucki drobne mieszczaństwo, teraz odchylił bardzo zręcznie zasłonę, kryjącą po za sobą wszystko, co w Krakowie błyszczące, chociaż nie złote. Więc—Zenona, „pośrednika" do różnych spraw arystokracyi, Henryka — łotra, karciarza Pomiana, obok Ireny, którą znoszono w towarzystwach dlatego, że zasłonięta była potężnym wpływem krewnego, a wszyscy stojący pod sztandarem katolicyzmu, udający pobożność i zasady. Obok nich śmieszne wielkości Krakowa, „udzielające zawczasu szczegółów swego życia", aby kronikarz miał po ich śmierci gotowy materyał do chwalenia. Na uboczu pozostawił autor kilka rodów, których domy nie dla wszystkich otwiérane bywają. W powieści występuje to, co świéci fałszywym blaskiem, nie mające nic prócz pięknego ułożenia. Do tego światła sztucznego wzdychało dwoje młodych: Wiś i Dziunia—małżeństwo spragnione zabawy i życia. Nic nie pomogły przedstawienia i prośby dziadków: Dziunia nudzić się na wsi nie będzie!... Zginęliby bardzo prędko przez otoczenie, do jakiego się dostali, gdyby nie dziadek, który traceniu piéniędzy przez siebie zapracowanych stanowcze położył *veto*. Ocaleni byli majątkowo oboje, a ona i na honorze: dzięki Szczerbie nie uległa brutalnéj napaści Henryka. I kiedy ten „świat", dając ucho plotkom, o prowadzeniu się Dziuni rozsiewanym, odsuwa się nagle od nich, oni—poznawszy się na swoich „najserdeczniejszych" — zapragnęli świeższego powietrza... „Ach, jak ja lubię wiosnę u nas—woła Dziunia, zmęczona dotychczasowém życiem—jakbym to rada jaknajprędzéj zobaczyć, nałykać się tego naszego wiejskiego powietrza, wygrzać się w słońca i pobiegać oczyma, jak jaskółka, po tém szerokiém, dalekiém niebie, co go tyle widać od nas!... Ja już tak dawno nie widziałam tak dużo nieba..." (str. 254). I powracają do swoich ukochanych Łopuszan, gdzie bawili się dziećmi, gdzie sobie miłość przysięgli, gdzie ich czekało tyle życzliwych twarzy.

Podnieść należy myśl społeczną w powieści: miasto, gdzie za wesołym ulicznym hałasem kryje się wiele nędzy, złości, płaczu i narzekania, gdzie zbiéra się wiele brudu i błota, którego większość nie ma możności, albo dostrzegać nie chce... Stosunki miejscowe w powieści odfotografowane zostały wiernie. Figury rozmaitych dyrektorów, baronów, dam i innych—prawdziwe; niesłusznie tylko dotknął autor prelegenta (str. 132), któremu dla jego prac drobne wady należało wybaczyć, a który w „świecie" krakowskim doprawdy na świéczniku postawiony być może. Stronę literacką utworu zbytecznem byłoby rozpatrywać, autor ma przeszłość za sobą. Jednak nie do najszczęśliwszych należą wyrażenia: „A żaby jak ci wymyślają rechotaniem w stawie" — mówi Szarkowski do wnuczki (str. 38). Albo: „Sędzia swojém gadaniem obrzydził, opaskudził im to Eldorado (str. 56)

L. Rutkowski.



Myśli poświętne.



Jest to u nas fenomen rzadki, niebywały prawie, że zamiast za uciechami gonić i szaléć, zaczęliśmy w karnawale nad sobą się zastanawiać, kroki i drogi swoje rozważać. Pijatyka zawzięta na zabój, tańce od dziesiątéj przed północą do czwartéj z południa, wrzaski i bójki uliczne złotéj młodzieży, na które w latach np. 1797 — 1806 rząd pruski tak pobłażliwém i ojcowskiém okiem spoglądał w Warszawie, swawola słowa i czynu, którémi w r. 1813 święcono w Krakowie nawet powrót rozbitków księcia Józefa z nad Berezyny, teatralne przedstawienia, żywe obrazy tężyzny i junakieryi w świątyni ustawodawczéj, o których kasztelan Dembowski nadmienia w swych „Pamiętnikach" z lat 1830—31, olbrzymie uczty i bale w okresie poprzedzającym dobę usamowolnienia włościan w Królestwie i na Litwie, o których Sulima rozpisuje się w „Historyi lat dwóch",—wszystko to znikło naraz, w ziemię zapadło z początkiem r. 1897, a jeśli gdzie jeszcze, w marnym zakątku pół-magnackim, pół-karczemnym, huknie ktoś niekiedy rozbitą szyjką szampana lub wytłuczoném na piętrze oknem, to już z góry wié każdy, że w cyrkule sprawa ostoi się bez specyalnego tłumacza i rzeczoznawcy.

Do zadumanego i otrzeźwionego usposobienia, jakie obecnie w społeczeństwie naszém zapanowało ze szkodą pohulanek bezmyślnych, nie trudno dostroić się kronikarzowi „Ateneum." Chwila jest rzeczywiście poważną, być może nawet doniosłą. Znaczenie jéj podniósł niedawno wyżéj jeszcze jeden z najznakomitszych statystów polskich,

autor „Tematów wigilijnych”, które na progu rozpoczętego roku przesunęły się nad nami bez echa i wrażenia. W pomienionych „tematach” mówi się o ludziach dobréj woli i o tém, na czém się dziś dobra wola zasadza. „Bywają lata, dziesiątki lat i całe epoki, kiedy wyrazy *pax hominibus bonae voluntatis* brzmią tylko jako piękne głosowe dźwięki, jako cudna melodya; są znowu chwile, do których zaliczam dzień i godzinę teraźniejszą, kiedy te słowa mogą być niełatwą do rozwiązania zagadką, kiedy się mogą stać węzłem dramatu, czémś tragicznem, bo od mylnego lub właściwego ich pojmowania, może zawisły szczęście lub niedola, życie lub śmierć...” Owóż, jeżeli zważymy że słowa te wyrzeczone zostały na schyłku półwiekowéj blizko działalności pisarza i myśliciela, co najniewątpliwiéj sam był zawsze człowiekiem dobréj woli, niezłudnemi oczyma patrzał na zadania nasze społeczne w latach raz nieco lepszych, to znowu bez porównania gorszych, — wówczas już bez oglądania się na kalendarz, bez oczekiwania na popielcową datę gorzkich żalów, każdy mimowolnie zapyta siebie: co się o stało? o co tu chodzi?

Wejrzyjmy w osnowę wigilijnych tych tematów.

Nauczony długiém doświadczeniem, kierowany niepowszednią znajomością dziejów, autor widocznie się obawia, ażebyśmy drobnych poszlak przychylniejszego ku nam usposobienia nie brali za wskazówkę wielką, a z wielkiéj wskazówki nie wysnuwali uroszczeń jeszcze większych, wygórowanych po nad możność ich zaspokojenia. Nadmierne takie przypływy nadziei nieraz już wykolejały nas na jałowy grunt programatologii sennéj, poetyckiéj, zatopionéj w przeczuciu mglistém, że „bez najmniejszego przyczynienia się przeżyta przeszłość znowu cudem jakimś wróci”, a my sami zostaniemy znowu wprowadzeni „do utraconych praojcowskich włości.” Nic się z tych przedświtowych rojeń nie wyroiło, nic się z nich nie wyroi... — chyba za lat tysiąc. A tymczasem, „co mamy czynić przez te lat tysiąc? Czyż tylko wierzyć, tylko trwać i to miéć jedynie w zasłudze? — Ależ téj społeczności przyszłéj, nowéj, codzień już potrosze ubywa i nim lata czekania miną, wykruszy się ona do szczętu po kawałeczku, tak, że z nas zostanie tylko kupa rumowisk, nic więcéj...” Nastała pora położenia końca nieporozumieniom i pogmatwaniu pojęć. Nie mamy prawa pozować na zdetronizowanych pretendentów, ani dobijać się o stanowiska wyjątkowe, uprzywilejowane. „Narody nie powinny gatunkować się na panujące i podległe; wszystkie narody, ile ich jest i będzie, muszą być językowo i obyczajowo wolne, żadnemu nie należy przeszka-

dzać w wyrabianiu własnéj i odrębnéj kultury." Tylko-że, nie trzeba znów narodu brać za jedno z państwem. Państwa nie bywają nigdy narodowo jednolite,—państwo to rzesza narodów... Należymy do wielkiego plemienia, jesteśmy z bohaterskiego rodu, ale spuścizna ta nie daje nam żadnych praw, wkłada tylko obowiązki ciężkie. Stanąć nam trzeba na jednéj stopie ze wszystkimi i nie panosząc się bynajmniéj, wziąć się do pracy... „A ponieważeśmy umysłowo nie upośledzeni, więc doczekamy się niezawodnie, że nas zaliczą do pocztu przodujących w cywilizacyi narodów."

Wywód powyższy, aczkolwiek obostrzony groźbą doraźnego jakiegoś niebezpieczeńtwa, byłby najzupełniéj zrozumiałym i jasnym, gdyby istotnie stwierdzić się dało, że „wyszczerbianie się" nasze jest jednorodne, natury wyłącznie politycznéj, jak to autor zdaje się przypuszczać. Równouprawnienie narodowościowe, powołanie wszystkich składowych części monarchii do wspólnego korzystania z praw ogólnopaństwowych, byłoby w takim razie niezawodnie skutecznym środkiem ratunku, — przynajmniéj o tyle, że uwolniłoby społeczność naszą od ciężarów, ograniczeń i wyjątkowości, sięgających początkami swemi chybionych resztek czynnego współzawodnictwa naszego na widowni międzynarodowéj. Atoli, sam już nieszczęśliwy rezultat owego współzawodnictwa ostrzega, że pod pokrywą spraw i dążności szerokich, rozległych, a więc w zakresie zagadnień najściśléj domowych, społecznych, kryć się musiał i kryje się do dziś dnia gość znacznie na pozór cichszy i skromniejszy, naprawdę zaś stokroć do wyrugowania i wyparowania trudniejszy od ideologii politycznéj, od urojeń i zachcianek oddawna poskromionych, w wielu wypadkach bez śladu pogrzebanych. Czémkolwiek zresztą jest, lub byćby dla nas mogła tegoczesna powierzchnia działalności publicznéj, wpływamy na jéj zmiany i na jéj ustosunkowania jedynie pośrednio, biernie, przez zachowanie się mniéj więcéj roztropne i godne. O tyleż śmielszą, zdawałoby się — o tyleż dzielniejszą i zabiegliwszą powinnaby być obrotność nasza tam, gdzie nas nikt krępować nie miał uzasadnionéj potrzeby i często nie chciał rzeczywiście. Cóż jednak widzimy? — Oto właśnieź na piętrach dolnych, bezspornie we władaniu naszém zostających, najwygodniéj i najbezpieczniéj rozstasował się ów gość nieproszony, ów wróg nasz wewnętrzny, co nas szczerbić począł jeszcze wtedy, gdyśmy nie tylko społecznie, ale i politycznie byli sobą... „Jesteśmy potomkami możnego, bohatérskiego rodu — zapewnia autor tematów wigilijnych—nie zbywa nam również na zdolnościach, nie upośledzeniśmy umysłowo." Bezwątpienia. Lecz czyśmy pewni, że ta bohaterska i wielmożna ro-

dowość uposażyła nas, pogrobowców, zasobem akurat takich uzdolnień umysłowych i towarzyskich, któreby przed nami otwierały choć jakiekolwiek widoki powodzenia w walce o byt—na gruncie narodowościowym, w warunkach nowych, pod hasłami do tych warunków zastosowanemi?

W historykach polskich nie znajdujemy na to odpowiedzi prostéj, bezpośredniéj. Zajęci głównie badaniem przyczyn słabości rządu i rozprzężenia ustroju państwowego w dawnéj Polsce, poszukują oni w charakterze narodowym cech i zboczeń, uwydatniających tendencyjne ich założenie. Metoda ta rozmija się do pewnego stopnia z potrzebą tegoczesną. Stare państwo polskie nikomu już dziś nie zawadza i nikogo nie obarcza, gdy tymczasem charakter narodowy raz po raz daje się we znaki — przedewszystkiém nam samym i najdotkliwiéj. Cóżkolwiekbądź parę zdań zaczerpniętych z wychodzącéj ponownie pracy Tadeusza Korzona „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta” rzuci może choć ubocznie niejakie światlo na dane zagadnienie. Oto są jego słowa w streszczeniu. „Oprócz najrozmaitszych zaćmień i spaczeń ducha — umysłowych, obyczajowych, moralnych — uczepiła się nas jeszcze w połowie wieku XVII jedna z najcięższych chorób, jakie organizm zbiorowy zdolnym był przenieść na sobie kiedykolwiek. W sto kilkanaście lat późniéj, to jest pod koniec wieku XVIII, straszliwa ta choroba przybrała wszystkie znamiona i rozmiary epidemii złośliwéj, nikogo nie oszczędzającéj; dotknęła ona—nie tylko ówczesnych naszych zachowawców, którzy dla naprawy walącego się gmachu Rzeczypospolitéj (to jest państwa) poświęcić byli gotowi życie i mienie, byle zostać przy posiadaniu chłopów i złotéj wolności, — ale też i naszych postępowców, co reformę społeczną rozpoczęli od zrzucenia stroju ojczystego i zastąpienia podgolonéj czupryny — peruką, karabeli—rożenkiem, żupana—frakiem. Osobnéj, ustalonéj nazwy choroba nie pozyskała. Około r. 1840 demokraci polscy na obczyźnie zwali ją „niewiarą we własne siły”—co było oczywistym nonsensem, bo wierzyć w siły, których się nie ma, jest przywidzeniem zgubném, liczyć zaś na przywidzenia—zbrodnią. Trafniéj już wyrażał się Wawrzecki, kiedy siedząc po ostatniéj katastrofie rozbioru w więzieniu petersburskiém, utrzymywał, „żeśmy zawsze chcieli być cudzymi.” Co do symptomatów zarazy, najdobitniéj określił je pod koniec r. 1896 wspomniany autor „Tematów wigilijnych”, powiadając: „wypadki roku 1870 (ośmset siedmdziesiątego!) miały dla nas ten zbawienny skutek, że zwolniły od poddańczego zachowania się względem idei... napoleońskiéj (tym razem); dopóki obłęd ten trwał, tak się przedsta-

wiały obowiązki nasze patryotyczne: żyć jak na popasie, jak na przewozie, z dnia na dzień, byle jako — i stawić się w decydującéj chwili na popis generalny..." O ileż ostrzéj, krzykliwiéj, straszniéj wyglądać musiała owa poddańczość w wieku XVIII-ym, kiedy najprzedniejsi, najlepsi, najrozumniejsi w narodzie szli szukać modeł ustawodawczych dla swego kraju w Paryżu, u Mably'ch i Rousseau'ów, a sankcyi i poparcia dla wiotkich, w powietrzu niemal zawieszonych swych uchwał oczekiwać mogli z Berlina, od Fryderyka II-go. To i dziw nie wielki, że na ten widok historyk traci cierpliwość, pozwala zachwiać się w sobie równowadze sądu. „Tak więc — woła — ludzie publiczni obu kierunków zasadniczych dotknięci byli niemocą w najgłębszych fibrach serca, w pierwotném źródle wszystkich tych aktów woli, stanowiących istotę charakterów politycznych, które niezbędnemi były szczególnie wobec klęsk nadciągających. Na tym to gruncie psychicznym urosło mniemanie, które się stało jądrem tylekroć wyszydzanéj nieudolności („głupoty") politycznéj Polaków, — mniemanie, że obcy może być przyjacielem, opiekunem, ba nawet zbawcą Rzeczypospolitéj, że cała Europa ratować Polskę i utrzymywać musi... Gdzieindziéj, ani zasada stanowa, ani kosmopolityzm teoretyczny nie stłumiły instynktu samozachowawczego; u nas tylko, pod działaniem szczególnych wpływów historycznych, ludzie skądinąd najuczciwsi, patryoci najgoretsi pocieszać się mogli słodkiemi nadziejami na zbawienną interwencyę tego lub owego mocarstwa i spychać na obce barki krwawy i najcięższy, ale też i najzaszczytniejszy trud budowania samoistnéj siły narodu..." A ile niecnot, występków, nikczemności, zdrad przekupnych, ile brudnych, tchórzostwem lub chciwością podszytych wyzysków szukało upozorowania i przykrycia pod obłąkańczém tém godłem, żeśmy światu niezbędnie potrzebni, że nam ludy i dwory — to pruskie, to francuskie, to rakuskie—zginąć nie dozwolą! Niesłychane zaślepienie... Cały zaś ogrom wynikających stąd strat i niebezpieczeństw wyjaśniłby się dopiéro wtedy, gdybyśmy zbadać zdołali, jak głęboko i szeroko rozpostarło się złudzenie—„głęboko, bo do zasadniczych kategoryi myślenia politycznego, do pierwotnych instynktów sumienia, — szeroko, bo na ludzi wysokiego stanowiska, wykształconych, obeznanych z formami etykiety i dyplomacyi, na mężów stanu i doktorów, zarówno jak na gmin szlachecki, na prostaczków i wiejskich polityków... Gdy miliony, gdy naród cały zatraca rdzenne pojęcie samowładności i samoistności swojéj,—zaprawdę, jedyném dla niego lekarstwem mogą być chyba męki niewoli" (IV, 634).

Rozumić się samo przez się, że wszelkie wnioskowanie z przesłanek tak odległych i stosunkowo szczupłych, ubogich, byłoby niesłu-

sznėm i zawodnėm, — tėm bardziėj, że dziejopisarze nasi w ogólności, osobliwie zaś nowsi, przytłoczeni wzbiérającą falą następstw ciemnych, nie są bynajmniéj skłonni do baczniejszego uwzględniania, wzorem swych poprzedników, okoliczności umniejszających nieco ponury wygląd głównėj masy czynników sprawczych. Pod tym względem — koniecznie zaznaczyć to trzeba — historycy postronni bez porówania łagodniéj i spokojniéj na fatalne powody nieszczęść, które pod koniec wieku XVIII-go zwaliły się na społeczeństwo polskie i których obraz, według znanego wyrażenia H. Sybela (*Geschichte der Revolutions-zeit*, wyd. düsseldorfskie, t. I, str. 155—157) dorównywa przerażającéj panoramie zburzenia Jerozolimy. Wytyczne linie przyczyn Sybel przenosi na „naturę rzeczy”, na żywiołowy niejako antagonizm dwu narodowości — polskiéj i niemieckiéj, — na całkowite wewnętrzne i zewnętrzne przeciwieństwo, na nieprzejednalność ich sporów o Gdańsk i Królewiec, gdyż—twierdzi—dopóki istniała Polska, musiała dążyć ona do „spolszczenia napowrót Królewca i do nawrócenia Gdańska na katolicyzm”. Stąd to wypłynąć miała zawzięta owa nienawiść, trwająca podziśdzień bez względu, że jéj źródło do dna wypili sami Niemcy, dla zaspokojenia własnego wyłącznie pragnienia. „Któżby nad tém nie bolał! — patetycznie zapewnia historyk niemiecki — i któżby tego nie żałował!” Lecz—pociesza się — „alboż żal ludzki ma jakiekolwiek znaczenie i walor w stosunkach międzynarodowych?...”

Takież samo, bez mała, zapatrywanie — uwolnione tylko od ironicznéj osłody—wypowiedział i S. Sołowjew co do nie istniejących już obecnie kwestyi białoruskich i małoruskich („Padienie Polszy”, Moskwa, 1863, str. 6), zwalając ciężar faktów na jątrzącą się od połowy w. XVII w łonie Rzeczypospolitéj ranę różnowierstwa. Ponieważ jednak nieporozumienie na tém polu nie mogło być podniesione do wyżyn zasadniczego nieprzejednania—przeczyły mu bowiem próby ciągnące się bez przerwy od soboru florentyńskiego,—przeto historyograf rosyjski wolał poprzestać ostatecznie na dawniejszéj swojéj tezie o losach wojny i wyrokach zbrojnego między narodami rozstrzygania procesów dziejowych („Istoria Rossii”, t. XXVIII, str. 244 i nast.). Nie znaczy to wszakże, aby w poważném, rzetelnie naukowém piśmiennictwie rosyjskiém przyjęte było kiedykolwiek, bez zastrzeżeń, hasło rodowicie niemieckie: „siła przed prawem”. Bynajmniéj—i na to istnieją dowody mocniejsze od wszelkich formalnych oznajmień teoretycznych, papiérowych. W r. 1880 z polecenia cesarza Aleksandra II, petersburskie Towarzystwo historyczne ogłosiło t. zw. „gody uczenija” — prelekcye wykładane w latach 1836—1838 owoczesnemu cesarzewiczowi następcy tronu pod osobistém kierownictwem cesarza Mikołaja I. Naukę

dyplomacyi, w przebiegu historycznym, z okresu panowania Katarzyny II-éj, Pawła I-go i Aleksandra I-go, powierzono, w ostatnim roku studyów, znanemu późniejszemu ambasadorowi w Londynie, baronowi Brunnowowi. Rozpoczynając swój wykład, Brunnow, po zaznaczeniu, od pierwszéj zaraz stronicy, że dwa pierwszorzędne przedsięwzięcia górują w historyi cesarzowéj Katarzyny, zniesienie niezawisłości Polski i osłabienie potęgi państwa Ottomańskiego, tak się wyraził dosłownie: „Niewątpliwie, wyniki osiągnięte przez cesarzowę przyczyniły się do podniesienia na niebywałą wysokość potęgi Rosyi; z drugiéj atoli strony, jeżeli reguły kierujące w owéj epoce biegiem polityki dworu petersburskiego porównamy z zasadami dziś obowiązującemi, niepodobna będzie powstrzymać się od wyznania, że sposoby i środki obrane w widokach wykonania planów cesarzowéj Katarzyny, nie noszą na sobie owych cech *de droiture et de loyauté*, które stanowią niezmienne prawidło obecnéj naszéj polityki i są naszą siłą prawdziwą — *notre véritable force*." Ostatnie trzy słowa skréślił własnoręcznie cesarz Mikołaj, a cały ten pogląd powtarza się w dalszym ciągu po razy kilka z większym jeszcze naciskiem, z większą jeszcze wyrazistością („Sbornik Imp. Russk. Istor. Obszcz.", 1880, t. II, str. 197, 202—203, 232).

Najcelniejszy z historyków francuskich epoki i przedmiotu, o których mowa, Albert Sorel zatacza ciężar swych dochodzeń dokoła punktu zasługującego przed innemi na zastanowienie. Najwięcéj zainteresowania budzi w nim zjawisko słabéj oporności organizmu społecznego, ulegającego parciu ościennemu. Zaznaczywszy w kilku zwięzłych ustępach niedogodne położenie geograficzne Rzeczypospolitéj, rozsiadłéj na przestrzeniach niezmierzonych, granice niepewne, ruchome, rozwarte na oścież od wschodu i zachodu, konstytucyę polityczną wadliwą, „najwadliwszą ze wszystkich" — według definicyi Monteskiusza, bo ani monarchiczną, ani republikańską, ani nawet oligarchiczną, lud wielojęzyczny i wielowyznaniowy, rząd bezsilny i na gruntowną nieufność narodu ciągle wystawiony, sprawiedliwość szarpaną pomiędzy frakcye możnowładcze, wojsko albo najemne, albo bezładnym taborem do boju stające, skarb zasilany z łaski lub prawie tyle, co z łaski, sejmikowanie hałaśliwe, zawadyackie i niemal bezprzerwne,—Sorel dochodzi jednakże w końcu do przeświadczenia, że bądź co bądź, ciosy, jakie na tak niespoisty, niezrównoważony w sobie naród spadły na schyłku XVIII-go wieku, były za dotkliwe, z wielu względów nie wytłómaczone, nie odpowiadające sumie energii wydobytéj niegdyś w obronie społeczności europejskiéj i zasługom dla niéj położonym. Przypominając celniejsze wypadki dziejowe, świadczące

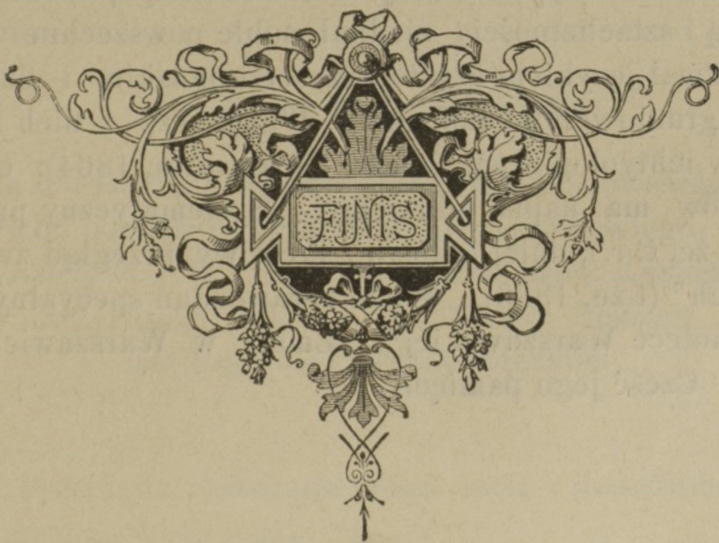
o wrodzonéj towarzyskości szczepu w stosunkach zarówno domowych jak zagranicznych, w zakresie tak świeckim jak religijnym, autor stwierdza, że o ileby chodziło o ogólną charakterystykę powszechności polskiéj, zataić nie sposób, iż porozumiéć się z polakiem, trafić z nim do ładu, nie jest rzeczą zbyt trudną. Nie ulega wątpliwości, że na tle mocarstw zachodnich, wychowanych w sztuce dręczenia natury ludzkiéj, stara rzesza polska tworzy oazę o innéj zupełnie barwie, innéj temperaturze moralnéj. Społeczeństwo polskie nie zdradzało w sobie nigdy zawiści do cudzéj chwały, do cudzych blasków, do cudzego powodzenia. Sorel nie dalekim jest od przyznania słuszności orzeczeniu najszlachetniejszego przedstawiciela całéj téj burzliwéj i krwawéj epoki: „Nie może być żaden naród skłonniejszym do uczynienia dobrze każdemu, jak naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę czynić może.” Obok tego dziejopisarz francuski notuje szereg zalet prywatnych i publicznych, których kwalifikacya, ze względu na nieprzezwyciężoną trudność równowartego przekładu, podana być musi w surowcu: „On rencontrait chez les Polonais—et c'est pourquoi l'histoire ne saurait se désintéresser de leur infortune — un instinct profond de leurs maux, un désir ardent de les guérir, le respect de leurs origines, la foi dans l'avenir, une tradition très-élevée d'enthousiasme et de désintéressement, le goût des nobles causes, l'aptitude au sacrifice, l'attachement passionné à la patrie” („L'Europe et la Rév. fr., t. I, 507—510).

Materyał—jak widzimy—do zestawienia nie obfity, a pomimo to z treści swéj nieskończenie różnorodny. Usiłowanie syntetycznego odlania go w najbardziéj wzorowe formy wymagań teraźniejszości, uporczywie rozbija się o kontrasty rugujące się nawzajem, z tego zaś, jako osad nierozpuszczalny wyłaniają się hipotezy niepożądane do sprawdzenia. Najpiérw, nie tyle może z racyi przeceniania realnéj wagi pierwiastków przesiąkających glebę przeszłości, ile raczéj w skutek późniejszego idealizacyjnego ich utlenienia w oczyszczającém powietrzu zawodów i niedoli, najwspanialsze bodaj przeprowadzenie wypielęgnowanego w duszach całokształtu pojęciowego na teren praktyki życiowéj, odlegle analogicznéj, nieodmiennie wydawać się musi jakiémś ostateczném, niewymownie przykrém zamknięciem możliwości dalszych lub współrzędnych. Powtóre, sama ta praktyka życiowa, nieodzownie wązka w początkach, z konieczności najeżona kwestyonowaniami na każdym kroku i za lada pozorem, otworzyć gotowa upusty jedynie zabiegom podrzędniejszego gatunku, przynajmniéj u nas: szamerowanéj urzędomanii, językowéj swadzie, programatologiczno-wynalazczéj szarlataneryi i socyologicznym wyścigom prasy o patyk i szpilkę. Potrzecie wreszcie, wobec niedawno dopiéro uświa-

domionego w nas ubóstwa materyalnego i faktycznéj nieudolności ekonomicznéj, téj prababki wszelkich naszych niepowodzeń i grzechów, czy to zwietrzałych czy świéżych, jedno i drugie, to jest ideały i drzazgi w zespoleniu odciągnąć tylko mogą sporą część umysłów czujniejszych i gorliwszych, przed kilku laty rozbudzonych, od pracy u podstaw, w szrankach inicyatywy indywidualnéj i społecznéj, bardzo zaiste skromnéj, ale jedynéj przez to, że pod jéj wezwaniem uczucia i myśli nasze zbiegają się jako do arki przymierza między nowemi i staremi laty, nikomu nie zawadzając, z nikim się nie kłócąc, do nikogo pretensyi nie roszcząc, a łatając gdzie można i te wielkie luki dawne i te mniejsze szczerby świéże.

Dzień jutrzejszy zrobi sobie co zechce ku wstydowi i poniewierce prognostyków rozbieżnych i zawczesnych. Dziś, chybki cień zadumy samotnéj nie zasępi z pewnością niczyjéj godziwie zapracowanéj pogody czoła.

Prawdzic.



NEKROLOGIA.

† **Antoni Wałecki**, urodzony 1815 r. w Łukowie (gub. siedleckiéj), ukończywszy nauki gimnazyalne w Lublinie, studyował w roku 1836 — 1838 nauki przyrodnicze w akademii medyko-chirurgicznéj w Wilnie. Przebywając następnie lat 19 w Dauryi, oddawał się z zamiłowaniem badaniom zoologicznym i botanicznym. Wróciwszy do kraju w r. 1857, został r. 1860 pomocnikiem dyrektora gabinetów naukowych w Warszawie, a w r. 1862 kustoszem gabinetu mineralogicznego przy Szkole Głównéj. Nauką, nieskazitelną prawością charakteru, zacnością i szlachetnością zjednał sobie powszechne i głębokie poważanie. Pisał językiem czysto, szczerze polskim i dzieła swoje opracowywał gruntownie i sumiennie. Ważniejsze z nich są: „Materyały do fauny ichtyologicznéj Polski" (Warszawa, 1864); część druga tych materyałów ma napis oddzielny: „Systematyczny przegląd ryb krajowych" (t-że, t. r.); daléj ogłosił: „Treściwy przegląd zwierząt ssących krajowych" (t-że, 1866). Wiele sprawozdań specyalnych drukował w „Bibliotece Warszawskiéj". Zmarł w Warszawie w połowie stycznia r. b. Cześć jego pamięci!



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Января 1896 г. — Druk Jana Cotty.

WARUNKI POSTĘPU MORALNEGO.



Czy człowiek staje się lepszym? Czy teraźniejszość jest mniéj od przeszłości okrutna, mściwa, mniéj samolubna i czy możemy żywić nadzieję, że przyszłość cechy te w mniejszym jeszcze stopniu posiadać będzie? Czy promienie słoneczne Ahuramazdy zapanują wreszcie nad mrokiem nocnym Ahrymana? Czy są już jakieś pewne, niezbite dane upoważniające do przekonania, że podłożem postępowania ludzkiego przestanie być egoizm, że przeciwnie altruizm, miłość bliźniego, uczucie szczere, serdeczne, niewyrachowane, pełne poświęceń jego miejsce zajmie.

Takie i podobne pytania zadajemy sobie wszyscy nie raz i nie parę razy w życiu. Każdy wypadek okrucieństwa, notowany skwapliwie przez dzienniki, każdy bardziéj głośny czyn jakiegoś domorosłego Shylock'a, każda fotografia krwawéj zemsty albo niemoralnéj samowoli prywatnéj czy publicznéj — budzi w głębi nas prócz bolesnego oburzenia i świadomości zła, jeszcze bardziéj teoretyczne pytajniki w rodzaju zaznaczonych powyżéj. Jeśli tak jest śród ogólnych mas społeczeństwa, to powinna kwestya „postępu moralnego" budzić zajęcie śród świata uczonych. Tak téż było i jest.

Teorya postępu moralnego ma już swoją historyą, a historya ta rozpada się na epoki. Był czas, że postęp moralny utożsamiano z postępem wykształcenia. Były to mianowicie czasy silnie rozwiniętego

analfabetyzmu, kiedy ci, co walczyli o oświatę, widzieli w niéj klucz do przyszłego szczęścia ludzkości. Rzecz jasna, że chcąc zrozumiéć zjawisko złożone, trzeba je rozłożyć na składowe czynniki i tylko eliminując je—możemy pojąć własności każdego, wpływ na charakter zjawiska. Pojęcie „postępu" ciemne, pokryte mgłą nieświadomości, potrójnym pancerzem różnorakich przesądów — mogło być zrozumianém tylko po oczyszczeniu go z naleciałości, z pozornych czynników jego istoty. W pobieżnéj analizie, można było, posiadając tak mało jeszcze rezultatów praktycznych szerzonéj w masach oświaty, przypisywać tejże dominujące znaczenie dla postępu moralnego. Takiém było np. stanowisko genialnego autora „Historyi cywilizacyi", Tomasza Buckle'a i takiém jest ono jeszcze dzisiaj w osobie Johna Lubbocka. Lubbock—cytujemy jego pogląd, boć to zdanie już na wymarciu—odzywa się tak np.: „W r. 1870, w którym wydane zostało prawo angielskie normujące wykształcenie elementarne, uczęszczało do szkół 1½ miliona dzieci. Dziś szkoły elementarne liczą 5 milionów uczniów. A jakież są rezultaty? Ilość przestępców utrzymywanych w więzieniach spadła z 12,000 do 5,000 rocznie; ilość skazanych za ciężkie przestępstwa spadła z 3,000 na 800, ilość młodych przestępców wynosi zamiast 14,000—5,000. Wreszcie ilość biednych zmniejszyła się o połowę (zamiast 41, tylko 22 na 1,000 ludności)." Lubbock powtarza, przytaczając powyżéj podane cyfry wiersz V. Hugo: „kto otwiéra szkoły, zamyka więzienie" [1]). Możnaby pisarzy, wygłaszających podobne poglądy, zaliczyć do epoki intelektualistycznéj dziejów postępu moralnego.

Powyżéj wskazaliśmy w kilku słowach tło téj epoki: ze względu na to tło nie mogła ona być inną. Pozatém jednak przypadała ona jednocześnie z narodzinami socyologii, która zagadnieniu postępu wogóle pierwsza dopiéro bliżéj się przyjrzéć zamierzała. Wreszcie nie myślano jeszcze wtedy o umiejętnych badaniach nad złożonemi zjawiskami moralności i nad samą nauką o moralności. Zmieniły się atoli czasy. Poczęto na kontynencie europejskim i w Anglii szerzyć oświatę: tu wolniéj, tam szybciéj. Rezultaty nie dały czekać na siebie—rezultaty te jednak wbrew tendencyjnie zestawianéj statystyce Lubbocka, były fatalne dla nadziei żywionych fanatycznie przez „intelektualistów" postępu moralnego. Socyologia rozwinęła w tym czasie działalność bardzo płodną. Poczęto wyodrębniać pojęcie postępu „moral-

---

[1]) Por. Mowa Lubbocka na otwarcie pierwszego kongresu socyologicznego w Paryżu, wydrukowana w „Annales de l'institut international de sociologie" t. I, str. 11, oraz najnowszą jego książkę: „L'emploie de la vie", Paryż 1897.

nego" z pośród zasad i czynników postępu wogóle. Mamy już ciekawe badania nad pedagogiką społeczną, nad metodami oddziaływania na rozwój uczuć moralnych. Dziś już tylko napotykać się dają szczątkowe okazy intelektualistów postępu moralnego...

Mniemamy, że każdy wybitniejszy objaw pracy na tém polu — zaciekawić powinien czytelników. Zaznajamiamy więc ich dzisiaj z badaniami, nieukończonemi jeszcze, nad postępem moralnym, psychologa włoskiego G. Ferrero.

* * *

Przystępując do rozbioru zagadnienia, Ferrero zwraca uwagę na istnienie dwojakiego rodzaju moralności: płciowéj i czynnéj; pierwsza określa stosunki płciowe mężczyzny i kobiety oraz funkcyą rozrodczą; druga — reguluje stosunki społeczne pewnego danego społeczeństwa, w najszerszém ich znaczeniu. Ferrero dba o zbadanie przyczyn, za których wpływem moralność czynna się zmienia i przeobraża w zależności od czasu (różne epoki historycznego życia ludzkości) i przestrzeni (różne ludy i rasy).

Pojęcie postępu moralnego mieści w sobie coraz (z biegiem czasu) silniejszy wstręt do sprawiania bólu istotom, z któremi żyjemy. Porównywając dwu, ludzi dwie społeczności, dwie rasy — nazywamy bardziéj moralnymi tych i te, którzy i które odczuwają w silniejszym stopniu ból bliźniego i co za tém idzie, w wyższym stopniu żywią odrazę do zadawania mu bolesnych ciosów. Rzym starożytny, zbudowany na zaborach, grabieży, mordach, społeczeństwo, gdzie bogaty znajdował zabawę w dręczeniu niewolników, gdzie urzędnicy okradali i ciemiężyli ludy pokonane (nazywało się to „pacyfikacyą") — wydaje się nam mniéj moralnym, aniżeli Szwajcarya współczesna, która nietylko że nie „pacyfikuje" innych ludów, ale daje jeszcze schronienie wygnańcom, Szwajcarya, która uważa życie ludzkie prawie za święte, któréj administracya publiczna jest uczciwa, sprawiedliwa i dla kraju prawdziwie pożyteczna.—Jeżeli więc istotnie zgodzimy się, iż jednostki i grupy ludzkie uznawać będziemy za postępowe w sensie moralnym w stosunku do stopnia odczuwanego bólu bliźniego — to zagadnienie postępu moralnego sprowadzić się da do zbadania przyczyn, jakie w duchu człowieka zwiększają albo zmniejszają wstręt do zadawania tych cierpień.

Przyczyn tych może być kilka. Jedną z nich może być sympatya t. j. myślowe wyobrażenie cierpienia, odczuwanego przez inną jednostkę. O ile sympatya ta jest silniejsza, o tyle wstręt jest większy

i t. d., badając tedy przyczyny zwiększania i zmniejszania sympatyi, odnaléźć możemy niejako jedno z praw postępu moralnego. Przyczyny te mogą być: fizyczne, fizyologiczne, psychologiczne. Przyjrzyjmy się np. jednéj, psychologicznéj, która wydaje się niezmiernie ważną, a która w najogólniejszéj formie głosi: „wszelka odraza do powodowania bólu zmniejsza się albo ustaje, jeżeli ma służyć do zadośćuczynienia potrzebie albo pożądaniu, silniejszym od wyobrażenia duchowego bólu zadawanego"—czyli innemi słowy: cierpienie bliźniego boli nas o tyle mniéj, o ile jest dla nas korzystném. Człowiek możliwie spokojny, cichy i łagodny może stać się zdolnym do zabójstwa, o ile chodzić będzie o samoobronę; zdarzało się, że rozbitki na morzu pod wpływem głodu, stawali się ludożercami—i zarzynali w tym celu przyjaciół albo braci. Są to przykłady wyjątkowe — ale charakteryzują znakomicie tę prawdę, że pragnienie życia i głód są silniejsze aniżeli wyobrażenie myślowe cierpienia odczuwanego przez bliźnich naszych. Liczymy w społeczeństwach naszych wielu ludzi, którzyby uważali sobie za najwyższe upokorzenie i wstyd, wszelkie poniżenie moralne bliźniego, a jednak ci sami ludzie nie będą odczuwali najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy chodzić będzie o konkurencyę. A jednak cóż oznacza nagroda zdobyta w taki sposób, jeśli nie poniżenie współzawodnika? Innemi słowy, potrzeba przechylenia na naszą stronę szali zwycięstwa zaciéra w wyobraźni naszéj obraz cierpienia współzawodnika - bliźniego, obraz który w każdym innym wypadku budziłby w nas współczucie, oburzenie na tych, którzy je (cierpienie) spowodowali, odrazę do siebie samych, gdybyśmy się przypadkowo winnymi spełnienia czynu takiego stać mieli. Spostrzeżenie psychologiczne, zaznaczone tutaj, jest zupełnie przejrzyste i dlatego nie ma potrzeby przytaczania większéj ilości ilustracyi; ciekawszém atoli jest zastosowanie tego spostrzeżenia do dziejów kilku wielkich przeobrażeń historycznych, które przy jego świetle nabiérają zupełnie wyraźnych kształtów. Gwoli krótkości — zatrzymamy się tutaj przy jednym tylko przykładzie.

Dzieje niewolnictwa w starożytności znakomicie dowodzą, że postęp umysłowy i wysoki poziom cywilizacyi może się łączyć harmonijnie z cofaniem się, z upadkiem częściowym na polu uczuć moralnych. W Grecyi stan niewolnika był znacznie lepszy i godniejszy w epoce barbarzyńskiéj Homera, aniżeli w czasie rozkwitu cywilizacyjnego w epoce Peryklesa i Arystotelesa. W dobie, którą ilustrują poematy homeryczne, pan miał nad niewolnikiem władzę nieograniczoną, mógł wyznaczać i wykonywać kary, męczyć i zabijać; prawo jednak ustępowało przed powagą obyczaju — a obyczaje choć barbarzyńskie nie były wcale okrutne. Hezyod zaleca odpoczynek dla niewolników po

żniwach, Laertes (u Homera) prowadzi życie w niczém się od życia niewolników nie różniące. Zauważono też (Richter, *Die Sklaverei im griech. Alterthume*), że Homer mówi tylko o dobroci panów względem niewolników i o wierności niewolników względem panów; dwa razy jeno wzmiankuje o karach.

A teraz, jakże innym jest obraz żywota niewolniczego za czasów Peryklesa i Platona, czasów, które wogóle są jednym z najpiękniejszych rozdziałów historyi umysłowości ludzkiéj. Niewolnicy z przyjaciół i pomocników przeobrazili się w rzemieślników, w robotników miejskich i parobków wiejskich. Jakież dalekie przestrzenie dzieliły ich od panów, którzy im dawniéj byli tak bliskimi! Nie widywali ich przez całe życie. Zamiast pana — dozorca, zamiast łaskawego obejścia, łagodności i względności — brutalny despotyzm, jadło mizerne, odzienie najmniéj kosztowne, praca—długa, gruba i nagradzana karami. Co więcéj! wysilano się na tworzenie różnych zakazów prawnych, powstrzymujących niewolników od ucieczki, na wynalazki — nadające tym zakazom charakter cielesnych, a dotkliwych narzędzi męki. Były tu kajdany, kółka żelazne na ręce, powrozy na szyję, a wreszcie i piętna na czoło. Oczywiście, że te środki nie powstrzymywały ofiar okrucieństwa od ucieczki. Uciecha zbiegłego nie była długą! Gdy stanął w najbliższém mieście, wydawano go właścicielowi; gdy ucieczka była ostrożnie dokonana, wystarczały wezwania właściciela w celu odzyskania zguby; widzimy nawet ślady organizacyi specyalnych prześladowań podobnych: miasta zawiérały w tym celu traktaty obowiązujące wzajem do wydawania zbiegów. Wiadomo, że Perseusz, szukając sprzymierzeńców przeciwko Rzymowi i chcąc się pogodzić z Achajczykami, wskazywał im, jako dodatnią dla nich stronę związku, iż Macedonia przestanie być dla niewolników achejskich ziemią obiecaną przytułku. Tak tedy niewolnik przestał być człowiekiem; stał się zwierzęciem źle żywioném, przeładowaném pracą, zakutém w kajdany, prześladowaném bez litości. Tak tedy na gruzach niewolnictwa „domowego”, opromienionego wschodzącém słońcem dziejów greckich w dobie Homera, powstało niewolnictwo przemysłowe, wyzyskujące i surowe, na które palące promienie rzucało południowe słońce rozkwitu tych dziejów.

Gdzież przyczyna téj okrutnéj różnicy? Owóż postęp społeczny i umysłowy pomnożył i powiększył potrzeby klas wyższych, t. j. właścicieli niewolników. W Grecyi Homera, niewolnictwo było dla właścicieli przedmiotem zbytku raczéj, nie potrzebą. Praca nie była wzgardzoną i bogaci pracowali narówni z biédnymi. Wogóle zaś poziom wymagań materyalnych był wcale nie wysoki, wskutek czego nie-

wolnicy nie potrzebowali jeszcze wypracowywać w pocie czoła bogactw gwoli zbytkowi próżnującego pana. Praca równała raczéj biédnych i bogatych, jednocząc pana i sługę przy jedném ognisku domowém, na polu i w ogrodzie. Stosunki były zupełnie bliskie, wyobrażenie cierpienia, jakieby odczuwać mógł dręczony i ciemiężony niewolnik—było bardzo silne; każdy więc czyn pana, znamionujący niegodne obchodzenie się ze sługą, był poczytywany za okrucieństwo.

Tymczasem stosunki ekonomiczne uległy gruntownym przeobrażeniom. W Grecyi IV i V stulecia niewolnik został narzędziem, służącém do powiększania bogactw. Z chwilą, kiedy uznano i zrozumiano, a co ważniejsza zapotrzebowano korzyści, płynących z pracy niewolnika, nic dziwnego, iż postarano się wyzyskać tę pracę, jak tylko można było najlepiéj. Zbogacony handlarz ateński, który spostrzegł, że bogactwa zapewniają władzę i honory, poczynił wszelkie starania, aby bogactwa pomnożyć. Sam nie pracował — gardzono już wtedy pracą, ale innym na siebie pracować kazał. On już nie sprzedawał, inni czynili to za niego. Niewolnik stał się znakomitą lokacyą kapitałów, przedmiotom spekulacyi. Lekarze kupowali sobie niewolników uczyli ich i kazali leczyć biédniejszych pacyentów swoich. Byli tacy, co odnajmowali swoich specyalnie do handlu albo do przemysłu, albo do sztuki jakiéjśkowiek uzdolnionych niewolników innym, i żyli tylko z takich dochodów. W ten oto sposób stał się niewolnik źródłem niewyczerpaném napozór bogactwa; wyzyskać źródło —uchodziło za sztukę, za rozum, albowiem wyzysk taki zaspakajał potrzeby moralne i fizyologiczne, zapewniał wolny czas od trosk, dawał honory publiczne. Oto w jaki sposób wyobrażenie duchowe cierpień niewolników i odraza do zadawania cierpień—stawały się coraz słabsze...

Siła sympatyi zmieniać się może pod wpływem innych jeszcze przyczyn. Jedną z nich jest — sympatya przez podobieństwo, które to prawo da się wyrazić mniéj więcéj tak: wykluczając wszelkie przyczyny specyalne, możemy twierdzić, że odraza nasza do sprawiania bólu bliźnim zwiększa się w stosunku prostym do podobieństwa (fizycznego albo moralnego), jakie zachodzi pomiędzy nami i podmiotem cierpiącym. Zatrzymamy się z kolei nad tém zagadnieniem.

Człowiek łagodny i dobry zgniecie nogą robaka napotkanego w drodze, nie czując żadnéj obawy, ani wyrzutów sumienia; nie odczuwa przytém nic więcéj ponad to, coby czuł, gdyby zgniótł przypadkowo owoc albo jakiś przedmiot kruchy. Nigdyby jednak nie zgniótł nogą łebka zajączkowi lub szczenięciu — czyn taki wydałby mu się z pewnością okrucieństwem bez miary. Wiele bardzo osób sprzeciwia się polowaniu, ale nie protestuje przeciwko rybołóstwu: ryba wedle

ich poczucia, zasługuje na mniéj współczucia, aniżeli zając, kuropatwa lub sarna. Sekta jaroszów (wegetaryanów) rozpowszechniona dzisiaj w Ameryce, Anglii i Niemczech, sekta fizyologiczna i sentymentalna zarazem, uważa rzeź bydła za okrucieństwo i żąda zniesienia zwyczaju żywienia się mięsem. Sekta ta dzieli się na dwie szkoły, z których druga mniéj surowa i bezwzględna, zezwala osobom słabym spożywać rybę; „ryby bowiem, słyszymy tutaj, są to stworzenia mniéj szlachetne niż wół lub krowa, i dlatego zabijanie ich jest czynem mniéj okrutnym.” Wreszcie zgodzi się każdy, że z całego królestwa zwierząt najwięcéj litości budzi w nas małpa. Ferrero cytuje wypadek, jaki miał miejsce w jedném z laboratoryów Turynu. Sprowadzono tam małpkę w celu dokonania na niéj różnych doświadczeń wiwisekcyjnych. Zanim jednak przyszła na nią koléj, lekarze, bawiąc się ciągle małpą, przyzwyczaili się do niéj i kiedy trzeba było przystąpić do operacyi, żaden z nich nie mógł zdecydować się na takie względem niéj okrucieństwo. Oczywiście, że na odrazę do wykonania operacyi działały tutaj ruchy małpy, tak podobne do mimiki człowieczéj, przypuszczać należy, że pomimo całego przywiązania, jakie żywić możemy względem psa, w takim stopniu, jak w pomienionym wypadku sympatyi—odczuwać nie będziemy.

Posuńmy się jednak o jeden jeszcze szczebel wyżéj. Człowiek biały odczuwa bardzo niewiele wyrzutów sumienia, zabijając czarnego: dzieje kolonizacyi amerykańskiéj zawiérają pod tym względem wiele pouczającego materyału. Kolonizator biały uważał zabójstwo człowieka odmiennéj rasy — w Ameryce, w Australii, w Afryce, w Azyi—za czyn nie różniący się wiele moralnie od rzezi wołu. Kiedy europejczyk powołał do życia nanowo niewolnictwo w Ameryce, sprowadził murzynów,—a dziś jeszcze, aczkolwiek są już wolni, uważani są za rasę „niższą” i znosić muszą niejeden kaprys okrutny amerykanina. Przestępstwo, za które biały zapłaciłby paromiesięczném więzieniem, kosztuje czarnego niekiedy życie, przyczém egzekucya następuje często bez procesu wskutek dość niepewnych i mało uzasadnionych oskarżeń (lynchu). Niekiedy zemsta rasowa, opanowująca w takich wypadkach yankee'a, pożéra jednego, drugiego przyjaciela ofiary!

Jeżeli sferę naszych spostrzeżeń ograniczymy do rasy białéj jedynie, to i tutaj zauważymy zjawiska podobne, tylko że na miejsce rasy postawić będzie trzeba „klasy” społeczeństwa. Sympatya, mianowicie, jaka łączy członków jednéj klasy, jest o wiele żywsza, aniżeli ta, która wiąże ludzi różnych klas. Codziennie trybunały sądowe skazują dziesiątki, setki i tysiące oskarżonych o różne przestępstwa robotników—uwaga publiczna nie reaguje zupełnie na rodzaj i wysokość

kary; jeżeli jednak na ławie oskarżonych zasiądzie członek jakiéjś „wyższéj" klasy społecznéj, wypadek pobudza natychmiast interes publiczności i jeżeli kara wymierzona przez sąd będzie zbyt surową — można być z góry przygotowanym na protest powszechny. Tutaj, mniema Ferrero, kryje się przyczyna, dla któréj klasy społeczne walczą z taką stanowczością o zdobycie przywileju sądzenia przez „równych": parowie angielscy przez parów, wojskowi przez wojskowych, księża przez księży, mieszczanie przez mieszczan; sympatya bowiem jest silniejsza pomiędzy członkami danéj klasy i wyobrażenie bólu zadawanego bliźniemu—jest większe.

Ferrero przechodzi następnie do analizy innego procesu psychologicznego bardziéj złożonego, które nazywa prawem porównania. Czyn, zwyczaj, instytucya same przez się nie są ani moralne, ani niemoralne; sądy (i łączące się z niemi uczucia) moralne co do pewnych czynów i zwyczajów, instytucyi wywoływane bywają przez porównanie z innemi czynami i zwyczajami, które służyć mogą do jednego i tego samego celu i kosztować sumę cierpienia większą albo mniejszą. Jeżeli porównanie takie jest możebném, to czyn, zwyczaj, instytucya sprawiająca więcéj cierpienia będzie uważana za niemoralną (bo anormalna); jeżeli jednak porównanie jest niemożebném, czyn nie będzie się wydawał anormalnym i niemoralnym. Ilustracyą znakomitą téj prawdy jest wojna. Wiadomo powszechnie, że państwa i narody ucywilizowane czynią możliwe i nadmożliwe wysiłki, aby powiększyć siłę, szybkość, dalekonośność broni, t. j. aby ją uczynić zdolną do zabijania największéj ilości ludzi; obok tego jednak te same narody organizują, jak tylko można najlepiéj i najumiętniéj pomoc lekarską na wojnie, opiekę nad rannymi, wozy ambulansowe, składy opatrunków i t. d. Możnaby zarzucić tutaj sprzeczność zasadniczą: jedna ręka niszczy, druga stara się uratować ruiny od zupełnego upadku. Zdaje się to wszakże stwierdzać tylko ogólne prawo psychologiczne, w myśl którego człowiek bez najmniejszego skrupułu sprawia największy ból bliźniemu, jeżeli widzi konieczność tego przy dążeniu do jakiegokolwiek celu; przeciwnie, znowu budzi to w nim wstyd, strach i wstręt, jeżeli zada najmniejszą ranę, gdy ta jest zbyteczna. W taki oto sposób — wiele grup społecznych mniema dzisiaj, iż wojna jest konieczną; te grupy nie spostrzegły bowiem, że istnieją inne środki łagodniejsze, mniéj okrutne, dzięki którym można załatwiać spory, z których rodzą się wojny i dlatego właśnie wojna sama przez się, pomimo pożogi, zniszczenia, jakie sieje, nie budzi wstrętu. Gdyby jednak tym samym grupom zaproponowano, aby rannych opuszczały na polu bitwy, jak to czyniono dawniéj, mówiąc, że zabijając tysiące, nie warto się troszczyć

o los i życie kilkuset rannych—ich sumienie zawrzałoby bezsprzecznie protestem; nauka daje nam bowiem dziś już możność uratowania życia wielu z liczby rannych. Zostawić ich na pastwę losu, to znaczy spowodować cierpienie bezpożyteczne, którego można uniknąć, a więc trzeba uniknąć.

Zaznaczone prawo psychologiczne objaśnia nam bardzo dobrze wielki przewrót w dziejach ludzkości, jakim było zniesienie niewolnictwa. Jeżeli porównamy świadomość moralną najbardziéj ucywilizowanych narodów świata starożytnego, jak Greków i Rzymian, z naszą, to zauważymy łatwo różnicę niezmierną: sama nazwa „niewolnictwa" budzi w świadomości naszéj uczucie bardzo silne wstrętu, kiedy najpotężniejsze umysły greckie i rzymskie uważały instytucyę samą, za zupełnie sprawiedliwą. Prawo porównania objaśnia nam tę różnicę. Niewolnictwo budzi w nas odrazę, bośmy znaleźli system stosunków społecznych mniéj surowy, który spełnia te same funkcye, co niewolnictwo, ale nie zmusza nas do czynów tak okrutnych, jak zmuszał system niewolniczy. Niewolnictwo było koniecznością dla społeczeństw starożytnych, kiedy doszły one do takiego punktu rozwoju, na którym trzeba było zwiększyć produkcyą, organizując masy robotników pod kierunkiem niewielkiéj ilości spekulantów, aby uczynić zadosyć różnorakim i licznym potrzebom gęstszéj ludności. Zachodzi tu atoli jedna ważna przeszkoda. Było jeszcze wiele dziewiczéj, niezajętéj roli, która nie należała do nikogo; trudno tedy było zdobyć potrzebną ilość ludzi, którzyby ręce swe sprzedać chcieli, kiedy jeszcze ręce te mogły znaléść dla siebie pracę na niezajętych, nieuprawianych ziemiach — i być tam niezależnymi. Aby więc zdobyć robotników potrzebnych do wykonania wielkich przedsięwzięć rolnych albo przemysłowych, trzeba było użyć siły; oderwać tych spokojnych pracowników od ziemi i zmusić ich do pracy na rzecz panów. W takich warunkach narodziło się niewolnictwo i cała tegoż organizacya społeczna, polityczna, moralna i prawna. — Dzisiaj niewolnictwo nie jest już konieczne, aby wyprodukować całą ilość bogactw potrzebnych klasom zamożnym: ludność jest nader gęsta, ziemia stanowi już tylko własność indywidualną i istnieje cała potężna ilość ludzi, którzy dobrowolnie sprzedają swą pracę przedsiębiorcy. Przymus fizyczny jest już zbyteczny i nasz system przemysłowy trzyma się sam o własnéj sile, zorganizowany przez prawo i przez państwo dla korzyści jednéj klasy społecznéj [1]).

---

[1]) Ferrero wykłada tutaj teoryę znakomitego ekonomisty współczesnego prof. Loria (z Padwy). Teorya ta mieści się w drugim tomie „Analisi della proprieta capitalista" (Turyn, 1889), rozdz. III, str. 55 i nast.

Ustrój społeczny, w którym żyjemy, nie jest tak okrutnym, jak niewolniczy, co pozbawiał człowieka wolności, rodziny, wszystkich praw moralnych i publicznych. Cierpienia, spowodowane przez niewolnictwo, są już dzisiaj niepotrzebne, zbyteczne: oto powód, dla którego niewolnictwo wydaje nam się niemoralném. Kiedy nie było możności porównania podobnego, świadomość niemoralności niewolnictwa istnieć nie mogła—nawet w narodzie tak ucywilizowanym, jak Grecy, nawet w umyśle tak potężnym, jak Arystoteles.

Weźmy inny jeszcze przykład. Ludność żebracza od czasów bardzo dawnych była raną społeczną, którą państwa starały się leczyć przy pomocy najróżnorodniejszych środków terapeutycznych. W wiekach średnich trzymano się zasady surowości. Ordonans królewski np. nakazał we Francyi w r. 1350, aby każdego, kto trzykrotnie żebrał, piętnować rozpalonėm żelazem; w dwieście lat póżniéj parlament powtórzył ten zakaz, dodając do niego karę banicyi. W Anglii za czasów Henryka VIII-go, każdego żebraka karano za pierwszym razem batem, za trzecim—śmiercią. Ostatnią karę zastosowano za czasów panowania tego króla 38,000 razy! Za Edwarda VI piętnowano każdego żebraka, który nie chciał pracować i oddawano w niewolę temu, który go denuncyował, na przeciąg dwu lat; w razie ucieczki, połączonéj z recydywą żebractwa, czekała biédaka kara śmierci. Dziś—leczymy żebractwo przy pomocy odmiennéj terapii. Ameryka i Anglia mają swoje domy robocze *(workhouse)*, Belgia kolonie robotnicze, Włochy przytułki dla żebraków. Po zatém istnieją dziesiątki instytucyi w każdym kraju, które wyszukują pracy dla zdolnych do niéj żebraków i starają się wynaléść sposób do życia dla niezdolnych. I dziś wprawdzie przepisy policyjno-prawne, dotyczące żebractwa, nie należą jeszcze do doskonałości, posiadają przeciwnie mnóstwo braków: w każdym razie jednak w porównaniu z czasem z przed trzystu i dwustu lat przedstawiają znaczny postęp. Czemu go zawdzięczamy? Temu tylko, że posiadamy dzisiaj środki o wiele łagodniejsze i skuteczniejsze gwoli ukróceniu żebractwa. Klasa zresztą żebraków jest dziś mniéj liczna i nie tak niebezpieczna, jak w wiekach średnich. Skoro zaś niebezpieczeństwo nie jest tak straszne, a środki lecznicze dość dobre, — więc okrucieństwa dawniejszych czasów wywołują w nas odrazę moralną. Aby jednak dokonać takiego przewrotu, trzeba było długiego czasu; trzeba było, aby powstały organizacye prawa publicznego, zdolne przeszkodzić niebezpieczeństwu żebraków. Cóż jednak miały czynić społeczeństwa i państwa, kiedy nie było organizacyi, jeno był nierząd, nie było środków materyalnych na wybudowanie domów roboczych, na założenie kolonii rolniczych i t. d. Przymus, gwałt był wte-

dy koniecznością. To samo, co powiedziano o warunkach historycznych żebractwa—można zastosować do organizacyi ekonomicznéj, do ustroju politycznego, do wykonywania sprawiedliwości i t. d.

Z prawem porównania łączy się inne zjawisko, bardzo ważne w teoryi postępu moralnego, które możnaby nazwać tendencyą dążącą do zrównoważenia różnych moralności. Jeżeli dwa narody, znajdujące się na poziomie prawie jednakowym rozwoju umysłowego, pod względem moralności są nierówne, niejednakowe, wyższe i niższe, to wskutek téj różnicy powstaje dążenie niższéj moralności do osiągnięcia poziomu, na którym znajduje się moralność wyższa. Grecy starożytni nie stali niżéj od narodów nowoczesnych pod względem rozwoju intelektualnego, a jednak niewolnictwo nie budziło w nich odrazy. Przeciwnie, kiedy zaprowadzono niewolnictwo w Ameryce, w Anglii np. zorganizował się ruch anti-niewolniczy, potworzyły się stowarzyszenia ludzi protestujących przeciwko téj instytucyi. Skąd pochodzi ta różnica? Stąd, że Grecy widzieli niewolnictwo u wszystkich narodów, które, znajdując się na tym samym poziomie umysłowym, mogły oddziaływać na nich; nie mogli zatém porównywać swego ustroju z innym mniéj okrutnym, któryby pozwolił im odczuwać wstręt do ich własnéj instytucyi. W czasie jednak, kiedy zaprowadzono niewolnictwo w Ameryce, społeczeństwa europejskie zdołały wyjść już z epoki, gdy instytucya ta była im potrzebna, miały już u siebie inne nie tak okrutne ustroje i protestowały przeciwko amerykańskim, nie rozumiejąc wcale, że Ameryka potrzebowała niewolników dla tych samych celów, dla których w Europie wystarczała praca najemnicza. Wytworzył się prąd moralny, który biegł od społeczeństw europejskich ku społeczeństwom amerykańskim, mniéj rozwiniętym i dążył do sprowadzenia równowagi naruszonéj jakoby przez towarzystwa kolonialne...

A jednak, ten prąd moralny nic nie zdziałał, nie wywarł żadnego głębszego, bezpośredniego wrażenia. Myśliciele i filantropi protestowali z największą energią przeciwko niewolnictwu amerykańskiemu—ono jednak nie uległo żadnym zmianom, dopóki było potrzebne... Jeżeli mówimy o wpływie, to tylko o pośrednim. W Ameryce powstali np. pisarze, którzy bronili instytucyi nie dlatego, że była pożyteczną dla panów, ale — dla niewolników. „Za dni naszych”, pisze Wallon, uczony autor „Dziejów niewolnictwa w starożytności”, który sam jeszcze pisał młodzieńcze pamflety przeciwko niewolnictwu w koloniach francuskich, „za dni naszych stawali ci, którzy chcieli utrzymać niewolnictwo w koloniach, przeciw filantropom, nakładając na twarze swoje maski obrońców ludzkości, i wołali, aby nie znosić niewol-

nictwa, dzięki któremu rasa Negrów może wziąć udział na równi z białą w dobrodziejstwach cywilizacyi..."

* * *

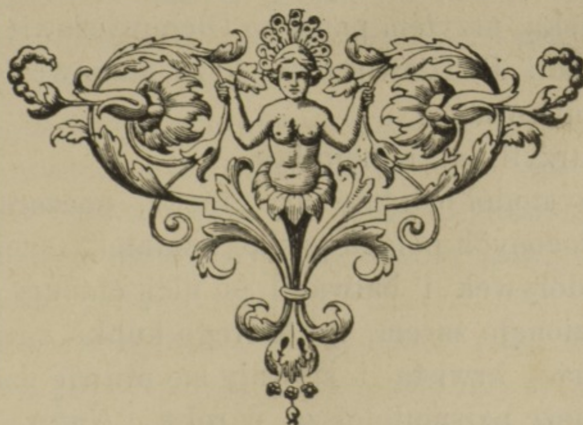
Teorya postępu moralnego Ferrera, jak widzimy, jest teoryą czysto psychologiczną, w myśl któréj do objaśnienia przeobrażeń historycznych moralności ludzkiéj, zbyteczną jest hypoteza ewolucyonistów (nie wszystkich jednak), wymagająca koniecznego przeobrażenia biologicznego, za pomocą którego tylko moralne zmiany objaśnić się dają. Człowiek w istocie swéj pozostaje tym samym; proste prawa psychologiczne objaśniają, dlaczego w pewnych epokach i warunkach postępowanie moralne jednostek i grup ludzkich uległo i ulega zmianom.

W końcu swego szkicu zwraca uwagę autor na jeden ważny rys charakterystyczny (ogólny i stały) przemian moralnych ludzkości—ich sprzeczność. Zaznaczone powyżéj „prawa psychologiczne" są obfite i ilość ich jest prawdopodobnie znacznie większa jeszcze. Owóż prawa te nie działają wszystkie razem i jednocześnie: niekiedy działają jedne, w innym czasie—drugie; wiele z nich działając równocześnie, wywołuje postęp w jednym, cofanie się w drugim kierunku. Stąd właśnie pochodzą sprzeczności moralne, jakie zauważyć się dają u wszystkich narodów i po wszystkie czasy, sprzeczności z których śmieją się humoryści, płaczą—pesymiści. Nasze czasy np. odznaczają się typowém współczuciem dla zwierząt (p. wyżéj); wszędzie istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami, a w niektórych krajach (np. w Anglii)—prawo surowo karze człowieka, który na ulicy bije konia albo psa. Mimo to jednak, mimo wszelki sentymentalizm, wszelką w tym względzie nadczułość, istnieją jeszcze społeczeństwa europejskie, co nie zdobyły się na ordynacye prawne, zabezpieczające robotników od nieszczęśliwych wypadków, zależnych od nieostrożności pracodawców, i co więcéj: w téj saméj Anglii może się znaléźć większość parlamentarna, która odrzuci projekt takiego prawa. „Prawo", zaznaczone powyżéj, z racyi którego najniemoralniejsze instytucye ostoją się wszelkiéj opozycyi, jeżeli są połączone z zyskiem, albo jeżeli zniesienie ich wywołaćby miało stratę dla klas panujących—prawo to kładzie w danym wypadku swoje *veto* stanowcze. Polepszenie bytu klasy pracującéj przedewszystkiém zmniejszyłoby zyski klasy pracobierczéj, a stąd sympatya tych nadczułych na cierpienia zwierząt Anglików, spokojnie, bez wyrzutu sumienia, może głosować przeciwko ustawie zabezpieczającéj życie i zdrowie robotników.

Dwa wnioski można wysnuć z materyału zebranego powyżéj: postęp moralny prawie nigdy nie jest absolutnym, często zaś jest względnym i częściowym; jest on daléj—zjawiskiem nader złożoném, którego jedna „prosta” teorya objaśnić nie jest w stanie.

Od paru już lat pracuje G. Ferrero nad dziełem o postępie moralnym i szkic téj pracy, z którym zapoznaliśmy czytelnika naszego, a także ogłoszone niedawno streszczenie pierwszéj części dzieła: *La morale primitiva e l'atavismo del delitto* (Moralność pierwotna i atawizm przestępstwa)—każą się spodziewać wielu ciekawych i oryginalnych poglądów. Staraliśmy się w wykładzie powyższym być o ile można obiektywnymi; chodziło bowiem o zapoznanie czytelnika z pewnym szeregiem faktów historycznych, które w nowém oświetleniu nabiérają innych zupełnie, ciepłych, pełnych życia barw—nie zaś o krytykę tego oświetlenia. Zaczekamy, aż niezwykle zdolny i bystry psycholog włoski ukończy swe badania, a wtedy może uda nam się poglądom jego, niektórym oczywiście tylko, przeciwstawić inne, co nam osobiście wydają się bardziéj przekonywającemi i racyonalniejszemi.

S. Posner.



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]

III.

Pomimo wyjazdu państwa Łamkowskich, Zygmunt i Krępic bywali teraz w Kamionce dość często. Takie wycieczki urozmaicały jednostajność wiejską, przytém państwo Olchowiczowie zawsze ich witali serdecznie, pani Bodziewiczowa była stanowczo sympatyczna, a panna Emilcia zabawna.

I ani się opatrzyli, jak minęło lato.

Zwieziono do stodół ostatnie fury grochu, poczerniałe ścierniska rozwlokły po ogołoconych polach pustkę i smutek, suchy wiatr wzdymał szare łona podorywek i bałwanił po nich chmury ciemnego pyłu, niebo wyblakło i zionęło żarem, od którego kupki zgrabionéj tatarki poczęły tracić barwę krwistą i stawały się prawie czarne i nastała pora, która jest może najsmutniejsza w roku. Natura zapadła w zupełny letarg, a ziemia, z piersią spaloną, odartą z zieleni i złota, nawet westchnieniem nie zdradzała życia, które tam, wewnątrz, głęboko, tkwiło przecież, a imbardziéj niedostrzeżone pod pozorną martwotą,

---

[1]) Patrz zeszyt lutowy „Ateneum" r. b., str. 10.

tém większe może zapowiadało nadzieje w tęgich piórach młodéj runi.

— Głębia ziemi nie zawodzi nigdy, byle ziarna i rąk nie zbrakło!—myślał Krępic, patrząc na rozpaczliwie smutne i szare pola.

W Kamionce pani Bodziewiczowa i panna Emilcia zabiérały się do odlotu, przyjaciele także już o nim myśleli.

W przeddzień wyjazdu, przy obiedzie, pan Znamieniecki ożywił się niezwykle. Wspominał o ideałach, które wyniańczyły jego pokolenie, o złudzeniach, które zrodziły dużo łez i krzywd, o filozofii życiowéj, którą się nabywa tylko własném rozczarowaniem i w końcu tak mówił:

— My jesteśmy teraz niby słoje z cienkiego kryształu, które los puścił na bystrą wodę życia w towarzystwie żelaznych garnków. Wobec parcia ze wszystkich stron, gwałtowne eksperymenty chyba nie mogą być szkodliwe dla żelaza, ani téż korzystne dla kryształu, lub nawet dla glinianych garnków, czyż nie tak?

Ale gdy nie otrzymał odpowiedzi, ciągnął daléj:

— Ludzie wierzą w istnienie Ameryki, choć ją nie wielu widziało naocznie, nie sprawdzają każdego wyniku nauki, bo na to nie stałoby ani sił, ani życia i wierzą na słowo, bo muszą wierzyć. Ale wyjątkiem jest filozofia życia. Tu musu nie ma, więc każdy chce sam robić doświadczenia i robi je, na nieszczęście nietylko własnym kosztem. Nie bronię mojego pokolenia, bo i ono było takiém, ale myślę, że po niém powinna była pozostać nauka, któraby wystarczyła przynajmniéj dla paru następnych pokoleń.

Młodzi siedzieli wciąż w głębokiém milczeniu, ale było widać, że im to nie przychodzi łatwo, Znamieniecki zaś patrzył na nich bystro i miarowo, spokojnie, wciąż mówił:

— Wynikiem naszéj filozofii była praca, praca i jeszcze raz praca. Jednostki myślące o własnym dobrobycie, tém samém podnosiły dobrobyt ogólny i były uważane za jednostki zupełnie uspołecznione, a choć ten prąd może się wydać wielu nazbyt praktycznym, pomimo to był dobrym i jeszcze trwać powinien.

— Był bardzo wygodnym!— wybuchnął nagle Zygmunt.

Poczém, jak gdyby prysła tama, popłynęły słowa i zawiązała się gorąca dysputa, w któréj Krępic odzywał się nie wiele i która skończyła się na tém, na czém się zwykle kończą wszelkie usiłowania, skierowane ku przelaniu własnych przekonań w inne głowy.

— Bardzo pięknie! — zakończył Znamieniecki — pomówimy jeszcze o tém za parę lat.

I wyszedł, nadmieniwszy tylko, że pragnąłby przed wyjazdem pomówić z synem o interesach.

A nazajutrz obaj przyjaciele znowu siedzieli na węgierskim wózku, lecz tym razem dążyli w stronę stacyi.

— Czy wiész, do czego była skierowana wczorajsza mowa ojca i nasza dzisiejsza rozmowa o interesach? — zapytał Zygmunt, gdy już Karolówka pozostała za nimi daleko.

Był nachmurzony i widocznie zły, gdy zaś Krępic spojrzał nań pytającym wzrokiem, począł mówić szybko i niecierpliwie.

— Ojciec wbił sobie w głowę, że ja powinienem koniecznie zrobić duże pieniądze, przeczekać przesilenie rolne i odkupić wszystką ziemię, któréj on nie mógł utrzymać w rękach. Odpowiedziałem na to, że nie mam do niego pretensyi, że ma prawo stracić wszystko prócz Karolówki i Leszczyn, które kocham i których za nic się nie wyrzeknę, ale groszorobem i handlarzem ziemi nie będę, gdyż do tego nie mam kwalifikacyi. Przemówiliśmy się tak, jak nigdy, to jest głównie ja się uniosłem, bo gdy ciebie nie ma, nie umiem nad sobą panować, no, i dowiedziałem się w końcu, że już teraz żadnéj pomocy z domu miéć nie będę.

Umilkł i nachmurzone oczy utkwił w dębowym lesie, który już przeświecał bursztynem i bronzem, a Krępic rzekł spokojnie:

— Chyba się nie obawiasz, byś sobie sam nie dał rady?

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Cóż znowu! Potrafię się ograniczyć, gdy trzeba, ale mnie to wszystko doprowadza do pasyi. Przyzwyczaił mnie do dużych wydatków, teraz chce na tém grać i—omyli się.

Na chwilę szyderstwo mu wykrzywiło usta, poczém westchnął.

— Dwóch ludzi, bardziéj sobie dalekich, jak ja i ojciec, chyba nie ma na ziemi.

Ale tu Krępic poklepał go po ramieniu i rzekł, zawsze spokojnie:

— Dramatyzujesz, mój drogi. Różni was wiek i przekonania, to wszakże jest rzecz stara jak świat. Ja na twojém miejscu byłbym rad z pozostawionéj swobody. Jest wielka przyjemność iść o własnych siłach, zobaczysz!

— A zobaczę—mruknął Zygmunt, niezupełnie przekonany, lecz już spokojniejszy.

Zajechali na podwórze stacyjne, gdzie z wielkiéj karety wychylała się właśnie pani Bodziewiczowa i podawała służącéj małą Marysię, a potém wszyscy wsiedli do jednego przedziału.

Dzieci się śmiały zadowolone, że jadą, panna Emilcia była ożywiona niezwykle i bez względu na Zygmunta, który jéj zawsze dokuczał ową nienawiścią ku rodzajowi męskiemu, z przejęciem opowiadała Krępicowi o koleżankach, które zastanie na pewno i o tych, które się zawsze spóźniają i tylko pani Bodziewiczowa była mniéj spokojna, niż zwykle.

— Trochę się spodziéwam, że Jaś wyjedzie na nasze spotkanie—mówiła do Zygmunta, jakby się tłómacząc z ciągłego wyglądania na stacyach przez okno.

I w istocie, w Rudzie Guzowskiéj się okazało, że miała dobre przeczucie. Wyjrzała, zarumieniła się i prędko spuściwszy okno, zawołała radośnie:

— Jasiu, my tu!

Prawie w téj saméj chwili wpadł do wagonu mężczyzna jeszcze młody, ale znużony, blady, z czołem pofałdowaném, z czarnemi wąsami zwieszonemi ku dołowi, wysoki i szczupły.

To był Bodziewicz.

Nie spojrzał na nikogo, porwał żonę w objęcia i począł ją całować niemal z dziką namiętnością. Odsunęła go od siebie i cała zarumieniona rzekła łagodnie:

— Jasiu, pan Krępic i pan Znamieniecki.

Dopiéro wtedy spojrzał na towarzyszów podróży żony, powitał ich z niezbyt ukrywaném niezadowoleniem, podał rękę pannie Emilci, a potém, jakby już dla niego nie istnieli, zwrócił się do dzieci i począł ustami wpijać się w ich twarzyczki, tak samo, jak przedtém, wpijał się w twarz żony.

Chłopak z pomocą rąk i nóg starał się odsunąć jego głowę, Marysia się rozpłakała, ale po chwili wszyscy czworo siedli przy sobie i tak się zatopili we własnéj radości, że po za tém nie zdawali się już nic widziéć.

— Tęskniliście do tatusia i do Warszawy? — pytał Bodziewicz i patrzył na dzieci z takim wyrazem, jakby z tych drobnych ust miał na niego paść wyrok życia lub śmierci.

— Nie—odparł Janek stanowczo i dodał ze wzgardą:

— A czy ty masz jeziolo, muśle i osiola, co?!

— Osiola, co!—powtórzyła Marysia.

A twarz Bodziewicza skurczyła się prawie tragicznym bólem. Spojrzał na żonę z wyrzutem, lecz gdy ona popatrzyła na niego swoim słodkim wzrokiem i coś mu zaczęła tłómaczyć, rozpromienił się i znowu całował dzieci.

Panna Emilcia przyglądała im się z minką, która mówiła wyraźnie, że jéj właścicielka czuje swoją, całą wyższość nad podobne słabości i że do pobłażania wcale nie jest skłonna. Nie odzywała się do nich wcale nic, na szwagra patrzyła z oburzeniem, a Zygmunt ubawiony jéj zachmurzonemi oczami, rozpoczął rozmowę na temat małżeństwa i obowiązków dobréj żony i pokładał się od śmiéchu, gdy panna Emilcia rzekła z głębokiém przekonaniem.

— Aby być dobrą żoną według wymagań mężczyzny, trzeba przedewszystkiém albo być idyotką, albo téż zupełnie się wyprzéć własnego *ja*, tak jak wół w jarzmie.

Poczém odwróciła się od niego i stale patrzyła w okno, pomimo że dokładał wszelkich starań, by ją przekonać do instytucyi małżeńskiéj.

W Warszawie rozstali się, pożegnani bardzo serdecznie przez panią Bodziewiczową, która już z dorożki wołała:

— Zaglądajcie, panowie, do nas. Mój mąż jest zapracowany, nigdzie nie bywamy, ale gdy przyjdziecie, będziemy radzi oboje.

A w trzy dni potém siedzieli nad rajzbretami w obszernéj, dość widnéj, lecz trochę brudnéj sali biura, należącego do fabryki odlewów i wielkiéj stalowni Rotte'go *et C.*

Licząc inżynierów, ich pomocników i zwykłych kopistów, pracujących w téj sali, było osób około piętnastu. Krępic i Znamieniecki przedstawili się swoim wszystkim kolegom po cyrklu, począwszy od szefa biura, pana Aromackiego, podobnego do szaréj, pomarszczonéj renety, skończywszy na inżynierze Rańkowskim, najstarszym przedstawicielu firmy, piastującym od lat dwudziestu godność pomocnika z pensyą, która dopiéro w tym roku doszła do siedmdziesięciu rubli miesięcznie.

Pan Aromacki powitał ich dość obojętnie, choć z nieznacznem wyróżnieniem dla Znamienieckiego, poczém nie znajmował się nimi bardziéj, aniżeli reszta kolegów, czyli nie zajmował się wcale.

Zasiedli przy swoich biurkach i teraz ciszę, która zalegała wielką salę, przerywał tylko skrzyp pióra kopistów, szelest papiéru i wielkich rulonów kalki, czasem poruszone krzesło, przesunięty rajzbret, lub metaliczny dźwięk rzuconych cyrkli.

Ale jeden z kopistów podniósł się, podszedł do biurka, przy którém siedział młody, bardzo wysoki blondyn i położył na niém plan.

— Gotowe—rzekł.

Inżynier przebiegł oczami karton i nagle zerwał się zaczerwieniony.

— Cielęta paść, nie plany kopiować!—krzyknął.

Poczém schwycił papiér i szybko podszedł do biurka Aromackiego.

— Masz pan transmisyę dla Bruchów! Miała być na jutro, zależało firmie, żeby nam nic nie mogli zarzucić i oto jest! Ja nie biorę na siebie odpowiedzialności, bo nie chciałem takiéj roboty dawać panu Cimaszce.

Roześmiał się i zwrócił do kolegów.

— Na boku planu nabazgrałem sobie parę trójkątów i on téż, aby to jedno przekopiował ze ścisłą dokładnością!

Wszystkie oczy były teraz skierowane na szefa i wszystkich usta uśmiéchały się złośliwie, Aromacki zaś przejrzał rysunek, poczém widocznie zmieszany zwrócił się do kopisty.

— Plan jest zły i pomimo najlepszych chęci...

— Plan jest tylko kopią tego, co mi dał inżynier Matelski. Nie odpowiadam za niedokładności tych panów — odparł śmiało kopista i mrugającemi oczami wodził po twarzach zebranych.

— Może dla pana jest dobry, nie pójdzie wszakże na pański rachunek, chyba że się na to zgodzi pan Rotte.

Aromacki mówił spokojnie, ale było znać, że się hamuje. Poczém chybiony plan oddał innemu kopiście, w biurze znowu zapanowało milczenie i trwało póty, póki z niego szef nie wyszedł.

Teraz fizyognomia sali technicznéj poczęła się zmieniać. Ten i ów zapalił papiérosa i zabrał się do studyowania kuryera wyjętego z kieszeni, inni rozmawiali rysując, albo téż siedząc bezczynnie z rękami głęboko wsuniętemi w kieszenie, jakby na znak, że je nie prędko myślą stamtąd wydobyć; inżynier Galewicz zaś wyjął z szuflady czapkę, jakby dla sprawdzenia rzucił okiem na cylinder spoczywający na biurku i wyszedł. Nie przerywali zajęcia tylko kopiści i pomocnik Rańkowski, którego biurko sąsiadowało z biurkiem Znamienieckiego i Krępica.

— Pan nie odpoczywasz?—zwrócił się do niego Krępic i podał mu papiérośnicę.

Zapalali obydwaj, poczém stary inżynier rzekł:

— Ja, widzisz pan, uważam, że kiedy za robotę płacą, to za płacę trzeba naodwrót dawać robotę, tylko, naturalnie, pan nie potrzebujesz się stosować do takich przedawnionych przesądów, bo źlebyś na tém wyszedł.

Skrzywił usta i po krótkiém milczeniu mówił daléj:

— Ot, wzoruj się pan na Galewiczu. Siedzi na rogu w cukierni, ale ponieważ cylinder na biurku jest i świadczy o obecności swego właściciela w fabryce, więc mu wczoraj podnieśli pensyę do stu rubli.

Umilkł, gdyż zbliżył się do nich Matelski i siadłszy na wprost starego, rzekł zniżonym głosem:

— Takie tchórzostwo to podłość, do której nie wiadomo właściwie, po co my ręki przykładamy.

— A któż wam każe przykładać? — mruknął Rańkowski i z papiérosem w ustach rysował daléj.

Matelski coś jeszcze mówił, lecz zupełnie cicho, a Krępic przyglądał się staremu z uwagą, poczém pochylił się nad rajzbretem i myślał, że jednak to jest głowa charakterystyczna.

Wąskie i mocno zaciśnięte usta mówiły, że ich właściciel umié być upartym i zaciętym, wysokie czoło, choć pokryte mnóstwem zmarszczek, znamionowało człowieka dumnego, a niebieskie oczy miały taki wyraz, jaki mają oczy jagnięcia, albo czasem dziecka.

O drugiéj biuro się opróżniło, wszyscy poszli na obiad, wrócili, aby znowu siedziéć do szóstéj, lub nawet do siódméj i tak było codzień.

Ten zégarkowy tryb życia był Zygmuntowi trochę przykrym z tego głównie powodu, że już o ósméj rano trzeba było być w biurze. Jednak nie przyznawał się do tego, bo mu było trochę wstyd Krępica, który, choć niezupełnie zachwycony otoczeniem, był wielce zadowolony ze swoich dziewięciu godzin pracy i sześćdziesięciu rubli miesięcznie.

Zamieszkali razem w dwóch dużych pokojach, na trzeciém piętrze przy ulicy Marszałkowskiéj, nie bywali nigdzie, bo nie mieli ani ochoty, ani czasu, czytali dużo i coraz więcéj się sprzeczali.

— Wspaniałe życie!—zaczynał zawsze Zygmunt, ile razy wrócili z fabryki i zmęczeni pokładli się na łóżka.

A Krępic się uśmiéchał.

— Dla mnie tak, bo wiele więcéj się nie spodziéwałem.

Lecz ten spokój wyprowadzał tamtego z granic cierpliwości.

— Naturalnie! widzę!—wołał.—Inni filistrzeją dopiéro wtedy, gdy mają krocie, twoje potrzeby są mniéj rozwinięte, więc zfilistrzałeś przy sześćdziesięciu rublach miesięcznie. Powinszować!

Tymczasem od kolegów przychodziły listy, także nie bardzo różowe.

Kubacki dostał zajęcie mechanika w przędzalni Naftala dziadzi w Zawierciu, był cały przejęty badaniem miejscowych stosunków i oburzony na brak urodziwych niewiast.

Dembosz, jako pomocnik chemika, praktykował za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie w cukrowni Koniłówka w Lubelskiém i twierdził, że mu język mchem porasta, bo nie ma do kogo gęby otworzyć.

Naftal pojechał zagranicę kształcić się na farbiarza, chodził do konserwatoryum i jeszcze nie opuścił żadnego koncertu, a wszyscy razem zgadzali się na jedno, że zadroszczą Katonowi i romantykowi Warszawy, że im żal instytutu, że tęsknią do porządnego wygadania się z porządnymi ludźmi i że życie jest stanowczo głupsze, niż myśleli.

Wakowicz umieścił się w warsztatach kolejowych na drodze Dąbrowskiéj i ze wszystkich on jeden był zadowolony. Donosił, że na pewno zrobi karyerę i że ma przed sobą wielką przyszłość, ale mu nie wierzono.

— Takiemu najlepiéj! — roześmiał się Zygmunt. — Do saméj śmierci będą mu wystarczały złudzenia i czegóż chcieć więcéj?

Tego dnia trochę się spóźnili do fabryki. Gdy weszli, zastali w sali technicznéj ruch i gwar niezwykły. Tylko jedeń Rańkowski siedział na swojém miejscu, wszyscy inni stali, a Galewicz wołał podniesionym głosem:

— Zdaje mi się, panie dyrektorze, że ten dowód wystarczy. Zresztą, ja go sam w pakuję do kozy!

Krępic zbliżył się szybko do Rańkowskiego.

— Co tu się stało?—zapytał.

— Cimaszko ściągnął Galewiczowi pięć rubli.

— To on taki ptaszek? I jakim sposobem?

A Rańkowski uśmiéchnął się szydersko i począł mówić zniżonym głosem:

— On jest ptaszek w najlepszym gatunku, ale nie dawał się wygryść. Otóż Galewicz naznaczył sobie pięć rubli i umyślnie podrzucił na swojém biurku, a gdy ryba złapała robaka, narobił gwałtu i przy Cimaszce znaleźli te same pięć rubli.

Krępic popatrzył uważnie w oczy Rańkowskiego.

— Skąd on ten Cimaszko?

— A kto go wié! Podobno syn woźnego z Siedlec. Ktoś go tu Rotte'mu wsadził i teraz go trzymają dla miłego spokoju.

— No, chyba dłużéj trzymać nie będą. Kopista niedbały, już uważałem że arogant, obecnie wydało się, że złodziéj, a to chyba dość powodów do wydalenia.

Rańkowski znowu się uśmiechnął szydersko.

— Eh! co znowu... dla miłego spokoju, Galewicz mu daruje, jak go Rotte poprosi.

I rzeczywiście zgadł stary inżynier.

Nazajutrz poproszono Galewicza przed oblicze fabrykanta, a gdy wrócił do sali technicznéj miał minę zupełnie nieszczęśliwą.

— No i cóż, wyrzuci Cimaszkę?—posypały się zapytania.

— A jakże! Całą godzinę mi gadał, żeby skandalu nie rozmazywać, że go tém ujmę osobiście i że ten łotr tylko z biédy ukradł. Potém urządził efektowną scenę przeprosin i, jak Boga kocham, ten gałgan to wspaniały aktor! Prawdziwemi łzami płakał, powiadam panom... sam widziałem.

Ale tu Matelski zbliżył się i rzekł:

— To nam wszystko jedno. Wyrzucą go czy nie?

— Obiecuje, ale jeszcze nie teraz... może od kwartału.

W sali zaległo milczenie, tylko Rańkowski śmiał się cicho. Ale po chwili Krępic się podniósł i stanąwszy przed Galewiczem, zapytał:

— Czy pan nie będziesz szukał sprawiedliwości na drodze sądowéj?

— Właśnie obiecałem panu Rotte'mu, że nie. Myślałem, że za to może go wyrzuci, a tymczasem widzę, żem się złapał.

— I my skutkiem tego będziemy go znowu musieli cierpiéć — wybuchnął Matelski. — Właściwie, po coś pan urządzał ten cały kawał?

— Jakto po co? Zdawało się, że przecie złodzieja nie będzie trzymał przez dobre serce.

— Tak, ale z tém wszystkiém, my możemy zmusić fabrykę, żeby wyrzuciła kopistę, który nie zna roboty i kradnie—rzekł Krępic. — Ja sądzę, że to nawet jest naszym obowiązkiem.

— Podajmy prośbę i w razie odmowy, zażądajmy wszyscy uwolnienia—dodał Znamieniecki.

A Rańkowski także się zbliżył.

— Ja to już dawno radziłem i radzę.

Inżynierowie spojrzeli po sobie, chwilę była cisza taka, jak kiedy ziarno kiełkuje, wreszcie Galewicz rzekł:

— A jak przyjmie nasze uwolnienia?

— To pan poszukasz sobie innego miejsca i prawdopodobnie znajdziesz. Nigdy biéda nie dojé tym, którzy tak bardzo umieją o sobie pamiętać.

Krępic powiedział to takim tonem, że Galewicz oblał się krwią.

— Dobrze panu mówić, jak masz plecy!—wybuchnął.

A Krępic popatrzył mu prosto w twarz i zapytał:

— Czy inżynier Rańkowski ma także plecy?

Tamten się zmieszał, Znamieniecki zaś począł teraz przemawiać pojednawczo i po chwili, zupełnie niespodziéwanie nastąpiło porozumienie.

Pan Rotte odebrał nazajutrz papiér, z którego się dowiedział, że należało mu wybiérać między całym personelem techników i kopistą Cimaszką. Podpisu nie dał tylko pan dyrektor Aromacki.

Obadwaj przyjaciele opuścili tego dnia biuro w doskonałych humorach. Poraz pierwszy porozumieli się z kolegami biurowemi, do których już nieraz próbowali się zbliżyć i zawsze napróżno. Z początku zdawało się im, że to nie będzie rzeczą trudną. Zygmunt miał jakby talizman na zdobywanie ludzkich sympatyi, Krępic zrażał trochę powściągliwością, ale mimo swéj woli wzbudzał zaufanie, więc na razie pogarnęli się do nich wszyscy. Ale bardzo prędko nastąpiło to, co można zauważyć, gdy przysuniemy do siebie dwa różnéj wielkości ciała, dwiema różnemi elektrycznościami naładowane. Po wypowiedzeniu sobie wszystkiego, przyszło wyładowanie, a następnie odskok, taki odskok zaś pozostawia zawsze w pewném od siebie oddaleniu ludzi, których duszom brak jednéj, wspólnéj struny zbliżonych ideałów. Ideały Krępica i Znamienieckiego były jeszcze skrzydlate młodością, niezwarzone cierpieniem i tak świéże, jak jest świéżą rosa na kwiecie, ideały zaś ich biurowych kolegów zdążyły skurczéć, spraktycznićć i przykroić się do warunków. Zupełne porozumienie między nimi było o tyle możliwém, o ile może się porozumiéć tatrzański orzeł ze skrzętną kokoszką.

Przyjaciele to rozumieli, Zygmunt często wołał — karyerowicze, próżniaki, bydło! Krępic mu nie przeczył i oto teraz mieli niespodziankę.

— Matelski to porządny człowiek, Rańkowski tém bardziéj — zgodzili się obadwaj i jeden nucił pod nosem, a drugi pogwizdywał.

W domu zastali list od Łamkowskiego.

— Dziś sobota u Łamkowskich, zapraszają nas — rzekł Zygmunt.

— Skąd-że to? — zdziwił się Krępic. — Znają nasz adres?

— Naturalnie, bo ja przed paru dniami spotkałem wuja, nasłuchałem się mnóstwa wymówek, musiałem mu przyrzec, że przyjdziemy, bo tak chce panna Maniusia, no, i dla pewności wziął mój adres.

— Więc tam panna Maniusia jest naprawdę autorytetem! Idziesz?

— Nie idziesz, tylko idziemy. Poznamy moc specyalistów od przecinania węzła, pobawimy się z niewiastami i kwita. Ja iść muszę, a bez ciebie nie pójdę.

Więc poszli obadwaj, a gdy już odbyli podróż po salonie i zostali przedstawieni damom, zatrzymali się we drzwiach, prowadzących do gabinetu gospodarza domu.

— Moc niewiast—rzekł Zygmunt—i wszyscy nam się przyglądają, więc musieliśmy zrobić wrażenie.

Krępic wzruszył ramionami, a w téj saméj chwili podszedł do nich senator i podbiegła panna Maniusia. Była w jakiéjś mglistéj, różowéj sukience, całéj usianéj czarnemi motylami i sama wyglądała jak motyl.

— Nie byłabym nigdy darowała, gdybyście panowie nie przyszli!—wołała, błyskając oczami.—Będziemy tańczyli dzisiaj i ja panów zabiéram z sobą.

— Ależ czekaj! — rzekł Łamkowski — niechże ich wpierw wezmę do gabinetu i poznam z mężczyznami. Co chcecie, znajdziecie!

Panna Maniusia się nachmurzyła.

— A jakże! będą bawili panów, a ja się będę nudziła! Jak tatko chce koniecznie, to się potargujmy. Dla nas pan Zygmunt, dla gabinetu pan Krępic i to na krótko, proszę pamiętać!

Odeszła ze Znamienieckim, Krępic zaś poszedł za Łamkowskim.

Kilku dziennikarzy, dwóch poetów, jeden przyrodnik, oraz paru przedstawicieli rodu i finansów, otaczało tu okrągły stolik i siedząc lub stojąc rozmawiało bez ożywienia. Dotykano polityki, poruszano przyszłe wyścigi i kwestye społeczne, a gdy gospodarz przedstawiał młodego inżyniera, omawiano właśnie drożyznę mieszkań i wadliwą budowę domów.

— Gdybym tylko mógł kiedy postawić dom dla siebie — mówił jeden z dziennikarzy—przedewszystkiém wyrzuciłbym z planu suteryny i suteryniarzy.

A Krępic usłyszawszy to, zbliżył się i zaraz zauważył — że to jest zdanie bardzo trafne i słuszne, że suteryny są zabytkiem barbarzyńskim, godnym czasów średniowiecznych i że społeczeństwo powinno już pomyśléć o stawianiu mieszkań, wyjątkowo dla warstw uboższych.

— Suteryny — mówił — są istnym rozsadnikiem chorób nie tylko fizycznych. Chcąc się o tém przekonać, dość zobaczyć te nory i sprawdzić ile rodzin w każdéj się mieści.

Spojrzano na niego z wielką uwagą, a dziennikarz który marzył o postawieniu domu dla siebie i suteryny uważał za zło o tyle, o ile ich nieletni mieszkańcy wylegający z wiosną na podwórze, przeszkadzali mu w pracy, chwilę pomyślał i odparł.

— W zasadzie masz pan racyę, tylko gdyby nasz robotnik i rzemieślnik nie pił, miałby na własną suterynę.

— O, to z pewnością — poparło go kilka głosów, ale Krępic odparł na to trochę żywo.

— Ten sposób rozumowania jest bardzo przyjemny głównie z tego powodu, że zupełnie uspokaja sumienie mówiącego. Ale tę kwestyę można tak odwrócić! Znośne mieszkanie możeby więcéj ciągnęło robotnika do domu, rozwinęłoby w nim poczucie zwiększonych potrzeb i niejednego powstrzymało od kieliszka.

Te słowa stały się powodem do bardzo ożywionéj dysputy, a tym czasem redaktor jednego z większych dzienników politycznych, zbliżył się do Krępica i odprowadziwszy go w głąb pokoju zapytał:

— Czy pan zna tę kwestyę bliżéj?

Krępic spojrzał mu w oczy uważnie i odparł — że istotnie to go bardzo zajmuje, że pracując w jednéj z większych fabryk, trochę się rozgląda w warunkach, ale że nie wié co pan redaktor rozumié pod „bliższém poznaniem kwestyi.”

Wtedy tamten począł z nim chodzić po gabinecie senatora i starał się go objaśnić — że oni, choć ich przezywają zachowawcami, są rzeczywiście więcéj postępowymi od czerwonych gardłaczy, którzy siły swoich mózgów marnują tylko na to, by na białém dopatrzyć czarnego, że kwestya mieszkań robotniczych jest bardzo żywotna i nie była poruszaną już dawno i że on, Krępic, jeśli zechce opracować jaki artykulik w tym guście, to znajdzie łamy ich dziennika otwarte.

— A czy pan przypuszczasz, że taki artykuł mógłby zachęcić przedsiębiorców? — zapytał Krępic bardzo zajęty.

Ale tu redaktor wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem, to mię nie obchodzi, to już są dalsze konsekwencye, które późniéj mogłyby być nawet tematem do niezłéj polemiki. Dla nas najważniejsze to, że kwestya jest żywotną. My zawsze jesteśmy gotowi myśléć o tém, co społeczeństwu najwięcéj dolega i dla tego bylibyśmy panu bardzo wdzięczni — byle jak najwięcéj danych statystycznych—dla publiczności cyfry to grunt—to wzbudza zaufanie do artykułu, bardzo, bardzo kwestya na czasie.

Mówił tak jeszcze długo i zaprosił Krępica na swoje czwartki, na których bardzo chętnie widywał młode i świéże siły, poczém wrócili do towarzystwa, które już zgodnie przetrawiło suteryny i teraz się karmiło estetyką.

Młody student z *pince-nez* na nosie wołał:

— Więc pan uważasz, że tendencya psuje utwór literacki?

— Bezwarunkowo — odparł z przekonaniem szczupły człowieczek, z twarzą bez zarostu i ruchami z czasów Marivaux'a. — My kry-

tycy żądamy, by autorowie przedstawiali nam życie takiém, jakiém ono jest rzeczywiście. Sztuka nie może być sługą tez, od tego są traktaty.

— Ale zważywszy, że traktatów nie czyta szersza publiczność? —upiérał się młodzieniec, który miał moralne przekonanie, że jego stanowisko społeczne nakazuje mu być w opozycyi.

— Więc dla tego ma miéć zepsuty smak? — zapytał krytyk. — Zadaniem beletrystów i poetów jest kształcić smak, zadaniem krytyków zaś czuwać, by wymogom estetyki stawało się zadość!

— A jednak Dickens zreformował sądownictwo i system szkolny w Anglii! Czy to mu należy zaliczyć do *passiv*'ów?

— Oh! Dickens... my mamy bliższe wzory do naśladowania. Mamy Mickiewiczów i Krasińskich...

— Jakto,—zdziwił się teraz Krępic — pan chce dowiéść, że Mickiewicz pisał bez tendencyi i porywał tłumy tylko formą? Ja bym sądził, że publiczność istotnie wymaga od poezyi i beletrystyki czegoś więcéj niż wiernéj fotografii życia. Jeżeli społeczeństwo żyje w takich warunkach, że jego dążenia i aspiracye nie mają żadnego ujścia i jeżeli, nigdzie nie słysząc o ideałach, pragnie się z niemi spotkać bodaj w książce, to dla niego estetyczna forma chyba nie wystarczy.

W gabinecie zrobiło się cicho. Parę osób spojrzało na Krępica jakby z obawą i wyszło, ale krytyk uśmiéchnął się pobłażliwie i po chwili rzekł:

— Znać, że panowie jesteście bardzo młodzi. Publiczność nie ma żadnych aspiracyi tego rodzaju, to jest tłum, a psychologia tłumu jest bardzo zbliżona do psychologii stada owiec. Jeżeli jedna, popchnięta, albo nastraszona zdecyduje się iść w prawo, całe stado pójdzie w prawo. Bodźcem dla téj jednéj owcy z tłumu publiczności jest krytyka i dla tego literaci słusznie piszą nie dla tłumu, lecz dla krytyki.

— Trochę to nieścisłe — odezwał się na to przyrodnik, posiadający długi, czarny tużurek i długą równie czarną brodę.—Wy wszyscy piszecie przedewszystkiém dla samych siebie, a dopiéro potém dla reszty z konfraterni literackiéj. Publiczność to kłopot wydawców. Wy, stworzyliście sobie królestwo w królestwie, jak masło na słońcu rozpływacie się z rozkoszy, gdy czytacie hymny, które dla was piszą ludzie z tego samego obozu i chorujecie na żółtaczkę, gdy po was jeżdżą ludzie z obozów odmiennych—i na odwrót. To jest zresztą sposób bardzo sympatyczny, bo wytwarza miłą równowagę, która czasami spowodowywa śmierć talentu z niestrawności, ale częściéj do olbrzymich rozmiarów nadyma gazem wzajemnéj adoracyi balony, które podziwia tłum, nic się niedomyślający, co siedzi w balonie.

Przyrodnik pogłaskał się po brodzie, bo lubił gdy go słuchano i zupełnie zadowolony dodał:

— Zresztą, co do stada owiec nie oponuję.

Wszyscy obecni nie wyłączając literatów poczęli się śmiać, a przedstawiciel sztuki wierszowanéj, z okrągłości głowy, rąk i całéj figurki podobny do kombinacyi z kłębuszków, zawołał:

— Fe, profesorze, po co się irytować za to, że was nikt nie czyta — nawet literaci?

— Nie czytacie, bo nie rozumiécie — odparł profesor i poszedł grać w winta.

Towarzystwo jeszcze się chwilę z niego śmiało, potém zaczęło rozmawiać o polityce i Krępic doszedł do przekonania, że zasada któréj się powinny trzymać szklane naczynia, skazane na wspólny żywot z żelaznemi garnkami, nie jest wzięta w monopol przez Zygmuntowego ojca.

Opowiadano sobie nowiny głośno, lub półgłosem, poczém się zgodzono z bezwzględną jednomyślnością — że głupotą jest szczerzyć zęby i szczekać, jeśli się nie ma siły ugryźć i że cała nadzieja w tém, iż młodzież jeszcze niezupełnie zepsuta i że jéj coraz mniéj daje się porywać wstecznym prądom.

Krępica wzięła wtedy chęć rzucić pytanie, co w obecnych warunkach nazywa się prądem wstecznym, ale się powstrzymał i wrócił do salonu.

Właśnie tańczono mazura, a Zygmunt prowadził jakąś młodą osobę w jasno popielatéj sukni i pannę Maniusię. Młoda osoba była prawie tak wysoka jak Znamieniecki, miała ciemne włosy gładko zaczesane, oczy podłużne, z wyrazem bardzo poważnym i odbijała trochę dziwnie nie tylko od swéj sąsiadki, ale od całego tła salonu.

A panna Maniusia zobaczywszy Krępica, pociągnęła tamtych i stając przed nim zapytała:

— Kwiat, czy gwiazda?

— Chciałbym miéć i jedno i drugie — odparł z ukłonem—ale że nie tańczę, muszę być pozbawiony i ozdoby życia i jego światła.

Zygmunt się roześmiał.

— A co! nie chciała pani wierzyć, ale on jest Katonem i nie tylko piękne oczy, lecz bramy piekielne go nie przemogą.

— Szkaradny pan jesteś! — nachmurzyła się panienka - motyl, a gdy odeszli zapytała:

— I to naprawdę pański przyjaciel od serca?

— Tak pani.

— To i pan powinieneś uciekać od kobiet.

— Dlaczego?

— Przez przyjaźń.

— Alboż ja powiedziałem, że Kato ucieka od kobiét? On nawet jest feministą.

— Cóż to znaczy?

— Że jest wielkim przyjacielem niewiast.

Teraz, młoda osóbka w popielatéj sukni dostała się jako gwiazda w chwilowe posiadanie studenta w *pince-nez*, a panna Maniusia znowu się zwróciła do Zygmunta.

— I panowie nigdy się nie różnicie w zdaniach?

— I owszem, ja byłem dotąd wrogiem świata niewieściego.

— Cóż to znaczy, owo „dotąd" i owo „byłem"?

— To znaczy, że zaczynam się zmieniać i że od czasu pewnéj wizyty w Kamionce, dałbym wiele, by być przyjacielem — jednéj kobiety.

Zygmunt mówił wesoło i lekko, tylko jego oczy miały swój zwykły wyraz. Panna Maniusia odwróciła głowę, wszakże po chwili znowu na niego spojrzała.

— Czy pan mówi o Emilci Olchowiczównie? — zapytała żartobliwie.

— Nie — odparł swobodnie, ale głęboko spojrzał jéj w oczy.

Teraz dziewczyna zaczerwieniła się jak mak polny, zadrżała i doznała uczucia jak gdyby przez nią przebiegł prąd elektryczny.

Poprowadził ją do kanapki, a gdy usiedli, ona znowu zapytała:

— Czy pan myślisz, że to tak łatwo zdobyć, albo ofiarować przyjaźń?

— Wiem że nie łatwo, przecież powiedziałem, — „dałbym wiele."

— Wiele... czasem się daje wszystko i nie ma się nic wzamian.

— Wszystko, za przyjaźń? To lichy targ panno Maryo.

Żartowali daléj, przyczém oczy Zygmunta błyszczały niezwykle, oczy jego towarzyszki coraz częściéj się nakrywały rzęsami, a Krępic to patrzył na nich, to się przyglądał parom przebiegającym salon, to słuchał przelotnych rozmów tych, które się zatrzymywały przy nim.

— Nie mamy typów trzeźwych — mówił do młodéj osóbki w popielatéj sukni student w *pince-nez*. — Pierwszy Sienkiewicz zrobił początek i dał nam przecie Połanieckiego, za którego mu się słusznie należy wdzięczność całego społeczeństwa. Płoszowski, to przedstawiciel generacyi, która szczęśliwie schodzi z pola — Połaniecki to typ przyszłości, który zostanie skrystalizowany w nas, młodych.

— A jabym sądziła, że pan źle zrozumiał Połanieckiego — odezwała się jego towarzyszka. — Byłoby smutno, gdyby młodzież przyszłości była tak wygodnie praktyczną i gdyby w Maryniach Pławickich widziała tylko tę dobrą stronę, że są „bardzo pewne" jako żony.

Odeszli oboje, lecz poważna dama zagłębiona w fotelu przy drzwiach, przeprowadziła ich pogardliwym wzrokiem i rzekła do obok siedzącéj towarzyszki:

— Powaryowali z tym Sienkiewiczem—tylko o tém mówią—ale młodzi muszą miéć na wszystko modę. Taki Płoszowski niby się to kochał, niby się miał oświadczyć, w końcu się nie oświadczył, nie ożenił,—panna byłaby głupia czekać—i czego chciał, to tylko wié jeden Sienkiewicz, chociaż, jabym nie dała trzech groszy, że i on nie wié... Wolałam ja dawniejsze powieści!

Krępic mimowoli się uśmiéchnął, ale potém znowu popadł w smutną zadumę. Pomimo gwaru i niekłamanéj wesołości, która zdawała się wypełniać salon po brzegi, a właściwie wskutek gwaru i wesołości, jemu było nieswojo i samotnie.

Rozdźwięku między bodaj chwilowym, własnym nastrojem i chwilowym nastrojem otoczenia, młode dusze nie są w stanie analizować spokojnie. Odczuwają go tak silnie, że o ile są wtedy skłonni do uogólniania wniosków i faktów, o tyle zupełnie zatracają zdolność do bezstronnego zastanawiania się nad ich przyczyną.

Krępic w gabinecie senatora zostawił humor, który był wyniósł dzisiaj z biura, a teraz patrząc na postrojone kobiety, myślał o matce i mówił:

-- Lalki!

— Optymistą go nazywali w instytucie i kto wié, czy nie mieli racyi. Może naprawdę większość ludzi jest bezduszna, głupia, albo znikczemniała? Może naprawdę walka z tą głupotą i znikczemnieniem będzie nie ciężka, lecz wprost niemożliwa, bo podniesiona przez jednostki odosobnione? Ibsen ufa tylko w siłę takich odosobnionych, wierzy w moc filarów, na których stanie gmach przyszłéj prawdy, ale kto wié, czy wielki mistrz pesymizmu, nie jest waryatem, biédnym don Kichotem—optymistą?

Krępic już oddawna miewał wrażenia, że przed nim, zwolna, wznosi się mur, który go oddziela od jego wielkich ukochań. Ale tu poraz pierwszy uczuł, że ten mur jeszcze wytwarza w koło niego próżnię i że takie uczucie odosobnienia, zamiast potęgować energię, wbrew twierdzeniom ibsenowskiego bohatera osłabia ją, a nawet prawie sprowadza do zera.

Nie lubił się poddawać zniechęceniu, ale obecnie było mu jakoś trudniéj otrząsnąć się z niego.

— Gdyby tak namówić Zygmunta i dać nura?—myślał i począł szukać wzrokiem kolegi.

Lecz nim go odnalazł, spotkał się z oczami, które tkwiły w jego twarzy, badawcze i poważne.

— Aha, to owa przeciwniczka Połanieckiego — przeleciało mu przez głowę.

Tuż obok niéj siedział Zygmunt, a daléj panna Maniusia, więc Krępic się zbliżył i stanął przed nimi.

— Widzę, że się pan nudzi! — zaśmiała się panna Sławska, poczém ruchem głowy wskazując sąsiadkę Zygmunta dodała.

— Ta poważna osoba także się nie zachwyca tańcem, więc powinniście się państwo pocieszać wzajemnie.

— Naprawdę?—zwrócił się zaraz Krępic do właścicielki popielatéj sukni i poważnych oczów.

Uśmiechnęła się, a ten uśmiéch szedł jéj nie tylko z ust, lecz także z oczu i całą jéj twarz rozjaśnił.

— Ależ i owszem, lubię się bawić—odparła — tylko nie zawsze się jest w odpowiedniém usposobieniu.

— To znaczy, że pani wyjątkowo dziś nie jest nastrojona na nutę majorową—zauważył znów Krępic i siadł przy niéj.

W tym samym, trochę żartobliwym tonie rozmawiali jeszcze chwilę, poczém ona urwała i patrząc mu w oczy z jakimś dziwnym wyrazem rzekła:

— Jestem panu serdecznie wdzięczna za Staśka Palczaka.

Był tak żdziwiony, że się cofnął.

— Nie rozumiem... jakim sposobem... skądżeż pani wié o istnieniu Staśka Palczaka?—zaczął wreszcie i patrzył na nią badawczo.

Ona zaś roześmiała się, widocznie ubawiona jego miną.

— O! nie tylko wiem, ale znamy się bardzo dobrze i oddawna. Pierwsza nitka sympatyi zawiązała się między nami w zeszłym roku przez jego małą siostrę, z którą wyjeżdżałam na letnie kolonie.

— Pani wyjeżdżała na letnie kolonie?...

— Jako nauczycielka. W tym roku także pojadę.

Przyglądał jéj się coraz bardziéj żdziwiony.

Skąd w tym salonie wzięła się nauczycielka i do tego taka, która wyjeżdża z dziećmi na kolonie?—myślał.

A ona tymczasem mówiła.

— Stasiek przychodzi do mnie z każdą książką, jaką tylko od pana dostanie i gdybym go nie wypędzała, mógłby godzinami ba-

wić mię opowiadaniem o panu inżynierze. Czy pan zna całą jego rodzinę.

— Nie, tylko ojca. Był dawniéj woźnym w jedném z czasopism, a teraz jest przedsiębiorcą który w naszym domu obsługuje wszystkich osobników męzkich, nie posiadających żon.

Uśmiéchnął się.

— To jest zabawny człowiek. Przez dawne stosunki redakcyjne, dostaje jakimś sposobem dwa tygodniki i czyta je od deski do deski. Niech pani zgadnie jakie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a on rzekł:

— „Przegląd tygodniowy” i „Przegląd katolicki.” Czasami wyciągamy go z Zygmuntem na dysputę i bawimy się kokosowo! Ah, przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi. Znam język studentów, a że pan nie dawno przestał być studentem, więc się wybacza.

Krępic zapomniał o pesymizmie i o Ibsenie i co chwila śmiał się teraz tak szczerze, jak panna Maniusia.

A gdy wrócili do domu, już szary świt zaglądał przez okna.

— Jakże się bawiłeś? — zapytał Zygmunt?

— Z początku byłem zły, ale późniéj bardzo dobrze. Nie wiész jak się nazywa ta panienka w popielatéj sukni?

— Nie wiem.

— Wyobraź sobie jakaś nauczycielka i w dodatku zdaje się bardzo porządna dziewczyna. Zachodziłem w głowę, skąd ona się wzięła w takiém towarzystwie.

— Aha! — mruknął Zygmunt już w łóżku. — Musiałeś się ładnych rzeczy nasłuchać w gabinecie wuja, ale dziś mi się chce spać i w dodatku już wolę sobie nie psuć humoru. Jutro musisz mi opowiedziéć, jak rozwiązywaliście węzeł wuja senatora... tylko nie zapomnij nic...

Krępic byłby wolał wygadać się zaraz. Nie chciało mu się spać, miał w głowie urywki mazura i walców i czasami jak echo wracały do niego słowa nauczycielki: Jestem panu serdecznie wdzięczna...

— Musi być inteligenta i ma serce... Ciekawość, czy doznaje takich zniechęceń jak on... ale zkądże by? Do tego jest potrzebny wzrok daleki i głęboki, marzenia szerokie i—życie. Skąd ona może znać życie? Czy przyjrzała się kiedy z bliska szarym masom, chciwym, zuchwałym, kłębiącym się nienawiścią w ciemnościach nierozjaśnionych ani iskierką światła, ani źdźbłem miłości? Czy jest w stanie pojąć ca-

łą nędzę ludzi, którzy śpią strachem przykryci i dobrze im, bo mają spać na czém albo nicość tych którzy u steru zasiedli i jak w togi tak się owinęli w sztandary, że zasłonili przed sobą i za sobą—wszystko.

Podniósł się, stanął przy oknie i oparłszy czoło o chłodne szkło, stał bez ruchu.

Miasto spało, jego oddech tłumiony nocą dolatywał aż tu, niby daleki szept wodospadu, w górze błękitniał pobladły szmat nieba złotem tkany, światło i gwiazdy bielały.

Krępic zapatrzył się na szare morze dachów i murów i oto, poczęło go nagle zdejmować rozrzewnienie i litość dla téj półmilionowéj masy istnień, która pod témi dachami śpi, niepewna co ją czeka jutro, radość czy cierpienie.

A potém podniósł wzrok w górę. Okrawek nieba począł mu w oczach rosnąć, obejmował coraz szersze przestrzenie, coraz dalsze horyzonty, aż porwał za sobą jego wszystkie myśli i ziemię niemi objął. Teraz chłopak odetchnął i zapatrzony w mleczną przestrzeń uczuł w sobie tyle mocy, że gdyby ten jego świat miał tylko jedną duszę, gdyby on mógł ją przygarnąć do piersi jedném objęciem i tchnąć w nią własnego ducha—niechajby ją wyziębili na sopel lodu... Bodaj ofiarą własnego życia rozgrzałby ją—aż do zdolności kochania!

IV.

— Panowie, przynoszę wam odpowiédź pana Rotte'go!

Szef miał minę sztucznie uroczystą, z kącików jego ust i z każdego zagięcia pomarszczonéj twarzy wyglądał szyderski uśmiéch.

Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski podnieśli się natychmiast i zbliżyli do dyrektora biura. Reszta wstawała ze swych miejsc jakby się ociągając, a pan Aromacki mówił.

— Ci z panów którzy zdążyli się porozumiéć z właścicielem fabryki, pozostają na wiadomych im warunkach. Technicy, pan Krępic i Znamieniecki zechcą łaskawie pofatygować się do kantoru, gdzie na nich pan Rotte czeka. Inżynierowie Rańkowski i Matelski zostali uwolnieni na własne żądanie...

Milczenie. Szef stał na środku sali i patrzył na swych podwładnych, podzielonych na dwie gromadki. Po jednéj stronie Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski, po drugiéj reszta; pierwsi z nieopisaném zdziwieniem na twarzach, drudzy bardzo zmieszani.

— Więc ci panowie, porozumieli się z właścicielem? — zapytał wreszcie Krępic i ruchem głowy wskazał na Galewicza i jego towarzyszy.

— Czy można się dowiedzieć na jakich warunkach, co do osoby pana Cimaszki? — ciągnął daléj, a głos mu drżał hamowaném oburzeniem.

— To pozostawiono do uznania panu Rotte'mu.

— Aaa... tak.

W głosie Krępica była nieopisana pogarda, a szef znowu się szydersko uśmiéchnął, poczém rzekł.

— Nie lubię takich maskarad, bo wiem na czém się zwykle kończą i dla tego mojego podpisu nie dałem. Wszakże bardzo mi przykro, że ci z panów którzy mogą najmniéj ryzykować, zostali wysadzeni z siodła. Pan Matelski ma sześćdziesiąt rubli miesięcznie i o ile wiem utrzymuje matkę, inżynier Rańkowski zaś, posiada bardzo liczną rodzinę... Nierozumiem, jak można o takich rzeczach zapominać.

Tu zwrócił się do Znamienieckiego i Krępica.

— Zdaje mi się, że cała wina leży po stronie panów. Wszelkie zbiorowe protesty były dotąd nieznane w naszéj fabryce. Do panów więc należy skorzystać ze stosunku jaki was łączy z panem Rotte i złe naprawić. Myślę, że ta cała komedya skończy się na niczém, byle pan Znamieniecki zechciał się o to postarać.

Zygmunt był ździwiony.

— Jakto, komedya? Pan to nazywa komedyą?

— Tak, dla tych panów, te rzeczy nazywają się farsą — przerwał mu Krępic i wyprostowany mierzył wzrokiem Galewicza — tylko, ja z takimi ludźmi kolegować nie będę. Uważam Cimaszkę za mniejszego szubrawca.

Stał chwilę, jakby czekał na odpowiédź, poczém zwrócił się do szefa.

— Jutro pierwszy, więc mam prawo uważać się za uwolnionego od obowiązków.

I wyszedł, a wkrótce potém wyszli Znamieniecki, Rańkowski i Matelski.

— Jeżeli panowie sobie życzycie — rzekł pierwszy — pójdę do Rotte'go i sprobuję pomówić z nim w waszym interesie. Rotte jest kolegą mojego ojca, który kiedyś dał mu kapitał na jego pierwsze przedsiebiorstwo. Myślę, że może mi nie odmówi, zwłaszcza, że roboty w biurze jest dużo, a my z Krępicem ustępujemy.

Tamci milczeli obydwaj, wreszcie Rańkowski zaczął pierwszy.

— Nie dziękuję panu. Nie przewidywałem takiego końca, bo wszyscy razem nie ryzykowaliśmy nic. Dyrektor byłby musiał ustąpić, ale teraz trudno. Słowo się rzekło i jeśli Cimaszko ma pozostać, ja się postaram o inne miejsce. Uśmiechnął się gorzko.

— To może będzie skuteczna nauka dla tamtych. Pan Krępic powiedział im trochę za ostro, ale... oni już widać nie biorą takich rzeczy do serca.

— A ja myślę, że to będzie nauka ze skutkiem wręcz odwrotnym. Dowiedzieli się na cudzéj skórze, jak jest niebezpiecznie żartować z kaprysem pana dyrektora—roześmiał się Znamieniecki i bardzo serdecznie uścisnąwszy ręce obydwóch poszedł do domu.

Lecz ten dzień był widocznie przeznaczony na niespodzianki, gdyż tego samego wieczoru zjawił się w mieszkaniu przyjaciół Galewicz.

Zerwali się obydwaj bardzo ździwieni, a nieproszony gość chwilę zatrzymał się przy drzwiach, poczém nagle się zbliżył i zaczął mówić, widocznie zmieszany.

— Przepraszam panów... To jest przykre nie tyle dla was, ile dla mnie, ale ponieważ najwięcéj zawiniłem... zresztą mnie szczególnie zależy na tém, byście zmienili zdanie...

Patrzyli na niego zimno i nie prosili siedziéć, on zaś odetchnął i mówił daléj już trochę pewniejszym głosem.

— Po wyjściu panów z biura porozumieliśmy się wszyscy i pomimo protestu pana Aromackiego, udaliśmy się do pana Rotte'go. Tym razem ustąpił. Czy pan zechce teraz cofnąć to, coś nam powiedział w biurze?

— Tak, przepraszam pana — rzekł Krępic i wyciągnął do niego rękę. — Zatém Cimaszkę wyrzucą?

— Wyrzucą.

— A Rańkowski i Matelski?

— Zostają, przecież nam szło głównie o nich.

— No, to szczęśliwie! Siadaj pan.

Ale Galewicz nie chciał siadać. Przyszedł tylko im się wytłómaczyć, oraz zapytać, czy nie mogliby się porozumiéć z Rańkowskim.

— Ja muszę jeszcze być u Matelskiego--kończył. — Przyszły nowe zamówienia i pan Rotte sobie życzy, by jutro nie brakowało nikogo w biurze.

— Dobrze, pójdziemy do Rańkowskiego. Z dobrą nowiną w kieszeni, to nie przykrość! — zawołał Zygmunt i odprowadził Galewicza aż do drzwi.

Potém wrócił. Chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie uścisnęli się, bo mieli w sercach uczucie zadowolenia i tryumfu.

A gdy przy ulicy Smolnéj zadzwonili do mieszkania starego inżyniera, otworzył im drzwi Matelski.

— Jakto, pan tu? — zdziwił się Zygmunt.

— A tak, razem się pocieszamy.

Ale Krępic począł go potrząsać za rękę bardzo energicznie i mówił wesoło.

— Prawdziwe pocieszenie dopiéro my przynosimy!

Zaraz też w przedpokoju opowiedział mu szczegóły odwiedzin Galewicza a gdy się zjawił Rańkowski zaczął je powtarzać od początku i z równą przyjemnością. Wprowadzono ich do pokoju, który był zdaje się jadalnym, a stary inżynier posadziwszy ich na małéj kanapce, sam chodził przed nimi, zaciérał ręce i mówił:

— To się spisali!.. Anim przypuszczał... ta Winia ma zawsze racyą.

Potém nagle podszedł do drzwi przeciwległych i zaczął wołać:

— Winiu, pójdź no do nas dziecko!

— W téj chwili ojczulku! — odpowiedział głos który wydał się Krępicowi nie obcym.

I zaraz też weszła do pokoju młoda, wysoka osóbka, z ciemnemi włosami zeczesanemi gładko i z podłużnemi oczami indyanki.

Gdy się podnieśli, Rańkowski rzekł:

— Nie przedstawiam panów, bo już się znacie z wieczoru u państwa Łamkowskich.

A panna Winia podała rękę jednemu i drugiemu i uśmiechając się trochę smutno, mówiła:

— Zdaje się, że panowie obydwaj nie wiedzieli kim jestem. Tylko ja byłam panią położenia.

Poczém usiadła, a gdy jeszcze weszła pani Rańkowska, znowu zaczęto rozmawiać o wypadkach biurowych.

— Gdyśmy się tu żółcili na naszych koleżków—kończył opowiadanie gospodarz — Winia ich broniła i okazało się, że miała racyę.

Ale Krępic się ździwił.

— Pani ich broniła? I na jakiéj zasadzie?

— Ależ nie. Ja tylko twierdziłam, że w każdym człowieku musi być coś dobrego i że nigdy, nikogo nie należy potępiać stanowczo. Teraz témbardziéj będę wierna mojemu przekonaniu.

Gdy weszły i matka i córka zdawały się być bardzo przygnębione, a pani Rańkowska miała nawet powieki jakby napuchnięte od płaczu. Lecz teraz twarze obu rozpromieniły się widocznie, panna

Winia zaś wpadła w tak dobry humor, że ucałowała ojca i zawoławszy — muszę to opowiedzieć dzieciom!—wybiegła.

Matelski przeprowadził ją wzrokiem, a Krępic ten wzrok pochwycił i dojrzał w nim uwielbienie.

— No, a teraz kiedy już wszystko w porządku,—mówił tymczasem stary inżynier — nie puszczę panów i przegawędzimy sobie cały wieczór. Mamusia niech się dla nas wystara o herbatę.

Poczém zwrócił się do młodych i ciągnął daléj.

— My bo się nie bardzo bawimy w gości, ale jeśli kto łaskaw, bardzo jesteśmy wdzięczni i radzi. Salonów jak panowie widzicie nie mamy, bo matka i Winia twierdzą, że lepiéj mieć wygodny kącik dla siebie, niż salon, który się używa raz na miesiąc i próżno miejsce zajmuje. Może i mają racyę.

— Wielką! — poparł gospodarza Matelski.

— Lecz panna Winia wróciła, a gdy usiadła, rozmowa przybrała inny kierunek.

— Czy prawda — zapytała — że firma Rotte'go, będzie miała reprezentacyę w Odesie?

— Prawda — rzekł Rańkowski — i nawet w fabryce już szeptali o domniemanym reprezentancie.

Spojrzał na Znamienieckiego, a Krępic to spostrzegł i zapytał zdziwiony.

— Czy pan mówi o Zygmuncie?

— Tak, wszyscy przypuszczają, że Rotte nie odmówi panu Znamienieckiemu, co nawiasem mówiąc, nie byłoby złym wyborem.

Ale Zygmunt wzruszył ramionami.

— Nie mam zamiaru stawiać kandydatury i nie przyjąłbym reprezentacyi, nawet gdyby pan Rotte ofiarował mi ją własnoręcznie, czy też własnoustnie. Przyzwyczaiłem się do Warszawy.

Rańkowski przyglądał mu się z zajęciem.

— No, — rzekł wolno — pan Rotte jeszcze nigdy nic i nikomu nie ofiarowywał sam — zanadto lubi być proszonym, ale ostatecznie, taka reprezentacya warta trudu. Ze swojemi zdolnościami i towarzyskiemi zaletami, nie tylko pan byś rozwinął interes, ale sam zrobiłbyś majątek w przeciągu kilku lat.

Krępic popatrzył na przyjaciela.

— On nie bardzo potrzebuje robić majątku, bo o tém myśli jego ojciec, a prosić nie umié.

Rańkowski na to pokręcił głową.

— No, jeśli panowie obydwaj trzymacie się téj zasady, to nie daleko zajedziecie.

— Dlaczego? W każdym interesie cenią zdolność i pracę i nam podnieśli na Nowy rok pensye, choć nie prosiliśmy.

— A wiem, wiem i dziwię się, bo u nas tego dotąd nie bywało.

Stary pomocnik inżyniera patrzył na Krępica z życzliwym uśmiéchem, a panna Winia zapytała:

— Któż wobec tego dostanie reprezentacyę?

— Prawdopodobnie Galewicz. Jest próżniak i lekkoduch, ale zdolny, umié chodzić koło swoich interesów i z pewnością teraz pochodzi. Nie wiadomo tylko, jak na tém wyjdzie firma.

— A pan postawisz kandydaturę? — zapytał nagle Krępic.

— Nie.

— Dlaczego?

— A dlaczego pan nie stawiasz swojéj?

— Ja? Dlaczegóż ja mam stawiać? Jestem dopiéro pół roku w fabryce, nie mam protekcyi, więc i szans żadnych i prócz tego...

— Nie umiem prosić — dodał za niego Rańkowski. — Czy pan naprawdę przypuszczasz, że prócz ciebie i pana Znamienieckiego, nikt więcéj nie posiada pewnych właściwości charakteru i — pewnych uprzedzeń?

Skrzywił usta tém właściwém mu skrzywieniem, które nadawało jego twarzy wyraz równocześnie szyderski i smutny.

— Ja siedzę w fabryce dwadzieścia lat i mam siedmdziesiąt rubli miesięcznie. Orzeł ze mnie nie jest, to prawda, całe życie się kuło, ale pracę się dawało, jak się mogło. Ano, w zeszłym roku Stelski et Com. chcieli mię wysłać także, lecz zawiązałem los i sobie i dzieciom, bom głupi!

Krępic nie spuszczał z niego oczu.

— I czemu, czemu pan nie przyjąłeś? — zapytał szybko, prawie gorączkowo.

— Czemu? A no — ja chciałem, bo już mam po grdykę biédy i swojéj i pędraków — tylko, u nas na nieszczęście baby rządzą. Moja żona,—tu ruchem głowy wskazał na panią Rańkowską, która z pomocą podlotka w mundurku nakrywała stół do herbaty—otóż kobieta na nos utyka od roboty, bo to jeszcze ma czterech chłopaków, ale jak przyszło co do czego, stanęła jak mur. A ta gęś — tu wskazał ręką na pannę Winię, która już nie słuchała co jéj mówił Matelski i miała mgłę na oczach—dawaj w płacz, w prośby i w przyrzeczenia, że sama na wpisy chłopaków zarobi. Cóż mógł na to poradzić, taki stary niedołęga jak ja?... Tak, tak, drodzy panowie, zaszlibyśmy

nieraz daleko, daléj niż myślimy, tylko na gorszą biédę, kobiety mamy uparte, jak ten pérz na ugorze. Depcz po tém, orz pługiem i bronami włócz, a to precz zielone pióra puszcza i tak puszczać będzie, da Bóg, zawsze.

Zatrzymał wzrok na ciemnéj głowie córki, a było w tym wzroku tyle dumy i prawie pychy, ile zazwyczaj mieściło się w nim gołębiéj poczciwości. Lecz pani Rańkowska poprosiła na herbatę, ukazało się też czterech chłopców w szkolnych bluzach, z których najstarszy mógł mieć pietnaście lat, a najmłodszy z dziesięć i wszyscy zasiedli przy stole.

Krępic miał miejsce przy pannie Wini, był czegoś ogromnie rozradowany i co chwila zamienial błyszczące spojrzenie z Zygmuntem, który w tym jasnym lecz skromnym pokoju, obok chłopaków z rozwichrzonemi czuprynami, Rańkowskiego i nazbyt wybujałéj postaci biurowego kolegi, wyglądał jak królewicz z bajki.

Panna Winia to zauważyła.

— Nasłuchałam się wiele o urodzie pana Znamienieckiego — rzekła do Krępica — na balu wydał mi się trochę szablonowym, ale teraz widzę, że to jest rzeczywiście twarz niezwykła i wprost przepiękna.

— Miał taką piękną matkę — odparł Krępic, poczém jeszcze zapytał.—Czy pani to wszystko słyszała od panny Sławskiéj?

— Tak.

I uśmiéchnęła się.

— Panie się często widują? Skąd ta znajomość?

— Niezupełnie w naszym to stylu, prawda?

— Nie wiem jak mię pani zrozumiała, ale jeśli dobrze, to prawda.

— I owszem zrozumiałam, tylko pan się trochę myli. To bardzo dobre dziecko, to materyał z którego odpowiednie warunki mogłyby zrobić coś poczciwego. Już od paru lat daję jéj lekcye muzyki, a teraz—wiész pan czego?

Patrzył na nią pytającym wzrokiem, więc zaraz dodała.

— Historyi i nauk społecznych.

— Skądże taki kaprys?

— Otóż właśnie pan się myli, bo nie kaprys. Nie zawsze rozumié pana Znamienieckiego i przyszła do przekonania, że za pomocą tych kluczy zrozumié go lepiéj.

Krępic się zamyślił i po chwili rzekł:

— Więc to aż tak seryo? Szkoda!

— Czemu szkoda?—spytała panna Winia.—Ona ma ze dwakroć posagu po ojcu, a będzie miała jeszcze ze dwa razy tyle, bo pan Łamkowski zapisze jéj wszystko. I matka i ojczym ubóstwiają to dziecko.

— Zdążyłem to zauważyć, ale nie przypuszczałem, żeby pani była taką materyalistką.

Powiedział to żartem, lecz ona się zarumieniła i poczęła tłómaczyć, a on na to rzekł poważnie:

— Wyraziłem się — szkoda, bo mam wątpliwość co do Zygmunta. Jest na tym punkcie szczególnie egzaltowany. Doznawał w życiu niewiele serca, własnych uczuć nie rozpraszał i twierdzi, że żona musi mu to wszystko wynagrodzić. Nie ożeni się bez gwałtownéj skłonności, na którą czeka aż przyjdzie sama i do któréj, przypuszczam, będzie zdolny.

Teraz zamyśliła się panna Winia, popatrzyła na pana Znamienieckiego i rzekła:

— Szkoda!

Ten wieczór przeleciał wszystkim jak na skrzydłach i wszystkim zdaje się, pozostawił miłe wrażenia.

— Jeżeli kiedy czas się będzie dłużył, prosimy bardzo — rzekła przy pożegnaniu Rańkowska.

Jéj mąż zaś dodał:

— No, już drogę panowie znacie... ale, może was trzeba re-wizy-tować, bo to wy na te formy zwracacie uwagę.

Lecz Znamieniecki potrząsnął głową.

— Nie zwracamy i nie będziemy zwracali, tylko byłoby nam bardzo przyjemnie mieć pana u siebie.

— O tak, bardzo!—poparł przyjaciela Krępic.—A my tu będziemy zaglądali jak do zdroju, z którego się czerpie wiarę i odwagę.

Na co panna Winia się uśmiechnęła i podając mu rękę, rzekła pół seryo, pół żartem:

— Proszę przychodzić, ile razy będzie panu smutno.

— O, w takim razie gotów jestem pragnąć częstych smutków!

— Nie, tego pan nie pragnij—odparła—tego jest aż nadto, wszędzie, gdzie spojrzéć.

Zdaje się, że tylko inżynier Matelski nie był zupełnie zadowolony.

Odszedł do domu ze spuszczoną głową, kiedy obaj przyjaciele wracali w bardzo dobrych humorach. Zygmunt pogwizdywał i co chwila mówił:

— Porządny człowiek! Takich, trochę mniéj niż kamieni przy drodze!

A Krępic milczał, lecz po głowie latały mu myśli tak jasne, jak te białe płatki, które majowy wiatr otrząsa z kwitnących wisien.

— Sam! Czemu on bał się téj myśli, kiedy są tacy, którzy się jéj nie boją? Każda z takich myszy polnych zrobi swoje, choć nic nie wié o innych. Jest ich pewno więcéj, może bardzo dużo, ale poznają w sobie braci dopiéro wtedy, gdy się zamienią w milion i pokochają za miliony! A teraz przed siebie, niechaj w ciemnościach, byle z myślą o słońcu! Szczęśliwy Rańkowski! Co można porównać z tém uczuciem, z jakiém on dzisiaj patrzył na swoją córkę? W takim nigdy nie umrze to, co żyć powinno. Los go może prowadzić przez cmentarze, między trupy i szkielety — on od tego widoku nie zlodowacieje, bo w domu czekają na niego serca, które go ogrzeją i przypomną, że jeszcze nie zbrakło tych, którzy mają odwagę żyć i wierzyć! To pancerz, taka gałązka bluszczowa, wyrosła w mroku i chłodzie, przytłoczona głazem, a jednak wieczyście zielona!

— Matelski nie głupi... wiedział gdzie trafić... jak mu podniosą pensyę, pewno się zaraz ożeni i będzie mu dobrze na świecie. Wodzi za nią oczami jak za światłem, tylko, miłość to kwiat, z którego małżeństwo zrobi, co mu się podoba... Główna rzecz dzieci. Rańkowski odradza się przez nie, a taki Bodziewicz... pracuje jak kamieniarz, z temi swemi obwisłemi wąsami jest podobny do czapli, żerującéj na łąkach, lecz gdy wróci wieczorem i weźmie na kolana Janka albo Marysię, Krępic mógłby przysiądz, że téj zapracowanéj godziny ten człowiek-by nie oddał za zbawienie świata. Olbrzymia siła! Bodziewicz obrócił ją całą na poruszenie tylko jednego kółka, jednéj maszyny—rodziny, ale to nie wina siły, że ją w ten sposób zużytkowano. Powinno się przerzucić transmisyę na inne kółka i on, Krępic, nie mógłby żyć, gdyby tego nie był w stanie zrobić. Kto wié, może i Bodziewicz byłby inny człowiek, gdyby jego koło potoczyło się po gładszéj drodze? przecież jest przy nim ona!

— Matelski wygląda na konkurenta, prawda? — zapytał głośno.

— A tak, ma dobry gust.

— Co, podobała ci się? Oczy ładne, ale troszkę jakby skośne.

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Co ty się znasz! To właśnie ich cały urok. Gdyby Maniusia Sławska je miała, przy tym swoim wschodnim nosku, Warszawa-by za nią szalała.

— A jabym myślał, że panna Sławska ma ładniejsze oczy, bo większe.

— Jak u kozy... dzieciak!—a to, kobiéta! Pójdziemy tam znowu, wolę to, niż rozmazanego Bodziewicza, który jest zły przy gościach, bo przecie ma żonę i dzieci dla siebie, nie dla kogo.

Krępic zaś odparł:

— Pójdziemy, ale i do Bodziewiczów trzeba zaglądać. Ona takie biédactwo, nigdzie nie bywa, bo „Jaś nie lubi i jest taki zapracowany!" odmawia sobie książek, bo czytelnia kosztuje pół rubla—„a on taki zapracowany." Dziwna rzecz, jak niektóre kobiéty umieją się wyrzec siebie... i taka panna Sławska... kto wié, czyby nie była podobną...

Zygmunt parsknął śmiechem.

— Przecholowałeś w optymizmie, bo co do téj, upewniam cię, że wszystkich poświęci dla swego—chcę.

— Nie prawda, miłość przetwarza kobiéty, tylko ty nie umiész patrzéć... Jabym ci radził, żebyś się z nią ożenił, zamiast jéj głowę zawracać.

Zygmunt aż stanął.

— Człowieku o znanéj logice, gdzie się podziało światło twego mózgu? Moja żona, matka moich dzieci, ta koza – motyl! Nie, jesteś dziś w usposobieniu krotochwilném!

Zadzwonił do bramy, a gdy się znaleźli u siebie i zapalili światło, dostrzegli na biurku list.

— Od Kuby!—zawołał Krępic i rozerwawszy kopertę czytał:

„Przezacny Katonie i boski Romantyku! Wyobraźcie sobie, że maluczko, a będę się musiał „wylać" z budy. Wątroba mnie boli od téj myśli, albowiem umiłowałem tę nikczemną dziurę, jak żaden Chryzostom nie miłował okrutnéj Marceli. Niewiasty pod psem, ale pal je sześć, kiedy są ludzie! Wypchajcie tam jaki zacny siennik uczciwą słomą, uprzątnijcie kąt pod piecem i gotujcie flotę na trzech. Ja do waszéj spółki mogę się przyłożyć tylko suchotami wszystkich kieszeni. A może tam w któréj budzie jest szpara, to mnie wepchnijcie. Nafta w Paryżu, chodzi i zbiéra dębowe liście, słyszeliście? Poleciał za jakimś palcowym akrobatą, akrobatę na koncercie złapała jakaś choroba, Nafta po przyjaźni dawaj go wyręczać! Jak mu klawisze zaczęły jęczéć, płakać, całować i skowronkować, Francuzki poszalały. Podobno był zgiełk, mdłości, rzucanie kwiatów, noszenie na rękach i wszystko, co się politycznie nazywa entuzyazmem. Nie wiem, co on tam z tym swoim jowiszowym nosem zrobił, boć to ci Panamczycy za Izraelem się nie rozpadają, ale może już teraz tak gra, że mu i nos maleje.

A Wakowicza razem z nadziejami i karyerą wysypali z Dąbrowskiéj. Na jakiś czas wstrzymał się z matką głupich, która mu „furt” obiecywała, że go zrobi naczelnikiem komunikacyi i tymczasem pojechał do jakiegoś „serce wujaszka”, który słabuje i „nie słyszy polepszenia”. Daj mu losie lekką śmierć i natchnienie do zacnego testamentu! Wakowicz dobry chłop, tylko głupi bezecnie, a Nafcie pewno już się zdaje, że jest Kantem w kwadracie i Szopenem w sześcianie. Dajcie pysków i pamiętajcie o sienniku. Wątroba mnie boli okrutnie!

Wasz *Kuba.*

Zygmunt i Krępic trochę się zaniepokoili i zmartwili, a byli téż i radzi.

— Lepiéj, że będzie z nami — zgodzili się obydwaj, Znamieniecki zaś dodał:

— Pewno mu potrzebny zimny prysznic i Warszawa mu go da. Lepiéj!

I czekali go codzień, lecz długo napróżno.

A po dżdżystéj Wielkiéjnocy, powietrzem zaczęły iść fale pachnące wiosną. Zawiał południowy wiatr, rozegnał chmury, a potém do ciepłéj ziemi przypadł i młodemi źdźbłami ruszał, jakby się radując, że słońce na świat spojrzało i śmieje się.

Była wtedy niedziela, Zygmunta zabrali Łamkowscy na obiad, Krępic siedział w domu sam i patrzył jak na gzémsie okna trzepotały się dwa wróble. Ciepły wiatr poruszał firanką, na stole drgała jasna plama słońca i zdawała się szeptać—wiosna! Młody inżynier zawsze w takich chwilach czuł w sobie i radość i smutek. Wracały fale wspomnień bardzo dawnych i bardzo kochanych i grały mu na duszy jak pieszczota. Wtedy odczuwał ciepło słońca, innego niż teraz, widział fale rzeki, srebrne na pomarszczonych grzbietach i widział jeszcze bose chłopię, uwijające po łąkach na źrebaku — depczące złotogłowia z kaczeńcu, ze skowronkiem nad głową i pieśnią w duszy... Hej! jakie to stare dzieje!

W takim dniu samotność ciąży jak ołów. Krępic porwał za kapelusz i wmieszał się w tłumy, które się ulicą toczyły stubarwną tęczą i miały na twarzach wiosnę.

— Jeżeli natura dała ludzkim sercom aż tyle przeczucia szczęścia, to tego szczęścia musi być dużo na świecie, tylko trzeba umiéć szukać i znaléść! — myślał i szedł tak prędko, jakby istotnie coś gonił. A potém nagle stanął. Nie, ten tłum nic go nie obchodzi, on musi iść do ludzi, którzy mu są bliżsi, do takich, którzy się kochają. A więc dokąd? Do Rańkowskich, czy do Bodziewiczów?

Bodziewiczowie, to równoznacznik rodzinnego ciepła i miłości, jemu teraz potrzeba choć popatrzéć na takie cieplo — pójdzie do nich.

I poszedł, a po chwili wszedł w bramę domu przy ulicy Złotéj i w poprzecznéj oficynie na trzeciém piętrze zadzwonił.

Bodziewicz, który miał posadę na kolei i najem powozów, cały tydzień pracował jak murzyn, a w niedzielę spał.

I teraz tak było. Za to pani Marychna siedziała w saloniku, u jéj nóg na dywanie bawiły się dzieci, obok niéj panna Emilcia opowiadała coś bardzo żywo. Obie powitały Krępica serdecznie, a pani Bodziewiczowa rzekła:

— Bardzo pan dobry, że pan przyszedł.

Na co Krępic odparł:

— To nie skutkiem dobroci, tylko egoizmu. Mam taką naturę średniowieczną, że czasami tęsknię do widoku ludzi, którzy mają kogo kochać i dlatego przyszedłem.

— Powinieneś się pan ożenić — uśmiechnęła się pani Marychna, a panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Że téż te mężatki chciałyby wszystkich żenić i wydawać za mąż...

— A pani temu zawsze przeciwna?

— O! nic pan nie wié! Ona teraz gwałtem się wybiéra na medycynę i cóż tu wobec tego mówić o mężu.

— Seryo?

Ale panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Skądżeż! To jeszcze bardzo dalekie. Przedewszystkiém wyrób mi u rodziców, żebym mogła po wakacyach wrócić do Warszawy— zwróciła się do siostry.

— Przedewszystkiém wrócisz z patentem do domu i będziesz się leczyła. Wygląda jak cień, prawda, panie Krępic?

Istotnie bardzo wyrosła i przypominała roślinę, hodowaną bez słońca i zanadto wybujałą. Twarzyczka jéj się wyciągnęła, a przy papiérowéj cerze i lnianych włosach, oczy niemal raziły wielkością i ciemnym blaskiem.

— Tak, pani rzeczywiście potrzebuje wypoczynku — zgodził się Krępic, przyczém pomyślał, że te jéj oczy są chyba ładne, ładniejsze od oczu panny Maniusi i Wini, bo bardzo duże.

— Szkoda, że taka blada, biédactwo! — myślał daléj, a głośno rzekł:

— Czemu panie dziś nie wyszły na spacer? Śliczny dzień i pannie Emilii słońce zrobiłoby dobrze.

Lecz panienka wzruszyła ramionami.

— Także pan wpadł na pomysł! Przecież Jaś nie mógłby spać, gdyby nie wiedział, że tu są wszyscy i że z utęsknieniem wyglądają jego przebudzenia.

— Gdybyś miała męża — uśmiechnęła się na to pani Bodziewiczowa — i gdyby ten mąż pracował na ciebie od rana do nocy, nawet nie zwróciłabyś uwagi na taki kaprys. Niedziela, to jego jedyny dzień odpoczynku, zatém powinna być taka, jaką on ją chce mieć.

— O! on ma wszystkie dni w tygodniu takie, jakie chce mieć! Ożeń się pan, panie Krępic!

— I owszem, niech mnie panie wyswatają.

Ale pani Marychna pogroziła siostrze palcem, poczém zwróciła się do gościa i rzekła:

— Nie mów pan o tych rzeczach tak lekko. Małżeństwo, a zwłaszcza dobre, nie łatwo skojarzyć. Młodym się zdaje, że byle przybić do tego portu—już dobrze, a tymczasem to dopiéro początek. Dopiéro po ślubie wypływają na tę gładką wodę maleńkie różnice upodobań, temperamentów, przyzwyczajeń, jedném słowem — drobnostki, które tych dwoje związanych na życie, albo złączą jeszcze silniéj, albo powoli wzniosą między nimi tamę.

— Która bardzo często pęka z ogromnym hukiem plotek—roześmiała się panna Emilcia.

— Właśnie. Kobiéty wkładają obrączki jak rękawiczki, a potém kuleją po drodze, bo nie mają w sobie tego ciepła, które pozwala zapomnieć o małych nierównościach gruntu i wybojach. Tylko z ciepłem w duszy powinno się zawijać do tego portu i — żeby nierówności i wyboje stały się kitem, nie tamą, to ciepło powinno być prawdziwe i jedyne.

— Więc pani wierzy, że prawdziwe uczucie przychodzi tylko raz w życiu?

— A naturalnie. Inaczéj nie byłoby tyle pomyłek i tyle nieszczęśliwych małżeństw.

— W takim razie ci, którzy się pomylili, powinni odzyskiwać wolność! — zawołał żywo Krępic.

Lecz panna Emilia się zerwała.

— Rany boskie! Toż już dajcie pokój, bo usnę, tak jak dzieci.

I wskazała ręką na Janka i Marysię śpiących na dywanie, a równocześnie we drzwiach pokazał się Bodziewicz.

Miał zmięte ubranie, potargane włosy, oczy podpuchłe i wąsy jeszcze bardziéj obwisłe, niż zwykle.

— A dla niéj on jest najpiękniejszy—pomyślał Krępic i podniósł się na spotkanie gospodarza domu.

Uścisnęli się za ręce, poczém Bodziewicz podszedł szybko do dzieci i klękając na dywanie, rzekł z wyrzutem:

— Jak możesz, Marychno, znieść taką poniewierkę na gołych deskach?

I uniósłszy Janka w górę, ostrożnie, jakby dotykał wyrobu ze szkła weneckiego złożył go na otomanie.

Lecz pani Marychna odparła spokojnie:

— Nic im nie będzie, niech przywykają do wszystkiego.

Panna Emilcia zaś z błyszczącemi oczami i wesołym uśmiechem przyglądała się szwagrowi.

Przeniósł Marysię, złożył oboje, podsunął im pod głowy poduszkę, a robiąc to wyglądał jak kokosz drepcząca koło gniazda. Potém stanął i patrzył na uśpione twarzyczki z takim wyrazem, jakby je chciał jeść i połykać.

Teraz panna Emilcia klasnęła w ręce.

— No, nie mam-że ja racyi?—wołała. — Za kilkadziesiąt lat kobiéty będą pracowały w biurach, a mężowie będą niańczyli dzieci. Przecież takie zdolności nie mogą się zmarnować. Ożeń się pan, panie Krępic! Umrę ze śmiechu, jak zobaczę pana w roli niańki!

— A ja się będę śmiał, jak ciebie w téj roli zobaczę — rzekł Bodziewicz i siadłszy przy żonie, całował jéj ręce.

Ale panna Emilcia tak silnie potrząsnęła głową, że aż chmurka jasnych włosów uniosła się jéj nad czołem i znowu opadła.

— Pierwéj mnie odwiozą do Tworek! — rzekła z przekonaniem.

A Krępic jéj się przyglądał i mówił sobie, że to rzeczywiście zabawna dziewczyna. Stanowczo inna, niż wszystkie i nawet nie brzydka. Gdyby miała choć trochę kolorów i nie była taka wybujała, byłaby z pewnością ładna. Istotnie to byłoby śmieszne, gdyby takie się zakochało, ale jeszcze za młode—a potém się zmieni.

O dziesiątéj po-żegnał się i wyszedł, przez drogę zaś znowu trochę myślał o pannie Emilii, trochę o Bodziewiczach.

Zauważył dzisiaj, że pani Marychna umié być stanowczą. Gdy Janek i Marysia rozgrymasili się przy herbacie, przemówiła do nich tak energicznie, że aż się zdziwił. W wychowaniu dzieci będzie umiała miéć swoją wolę. Jak bo téż on-by je wychował? Ot, co dały czasy trzeźwości i praktycznéj myśli! Wyrzeczenie się sentymentalizmu zrodziło ojców-histeryków, albo takich idealistów, jak on—Krępic i jemu podobni. Bo i co tu obwijać w bawełnę! Głośno wszyscy są trzeźwi, ale po cichu połowa wprost usycha z głodu serca. Nikt nie od-

bierze ludzkości ideałów. Jeśli je ośmieszą, ona je ukryje głęboko w sercach i zużyje, bodaj na obciéranie nosków własnym dzieciom! Ta mała ma trochę racyi... wyrodziło się plemię rycerskie...

Otworzył zatrzask swego mieszkania, a gdy wszedł, stanął żdziwiony.

Przy stole siedział Kubacki, pił herbatę i jadł suche bułki.

— Kuba! Przecie... myśleliśmy, że cię ziemia pochłonęła... piszemy i piszemy, a ty jak mur!

— Jak mur — nie, ale jak lis obsaczony... nie było czasu i głowy.

— Oj, prawda! tyle masz z lisa, co ja z kaczki. No, daj jeszcze raz gęby i gadaj.

Usiedli, ale Kubacki rzekł:

— Nie będę gadał, aż się najem, bo mi żołądek przyrósł do krzyża.

— Czekaj, suche bułki jész?—zerwał się tamten—zaraz poślę po co, tylko zejdę do szwajcara.

Lecz go Kubacki powstrzymał.

— Nie potrzeba, to bardzo dobre, sam sobie zadysponowałem i to na twój rachunek. Ten mały obywatel, co to u was rządzi, sprytny chłopak. Bawił mnie tu z godzinę. Gdzież Zygmunt?

— U swego wuja, Łamkowskiego, a ja byłem u Bodziewiczów, też kuzynów Zygmunta.

— Aha! więc bywasz u szlachty, a niewiasty tam są?

— A jakże.

— I w jakim téż tak guście, feministki, flirtówki czy gęsi?

Krępic się roześmiał.

— Będziesz musiał się zdobyć na nową kategoryę, bo te, u których ja bywam, są inne.

— Nie prawda, nie ma innych. Siennik dla mnie jest?

— O, masz! Możesz spać tu na otomanie, albo z Zygmuntem na mojém łóżku.

— Wolę tu, po co cię mam wygryzać z nory. A szparę w jakiéj budzie dla mnie macie?

— Stałéj nie, musisz się starać, ale u Rotte'go roboty dużo i Zygmunt pewno cię tam wkręci. Przez jakie pół roku będziesz miał zajęcie.

Kubacki odetchnął i oczy mu zajaśniały.

— To dobrze—rzekł—byle się zaczepić i was nie objadać.

A gdy Krępic spojrzał na niego z wymówką, dodał:

— No, no! Wiem, żeście chłopy zacne, nie płacz!

O dwunastéj wrócił Zygmunt i wtedy obadwaj przyjaciele ułożyli Kubackiego spać, sami zaś siedli przy nim i wszyscy razem gadali do świtu, a właściwie mówił Kubacki.

Gdy umilkł zakończywszy:

— Ot, podłe życie i kwita!

Krępic długo chodził po pokoju, a potém znowu siadł i rzekł:

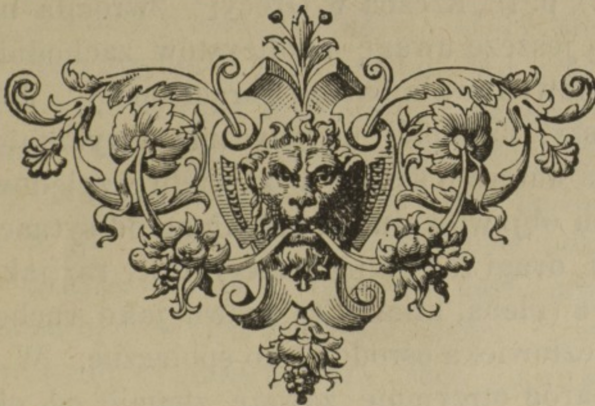
— My już trochę inaczéj patrzymy na te kwestye, ale o tém trzeba pomówić obszerniéj. Dziś już późno i ja powiem ci tylko tyle, że my jesteśmy w szczególnych warunkach, że nie we wszystkiém możemy podążać za innymi i że mamy przed sobą dwa mury, nie jeden. Chcąc oszczędzić sił, kto wié, czy chwilowo jeden cel, nie będzie musiał być poświęcony dla drugiego.

— Albo ty jesteś nietrzeźwy, albo ja, ale nic nie rozumiem — rzekł na to Kubacki.

A Krępic odparł.

— Wierzę, że zrozumiész. Dobranoc!

(*D. c. n.*). *Exterus.*



METRYKA IDEAŁÓW.

Czwarta część dzieła Hipolita Taine'a „Filozofia sztuki" (str. 215 — 292 tłómacz.), p. t. „Rzeźba w Grecyi" zwróciła na siebie w swoim czasie większą jeszcze uwagę publicystów zachodnich, niżli części poprzednie [1]), a spowodowała bardzo gorące spory. Jest to w rzeczy saméj najpełniejszy, najlepiéj metodycznie uwydatniony wywód naczelnego założenia autora o ścisłéj i z wielu względów nieodbitéj zależności twórczych objawów ducha ludzkiego od sytuacyi zewnętrznéj, pojętéj raz więcéj, drugi raz mniéj materyalnie, raz jako przyroda nieorganiczna martwa (gleba, klimat) to znowu jako ruchome, zmieniające pod wpływem człowieka ośrodowisko społeczne. W Grecyi przeważa przyroda. „Naród otrzymuje zawsze znamię od okolicy, jaką zamieszkuje", a znamię to jest tém silniejsze; im naród, w chwili kiedy się osiedla „bardziéj jest nieogładzonym, bardziéj dziecinnym" (str. 217). „Fizyczna budowa kraju pozostawia swe piętno nie tylko na dziełach i na dziejach rasy, która go zamieszkuje, ale też i na jéj umysłowości" (227). „Człowiek trzyma się zawsze tego ruchu, jaki mu od początku nadaje natura" (235). Ludzkość podobną jest do mło-

[1]) Zob. „Ateneum", 1896, zeszyt grudniowy, artykuł p. t. „Ziemski rodowód ideałów."

dzieńców, których Platon porównywa do rumaków poświęconych bogom: „pozwolono im chodzić po pastwiskach ziemi, aby zobaczyć, czy znajdą instynktownie mądrość i cnotę" (259).

Podwalina filozofii, jak się z powyższego okazuje, położona tym razem została twardo, w płytach kamiennych, gatunkowo najwyraźniéj określonych; nie ma tu obecnie żadnéj dwuznaczności. Przyroda fizyczna jest rodzicielką przyrody moralnéj, obiekt powoduje i wychowuje swój subiekt, ziemia, woda, powietrze — jak to po Herderze wykazywał Buckle — obdarzają bytem jaźń myślącą. Otrzymujemy w ten sposób jednorodność wszechistnienia doskonale zaokrągloną i wypełnioną: materya obejmuje i nawskroś przenika ducha; atom wyłania z siebie świadomość; mechanizm zdobywa się na samopoczucie i samowiedzę; ucieleśnienie pcha przed sobą ideę; środowisko nieme i głuche wygniata w swém wnętrzu celowy, tkliwy i wymowny ruch życia. Jeden tylko droby szczegół psuje nieco u Taine'a całość i harmonię monistycznéj téj budowy: „instynkt" — szukający mądrości i cnoty. Jakto, więc sama natura nie wystarcza? więc cnota i mądrość nie pochodzą ze słońca, z deszczu, z kamienia, z gliny?.. A tenże instynkt, za którego pośrednictwem i współudziałem szukać trzeba mądrości i cnoty — to jest spraw nieprzewidzianych na razie — czémże jest ów instynkt, skąd rodem?

Jest on rodem z „rasy." Zgóry to zastrzega i zapowiada pierwszy rozdział pracy Taine'a o sztuce greckiéj, który zamiast nagłówka: „otoczenie", albo „terytoryum", albo „niebo, ląd stały, morze", nosi na froncie napis: rasa. To już zupełnie co innego. Po tym pomoście, łączącym dwa takie krańce, jak otoczenie z jednéj strony i twórczość ożywcza z drugiéj, zajść możemy dokąd się nam podoba. Rasa — to tyle co człowiek, co „ja" zbiorowe, — świadomość pokoleniami nagromadzona, czyli, w danym wypadku, tyle co „naród grecki." Najlżejszego sporu nie może być w tym punkcie. Jeżeli „rzeźbę grecką" wydała z siebie, w sobie wypielęgnowała „rasa grecka" nie zaś jéj siedziba materyalna—w takim razie nie ma o czém mówić: kwestya rozstrzygnięta, widoczna wygrana zawczasu, bez procesu. Nikomu nie trzeba szerokiemi rozprawami głowy zakładać, nikogo długiemi gościńcami obwozić, ażeby przekonać, że woda niemnowa z Niemna się czerpie, lub téż, że „Grażyna" Mickiewicza jest mickiewiczowskim utworem. Wszystko zatém byłoby w komplecie, gdyby nam z kolei Taine zdołał jeszcze okazać metrykę rasy helleńskiéj, jako pośredniczki pomiędzy rzeźbą grecką (któréj rasa ta jest matką niezaprzeczoną) a ziemią grecką (któréj rasa ma być córką autentyczną). Jeżeli istotnie

krew grecka trysnęła z gruntu i klimatu Grecyi w sposób mniéj więcéj taki, w jaki np. Niemen wstęgę swych wód rozwinął ze swych źródeł topograficznych, i ze swych dopływów atmosferycznych,—wówczas już bez obaw o błędy w rachunku przyczyn i stopni genealogicznych, zgodzić się będziemy mogli i musieli na wniosek taine'owski, że z marmurów i złota, z kości słoniowéj i kamieni attyckich Pallada Fidyasza złożyła się równie mocno i wdzięcznie jak się „Grażyna" wysnuła z ruin i pustek zamku nowogrodzkiego. Niestety, wobec syntez zaczepiających o przyrodoznawstwo, Taine bez porównania mniéj jest śmiałym, niźli wobec zjednoczeń estetycznych i dziejowych; łatwiéj mu — tak samo jak i nam wszystkim—wyprowadzić świat cały z głowy Minerwy, niźli ulepić z piany morskiéj—Homera. W przenośni dla retoryki, użyje on chętnie wyrażenia, że wąwozy, góry, zatoki achajskie Odysseę wyśpiewały; ilekroć atoli na seryo wypadnie mu określić filialny stosunek śpiewnéj téj „rasy" do powietrza lub skały, — cofa się niemal z przerażeniem przed stanowczą konkluzyą i prędzéj w takich razach gotówby przypuścić, że „rasa, śpiewając, okrzesuje przyrodę", niźli na odwrót, że „przyroda, rycząc, ociosuje rasę (człowieka)." Bardzo też dobitnie powiada w jedném miejscu: „Nigdzie instynkt nie był tak jasny, a rozum tak samorzutny (jak u Greków); kiedy przy pierwszym przebłysku zastanowienia starają się wyobrazić sobie świat, urabiają go na podobieństwo swojego umysłu" (str. 230 tłóm.; II, 128 oryginału). Buckle, Herder, Monteskiusz gniewnie protestują na odgłos takich herezyi—i Taine, w obronie ich honoru, wraca do meteorologiczno-geograficznego swojego środowiska; nie zawsze jednak klei się mu ono w rękach. Wtedy wydaje orzeczenia połowiczne, mieszane, nieśmiałe: „Sztuka, która robi posąg z metalu, z drzewa, z kości słoniowéj, z marmuru — zwolna, stopniowo i w pewném oddaleniu towarzyszy wykształceniu, które robi posąg żywy" (280). Prześlicznie! Posągi marmurowe lub drewniane zdala podążają za posągami życia, rzeźbionemi przez wykształcenie... Lecz samo to wykształcenie z czego i czém się posąguje?—Z materyi dłońmi ducha, czy też z rasy rękami otoczenia? Jeżeli do wydobycia z siebie urządzeń publicznych, igrzysk, wyścigów, walk gimnastycznych i t. p., w których, zdaniem Taine'a, wykształciło się posąźnictwo greckie, niezbędnemi były (*respective* są): 1) rasa świéża, „nieogładzona, dziecinna", 2) taka osadzka ziemi i takie sklepienie niebios jak w Grecyi („grunt górzysty i biédny", „obecność morza ze wszystkich stron", „przejrzystość powietrza", „słońce pociskami swemi nie raniące" etc.), to jawi się szereg pytań coraz zamętniéj gmatwających wątek głównego, frontowego zagadnienia, a mianowicie: dlaczego żaden z owych

promieni „kształtujących" czy też „wykształcających" nie zajrzał do duszy pierwotnych, „tubylczych" ludów Hellady, którym z pewnością na niemowlęctwie i na nieokrzesaniu nie zbywało, a których przybysze greccy podbili i na helotyzm skazali? — lub też, jeżeli się temu sprzeciwiała zbyt wczesna „doba" historyczna, to dlaczego późniéj zwycięzcy zwycięzkich tych Greków — Turcy, nie wchłonęli w siebie ani jednego, błyskawicznego choćby, odblasku owych pierwiastków, posągujących życie, a za życiem sztukę?...

Zgodność wytwórczości duchowéj z uzdolnieniami rasowemi, a uzdolnień rasowych z przyrodzoném narodu podścieliskiem (środowiskiem, otoczeniem),—ponętna to naprawdę formuła, ale jakże zwodnicza, ilekroć sami my—po tylu wiekach — wysnuwać ją musimy z faktów domyślnych, ze stosunków oderwanych, z promiennego jedynie odbicia umysłowości Grecyi w szczątkach realnego jéj bytu, który już nie istnieje!

Rzeczywiście, z trzech całokształtów, jakiemi są: a) środowisko, b) plemię, c) sztuka grecka, — poprośmy np. Taine'a, aby nam okazał —aby nam dotknąć się pozwolił pierwszego z nich, w konkretném odosobnieniu od dwu innych pobocznych. Spotka nas odmowa. „Z kraju— powiada—pozostał już dziś tylko szkielet prawie. Jak Prowancya we Francyi, jest on ogołocony, zeskrobany i że tak powiem wygracowany; ziemia się obsunęła, roślinność stała się rzadką. Kamień chropawy i nagi, zaledwie tu i owdzie porośnięty nędznemi krzakami, przywłaszcza sobie przestrzeń i zakrywa trzy czwarte widnokręgu..." — i żeby dziś powziąć jakiekolwiek wyobrażenie o tém, czém dawniéj było materyalne to środowisko życia greckiego, użyć należy analogii: przejść się musimy „wzdłuż nietkniętych jeszcze wybrzeży morza Śródziemnego, pomiędzy Tulonem a Hyères, pomiędzy Neapolem a Amalfi — i przedstawić sobie niebo piękniejsze jeszcze, powietrze przezroczystsze, kształty gór wyraźniejsze i bardziéj harmonijne" (234). Więc cóż? — skoro nie można widziéć ojczyzny Fidyasza, to pokażcie nam przynajmniéj jego rodaków. Nie chcecie dać kraju, dajcież ludzi. „Ludzie już nie żyją—pisze Taine. Nie potrafilibyśmy obecnie nawet wyobrazić sobie, czém był i jakim był człowiek ówczesny. Nasze przeładowanie głowy, wielość i sprzeczność doktryn tegoczesnych, nadmiar życia mózgowego, tryb sztuczny i podniecenie gorączkowe czynią nas niezdolnymi do wystawienia sobie tych umysłów świéżych, które zgoła nic nie czytały, nie miały pojęć oderwanych, których wszelka myśl była obrazem, w których każdy wyraz wzbudzał formy barwne, wspomnienia świątyni, igrzysk, biesiad, chórów, brzegów połyskującego morza, cały tłum postaci nawskroś żywych, boskich jak za dni

Homera, a może bardziéj jeszcze boskich" (257, 269). Czy tak? — No, trudna rada; ale skoro nie sposób oglądać ludzi, to niech nam przynajmniéj nikt za złe nie bierze, że rzucimy okiem na dzieła tych ludzi, na ich rzeźby... „Nie ma rzeźby autentycznie greckiéj—odpiéra Taine; nie posiadamy ani jednego kawałka Fidyasza; Polikleta zaś, Praksytelesa, Myrona, Skopasa, Lizyppa znamy jedynie z naśladownictw mniéj lub więcej przybliżonych. Ograniczyć się musimy do dwóch głów—Junony w willi Ludovisi i Jowisza z Otricoli, tudzież do paru tułowi bez rąk, do paru nóg bez palców, do kilku wątpliwych płaskorzeźb z fryzów Partenonu... gdyż to, co nam zostało z rzeźby starożytnéj jest prawie niczém wobec tego, co zaginęło" — i oto dlaczego zniewoleni jesteśmy braki okazów przedmiotowych zastępować okazami podmiotowemi, a luki, przeświécające wszędzie i „we wszystkiém prawie", zasypywać... otoczeniem (215, 216). Lecz jakże luki te zasypywać „otoczeniem", którego—jak nam wyżéj oznajmiono—wcale nie mamy, które, w bladéj zaledwie podobiźnie, odszukać możemy kędyś w okolicach Neapolu i Tulonu? — Tu głos zabiéra wielki *modus in rebus*... Zwie się on: metodą...

Nic ciekawszego nad tę metodę. Okrom kilkunastu wątpliwych okruszyn sztuki greckiéj z bronzu lub kamienia, oszczędzonych przez czas niby „na pobojowisku wojenném", dochowały się po dziśdzień poematy Homera, pisma Platona i Arystotelesa, „Rzeczpospolita" Ksenofonta, Herodot, Tucydydes, Eschylos, Arystofanes, Euklides... przytém „kilka lichych opisów Pauzaniasza, kilka oderwanych frazesów Cycerona, Lucyana, Kwintyliana, jakiś półrozdział Pliniusza"... a nadto, dotrwało na Akropolis,—„puste miejsce, gdzie się wznosiła podstawa posągu Pallady i skąd szlachetna forma bogini zniknęła" (293). Owóż, przypuśćmy teraz, że uczonemu jakiemuś Bréalowi przyszło do głowy zbadać, na podstawie całéj pomienionéj spuścizny, stan mitologicznych wyobrażeń greckich za dni Peryklesa. Pozbiérał on najsumienniéj, najskrupulatniéj wszelkie odnoszące się do tego przedmiotu świadectwa i poszlaki, poczynił zestawienia genialne i w końcu kombinacyami zastąpił lub oswietlił wątpliwe strony swojego zadania; posąźnictwo greckie, jako nader ważny i doniosły współczynnik podjętéj pracy, złożyło również w tych kombinacyach dopełniającą swoją cegiełkę. Ogólny rezultat poszukiwania nazwijmy literą *A*. Zjawia się w drugim rzędzie światły historyk filozofii, dajmy na to Tannery, i postanawia tąż samą drogą, temiż samemi trybami (bo innych nie wymyślono dotąd) dojść do odpowiedzi na pytanie: jaki był stan metafizycznych pojęć od Talesa do Anaxogorasa. Uwzględniwszy należycie źródła (a więc i sztukę grecką), Tannery nie

zaniedbał uwzględnić także i wyniku dochodzeń Bréala oczywiście w zakresie przez siebie obranym; z tego powodu książkę jego zatytułujemy: $B + a$. W dalszym ciągu prof. Alglave wystąpił z obszernym traktatem o urządzeniach publicznych i sądownictwie greckiém od zgonu Likurga i Solona do Filipa Macedońskiego, w ustosunkowaniu do mitologii, filozofii i pięknoznawstwa greckiego; treść tych roztrząsań opatrzyć nam wolno znakiem: $C + a + b$. Niebawem, a w niezbyt długich po sobie odstępach czasu, ukazują się aż trzy rozprawy: Girarda o poezyi greckiéj ($D + a + b + c$), Lichtenbergera o olimpiadach i igrzyskach w dawnéj Grecyi ($E + a + b + c + d$) i Deschanela o attycyzmie, czyli humorze w życiu Greków za czasów Arystofanesa ($F + a + b + c + d + e$). Wreszcie przemówił Winckelmann o estetycznych zaletach rzeźby greckiéj ($G + a + b$... etc.), — wyświetlając na podstawie Sofoklesowego „Edypa z Kolonu", „Odyssei" Homera, „Teeteta" Platona, teoryi sylogizmu Arystotelesa, „Rzeczypospolitéj" Ksenofonta, nieobecnego posągu Pallady, księgi czwartéj Herodota, mitologii Bréala, filozofii Tannery'ego, instytucyi Alglave'a, poezyi Girarda, igrzysk Lichtenbergera, humoru Deschanela i t. d., — że między sztuką grecką, a życiem, umysłowością i otoczeniem Greków zachodzi odpowiedniość „zupełna i doskonała". Ależ, na Boga!—jedno z dwojga: albo jesteśmy we śnie, więc nie dziw, że nie spostrzegamy się na fikcyjności naszych bujań napowietrznych; albo téż jesteśmy na jawie, a w takim znowu wypadku miejmy odwagę wyznać, że cierpimy chyba na chorobę owego „przebiérania przedmiotów za książki", które tak słusznie tegoczesnym pokoleniom wytknął sir Posnett, w pierwszym zaraz rozdziale swéj „Literatury porównawczéj" (Warszawa, 1896). Nikt z nas nie powstrzymałby się od uśmiéchu na widok małéj dziewczynki, co przeodziawszy swą lalkę, zaczyna poszukiwać jéj po wszystkich kątach i nareszcie klaszcze w dłonie z radości, że zrobiła odkrycie: lalka jest w woreczku... Naturalnie, sama ją tam złożyła przed chwilą ($a + b + c$...). Skądże, dlaczego obecnie tak poważnie nastroiliśmy twarze, gdy tenże przewód metodologiczny dokonano przed nami w dziedzinie estetyki? Na miarę i według koloru głowy Junony, głowy Zeusa, torsu Wenery (miluzyjskiéj), popiersia Arystydesa (w Neapolu), posągów Gladyatora (w Luwrze). Fauna tańczącego (w Pompeach), Lacedemonki zdyszanéj (w paryskiéj szkole sztuk pięknych), etc.—odmodelowaliśmy sobie o d p o w i e d n i e działy w otoczeniu, w życiu, w instytucyach, w zabawach, w filozofii, w poezyi Greków; kiedy zaś w godzinę czy w lat sto późniéj wzięliśmy do rąk ową głowę Junony, ową głowę Zeusa, owego Gladyatora i t. d.,

cóż to za nowina, co za wynalazek ogłosiliśmy światu, powiadając, że istnieje „doskonała i zupełna” zgodność—czy też odpowiedniość, —między całą tą rzeźbą grecką, a poezyą, filozofią, zabawami, instytucyami, życiem, otoczeniem dawnych Greków? Albożtéj odpowiedniości i téj zgodności samiśmy wpierw nie włożyli do swego erudycyjnego worka?

Więc wszystko w tém „przebieraniu przedmiotów za książki” marą i złudzeniem? — Nie wszystko. Zaszło tu tylko małe na pozór, lubo w następstwach poważne nieporozumienie estetyka francuskiego—z samym z sobą.

Jeszcze w r. 1863 w klasycznėm przedsłowiu do pierwszego tomu „Literatury angielskiéj”, Taine skréślił filozoficzno-literackie i naukowe swe *credo*, którego wspaniały i świetny początek nie zupełnie dokładnie przypomniał się autorowi „Filozofii sztuki” w kilka lat później. Odczytajmy tylko dwa pierwsze marginesowe streszczenia tego wyznania wiary: 1) „Kopce dokumentów dziejowych są tylko wskazówkami, z pomocą których odgrzebać należy jednostkę żyjącą, osobnika żywego”; 2) „Człowiek cielesny i widomy jest tylko naczyniem, jest tylko konchą, w któréj szukać i badać musimy człowieka niewidzialnego, wewnętrznego.”

Tak jest. Tego wewnętrznego człowieka możemy (z latarką Dyogenesa czy bez niéj) odszukać i poznać w Grecyi. Poznać zaś go potrzebujemy nie tyle przez naszą ciekawość amatorstwa, nie dla wypukłych członków i gładkiéj twarzy owego człowieka, nie w widokach skorzystania z jego jadła, napoju, mieszkania, tańca, wprawy marynarskiéj, przebiegłości kupieckiéj, sprawności wojskowéj — i nie tyle w celu nauczenia się od niego filozofii, krasomówstwa, kunsztu dziejopisarskiego, ile raczéj z tego walnego powodu, że to nasz brat, że w jego żyłach tętniła ta sama krew, co i nam dziś rumieńcem radości lub smutkiem bladym bije z oblicza,—że z jego oczu, z jego postawy, z oczu Tezeuszów na Partenonie, Prometeuszów Eschylosa i Sokratesów Platona, z postawy jego synów pod Termopilami, pod Maratonem, pod Cheroneą — podziśdzień na nas spogląda ta sama dusza, któréj nieśmiertelny promień w sobie czujemy.

Rzecz wyjątkowo dziwna, że Taine żadnéj prawie wagi nie przywiązuje do owego „naszego” pobratymstwa z Grekami. W jednėm tylko miejscu, mimochodem, jakby od niechcenia napomyka o mitologii porównawczéj, która „niedawno pokazała, iż mity greckie, pokrewne mitom sanskryckim, wyrażały pierwotnie tylko grę sił przyrodzonych” (283). Za mała to kropelka pobratymstwa. Nietylko mitologia, lecz lingwistyka porównawcza i historya powszechna złoży-

ły się za dni Taine'a na pewnik, stanowiący najwyższą, najcenniejszą zdobycz cywilizacyi zarówno tegoczesnéj, jak i na przyszłość, a mianowicie, że owa estetyczna dusza grecka, kulminacyjny w przeszłości punkt świateł na wszystkich polach wiedzy, sztuki, twórczości, była w pełni rozwiniętą monadą możliwości czynnych już i wówczas, kiedy w praojczyźnie całego plemienia aryjskiego (indo-europejskiego) Grek przyszły mieszkał pod jednym dachem z przyszłym Hindusem, Ormiano-persem, Rzymianinem, Celtem, Skandynawem, Litwinem, Słowianinem — i kiedy wszyscy oni razem ten sam kawałek chleba spożywali, to samo bóstwo czcili: — wieloimienne bóstwo przyrody. Rozejście się wszech-rodziny aryjskiéj po świecie rozbiło wprawdzie jéj dzieje i przeznaczenia na różnokształt niesłychanie urozmaicony, ale wspólnéj duszy już ani stargać, ani rozproszyć nie zdołało. Tradycya strzechy matczynéj, dziedzictwo dorobku pradziadowskiego—ocalały. Większéj i świetniejszéj rzeczywistości nad ową rzeczywistość spadkową ziemia dotąd nie oglądała, choć zewnętrzna szata zjawiska podziśdzień ma pozór baśni przedpotopowéj, ułudnéj mary, rozwianéj nad kolébką dziecka. Bo zważmy tylko na następstwa rozpływu. Odbiły się w téj w powodzi — niby w przezroczystych falach potoków górskich — „środowisk" i „otoczeń" tysiące. Jedne (indyjskie) — omdlewające w gorączkach modłów nadgangesowych; drugie (ormiano-perskie)—zmiażdżone orkanami stepowych przesiedleń środkowo-azyatyckich; trzecie (rzymskie) — przesilone pogonią za wszechwładném panowaniem nad światem; czwarte (celtyckie) — zduszone i w szmaty podarte ciasnotą ostrych skał nadatlantyckich; piąte (skandynawsko germańskie) — rozpędzone ponurą walką o byt materyalny na obie półkule starego i nowego lądu; szóste (litewskie) — cicho i smętnie przytulone w niedobitych resztkach do pobrzeży baltyckich; siódme (słowiańskie) — nie bez groźnego okrzyku znikające na zachodnich swych krańcach, butnie a w milczeniu głuchém zagarniające całą wschodnią krawędź przestworzy geograficznych... I tu właśnie staje przed nami najdonioślejsza, a zarazem téż i najwznioślejsza z antytez powszechno-dziejowych. Kiedy tak bowiem siedmiu owych braci, wcale nie bajecznych—(starszych, młodszych?—niewiadomo), wiercąc się, kręcąc, tłukąc, objadając, obdzierając wszystkie kąty i zakątki świata, mają — czy téż właściwiéj „robią" minę proroków i apostołów czegoś, co wciąż jeszcze wyrazu potrzebuje, co wciąż jeszcze pierwszéj zgłoski wykrztusić nie może, — to brat w Helladzie osiadły, oddawna słowo swe wyrzekł — i skostniał. Kremer sądzi nawet, że skonał, „dokonawszy swego", — że „Grecya umarła na piękność, będącą jéj żywotnym pierwiastkiem" („Listy z Krakowa", wyd. wileń-

skie, 1869, t. III, str. 45). Złudzenie! Dusza starożytnéj Grecyi — w niéj i w nas niepodzielna — po dawnemu pławi się w niebiosach prawdy i nieskończoności, choć serce Greka istotnie już bić przestało, choć znikła boska Atena z ziemskiego swego podnóża, choć nie ma już ni Temistoklesów, ni Salaminy...

A pewnik ten czyliż nie do rdzenia przeistacza problemat sztuki greckiéj i życia greckiego? — Co nam po strojach, co nam po zabawach, co po biesiadach, wyścigach, łuskach i skorupach bytu, wobec wiekuistéj zagadki wspólnego tu i tam tchnienia żywota: być czy nie być? — nie być po zwierzęcemu, gdy się w sobie naprawdę już wyrzeźbiło wszystek zasób natchnień boskich, czy być daléj—po ludzku, gdy się mimowolnie zagrzebało w piaskach, mieliznach, zbiorkach wiór, błyskotkach i podłostkach ziemskich?

Aczkolwiek nie wszędzie sam siebie pewien, aczkolwiek uwikłany w niezliczone wężowe sploty alternatywy downętrzno-zewnętrznéj i odzewnętrzno-wnętrznéj, Taine obronną przecież ręką wyszedł. Z labiryntu swych wiedzników i umiejętników estetycznych. Dał, pozwolił w ramiona pochwycić, wzrokiem ogarnąć, przeniknąć wypukło- i płaskorzeźby d u s z y greckiéj. Możemy ją do serca przycisnąć, z rzęs jéj słodką rosę miłości zgarnąć, uśmiéch jéj ucałować. Niezmiernie prosty — najgłębiéj boski to uśmiéch. Linia jego zarysu da się ująć w jedno orzeczenie, nad granit trwadsze i trwalsze. A jest nią: bezwzględna, nieposzlakowana wiara w zacność, szczerość, ścisłość i rzetelność z e w n ę t r z n y c h objawów przyrodzenia — jednorodnego w bogach, ludziach i naturze: wiara bezdenna — i bezdenny w niéj i przez nią zachwyt. Przyczyna zaś téj wszech-przyczyny — całkiem historyczna, zgodna z wywodem Taine'a: w wędrowce z przeddziejowego gniazda praszczurów, z téj Ariany pierwotnéj — „Airyana waedża", w któréj, według jedynego szczątku wszecharyjskiéj tradycyi pisanéj, lata było siedm miesięcy—nie-latatylko pięć" (Pictet, „Origines", wyd. drugie, t. I, str. 48), — w wędrówce z owéj krainy rajskiéj, Grek odnalazł takie właśnie środowisko materyalne, takie otoczenie ziemno-wodne, z „dyausową" nad niém oponą niebios, że ono w przybyszu dalekim stwierdziło, wzmocniło, w pewnik oczywisty zamknęło początkowy, skrystalizowany już wcześniéj dogmat o nieomylności i świętości głosów, barw, spojrzeń, obietnic, zachęt i nadziei, tryskających z rodzicielskiego łona przyrody o k o l i c z n é j, przyrody spotkanéj na nowo,—téj saméj, na ogół, przyrody wszędzie, tylko-że jak się okazało, dla innych, pozostałych, dalszych aryjskich pątników albo zadrzemanéj mroźno i chmurnie, albo w granit nadoceanowy głu-

cho zaklętéj, albo wśród lasów ponuro huczącéj, albo ulewnemi dziwami po płaszczyznach rozhulanéj...

Rozdźwięk w dwu przeciwległych kierunkach, rozłam na dwa odrębne półświaty — na jaśniéjszy południowy i cienistszy północny, rozwarł się przed pielgrzymiemi gromadami wspólnoty rodziméj w sposób nieunikniony, niemal fatalny... Rzućmy okiem na światlejszą stronę obrazu, wpatrzmy się nieco baczniéj w tę niezziębniętą na razie duszę jońsko-dorycką, która dziś dla nas, praprawnuków, wypartego pod biegun osadnictwa aryjskiego, jest jedną z najcięższych zagadek do rozwikłania, a która sama w sobie, dla siebie, ani na chwilę zagadkową nie była. Pierworodne tło téj duszy greckiéj było niezaprzeczenie wyrównane, spoiste, bo niepodejrzanie boskie zarówno w kwiatach i wzgórzach, w zatokach i ptakach, jak i w Dyanach i Zewsach, w Cekropsach i Penelopach, w Peryklesach i Aspazyach. Zarówno w prawodawcach jak i pastuchach, — tylko-że ma się rozumiéć, nie w niewolnikach, co w rajskiéj Airyanie-wedży, nie bywali, praojczyców tam nie mieli... Istnieje domniemanie, że źrenica dawnych Greków nie rozwierała się na niektóre kolory, nieczułą była na pewne ich odmiany; trudno to sprawdzić obecnie. Natomiast, z pewnością można utrzymywać, że aż po ostatni szczyt umysłowego i politycznego rozwoju Hellady, dusza grecka pozbawiona była jednego z najrozleglejszych, — a z obecnego punktu widzenia, to i najbardziéj zasadniczych tonów: tego mianowicie tonu, który tak wszechwładnie w ostatniéj dobie zagórował w psychice ludów cywilizacyjnie młodszych, nowożytnych. Rozczarowania Grecy nie znali, nie zaznali go ani w jednén źdźble goryczy—w ciągu początkującego, rodzajnego okresu swego rozwoju. I nie było najmniejszego po temu powodu. Świéża, świéżo zagarnięta podstawa i powierzchnia bytu tak urozmaiconym kobiercem wysp, gór i zatok odwzorowywała dodatnią typowość powierzchni poprzedniéj, tak ściśle, tu i tam, kojarzyła się ze swą treścią intuicyjną, podskórną, odżywiającą — jedno zaś i drugie — pokrycie i nice—wydawało się tak rozumném, tak dobrém, tak pięknem, że ani skargi na nic, ani żalu do nikogo się nie miało, ani nuty téj znikąd się nie słyszało. Ziemia piersią swą wykarmiła i daléj wciąż karmi bogów; nawzajem, bogowie nie przestawali i nie przestają wieńczyć czół i ramion ziemi; człowiek „chodzący drogami sprawiedliwości" stawał się dawniéj i staje się obecnie towarzyszem bogów: — z promiennie zaczarowanego tego koła nikt nie wychodził, wychodzić nie potrzebował, i do dni Anaksogarasa—nie śmiał, nie mógł, nie chciał. „Szczęśliwa od najdawniejszych czasów ukochana dziatwa bogów błogosławionych, w oskrzydleniu miłych i czystych zefirów, które boska Cy-

pryda zaczerpnęła z fal Ilissusu o pięknych wodach i po kraju rozlała", — dziatwa ta — rozradowana teraz w rozwadze swéj dojrzałéj, w doświadczeniu swém męskiém — przechowywała na nowéj siedzibie jako skarb swój jedyny, najdroższy — ową pierwotną, wszech-aryjską pozłotę rzeczy, ów zmysł ufnego, ogniście stapiającego postaciowania widzeń i przywidzeń, które nas samych we własnych naszych zaraniach życia, alboż nie przepełniały rozkoszą błyskawicznéj wymiany zdarzeń cudownych na rzeczywiste, rzeczywistych na cudowne?...

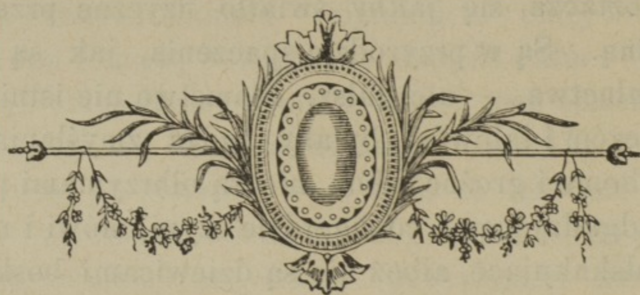
Niezaprzeczenie tak było. Ale, co do Grecyi, było tak w wyjątkowo-zcalonéj duszy helleńskiéj — w owych oderwanych, uogólnionych, platońskich poniekąd strefach dusz pojedyńczych, które to dusze, we wzajemnych do siebie stosunkach, tak samo jak pojedyńcze okolice całego kraju we własnych swych ugrupowaniach różnicowych, składały się na wielomian nader urozmaicony i różnorodny, — na wielomian podobny do owego Olimpu greckiego, gdzie odpowiednio do s t o p n i a przekształceń, uczłowieczających siły przyrodzone, ubóstwiających siły człowiecze, mieszkały bóstwa n i e r ó w n e, na wszelkich piętrach potęgi władczéj osadzone, — jedne, w których cechy fizyczne górują nad postacią osobistą, drugie, w których obie strony są równe, inne znowu, w których bóstwo, przybrawszy pozory ludzkie, łączy się już tylko nikłemi nićmi, — czasem jedną zaledwie widzialną nicią ze zjawiskiem żywiołowém, z którego wyszło (287). Tu właśnie szkopuł. Kapitalny błąd estetyki Taine'a — ogólnéj w całéj książce i greckiéj poszczególnie—na tém się bowiem zasadza, że autor w gorliwej pogoni za jednością i całością fizyognomii, zatarł owe zmarszczki i doły rysujące się pomiędzy jéj wyniosłościami — zatarł przedziałki między piętrami.. Że zaś, po pierwsze — w tych to głównie przedziałkach, w tych dołach i zmarszczkach mieści się akurat to, co pospolicie i najpopularniéj „otoczeniem" nazywamy (aczkolwiek, teoretycznie, pagórek dla jamy i nawzajem, bohatér dla nędznika i nawzajem—stanowić mogą i stanowią otoczenie), a powtóre, że owe zmarszczki i doły, owe przedziałki międzypiętrowe mają niekiedy rozległość stumilową i trwają lat secinami, gdy o piętrach nikt i nigdy tego nie powiedział, prosto i w zamętném, kotłowiskowém stłoczeniu przez Taine'a częściowych środowisk i częściowych ośrodków na ryczałtowe środowisko i ryczałtowy ośrodek, znajduje się szczypta prawdy — szczypta niewielka, przypominająca odrobinkę soli, jaką marynarz wydobyć zdoła z beczki wody oceanowéj. Innemi, wyrazistszemi słowy: wszędzie i zawsze życie ludzkie było jako ów wiekopomny, — a może i wiekuiście płynąć przeznaczony potok Bakona, na którego dnie, dla potomności przeznaczoném, osiadają jedynie rzeczy c i ę ż s z e... Co popłynęło, co płynie

przez czasy i przestrzenie, toż to i zjada wieprz otoczenia... Dzięki niech będą bóstwom, że pozostawiły choć resztki niezgryzione, niedogryzione...

Nie marne to zastrzeżenie. Z Grecyi Taine'a usuwa ono sporą wiązkę poglądów chybkich, dwuznacznych, sprzecznych, jak np. te ubiegania się Greka o sute pożytki kupieckie i żerowiska owocodawcze (222) obok téj jego wstrzemięźliwości niemal zakonnéj w napojach i jadle (220), albo jak owo gadulstwo bezcelowe i płytkie (226) obok nieustającego myślenia dla myślenia — dla nauki (225), obok sięgania myślą wyżéj, do źródeł, do przyczyn, w krainę dlaczego (224). A teraz, po odprawieniu za nawias plew i opiłków środowiskowych, możemy już daléj swobodnie, bezpiecznie mówić o duszy greckiéj—i o jéj boskiém dziecięciu, rzeźbie greckiéj, — a to własnemi niemal słowami historyka francuskiego. Na dnie religijnych wierzeń Greków spoczywa poczucie natury żyjącéj, trwałéj, nieśmiertelnéj, wiecznie twórczéj; boskością nasiąknięte są rzeczy przyrodzone, człowiek zwraca się do żywiołów, jak do istot świętych, z któremi jest spowinowacony po to, aby kierować wielkim chórem życia. Wszystkie potęgi natury są boskie, a i w człowieku nie ma rozbratu pomiędzy zwierzęciem a umysłem; dusza w nim uczczona przez ciało, ciało uwielbione przez duszę— a uwielbione religijnie, pobożnie, jako ogniwo i spójnia boskich przymiotów w naturze z przyrodzonemi własnościami w bóstwie. Wewszechbycie roztacza się jakby światło fizyczne przesnute, przejęte istnością moralną. Są w przyrodzie spaczenia, jak są w ciele i umyśle ludzkim kalectwa, — ale fałsz, kłamstwo nie istnieją. Jedyném zmyśleniem, czczém i jałowém byłaby żądza zmyślania. Bo i po co? Te góry nieruchome i groźne alboż nie są olbrzymami przykucniętemi na zwiadach, odgadującemi, co się gdzie czyni, mówi i myśli? a te wody lśniące i podskakujące, alboż nie są dziewicami boskiemi, co szczebiocąc i śmiejąc się, do duszy nam zazierają? (260, 281, 283—286). Bogowie są żywi, obecni; rozmawiają, widziano ich. Tak samo zchodzą oni do ludzi, jak ludzie do nich się podnoszą, z nimi obcują. Człowiek w ogólności, jest bogiem śmiertelnym, jak bóg śmiertelnikiem wiekuistym. Istota ludzka w swojém najbliższém otoczeniu, to bóstwo w swoim przybytku; świątynia boga jest jego mieszkaniem prywatném, wyłączném, relikwiarzem jego wizerunku, monstrancyą marmurową zawierającą jego posąg,—każdy zaś posąg, każde popiersie, każda rzeźba—skończoném uwydatnieniem dzielności człowieczéj, doskonałości walczącéj, cnoty zwycięskiéj, szlachetności niezmąconéj, pogody niezakłóconéj. Jak bóg do swojéj świątyni, tak człowiek ściśle przystaje do swego widnokręgu widzialnego i na nim poprzestaje; nie opuszcza

go, nie wyrywa się z niego — wystarcza mu on w zupełności, dobrze mu w nim (230, 237, 243, 251). I dobrze widnokręgowi temu z duszą, umysłem, zmysłami człowieka: przeczuwają się one nawzajem, rozumieją się, kochają: wytworne to bowiem zmysły, bystry to umysł, dumna i pojętna to dusza. W wysłowieniu jéj—prostota, w wyborze treści—swoboda, w dowodzeniu—zręczność, w przyozdabianiu — wdzięk lekki, przesłonięty odcieniem ledwie dostrzeżonéj ironii. Obrazowanie określone i wyraźne, bez nadmiaru czułości, bez najlżejszego zamętu w uogólnieniach. Żadnéj luki pomiędzy językiem faktów dotykalnych, a językiem czystego rozumowania... Wobec artyzmu téj duszy greckiéj, wobec jéj stylu, wszelki styl jest nadęty, ciężki, niedokładny, wymuszony; wobec jéj typów moralnych, wszelki typ jest przesadzony, niezdrowy, smutny; wobec jéj form rzeźbiarskich, budowniczych, krasomówczych, poetyckich, wszelka niezapożyczona od greckiéj forma jest nieproporcyonalną, źle spojoną, wykoślawioną lub rozsadzoną przez własną swą zawartość (225, 226, 228, 240, 254).

Józef Tokarzewicz.



Karol Algernon Swinburne.

PIELGRZYMI.

— Gdzie jest pani serc waszych, wy, którzy idziecie
Z pieśnią? Czyż z żalu po tém, co było na świecie,
Smutni tak — czy z tęsknoty za jutrznią, co będzie —
Śpiewacie tak żałośnie naraz i weselnie?
— Pani serc naszych ludzkie nie zobaczą oczy:
Nie ma ona rąk, źrenic, warg ani warkoczy
Złocistych, ani kształtu; lecz ten, co posiędzie
Jéj miłość—wié, że piękno jéj trwa nieśmiertelnie.

— Czyż to królowa, darów rozdająca skrzynie?
— Tak, owo: ten, co ujrzał ją — dla niéj jedynie
Żyć będzie — i w cierpieniu — we łzach, krwi i pocie
Dla niéj — męki nie syty — pójdzie po otchłaniach.
A gdy mu umrzéć każe — tedy umrze pewnie
I wszystko drogie rzuci i da téj królewnie
I nago pójdzie w słońca żarach, w śniegów słocie —
I życie swe przepędzi w wieczystych czuwaniach.

— Niemaż ona siedziby śród ziemskiego koła?
— Wiek wieku pyta, naród narodowi woła:
Gdzie ona? a na krzyk ten niemasz odpowiedzi.
Bo jeśli ona w duchu ludzkim się nie mieści,
Jeśli nie ma stolicy w wnętrzu twego łona,
Napróżno wołać będziesz: gdzie ona — gdzie ona?
Próżno śpiewać jéj chwałę: dźwięk—to pustéj miedzi,
Póki serce nie bije odczuciem jéj treści.

— A czy nie żal wam życia słodkiego potoku?
Bo śmiertelna wyrocznia płonie w waszém oku,
Hieroglif smutku, piętno wielkie a ogniste,
Że w życiu waszém nie ma wczasu ni spocznienia,
Miłości prostéj, uczuć żywych i serdecznych,
Przyjaźni, snów rozkoszy ani chwil bezpiecznych?
— Nie ma, tak! Dla nas tylko oblicze jéj czyste —
Jasny wzrok—i ożywcze a płodne jéj tchnienia.

— Ale wy wszak umrzecie, nim jéj tron ujrzycie.
— Pewnie — i odrodzony w słonecznym rozświcie
Glob bez nas płynąć będzie—gdy my legniem w grobie.
Lecz jeśli ona żyje i ziemię porusza —
Jeśli stary świat zerwie wszystkie stare pęta:
Toć przez nas owa jutrznia odrodzin poczęta.
My nie umrzem. Żyć będziem—pełni szczęścia w sobie —
Bo życie krótkie — śmierć zaś słodko wita dusza.

— A ludzie was zapomną. — Ale my na wieki
Staniem się częścią globu, oceanów rzeki —
Częścią eteru, ognia, który w ziemi płonie
I wszystkich rzeczy dobrych; w każdém uderzeniu
Ludzkich serc—będzie drgała krwi naszéj kropelka —
Jak w naszych bije pulsach—niewygasła, wielka
Krew zmarłych, co wszczepili żądzę w naszém łonie
By ich ognistym śladem iść w rozpromienieniu.

— Lecz wy pić moglibyście z rozkoszy kielicha!
Szalony teraźniejszość kwiecistą odpycha
I zamyka się w jutra tchnieniu lodowatém,
Gdy oto matka, ojciec, brat wasz, siostra wasza

I ta wybranka wasza, wasze ukochanie
Pójdą w proch—i z nich śladu, jak z was, nie zostanie.
— Zostanie ta, co była nam jedynym światem,
Razem siostra, kochanka, razem matka nasza.

— Wartoż ofiar, by nagród doczekać tak małych?
Parzcie! zamarłe usta wieków osiwiałych
W przeszłości swéj zasnute, jak w wiecznéj ciemnicy,
W pozaświatowych mrokach—w mogiłach zamkniętych
Drwią z was, wiedząc jak wielu mówiło też słowa
I upadli—upadli, i zmarłych grób chowa!
Wstaniecie-ż wy, gdy tamci nie wstali z martwicy?
— Nie my—lecz ona! Dla niéj nie żal być z wyklętych.

— Nie jesteście-ż zmęczeni? duch wasz nie zamiéra,
Widząc, jak noc z kolei—noc, dzień—dzień pożéra,
Chwila chwilę w bezsennym ogniu jak pochłania?
Bezsenni! kiedyż do snu zamkniecie powieki?
— Znużeni my! Omdléwa serce, mózg, dłoń, nogi —
I pewnie sen by dla nas nad wszystko był drogi,
Nad wszystko—prócz strasznego tego pożądania,
Które, gdy kto raz odczuł, będzie czuł na wieki.

— Tak lubą wam, że za nią gonicie wyschnięci —
Tak pewną, kiedy próżne wszystkie ludzkie chęci —
Mara ta: by w orkanach uzdrowienia cudu
Szukać—złamanym sercom i grzbietom ugiętym?
— Gdyby żywot nasz ślepy był, a śmierć jałowa,
Dumna nadzieja świata przecież się zachowa.
Człowiek się do człowieka, lud zwróci do ludu
I żywe będzie żywém, słowo święte—świętém!

— Omijajcie nas zatém—i płyńcie swą drogą.
Jakież światła po śmierci zabłysnąć wam mogą?
A gdy świt zajaśnieje, dowiecie-ż się w grobie?
A gdy człowiek zwycięży, gdzie wam posłać gońca?
— Dość jest światła na miarę jednego żywota,
Ludzie mrą, nieśmiertelną—człowieka istota.
My ludzie śmierć ponosim, siejąc w nocy dobie,
By człowiek w dzień się żywił, żął i żył bez końca.

Z angielskiego przełożył *A. Lange.*

Praca społeczna na wsi w Niemczech.



Wraz z rozwojem obecnéj epoki cywilizacyjnéj, punkt ciężkości życia społecznego przenosił się ze wsi i miasteczek do wielkich ośrodków miejskich. W tych ośrodkach bowiem nagromadzały się zasoby sił materyalnych i duchowych, dzięki którym rozwinęły się: nauka, przemysł, państwowość, ogólna organizacya funkcyi życia publicznego, zatém wszystko, co stanowi dorobek cywilizacyjny naszéj epoki. Ten szybki i wszechstronny postęp osiągnięty został na drodze domagania się jednostki o swe prawa osobiste oraz o wolność rozporządzania prywatną własnością. Indywidualizm więc i kapitalizm stały się cechami czasów naszych. W związku z tém w życiu społeczném nastąpiły odpowiednie zmiany: w miejsce dawnéj hierarchii, jednostka uzależnioną została jedynie od ogółu, a stanowisko jéj społeczne określono jéj majątkiem.

Ten charakter naszéj epoki bardzo niekorzystnie się odbił na rozwoju życia społecznego na wsi. Pojęcia bowiem obowiązków względem najbliższych, względem tych, z którymi nas naturalne węzły łączą, musiały zanikać, natomiast praca dla ogółu w bardzo słabym tylko stopniu mogła przedostawać się do oddalonych zakątków wiejskich i osiadła w granicach wielkich miast, które ogół najłatwiej reprezentować mogły. Wszelkie więc instytucye publiczne oraz organizacye

społeczno-polityczne obejmowały ludność miejską, rola ras wiejskiéj ludności w ogólnym rozwoju życia społecznego pozostawała bierną.

W ostatnich jednak dziesiątkach lat coraz wybitniéj zaczęły występować objawy, które nie w indywidualizmie i kapitalizmie czerpią swe źródło, ale z poczucia solidarności społecznéj wypływają. Objawy te dotyczą nie tylko miast, lecz i wsi. Wskazałem ich znaczenie wśród stosunków wiejskich we Francyi w artykùle „Syndykaty rolne we Francyi" („Ekonomista Polski", grudzień 1894 r.). Obecnie zamierzam rzucić pewne światło na pracę społeczną po wsiach w Niemczech.

I.

Z pośród niezmiernie licznych spółek, stowarzyszeń i towarzystw rolniczych na wsi w Niemczech, jeden rodzaj odznacza się przedewszystkiém swym charakterem społecznym: są to stowarzyszenia zaliczkowo-wkładowe typu Raiffeisena. Właściwy ich charakter określa to, że mają one, obok swéj specyalnéj funkcyi ekonomicznéj, zadanie społeczne na celu, mianowicie wzajemną pomoc i ogólne podnoszenie stanu materyalnego oraz duchowego swych członków. Dla przedstawienia jakie znaczenie mogą miéć te stowarzyszenia, weźmy najlepiéj odrazu jeden z bardziéj typowych przykładów.

W powiecie Schlüchtern (w okręgu Kassel) zostało w 1892 roku założone pierwsze stowarzyszenie typu Raiffeisena. Powiat, liczący 30,000 mieszkańców, jest zamieszkały przez ludność włościańską, przeważnie ubogą i znajdującą się przytém pod wpływem żydów, rozproszonych po wsiach samych i trzymających włościan w swych lichwiarskich rękach. W dwa lata po założeniu pierwszego stowarzyszenia, widzimy w tym jednym powiecie 16 stowarzyszeń z liczbą 1,012 członków. Nie ma wsi, gdzie by stowarzyszenia nie przeniknęły; w poszczególnych wsiach stowarzyszeni wraz z rodzinami stanowią od 20 do 55% ogółu ludności.

W sprawozdaniu z 1894, proboszcz Mayenschein, dyrektor związku rzeczonych 16-tu stowarzyszeń, streszcza ich zadanie w następnych punktach: 1) szerzenie bojaźni bożéj i moralności, 2) przygotowywanie członków do powołania życiowego, 3) podniesienie stanu materyalnego członków. W piewszym względzie zaznacza współdziałanie pastorów, księży i nauczycieli wiejskich, oraz katolików i ewangelików wogólności na wspólnym gruncie moralnego ducha wiary chrześciańskiéj. Wskazuje on również umoralniający wpływ sposobu udzielania poży-

czek. „Jeżeli kto wpadł w biedę przez własną lekkomyślność, mówi on, to czyż przekonanie, że najgodniejsi ludzie we wsi przyszli mu z pomocą i oczekują zmiany jego postępowania, nie pobudzi go do rzeczywistéj poprawy.” Dowiadujemy się następnie ze sprawozdania, że stowarzyszenia założyły 16 szkół dla starszych tak zwanych *Fortbildungsschulen*, do których uczęszcza 334 uczni w wieku od 14 lat do 60. Szkoły te mają na celu wypełnienie drugiego punktu programu, przyczyniając się znakomicie do ogólnego rozwoju ludności. Ekonomiczna działalność stowarzyszeń wreszcie przedstawia obrót 594,292 marki; pożyczki udzielane były w kwotach 40 — 70 marek, ilość więc obrotów była bardzo znaczna.

Jako bezpośredni skutek działalności stowarzyszeń, okazało się, już w krótkim przeciągu czasu dwóch lat, wynoszenie się lichwiarzy ze wsi, głównéj plagi ludności wiejskiéj w powiecie Schlüchtern.

Tak znakomity rozwój stowarzyszeń Raiffeisenowskich w przytoczonym przykładzie, przypisać oczywiście należy wyjątkowym przymiotom pewnych osobistości. Wogóle zresztą wszelkie stowarzyszenia wymagają dla swego rozkwitu jednostek, które by im się całą duszą oddały, ale szczególnie przy zakładaniu stowarzyszeń typu Raiffeisena koniecznóm się staje, by ich prowadzenia podjęła się osoba, do któréj ludność okoliczna może mieć całkowite zaufanie; idzie tu bowiem o oddawanie swych oszczędności oraz o otrzymanie kredytu osobistego, którego przyznanie w znacznym stopniu od prowadzącego kasę zależy. Najczynniejszymi też przy wprowadzaniu w życie tych stowarzyszeń okazują się księża i pastorowie, również więksi właściciele ziemscy; jednym zaś i drugim nauczyciele wiejscy przychodzą z cenną pomocą. Zakres działalności stowarzyszenia odpowiada najczęściéj parafii, zapisują się na członków włościanie rolni, gdyż bezrolni oczywiście nie mają możności czynienia wkładów. Zresztą spotykamy te stowarzyszenia prawie wyłącznie w tych okolicach Niemiec, w których własność chłopska znacznie przeważa, mianowicie na Południu i Zachodzie, gdzie właściwéj klasy bezrolnych włościan prawie wcale nie ma. W całych Niemczech można liczyć do 2,000 stowarzyszeń typu Raiffeisena; w 1895 roku około 1,600 należało do do związku centralnego w Neuwied. Związek ten w r. 1880 obejmował zaledwie 53 stowarzyszenia. Rozwój więc stowarzyszeń typu Raiffeisena jest bardzo szybki, a ponieważ jeszcze w wielu okolicach o tych stowarzyszeniach nie słyszano nawet, należy więc spodziewać się, że rozwój ten trwać będzie nadal.

Inne stowarzyszenia rolne w Niemczech, a szczególnie spółki mleczarskie, wzajemne ubezpieczenia inwentarza, wiejskie stowarzy-

szenia spożywcze, posiadają również znaczną doniosłość społeczną przez podnoszenie materyalne średniéj warstwy włościańskiéj oraz organizowanie jéj pod kierunkiem jéj naturalnych przewodników, na czele bowiem takich stowarzyszeń stoją zazwyczaj obywatele lub proboszcze. W tych jednak stowarzyszeniach wpływ społeczny nie jest stawiany za cel i okazuje się tylko jako pośredni skutek. Przejdźmy więc odrazu do towarzystw stawiających sobie na celu przedewszystkiém, podnoszenie bytu ludności wiejskiéj oraz oddziaływanie na jéj usposobienia społeczne.

II.

Najbardziéj typowém w tym względzie jest „Towarzystwo dobra ludu" w okręgu Angeln. Założone ono zostało w r. 1894 przez pastora Hennigsena. Działalność zwracało dotychczas w kierunku rozpowszechniania pism i książek z właściwą tendencyą wśród ludności wiejskiéj, zwalczania złych stosunków mieszkaniowych służby folwarcznéj, walki z agitacyą socyalno-demokratyczną oraz urządzania wieczornych pogadanek dla ludu. Co do tych ostatnich, oto parę wyciągów z przepisów wypracowanych przez towarzystwo na posiedzeniu d. 20 stycznia 1895 roku: 1) pogadanki wieczorne nie powinny mieć charakteru zabaw, ale zwrócone być mają ku rozświetlaniu pojęcia dobra ludu oraz wzmaganiu poczucia solidarności społecznéj; 2) tematy pogadanek powinny być czerpane z historyi oraz z palących zagadnień życia ludowego; 3) kobiety są dopuszczane na zebrania, dzieci zaś są wykluczone.

W 1896, czyli w dwa lata po założeniu, towarzystwo liczyło 1,200 członków w różnych okolicach okręgu. Zaznaczyć należy, że jest to okrąg wielkiéj własności a włościanie są przeważnie bezrolni. W poszczególnych miejscowościach towarzystwo założyło wydziały, mające rozwijać działalność na swoją rękę. Nadmienić wypada, że przy ostatnich wyborach do parlamentu w okręgu Angeln prawie w każdéj wsi padło kilka głosów na kandydata partyi socyalno-demokratycznéj.

Agitacya socyalistyczna już poprzednio stała się powodem założenia innych towarzystw z celem wpływania na usposobienie ludności wiejskiéj. Na sejmiku partyjnym socyalno-demokratycznym w Halli w 1890, postanowiono zwrócić działalność partyi ku ludności wiejskiéj. Bezpośrednio po tém, na zebraniu towarzystwa rolniczego prowincyi Saskiéj, nauczyciel Deike wskazał potrzebę działalności, która by odwróciła niebezpieczeństwo, grożące ze strony agitacyi przewrotowéj.

Towarzystwo jednomyślnie uchwaliło, że wobec kwestyi społecznéj należy wszystkie odcienie polityczne pozostawić na boku i wspólnie dążyć do polepszenia stosunku między pracodawcami a robotnikami i służbą. Polecono zarazem specyalnéj komisyi opracowanie statutów odpowiedniego towarzystwa, któremu wskazano za cel podnoszenie dobrobytu klasy roboczéj oraz utwierdzanie jéj zgody z kościołem, państwem i ustrojem społecznym. Towarzystwo takie założono w roku 1891. We wstępnéj przemowie zaznaczył Nagel, jeden z założycieli, że, jeżeli się na seryo myśli o zwalczaniu niebezpieczeństwa, grożącego ze strony agitacyi socyalnéj, nie dość jest założyć towarzystwo, ale przedewszystkiém potrzeba, by każdy pracodawca myślał o spełnieniu obowiązków, jakie ma względem swych robotników. Widzimy więc, że przy zakładaniu nadano towarzystwu bardzo wyraźny charakter społeczny. Zaraz w pierwszym roku zapisało się do towarzystwa 722 członków, następnie widzimy słaby przyrost; w r. 1894 liczba członków wzrosła tylko do 776. W pierwszym zaraz roku dochody towarzystwa wyniosły 5,297 marek, w połowie z wpisowego, w połowie z większych jednorazowych ofiar, wydatki zaś wyniosły zaledwie 1,860 marek. W trzecim roku dochody przedstawiają sumę 6,158 m. rozchody zaś 6,750 m. Sprawozdanie z 4-go roku istnienia towarzystwa wskazuje nam, na co wydatki zostały użyte. Największą sumę, 3,235 marek, wydano na wsparcia w wyjątkowych potrzebach ludności roboczéj wiejskiéj, jako to: choroby, padnięcie krowy, spalenie się sprzętów domowych, zawalenie się mieszkania; prócz tego z téj sumy udzielono parę zapomóg na kształcenie synów robotników rolnych na nauczycieli wiejskich. Następnie 1,640 m. rozdało towarzystwo w 57 wypadkach jako nagrody w kwotach 25 do 45 m. za 25-cio letnią nieprzerwaną służbę u jednego chlebodawcy. Daléj towarzystwo postarało się o założenie przy szkołach ludowych i przy tak zwanych *Fortbildungsschulen* dobrych bibliotek, samo zaś założyło chrześciańskie towarzystwo robotnicze z celem rozbudzenia życia towarzyskiego wśród robotników; obok zaś tego towarzystwa zorganizowano kółka dla wspólnego czytania. Cała ta działalność głównie do robotników wiejskich się odnosi.

Nie wszystkie jednak zadania udało się towarzystwu na razie doprowadzić do skutku. Tak np. towarzystwo myślało o założeniu miejscowych organów swoich, ale nie zdołało tego uskutecznić. Następnie chciało ono zorganizować biuro dla wynajdywania pracy robotnikom bez zajęcia, chciało daléj wziąć w swe ręce kwestyę poprawy mieszkań robotniczych, ale musiało poprzestać na zamiarach, nie znalazłszy dostatecznego poparcia ze strony ogółu.

Obok wymienionego towarzystwa funkcyonuje w téjże saméj prowincyi saskiéj inne „Towarzystwo dla poprawy stosunków robotniczych wiejskich", założone w roku 1891-ym. Głównym jego celem jest obrona właścicieli ziemskich przed łamaniem kontraktów najmu przez robotników, po za tém towarzystwo ma cel polityczny na widoku: walkę bezpośrednią z agitacyą socyalno-demokratyczną, wreszcie stawia sobie ono ogólne zadanie polepszenia bytu ludności robotniczéj wiejskiéj; w tym względzie wybrało ono komisyę, któréj działalność jednak dotychczas się nie uwidoczniła.

Za to prawdziwą doniosłość dla dobrobytu ludności wiejskiéj okazuje „Wirtemberskie towarzystwo pomocy w razach wyjątkowéj nędzy po wsiach". Założono je w r. 1887 w Stuttgardzie w celu niesienia pomocy piéniężnéj po wsiach w razach, gdy małym datkiem oraz radą uchronić można od ruiny rodzinę całą, zważywszy, że dobroczynność publiczna przychodzi z pomocą, gdy całkowita nędza nastaje i dźwignąć się już zapóźno. Towarzystwo stara się ogólnie o podniesienie ducha miłości bliźniego i zwrócenie ofiarności publicznéj ku pomocy ludności wiejskiéj. W tym względzie wydaje ono seryę broszur wychodzących trzy lub cztery razy do roku, pod tytułem: „Obrazy nędzy na wsi". Autorem tych broszur jest proboszcz ze Stuttgardu, Umfried, który ma prawdziwy talent autorski. Broszury rozchodzą się téż w poważnéj liczbie 10,000 egzemplarzy. Rozporządza towarzystwo znacznemi środkami. W roku 1894-ym, podczas klęski na paszę, przyszło ono z prawdziwym ratunkiem włościanom zagrożonym wyprzedażą całego inwentarza. Tak np. na dwóch posiedzeniach tylko 21 i 22 lutego rozdało 42,691 marek na zakup paszy. Ogólne obroty piéniężne towarzystwa przedstawiają się imponująco: tak np. od czerwca 1893 r. do czerwca 1894 roku wydało ono na zapomogi 105,603 marki w 4,102 oddzielnych wypadkach.

Obok téj działalności filantropijnéj, podejmowało towarzystwo zadanie społeczne, jednym z celów jego bowiem jest pobudzanie do zakładania stowarzyszeń typu Raiffeisena, oraz ubezpieczeń inwentarza. Gdzie one nie istnieją, rozdaje towarzystwo najpierw odpowiednie broszury, a następnie wysyła w razie potrzeby specyalnego agenta, który podejmuje się zorganizowania i puszczenia w ruch odpowiednich urządzeń. Głównym ze skutków takiéj świadoméj celu działalności towarzystwa, jest wyrwanie ludności wiejskiéj z rąk lichwiarzy, z którymi towarzystwo przytém bezpośrednią toczy walkę, podejmując się kosztów procesów przeciw nim wytaczanych. Cała ta działalność towarzystwa przedstawia nam wybitny przykład wpływu inteligencyi śred-

niomiejskiéj na społeczeństwo chłopskie, cały okrąg bowiem koło Stuttgardu przez samych drobnych posiadaczy rolnych jest zamieszkały, a członkami towarzystwa są: kler i inteligencya miasta Stuttgardu.

Niemałą również doniosłość społeczną przyznać należy instytucyom filantropijnym, mającym na celu podniesienie stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj, oraz niesienie pomocy w razach chorób. W swoim rodzaju typowém jest np. „Braunfelskie towarzystwo hygieniczne". Przy założeniu swojém w roku 1894-ym liczyło ono 153 członków, postanowiło jednak objąć całą ludność okręgu. W tym celu organizuje ono wszędzie po wsiach swoje organy, w skład których wciąga wójta, księdza, nauczyciela, lekarza, jednego chłopa z danéj wsi zarazem. Każdy taki miejscowy organ towarzystwa znajduje się w ścisłym związku z lekarzem towarzystwa, który od czasu do czasu przyjeżdża i miewa dla chłopów pogadanki i odczyty o hygienie, daje wskazówki i rady, a miejscowemu organowi przekazuje zlecenia zarządu towarzystwa.

Dla stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj, obok ogólnych warunków sanitarnych i doraźnéj pomocy lekarskiéj, niezmiernéj jest wagi— pielęgnowanie chorych, które po wsiach wiele pozostawia do życzenia i znajduje się w nadzwyczajném zaniedbaniu ze strony społeczeństwa, kiedy w mieście, dzięki ulepszeniom w urządzeniu szpitali, znaczny postęp na tém polu został osiągnięty. Szpitale jednak, po mniejszych nawet miastach, mogą zaledwie w bardzo słabym stopniu przychodzić z pomocą ludności wiejskiéj. Za to otwarte tu w całéj pełni pole dla działalności sióstr miłosierdzia. W r. 1885 w Schwäbisch-Hall powstał téż dom sióstr miłosierdzia ze specyalném przeznaczeniem pielęgnowania chorych po wsiach. Prócz znakomitych usług dla zdrowotności wiejskiéj, działalność sióstr miłosierdzia ma i ogólne znaczenie: wnoszą one wyższą duchową atmosferę w chaty chłopskie, sama ich obecność pośród włościan musi oczywiście wywierać na nich dobroczynny wpływ obyczajowy, siostry przytém same zajmują się dostarczaniem pożytecznych książeczek, a szczególnie starają się o uobyczajenie dziewczyn wiejskich przez wspólne spacery i pogawędki z niemi. Proboszcz Faulhaber, prowadzący wspomniany dom sióstr miłosierdzia, wzywa młode osoby płci żeńskiéj wszelkich stanów do wstępowania gromadnie do podobnych zakładów, nie na całe życie zresztą, bo to jest rzeczą powołania, które rzadko tylko się objawia, ale na lat parę, a to w imię spełnienia obowiązku, jaki każdy względem własnego społeczeństwa i bliźnich posiada. Wpływ bowiem, jaki siostra miłosierdzia może mieć na wsi, jest ogromny, choć i trudno-

ści, na jakie przy swéj działalności natrafia, są większe niż w mieście. Podnieść więc należy, jako objawy bardzo dodatnie, oddzielne wypadki osiadania po wsiach sióstr miłosierdzia. Tak np. w Rogzow, wielkiéj wsi podmiejskiéj, liczącéj 1,500 mieszkańców, pastor miejscowy założył dom przytułkowy i sprowadził siostrę miłosierdzia, któréj utrzymanie kosztuje 750 marek rocznie. Oddaje ona ludności wsi nieoszacowane usługi, pielęgnując chorych, ucząc gospodynie porządku i oszczędności, rozciągając opiekę nad dziećmi podczas nieobecności rodziców. Nic téż dziwnego, że „Towarzystwo kobiéce okręgu królewieckiego" w swéj filantropijnéj działalności na wsi, wyłącznie prawie siostrami miłosierdzia się posługuje.

W ostatnim więc dziesiątku lat widzimy wyraźne zwrócenie się filantropii publicznéj ku wsi. W porównaniu z miejskiemi publicznemi urządzeniami dobroczynnemi, są to objawy małoznaczące, nabiérają jednak doniosłości, gdy uwzględnimy, że poprzednio prawie nic w tym względzie nie istniało.

Rozpatrzyliśmy działalność, odnoszącą się do wpływu na ogół ludności wiejskiéj. Teraz przejdziemy do właściwéj kwestyi robotniczéj na wsi.

III.

Kwestya robotnicza istnieje na wsi, zarówno jak i w mieście, choć w innym stopniu i rodzaju. Kiedy w mieście kwestya robotnicza powstaje i zaostrza się wraz z rozwojem przemysłu, wraz z postępem ekonomicznym, na wsi jest ona wynikiem przedewszystkiém historycznego rozwoju. W miastach—rozwój wielkich przedsiębiorstw, upadek drobnych, nagromadzanie się w wielkich centrach zastępów ludności roboczéj jest zjawiskiem normalném, postępującém z siłą konieczności naprzód, leży bowiem w ewolucyi ekonomicznéj ustroju kapitalistycznego. Na wsi widzimy co innego: wielka własność bowiem nie posiada bynajmniéj stanowczéj przewagi nad mniejszą w walce konkurencyjnéj. Gdy zboże jest w dobrych cenach i produkcya jego znaczne daje zyski — warunki sprzyjają rozwojowi wielkiéj własności, która rozporządza większemi środkami dla produkcyi na wielką skalę. Ale przy rozwoju ogólnéj konkurencyi ekonomicznéj, właśnie zboże najbardziéj ulega obniżeniu cen, jako produkt najłatwiéj ulegający transportowi. Gospodarstwo musi więc szukać oparcia w innych gałęziach produkcyi, jako to: w uprawie roślin handlowych, oraz w dostarczaniu produktów zwierzęcych. Wtedy to drobna własność osiąga

przewagę ekonomiczną, w tych bowiem gałęziach gospodarczych, główną rolę odgrywa ilość i jakość włożonéj pracy, gdyż idzie o pielęgnowanie niejako płodów i zwierząt.

Konkurencya więc ekonomiczna nie wywiéra bynajmniéj decydującego wpływu na kształtowanie się stosunków własnościowych na wsi. Stosunki te posiadają zresztą względnie wysoką stałość i tylko powoli zmiany w ich łonie następować mogą. To też przewaga większéj lub mniejszéj własności w danym kraju jest wynikiem ogólnego historycznego rozwoju danego kraju.

W Niemczech widzimy też dwie części, znacznie się, pod względem stosunku własności ziemskiéj większéj i drobnéj, różniące. Część zachodnio-południowa, leżąca po lewéj stronie Elby, posiada stanowczą przewagę drobnéj własności. Nie spotykamy tu też właściwéj klasy robotników wiejskich. Służba folwarczna w nielicznych większych dobrach rekrutuje się z młodszych członków rodzin małorolnych włościan; zresztą liczba jéj jest ograniczoną do *minimum*. Ogół robót gospodarskich wykonywany jest przez dziennych najmitów, których obficie dostarczają okoliczne wsie gęsto zaludnione. W każdéj wsi bowiem sporo jest włościan małorolnych, którzy głównie z wyrobku się utrzymują. Włościanie ci nie wyodrębniają się, jako klasa, od swych bogatszych sąsiadów, z którymi obcują ciągle i jednakowy tryb życia prowadzą; dążeniem ich przytém jest dokupić sobie ziemi i stać się zupełnie niezależnymi, co im się czasem udaje. W téj więc stronie Niemiec właściwa kwestya robotnicza na wsi nie istnieje.

Inne stosunki spotykamy na wschód od Elby w całéj północnéj i wschodniéj części Niemiec. Tu większa własność przeważa i chłopi bezrolni stanowią główną grupę ogólu ludności. Folwarki utrzymują liczną służbę, ordynaryuszów i komorników, wsie bowiem są nieliczne i na robotnika z pośród rolnych włościan liczyć trudno. Tutaj robotnik wiejski nie należy do gromady włościańskiéj, nie mieszka na wsi saméj, w swojéj chałupie, ale obok zabudowań folwarcznych w czworakach dworskich. Robotnicy więc wiejscy, ordynaryusze i komornicy, stanowią osobną klasę ludności, w ścisłéj pozostającą zależności od pracodawcy i oddzielonéj od warstwy włościan rolnych. O wyjściu ze swego stanu i podniesieniu swéj sytuacyi dla takiego robotnika mowy prawie nie ma, otrzymuje on bowiem za swoją pracę tyle tylko, ile mu do życia potrzeba, a sam prócz swéj pracy nic nie posiada. W téj drugiéj więc połowie Niemiec kwestya robocza na wsi istnieje w całéj pełni.

Zwróciła ona na siebie ogólną uwagę społeczeństwa niemieckiego około 1870 roku. Powodem zajęcia się położeniem robotników wiej-

skich była, najpierw, wzrastająca ciągle emigracya bezrolnéj ludności wiejskiéj do miast. Tymczasem zaś rolnictwo niemieckie od r. 1850 znajdowało się w okresie szybkiego postępu ekonomicznego i zapotrzebowanie rąk roboczych na wsi ciągle wzrastało. Do ujemnego znaczenia dla stosunków wiejskich masowéj emigracyi chłopów do miast, przyłączył się po roku 1870-ym drugi czynnik, który jeszcze bardziéj zatrwożył ziemiańskie społeczeństwo niemieckie: agitacya socyalno-demokratyczna. W r. 1873 państwo urządziło ankietę o „położeniu robotników wiejskich w Niemczech" i jedném z pytań było: „czy agitacya socyalistyczna przeniknęła do ludności wiejskiéj i z jakim skutkiem?" Wiele było odpowiedzi, że agitacya ta nie przeniknęła, ale za to w razach, gdy odpowiedź była twierdząca, znajdował się prawie wszędzie dodatek, że agitacya miała skutek, a często było zaznaczone, że miała wielkie powodzenie. Widzimy też w okresie od r. 1870 do 1880 cały szereg dzieł poświęconych kwestyi roboczéj na wsi, jako to: Knauera, von der Goltza, Schönberga, Leo. Z tych prac szczególniéj książka Knauera: *Die sociale Frage auf dem plattem Lande* narobiła rozgłosu i wywarła ogólny wpływ na opinię publiczną. Za punkt wyjścia dla tych prac posłużył program postulatów, opracowanych przez specyalną konferencyę przedstawicieli rolnictwa niemieckiego nad kwestyą roboczą na wsi. W konferencyi brali udział profesorowie, mężowie stanu, oraz bardziéj wybitne osobistości z pośród większych właścicieli ziemskich. Odbyła się ona w r. 1872, program jéj został zatwierdzony na posiedzeniu 1 maja. Oto główne jego punkty (w streszczeniu): konferencya uznaje, że poprawa stosunków robotniczych na wsi wymaga koniecznie rozstrzygnięcia. Ku temu uważa za właściwe następujące środki: 1) utworzenie szkół-ochronek dla małych dzieci, które jeszcze nie mogą uczęszczać do szkół elementarnych, a w każdym razie urządzenie przynajmniéj ochronki, gdzieby małe dzieci mogły znaléść nadzór i opiekę, kiedy rodzice znajdują się u roboty; 2) utworzenie szkół dla dorastającéj młodzieży wiejskiéj, która już do szkół elementarnych nie uczęszcza, a to w celu wpływu na wyrobienie ogólnych poglądów nowych pokoleń; 3) umiarkowane stosowanie pracy kobiét i dzieci; 4) ograniczenie długości dnia roboczego; 5) poprawę mieszkań dla służby i robotników; 6) stosowanie jaknajczęstsze wynagrodzenia akordowego; 7) zaprowadzenie dodatkowych tantyem dla robotników; 8) organizowanie stowarzyszeń spożywczych, ubezpieczeń na bydło, kas pomocy w razie choroby lub śmierci, oraz kas oszczędności; 9) ułatwienie robotnikom nabywania ziemi na własność.

Postulaty te dotychczas figurują w literaturze ekonomicznéj, jako program postępowania dla rozstrzygnięcia kwestyi robotniczéj na

wsi. Urzeczywistnienie ich jednak z biegiem czasu w słabym tylko stopniu zostało dokonane. Około 1880 roku oto nastąpiło znaczne ochłodnięcie w zajęciu się sprawą robotników wiejskich. Z jednéj bowiem strony prawa wyjątkowe przeciw socyalistom (ustanowione w r. 1878) postawiły tamę szerzeniu się agitacyi partyi socyalno-demokratycznéj na wsi, kiedy w miastach odbywała się ona daléj pokryjomu, z drugiéj zaś strony rolnictwo zaczęło wchodzić w okres kryzysu ekonomicznego, który na razie sprowadził ogólny upadek ducha ziemian i obniżył zainteresowanie się sprawami społecznemi. Brak robotnika miejscowego zaczęto przytém zastępować, używając w pewnych porach partyi robotniczych, sprowadzanych z dalszych okolic. Po 1890-ym roku jednak znowu zaczęto zwracać większą uwagę na położenie robotników rolnych. Partya socyalno-demokratyczna bowiem, odzyskawszy swobodę działania po zniesieniu praw wyjątkowych w r. 1890-ym, natychmiast wzięła się do agitacyi po wsiach. Przewlekły zaś kryzys rolny, który początkowo ogólną apatyę sprowadził, zaczął wreszcie skłaniać rolników do obmyślania środków zaradczych i zwrócenia się ku zagadnieniom ekonomiczno społecznym. Ponownie więc pojawiają się w literaturze dzieła poświęcone położeniu robotników wiejskich. Pierwszorzędna powaga w zakresie ekonomii rolniczéj, von der Goltz, który już w okresie 1870—1880 r. wydał parę prac, poświęconych kwestyi robotniczéj na wsi, wydaje w r. 1893 dzieło „Klasa robotników wiejskich i państwo pruskie”, w którém domaga się, by państwo zajęło się na seryo rozstrzygnięciem sprawy robotniczéj na wsi. Służyć ma ku temu tworzenie przez państwo kolonii robotniczych przez ułatwianie robotnikom wiejskim nabywania na własność małych parceli obok wsi włościańskich. Tym sposobem ludność bezrolna zamienioną zostanie w małorolną i zleje się w jedną klasę z obecném włościaństwem rolném. Obok tego państwo ma pobudzać i niejako zobowiązywać dzierżawców dóbr państwowych do zaprowadzania nowych lepszych stosunków względem służby folwarcznéj, która powinna zostać zainteresowaną w ogólnym dobrobycie majątku, oraz winna miéć możność, przez pracę i oszczędność, dojścia do lepszego stanu. Tym sposobem państwo będzie dawało przykład większym właścicielom, jak sami mają swój stosunek do robotników normować.

W podobnym duchu zaczęło wychodzić w Berlinie w r. 1890-ym pismo, poświęcone sprawie dobra ludu wiejskiego, *Das Land*, redagowane przez znanego działacza na polu społeczném na wsi, Henryka Sohnrey'a.

Dla lepszego pojęcia na czém może polegać działalność samych właścicieli ziemskich w sprawie poprawienia stosunków między nimi, a ich ludnością roboczą, rozpatrzmy parę faktów. Najradykalniejszym środkiem usunięcia kwestyi robotniczéj jest zaprowadzenie łączności interesów między właścicielem a robotnikami, przez nadanie tymże poważnego udziału w zyskach. Pierwszy przykład tego rodzaju urządzenia na wsi dał, już w połowie tego wieku, uczony ekonomista-rolnik Jan Henryk von Thünen, autor głośnego i po dziś dzień wartościowości dzieła: *Der isolierte Staat*, w swych dobrach Tellow w Mecklenburg-Schwerinie. Oznaczył on dochód od kapitału, jaki jego majątek przedstawia, na 18,000 marek i określił, że z nadwyżki dochodu ponad tą sumę przeznacza 11% do podziału między 22 rodziny służby folwarcznéj. Ze sprawozdań z lat od 1847 do 1891 widzimy, że w jednym tylko 1876—77 roku nie było żadnéj nadwyżki do podziału. Suma, przypadająca na każdą rodzinę, wyniosła w tym przeciągu czasu przecięciowo 70 marek, w 5-ciu latach była ona niżéj 30 marek, w sześciu wyżéj ponad 100. *Maximum* widzimy w r. 1863 — 64, mianowicie 155,52 m. na każdą rodzinę. Sumy te nie zostają doręczane robotnikom, lecz zapisywane są do kasy oszczędności na ich rachunek i rocznie $4^1/_2$% zostaje od nich wypłacany. Podnieść swą sumę z kasy oszczędności można dopiéro po ukończeniu lat 60-ciu. Do tego czasu poważny kapitalik uzbiérać się może. Obliczając sumy tylko z 30-tu lat, od roku 1860 do 1890 naprzykład, otrzymujemy kapitał 2,111 marek 31 fenigów.

Skutki tego urządzenia wydają się jaknajlepsze; to też utrzymaném ono zostało aż do naszych czasów przez syna, a następnie przez wnuka założyciela. Z początku ludzie byli niezadowoleni, że sumy nie są im wypłacane w gotówce, następnie jednak zrozumieli całą korzyść, jaka właśnie dla nich wypływa ze składanéj oszczędności. Tak więc, kiedy udział w zyskach każe robotnikowi dbać o dobro pańskie, kasa oszczędności pozwala mu podnieść się ze swego stanu, jeżeli nie samemu, to przynajmniéj potomstwu.

Najbardziéj znanym przykładem udziału w zyskach jest urządzenie tego rodzaju w Posegnik, majątku Neumanna w Prusach wschodnich. Udział swéj służby folwarcznéj w zyskach określił Neumann po paru próbach na 8% od ogólnego czystego dochodu. Wskutek tego podziału, na każdą głowę przypadło przecięciowo około 45 marek na rok naddatku. Z tego udziału rocznego robotnika, $^2/_3$ pozostawały w kasie oszczędności na procent składany $4^1/_3$, skąd swą sumę dopiéro po skończonych 60 latach wycofać wolno. Tym sposobem robotnik, który wstąpił na służbę w 25-ym roku życia, może w 60-ym roku mieć

uzbiérany kapitał z 1,575 marek, i to bez specyalnego ze swéj strony zachodu. Założyciel tego urządzenia, Neumann, już po długoletniém doświadczeniu w roku 1874-ym wyraził się o niém bardzo pochlebnie; temu urządzeniu bowiem zawdzięcza on znaczne ułatwienie w prowadzeniu gospodarstwa, oraz oszczędność na pracy, narzędziach, paszy, wobec dbałości samych pracowników o wspólne dobro, tak, że ofiarę pieniężną, jaką dobrowolnie czyni ze swego dochodu, za ciężar dla siebie nie uważa.

Oryginalny sposób podziału zysków zaprowadził Jahnke w Bredow w roku 1872-im. Bredow jest to niewielki folwarczek, administracya jego nie przedstawia więc trudności, natomiast powodzenie przedsiębiorstwa w znacznym stopniu zależy od sumiennego wykonania robót. Jahnke zawarł wobec tego kontrakt z pięcioma rodzinami robotniczemi, które mu po 30 marek kaucyi poskładały. Mocą tego kontraktu właściciel zobowiązuje się dostarczyć wszystkich narzędzi i środków pracy, prowadzić administracyę majątku, oraz rachunkowość, robotnicy zaś zobowiązują się wszystkie potrzebne roboty wykonać sami, lub z pomocą najętych na ich własny koszt innych robotników. Właściciel dostaje za prowadzenie gospodarstwa 900 marek i, jeżeli ma zastępcę, musi go z własnych funduszów opłacać. Używanie na własną potrzebę ogólnych zasobów gospodarskich wiejskich, jako to: mieszkanie, opał, mléko, warzywa, zboże—jest zobopólne; dla właściciela określoném zostaje na sumę 650 marek, dla każdéj rodziny robotniczéj na sumę 135 marek. Za używanie koni roboczych do wyjazdów, zarówno właściciel jak i robotnicy płacą taksę do wspólnéj kasy majątku. Dochód czysty z majątku zostaje podzielony w równéj części między właścicielem z jednéj, a rodzinami robotniczemi z drugiéj strony. Na rachunek dochodu robotnicy otrzymują tygodniowe zaliczki.

Po trzech latach istnienia tego systematu, sam Jahnke chwalił sobie jego dobre rezultaty. Zaznaczył tylko, że z początku częste były sprzeczki między robotnikami. Rzeczywiście też system ten, który jaknajbardziéj ścisłą spójnię między pracodawcą a robotnikami zaprowadza, wydaje się możebnym tylko w bardzo niewielkich folwarkach, gdzie mała ilość rodzin robotniczych wystarcza do opędzenia głównych potrzeb gospodarskich. W takich też folwarkach na przychylności samych robotników najbardziéj zależy. Zaznaczyć przytém wypada, że Jahnke już w r. 1877 sprzedał swój majątek i całe jego urządzenie przepadło, pomimo że sami robotnicy domagali się dalszego jego utrzymania. Jahnkego „wygryźli” sąsiedni obywatele, którzy upatrywali w jego postępowaniu niebezpieczne bałamucenie ludzi. Wo-

góle zauważyć można, że warstwa większych posiadaczy rolnych z pewną niechęcią i uprzedzeniem zapatruje się na system udziału w zyskach, przykłady więc tego rodzaju są dotychczas czysto wyjątkowe i odosobnione.

Realniejszy już grunt, zdaje się, posiadają inne urządzenia dla robotników wiejskich, nie tak daleko sięgające, jako to: kasy oszczędności, kasy pomocy i t. p. Kasy oszczędności istnieją i rozwijają się korzystnie w kilku większych posiadłościach ziemskich; jeżeli jednak nie towarzyszą im inne urządzenia, które podnoszą dobrobyt ludu, same kasy nie mogą mieć rzeczywistego znaczenia dla właściwych robotników wiejskich, którzy zarabiają tyle tylko, by mogli się utrzymać z rodziną i o odkładaniu choć trochę znaczących sum myśléć nie mogą. Biorąc ten wzgląd pod uwagę, wspomniany wyżéj Neumann z Posegnik ustanowił przy zaprowadzaniu kasy oszczędności, że do każdego złożonego talara będzie sam markę dokładał, co znaczną jest już zachętą dla biédnych ludzi do jaknajwiększego ograniczania swych potrzeb i składania swych oszczędności.

Przykład kasy pomocy dla robotników wiejskich znajdujemy w Lupitz, własności d-ra Schultza. Pewien fundusz kasy został złożony przez samego właściciela, który prócz tego przeznacza na wydatki kasy część swych dochodów z majątku; do tego przybywa drobna część w postaci prawnie należącego się kasom pomocy procentu od płacy zarobnéj robotników. Kasa z jednéj strony udziela rodzinom robotników wsparć w razie śmierci lub kalectwa, oraz chorób, a z drugiéj—wyznacza gratyfikacye za dobrą służbą i pracę. Łączy więc ona tym sposobem dobro robotników z interesem samego właściciela.

Z innych urządzeń, mających na celu dobro robotników wiejskich, należy wymienić ochronki dla małych dzieci. W Hornsoemmern, własności Wadsack'a, widzimy ochronkę funkcyonującą od maja do września. Ochroniarka otrzymuje mieszkanie i pensyi 20 marek miesięcznie. Matki przynoszą dzieci od 5-éj rano, a same idą do roboty, na obiad zabiérają swe dzieci napowrót, po obiedzie pozostawiają je do 7-éj wieczorem w ochronce. Dzieci w ochronce są żywione odpowiednio do potrzeby. W majątku Werdhausen właściciel Vibrans założył ochronkę dla dzieci od 1½ do 6-go roku. Ochroniarka ma za zadanie nietylko dbać o porządek między dziećmi, ale przyczyniać się do ich rozwoju, opowiadając bajki, ucząc piosenek i t. p. Takąż ochronkę widzimy w dobrach, już dwa razy wspomnianych, Posegnik Neumanna.

Wyżéj przedstawione objawy stanowią tylko drobną część ogólnéj działalności ziemian, skierowanéj ku polepszeniu bytu robotników

wiejskich. Działalność ta bowiem mniéj w odpowiednich urządzeniach społecznych, ile w czysto osobistéj pracy i postępowaniu ogólném ujawniła się. Traktowanie robotników, mianowicie, uległo korzystnym zmianom, prócz tego właściciele ziemscy wprowadzili wiele rzeczywistych ulepszeń w urządzaniu mieszkań folwarcznych dla służby i komorników. W obecnéj naszéj pracy jednak uwzględniamy tylko te fakty, które nam nowe urządzenia społeczne przedstawiają. Otóż stwierdzić musimy, że całe zainteresowanie się społeczeństwa niemieckiego położeniem robotników wiejskich nie zdołało powołać do życia ogólnych urządzeń społecznych, któreby miały dokonać rzeczywistych zmian w stosunku chlebodawcy do pracownika. Oddzielne przykłady w tym kierunku albo są odosobnionemi objawami, albo téż nie przedstawiają ogólnéj doniosłości społecznéj.

IV.

Na zasadzie przedstawionych faktów, możemy rzucić pewne ogólne światło na rozwój życia społecznego na wsi w Niemczech. Cechą wspólną przytoczonych objawów jest, że okazują wprowadzanie w życie poczucia solidarności ludzkiéj, w imię któréj słaby zostaje przez silnego podtrzymanym w walce o byt. Objawy te jednak, choć wspólnéj natury, przedstawiają wielką różnorodność i widocznie nie z jednego tylko źródła wypływają i nie na jednaki grunt natrafiają. Najdonioślejsze znaczenie okazuje działalność zwrócona ku podniesieniu bytu średniéj klasy wiejskiéj, włościan rolnych, ze wszystkich bowiem przytoczonych faktów, stowarzyszenia typu Raiffeisena, oraz „Stuttgardzkie towarzystwo pomocy na wsi" mają najbardziéj rozgałęzioną działalność obok najszybszego rozwoju. Dobrze również rozwija się ogólna działalność filantropijna na wsi, zwrócona szczególniéj ku podniesieniu stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj; najsłabiéj zaś funkcyonują i rozszerzają się urządzenia, mające na celu polepszenie stosunku między pracodawcami a robotnikami.

Motywy wyżéj wskazanych objawów są różnorodne. Przedewszystkiém wymienić należy ogólne poczucie miłości bliźniego, które wszelkiéj filantropii jest podstawą. Głównym jednak, właściwym motywem pracy społecznéj, przez nas przedstawionéj, jest to poczucie obowiązku społecznego względem tych, z którymi nas łączą węzły naturalne. Ogólne wzmożenie się tego poczucia charakteryzuje w wysokim stopniu ewolucyę duchową, jaką obecna nasza epoka cywilizacyj-

na przechodzi. Poczucie to na wsi najsilniéj się objawia wśród kleru, daléj wśród nauczycieli wiejskich, właścicieli ziemskich, wreszcie wśród inteligencyi małomiasteczkowéj. W pracy społecznéj widzimy obok poczucia obowiązku niekiedy i inne motywy: tak np. względy polityczne wpływały na założycieli towarzystw występujących do walki z agitacyą partyi socyalno-demokratycznéj; wzgląd zaś ekonomiczny, mianowicie potrzeba uzyskania dla siebie robotnika, dążącego do emigrowania, wpływa w pewnym stopniu na właścicieli ziemskich w ich pracy, podjętéj dla polepszenia położenia robotników wiejskich.

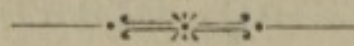
Całokształt wskazanych objawów pracy społecznéj na wsi w Niemczech nie przedstawia się w obecnéj dobie imponująco. Jeżeli uwzględnimy jednak, że prawdziwy ruch w téj mierze zaczął się bardzo niedawno, musimy uznać jego doniosłość. Ruch ten przytém ma przyszłość przed sobą; w obecnéj bowiem chwili istnieje już sporo działaczów, świadomych swoich celów, którzy gorąco nawołują młode siły do brania udziału w ogólnéj pracy nad podniesieniem stanu społecznego ludności wiejskiéj, a wśród młodego pokolenia nie brak na chęciach do działalności społecznéj, brakowało tylko oryentacyi. Wiele téż nowych sił, jeszcze nie wyzyskanych, może przybyć wskazanemu ruchowi. Inteligencya drobnomiejska zdaje się dotychczas zbyt słaby brać udział w pracy społecznéj na wsi. Wypływa to głównie ze wzajemnego niezaufania, jakie panuje między inteligencyą z jednéj a klerem i dworem z drugiéj strony. Należy się jednak spodziéwać; że na gruncie wspólnego poczucia w spełnianiu swych obowiązków oraz bezinteresownéj pracy, niedowierzanie to zniknie. Dzięki usilnéj i trwałéj pracy we wskazanym kierunku zdoła wieś wyjść ze swéj biernéj roli i wziąć czynny udział w ogólném życiu cywilizacyjném całego społeczeństwa.

Władysław Grabski.



POCZĄTEK I SCHYŁEK

CESARSTWA RZYMSKIEGO.



Gardthausen V. „Augustus und seine Zeit". Lipsk, 1891 i 1896. B. G. Teubner Cz. I, t. I, str. 481; t. II, str. 485—1032. Cz. II, t. I, str. 276, t. II, str. 277—648. Seeck Otto. „Geschichte des Untergangs der antiken Welt." Berlin, 1895. Siemenroth et Worms. Tom I, str. 551.

Cesarstwo rzymskie pozostanie bezwątpienia nazawsze jedném z najciekawszych i najgłębsze umysły przyciągających zjawisk w dziejach świata.

Z jednéj strony rozciąga się ono, jako przejście do lekkiéj, powabnéj i swobodnéj u góry, bo od dołu na niewolnictwie opartéj kultury świata klasycznego, do surowych i ponurych, grubym mrokiem barbarzyństwa odzianych wieków średnich. Z drugiéj zaś strony wyrasta ono przeważnie jako owoc gwałtu i usiłowań jednostki, a równocześnie rzuca wielką ideę połączenia i związania w jedno kultury i cywilizacyi wszystkich ludów świata starożytnego, zarówno Wschodu, jak i Zachodu. A pomimo tego, ten wielki postulat dziejowy nie został osiągnięty, i cesarstwo rzymskie wali się pod naciskiem fali barbarzyńskiéj płynącéj od północy. Przez cały ciąg jego trwania od pierwszych dni pryncypatu Augusta aż do Konstantyna W. i jego następców, jakieś drgania podziemne zapowiadają co chwila straszliwy wybuch, a z nim zagładę zarówno saméj kolosalnéj budowie państwowéj, jak i całemu światu starożytnemu. Czy Rzym nie posiadał tyle

sił, aby zaszczepić swą kulturę i cywilizacyę ludom barbarzyńskim Germanii, podobnie jak to uczynił z ludami Galii? Czy idea powszechnéj kultury i cywilizacyi, któraby wszystkie ludy świata starożytnego objęła, była zbyt wczesną, czy też cesarstwo rzymskie nie mogło wziąć na swe barki zadania rozkrzewiania téj idei, oraz zabezpieczenia trwałego i równomiernego postępu ludzkości? Czy faktycznie na istnieniu i upadku tego cesarstwa spoczywa wina blisko całego tysiącolecia zmroku umysłowego, które przyniosły ze sobą wieki średnie? Pytania te należą do najciekawszych, a zarazem i najtrudniejszych, w przybliżeniu dających się tylko rozwiązać zagadnień historyi.

Bezwątpienia cesarstwo rzymskie przyniosło ze sobą dla ludów starożytności pewien uniwersalizm kultury i cywilizacyi. Posłuchajmy, co mówi o tém najlepszy znawca tych czasów, Th. Mommsen [1]: „W miastach rolniczych Afryki, w winnicach zakładanych nad Mozelą, w kwitnących miejscowościach libijskich gór i w syryjskich pustyniach, wszędzie musimy szukać i możemy odnaléść ślady pracy cesarstwa." Ale uniwersalizm ten jest raczéj zewnętrznym pokostem, aniżeli ideą powszechnéj jedności, któraby tkwiła jako sprężyna działania w masach. Ani język rzymski, ani cześć dla wspólnego bóstwa, cesarza, zwłaszcza po prowincyach, ani legiony, ani urzędnicy rzymscy nie zdołali dokonać spojenia. Dzieła tego spojenia kultury i cywilizacyi podjęła się dopiéro idea chrześciaństwa. Cesarstwo rzymskie, które już w Konstantynie W. znalazło człowieka, co pojął wagę téj idei, prawnie i po upadku Rzymu nie przestaje istniéć i przez całe wieki średnie, łącznie z nową wiarą, prowadzi daléj dzieło łączenia i cywilizowania ludów. To nowe cesarstwo rzymskie średniowieczne było właściwie cesarstwem niemieckiém, zdawnego cesarstwa rzymskiego pozostała tu tylko łuska, czczy blask i tytuł, którego atoli wieki średnie nie przestawały cenić wysoko. Faktycznie cesarstwo, jako idea prawno-polityczna i papiestwo, jako idea religijna i kościelna—stanowią główny wątek historyi średniowiecznéj. Niemi żyły ludy średniowieczne (aż do najbardziéj na wschód wysuniętéj Polski) i pod ich wpływem tworzył się cały kierunek średniowiecza aż do nowszych czasów. Widzimy więc, iż z upadkiem cesarstwa rzymskiego wątek dziejów nie zatraca się, owszem za jedną z zasług cesarstwa rzymskiego trzeba poczytać i to, że jako idea polityczna z chrześciaństwem, ideą religijną, przetrwało całe wieki średnie i wątek dalszych dziejów podało i przekazało młodszym narodom. Inna rzecz, czy wśród tego przeobrażenia duchowego,

[1] „Römische Geschichte", t. V. „Die Provinzen von Caesar bis Diocletian." Berlin, 1885.

wewnętrznego, jakie się dokonało w łonie świata starożytnego pod wpływem chrześciaństwa, mogła się zachować stara budowa państwa rzymskiego. Już *a priori* da się powiedziéć, że nigdy. Rzym pogański mógł był jeszcze przetrwać ze swoją kulturą i dawną wiarą wieki całe. Schrystyanizowanie państwa było rewolucyą tak głęboką i gruntowną, że przy zupełném pomieszaniu i przestawieniu wszystkich czynników życia społecznego i politycznego, mury dawnéj budowy państwowéj i społecznéj skruszyły się i rozsypały w proch. Wieki średnie podjęły dopiéro napowrót budowę.

Historycy cesarstwa, rozważając na tle tego przeobrażenia ideowego poszczególnych atomów społeczeństwa, powszechnie znane fakta życia społecznego i politycznego téj doby, nie mogą się zgodzić na to, które z nich przyprawiły cesarstwo o zgubę. Dwie krańcowe kategorye przyczyn mają powszechnie na względzie: zewnętrzne i wewnętrzne. Jedni przypisują winę naciskowi barbarzyńców. Zdaniem J. Burckhardta, cesarstwo rzymskie mogłoby było istniéć i daléj, gdyby miasto Rzym było silniéj obwarowane, podobnie jak Konstantynopol [1]). Większość historyków, których zbyteczna byłoby wymieniać, przypisuje winę upadku Rzymu słabéj organizacyi wewnętrznéj bądź państwowéj, politycznéj, bądź społecznéj i etycznéj. L. Ranke wypowiada pogląd, że cesarstwo rzymskie było koniecznością dziejową, bądź dla połączenia i zlania w jedno różnic narodowościowych (ze stanowiska politycznego), bądź téż dla zastąpienia starożytnego pogaństwa przez chrystyanizm (ze stanowiska postępu ducha religijnego) [2]), uważa więc tym sposobem misyę jego za całkowicie spełnioną. S. Duruy, znakomity historyk francuski a minister Napoleona III-go, całą winę upadku Rzymu zwala na karb wadliwy organizacyi państwowéj i już pierwszemu założycielowi i właściwemu twórcy cesarstwa, Augustowi, zarzuca to, co późniéj przyczyniło się do upadku Rzymu. Minister drugiego cesarstwa, którego utwór i istnienie pod wieloma względami było podobne do dzieła Augusta, bodaj czy nie żądał od tego ostatniego tych samych myśli i środków działania w polityce, które doradzałby swojemu panu. Cesarstwo, zdaniem Duruy'a, było koniecznością, znamionowało bowiem w porównaniu do dawniejszéj republiki postęp [3]), ale wymagało natomiast oparcia się na jednolitości instytucyi państwowych

---

[1]) „Die Zeit Constantius des Grossen“. Lipsk, 1880, str. 288.

[2]) „Weltgeschichte“, t. III. „Das römische Kaiserthum“. Lipsk, 1885.

[3]) „Geschichte des Römischen Kaiserreichs von des Schlacht bei Actium und des Eroberung Aegyptens bis zu dem Einbruche des Barbaren“ übersetz. G. Hertzberg, t. 2. Lipsk, 1885.

prowincyi i Rzymu, na jedności zasadniczéj idei przewodniéj wszystkich ludów—idei rzymskiego albo cesarskiego patryotyzmu. Uniwersalizm cesarstwa był postulatem dziejowym. Do przetworzenia państwa w tym duchu nie dorósł August ani zmysłem politycznym, ani talentem organizacyjnym. Pojmował on zadanie Rzymu również ciasno, jak pojmowali je dawni patrycyusze rzymscy: rządzić z Rzymu i przez Rzym [1]. Wszystkie pierwiastki swobody politycznéj i zasad federacyjnych u ludów podbitych czy to italskich, greckich czy celtyckich zostały upośledzone przez Augusta. Pozostała tylko jedna wola cezara. Między sobą a masą August nie postawił nic, nie oparł się na żadnym żywiole—legiony po prowincyach, pretoryanie w Rzymie, senat skorumpowany, na których chciał oprzéć swe panowanie, wbrew jego woli stały się z czasem żywiołami nieporządku i zagłady państwa rzymskiego. Cezaryzm oparł się na brutalnéj sile, na gołym fakcie przemocy, zamiast tego, żeby wynikać z koniecznego systemu. To była wina cesarstwa rzymskiego, a raczéj jego twórcy Augusta, który mógł był dziesięć wieków cywilizacyi uratować [2]. Niewątpliwie w tym poglądzie została wytknięta nie jedna, jeśli nie główna wadliwość urządzeń politycznych cesarstwa. W tych urządzeniach nie było przedewszystkiém swobody, a powtóre zarodka wspólnego i jednolitego rozwoju prowincyi, jak i samego Rzymu. Istotnie, w tym braku równouprawnienia, a w zastąpieniu go przez podporządkowanie jednych części składowych organizmu państwowego drugim, kryje się zaród przyszłego rozpadnięcia się tego olbrzymiego organizmu politycznego na dwie pierwiastkowe części, z których każda musiała nanowo dla siebie wytwarzać własne życie. Niewątpliwie potok życia cywilizacyjnego, skutkiem upadku państwa rzymskiego, został jeśli nie przerwany, to w każdym razie zahamowany, a wieki średnie nie byłyby takiém obniżeniem ogólném umysłowości, gdyby Rzym uratował był wobec barbarzyńców byt i całość imperyum, oraz zapewnił swobodny rozwój narodom. Tylko niewątpliwie idea cywilizacyi wyższéj, cywilizacyi chrześciańskiéj nie byłaby się podówczas przyjęła, ani rozwinęła. Ten ujemny pogląd na Augusta, jakoteż na utwór jego, jest natchniony późniejszym upadkiem Rzymu. W gruncie rzeczy, żaden kataklizm dziejowy, choćby najgroźniejszy, nie może i nie powinien zaciemniać historykowi sądu o całości danego zjawiska — poglądu na wszystkie rysy obrazu, zarówno dodatnie jak i ujemne. Tak też ma się z cesarstwem rzymskiém.

---

[1] Tamże, t. I, str. 384.

[2] Tamże, t. I, str. 421.

Posiada ono swe olbrzymie znaczenie w dziejach rozwoju cywilizacyi, jako też rysy prawdziwéj wielkości i chwały, poczynając od samego swego wejścia na widownię dziejową, od Augusta, którego wiek w historyi słynie zarówno, jak wiek Peryklesa, albo Ludwika XIV, aż do chwili zgonu swego, kiedy z przyjęciem chrześciaństwa przez Konstantyna W. całkiem nowa era zaczyna świtać dla ludów Europy. Właśnie do poznania początków i schyłku epoki cesarstwa rzymskiego, przybyły nam dwie nowe i ciekawe prace, obiedwie historyków niemieckich V. Grundthausena i O. Seecka.

I.

Na wstępie do dzieła swego, o „Auguście i jego wieku", Grundthausen podnosi przemianę polityczną i ekonomiczną olbrzymiéj doniosłości, jaka zaszła po przyłączeniu do Sycylii Rzymu. Od systemu utrzymywania tryb w podbitych ziemiach przeszli Rzymianie do systemu prowincyi. Tryba była wyrazem równości praw, prowincya wyrazem podbicia czyli podporządkowania jednych części organizmu państwowego drugim. Stosunek ten w dzisiejszych czasach da się objaśnić na przykładzie Anglii i jéj kolonii. Kanada i Australia byłaby obecnie w stosunku do Anglii na podobieństwo dawnych tryb rzymskich, Indye na podobieństwo prowincyi. Rozszerzenie się Rzymu na zewnątrz kruszyło dawne podwaliny systemu rządów wewnętrznych. Dawnego obywatela-żołnierza zastępuje stały żołnierz, konieczny w celu utrzymania w zależności ludów podbitych. Istnienie stałéj armii wymaga stałego wodza. W chwili gdy Rzym staje się panem całéj kotliny morza Śródziemnego, cesarstwo jest gotowe. Niebezpieczeństwo grożące ze strony naczelnika prowincyi, posiadającego własne wojsko i wszystkie środki rządzenia, jest tak wielkie, iż prawo zabrania dłużéj jak rok sprawować ten urząd. Faktycznie Juliusz Cezar sprawuje przez lat dziesięć rządy nad prowincyą; nic dziwnego, iż powracał do Rzymu jako król.

Po obaleniu Juliusza Cezara czyli po Idach marcowych, roztacza się następujący obraz osobistości i partyi... Spiskowcy, którzy wiedzieli, czego sobie nie życzą, mianowicie króla, stanowili jedną partyę. Cezaryanie czyli stronnicy zabitego Cezara, jego generałowie, jak Labienus i niezadowoleni, wiedzą czego chcą, a mianowicie reform. Senat i lud stanowią trzecią partyę, jeżeli można partyą nazwać tych, którzy nie mają pojęcia ani o tém czego chcą, ani o tém czego nie chcą; ci ostatni poddawali się impulsom z zewnątrz: senat—sprzysiężonych, lud i weteranie—stronników Cezara. Na czele spiskowców stoi M. Junius Brutus, którego popchnął do czynu filozoficzno-polityczny doktryneryzm, nie lepszy od religijnego fanatyzmu Ravaillac'a. Żaden

środek, ani ostateczny, decydujący, ani tymczasowy, nie był obmyślony przez spiskowców: co uczynić po dokonaniu zamachu. Cios zadany Cezarowi nie obalił jego stronników, na których czele stoi Antoniusz, wódz dzielny, chociaż nie pierwszorzędny, którego stosunek do Juliusza Cezara jest analogiczny z tym, jaki zachodził między Muratem a Napoleonem. Śmierć Antoniusza z rąk spiskowców była by jednóm morderstwem więcéj, ale jednym błędem mniéj. Lepidus, wobec Antoniusza był politycznóm zerem, ale posiadał sam jeden wojsko w swojém rozporządzeniu, stąd téż uważał siebie za jedynie uprawnionego do objęcia spadku po Juliuszu Cezarze. On działał najbardziéj stanowczo i pierwszy postawił program: „zemsta mordercom", wypowiedziany publicznie w zgromadzeniu ludowém na forum 16 marca. Przybywał im jeszcze trzeci współzawodnik w osobie przybranego syna, a właściwie wnuka zabitego dyktatora—C. Oktawiusza. Był on nieobecny w Rzymie w czasie katastrofy, która sprowadziła śmierć jego dziadka. Za powrotem do Rzymu Oktawiusza, Antoniusz zachowuje się względem niego opornie i nie chce wchodzić w sojusz z domniemanym współzawodnikiem, zaledwie dziewiętnastoletnim chłopcem. Sposobiąc się do objęcia spuścizny po Cezarze, Antoniusz stara się posiąść siłę wojskową i zmusza spiskowców do opuszczenia miasta. Wszystko przemawiało zatém, iż po upływie roku Rzym wpadnie w jego ręce, a tymczasem dokonał dzieła tego Oktawiusz, który obrał sobie Antoniusza za pierwszy szczebel do wyniesienia się. Stanął on formalnie po stronie partyi senatu, która go przyjęła z otwartemi rękami w celu przeciwdziałania ambitnym planom Antoniusza. W zawarciu tego sojuszu pośredniczył Cyceron, najwybitniejsza postać w partyi senatu. Postać ta nikogo nie przypomina w takim stopniu w naszych czasach, jak Thiers'a z czasów republiki francuskiéj. Oba o własnych siłach wybili się ponad swój stan i posiedli najwyższe, dostępne dla nich godności. Cyceron jednak był większym mówcą, Thiers zaś był większym mężem stanu. Thiers więcéj zasłużył się dla dobra własnéj ojczyzny, Cyceron zajął bardziéj wszechdziejowe stanowisko. Sojusz Oktawiusza z senatem uwieńczył się zwycięstwem nad Antoniuszem pod Forum Gallorum i Mutiną. Oktawiusz zdołał skutkiem téj walki utrzymać niezależne stanowisko wobec Antoniusza i senatu. Interes jego nie dozwalał na całkowite złamanie przeciwnika. Chciał on utrzymać sojusz z optymatami dopóty, póki nie pozyska tytułu konsula. Za zbliżeniem się jego do Rzymu po zwycięstwie pod Mutiną, legiony rzymskie poddały się mu i Rzym był w jego rękach. Od chwili zamianowania Oktawiusza konsulem, ster władzy wypadł z rąk senatu. Ten moment możemy uważać za koniec republiki. Ale Kasiusz i Brutus na wschodzie zbiérali wojsko. Antoniusz połączył się z Lipidem i obaj tworzyli groźną siłę.

Trzeba było działać drogą dyplomacyi i pozyskać sobie stronników. Sojusz z mordercami Cezara, Oktawiusz odrzucił. Unikając odosobnienia politycznego, Oktawiusz musiał podzielić się władzą z Antoniuszem i Lepidem. Gdy tryumwirowie wkraczali do Rzymu, lud patrzał na to spokojnie, podobnie jak kilkanaście wieków późniéj Niderlandczycy patrzeli na Albę wkraczającego z Hiszpanami do Brukselli. Proskrypcye zapanowały w Rzymie w najwstrętniejszéj swéj formie, ponieważ nie były skierowane przeciwko nieprzyjaciołom politycznym, którzy byli nieobecni, lecz przeciwko wrogom osobistym tryumwirów; miały one za zadanie zapełnić kasę na walkę z Kasiuszem i Brutusem oraz na ujęcie sobie armii. Po bitwie pod Filippami nie chodziło już o to, czy ma być republika czy monarchia, lecz jedynie o to, który z tryumwirów włoży na głowę koronę. Z podziału zdobyczy wypadło, że Antoniusz udał się na wschód. Oktawiusz miał zadanie najtrudniejsze, mianowicie zaopatrzyć weteranów w ziemię na ich własne żądanie już nie po prowincyach, jak to czynił Juliusz Cezar, lecz w saméj Italii, a liczba tych weteranów wynosiła 170 tys. Bez najmniejszego cienia prawa, 18 najbogatszych miast Italii zostało przeznaczone na zaspokojenie pretensyi weteranów. Była to rewolucya socyalna, która zniszczyła średni stan włościański, podobnie jak proskrypcye zniszczyły staro-rzymską większą własność. Oba czynniki położyły podwaliny zarówno dla przyszłych latyfundyów, jak i dla proletaryatu. Zrekrutowany z wydziedziczonych z ziemskiéj własności, musiał skupić się w Rzymie. Kataklizm, jaki przeszła podówczas własność ziemska w Italii, przypomina analogiczne wypadki w historyi Anglii, mianowicie gdy po zwycięstwie nad Karolem parlament konfiskował dobra koronne, biskupów i szlachty, lecz tutaj zmieniali się tylko właściciele, włościanie zaś pozostawali ci sami na roli. Podobną paralelę nastręcza osiedlenie się Anglików w podbitéj Irlandyi—tylko że w starożytności pokrzywdzonymi zostali nie zwyciężeni, lecz strona neutralna. Rok 713 od założenia Rzymu a 41 przed Nar. Chr. był krytycznym dla państwa: podwaliny ustroju społecznego są zachwiane, ani własność ziemska, ani kapitał nie są czynne z powodu braku zapewnienia im bezpieczeństwa ze strony rządu. Niezadowoleni znaleźli sobie przywódców w osobie L. Antoniusza, młodszego brata tryumwira, i w Fulwii, żonie tego ostatniego, energicznéj kobiecie, usiłującéj przy pomocy publicznych rozruchów skłonić Antoniusza do powrotu i wyrwać go z objęć Kleopatry. Wojna domowa, tak zwana peruzyańska, jaka wybuchła skutkiem tego nagromadzenia materyałów palnych w saméj Italii, nie mogła być bardziéj nie na rękę Oktawiuszowi, ale koniec jéj nie mógł być również dlań korzystniejszym. Za jednym zamachem

zwyciężył on żywioły niespokojne i niezadowolone, jak również ciągnące ku Antoniuszowi. Neutralność tego ostatniego w wojnie peruzjańskiéj była nie do pojęcia. Wbrew traktatowi, Oktawiusz zajął prowincye hiszpańską i galską, które należały się Antoniuszowi i stał się panem całego zachodu od morza Adryatyckiego, z wyjątkiem części Afryki, pozostającéj w rękach Lepida. Złamanie téj ugody i co zatém idzie, zerwanie z Antoniuszem, było obmyślane. Wojna, jaka wybuchła w następstwie tego i traktat w Brundisium zatwierdziły tylko stan posiadania. Antoniusz przez cały ciąg swego pobytu na wschodzie jest aż do podziwu bezczynnym, pochłonięty nawskroś stosunkiem swym do Kleopatry: to jako gość spędza u niéj czas, to helenizuje w Atenach, to znów bawi się eksperymentatorstwem polityczném w Azyi, tworząc sztuczne państwa bez naturalnych granic z plemionami nienawidzącemi się wzajemnie, jak naprzykład królestwo Heroda. Tymczasem Oktawiusz zawiéra powtórny traktat z Antoniuszem w Tarencie. Gotował się wtedy do walki z Sex. Pompeiuszem, niebezpiecznym wrogiem, trzymającym w swych rękach Sycylię a więc dowóz zboża dla Rzymu. Z ogromnym wysiłkiem, przy pomocy Agryppy, jako wodza i olbrzymich zarządzeń wojennych, przypominających pierwszą wojnę punicką, Sex. Pompeiusz w stanowczéj bitwie pod Naulochus został pokonany. Cała rola, jaką odegrał Sex. Pompeiusz w historyi, dowiodła, iż zarówno cel jego utrzymania się na stanowisku równorzędném do tryumwira był chybiony, jako téż że brakowało mu inicyatywy i zmysłu oryentacyjnego, który nakazywał w polityce działać przeciwko Cezarowi, opiérając się na szybko rosnącéj partyi jego przeciwników i wyzyskując dla owych interesów sympatye i tradycye jeszcze nie wygasłe swojego ojca. Sex. Pompeiusz pokonany a co więcéj Lepidus, który przy téj sposobności, wchodząc w swe prawa tryumwira chce zagarnąć Sycylię, zręcznie i w porę usunięty—oto rezultaty polityki i dyplomacyi Oktawiusza.

Rozpoczął się teraz okres dwójwładztwa Antoniusza i Cezara. Owocem zwycięstwa tego ostatniego były prowincye Afryka i Sycylia. Podobnie jak Cezar zawierał traktat w Tarencie dla walki z Sex. Pompeiuszem, Antoniusz potrzebował pokoju z jego strony dla walki z Partami. Miał on na myśli wykonać plany dyktatora Cezara, pomścić klęskę Krassa i przyćmić świéżą chwałę zwycięstw nad nim, swego wodza P. Ventidiusza, Wyprawa ta jego przypomina fatalny pochód Napoleona na Moskwę. Te same olbrzymie przygotowania, ta sama walka nie tyle z nieprzyjaciołmi, co z naturą, to samo zbyt spóźnione spostrzeżenie niebezpieczeństwa i napróżne rozpoczęcie pertaktacyi. Talent wojenny Antoniusza okazał się w całéj pełni w odwrocie. Jak

szczątki armii Napoleona znalazły przytułek w Prusach, podobnież niedobitki Antoniusza schroniły się w Armenii — jedne i te same przyczyny powstrzymywały wrogie wystąpienie mieszkańców tych krain. Moment ten jest punktem zwrotnym dla gwiazdy Antoniusza, która błyszczała świetnie od czasu zwycięstwa pod Filippami a którą teraz poczyna przyćmiewać gwiazda jego kolegi. Wojna ta stanowczo położyła kres rozszerzaniu się Rzymian na wschodzie na przeciąg kilku stuleci. Mógł Antoniusz sądzić, że utrzymanie *status quo* pozostanie niezachwiane, dla Oktawiusza wojna była koniecznością jeśli miał osiągnąć dalsze cele. Antoniusz coraz bardziéj tracił z pod uwagi zachód, oddawszy się na usługi Kleopatrze. Stała ona na stopie najsilniejszéj monarchini wschodu. Antoniusz robił dla niéj podarunki nie tylko z prowincyi rzymskich, ale i z rzymskich żołnierzy. To wywoływało ogromne niezadowolenie w Rzymie. W pierwszych dniach 722/32 nastąpił moment krytyczny. Właśnie wtedy zostali wybrani konsulami Ch. Domitius Ahenobarbus i C. Sosius, obaj zdecydowani stronnicy Antoniusza. Teraz upływał termin prawnego pełnomocnictwa, udzielonego przez naród tryumwirom. Antoniusz chciał wpłynąć na usposobienie stolicy, rozgłaszając swoją gotowość zrzeczenia się władzy. W charakterze męża Kleopatry i współrządcy Egiptu, nie tracił on w gruncie rzeczy nic, kiedy tymczasem stanowisko Cezara zostawało do gruntu podkopane. Rozłam stanowczy musiał nastąpić. Ten dzień, w którym Oktawiusz wystąpił w senacie przeciwko Antoniuszowi i zmusił przeciwników do ucieczki z Rzymu, był 18-ym Brumaire'a cesarstwa rzymskiego, nie mniéj brutalnym, jak późniejszy Napoleoński. Antoniusz był silniejszy od swego przeciwnika. Stracił jednak właściwy moment walki, gdy Oktawiusz zajęty był zbieraniem środków wojennych, i gdy podatek nałożony przezeń na cele wojny wywołał straszne niezadowolenie wśród obywateli rzymskich. Winę ostatecznéj klęski Antoniusza w stanowczéj bitwie pod Actium, trzeba przypisać ucieczce Kleopatry w chwili, gdy się szale losów ważyły, ucieczce, spowodowanéj nie kaprysem nerwowéj kobiety, lecz wyraźnie obmyśloną zdradą, i bezprzykładnéj w dziejach lekkomyślności, jeśli nie obłędowi Antoniusza, który puścił się natychmiast za nią w pogoń. Kleopatra wywarła wpływ fatalny na losy Antoniusza. Zawojowała go nie tyle swą pięknością ile energicznym charakterem i sztuką kobiecą panowania nad mężczyznami. Kierowały nią jedynie polityka i korzyść osobista. Chciała ona przy pomocy Antoniusza zostać władczynią świata. Wraz z Kleopatrą zginęła ostatnia latorośl żeńska Ptolemeuszów, którzy przez lat 300 panowali w Egipcie, ostatnie państwo, założone przez Greków, stało się rzymską prowincyą. Po nich przejęli

Rzymianie obowiązek rozszerzenia starożytnéj kultury i cywilizacyi. Bitwa ta pod Actiom ma wszechdziejowe znaczenie nie tylko dla tego, iż ostatnie mniéj więcéj samoistne pańswo starożytne, położone w kotlinie morza Śródziemnego zostało podbite przez Rzymian, ale i dla tego, że w niéj swoboda Rzymu została na wieki pogrzebana. Żołnierz i mąż stanu walczyli ze sobą o wszechwładzę w Rzymie. Rzym na szczęście wpadł w ręce tego drugiego. Za powrotem do Italii, Oktawiusz musiał uśmierzać bunt weteranów, zawiedzionych w swém oczekiwaniu podarunków. Trzeba było uciec się do zwykłego środka obdarowania ziemią, bądź odebraną od proskrybowanych, bądź zakupioną. August szczycił się, iż w 724/30 i w 740/14 wydał na ten cel 600 mil. sestercyi (130½ mil. marek). Ten bunt weteranów był ostatniém drganiem płomienia wojen domowych. Instynktownie przeczuwali oni, że ich panowanie już jest skończone. August podarował państwu pokój. „Cesarstwo to pokój"—myśl tę reprezentował August, zarówno jak późniéj Napoleon III. To powszechne pragnienie pokoju symbolicznie poparł senat, nakazując zamknąć drzwi świątyni Janusa. W imionach osób, w nazwiskach kolonii, na monetach ówczesnych, wszędzie przypomina się owo pragnienie pokoju, a wkrótce pokój znalazł swój kult i na ołtarzach.

Od téj chwili rozpoczyna się cesarstwo rzymskie. Przypatrzmy się teraz osobie głównego jego twórcy, Augusta. Różnorodne a nawet sprzeczne są opinie o nim. Tłómaczy się to jego jakby dwoma odmiennemi postaciami, w których występował: jedną przed osiągnięciem jedynowładztwa, drugą po przełomie. W gruncie rzeczy August był zawsze jeden i ten sam: zimy, trzeźwy, praktyczny, daleko mniéj genialny od Juliusza Cezara, natomiast bardziéj od niego rozsądny. Miał zawsze jeden i ten sam cel na oku—jedynowładztwo. Ale środki do niego umiał wybierać i zastosowywać odpowiednio do danéj chwili. Była to zresztą natura nawskroé egoistyczna, silna, twarda, nie skłonna do uniesień ani do spekulacyi filozoficznych, która nie zerwała nawet z przesądami i pojęciami religijnemi swego wieku i swego narodu. W prywatném życiu był August prosty, dostępny i uprzejmy. Miał zdolności nie tyle wojenne, co dyplomatyczne. Eπεῦδε βραδέως było jego dewizą, jako dyplomaty. Miał szczęście, ale zarówno i talent organizacyjny. Cały ciężar rządów wziął na swoje barki, był sam swoim własnym ministrem. Umiał nie tylko pozyskać władzę, ale i utrzymać ją, gdyż dawał społeczeństwu, jego klasom posiadającym zabezpieczenie życia i mienia, a ludowi chléb i igrzyska. Dzięki zadosyć uczynieniu tym samym wymaganiom, potrafił Napoleon III narzucić społeczeństwu francuskiemu swoje panowanie. I jeden i drugi następowali jako

politycy, mężowie stanu po wodzach, przedstawiciele pokoju po bogach wojny. Obaj nie byli genialni, ale mądrzy i praktyczni w niepospolitém znaczeniu tego wyrazu. Panowanie jednego, jak i drugiego, było tyranią we właściwém znaczeniu tego wyrazu, ale nie brakowało w niéj także kropli demokratycznego oleju, którym namaścili siebie na władców. Zdobywszy władzę, obaj starali się przyciągnąć ku sobie i wzmocnić żywioły zachowawcze. Podobieństwo było w sytuacyi panowania obudwóch, ale różnica występuje w charakterach. Napoleon pozostał przez całe życie marzycielem i spiskowcem, jakim August nigdy nie był. Wszystkie błędy w polityce wewnętrznéj Napoleona nie sprowadziłyby upadku drugiego cesarstwa, gdyby nie miał on zewnętrznego wroga—daleko silniejszego, aniżeli wrogowie Augusta i Rzymu. Cesarstwo Napoleona było efemerydą, awanturniczym epizodem w dziejach Francyi. Cesarstwo rzymskie ma wszechdziejowe znaczenie; dzieło Augusta przeżyło swego twórcę i przetrwało do końca historyi starożytnéj. Wszechdziejowe znaczenie cesarstwa rzymskiego, założonego przez Augusta, polegało na tém, że skupiło ono siły wewnętrzne państwa rzymskiego dla odparcia barbarzyńców i tém samém uratowało kulturę i cywilizacyę świata starożytnego na przeciąg kilku stuleci. Przez ten czas wzmógł się i zorganizował kościół, który w chwili upadku Rzymu zadanie to przyjął na swoje barki. Bez cesarstwa rzymskiego nie istniałby kościół rzymski, który był w stanie powściągnąć barbarzyńców i zaszczepić im kulturę, którą oni przyjęli, jako spuściznę świata starożytnego i która się przechowała do dnia dzisiejszego.

Peryod wojen domowych w Italii sprowadził takie klęski, z któremi w czasach późniejszych mogą się porównać tylko klęski w epoce Odrodzenia, kiedy wojska cudzoziemskie pustoszyły Włochy. Jak podówczas Macchiavelli, chociaż sam republikanin, w swém dziele *Il principe* utrzymywał, że Włochy może zbawić tylko monarchia, tak i w starożytności w umysłach najkonserwatywniejszych i republikańskich, musiało powstać przeświadczenie o konieczności rządów Augusta. Z tego punktu widzenia, uzurpacya Augusta była koniecznością. Musiał on jednak przejście od republikanizmu do monarchii uczynić stopniowém. Pod względem prawnym, jak Mommsen słusznie określa, pryncypat Augusta nie był władzą nieograniczoną, tylko magistraturą, przystosowaną do form republikańskich rządu. Te formy dawne, republikańskie, nie tyle zostały zniesione, jak raczéj zawieszone i przeniesione na jednego nadzwyczajnego człowieka, któremu lud i senat na czas nieograniczony przekazali władzę. Była jedna luka w nowopowstałym systemie rządów — brak następcy tronu; August był stałym

wodzem i naczelnikiem rządu, — ale dożywotnim. Było to skutkiem tymczasowego, przejściowego charakteru jego władzy. Po jego śmierci miało nastąpić przesilenie, które zdecydowało, czy ta dożywotniość władzy ma pozostać wyjątkiem, czy też stałą regułą. Przeistoczenie się stosunków republikańskich w monarchiczne znajduje odpowiedni przykład w nowszych dziejach. Słusznie porównywują stanowisko Augusta z analogiczném Olivera Cromwella, jako lorda protektora, i Napoleona I-go, jako konsula. Wszyscy trzéj, pomimo znacznéj różnicy charakterów, planów i rezultatów usiłowań, oparci na wojsku, które im bezwarunkowo było oddane, rządzili monarchicznie republikami i stopniowo zmienili je w rodzaj monarchii. W nowoutworzonym przez Augusta systemacie rządów, senat zajął miejsce obok cezara, jako reprezentant republiki. Wolał on z nim podzielić się władzą, aniżeli z ludem. Senat nie był za cesarstwa żadną reprezentacyą ludu, co najwyżéj może być nazwany zgromadzeniem notablów, przedstawicieli wybitniejszych rodzin, którym cezar komunikował wielokrotnie sprawy i zamiary. Spory zakres władzy senatu nakazywał zawsze oczyszczać go z wrogich żywiołów. Znaczenie senatu i nadal nie przestaje być bardzo duże, ale senatorowie odtąd stają się statystami, gdy dotąd byli osobami czynnemi. Lud z dawnych praw sądowniczych i ustawodawczych został ogołocony, pozostały się tylko same ich pozory. Podatki bezpośrednie ciążyły na barkach prowincyałów, służba wojskowa na obywatelach i półobywatelach Italii. Lud rzymski, oswobodzony od podatków, utrzymał swe dawne przywileje, lubo dawnych obowiązków zaniechał. Zamiast praw, dano ludowi chléb i igrzyska. Za panowania Augusta rozdawnictwo chleba, dotychczas przygodne i dowolne, przechodzi w stałą zasadę ofiarności publicznéj państwowéj na rzecz biédnych. Igrzyska były narodowemi, a raczéj ludowemi zabawami, których rozwój August popiérał. W każdym razie od udziału w nich starał się powściągnąć z początku kobiéty. Co do magistratur, to August chciał wprowadzić stan urzędniczy stały, fachowy, na miejsce obieralnego i corocznie zmieniającego się, jak było za czasów dawnéj republiki. Stan ten miał być płatny, lepiéj kontrolowany i dobiérany ze wszystkich warstw społeczeństwa, nie wyłączając senatorów i jeźdźców, na wzór stosunków w państwie dyadochów. W porównaniu do rozkrzewiającéj się dzisiaj bujnie biurokracyi, uderza niezmiernie mała ilość urzędników w państwie rzymskiém. Sama Francya posiada ich dzisiaj przeszło sto razy więcéj, aniżeli ich było w starożytności we wszystkich ziemiach, podwładnych Rzymowi. Finanse i wojsko stanowiły główne podstawy rządów Augusta. Do organicznych reform finansowych, głęboko sięgających w istotę stosunków

społecznych, należy przejście za Augusta od podatków pośrednich do bezpośrednich (kataster gruntowy). Ale August nie miał na celu stworzenia monarchii militarnéj, czego dowodzi redukcya armii po bitwie pod Actium. W stosunku do ogromu państwa, liczba legionów była raczéj zamała, aniżeli zaduża. Podbojów zrzekł się August. Wojny, które prowadził, były spowodowane koniecznością. Tak po Kartagińczykach odziedziczyli Rzymianie zaledwie pas nadbrzeżny półwyspu Pirenejskiego. Musieli zatém albo wstrzymać się od walki, a zarazem zrzec się wszystkiego, albo rozszerzać i posuwać w głąb swe panowanie. Wybrali tę ostatnią drogę. Zacięty opór, jaki spotkali w krajowcach (Corocotta), przedłużanie się wojny kantabryjskiéj wzbudzało nie mało obaw w Auguście, gdyż wprost zagrażało jego władzy w Rzymie. Ukończenie téj wojny przez Agryppę przyciszyło żywioły burzliwe i opozycyjne w senacie. Do wyprawy na Arabię skłoniły go prawdopodobnie wieści o jéj bogactwie, wcale nieuzasadnione. Tém się tłómaczy ekspedycya Aeliusza Galla, rządcy Egiptu. W nieobecności jego, prowincya ta została zaczepioną przez Etyopów. Rzymianie pod wodzą Petroniusza, mszcząc się, zanieśli swój oręż na południe do wnętrza ich krajów (aż pod Napatę). Zrzekłszy się podbojów, August zajął się wzmocnieniem węzłów swego państwa. Prowincye, jak Egipt, Gallia, Hiszpania otrzymały swą ostateczną organizacyę. Liczna sieć dróg spoiła je z Rzymem. W podróżach swoich, które trwały niekiedy po trzy lata, miał August na celu osobiście badać stosunki prowincyi i jednocześnie na podobieństwo Solona i Likurga przez czas nieobecności swéj w Rzymie wypróbowywać praktyczność swych reform. Pod tym względem podróże Augusta rażąco się różnią od podróży Adryana, które były jakiémś nerwowém, niespokojném przerzuceniem się z miejsca na miejsce. Na pograniczu między plemionami dzikiemi a kulturą rzymską, zwykł był utrzymywać hołdownikiem jakiegoś króla. Kwestyę wschodnią miały i owe czasy: polegała ona na tém pytaniu, gdzie ma być przeprowadzona granica między panowaniem kultury zachodu a barbarzyństwa wschodu. Tutaj August objął w spuściznie walkę z Partami o półwysep Azyi Mniejszéj. Przykład Antoniusza i Krassa odstręczał Augusta od téj walki, w któréj mógł postradać życie i koronę. Wyprawa pod wodzą Tyberyusza wymogła przynajmniéj zwrot trofeów po Krassie.

Całe dzieło swe wraz z całą swą władzą chciał August przekazać ukochanemu siostrzeńcowi Marcellowi. Obok niego występował jako pretendent do władzy Agryppa, już nie młodzieniec pretendujący do władzy na mocy pokrewieństwa i protekcyi, lecz dojrzały mąż, któremu państwo zawdzięczało swą budowę narówni z Augustem, co więcéj,

jako ten, który położył jeden z fundamentów pod panowanie samego Augusta. Walka byłaby się musiała w przyszłości rozegrać pomiędzy nim a Marcellem, gdyby jéj nie przeszkodziła przedwczesna i niespodziana śmierć tego ostatniego. Ten wypadek pojednał Augusta z Agryppą. Odtąd August przyjął Agryppę za współrządcę: jeden panował na zachodzie, gdy drugi na wschodzie. Agryppa jako żołnierz uzupełniał Augusta-polityka. Jeżeli Agryppa był mężem, na którego mógł spuścić się August w czasie wojny, Mecenas, który zawdzięczał swój wpływ i stanowisko Augustowi, był jego prawą ręką w czasie pokoju. Na Mecenasie odbiło się najwidoczniéj owo przeobrażenie dawnego Rzymianina obywatela, oddanego w zupełności sprawom publicznym, w prywatnego człowieka epoki cesarstwa. Jak Agryppa popiérał sztuki plastyczne, a zwłaszcza architekturę, tak Mecenas stał się protektorem literatury, a zwłaszcza poezyi. Ale i Agryppa, drugi domniemany następca Augusta, wyprzedził go śmiercią. Na tém zdarzeniu (r. 742/12) kończy się przebieg wypadków historycznych, omawianych przez Grundthausena. Reszta jego dzieła poświęcona jest wybudowie i odbudowaniu Rzymu przez Augusta.

II.

Chcąc zrozumiéć budowę nowego państwa rzymskiego, trzeba pamiętać, iż reorganizacya Augusta dotknęła wszystkich sfer życia, zarówno prawa, ustroju społecznego i państwowego, jako téż religii, tradycyi i obyczajów narodowych. August zajęty był myślą odrodzenia religii, lecz to, co zrodziło się za jego wpływem, było połączeniem i mieszaniną wszystkich religii starożytnych, a zarazem stopniowém przejściem ku monoteizmowi. Odrodzenie moralne społeczeństwa również miała na celu polityka cesarza. Pragnął on tutaj działać bądź bezpośrednio przy pomocy władzy ustawodawczéj, bądź pośrednio przez podnoszenie staro-rzymskiéj przeszłości do znaczenia wzoru, ideału dla współczesnych. Istotnie wpłynął tém na rozbudzenie zmysłu i zajęcie dla wiedzy historycznéj, — ale stosunki takie, jakie były za dawnéj republiki, powrócić już nie mogły. Stare patrycyuszowskie rody wymarły, a chłopi, ten zdrowy, świéży żywioł zachowawczy, na którym opiérało się dawne państwo, został zastąpiony przez żołnierzy. Prawo, zmierzające do podniesienia rodziny upadającéj (*leges Juliae*), służą za najlepszy dowód, jak dalece za Augusta wzmogła się władza państwa, podejmująca na swe barki reformę obyczajową społeczeństwa.

Jakie były dodatnie, a jakie ujemne strony tego społeczeństwa, które wydało Augusta i w pośród którego sam on działał, w czém była siła i słabość nowo powstającego cesarstwa rzymskiego—to są pytania, które nastręczają dalsze burzliwe jego losy, a zwłaszcza stosunkowo zbyt rychły skon. Chcąc poznać przyczyny upadku Rzymu, trzeba poznać ustrój społeczny i państwowy, a zatém sięgnąć w ducha reform, które na schyłku państwa rzymskiego przedsiębrało dwóch cesarzów: Dyoklecyan i Konstantyn W. Tak właśnie czyni O. Seeck, autor „Historyi upadku świata starożytnego.

Pierwszego maja 505 r. równocześnie, choć w dwóch różnych miejscowościach (w Nikomedyi i Medyolanie), dwóch potężnych władców świata, Dyoklecyan i Maksymian, po długiém panowaniu składało koronę. Chcąc pojąć znaczenie tego niezwykłego w dziejach świata faktu, trzeba rozumiéć charakter Dyoklecyana. Był to pół-geniusz, drobiazgowy ideolog, bogaty w pomysły, ale ubogi w praktyczną mądrość życiową i znajomość ludzi. Z pochodzenia barbarzyńca, który się urodził może niewolnikiem, wyświęcił się na cesarza przez zabójstwo Apra. Tak samo nie cofał się przed żadném okrucieństwem w ciągu całego swego panowania, chociaż nie był okrutnym z żądzy, namiętności, jak Neron lub Kaligula. Żołnierz z zawodu, odznaczał się duchem lojalności i karności. Te same zasady starał się wszczepić w ciągu całego swego panowania w uczucia narodu. Z całą bezwzględną surowością rozporządzał życiem i mieniem, a nawet wierzeniami religijnemi swego narodu, jak i orzeczeniami wartości metali lub cen artykułów żywności na rynku. Wszystkie jego reformy, z których podobał się współczesnym i słynie w potomności (a większość z nich jest całkowicie albo napół chybiona), wypływają z jednego i tego samego źródła. Reprezentują one ducha radykalnych popędów, dzikiego eksperymentatorstwa na polu społecznéem i politycznéem — duch panujący w IV-ym wieku. Wszyscy czuli to, że stary gmach już się wali, ale nie starali się z r e s z t e k, tylko p o n a d t e m i r e s z t k a m i wznieść nowy. Cesarstwo rzymskie utrzymywało fikcyę istnienia dawnéj republiki. Wbrew temu znajdujemy dążenie do umocnienia swéj dynastyi na tronie nawet u panujących, którzy przez aklamacyę wojska zostali powołani do steru rządu, jak Klaudyusz, Wespazyan, Adryan lub Sewer. Szczególniejszy system następstwa tronu został obmyślony przez Dyoklecyana. Prawa obwołania cesarza przez wojsko, które jemu samemu dało w rękę berło, nie śmiał i nie czuł się na siłach naruszyć. Sam nie miał syna i nie mógł marzyć o własnéj dynastyi. Ale mógł iść za przykładem Augusta i drogą adopcyi stworzyć sobie następcę i pomocnika. Wybór padł na Marka Aureliusza

Maksymiana, nie posiadającego żadnych talentów wodza, ani polityka. Dwójwładztwo okazało się praktycznèm wyjściem, lecz Dyoklecyan z pojedyńczego doświadczenia pośpieszył wyciągnąć ogólną zasadę i uczynić z niéj nową formę rządów. Na przyszłość miało być dwóch współrządców z tytułami augustów w państwie. Obok nich postawił dwóch z tytułem cezarów, o mniejszym zakresie władzy, których obmyślił jako rezerwę do zastąpienia z czasem augustów i przeciwdziałania zamachom uzurpatorów. Piastunami tych nowopowstałych godności mianowani zostali Konstancyusz i Galeryusz. Abdykacya obudwu augustów po upływie wicennaliów, czyli lat 20-tu, miała pozostać jako stała zasada—system następstwa władzy, która przechodziła do rąk młodszych cezarów. W całym tym sztucznie obmyślanym planie był błąd ten, iż opuszczono z pod uwagi, czy i o ile ci współrządcy zejdą się i pogodzą charakterami, oraz zechcą podzielić się swą władzą.

Po ustąpieniu Maksymiana i Dyoklecyana, wybrano nowych dwóch cezarów, Flawiusza Waleryana Sewera i Maksymina Daję, gdy tymczasem Konstancyusz i Galeryusz wstąpili w dawne prawa augustów. Dla syna Konstancyusza — Konstantyna, przyszłego władcy, w tym systemacie współrządców nie było jeszcze miejsca. Charakter tego ostatniego zarysowuje się już od dzieciństwa, jako żołnierski. Był walecznym aż do lekkomyślności, rozrzutnym jak każdy oficer armii; stąd téż późniéj hojnością swoją rujnował finanse państwa. Winą jego słabego wykształcenia był brak wyrobionego zmysłu prawnego, który byłby mu się ták przydał w późniejszym zarządzie państwem. Jego zaletami były głęboko wkorzenione uczucie obowiązku i nastrój religijny, który nosił wprawdzie koloryt gruby swego wieku, niemniéj jednak był szczery i prawdziwy. Bardzo być może, że w rodzinie Konstantyna istniały pewne skłonności do nowéj wiary. Poglądy ówczesnych pogan na chrześciaństwo nie negowały zupełnie istnienia Boga chrześciańskiego. Chodziło im tylko o to, któréj strony bóg jest silniejszy. Nawrócenie się Konstantyna musimy przypisać przeświadczeniu, że siła Boga chrześciańskiego góruje nad bogami pogańskiemi. Błędem jest wyprowadzanie nawrócenia się Konstantyna z pobudek politycznych. Ani armia, ani klasy wyższe nie skłaniały się do nowych wierzeń, jedynie część gminu miejskiego i stanu średniego—czynniki, które podówczas tyle, co nic nie znaczyły. A i w późniejszych czasach Konstantyn wobec religii zachowuje się, jako pokorny sługa i wyznawca. Nigdy nie czyni z niéj narzędzia swéj polityki, ani nie miesza się do spraw kościoła w celu rozciągnięcia nad nim swéj władzy. Owszem, strony walczące w kościele i uciekające się o jego po-

moc (naprzykład w schyzmie donatystów) odsyłał do wyroków synodu. Jego polityczne wykształcenie odbywało się na dworze Dyoklecyana. Konstantyn uwierzył w system i przejął polityczny katechizm tego ostatniego. Do władzy politycznéj Konstantyn nigdy sam nie dążył, ale gdy fakta go do tego skłaniały, umiał przeprowadzić do końca swoje plany. Po śmierci Konstancyusza legiony brytyjskie, którym Konstantyn umiał okazać dowody swego męstwa, okrzyknęły go wodzem. Galeryusz chętnie nie dopuściłby go do władzy, ale czuł, że Konstantyn pośród swych legionów jest zupełnie bezpieczny. Jednocześnie nastąpił wybuch w Rzymie, zakończony powołaniem do władzy Maksencyusza, syna Maksymiana. Nieudany pochód Sewera na Rzym, ucieczka i śmierć jego, oraz przywołanie Maksymiana, jako dawnego współrządcę Dyoklecyana, przez syna do pomocy, utwierdziły nowy porządek rzeczy. Konstantyn uznał go, nakazując obalić statuy Sewera w swojém państwie. Podobał mu się podówczas taki plan rządzenia państwem. Zamiast dwóch augustów i tyluż cezarów, czterech młodszych augustów i jeden starszy (Maksymian), bez rezydencyi i własnego terytoryum, lecz z prawem roztrząsania sporów i wydawania rozkazów. Gdyby Konstantyn był dążył do jedynowładztwa, gdyby istotnie był takim ambitnym egoistą, za jakiego podaje go historyografia dzisiejsza, natenczas najwłaściwszą chwilą do osiągnięcia celu byłaby dla niego chwila po nieudanéj wyprawie Galeryusza na Rzym. Konstantyn natomiast uznaje nowy porządek rzeczy. Lecz ten niedługo mógł się utrzymać. Po nieudanym zamachu na władzę syna, Maksymian wypędzony z Rzymu. W Karuntum, głównéj kwaterze armii panońskiéj o kilka mil tylko odległém od dzisiejszego Wiednia, nastąpiło spotkanie się jego z dawnym współregentem Dyoklecyanem i Galeryuszem. Na tym kongresie Dyoklecyan chciał w całości utrzymać i przeprowadzić swój system. Obok Galeryusza, drugim augustem został mianowany Licyniusz. Konstantyn zaś i Maksymin pozostawali się z tytułem cezarów. Maksencyusz został zdetronizowany. Maksymian powracał nanowo w stan spoczynku. Były to zamki budowane w powietrzu, jak się pokazało niebawem. Maksymin ogłosił się augustem. Maksymian po nieudanéj próbie Konstantyna, u którego znalazł przytułek, ginie, według zdania naszego autora, przypadkowo. Śmierć jego nie pochodziła z winy Konstantyna, owszem, była mu nie na rękę, albowiem krzyżowała jego plany utrwalenia dynastyi (Maksymian był jego teściem). Co prawda, to w parę miesięcy potém znalazła się całkiem nowa zasada dla utrwalenia dynastyi Konstantyna, a mianowicie rzekome pochodzenie jego od cesarza Klaudyusza. Śmierć Galeryusza, pochwycenie terytoryalnéj spuścizny po nim przez Licyniusza

i Maksymina, a zwłaszcza plan podziału państwa jedynie między Maksyminem i Maksencyuszem nakazywały śpiesznie działać. Sojusz Konstantyna z Licyniuszem bronił jego lewego skrzydła. Wojna z Maksencyuszem w północnych Włoszech, w którój pomógł Konstantynowi całkiem nowy system wojowania, łagodne obchodzenie się z mieszkańcami zdobytych miast, była jednym tryumfalnym pochodem. Na wieść o zbliżeniu się Konstantyna miasta same otwiérały mu bramy. Największe niebezpieczeństwo dla niego było w pochodzie na Rzym. Cała przewaga leżała tutaj po stronie Maksencyusza, który bezpiecznie nawet po przegranéj walce w otwartém polu mógł się utrzymać z olbrzymią masą wojska, w olbrzymiém mieście zaopatrzoném poddostakiem w żywność. Przykład Sewera i Galeryusza mógł odstraszyć najśmielszych. Nic innego nie skłoniło go do tego pochodu, jak ów sen cudowny. Krzyż, którym ozdobił tarcze swych wojowników, był w oczach ich znakiem magicznym zapewniającym pokonanie wroga. Jak Konstantyn, tak również i Maksencyusz, powodowali się obaj nie zimną krwią i strategicznemi planami, lecz snami i znakami cudownemi. Bitwa na Milwijskim moście w kilka godzin rozstrzygnęła losy świata. Dziejowe znaczenie tego faktu było niemniéj wielkie, jak i wpływ psychologiczny jego na Konstantyna. Widział on w zwycięstwie swém pokonanie demonów przez wyższą potęgę duchową. Nietylko Konstantyn, lecz i armia jego przyjęła w podobny sposób zwycięstwo, gdyż weterani czcili bogów przedewszystkiém, jako pomagających im w walce i przynoszących zwycięstwo. Dlatego edykt dotyczący chrześcian został przychylnie przyjęty. Po tyrańskich rządach Maksencyusza, dla Rzymian, Konstantyn był tym, który im zapewniał bezpieczeństwo życia i mienia.

Przez cały ten czas Licyniusz na włos nie pomógł Konstantynowi. Również użył znaku krzyża, aby zwyciężyć Maksymina. Klęska tegoż na Campus Serenus, a wkrótce potém i śmierć uczyniły Licyniusza panem całego wschodu. Konstantyn posuwał swą zgodność z nim aż do nieroztropności, aby uratować choć cząstkę systemu Dyoklecyana. Ale różnica zapatrywań, zwyczajów i temperamentów uniemożliwiała dłuższy pokój i jedność. Licyniusz, podobnie jak i Konstantyn, nie dążył do samowładztwa, przystawał na system cezarów, ale za nic nie chciał mieć tak potężnego współregenta. Z ciężkiém sercem pochwycił Konstantyn za oręż, jak powiada autor, aby walczyć poraz pierwszy o swoje jedynowładztwo. Po bitwie pod Castra Jarba (314) jedność została przywrócona i utwierdzona traktatem (315 r.). Innego środka chwycił się Licyniusz, aby pokonać Konstantyna. Środkiem tym było prześladowanie chrześcian. Istniał przesąd religijny u pogan, iż modlitwa

lub śluby tracą swą siłę, jeżeli nie są w przepisanéj formie odprawione. Zakaz Licyniusza, dotyczący sprawowania obrzędów chrześciańskich, miał podobne znaczenie. Za pomocą niego Licyniusz obiecywał sobie odnieść zwycięstwo nad Konstantynem, który w Bogu chrześciańskim pozyskał sobie taką potęgę. Od téj chwili rozłam był nieuniknony. Bitwy pod Adryanopolem, pod Chryzopolis w pobliżu półwyspu Chalcedońskiego i odcięcie Licyniusza od Bosforu, podstawy jego operacyi wojennych, zdecydowało stanowczą jego klęskę. Ale względem pokonanego wroga i jego syna, Konstantyn zachował się zgodnie z zasadą chrześciańską „nie zabijaj." Jedynowładztwo zostało narzucone mu siłą okoliczności. Pomimo tego system Dyoklecyana utrzymał i przeprowadził przed śmiercią w podziale państwa pomiędzy synów. Błąd Dyoklecyana (wielowładztwo), posunięty *ad absurdum*, stał się zasadą wciąż odżywającą.

Takie były najważniejsze zarysy budowy państwowéj, wzniesionéj przez Dyoklecyana i Konstantyna. Przypatrzmy się teraz budowie społecznéj i stosunkom zewnętrznym. Germanowie byli największą grozą dla państwa rzymskiego, nie oni jednak byli przyczyną jego upadku, tylko rozstrój wewnętrzny. Kultura Germanów była dopiéro w stanie zaczątkowym. Przysłowiowe pijaństwo niemieckie (*Trunksucht*) najwięcéj się przyczyniło do uprawy roli, bo większa część ziarna szła na wyrób piwa. Pojęcie własności ziemi byłoby w pośród nich równym absurdem, jak pojęcie własności powietrza. Brak konsekwentnego pojmowania prawa, indywidualna swoboda, dająca się z trudnością ująć w karby zarówno węzłami pokrewieństwa, jak i politycznemi—oto cechy barbarzyństwa. Ojczyznę zastępował stosunek sąsiedztwa lub dobréj zażyłości, z którego zczasem rozwinęło się pojęcie patryotyzmu. Pierwotne związki państwowe są jaknajluźniejsze—zléwają się wciąż i rozpływają. Zgromadzenia ludowe mają znaczenie pierwotnie religijne, późniéj dopiéro polityczne, udział w nich ludu polega na prawie aklamacyi; rzadko nie kończą się bójkami. Szlachty nie było, albowiem gdzie nie istnieje żadne prawo, nie może również istniéć żaden przywiléj. *Principes*, których wspominają autorowie rzymscy, nie mieli u Germanów znaczenia, opartego na prawie, lecz jedynie na faktycznéj sile. Potężne osobistości były wodzami. Armin panował wśród Cherusków, jak Perykles w Atenach, nie na mocy prawnie określonego stanowiska, tylko na mocy swéj potężnéj indywidualności. Pomimo tego braku organizacyi państwowéj, istniały zarodki wszystkich czterech form rządu, demokracyi, arystokracyi, monarchii a nawet teokracyi. Stan kapłański przynosili ze sobą Druidowie, uciekający przed Rzymianami z Galii. Tryb życia nawpół koczo-

wniczy, jaki Germanie prowadzili, pozostawał w szczególnym związku z ich organizacyą polityczną. W czasach przedchrześciańskich a nawet i późniéj nie było u nich państwa i władzy królewskiéj, którаby nie zawdzięczała swojego bytu i powstania wędrówkom. Wojskowe urządzenie przez Rzymian granicy nad Renem i Dunajem zmuszało Germanów do życia bardziéj osiadłego.

Siła, jaką mógł przeciwstawić Rzym nawale barbarzyństwa, polegała na jego armii. Z początku proletaryat był wykluczony z armii rzymskiéj, żołnierz sprawiał sam sobie uzbrojenie. Gdy dalekie wojny zniszczyły drobną własność, trzeba było ułatwić dopływ świéżych czynników. Żołd i zdobycz żołnierska nęciły proletaryuszów. Z radością więc przyjęto reformę Mariusza, otwiérającą im dostęp do szeregów wojskowych. Stałéj armii zawdzięcza Rzym podniesienie swéj taktyki i strategii. Z drugiéj strony, między żołnierzem a wodzem wytwarzał się taki stosunek, jak pomiędzy patronem a klientem. Stąd wypływało rozdawnictwo ziemi weteranom. Z czasem wytworzyły się 3 rodzaje armii: gwardya, składająca się z Rzymian i najstarszych sojuszników, legiony z Italików i ochotnicze kohorty z prowincyałów i libertynów. W obywatelach rzymskich a poczęści Italikach mieścił się główny żywioł cywilizacyjny armii. W zetknięciu się z barbarzyńcami wojsko Rzymian barbaryzowało się, gdyż wciągali oni w swe szeregi barbarzyńców, zastępy zaś barbarzyńskie się cywilizowały, albowiem sztuka wojenna Rzymian nie mogła pozostać dla nich długo tajemnicą. Tymczasem sztuka wojenna Rzymian przestała się doskonalić. Zarówno na tém, jak i na każdém inném polu zaznaczał się upadek umysłowy. Nowo-platonizm i chrześciaństwo, dwa główne prądy umysłowe w pierwszych wiekach wykształciły nie głowy rzymskie, ale przedstawiciele rasy semickiéj. Cóż było przyczyną tego upadku? Nie zbytek, gdyż był on zjawiskiem rzadszém, aniżeli dzisiaj. Tępienie najlepszych ludzi głównie powodowało osłabienie społeczeństwa. Dokonywało się ono za pośrednictwem wojen domowych, swawoli cezarów, korupcyi urzędników, systemu wojskowego (zabraniającego żołnierzom się żenić), wyuzdania pogan i ascetyzmu chrześcian (skazywanie się na męczeństwo najlepszych jednostek z niższych warstw). To tępienie najlepszych w daleko większym stopniu sprowadza obniżenie sił duchowych społeczeństwa aniżeli długie wojny. Te aczkolwiek powodują chwilowe zmniejszenie się cyfry ludności (naprzykład w Niemczech po wojnie 30-letniéj), niezadługo jednak sprowadzają stałe podniesienie poziomu umysłowego. Jeżeli w nich na 100 tys. silnych ginie 80 tys., to w takiém przejściu na 100 tys. słabych ginie 90 albo 95 tys. jednostek. Przecięciowo zatém siły społeczeństwa

wzrastają. Tymczasem tępienie najlepszych jednostek działa wyłącznie w jednym kierunku, obniżającym stale siły żywotne społeczeństwa. Społeczeństwo ogołocone ze swych najlepszych przedstawicieli, poczynając od pierwszego senatora, kończąc na ostatnim prowincyale, niewolniczo się płaszczyło przed cezarami, którzy musieli się stać wilkami, ponieważ senatorowie byli owcami.

Niewolnictwo spowodowało niegdyś rozkwit, ale i przyspieszyło upadek świata starożytnego. Niewolnicy stali niegdyś na stopie ekonomicznéj dzisiejszych drobnych dzierżawców a może i lepiéj. W klasie niewolniczéj dobór przyrodzony sprowadzał rozmnażanie się samych najtęższych, zdolnych do pracy jednostek. Drogą wyzwolin z niewolników tworzyli się klienci, klasa bezprawna i nawpół swobodna, ale posiadająca kapitał i pracę. Zresztą, za cesarstwa rzymskiego niewolnictwo tworzyło najlepszy kit dla spojenia najrozmaitszych części imperyum, nigdy późniéj krew rozmaitych ludów nie została pomieszaną w takim stopniu jak za czasów panowania Rzymu. Za cesarstwa utrzymują się setki niewolników nie dla pracy, lecz dla zbytków. Niewolnictwo staje się czynnikiem do rozwijania roskoszy. Handel niewolnikami nienajgorszą krew rozléwał w żyły społeczeństwa rzymskiego, ale fałszywy dobór ją psuł. Za cesarstwa potrzeba było posiadać tłumy własnych klientów, tworzących się z wyzwolonych niewolników, aby uchodzić za potężnego. Przy bezdzietności przechodziły na klientów majątki ich patronów. Bogactwo wyzwoleńców stało się przysłowiowém. Pogardzano pracą, natomiast nie wstydzono się żebrać od najwyższego do najniższego. Taką samą płaszczącą się, służalczą była i literatura. Posiada ona charakter czysto konserwatywny. Brak w niéj krytyki rewolucyjnéj ze stanowiska rozsądku i dobra powszechnego. Nikt w niéj nie gonił za jakimś idealnym celem, choćby za utopią. Jest ona znaczącym symptomatem upadku.

Upadek ducha pociągnął za sobą upadek materyalny. Zmniejszała się gwałtownie liczba ludności. Przyczyną tego nie były wojny lecz brak potomstwa. Rzadkie małżeństwa, bezdzietność, prostytucya wyludniały Rzym z mieszkańców. Stosunki religijne nie sprzyjały również rozwojowi zaludnienia. Chrześcianie żywili ideał ascetyzmu, męczeństwa, u pogan zaś na przeszkodzie rozmnażaniu się stanęło wyuzdanie. W świecie starożytnym objawił się jakiś popęd do samozniszczenia, nie dający się naukowo uzasadnić, podobnie jak w czasach późniejszych popęd do samobójstwa u Atylów o którym opowiadają nam misyonarze. Tworzyło się przeciwieństwo: stary świat nie pragnący się rozmnażać i Germanie na granicy szukający nowych terytoryów do zajęcia. Kiedy w imperyum kultura rolna podupada, na za-

chodzie Germanowie zdobywają ziemię pod uprawę. Tu powstaje instytucya litów lub aldiów z dawnych niewolników. Są oni uprawnionymi posiadaczami gruntów, jedynie przytwierdzonymi do gleby. Fala za falą barbarzyństwa napływała równocześnie, napierają się oni o pozwolenie osiedlenia w głębi imperium. Po strasznėm morowėm powietrzu, które wyludniło państwo (r. 160) Marek Aureliusz pozwolił Germanom częściowo osiedlać się w imperyum; przysporzyło to nowych sił zarówno armii jak i kulturze rolnéj. Stan litów został wprowadzony z małemi modyfikacyami; inaczéj nazywali się oni *iniquilini*. Ci przybysze szybko się wynaradawiali; lecz gdy oni się romanizowali, imperyum rzymskie jednocześnie się germanizowało. Nawet cechy antropologiczne plemienia germańskiego, wysoki wzrost i blond włosy zaczynają się spotykać w pośród Rzymian. Nawięzują się normalniejsze warunki dla wzrostu i rozmnażania się rasy. Zwyczaje germańskie przenikają do armii, mianowicie Germanie służący w wojsku nie chcą się zrzekać swego prawa posiadania żon. Zezwolenie na to daje żołnierzom Septymiusz Sewer. Barbarzyńcy wnieśli niekarność w szeregi wojskowe: odtąd zaczyna się krytyka i wpływ wojska na swoich wodzów-cezarów. Zmienił się i wieśniak, stał się śmielszym, pohopniejszym do obrony swych praw (rozruchy włościan za Dyoklecyana). Nawet rozpowszechnianie się mięsa, jako artykułu żywności, jest jednym ze śladów wpływu barbarzyństwa. Reformy w III-m i IV-m wieku posiadają na sobie wyraźne piętno ducha germańskiego; duch ten potrafił się przystosować do nowych form, ale nie zrozumiał ich treści, stąd owe zapędy nowatorstwa na wszystkich polach, zwłaszcza na prawno-państwowém. Nowi cesarze pochodzą przeważnie z prowincyi illiryjskich najgęściéj zamieszkałych przez inkwilinów. Rozpoczynają swój zawód od służby wojskowéj. Armia składa się głównie z barbarzyńców. Te wszystkie przemiany dokonywały się w III-m w. ale niestety najmniéj posiadamy źródeł do ich poznania. Krew ludności się zmieniła, ale kultura dawna zwyciężyła. Stosunki się uzdrowotniły, chociaż okrucieństwo wzrosło. Przedewszystkiém podniosła się na polu moralném obyczajowość, na polu umysłowem oryginalność. Jakiemikolwiek były plany reform Dyoklecyana, zawsze wskazują one na pewną śmiałość i polot ducha, w przeciwieństwie do dawnego zwątpienia i zastoju. Tém nie mniéj na polu sztuki i abstrakcyjnego myślenia okazuje się brak siły twórczéj. Nowe społeczeństwo przedstawiało masę plastyczną, łatwą do urobienia. Czekało tylko na męża prawodawcę, reformatora. Jak Dyoklecyan i jego następcy wypełnili to zadanie— autor obiecuje w przyszłości dać na to odpowiédź.

W dotychczasowéj literaturze historycznéj wcale nie brak dzieł, przedstawiających nam epokę cesarstwa. Możemy przytoczyć na poparcie tego twierdzenia imiona takich historyków, jak V. Duruy, L. Ranke, a zwłaszcza Th. Mommsen, którzy zdawałoby się, iż to badanie już wyczerpali. Prace Szillera [1]) i Hertzberga polegają więcéj na gołém przedstawieniu samych faktów historycznych [2]). Burckhardt w świetnych barwach odmalował nam rozkład pogaństwa, jego rozpadnięcie się prawie na 300 sekt, zwyrodnienie fizyczne, jak i zwyrodnienie na polu umysłowości i sztuki.

Z dzieł, dotyczących specyalnie Augusta, praca Beulé'go, jest tendencyjną. Drumann zaś obecnie już nie wystarcza. Inskrypcye, wykopaliska współczesne, monety, otwierają drogę całkiem nowemu badaniu. W dziele swojém Grundthausen oparł się nie tylko na literaturze współczesnéj, ale i na źródłach pośrednich, jako to monetach, wykopaliskach, inskrypcyach. Przedsiębrał nawet podróże dla poznania i zbadania geograficznego terenu wypadków dziejowych. Opowiadanie jego jest tak barwne i tak zajmujące, iż żywcem przenosi nas w owe czasy a mimo to nie ma tu wcale fantazyi, lub gołego rozumowania autora, wszystko zdobyte jest drogą analizy z faktów. Zwłaszcza charakterystyki osób są przeprowadzone z metodą iście Taine'a, zarówno malują nam ubiór, ruchy, rysy twarzy, nawet kolor włosów, jak i odkrywają przed nami całą duchową stronę, wszystkie uczucia i motywy działania osób.

Przypatrzmy się jakie zmiany i uzupełnienia przynosi dzieło Grundthausena w charakterystyce Augusta i jego wieku. Najważniejszém jest, iż wiele rysów poprzednio znanych w charakterze Augusta zostało gruntownie umotywowanych. Zwłaszcza pisarze XVIII w., wieku wolności i oświaty nie mogli pojąć téj postaci historycznéj. A więc dla Monteskiusza August był tyranem, który uczynił z Rzymian niewolników. Voltaire nazywał go zręcznym i szczęśliwym potworem. Grundthausen zgadza się z Duruy'em, iż August był przedewszystkiém zimnym i wyrachowanym politykiem, lecz nie odmawia mu, jak Duruy, talentu organizacyjnego i nie zwala na niego niezasłużenie winy późniejszego upadku cesarstwa. Zdanie niektórych, jakoby August był założycielem wschodniego despotyzmu czyli sułtanizmu, nie posiada żadnéj wartości naukowéj. Owszem, Grundthausen idąc za Mommsenem, wszędzie kładzie silny nacisk na charakter magistracki władzy Augusta. Oczywista, nie da się zaprzeczyć, iż na późniejsze wyrabia

[1]) Geschichte des römischen Kaiserzeit, Gotha 1883.

[2]) Geschichte des römischen Kaiserreichs, Berlin 1880.

nie się i kształtowanie władzy cesarskiéj w Rzymie, silnie wpływały tradycye państwa Diadochów i już od Dyoklecyana ów rys sułtanizmu we władzy cesarskiéj silnie się zaznacza.

Z Mommsenem polemizuje autor zwycięsko, zarzucając mu, niekiedy całkiem słusznie, poglądy antykwarsko-prawnicze. Tak np. pomimo iż Mommsen usiłuje tryumwiratowi przypisać jakieś jurydyczne znaczenie, porównywując go z decemwiratem, autor ze stanowiska historycznego całkiem słusznie twierdzi, iż tryumwirat był gołym faktem gwałtu, przemocą, dla którego późniejsze usankcyonowanie prawne było czczą formalistyką. Jakkolwiekby się kto zapatrywał na tę rzecz, trzeba przyznać, iż fakta brutalnéj siły, przemocy, co krok spotykają się w dziejach, a wróg czy przyjaciel łatwo podciągnąć je może pod swój system. Tutaj formułki prawne tylko zaciemniają pogląd, dotyczą one formy, nie zaś istoty rzeczy.

Kwestya zasad i stanowiska Augusta w polityce zewnętrznéj, nie została dotąd stanowczo rozstrzygnięta. Już Duruy był wypowiedział pogląd, że August dążył nie do zwycięstw i sławy wojennéj, lecz do ochrony państwa na wielką skalę [1]). Grundthausen bardziéj skłonny jest na tym punkcie przypisywać Augustowi stanowisko niezdecydowane, wahające się. Z poglądem Duruy'a stoi w rażącém przeciwieństwie opinia Ranke'go, wedle któréj, August żywił ideę podboju całego świata [2]). Idea ta bezwątpienia ciążyła w umyśle Augusta. Nie napróżno *Monumentum Ancyraneum*, pomnik jego sławy, w którym sam wylicza zasługi swego panowania, podnosi, jak daleko posunęło się jego panowanie wgłąb Arabii i Etyopii, oraz zaznacza przybycie doń poselstwa od królów Indyi, którego nigdy przedtém Rzym w murach swoich jeszcze nie oglądał. Wszakże obawa zawikłań wewnętrznych, któreby się rozwinęły przy wszelkiém niepowodzeniu nazewnątrz, powstrzymywała Augusta od wielkich przedsięwzięć wojskowych.

Niesłusznie autor podsunął ambitne plany walki o koronę Agryppie, najwierniejszemu pomocnikowi i przyjacielowi Augusta. Tutaj autor posunął się tak dalece, iż zbliżenie się Agryppy do króla Heroda tłómaczy szukaniem sobie sprzymierzeńców na wypadek otwartego wybuchu. Na poparcie owego zdania autor przytacza jedną pogłoskę, zaczerpniętą z Velleiusza. W takich zaś razach należy szukać kryteryum w całkowitym charakterze i życiu danéj postaci historycznéj. Dla obalenia tego mniemania dosyć jest przytoczyć świadectwo Seneki, który nazywa Agryppę szlachetnym nietylko z urodzenia, ale z natury swo-

---

1) „Gesch. d. röm. Kaisserreichs", t. I, str. 226.

2) „Die Weltgeschichte", t. III, str. 3.

jéj, sądy współczesnych republikanów, którzy w nim widzieli spadkobiercę idei staro-rzymskiéj Katona.

Oceniając całość dzieła, musimy zaznaczyć, iż autor nie chciał zapuszczać się w głąb przeszłych dziejów, poprzedzających wystąpienie Augusta, aby nie rozszerzać zbytnio swego zadania. Ale skutkiem tego w dziele jego spotykamy lukę. Dla całości obrazu było ważném scharakteryzować dokładnie przejście pomiędzy epoką republiki a epoką cesarstwa—te liczne wstrząśnienia rewolucyjne, które przeszła Italia w ostatniém stuleciu istnienia republiki, — a więc najazdy barbarzyńców z północy, reformy Grakcha, rewolucya Maryusza. Wogóle dotychczasowemu przedstawieniu dziejów téj epoki da się i to zarzucić, że im brakuje podkładu społecznego. Ta wada wynika z charakteru dzieła. Około osobistości Augusta grupuje się cały interes opowiadania, a więc wszystkie inne postaci historyczne, a nawet samo społeczeństwo rzymskie umieścił autor poza plecami Augusta. Z toku przedstawienia rzeczy przez autora wypada, jakoby to społeczeństwo za jego wpływem się przeobrażało i nanowo organizowało. Słuszność rzeczy wymagała również przedstawić Augusta jako dzieło, jako wytwór swego społeczeństwa, albo ducha czasu. Charakterystyki społeczeństwa rzymskiego tak świetnéj i wyczerpującéj, jaką jest charakterystyka Augusta, nie dał nam dotychczas autor. A przecież była to chwila zupełnego przeobrażenia stosunków socyalnych. Upadek drobnéj własności, koncentracya ziemi w rękach kapitalistów, powstawanie całych towarzystw tak zwanych publikanów, którzy wydzierżawiają ziemię wprost od państwa, a z czasem stają się jedynymi jéj właścicielami, zagarnianie wprost przez nich drobnéj własności, zastąpienie swobodnego robotnika przez niewolników przy uprawie roli, brak zajęcia, nędza socyalna i skupienie się ludności potrzebującéj pracy w Rzymie — oto tło społeczne, na którém budował August. Bezustannie napływająca ludność barbarzyńska do Rzymu, jak Gallowie, Afrykanie, Hiszpanie, Żydzi, nowo-powstająca na miejsce dawnego stanu średniego klasa wyzwoleńców, składająca się z drobnych kupców, przemysłowców, rentyerów, którzy zamiast dawnych Rzymian opanowali komicia, a z czasem dostali się aż do senatu—oto filary nowo-budującego się gmachu państwowego. Obraz ten stosunków od dołu gasi i przyćmiéwa przepych budowy Augusta, jaki się roztacza jeszcze dziś, gdy patrzymy na ruiny jego pomników w Rzymie.

Z całkiem odmiennego stanowiska traktowane jest dzieło Seecka. Tutaj wierność psychologiczna charakterystyk osób, omawianych przez

autora, oraz ścisłość naukowa socyologicznych jego wywodów i uogólnień nasuwają się przedewszystkiém do rozbioru.

Z Dyoklecyana uczynił Seeck jakiegoś ideologa, wyprowadzającego pewne pryncypia, zasady ogólne z pojedyńczych doświadczeń życiowych. Tymczasem w umyśle nawpół barbarzyńskim nie ma powodu przypuszczać chęci narzucenia życiu swoich formułek logicznych, raczéj przeciwnie, zbyt łatwe przystosowanie siebie do formuł żelaznéj konieczności życiowéj. Według Ranke'go, Dyoklecyan urządził państwo, jak tego wymagał duch czasu — zrównał prowincye z Rzymem, postawił na czele nowo-utworzonego przez siebie państwa urzędniczego władzę monarszą we właściwém znaczeniu tego wyrazu, któréj poddał zarówno senat, jak i wojsko. Na jeden tylko krok nie zdobył się, który uczynił miasto niego Konstantyn W., ażeby zastąpić pogaństwo, zgodne z całą przeszłością Rzymu, przez chrześciaństwo, które było prądem duchowym przyszłości. Mianowaniu przez niego współrządców przyświecały ważne pobudki polityczne, jak twierdzą Burckhardt [1], Ranke [2], mianowicie: po części chcąc usunięcia dotychczasowéj wadliwości w systemie rządzenia, wskutek obwoływania cesarzy przez wojsko, po części podział pracy. Ranke nawet przypuszcza, iż naznaczenie cezarów miało głównie na celu obronę granic [3]). Czy wicennalia było w planie pozostawić, jako stałą zasadę rządzenia i zmiany następstwa tronu, na to z trudnością da się odpowiedziéć. Burckhardt przychyla się na stronę twierdzącą, chociaż sam zaznacza wątpliwość tego mniemania, gdyż ideę tę współcześni przypisywali Galeryuszowi, co tak mało zgadzałoby się z jego charakterem [4]).

Jeżeli charakterystyka Dyoklecyana, jako polityka i męża stanu, wypadła zbyt ujemnie, natomiast co do Konstantyna autor idzie wzorem Euzebiusza i innych jego panegirystów. Z postaci téj usunął autor wszystkie egoistyczne, a zwłaszcza polityczne motywy. We wszelkiéj charakterystyce najważniejszą jest rzeczą odnieść stronę duchową człowieka (jego wyobrażenia, usposobienie, uczucie) do działań, postępków czyli woli. Żądaniu temu nie uczynił zadość autor. Cały przebieg działalności Konstantyna polega na stopniowém przybliżeniu się jego do jedynowładztwa. Zamiast ten fakt psychologicznie wytłómaczyć, autor usiłuje dowiéść, że działo się to zawsze bez jego woli, a nawet wbrew jego woli. Konstantyn nigdy właściwie nie chce tego, co go spotyka: bez jego woli legiony obwołują go augustem, wbrew

---

1) „Die Zeit Constantius des Grossen". Basel, str. 43.

2) „Die Weltgeschichte", t. III, str. 474.

3) Tamże, t. III, str. 480.

4) „Die Zeit Constantius des Grossen", str. 46.

jego woli ginie Maksymian, bez jego woli upada Licyniusz i wbrew jego woli jedynowładztwo wpada mu do rąk. Posłuchajmy, co mówią historycy przeciwnego obozu, ci, którzy utrzymują, że dążenie do jedynowładztwa było główną sprężyną polityki Konstantyna. Ranke powiada, iż Konstantyn poświęcił na ołtarzu swéj polityki teścia, brata żony, męża siostry, a wreszcie własnego syna [1]). Burckhardt pod tym względem porównywa go z Solimanem Wspaniałym, który tak samo postąpił z synem swym Mustafą, jak Konstantyn z Kryspem, dla zasady politycznéj [2]). Ambicya była głównym motywem działania Konstantyna, który w polityce nie znał żadnych względów moralnych. Religię traktował jako środek ze stanowiska korzyści politycznych [3]), sam zaś był niereligijnym.

Konstrukcye socyologiczne autora na podstawie hypotez biologicznych (doboru przyrodzonego i dziedziczności), zamało wzbudzają w nas przeświadczenia o konieczności ich skutków ze stanowiska historycznego. Takiemi są np. uogólnienia autora o dodatnim skutku wojen na podnoszenie się poziomu duchowego narodu i o przeciwném temu działaniu tępienia wybitniejszych jednostek, o poprawianiu się rasy za pośrednictwem przymieszki krwi barbarzyńskiéj, o dodatnim wpływie początkowym niewolnictwa (na rozmnażanie się samych pracowitych). Natomiast strona kulturalna dziejów (zwłaszcza w przedstawieniu Germanów) została zaniedbaną. Wykopaliska (któremi posługuje się Lamprecht w *Deutsche Geschichte*, t. I) zupełnie pominął autor. Napróżno szukamy w nim faktycznych wiadomości o organizacyi pierwotnéj — przejściu od prawa macierzystego do ojcowskiego, o zamianie organizacyi setek na organizacyę rodzin [4]). Ustrój gminowładczy u Germanów został przez autora najpobieżniéj dotknięty. Lekceważy on siłę i znaczenie obyczaju ze stanowiska tworzenia się prawa. Obyczaj jest pierwotnym węzłem prawnym i w instytucyach zwyczajowych znajdujemy zaczątki późniejszych form i urządzeń prawnych.

Oceniając i porównywując prace najświeższe Grundthausena i Seecka, musimy powiedzieć, iż oba dzieła traktują o jedném i tém samém olbrzymiéj doniosłości zagadnieniu dziejowém, ale każde obrało sobie inny punkt wyjścia, oraz inną metodę pracy. Pierwsze stawia

---

[1]) „Die Weltgeschichte“, t. III, str. 520.

[2]) „Die Zeit Constantius des Grossen“, str. 376.

[3]) Tamże. str. 375.

[4]) Por. „Lamprecht das Socialgeschicht der Urzeit“, t. I. Pangemeinde, „Sippe und Familie der Urzeit“.

sobie za cel poznanie początków, czyli tworzenie się cesarstwa rzymskiego i to głównie ze stanowiska osobistości Augusta. Drugie usiłuje wniknąć w istotę téj katastrofy, która spotkała stary Rzym, i w tym celu bada zarówno moment schyłkowy reorganizacyi państwa przez Dyoklecyana i Konstantyna W., jak i ducha ówczesnego społeczeństwa. W pierwszém dziele przeważa pragmatyzm historyczny i obrazowanie; w drugiém — analiza i pogląd filozoficzny. Z krańcowości tych kierunków wynikają główne wady obudwóch dzieł. W pierwszém zamało uwzględniono fakta ogólne natury socyologicznéj, sprężyny dziejów głęboko utajone albo wprost duch czasów, — w drugiém częstokroć pominięte są milczeniem fakta, z których splata się ciąg wypadków dziejowych, natomiast autor rozpływa się w ogólnikach, albo też szukając przyczyn pierwszorzędnych, zapuszcza się aż do czynników natury biologicznéj (dobór przyrodzony), strona zaś psychologiczne badania, o wiele bliżéj obchodząca historyka, bo związana z wolą, działaniem ludzkiém—mocno na tém ucierpiała. Obadwa dzieła zalecają się gruntownością i naukowością, z większém jednak przechyleniem szali sądu na stronę pierwszego (Grundthausena). Sądząc z dotyczasowego charakteru i zakroju prac obudwóch, po ukończeniu będą one stanowić na polu badań nad epoką cesarstwa rzymskiego dorobek, przewyższający znacznie rezultaty dotychczas wyłożonych w tym zakresie trudów nauki.

Adam Szelągowski.



NAJNOWSZE KIERUNKI

BIOLOGII DZISIEJSZEJ.

Dwieście lat z górą upłynęło od chwili, kiedy w r. 1665-ym Robert Hooke, dzięki ledwo co zrobionemu wynalazkowi mikroskopu, potrafił odkryć w materyi roślinnéj małe ciałka, które nazwał komórkami (*cells*). Niewiele do tego pierwszego odkrycia dołożyli późniejsi, słynni jednak badacze, jak Malphigi, Fontana, w r. 1781 odkrywający jądro i jąderko, Brown, Dujardin, który w roku 1835-ym dochodzi do określenia zawartości komórki, jako materyi zorganizowanéj i żyjącéj, nazwanéj przez niego sarkodą, zamienioną w r. 1846-ym przez Hugona Mohla na dzisiaj przyjęty termin „protoplazma". Turpin (1826) podaje prawdziwe znaczenie komórek, uznając je za elementa organiczne, których przeróżne kombinacye wytwarzają wszelkie organy i organizmy. Dotychczas wszelako badano jedynie rośliny i do nich tylko powyższe twierdzenia stosowano. Dopiéro dwie wielkie prace Dutrochet'a (1824 i 1837), oraz liczne studya Schwanna (1839) umacniają pojęcie o komórce, rozciągają ją do stanowiska elementarnéj formy każdego żywego organizmu, dowodzą, że stanowi ona część zasadniczą w budowie wszystkich naczyń i tkanek, dając temi pojęciami pierwsze zarysy wielkiéj teoryi komórkowéj.

Z umocnieniem tych poglądów, idących, rzecz prosta, równolegle z rozwojem przyrządów badania i techniki manipulacyjnéj, powstaje w biologii nowy, doniosły kierunek.

Historye naturalne Lineuszowskich i Cuvierowskich czasów to skrzętny inwentarz systematologiczny, którego jedyném zadaniem było jaknajsumienniejsze obliczanie nóżek, stawów, lub barwy piór skrzydeł. Jest to doba opisowa, w zewnętrznym morfologicznym rysopisie widząca cel nauki.

Z umocnieniem teoryi celularnéj, z narodzeniem się anatomii mikroskopowéj i embryologii porównawczéj, zmienia się nagle postać rzeczy.

Uczeni, biologowie już teraz, porzucają wypchane lub w słojach konserwowane okazy. Zoologia i botanika z nauki demonstracyjnéj staje się inspekcyjną. Badania przenoszą się do laboratoryum, nie potrzebne są już wielkie ogrody i wielkie zwierzyńce. Mikroskop i stolik dysekcyjny, termostat i odczynniki chemiczne — oto pole do pracy.

O ile pierwszy kierunek miał tę złą stronę, że łączył i grupował w działy i poddziały po większéj części na zasadzie cech zewnętrznych, raził drobiazgowością szczególików opisowych cech zewnętrznych, nieraz bardzo błahéj wagi, o tyle druga po nim następująca era, pod którą po za badaniami mikroskopowemi podłożył podwalinę Lamarck, ten wielki poprzednik Darwina, przeszła w nową krańcowość, w zbytnią drobiazgowość w badaniu najdrobniejszych szczególików wewnętrznéj budowy lub rozwoju.

Na téj to drodze najwięcéj położyli zasług, a raczéj pracy uczeni niemieccy, wyborni obserwatorzy laboratoryjni, dając co rok setki prac z dziedziny histologii, anatomii i embryologii mikroskopowéj, które co najwyżéj zaznajamiały świat z tém, że taki pączek nerwowy u raka schodzi się z innym pączkiem o milimetr wyżéj niż przypuszczano, lub że przy segmentacyi jajko takiéj gąbki rozpada się na tyle, a nie więcéj części. Błąd był znowu ten sam. Peryod pierwszy, jeśli weźmiemy pod uwagę historyę biologii od epoki odkrycia komórki do ustalenia się metod dzisiejszych, ta epoka „historyi naturalnéj zwierząt", badała formę nie troszcząc się prawie o organa, ważność których nawet przy klasyfikacyach wskazywał jednak Jerzy Cuvier, kiedy peryod drugi, przeciwnie, zaniechawszy formę zewnętrzną wdarł się z całą zaciekłością w najskrytsze głębie organizmów, tam do nieskończoności poszukując najdrobniejszych zmian i wyglądów.

Jak pierwszy ten okres, tak i drugi zapomniał jednak najzupełniéj o czémś, co może stanowi najważniejszą kwestyę biologii, co jest może pierwszorzędną i najwłaściwszą jéj treścią...

Zapomniano, rozproszywszy się na setne drobiazgowe badania bez szerszego celu i znaczenia, o tych wielkich pytaniach, które same

tylko mogą objaśnić nam to, o co się tak dawno, bez ostatecznéj i pewnéj odpowiedzi, pytamy: co to jest życie, jakie są jego prawa. Zapomniano więc o niespożytych kwestyach ogólniejszéj natury, jako to: czém jest właściwie komórka, jakim jest jéj stosunek do złożonego organizmu, jakie są i jak się odbywają najprostsze jéj funkcye, jaką drogą i w jakim bodźcu jednakie, jednolite w zaraniu życia różniczkują się w późniejszym swym rozwoju, wytwarzając: jedne nerwy, inne mięśnie, inne tkanki i t. d. Jakim sposobem organizm może przenieść na swe potomstwo bądź swoiste, bądź nabyte cechy, jakie są, innemi słowy, prawa i zasady dziedziczności... Jakie, daléj, więzy pokrewieństwa łączą szeregi istot organicznych, drogą jakich zmian i przeobrażeń szły przez wieki szczeble hierarchii organicznéj... A nakoniec najważniejsze ze wszystkich, to może klucz do większości zagadek, mieszczące w sobie pytanie: jaka jest swoista budowa i własność komórki i jéj zawartości, — pytanie, na które odpowiedź da rozwiązanie wszystkich zagadek biodynamiki dzisiejszéj...

Bywały wprawdzie długie chwile, w których wiedza do tych wielkich zwracała się pytań. Dość przypomnieć prace Lamarcka, późniéj Darwina, Haeckl'a, teorye dziedziczności Weismanna, Naegeli'ego i tylu, tylu innych.

A jednak ponad temi szerszemi wzlotami myśli, co z zebranych szczegółików jakieś większe, ogólniejsze chciała budować gmachy, przechodzono po większéj części do porządku dziennego, po krótszéj lub dłuższéj dyskusyi i polemice, wracając do obliczania długości komórek lub ich wymiarów np. przy głodzeniu.

I w tém może tkwiła pewna czysto psychologiczna, prawdziwie ludzka przyczyna. Te badania laboratoryjne — to jedynie kwestye wprawy, cierpliwości i większego lub mniejszego oczytania. Tu szerszéj myśli, geniuszu nie trzeba. Praca sumienna wystarcza, aby przeciętny pracownik mógł zasłynąć jako wielki i sumienny uczony, często cytowany jako specyalista od... przypuśćmy, wymiarów jąderka w komórkach nerwowych żaby.

Czas więc wielki, aby, otrząsnąwszy się z téj pochłaniającéj coraz więcéj zdolności pracy szperaczy mikroskopowych, wziąć się do tych wielkich pytań biologii ogólnéj, które stoją otworem i co manią i wabią olbrzymiością swych zagadnień, wśród których swobodnie rozbijać się mogą najśmielsze i najbogatsze umysły.

Jednym z pierwszych, co w téj pierwszorzędnéj dla nauki dzisiejszéj kwestyi, rzucił rękawicę tym, co po za laboratoryum i mikroskopowaniem nie widzą żadnéj dla biologii przyszłości, jest profesor Sorbony—Yves Delage.

Wyzwanie to rzucił on w wspaniałém swém dziele: *La structure du protoplasma et les théories sur l'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale* [1]). Ogromne to dzieło rozdzielił autor na trzy części: jedna nosząca tytuł „Fakty", druga „Teorye", trzecia zaś, będąca kombinacyą dwóch pierwszych, zawiéra własną teoryę autora.

Część pierwsza ma przedstawić dane konkretne, określenia i systematykę komórki i jéj części składowych. Jest ona jednak w rzeczywistości zwięzłym skrótem teoretycznéj części, która znowu daje nam w przepysznie obrobiony sposób wszystkie teorye komórkowe i dziedziczności od najdawniejszych czasów do dni ostatnich. W téj części zwraca uwagę nazwisko kilkakrotnie cytowane badacza naszego J. Ejsmonda.

Ta druga część dzieła ma na celu przedstawienie i jednocześnie krytykę wszystkich teoryi, jakie dotychczas ukazały się w literaturze naukowéj w tych kwestyach.

Tu zwracamy uwagę na doskonały rozbiór i krytykę teoryi Weismanna i Naegelego. Dla każdego zajmującego się biologią, ta część daje niespożyte bogactwo faktów, podanych jasno, oświetlonych trafnie, dostarczających każdemu potrzebnéj mu wiadomości, częstokroć bez potrzeby uciekania się do źródeł oryginalnych.

Przedstawia więc nam najprzód animistyczne poglądy najdawniejszych autorów, widzących w rozwoju osobnika i szeregów organicznych siłę życiową, mistyczne, gołosłowne określenie.

Późniéj zjawiają się ewolucyoniści, zrazu widzący w jajku jakby szereg wkluczonych jedna w drugą właściwości ich, które warunkują przechodzenie cech dziedzicznych. Cóś jak owa chińska kula, gdzie autor wyrzeźbia jedną w drugiéj, cały szereg coraz mniejszych pierścieni.

Nakoniec trzeci kierunek, ostatni, który mikromeryzmem ochrzcił, teorya widząca w organizmie jakieś idealne cząstki (setki nazw u setnych noszące autorów), które przenoszą z ciała rodzicielskiego w ciało potomka wrodzone lub nabyte cechy. A więcéj nawet: gdy jak u Weismanna, za pomocą jego słynnych bioforów nie udało się objaśnić przechodzenia cech nabytych, odrzucono je decydując, że cechy te nie są dziedziczne, wbrew obserwacyi, licznemi faktami popartéj.

---

[1]) Ogromny tom o 878 stronach, z wyczerpującemi indeksami i wykazem bibliograficznym. Praca powyższa, o ile nam wiadomo, została przetłómaczona na język polski przez dr. Wandę Szczawińską. Z niecierpliwością prawdziwą każdy przyrodnik polski powinien oczekiwać jéj ukazania się.

Teorye te, zdanie ostatniéj doby, przenoszą całą siłę dziedziczną na idealnie małe ciałka, niedzielne elementy, które mają w sobie te zarodki funkcyi lub budowy z rodziców na dzieci przechodzące.

Pomijam tutaj rozbiór chociażby najkrótszy tych teoryi, pomijam własną teoryę Delage'a, chcę jedynie nadmienić jeden fakt: uwydatnienie przez uczonego profesora Sorbony prawdy, że wszystkie dotychczasowe teorye są jedynie przygotowaniem, że długie poszukiwania laboratoryjne oderwały umysły od tych najważniejszych dla biologii kwestyi, kierując je na manowce, pozostawiając na boku to, co przedewszystkiém uwagę zwrócić było powinno.

Długie zaś swoje osobiste wywody reasumuje autor w formule: „W filogenezie organ urabia funkcyę, w ontogenezie funkcya urabia organ”, t. j. w rozwoju i życiu osobnika jego przeróżne ustosunkowania się do środowiska, zróżniczkowania indywidualne wpływają na zmianę i modyfikacyę organu, stosownie do jego potrzeb: funkcya urabia tu organ. Zmiana anatomiczna jest podporządkowana zmianom natury fizyologicznéj.

W rozwoju zaś hierarchii organicznych, w rozwoju rodów rzecz dzieje się odwrotnie: tutaj zmiana anatomiczna warunkuje zmiany fizyologiczne. Wynika zaś to w najprostszéj swéj przyczynie z prawa przeobrażeń dla osobnika. Rozszerzenie się zakresu potrzeb i wymagań życia, narodzenie się nowych warunków i nowych konieczności wywołuje ewentualną musowość przystosowania organu do nowopowstałych funkcyi. Jeśli teraz te funkcye nowonabyte, wraz z nowowytworzoną wskutek ich pojawienia się zmianą anatomiczną okażą się pożyteczne, wygrają na terenie walki o byt, dając pierwszeństwo obdarzonemu niemi, — to cechy powyższe utrwalając się z osobnika na osobnik, wytworzą przedewszystkiém coraz donioślejszą zmianę anatomiczną, nową organizacyę przeznaczoną na nową funkcyę. Że zaś w początku powstawania w zarodku najprzód powstaje organ, mający wypełniać funkcyę, późniéj zaś dopiéro pojawia się funkcya, ewentualnie w szeregach ewolucyi rodowéj najprzód powstanie organ, a późniéj coraz silniéj w nim objawiać się będzie funkcya, czyli organ urobi, a raczéj uwarunkuje funkcyę.

To też dla ścisłości terminologicznéj wprowadziłbym do formuły Delage'a w pierwszym przypadku słowo „uwarunkowuje”, w drugim zaś „urabia”.

Jeśli więc, jak to przyznaje autor w końcu swéj pracy, nie tyle chodziło mu o wysunięcie na pierwszy plan swego osobistego zdania, ile o zainteresowanie ogółu badaczy kwestyą poruszenia na nowo wiel-

kich zadań biologii ogólnéj—to mieć należy nadzieję, że mu to przedsięwzięcie w zupełności udać się musi.

Może pod wezwaniem uczonego francuskiego, odrzucą biologowie czcze wycieczki w dziedzinę systematologii mikroskopowéj, a zechcą ogarnąć te szerokie, bezgraniczne horyzonty od początku istnienia do dziedziczności cech nabytych idące... Że jednak powiał nad światem jakiś dobry prąd, te dążenia wzbijający na plan pierwszy, dowodzi tego druga praca, o któréj słów parę powiedzieć tu muszę.

Le Dauter, *Le théorie nouvelle de la vie.* Felix Alcan, 1896, Paris. Oto jéj tytuł.

Autor, doktór nauk przyrodzonych, stawia tu niezmiernie oryginalną i śmiałą teoryę życia, starając się od początku do końca swéj doskonałéj pracy uwydatnić jeden fakt: życie istot organicznych rządzi się temi samemi prawami, z jakiemi spotyka się badacz przy obserwacyi ciał nieorganicznych, przy zjawiskach chemicznych i fizycznych.

Przedewszystkiém autor rozróżnia życie elementarne i życie właściwe.

Pierwszy udział istot monoplastycznych określa Le Dauter, jako własność plastydy (czyli nieukształconego ciała protoplazmatycznego), możność jéj zostania plastydą.

Przystosowanie się do miejsca wytwarza skupienia. Nazywamy organami poszczególne części skupienia. Czynność, działanie organu, zwane jego funkcyą, jest rezultatem własności życia elementarnego, wchodzących w skład jego elementów. Tutaj dodać należy, że plastyda obdarzona życiem elementarném ginie, skoro jéj odejmie się którą z głównych jéj składowych części, np. jądro. Dowodzą tego doświadczenia merotomiczne.

Złamanie ciągłości koordynacyjnéj w wieloplastydowym organizmie jest śmiercią. Śmierć może zabić organizm, pomimo że ani jeden element anatomiczny nie został zabity śmiercią elementarną.

Śmierć jest konieczną fazą następczą dla organizmów, może nigdy nie nastąpić w elementach, żyjących życiem elementarném.

Cała teorya Le Dauter'a, oparta ściśle na prawach fizyko-chemicznych zamiany materyi i zależności organizmu od środowiska, stanowi piękny przyczynek dla dzisiejszéj biodynamiki, czyli mechaniki życia.

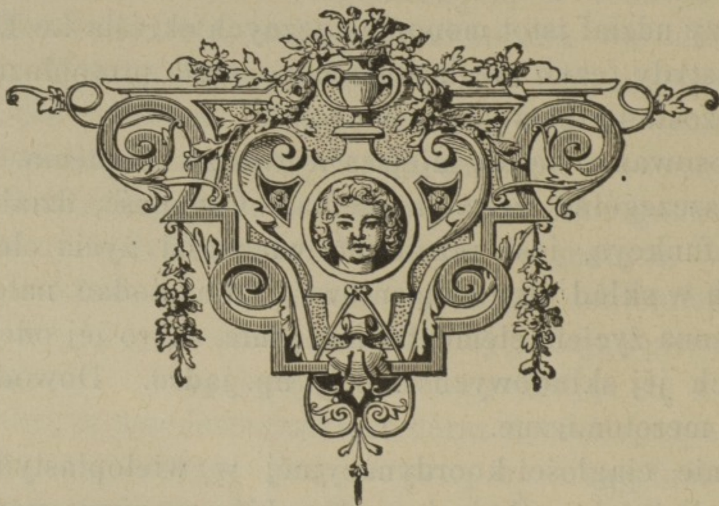
Więcéj takich badań, więcéj takich sumiennych i bezpretensyonalnych uogólnień, a przyjdzie chwila, w któréj jeśli nie już, jak chciał Berthelot, syntezę materyi żywéj zrobiemy, ale przynajmniéj

będziemy mogli napisać prawdziwe i pewne równanie chemicznéj zamienności materyi w funkcyach życia.

Aby módz osiągnąć ten cel, aby raz módz się dowiedzieć, czém jest to życie, ten najpowszechniejszy i najpospolitszy proces przyrody, dotychczas tajemny i nierozwiązany, trzeba, porzuciwszy drobiazgowe szperania, zamienić laboratorya na pracownie dla celów biologii służące, dążąc do rozwiązania trzech wielkich pytań: co to jest protoplazma, czém jest jéj elementarna funkcya życia i jaką drogą to życie wraz ze swemi właściwościami przechodzi z rodziców na potomstwo.

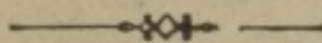
Rozwiązanie tych pytań stanowić musi cel całéj jutrzejszéj biologii.

K. Daniłowicz - Strzelbicki.



Z PIŚMIENNICTWA ANGIELSKIEGO

w 1896 roku.



Nie ma trudniejszego zadania, jak charakteryzować piśmiennictwo jakiegokolwiek społeczeństwa w ścisłym obrębie jednego roku. Krótkość czasu, zarówno jak rozmaitość przedmiotu, stać tu muszą na zawadzie. Jest ono materyalnie niepodobném, gdy się angielskie pod rozbiór bierze. Roczna produkcya liczy się tam nie na tysiące, ale na dziesiątki tysięcy dzieł. Nikt rościć pretensyi nie może, by znał je choćby z tytułów. Najpilniejszy czytelnik, oprócz swéj specyalności, poprzestać musi do poznajomienia się z drobniuchną zaledwie cząstką tych, co stoją po za jéj obrębem.

Nawet dominujące prądy, wytwarzające i grupujące się szkoły, nie dadzą się uchwycić w zasadniczych swych rysach w tym szczupłym zakresie czasu, gdyż na każdą ewolucyę życia umysłowego potrzebuje go znacznie więcéj. Wszelkie ogólne charakterystyki ograniczają się do cząstkowego naszkicowania jednego zakątku obrazu. Gdy się np. spotykamy ze zdaniem, iż rok ubiegły zaznaczył się stanowczym zwrotem ku studyowaniu klasyków narodowych, albo gdy nam wskazują umoralnienie powieści, skoro kobiéty-autorki zaprzestały rozpisywać się o patologiczno-fizyologicznych zagadnieniach, to można albo samemu faktowi zaprzeczyć, albo z większém jeszcze prawem

uznać taki szczegół drobiazgowy za niewystarczający do scharakteryzowania twórczości piśmienniczéj wielkiego, żywotnego i wysoce oświeconego społeczeństwa.

Nie wystarczającą zapewne, ale jedynie praktyczną metodą jest tedy, gdy się nie chce pisać oschłego katalogu bibliograficznego, pozbawionego zresztą wszelkiego interesu dla oddalonéj publiczności, wyjęcie z pośród téj pstrokatéj masy świéżo wydrukowanych książek, kilku, kilkunastu utworów, które z tych lub innych powodów uwadze publicznéj się narzuciły i najpowszechniéj czytane i rozbiérane były. Przegląd taki, nie kusząc się bynajmniéj o odsłonięcie tajemnic umysłowéj twórczości angielskiéj, ani zamierzając być systematycznym i dokładnym, zaspokoi wszelako tę naturalną u każdego wykształconego czytelnika ciekawość co do nowych objawów piśmienniczych u jednego z przodujących narodów świata współczesnego.

Zacząć ten przegląd przystoi od poezyi nietylko z zasadniczéj czci dla téj najwznioślejszéj formy twórczości duchowéj, ale i ze względu na żywotność, jakiéj ona ani na chwilę w Anglii nie straciła. Inne narody skarżą się na stygnący dla poezyi interes, na niepoczytność poetów: u Anglików niczego podobnego nie ma i śladów, przeciwnie mnóstwo dowodów, że społeczność jest w ciągłym i bezpośrednim związku nietylko z poetami o ustalonéj sławie, co oddawna już weszli do Panteonu narodowego, ale że przysłuchuje się pieśniom młodych, wczoraj jeszcze wmieszanych, bez indywidualnego znamienia, do gwarnego roju *poetae minores* i że odznacza zaszczytném wyróżnieniem tych, co złożyli dowody wyższego uzdolnienia. Wykazał rok ubiegły, z okoliczności stuletniego jubileuszu szkockiego barda, Burns'a, jak wielką jest po dziś dzień popularność tego samorodnego śpiewaka ludowego: osobistości najznakomitsze nietylko literackiego, ale naukowego, politycznego i kościelnego świata, wzięły udział i zabrały głos w uroczystościach pamiątkowych. Innym przykładem trwałéj pozycyi, zdobytéj przez poetów, są dwie naraz nowe edycye zbiorowe dzieł lorda Byrona, podjęte przez wielkie firmy księgarskie, oraz rozmaite publikacye, biograficzne i krytyczne, do niego się odnoszące. Jest to zjawisko niespodziane, ów zwrot ku Byronowi. Przed kilkunastu laty nietylko zdawał się nie być już na porządku dziennym, ale wystarczało oddawać mu hołd, aby się okryć śmiesznością. Pompatyczny jego romantyzm brzmiał jak anachronizm wśród atmosfery realistycznéj, atmosfery dnia dzisiejszego. A oto znajduje zastępy czytelników, komentatorów, lubo nikomu na myśl nie przychodzi marzyć o wskrzeszeniu byronizmu. Ta sprawiedliwość oddawana śpiewakowi Childe-Harolda jest czémś więcéj, niż umieszczeniem jego popiersia

w galeryi historycznéj poetów: zwracają się do niego nietylko jako do antenata, ale lubują się w nim, jako w mistrzu formy, co nie straciła nic na swéj piękności.

Wskrzeszając pamięć onegdajszych swych wieszczów, nie skąpi też Anglia miejsca wczorajszym. Przedłużająca się chronologicznie epoka Wiktoryi o wiele daléj, aniżeli to normalnym tokiem wypadków przewidziéć było można, miała tak genialnych poetów, jak Tennyson i Browning, tak wysoce utalentowanych, jak Swinburne i William Morris. Pierwszy z tych dwóch ostatnich nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa i nie stracił swego przodowniczego stanowiska. Nawet podrzędniejsze jego utwory, jak wydane w roku zeszłym *Tale of Balem*, przyjęte zostały z zapałem i nie ma wątpliwości, że przynajmniéj pod względem piękności formy, artystycznego kunsztu wiersza, nikt mu z krajowych poetów nie dorównywa. Zgon Williama Morris'a wywołał tyle żywych manifestacyi żalu narodowego, że nie potrzeba innego dowodu, jak wielkiéj czci śpiewak „Raju ziemskiego" zażywał do ostatniéj chwili. Była tu mowa niedawno [1]) o jego twórczości poetyckiéj: i jego stanowiska w poezyi angielskiéj nie ma potrzeby podnosić ponownie.

Straciła także Anglia w ubiegłym roku innego ze swych wydatniejszych poetów, sięgających jutrzenką swéj twórczości do pierwszego okresu epoki Wiktoryańskiéj. Mamy na myśli p. Coventry Patmore. Był to poeta domowego zacisza, śpiewak rodzinnego ogniska a cześć podniosła dla jego kapłanki, kobiéty, stanowiła dominującą nutę jego utworów. Cieszyły się one wielką popularnością, a poemat *Angel in the house*, i drugi *Faithful for Ever* zasługiwały na nią bezwarunkowo i czystością natchnienia i kunsztowną prostotą formy. Coventry Patmore, jedyny z pomiędzy nowoczesnych poetów angielskich, którzy ogółem są panteistami albo agnostykami, był nietylko spirytualistą, ale katolikiem żarliwym. Szczególniéj w ostatnich jego utworach uwidoczniła się przewaga mistycyzmu, w którym zaginął, jak w bezbrzeżnym oceanie, ów prąd egotycznego liryzmu, co stanowił jego wybitną stronę poetycką. Nie genialny to wieszcz zapewne, ale jeden z tych, którzy każdemu piśmiennictwu chlubę przyniéść mogą.

Kwiaty, które sypie społeczność angielska na świéże mogiły swych ulubionych wieszczów, nie przeszkadzają wieńczeniu nowych, na poetycką arenę wstępujących. Rok ubiegły ostatecznie usankcyonował sławę dwóch z nich przynajmniéj — Johna Davidson i Williama

---

[1]) Patrz „Ateneum" za styczeń r. b.

Watson. Obadwaj mają już za sobą kilkoletnią twórczość i niemało zaszczytnych wysiłków, ale obecnie można już bez obawy zbyt pośpiesznego sądu, umieścić ich w orszaku poetów, których strofy chwytane są w lot przez zasłuchaną w nie społeczność. Wymieniani oni ciągle bywają *ex aequo*, jakby w niepewności, któremu z nich pierwsze należy się miejsce. Szala przechyliła się, jeżeli osobiste wyrazimy zdanie, ku pierwszemu.

John Davidson jest istotnie oryginalnym poetą. Próbował on już sił swych w kilku rodzajach, a między nimi w poetycznych dramatach, pisanych widocznie z okiem ku scenie zwróconém. Gdy się talent jego wzmoże i rozwinie, będzie to dla dramatycznéj sceny angielskiéj, tak zadziwiająco ubogiéj, nabytek cenny. Przekład *Pour la Couronne* Franciszka Coppée, którego dokonał w kunsztownéj formie dla sceny Irvinga, Lyceum, świadczy czego się po nim w tym kierunku spodziéwać będzie można. Ale mistrzowstwo swoje ujawnił on w lirykach. W ciągu dwóch ostatnich lat ogłosił zbiory „Ballad" i „Sielanek", a w roku 1876-ym dał i nowe ballady i nowe sielanki. Te ostatnie, które mu jednozgodny poklask zdobyły, nie są bynajmniéj bukolikami pasterskiemi. Autor nazywa je eklogami z ulicy Fleet. Ironia tego tytułu pochwycona być może dopiéro wtedy, gdy się przypomni, że ta ulica, o nieustającéj wrzawie, bez jakiéjkolwiek piękności plastycznéj, jest siedliskiem całego dziennikarskiego i publicystycznego świata angielskiego. Wrze tu jak w kotle, ale nie ma miejsca na marzenia poetyckie, a środowisko samą myśl eklog sielskich Teokryta lub Wergiliusza wyklucza. Istotnie z innym téż światem mamy do czynienia. Poeta, zamieszany w ten wir kotłującego życia dzisiejszego, oryentuje się w niém, szuka drogi, szuka zasad i idei przewodnich. Umysł jego jest pełen rozwagi i sądu krytycznego. Rozumié ustrój demokratyczny, podsłuchał skargi cierpiącego ludu. Nie ma w nim czułostkowości sentymentalnéj dla proletaryatu, ale poeta przemawia jako trybun ludu. Jest gorącym patryotą i potęga państwa brytańskiego, w którém nigdy nie zachodzi słońce, odurzająco działa na jego wyobraźnię. A wyobraźnię ma bujną, rozkołysaną i taką, że, unosząc się nad krytycznym poziomem jego sądu, czyni go niezaprzeczenie poetą. Malowniczość jego palety, zdumiewające bogactwo obrazów, kunsztowność formy, częste wiersze, które odczytane, ryją się w pamięci: oto jego zalety zewnętrzne. Gdy zaniecha zbytecznego skupiania myśli, gdy się stanie bardziéj przezroczystym i gdy skrzydłem swém wielkie kręgi zataczać się nauczy po firmamencie, to będzie, bez najmniejszego wątpienia, poetą nowego pokolenia. Uznanie publiczne, które go otacza, jest zupełnie uzasadnione.

Jego rywalem w sławie poetyckiéj jest William Watson. Gdy przed dwoma laty wyszedł zbiór jego: „Ody i inne poemata”, przychodzący po kilku innych, dawniejszych, wysoce cenionych przez znawców i miłośników poezyi, krytyka o nim wydała sąd najpochlebniejszy. Nie wahano się stawiać go na téj saméj równi, co Matthew Arnold, ba, nawet co Tennyson. Najbliższe pokrewieństwo duchowe wiąże go z Wordsworth'em, najpierwszym z liryków angielskich. Co przedewszystkiém zadziwia i zachwyca w poezyach W. Watsona, to mistrzowstwo nieposzlakowane ich formy. Jest ona nawet przerażającą. Obrawszy sobie poezyę za specyalność wyłączną, wystudyował on, zgłębił tak dokładnie wszystkich najznakomitszych pieśniarzy krajowych, począwszy od epoki Elżbiety, że przyswoił sobie, nieświadomie może, wszystkie ich właściwości. Czytając jego wiersze, ma się zawsze poczucie, że się już kiedyś, dawniéj te podniosłe, pełne szczytności, kryształowe, dźwięczne rymy czytało. Na przemian tego lub owego z największych narodowych poetów przypomina, i pod żadnym względem nie zostaje za nimi w tyle. Taka pochwała jest jednocześnie krytyką. Ten wirtuoz nieporównany nie posiada prawdopodobnie samodzielnéj oryginalności. Nie wiemy, jak wiemy u Davidsona, w co wierzy, jakie są jego istotne dążenia, jakie mu przyświecają ideały. Podejrzewamy nieraz istotę jego wzruszenia poetyckiego i gotowiśmy przypuszczać afektacyę i deklamacyę tam nawet może, gdzie jest całkiem szczery. Jako arcydzieło jego niechaj nam będzie wolno polecić zwolennikom poezyi jego „Hymn do morza”. Jest to charakterystyka mi strzowska, pełna najwspanialszych a razem najwierniejszych obazów, jest to inwokacya istotnie natchniona. Zamiast rozwodzić się nad kapryśnością rozigranych fal, poeta podnosi wieczyste, niezmienne prawa życia morskiego i łatwo sobie wyobrazić, jaką przeciwstawę z działalnością ludzi i jaką harmonię pomiędzy jednym a drugim światem odkrywa.

W ciągu ostatniego roku p. Watson wydał zbiór sonetów, poświęconych prześladowaniom Ormian. Zbiór ten nazwał „Purpurowym Wschodem”. Poświęcenie siedmnastu sonetów temu jednemu przedmiotowi świadczyło o głębokości wrażenia, jakie tragiczne te wypadki wywarły na jego wyobraźni, ale szkopułem tu musiała być jednostajność. Jest zaiste dowodem wysokiego talentu, że nie daje się ona uczuwać zbytecznie. Muza poety jest pełna górnolotnego natchnienia. Wzięty oddzielnie, każdy z tych sonetów jest doskonały. Nużą, przerażają nawet, gdy się je czyta jednym tchem. Jak świetna jest gra imaginacyi p. Watsona, nic lepiéj nie pokazuje jak ustępy, w których wyrzuca swemu narodowi, iż zdradził świętą sprawę uciśnionego naro-

du, nie dając, koniec końcem, obiecanéj pomocy. Jeden z sonetów przedewszystkiém nazwany „Honor Anglii”, w którym bolejący wieszcz-patryota składa ten honor splamiony do mogiły, zostanie po wsze czasy pomnikiem poezyi angielskiéj.

Możnaby jeszcze wymienić, oprócz Davidsona i Watsona, kilku innych poetów popularnych i poczytnych, a przedewszystkiém jednego z nich, którego świéże *Soldier Tales* pochwycone zostały przez całą masę narodową, ale zdaje się właściwszém przejść do innych działów piśmiennictwa. W filozoficznym, rok 1896-ty przyniósł z jednéj strony ostatni tom „Socyologii” Herberta Spencera, a z drugiej—„Historyę wojny pomiędzy wiedzą a teologią” Andrzeja White'a. Nie tutaj, w szybkim przeglądzie, miejsce dla charakterystyki pomnikowéj „Filozofii ewolucyjnéj” Spencera. Dość będzie przypomniéć, że ta praca trzydziestoletnia, prowadzona przez wielkiego myśliciela bez przerwy, a obejmująca najprzód „Pierwsze zasady”, a z kolei „Zasady biologii”, „Psychologii”, „Etyki” i „Socyologii”, stoi przed światem obecnie w swéj całości systematycznéj. Doktryna ewolucyi, jako taka, przestała już być herezyą, albo nawet nowością, i weszła w krew i soki umysłowe świata współczesnego. Filozof angielski uważany za zuchwałego rewolucyonistę, gdy stawiał fundamenty dla swéj budowli, znajduje już teraz przeciwników tylko na tym lub owym punkcie drugorzędnym, gdy idzie o zastosowanie téj lub owéj gałęzi świadomości ludzkiéj do całokształtu świata takiego, jaki on pojmuje. Kiedy on sam, z łatwém do zrozumienia zadowoleniem spogląda na dokonane przez się dzieło, w kołach inteligencyi angielskiéj powstała myśl upamiętnienia tego doniosłego wypadku odpowiednim obchodem. Pierwszą jego formą jest ofiarowanie narodowi portretu Spencera, wykonanego przez Herkomer'a, jednego z najsłynniejszych malarzy. Subskrypcya publiczna pozwoli prawdopodobnie i na inne oznaki wdzięczności społecznéj względem Nestora filozofów krajowych.

Dzieło p. Andrzeja Dickson White'a, którego tytuł w oryginale brzmi *History of the warefare of science with theology in Christendom* wyszło jednocześnie w Nowym Yorku i w Londynie u wielkiéj firmy wydawniczéj Macmillan'a. Te dwa grube tomy znalazły tu powodzenie nadzwyczajne. Jedno z pełnych życia pism tygodniowych literackich, *the Academy* rozpisało okólnik do kilkuset najznakomitszych osobistości świata piśmienniczego, z prośbą o wymienienie dwóch książek najbardziéj interesujących, jakie im się w ostatnim roku czytać zdarzyło. Więcéj niż połowa tych luminarzy wymienia jako taką pracę p. White'a. Nie ma wątpienia, że dzieło to zostanie niebawem przetłómaczoném na wiele języków: odpowiada ono do wysokiego stopnia

potrzebom chwili, a wywarło już potężne wrażenie wśród tych warstw anglo-saskiego szczepu, które kroczą naprzód z okiem skierowaném ku postępowi ludzkości, ku światłu i prawdzie.

P. Andrzéj White wydał tę „Historyę” walki wiedzy z teologią na upamiętnienie 25-éj rocznicy fundacyi uniwersytetu Cornell w Stanach Zjednoczonych, którego był profesorem historyi i rektorem. Naukowa ta instytucya, licząca już dzisiaj 2,000 studentów i 150 profesorów, ufundowana była przed ćwiercią wieku przez p. Cornell, z warunkiem, że wszystkie prace naukowe w niéj podejmowane nie mają się krępować względami teologicznemi. Była to zuchwała inowacya w świecie anglo-saskim, gdzie cała oświata wyższa była tradycyonalnie trzymana w rygorze teologii; przyjęto ją okrzykami zgrozy i prześladowaniami. Krótkiego atoli trzeba było czasu, ażeby tę stronniczą niechęć rozbroić i udowodnić, że ani moralne podstawy, ani czysty duch wiary religijnéj, nic na zniesieniu klauzuli teologicznéj nie ucierpią. Ci, co pragną identyfikować religię z obskurantyzmem naukowym i chowają się po za zastarzałą teoryę scholastyczną, krzywdę przynoszą religii, a postępów i rozwoju wiedzy nie powstrzymają. Autor téj pracy poważnéj, ambasador amerykański w Petersburgu, porównywa ją w swéj przedmowie do tych przerębli, jakie wykuwane bywają na lodzie Newy: i ona także ma ułatwić swobodę prądu i zapobiedz klęsce gwałtownego wylewu.

Byłoby błędem uważać obecne dzieło za jednoznaczne z książką Johna W. Draper'a *Conflicts between Science and Religion*. Ta, swego czasu tak rozgłośna praca, była, zaprzeczyć się nie da, nieprzyjaźnie usposiobiona względem wszystkich kościołów, względem każdéj religii i widziała w nich nieprzejednanych wrogów wiedzy. Od roku 1872-go, w którym ona wyszła na widok publiczny, upłynęła zaledwie ćwierć wieku, a już punkt wyjścia wydaje nam się przestarzały, sekciarski, ciasny. Inaczéj zapatrują się dziś najlepsze umysły na rolę, która wielkim organizmom spirytualistycznym, jakiemi są kościoły, i wszechpotężnemu działaczowi cywilizacyjnemu, jakim jest religia, przypadła w udziale. Zostawiając im otworem pole kształtowania i uszlachetniania moralnéj strony natury człowieczéj, wyswobodziła je zupełnie z odpowiedzialności, ze wszelkiego obowiązkowego udziału w postępach wiedzy, w zdobyczach naukowych. *Philosophia—ancilla theologiae*, doktryna średniowieczna, sformułowana w téj słynnéj formule przez Wincentego z Beauvais, straciła w nowszych czasach wszelką racyę bytu. Wyemancypowana z wszelkiego wpływu kościelnego wiedza, czyni poszukiwania, bada zjawiska świata zewnętrznego, zdobywa piędź za piędzią, wśród mozolnych wysiłków, jedna po drugiéj prawdę, wni-

ka coraz głębiéj w tajemnice przyrody i wszędzie, na każdym kroku, u granic swéj świadomości spotyka się z odwieczném zagadnieniem pierwiastku spirytualistycznego, Twórcy wszechbytu. Pomiędzy wiedzą, o takim praktycznie zakréślonym programacie, a religią, zdążającą do obudzenia w duszy ludzkiéj czci i miłości dla tego Twórcy, nie ma najmniejszego powodu do waśni: każda swojém korytem do tego samego zmierza oceanu. Spór i zacięta walka były wtedy tylko możliwe, gdy zabierająca głos samozwańczo w imieniu religii, teologia przemawiała rozkazująco do wiedzy, uczyła ją prawd przyrodniczych, zakréślała granice jéj poszukiwaniom i karciła za każde samodzielne zboczenie z wytkniętego jéj szlaku. Przeciwko téj uzurpacyi teologii zbuntował się świat nowożytny i w ciągu trzech ostatnich wieków udało się wiedzy całkowicie zwyciężyć tę przedtém potężną przeciwniczkę. Dzieje téj walki, tych zapasów, opisuje p. Andrzéj White ze spokojem wyzutym z wszelkiéj napastniczéj zaciętości, z olbrzymim rynsztunkiem nauki historycznéj i technicznéj. Nie potrzeba wcale dodawać wniosków tendencyjnych do tego wymownego obrazu historycznego, gdyż z nawału umiejętnie i systematycznie nagromadzonych w nim danych gościniec, jakim pójdzie świat jutrzejszy, ukazuje się w jasnéj perspektywie.

Jądro tego dzieła zawiéra się w pierwszym, wstępnym rozdziale, którego wszystkie dalsze są tylko ugruntowaniem i rozszerzeniem, w zastosowaniu do rozmaitych gałęzi wiedzy. Nosi on tytuł: „Od stworzenia aż do ewolucyi" i obejmuje historyę idei przemagających u ludzkości co do powstania świata. Na początku stoi pojęcie o stworzeniu świata z niczego przez osobistego Twórcę i stopniowo widzimy je podkopane i obrócone w niwecz przez Kopernika, Kepplera, Galileusza, Kartezyusza i Newtona. Ostatni cios teoryom teologicznym zadać musiała doktryna ewolucyi. Autor rozpatruje systematycznie poglądy świata starożytnego i średniowiecznego na sposób, w jaki stworzenie świata zajść miało, na materyę stworzoną, na epokę i na datę, oraz na osobę Twórcy; idzie za pierwszemi objawami sceptycznego powątpiewenia co do wiarogodności téj teogonii, pokazuje jak pojęcie ewolucyi świtało już w odległych czasach, w starożytnym i średniowiecznym kościele, jak się rozwinęło od XVI-go wieku aż do naszych czasów, gdy przez prace Buffona, Lamarcka, Cuvier'a, Wallace'a, Darwina i Lyell'a stanęło w rzędzie prawd naukowych. Wszystkie usiłowania potępienia teoryi i odkryć wiedzy, zamknięcia ust jéj rzecznikom spełzły na niczém, tak samo jak nie mogły być uwieńczone skutkiem starania pogodzenia teoryi teologicznych z pewnikami wiedzy. Za ostatni protest nauki przeciwko ewolucyi, uważać można opo-

zycyę tak wielkiego uczonego, jakim był Agassiz. Od roku 1859-go, gdy teorya ewolucyi ostatecznie sformułowaną została, upłynęło zaledwie kilka lat dziesiątków, a już obecnie zgroza i przekleństwa, rzucane na Darwina, znacznie osłabły i nie trudno przewidziéć chwilę, w któréj ci, co przy genezie teologicznéj upiérać się będą, zapragną wśrubować ją do niéj, tak samo, jak zmuszeni byli uczynić to po odkryciach Kopernika, Galileusza i całego szeregu przyrodoznawców.

W następnych dwóch rozdziałach autor wykazuje walczące jedne z drugą te dwie doktryny w dziedzinie geografii i astronomii. Forma, kształt i rozmiary ziemi, charakter jéj powierzchni i jéj wnętrza, oraz jéj mieszkańcy: na każdym punkcie tym teologia kościelna musiała złożyć broń. Nie potrzeba przypominać epizodów tragicznych walki z odkryciami astronomów w XVII-ym wieku: dała ona p. White sposobność do napisania jednego z najbardziéj przekonywających ustępów swéj pracy. Z kolei przechodzi do geologii, do chronologii biblijnéj i do archeologii przedhistorycznéj. W formie wstępu do historyi o upadku człowieka wykazuje, jak do przekazanych nam pod tym względem pojęć hebrajskich, weszły żywcem starsze od nich legendy chaldejskie i asyryjsko-babilońskie i mity i jakim zmianom uległy, gdy ufundowano na nich pojęcie monoteizmu. Teorya stworzenia człowieka i jego upadku rozpatrywana jest ze stanowiska antropologicznego, etnologicznego i historycznego. Autor wyraża przekonanie, że dopiéro z chwilą, gdy całą tę teoryę teologiczną zniweczono, powrócona została człowiekowi swoboda woli i że dopiéro teraz prawdziwa, wzniosła, czysta religia ma pewny grunt pod nogami do kształtowania duszy człowieczéj. Walka z przesądami i zabobonami, egzorcyzmy, wypędzanie dyabła, potępianie czarownic, magia, stopniowo prowadzą do narodzin fizyki i chemii. Nauki to młode jeszcze, w dziecinnym nieledwie wieku, ale z dokonanych już przez nie odkryć i przewrotów łatwo przewidziéć, jaką mają przed sobą przyszłość. Każdy nowy ich krok jest ciosem dla pojęć, za które wiedza teologiczna niedawno jeszcze kruszyła kopie. Rozdziały, w których autor pokazuje postępy dokonane przez wiedzę w sferze medycyny, stającéj do walki z wiarą w fetysze i cuda, i wprowadzającéj jedne po drugich badania anatomiczne, szczepienie zarodków, użytkowanie środków anestetycznych i hygieny w niezliczonych jéj zastosowaniach, nabiérają istotnego dramatycznego interesu, gdy przypomina długi szereg wysiłków, jakie czyniła teologia, aby im drogę zagrodzić i działanie utrudnić.

Ostatnią część swego wyczerpującego dzieła poświęca p. White porównawczéj filologii i przeciwstawia ją biblijnéj teoryi o pomieszaniu języków i wieży Babel, oraz porównawczéj mitologii przez którą

dochodzi do szybkiego przeglądu egzegezy krytycznéj i olbrzymich odkryć jakie się jéj udało uczynić co do składu i charakteru starego i nowego testamentu. Rola jaką zajmuje buddyzm w teodycei chrześciańskiéj jest należycie podniesiona.

Nie ma jednéj stronicy, jednego ustępu w tych dwóch grubych tomach, któreby się czytało obojętnie; na każdym kroku najważniejsze zagadnienia umysłu ludzkiego stają w historycznym swym rozwoju, walczące o prawo bytu. Nie podobna, wobec tego tysiąca przywiedzionych dowodów, nagromadzonych przykładów, wątpić że autor ma słuszność twierdząc, iż teologia nic z wiedzą ścisłą nie ma wspólnego, że się do tych kwestyi mieszać nie powinna, że zgubne jéj i ujemne działanie skończyło się raz na zawsze. Można by tylko było pragnąć ażeby, doszedłszy do kresu swego studyum, obszerniéj się rozwiódł nad wagą spirytualistycznego pierwiastku dla rozwoju ludzkości i ażeby był wykazał, że może być w nią wpajany inną drogą aniżeli tą, jaką szła teologia dawniejsza. Jest to atoli zadanie które snadno będzie innym myślicielom wykonać, gdy on już wszystkie zapory zwycięsko uprzątnął przed nimi.

W sferze polityczno-społecznéj, tak pierwszorzędne miejsce zajmującéj w życiu angielskiém i tak gorliwie uprawianéj w piśmiennictwie, nad wszystkiemi, nader licznemi utworami, górowało dwutomowe dzieło o 1,000 stronic wielkiéj 8-ki Williama Edwarda Lecky, profesora Dublińskiego uniwersytetu, historyka wszechświatowéj sławy pod tyt. *Democracy and Liberty*. Zarówno stanowisko jakie zajmuje uczony autor w świecie naukowym, przez klasyczną wartość dawniejszych swych prac jak „Historya XVIII wieku”, „Historya etyki europejskiéj” i „Historya racyonalizmu” etc., jak sama osnowa dzieła o tak wyrazistym tytule utorowały mu odrazu drogę do poczytności. Było ono rozbierane wielostronnie, wywarło niezaprzeczenie silne wrażenie w kołach wykształconych i nie pozostanie prawdopodobnie bez praktycznego wpływu na instytucye krajowe, obecnie gdy p. Lecky, jako członek ministeryalnéj, zachowawczéj większości wszedł do parlamentu. Nie potrzebnie autor usprawiedliwia się w przedmowie, że on, historyk, co stracił najlepszą część życia na badaniu zamierzchłéj przeszłości, poważa się zabrać głos w sprawach tętniących życiem współczesném. Nie ma lepszego przygotowania do wydania wyroku o względnéj wartości tych zasad, które świat nowożytny obrał sobie za hasło, jak oświetlenie ich przez dokładną znajomość całego rozwoju ludzkości. Więcéj niż od kogokolwiek innego można było od niego oczekiwać bezstronnego sądu a témbardziéj go było potrzeba, że wiele z dawniejszych pojęć, jakie sformułowała teorya o demokracyi i o wolności, uległy,

i uledz musiały radykalnym zmianom w miarę, jak życie społeczne poddawało je probierzowi doświadczenia. Musi uderzać najpowierzchowniejsze oko różnica zapatrywań na stosunek wzajemny demokracyi do wolności wczorajszego pokolenia a dzisiejszego. Nie dawne to jeszcze czasy, gdy z naiwną ufnością oczekiwano od wolności politycznéj zniesienia wszystkich dolegliwości bytu społecznego, gdy w demokracyi widziano najwyższe słowo mądrości politycznéj, apoteozę postępowego rozwoju świata. Chociaż demokracya nie przestawała płynąć pełném korytem, chociaż swobodne instytucye zapuszczały coraz głębsze korzenie wśród organizmów państwowych, a może właśnie dla tego, że różnorodnych przykładów na prawo i na lewo nie brakowało, straciliśmy sporą dozę apryorycznych zapatrywań i z pesymistycznym nieledwie sceptycyzmem spoglądamy na te dwa filary społeczeństw. Owe marzone *millenium*, owa wszechharmonia świata człowieczego która się nam niegdyś uśmiechała, nie na téj drodze urzeczywistnione być mogą. Czujemy się w prawie poddać te zasady nowemu a ścisłemu badaniu, gdyż podejrzéwamy że ich wzajemny do siebie stosunek nie jest bynajmniéj tak prosty, jak się nam to utrzymywać podobało.

Widocznie wygórowane były oczekiwania nasze, gdyż praca p. Lecky zadowolniła je zaledwie w bardzo podrzędnych rozmiarach. Nie uważamy za najgłówniejszą jéj wadę tego, że brakuje jéj wszelkiéj systematyczności, wszelkiego organicznego planu: wszyscy prawie pisarze angielscy grzeszą w ten sam sposób. W istocie „Demokracya i Wolność" p. Lecky, jest zbiorem *essay*'ów, które napisał w ciągu ostatnich lat kilku i które nam się tu i owdzie w pismach peryodycznych czytać zdarzyło. Niektóre z nich w bardzo luźny tylko sposób należą do traktowanéj materyi. Jest to raczéj encyklopedya, gdzie autor traktuje *de omni re scibili et quibusdam aliis.* Najrozmaitsze figurują tam fakta, które prawdopodobnie wpadły pod jego oczy w pismach codziennych i które przytacza jako przykłady, nie stwierdziwszy uprzednio ich wiarogodności. Przy tak zadziwiającym braku zmysłu krytycznego, wkradła się tu nie jedna anegdota, nie jeden drobiazg, oddawna już uznane przez lepiéj poinformowanych za pozbawione wszelkiéj wartości.

Ale te i podobne usterki tracą na znaczeniu, gdy się weźmie na uwagę ogólny nastrój, ogólną tendencyę całéj téj pracy. Jest ona stanowczo nieprzyjazna demokracyi. Ponieważ wielu z najgłębszych myślicieli pod ten sam anti-demokratyczny sztandar się zapisało, nie ma najmniejszego powodu dziwić się, że takie są opinie p. Lecky. Ale można mu zarzucić sposób ciasny, stronniczy, w jaki je umotywował, można się dziwić powierzchowności z jaką kwestyę tego znaczenia

traktował, ów słynny historyk. Gdy Maine, albo Mill, albo Bagehott, że już o Tocquevillu nie wspomnim, wykazują konflikty w które wolność staje z demokracyą, to trzeba uznać potęgę ich argumentów i cała ich doktryna w logicznéj spójni staje przed nami. Inaczéj u p. Lecky. Odłożywszy na stronę te dwa grube tomy, czuje się chętkę zapytać, czy autor istotnie rozumié co to jest demokracya. Definicye, jakie jéj podaje, różnią się często jedne od drugich. Najwyrazistsza jest ta, w któréj ją określa jako formę społeczną, w któréj nędza i głupota rządzi i kieruje własnością i inteligencyą. Z paradoksem tym spotykaliśmy się już często. Gdyby on miał być prawdą, to przy ciągle wzrastającéj liczbie społeczeństw demokratycznych, przy coraz głębszém zapuszczaniu się demokratycznych korzeni, byłoby nieodzownem zubożenie ludzkości i jéj ogłupienie. Skoro wprost przeciwne fenomena mają miejsca, zatém jest oczywistém, że nędza i głupota, nawet w społecznościach demokratycznych, nie przewodzą światu. Jest atoli pewne jądro prawdy w spostrzeżeniu p. Lecky'a, uszło tylko jego uwagi to, że owe ujemne czynniki przemagają jedynie w teoryi, ale że w praktyce równouprawniona masa proletaryuszy była, jest i będzie upośledzoną, podwładną warstw posiadających i dostatek i naukę. Za przykład można postawić Anglię właśnie. Demokracya płynie już w niéj pełném korytem, ale ponieważ całość narodowa wyrobiła od wieków nie tylko instytucye ale i ducha zachowawczo-arystokratycznego, zatém świéżo wyemancypowane masy wzorują się na téj saméj modle i zamiast być ujemnemi czynnikami organizmu, przynoszą doń nowe żywioły, nowe soki zdrowe.

Powiedzieliśmy, że pogląd autora na demokracyę jest jednostronny i ciasny. W niczém się to jawniéj nie pokazuje jak właśnie w tém pominięciu wpływu, jaki pojawienie się na widowni społecznéj masy ludowéj wywarło na klasy uprzywilejowane i przewodniczące. Nie podobna zaś nie zauważyć, jak się nasze pojęcie sprawiedliwości i prawa rozszerzyło, jak ideał nasz rozpiął swe skrzydła, jak ciepły humanitaryzm przeobraził świat nowoczesny i radykalnie go odmiennym od starożytnego uczynił. Skoro nam przyznaje, że demokracya jest dominującym faktem i że nie może być mowy o zatamowaniu jéj dalszego postępu, zdawałoby się naturalném nakréślenie jéj programatu takiéj działalności, któraby zmniejszała znaczenie szkodliwych jéj pierwiastków a potęgowała dobre, któraby oświecała i umoralniała masy. Ale słabe są tylko objawy takiego męskiego, jędrnego pochwycenia problematu, a przemagają ckliwe skargi, sarkastyczne ucinki i harce po dawno udeptanych szlakach.

Jest czystém niepodobieństwem streścić pracę p. Lecky, naprzód dla tego że porusza z kolei i jednocześnie wszystkie zagadnienia, jakie świat postępowy ma przed sobą, a potém dla tego, że nie ma w niéj jednolitéj myśli przewodniéj. Powiedział o nim jeden z krytyków uszczypliwie, że może on służyć za wzór jak o demokracyi pisać nie należy. Chociaż sąd to dorażny, miałoby się ochotę nań zgodzić. Kiedy uderzają w niéj rażące braki, jak między innemi pominięcie australskich stosunków, tak wyjątkowo ciekawych dla wykazania sprzeczności pomiędzy temi siostrami - bliźniaczkami, demokracyą a wolnością, to z drugiéj strony autor niepotrzebnie rozwałkowywuje nadużycia i szkodliwe następstwa, jakie tryumf demokracyi ma nieść za sobą. Łatwo sobie z góry wyobrazić, że zamordowanie wolności we Francyi przez dwóch Napoleonów staje się w jego oczach aksyomatem nie cierpiącym wyjątku: każda demokratyczna rzeczpospolita ma nieodzownie prowadzić do despotyzmu. Napróżno by mu się zwracało uwagę, że dzisiejsza, trzecia rzeczpospolita trwa we Francyi już dłużéj niż jakakolwiek z form rządowych od wielkiéj rewolucyi i że zwalczyła bez wyjątkowego wysiłku zachciankę militarnego despotyzmu, który w osobie Bulangera starał się ją pohańbić; napróżno przypominałoby się mu, iż wielka rzeczpospolita amerykańska nie pokazała od stuletniego z góry swego istnienia, najmniejszych tendencyi do despotyzmu militarnego. Autor przeskakuje z łatwością do innego rodzaju argumentów, a historya, a doświadczenia przeszłości służą mu za rodzaj arsenału, z którego z kolei jedną broń wydobywa po drugiéj, choćby je już rdza czasu strawiła. Pomiędzy najgłówniejszemi zarzutami, jakie czyni demokracyom, jest obdłużanie lekkomyślne skarbu państwowego, gdzieby zupełną słuszność przyznać mu się mogło po zastrzeżeniu, iż pracują one nie dla dzisiejszego tylko pokolenia ale czynią wysiłki dla ugruntowania nowego ustroju społecznego; daléj utrzymywanie armii i przekupstwa oraz nadużycia skandaliczne sług publicznych. Nie można bez uśmiechu przyjąć tu dwu ostatnich. Wielkie armie, podkopujące ekonomiczne gospodarstwo narodów, nie są bynajmniéj wyłącznością społeczeństw demokratycznych, i jeżeli kto to historyk jest w stanie wykazać przyczyny, które je uczyniły możliwemi i nieledwie koniecznemi w obecném stadyum rozwojowém świata. Skandale i przekupstwa urzędników, frymarczenie groszem publicznym miewało niestety miejsce pod płaszczem najbardziéj arystokratycznych instytucyi i anti-demokratycznych rządów: dopatrzenie się słomki w oku bliźniego nie uchodziło nigdy dotąd za okaz bezstronności i sprawiedliwości.

Najciekawszą stroną dzieła p. Lecky powinna była być część poświęcona formom, w jakich demokracya zamanifestowała się w Anglii i następstwom, jakie za sobą pociągnęła: jest tam na swym własnym gruncie a ów proces ewolucyjny ma wysokie znaczenie pedagogiczne. Wyżéj uczynione uwagi przygotowały już zapewne czytelnika do wniosku, że i na tém polu autor nie jest zadowolniającym i być nim nie może. Naprzód nie jest on sędzią ale stroną. Jest namiętnym partyzantem, protestanckim oranżystą niecierpiącym katolicyzmu i Irlandyi: gdzie mu o nich mówić wypada albo nawet tam, gdzie do tego nie ma powodu, szpikuje ich zatrutemi strzałami. Daléj brakuje mu mléka humanitaryzmu a natomiast w żyłach jego płynie kwas doktryneryzmu. W jego oczach najświetniejszą epoką dziejów angielskich był okres pomiędzy bilem reformy 1832, emancypującym warstwy średnie a rokiem 1867, gdy się demokracya ludowa do udziału w sprawach publicznych wdarła. Od téj chwili datuje się jego zdaniem, upadek moralny Anglii i bankructwo systemu reprezentacyjnego. Nie ma potrzeby z tego rodzaju zapatrywaniami kruszyć kopii.

Nie ulega wątpliwości, że tryumf demokracyi wszedł w kolizyę z systemem parlamentarnym, który z tego rodzaju zapaśnikiem dawniéj ściérać się nie potrzebował. Starą machinę trzeba będzie przerobić i przeistoczyć, ażeby nowym warunkom odpowiedziéć mogła: to jest oczywiste. Kiedy najgłębsi politycy skwapliwie poszukują sposobów i środków przeprowadzenia téj reorganizacyi, p. Lecky daje nam swoją receptę: zaprowadzenie reprezentacyi proporcyonalnéj przez danie głosu mniejszości i reformę izby lordów, do któréj pragnie wprowadzić wybieralnych delegatów z pośród klasy dziedzicznych prawodawców.

Możnaby się szeroko rozpisać o rozdziałach, w których autor traktuje o socyalizmie i kwestyach robotniczych, o plutokracyi, o małżeństwie cywilném i rozwodzie, o emancypacyi kobiet i t. d., ale jesteśmy w obawie, że i tak już zadługo rozpisaliśmy się o pracy, któréj nadzwyczajny rozgłos nie zdaje się nam odpowiednim jéj rzetelnéj wartości.

Rzadko zdarzyło się książce poważnéj, ugruntowanej na autentycznych dokumentach, wywołać większy rozgwar, ba, skandal nawet, jak ten, który powstał z ogłoszenia „Życia kardynała Manninga, arcybiskupa Westminsteru" przez Edmunda Sher. Purcella. Protestacye, klątwy z jednéj strony, a z drugiéj taka popularność samego dzieła, że w ciągu jednego roku te dwa tomy o 1,500 stronicach, rozchwytane

zostały w czterech edycyach — stoją jako świadectwo potężnego interesu jaki ono wywołało. P. Purcell, któremu kardynał Manning jeszcze za swego życia powierzył wiele dokumentów autobiograficznych, dzienniki, które spisywał w latach swéj młodości, korespondencye etc., zaczął pisać jego żywot ze skrupulatną wiernością. Po śmierci kardynała w roku 1892-im wykonawcy jego ostatniéj woli z kardynałem Vaughan, następcą jego na stolicy Westminsterskiéj, na czele, wręczyli Purcellowi wszystkie papiéry po wielkim zmarłym pozostałe w niezłomném przeświadczeniu, że poufny biograf pominie lub wykreśli dyskretnie wszystkie rysy i szczegóły, któreby mogły zmniejszać urok wywierany na świat przez wielką postać Manninga. Naturalną jest ta tendencya do apoteozy u biografów i jeżeli gdzie, to tutaj można się było jéj spodziéwać. Rodzaj osłupienia zapanował w kołach arcybiskupstwa, gdy p. Edmund Purcell odmówił zakomunikowania swego rękopisu. Odebrano mu pośpiesznie papiéry, które mu oddane były do użytku, ale kroki przezorności przyszły już za późno: biografia pojawiła się na widok publiczny. Wprawdzie komitet wykonawców ostatniéj woli Manninga zaprotestował, odmówił jéj wszelkiéj wartości i oświadczył, że urzędowe życie zmarłego będzie ogłoszone z jego poręki niebawem, lecz nie zagrodziły te swary drogi do powodzenia pracy p. Purcell'a, a przeciwnie posłużyły jéj za potężną reklamę. Żądna zazwyczaj skandalów publiczność rzuciła się do tego życia, w którém podejrzéwać zaczynała jakiéś ukryte strony, ale na szczęście, nie znalazła ich bynajmniéj. Wrażenie, jakie każdy bezstronny czytelnik przewertowawszy je wynosi, jest że kard. Manning nie był żadną po za światem stojącą, anormalną istotą, że był człowiekiem, a zatém posiadał wady i ułomności ludzkie. Gdyby autor nie był ich uwzględnił, miałoby się prawo wierność jego obrazu podejrzéwać i wartość biografii zmniejszyłaby się wielce. Ale nawet gdy się pozbawi Manninga téj aureoli, w którą stroić go zaczyna legenda, i przyjrzy mu się takiemu, jakim był w rzeczywistości, to sprawiedliwość przyznać nakazuje, że pozostaje jednym z najszlachetniejszych, z najczytszych typów, jakiemi ludzkość poszczycić się może.

Przekonania tego nabiéra czytelnik, idąc po prostu biegiem wypadków, które p. Purcell opowiada z drobiazgowemi szczegółami. Autor nie przyczynia się bynajmniéj do wzbudzenia entuzyazmu. Rzadko zdarzyło się nam czytać biografią, pisaną z większą obiektywnością. Widoczném jest, że autor jéj obawiał się, ażeby nie opanował go ten czar poetyczny, jaki wionie od Manninga: jest oschły, suchy, prozaicz-

ny i nie rozpłomienia się nigdy. Posuwa taki nastrój aż do przesady, i w tém leży prawdopodobnie źródło zgorszenia, jakie wywołał. Można mu także zrobić inne zarzuty, a mianowicie, że nie uwzględnił wielu z najciekawszych epizodów w zawodzie duchownym książęcia kościoła, że nie podnosi należycie jego filantropijno-socyalnéj działalności lat ostatnich. Dowodzi to atoli poprostu, że nie łatwo jednemu pisarzowi, jakkolwiek pracowitemu, wniknąć w tak wielostronną naturę, z jaką się tu ma do czynienia. Jest widocznie miejsce dla przyszłego biografa do podniesienia stron pozostawionych w cieniu, ale wątpimy, ażeby rysy zasadnicze, jakie p. Purcell wykazał, zdruzgotane zostały przez jego następców.

Pierwszy tom biografii obejmuje życie Manninga od daty jego urodzenia w r. 1807 i prowadzi je przez cały peryod anglikanizmu aż do przejścia na łono kościoła katolickiego w r. 1851. Widzimy go w zamożnym domu rodzicielskim, w pośród licznéj i szczęśliwéj rodziny, towarzyszymy mu do szkoły w Harrow i do uniwersytetu w Oxfordzie. Chociaż autor nie kładzie należnego nacisku na ruch Puseizmu, który właśnie wtedy ogarnął *alma mater*, chociaż nie daje dostatecznych szczegółów o stosunkach przyjacielskich z Gladstonem i Newmanem, to epoka ta jest naszkicowana dostatecznie, ażeby pojąć, że nic nie zapowiadało wówczas przyszłego kardynała. Młody Manning był ambitnym młodzieńcem, któremu uśmiéchały się sukcesy światowe i karyera polityczna. Strata majątku i zawód miłosny tłómaczą, że wchodzi do organizmu kościoła anglikańskiego. Nie było, bezwątpienia, w téj epoce śladu entuzyazmu religijnego u proboszcza w Lawingtonie, tak samo jak nie było burzy w jego kilkoletniém pożyciu małżeńskiém. Gdy owdowiał, gdy przechodzi na szersze pole działania jako dziekan w Chichester, wtedy zagadnienia teologiczne i życie religijne nabiérają dlań żywszego interesu. Jego stosunki ze stronnictwem Traktaryuszy i z Newmanem stanowią wysoce interesujący epizod jego życia, a momentem jego przełomowym jest przejście Newmana na katolicyzm. Najgłówniejszym zarzutem, jaki katolicy czynią panu Purcell, jest ogłoszenie przezeń korespondencyi pomiędzy tymi dwoma purpuratami, korespondencyi, która pokazuje istniejące pomiędzy nimi różnice zapatrywań, spory, rywalizacyę ukrytą, a przejawiające się w tysiącznych okolicznościach. Były to istotnie dwie całkiem odmienne natury, ale jest przesadą utrzymywać, że zazdrość względem Newmana, chęć pozbawienia go wysokiego stanowiska, jakie odrazu zajął w kościele katolickim i zimna ambicya popchnęła go do nawrócenia się także w lat kilka póżniéj. Korespondencya, jaką prowadził

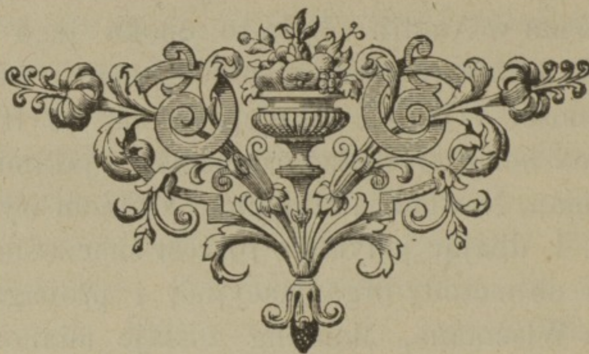
w całéj téj epoce swego życia z Robertem Wilberforce odsłania przed nami cały ten ciekawy proces duchowy. Pobyt w Rzymie w okresie rewolucyjnym 1847—1848 roku był ostatnią iskrą, która zapaliła płomień neofityzmu.

Jeżeli zawartość pierwszego tomu przedstawia wyższy interes psychiczny dla tych badaczy, którym idzie przedewszystkiém o śledzenie procesu rozwojowego charakteru aż do jego punktu kulminacyjnego, to pod względem wypadków znaczenia ogólnie historycznego i udziału, jaki brał w nich Manning, drugi tom, w którym zawód jego, jako katolika, jest skréślony, ma bezwątpienia wyższą doniosłość. Ci, co tak gorzko wyrzucają autorowi téj biografii i co go oskarżają o zdradę, iż wprowadził profanów za kulisy katolicyzmu angielskiego i pokazał bój zacięty, a niemy, uwijających się w nim stronnictw, wrzącéj walki o wpływy, zapominają, że te fakta uprzednio już przeszły do historyi. Nie można zresztą wyrzucać tego podziemnego wrzenia Kościołowi katolickiemu w Anglii. Była to epoka jego niemowlęctwa, gdy się wytwarzał na nieprzyjaznym sobie gruncie, wśród wyjątkowo trudnych okoliczności i dziwić się niepodobna, że trzy tak wysokie, tak wpływowe i tak bezinteresowne osobistości, jakimi byli trzéj kardynałowie: Wiseman, Newman i Manning, z okiem wyłącznie w przyszłość zwróconém i. dbając jedynie o rozrost znaczenia swego kościoła, różnili się co do metody organizacyjnéj i propagandy. Gdy po śmierci kardynała Wisemana, Manning zostaje mianowanym w roku 1865-ym arcybiskupem dyecezyi Westminsterskiéj, ukazuje się jego geniusz w pełnym rozkwicie i nie dziwimy się przeważnéj roli, jaką niebawem odegrać mu przyszło na soborze watykańskim, ani temu, że po śmierci Piusa IX-go, z którym tak szczera łączyła go przyjaźń, i jego kandydatura na tron apostolski była postawiona. Autor, jak już powiedziano wyżéj, nie rozwiódł się jak należy nad ostatnim okresem życia wielkiego kardynała, nad filantropijnemi, politycznemi, edukacyjnemi i socyalnemi jego kampaniami. Nie ma tu najmniejszéj potrzeby rozszerzać się nad poglądami na przyszłość katolicyzmu w Anglii, które nie jeden interesujący rozdział téj biografii stanowią i dają jéj niejako praktyczną sankcyę. Pragnęliśmy tylko przypomniéć czytelnikom pracę, która w ciągu ostatniego roku, od początku do końca stała na pierwszym planie.

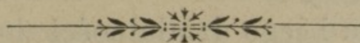
Było zamiarem naszym wprowadzić do tego przeglądu charakterystykę nowych dzieł w dziedzinie literatury i krytyki, a prace Jerzego Saintsbury, pani Meynell, Fr. Harrisona i studya p. Klemensa Shorter, ten tak ciekawy epizod z piśmiennictwa przeszłorocznego, że już o wie-

lu innych nie wspomnimy, przeważnie się do niéj kwalifikowały. Należało się tu także przedstawienie kilku prac ekonomicznych o niezaprzeczonéj oryginalności, które świéżo na widok publiczny wyszły. Ale przekroczyłoby to o wiele ramy tego szkicu. Czas, ten mistrz bezstronny, strąci może niektóre z nich niezadługo z tych wysokości, na które reputacya efemeryczna je wprowadziła. Do tych, co się na nich utrzymają, nie będzie zapóźno i po upływie niejakiego czasu powrócić.

N. T.



Początki naszéj komedyi społecznéj.



Jak w przyrodzie, tak i w twórczości poetyckiéj wszelkie przemiany odbywają się nie nagłemi kataklizmami, lecz drogą powolną i ustopniowaną.

Widzieć to można we wszystkich rodzajach literackich, a więc i w komedyi. Z pierwszego wejrzenia możnaby poczytać sztukę Molierowską (u nas Fredrowską) za coś zupełnie innego aniżeli którakolwick komedya charakterów w dobie nowożytnéj. Poszukawszy jednakże podobieństw pomiędzy niemi, odnajdziemy je bez wielkiego trudu. Przecież ci, co wszystkie kształty komedyi nowszéj dostrzegają, zarodkowo w Molierze, nie bez słuszności mogą przytoczyć „Mizantropa" jako zaczątek literatury komicznéj w nowym duchu.

Przystańmy na to, ale dodajmy zaraz, nie wchodząc w szczegóły zbyteczne i nie śledząc przeobrażeń pomniejszych, że ażeby z „Mizantropa" mogła powstać która komedya Augier'a, potrzeba było pojawienia się „Wesela Figara" Beaumarchais'go, który stężałą masę typowości ożywił i uskrzydlił wprowadzeniem do niéj pierwiastku indywidualnego.

I u nas również, pomiędzy Fredrą a komedyopisarzami nowożytnymi, były także ogniwa pośrednie, a między niemi najważniejsze stanowił Józef Korzeniowski, przemieniwszy typy na charaktery zindywidualizowane.

W ciągu jego działalności komedyopisarskiéj, zachodziły we Francyi, która na polu dramatyczném prym ciągle trzymała, przeobrażenia niemałéj doniosłości zarówno w wyborze tematów, jak i w sposobie ich traktowania. Przedstawicielem głównym tych przeobrażeń był tu Emil Augier, charakter prawy i wyniosły, umysł rozległy, o wyrobionych poglądach, obserwator bystry i przenikliwy, stylista jędrny i dowcipny. Przejąwszy od poprzedników swoich charaktery indywidualne, wzbogacił je rysami szczegółowszemi i dobitniejszemi, bez gubienia się w odcieniach i subtelnościach, a w wyborze tematów kierował się poczuciem ważności i doniosłości objawów społecznych. Traktował te objawy zawsze poważnie, z przejęciem się głębokiem stroną ich wpływu na wielkie masy. Biczował niemiłosiernie przez lat 30 najróżnorodniejsze ujemności swego społeczeństwa, podejmował zagadnienia palące, które w danéj chwili najżywszy budziły interes, lecz zagadnieniom tym umiał nadać trwałą podstawę, gdyż nie powierzchowne tylko chwytał cechy, ale sięgał do głębi i umiał natrafić na warstwy duszy ludzkiéj niepożyte.

Cechą jego umysłu i jego działalności była szczerość i prawość. Nie gonił za paradoksami, by chwilowy pozyskać poklask; lecz albo przedmiotowo kréślił obrazy wad i śmieszności, albo téż wybuchał oburzeniem na takie przejawy przewrotności i zgnilizny, które wstrząsnąć musiały sercem człowieka, noszącego w sobie ideał szlachetności i podniosłości.

Wobec takiego usposobienia nie mogło być miejsca na wesołość bez troski, na śmiéch swobodny a głośny; komedya musiała przybrać charakter poważniejszy, śmiéch musiał się zamienić w uśmiech ironii lub sarkazmu; wszelkie błaznowanie należało wykluczyć. Mimo to przecież komedye Augiera nie stały się bynajmniéj suchemi zbiorami morałów lub grzmiących tyrad, lecz były obrazami ludzi żywych, sytuacyi przenikniętych prawdą, a odmalowanych z nadzwyczajną nieraz werwą satyryczną.

Sposób traktowania rzeczy w dobie najświetniejszéj twórczości Augiera, kiedy pisał „Bezczelnych” (*Les effrontés*), „Syna Giboyera”, „Imć pana Guérin”, był realistyczny, ale miarkowany delikatném poczuciem piękna i sztuki. Mistrzowstwo w układzie scen, siła stylu niepospolita, czyniły go panem umysłów w teatrze.

Na naszą literaturę dramatyczną sztuki Augiera zaczęły oddziaływać stosunkowo dość późno. Wprzódy przetłomaczono np. „Honor i pieniądze” (1855) Franciszka Ponsarda, który jako tragik wcześniéj zaczął tworzyć od Augiera, lecz jako komedyopisarz w dziesięć lat dopiéro po pierwszéj jego sztuce wystąpił;—zanim ukazała się „Filiberta”

(1860) w przekładzie Władysława Sabowskiego. Gdy wszakże komedye Augiera wprowadzono do teatru naszego, cieszyły się one powodzeniem ogromném i budziły zajęcie gorączkowe. Wyparły go późniéj z tego stanowiska sztuki Aleksandra Dumasa syna, ciętością dyalogu i paradoksalnością lub niezwykłością twierdzeń iskrzące się. Co więcéj, nawet Oktawiusz Feuillet i Wiktoryn Sardou, wśród ciągle zmieniających się usposobień, zyskiwali sobie zwolenników i wielbicieli, jako łatwiejsi do spoufalenia się i naśladowania aniżeli mistrz słowa, głębią swego ducha i wyniosłą powagą imponujący. Zdaje się jednak, że teraz znowu nastąpi zwrot do utworów wielkiego komedyopisarza, gdy teatr warszawski zapowiada ich wznowienie. Wśród autorów naszych dramatycznych, poprzedzających bezpośrednio nowsze pokolenie, dwu było takich, co niewątpliwie znali dobrze rozwój komedyi francuskiéj: Jan Chęciński i Wacław Szymanowski. Chęciński jako aktor, czasowo reżyser, już z fachu swojego musiał się zaznajamiać z najświeższemi płodami scenicznemi. Czy jednak znajomość ta wpływała na jego własną twórczość? W małéj tylko mierze, jak się zdaje. Dostrzédz można pewien wpływ na tak zwane przysłowia dramatyczne („Przed obiadem i po obiedzie", „Cicha woda brzegi rwie" i t. p.); ale w komedyach większych („Szlachectwo duszy" 1859, „Porządni ludzie" 1861, „Poświęcenie" 1865, „Krytycy" 1874) oddziaływanie owo jest bardzo drobne. Autorowi jakby brakło śmiałości do rozwinięcia tematu na rozległą skalę społeczną, więc po staremu poprzestaje na szczuplejszéj sferze rodzinnéj, a pamiętny dawnego określenia komedyi, nie waży się kolizyi dramatycznéj naprężać, chociaż wszystkie rysy wewnętrzne charakterów ku temu zmuszają.

Komedya, która mogła miéć pretensyę do znaczenia społecznego i która rzeczywiście ze względów czasowych miała powodzenie wielkie, to „Szlachectwo duszy." Przeciwstawione w niéj zostały zalety i zasługi dzielności i prawości osobistéj przesądom urodzenia i uroszczeniom bogactwa. Gdyby Chęciński umiał był pogłębić charaktery, nie poprzestając na kilku rysach ogólnikowych, przesadnych zarówno w obrazowaniu złego jak dobrego; gdyby potrafił był nadać słowom osobistości swoich dodatnich więcéj siły przekonywającéj, rozumowéj, nie poprzestając na tyradach uczuciowych: to przeciwstawienie owo mogłoby było nabrać istotnie doniosłości społecznéj i utworzyć komedyę wyższéj wartości. Tak jak jest, przy najzacniejszych myślach i uczuciach, nie robi wrażenia starcia się ludzi żywych wśród warunków współczesnych, lecz wrażenie frazesów dość mdłych, przybranych w kształty ludzkie. Ponieważ nastrojem odpowiadało „Szlachectwo duszy" ówczesnemu usposobieniu inteligencyi chodzącéj do

teatru i czytającéj książki, cieszyło się więc uznaniem chwilowem. Uznanie to jednak wkrótce przebrzmiało i dziś, gdyby się odważono przedstawić tę sztukę, wydałoby się zapewne utworem bardzo już starym.

W „Porządnych ludziach" był materyał na silną satyrę społeczną, zapewne nie takiego znaczenia jak „Bezczelni" Augiera, ale bądź co bądź nie banalną. Ci bowiem „porządni ludzie", używający w świecie najlepszéj opinii, czczeni w domu, są to albo wydziercy cudzego mienia, sprawcy cierpień i udręczeń, przywłaszczający sobie w dodatku sławę dobroczyńców, albo też lichwiarze i intryganci, wyzyskujący wszystkich i wszystko. Ta nikczemność obłudna zasługiwała oczywiście na chłostę dotkliwą; tymczasem autor starał się usilnie, ażeby wieść o szelmostwie tych ludzi nie przedostała się poza kółko najbliższych—i to wyzyskiwanych—znajomych. Ta bojaźliwość autorska zaszkodziła sztuce, mającéj parę szkicowo dobrych postaci (natur artystycznych, szlachetnych a nieopatrznych) i kolizyę w pomyśle bardzo dramatyczną, gdyż jeden z owych „porządnych", Antoni Ładzicki, ma córkę dobrą, serdeczną, kochającą i kochaną, którą wiadomość o nikczemnym postępku ojca mogła była zabić. Chęciński téj kolizyi nie tylko nie chciał wyzyskać, lecz ją całkowicie w wykonaniu pomysłu usunął. Uzyskał przez to pogodne rozwiązanie sztuki, ale się dobrowolnie pozbawił scen najbardziéj dramatycznych i najsilniéj do serca przemawiających.

Podobne uwagi można zrobić co do „Poświęcenia" i „Krytyków". W pomyśle mają one starcia potężne i dające się wspaniale rozwinąć; w wykonaniu mdłe, albo też krzykliwe, melodramatyczne efekta psują założenie. Nie ma tu tego, co Augierowskim komedyom dawało trwałość artystyczną i społeczną, nie ma poważnego a głębokiego wejrzenia w namiętności ludzkie, w głąb ducha ludzkiego, nie ma siły i jędrności w malowaniu charakterów i sytuacyi.

Wacław Szymanowski przetłómaczył komedyę Ponsarda „Honor i pieniądze", a w pięć lat potém napisał sztukę oryginalną p. t. „Dzieje serca", premiowaną na konkursie r. 1860. I tutaj chodzi o honor i pieniądze. Życie wystawne, namiętność do gry w karty pogrąża prezesa w długi i stawia go nad przepaścią. Z ratunkiem śpieszy bankier Geld, rachunkowy, zarozumiały, śmieszny swojem popisywaniem się niedorzeczną erudycyą, ale ostatecznie dość dobroduszny i uczciwy, nie szukający zemsty. Chce się on ożenić z córką prezesa, ponieważ ta może dobrze dom reprezentować. Nie kocha jéj i głośno przyznaje się do tego otwarcie, uważając miłość za czynnik w małżeństwie niepotrzebny. Prezes, przyciśnięty grozą nędzy, skłania córkę do wstrętnego

jéj związku. Julia wszakże poczytywała za swój obowiązek uprzedzić Gelda, że nie tylko go nie kocha, lecz nadto, że kocha innego. Geld uważa, że taka spółka we troje nie zdała się na nic i cofa się od niebezpiecznego przedsięwzięcia. Julia poszła za skłonnością serca, a interesa majątkowe prezesa za pośrednictwem Gelda jakoś się uregulowały. Honor został ocalony wprawdzie nie przez samoistne postanowienie zagrożonych, którzy się już godzili z położeniem, lecz wskutek szczerości Julii z jednéj, a przezorności bankiera z drugiéj strony. Piéniądze zaś nie wyglądają tu bardzo wstrętnie, trochę tylko śmiesznie; śmieszność tę umniejsza nawet autor tém, że jednego z rycerzy honoru, poetę Adama, uczynił również śmiesznym, lubo mu nie odjął zasadniczéj szlachetności.

I Szymanowski zatém, podobnie zresztą jak Ponsard, gwoli pogodnemu rozwiązaniu sztuki, nie chciał wyprowadzić najdalszych konsekwencyi, na jakie narazić może poddanie się wszechwładzy pieniądza; stworzył tym sposobem komedyę, która miała w sobie zarodki społeczne, ale zatrzymane w rozwoju.

Gdy komedya ta przedstawiona była w Warszawie, bawił w Paryżu, uczęszczając na wykłady w Sorbonie, 21 letni młodzieniec pełen życia i spragniony jego uciech, Józef Narzymski (urodzony 8 lutego 1839 r. w Radzikach małych w prasnyskiém, z Jana i Katarzyny z Grąbczewskich). Niewątpliwie chodził on i do teatrów, gdzie sztuki w nowym duchu: Augiera, Dumasa syna, Feuilleta były grywane. Jakie narazie wywarły one wrażenie na umyśle zdolnego młodziana, nie wiemy; ale niewątpliwą zdaje się rzeczą, iż społeczne ich znaczenie musiało żywo przemówić do człowieka, który miał jakby wrodzone poczucie interesów społecznych.

Nie znamy wprawdzie pierwszéj sztuki Narzymskiego, napisanéj jeszcze w r. 1859, ale sam już jéj tytuł: „Wielki człowiek powiatowy" zdaje się wskazywać, że sprawa społeczna musiała w niéj na pierwszym być planie. Druga sztuka, wydrukowana w Poznaniu z datą r. 1863 p. t. „Niekomiczna komedya w trzech aktach" (str. 88), jakkolwiek bardzo młodzieńcza pod względem techniki dramatycznéj, przedstawia nam przecież umysł niezmiernie wrażliwy na prądy chwili. Chciał tu Narzymski przedstawić stosunki krajowe z r. 1861 i 1862 i użył ku temu alegoryi t. j. odmalował starcie się opinii przeciwnych w kształcie zatargu prywatnego. Pod względem artystycznym utwór na tém ucierpiał; stał się naciąganym, nienaturalnym, nieprawdopodobnym. Ale w każdym razie stał się dla nas cennym psychologicznym dokumentem świadczącym o przekonaniach i dążnościach społecznych autora.

Plenipotent niegdyś księcia Janusza, baron, doprowadził swego chlebodawcę do zupełnego ubóstwa, a sam porósł w pierze. Córka księcia, piękna i szlachetna Amelia, musi biegać za lekcyami „wśród błota i chłodu, by lichy grosz zarobić na kawałek chleba.” Sam książę myśli o procesie z przywłaszczycielem, ale gdy ten z własnego popędu zaofiarował mu 2,000 rocznéj pensyi, Janusz zarówno z wrodzonego sobie usposobienia dyplomatycznego, jak nie mniéj pod wpływem rad swego przyjaciela hr. Kaliksta, wielce pobożnego i drżącego na myśl o skandalu, postanawia, wbrew błaganiom córki i perswazyom młodego entuzyastycznego malarza Zdzisława, przyjąć propozycyę barona, z wyraźnem zastrzeżeniem, że z pretensyi dalszych bynajmniéj nie kwituje. Syn barona, Artur, młodzieniec rozpustny i cyniczny, zapaławszy żądzą posiadania Amelii, porywa ją w porozumieniu z ojcem, i w domu swoim umieszcza. Książę przybywa zgnębiony po córkę, ale znowu ulega poszeptom dyplomacyi i zaklęciom bigota, by nie robić hałasu; bierze od barona słowo honoru, że Amelii nic złego się nie stanie w jego domu; chce już odejść, gdy nadbiega Zdzisław wraz z przyjacielem swoim, doktorem Gustawem, i groźbą wymusza na baronie nie tylko oddanie Amelii, ale i zwrot majątków księcia. W pojedynku z Arturem raniony, otrzymuje, lubo chłop z urodzenia, rękę księżniczki, pozostawiając księcia i hrabiego w tém przyjemném dla nich złudzeniu, że szczęśliwy obrót całéj sprawy zawdzięczać należy dyplomacyi i modłom.

Pod względem układu mnóstwo jest w sztuce błędów, charaktery nierozwinięte, monologi bardzo długie; autorowi nie chodziło o dobrą kompozycyę, tylko o efektowne sytuacye, wypowiedzenie swych uczuć, które wcielił w postać Zdzisława, oraz o wychłostanie poglądów przeciwnych zwłaszcza hrabiego, którego sposób widzenia rzeczy uwydatniono najznamienniéj w następnéj przemowie:

Święte są słowa księcia! tak! siłą moralną,
Siłą naszego ducha—bezcielesną—wielką,
Wobec któréj moc ziemska jest drobną kropelką
Przy oceanie — siłą czystą, nie orężną,
A panującą wszędzie i wszędzie potężną
I twą powagą chłodną—a bierną godnością,
Niewzruszonym spokojem, szlachetną biernością,
Znosząc żarty z pokorą, modląc się w cierpieniu,
O! modląc się, wciąż modląc i cierpiąc w milczeniu,
Książę zwalczysz Barona, przekonasz, naprawisz,
Sam odzyskasz majątek i grzesznika zbawisz.

Wprost przeciwne jest zdanie Zdzisława:

. . . . Książę! jam dziecięciem ludu;
Zrodzony wpośród cierpień, łez krwawych i trudu,

Wśród pól się wychowałem; w siermiędze i boso,
Wśród biédnych, co pracują nie piórem, lecz kosą —
O, ja nie mam tradycyi; ani szereg długi
Antenatów poza mną, ani koron. — Pługi,
Sierpy, kosy i praca — oto herby moje,
I całéj méj fortuny tych rąk oto dwoje!
I to serce i głowa; — a jednak, na Boga,
Mnie, mnie — chłopu — ta niby dyplomacyi droga
Nikczemną się wydaje.

Jak ta przemowa Zdzisława, tak i całe prowadzenie akcyi jest gorączkowe; efekty nie są obrachowywane i rozwijane; lecz tylko w miarę sytuacyi samych i zmiennéj siły słowa raz słabiéj, to znów mocniéj się zaznaczają.

Po ogłoszeniu téj sztuki, zamilkł Narzymski na lat kilka, przebywał w Dreznie, Krakowie, Poznaniu. W r. 1871 zaczął pisywać do świéżo wtedy założonego przez Edmunda Calliera „Tygodnika Wielkopolskiego", prowadzonego w duchu postępowym. W artykułach Narzymskiego widać wielkie zajęcie się teatrem. Zasługują mianowicie na uwagę dwie rozprawki: jedna p. t. „Słówko o teatrze, znaczeniu tegoż i o moralności scenicznéj" (NN. 15—17), druga „O repertuarze teatralnym" (N. 42). W obu zasadnicze poglądy są te same. Autor bardzo wysoko ceni sztukę sceniczną, nazywa ją „najdemokratyczniejszą z form sztuki", kwitnącą tam przedewszystkiém, gdzie nietylko arystokracya, ale i masy były zdolne poznać i ocenić artyzm. „Żadna wystawa, żadne galerye — powiada — żadna biblioteka, ani nawet prelekcye i odczyty nie są w stanie tak szybko, tak potężnie oddziaływać na zmianę pojęć, na podniesienie poglądów, uczuć, a nawet do pewnego stopnia na moralność publiczną szerszych warstw, jak dobry i dobrze prowadzony teatr" (N. 15). Ze względu na to jego znaczenie i na „realistyczny kierunek epoki, odpychającéj liryzm, żądającéj plastycznych obrazów życia", poczytuje teatr za „jeden z najpotężniejszych środków propagandy" myśli rozumnych, dążeń dobrych. Kreśląc ideał pisarza dramatycznego, kładzie nacisk zarówno na stronę wewnętrzną, ideową sztuki, jak i na artyzm wykonania. Pisarz dramatyczny „nie powinien ani na chwilę zapominać, że naród go słucha, że słowo jego odbija się w serc tysiącach, że jego idee mogą być ziarnem pysznych kwiatów lub nikczemnego zielska." Jest on dzisiaj nietylko sztukmistrzem, lecz i „myślicielem, moralistą, propagatorem, agitatorem". W zakresie jego twórczości leży prawie wszystko: „Ostrzegać przed zgubnemi prądami, prześladować przesądy, siec i chłostać wszystko, co podłe i nikczemne, ideałami wieść w sfery szlachetniejsze, postaciami bohatérów budzić odwagę gasnącą i wyszlachetniać dusze, podnosić

kwestye społeczne, których kodeks nie obejmuje; słowem, kuć uparcie tę drogę postępu, jaką ludzkość idzie, pchać bryłę silnemi ramiony: — oto wielkie, zaszczytne zadanie dramaturga, podzielane przez niego z tysiącami pracowników na innych drogach, ale do spełnienia którego on ma od wielu więcéj środków i pole obszerniejsze."

Zaznaczywszy tak silnie dążność społeczną dramatu, dodaje Narzymski przestrogę: „Nie wolno być dramatycznemu pisarzowi tylko sztukmistrzem; — ale najświetniejsza tendencya, najgenialniejsze czy najszlachetniejsze idee nie uwalniają go od tego, by był artystą w całém słowa tego znaczeniu." Rozumié autor doskonale, jak trudno jest, odgadnąwszy „prądy panujące", pogodzić wymagania artystyczne z wymaganiami chwili; na to potrzeba osobnego talentu, któremu niektórzy dramatycy francuscy zawdzięczają swoje powodzenie. Trzeba przedewszystkiém „studyować życie, chwytać kwestye palące, choćby z ich zniknięciem i sztuka miała stracić wartość swoję, brać typy własne, z życia wzięte, a nie szukać ich w książkach lub własnéj fantazyi." Tu występuje Narzymski w obronie dramatyków francuskich, których utworom zarzucano niemoralność. „Romans mężatki, wprowadzenie upadłéj kobiéty, lada wyrażenie niezupełnie purystowskie, nadają sztuce cechę niemoralności w oczach panów krytyków. Tymczasem jest to błąd tém zgubniejszy, że wiąże ręce autorom i krępuje ich w ciasném kole konwenansu." Takie właśnie kwestye „drażliwe i dwuznaczne" należą, zdaniem Narzymskiego, do tych, „które podnosić, wyjaśniać, oczyszczać z przesądów jest rzeczą pisarzy dramatu." Powołuje się tu na autorów francuskich, mówiąc: „Feuillet w *Pokusach* i w *Julii* dał obraz walk, jakie kobiéta przechodzi, nim padnie, i pokazał, jak często nawet dobry mąż do przepaści popchnąć ją może, jak brak taktu, serca, rozumu stają się przyczyną nieszczęścia; winna jest tu ukarana, ale widz jéj przebacza, a potępia prawdziwego winowajcę. Inny pisarz, Al. Dumas (syn), podniósł drugą kwestyę i w *Pojęciach pani Aubray* z kobiéty upadłéj zrobił bohatérkę, pokazał, że nie zawsze jawnogrzesznica nawet zasługuje na potępienie, i że to społeczeństwo, które tysiące dziewcząt zostawia bez opieki, bez religii, bez chleba, a otacza je wszystkiemi pokusami, nie ma prawa być zbytecznie surowém względem ofiar własnéj niezdarności (? może: niezaradności), nie ma prawa zamykać im drogi poprawy i cnoty. Podnosząc to, młody Dumas był nietylko moralnym, nietylko szlachetnym, ale prawdziwym chrześcianinem. — Myślą, która natchnęła *Pojęcia pani Aubray*, były owe najpiękniejsze słowa, jakie wyrzeczono na ziemi kiedykolwiek: kto z was bez winy, niech rzuci na nią kamieniem. Obie te kwestye są palące,

na czasie, ważne i sprawiedliwe. Na dziesięć wypadków wiarołomstwa, dziewięć razy mąż winien. Na sto upadłych kobiét 99 razy winowajcą jest społeczeństwo lub jego wykształceni reprezentanci. Surowość dla kobiét, pobłażliwość dla mężczyzn, będąc z jednéj strony demoralizującą niesprawiedliwością, pogarsza jeszcze złe. Gdyby uwodziciele byli równie surowo sądzeni, jak ich ofiary; ofiar tych byłoby mniéj daleko; gdyby im zostawiono drogę poprawy i rehabilitacyi, wiele z nich wróciłoby ze złéj drogi wcześnie" (N. 16).

Poglądy takie, które, mówiąc nawiasem, podzielało wówczas całe myślące młode pokolenie, wskazywały, jak silnie przeniknięty był Narzymski potrzebą podejmowania „kwestyi palących", jak chodziło mu o chwytanie „chwilowych prądów" na gorącym uczynku.

Nie chciał jednak Narzymski wcale, by nasi dramatycy stawali się ślepymi naśladowcami francuskich. Ten, co kazał wglądać w samo życie, a nie w książki lub wytwory fantazyi, pragnął przedewszystkiém, by autorowie polscy czerpali treść z życia polskiego. To téż w artykule o repertuarze teatralnym położył silny nacisk na potrzebę wprowadzenia do niego sztuk swojskich, na potrzebę utrwalenia tradycyi dramatycznéj ojczystéj. Stąd postawiwszy wymaganie, by dla odświéżenia umysłu „zapylonego r e a l i z m e m dzisiejszych komedyi i dramatów", dawano w teatrze tragedye Szekspira, Słowackiego, Schillera, Goethego i Wiktora Hugo (czasem), radził w każdym sezonie dawać „kilka sztuk Fredrowskich, jeden lub dwa utwory Korzeniowskiego", gdyż one zawsze „świéżemi zostaną", gdyż one „są w z o r e m, są tém, co dla Francuzów Molière". Co więcéj, sądził, że „nie zaszkodziłoby sięgnąć i głębiéj, poprosić o pomoc Krasickiego, Zabłockiego, nawet Bohomolca", radząc jedynie, by tych prób naszéj rodzącéj się sztuki „nie nadużywać, ale je zwolna pokazywać, bo są w nich rzeczy cenne."

W przyswajaniu komedyi francuskich doradzał zachowanie „miary i taktu", mówiąc: „pojawia się rocznie we Francyi cztery, może pięć dobrych utworów; tłómaczyć je, ale dać pokój tym stosom fars, któremi zanieczyszczamy nasze repertuary."

Wreszcie raz jeszcze uwydatniając potrzebę odzwierciedlania w teatrze wszystkich stron i metamorfoz życia, dodaje, że „utwory oryginalne, dotykające kwestyi bieżących, malujące życie nasze własne, muszą zaciekawiać bardziéj publiczność, jak (!) obrazy z życia obcego, jak (!) kwestya u nas j e s z c z e lub j u ż nie istniejąca."

Sam Narzymski w twórczości swojéj był wierny temu programowi. Nie kopiował Francuzów, ale przejąwszy od nich wskazówkę i co

do strony technicznéj dramatu i co do obrabiania tematów społecznych, zwrócił się do badania życia własnego społeczeństwa i objawy dla niego ważne wziął za przedmiot komedyi swoich, pozostawiając na boku i niewiarę małżeńską i kwestyę kobiét upadłych, które to objawy w komedyi francuskiéj tak gorąco usprawiedliwiał.

W krótkich odstępach czasu napisał wtedy trzy utwory pod następnemi tytułami: „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach”, „Epidemia”, „Pozytywni”.

Pierwszy z tych utworów drukowany był r. 1871 w „Tygodniku Wielkopolskim” (NN. 19—26). Nazwał go autor „obrazkiem scenicznym” (w 2 aktach) i słusznie. Akcya bowiem w téj sztuce jest rzeczą podrzędną; charakterystyka osób, zwłaszcza głównéj, Filipa Nereusza Lichockiego, oraz przedstawienie stosunków i usposobień mieszczan krakowskich w r. 1794-ym stanowią główne zadanie sztuki. Ciasnota umysłu, oschłość serca, sobkostwo, tchórzliwość, pycha i nadętość pana prezydenta, który rządził się samowolnie w Krakowie, dopóki wypadki nadzwyczajne nie kazały mu szukać pomocy u rajców miejskich, przeważnie wcale od niego nielepszych, zostały odmalowane dosadnie na podstawie pamiętników samegoż Lichockiego. Sytuacye komiczne wywiązują się tu w sposób naturalny przez zestawienie pychy, pewności siebie, zarozumiałości, pomiatania niższymi, dopóki się czuł pan prezydent na pewnych nogach, z bezradnością, tchórzliwą pokorą, wymuszonym patryotyzmem, gdy mu zagroziło niebezpieczeństwo i gdy pozbawiony urzędu, powoływany bywał na mustrę przez rzeźnika i miał pójść do wojska. Miłość jego córki, Andzi, do śmiałego i rezolutnego ślusarza, Feliksa Budzyńskiego, którego pan prezydent jako rzemieślnika lekceważył, tworzy więź estetyczną, sprzęgającą sceny poszczególne, poświęcone odmalowaniu rajców krakowskich; a równocześnie miłość ta wybawia Lichockiego z kłopotów, gdyż za przyrzeczenie ręki córki Budzyńskiemu, zyskuje w przyszłym zięciu zastępcę w wojsku. Żywioł komiczny wzmożony tu jest przez wprowadzenie postaci staréj panny, siostry Lichockiego, śmiesznéj i przesadnéj, oczytanéj w romansach i porównywającéj wciąż sytuacye, w nich wyczytane, ze stanem rzeczy w jéj otoczeniu. Postać ta pochyla się ku karykaturze.

Tło historyczne w téj sztuce istnieje, lecz ma znaczenie tła tylko wyłącznie. Zdaje się bowiem, że Narzymskiemu nie tyle chodziło o wierne odmalowanie chwili dziejowéj, z któréj wziął przedmiot do swego obrazka, ile o danie nauczki rajcom miejskim spółczesnym, w szczególności zaś krakowskim, jakimi być nie powinni. Stąd niewątpliwie pochodzi przewaga rysów ujemnych w przedstawieniu owych

rajców. Narzymski nie zaprzecza bynajmniéj, iżby pomiędzy nimi nie było ludzi pojmujących obowiązki obywatelskie; wprowadza nawet trzy osobistości rozsądne i z dobrą wolą postępujące; ale im nie nadaje ról wybitnych, tak że ich głosy giną wśród chaosu nieświadomości, ograniczenia, samolubstwa i tchórzostwa prezydenta i godnych jego towarzyszy.

Jeżeli domysł tu wyrażony jest słuszny, to „Prezydent m. Krakowa w kłopotach", pomimo swego tła historycznego, byłby jedną z owych sztuk, chwytających kwestye społeczne na gorącym uczynku, o jakie się Narzymski w artykułach swoich dopominał. Wyraźnie już cechę tę noszą na sobie dwie komedye czteroaktowe, nagrodzone na konkursie krakowskim w r. 1871 i 1872: „Epidemia" i „Pozytywni", przedstawione zaraz w teatrach; drukowane najprzód w czasopismach, a w r. 1875 wydane w Warszawie w książkach oddzielnych (nakładem Celsa Lewickiego). Czy na technikę tych utworów wpłynęło przedstawienie (bez powodzenia [1]) „Niekomicznéj komedyi" w Poznaniu, w końcu października 1871 r.? Zdaje się, że nie; gdyż „Epidemia" przynajmniéj była już wówczas na konkursie.

Chęć łatwego a szybkiego wzbogacenia się, to jedna z chorób, toczących wnętrze organizmu społecznego w czasach dzisiejszych. Karty, ruleta, loterya, gra giełdowa — oto środki, które pozornie prowadzą najprościéj do celu, a w gruncie rzeczy rujnują jednostki i rodziny, demoralizują zaś społeczeństwo. Ludzie nienauczeni smutnemi przykładami, niezrażeni bolesném doświadczeniem, niepomni na przyszłość, lecą jak szaleni ku zgubie.

Jedną z tych dróg, o których wspomniałem, zajmuje się „Epidemia". Gorączka gry giełdowéj, co przez lat kilka epidemicznie grasowała w Galicyi i w całéj Austryi, a skończyła się głośnym „krachem" w r. 1873-im, dała sposobność Narzymskiemu do napiętnowania osób, dobrowolnie zarazić się nią pozwalających i wykazania szkodliwego jéj wpływu zarówno pod względem materyalnym, jak i moralnym.

Karwacki, obywatel majętny, uczciwy, rozsądny, posiadający córkę, o którą się stara młody inżynier, Bolesław Stawiński, unikał dotąd wszelkiéj nawet wzmianki o chęci grania na giełdzie; co więcéj, jako nieprzyjaciel wszelkiego ryzyka, wierzący tylko w dobre wyniki rodzajów pracy tradycyjnie przekazywanych, nie chciał przyjąć projektu Bolesława co do osuszenia wielkiéj przestrzeni bagien i pobudowania tam cukrowni, gdyż „spekulacya to nie rzecz szlachcica", jak powia-

---

[1]) Zob. recenzyę z tego przedstawienia, pomieszczoną w N. 45 „Tygodnika Wielkopolskiego", podpisaną trzema gwiazdkami.

da. Napróżno wystawia Bolesław korzyści dla kraju, z wykonania projektu jego płynące („kawał ojczystéj ziemi”, dziś bez użytku leżący, przemieni się na źródło bogactwa dla właścicieli, da pracę i chléb tysiącom ludu biédnego, a tam, gdzie dzisiaj pustka i cisza śmiertelna, będzie ruch i życie”); — wszyscy obywatele, zgromadzeni u Karwackiego, odmawiają swego spółudziału; jeden tylko żyd, Eihorn, zgodził się na zyskowną propozycyę.

Za to ciż sami obywatele (oprócz Karwackiego na razie), nie chcący ani grosza włożyć w interes, wątpliwy ich zdaniem, idą grać na giełdzie. Przykład ten oddziaływa powoli i na Karwackiego. Słysząc i widząc, jak ten i ów wygrywa po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy; dowiedziawszy się, że znakomitości okoliczne biorą w téj grze udział; rozsądny dotychczas i oględny Karwacki pomyślał również o wygraniu naprzód maleńkiéj sumy na bransoletę dla córki, potém większéj na karetę, potém jeszcze większéj dla zaokrąglenia posagu — i dał się wciągnąć w zaczarowane koło wielbicieli fortuny. Zbrzydł mu Bolesław, który napróżno starał się go odwiéść od niebezpiecznego hazardu, wystawiając wszystkie złe skutki, jakie za sobą pociągnąć może; przeniósł się do Wiednia i powierzył swe losy w ręce bankiera, barona Goldszmita. Tu właściwie rozpoczyna się węzeł intrygi.

Goldszmit, człowiek 45-letni, który młodość swoję przepędził w kantorze wśród papiérów bankowych i nauczył się obrachowywać wszystko na piéniądze, pokochał ślepo, namiętnie, córkę Karwackiego, Maryę. W téj sferze namiętności takie, graniczące z obłędem, zdarzają się nieraz. Baron gotów wszystko swe mienie złożyć u stóp ubóstwianéj kobiéty. Chcąc się z nią ożenić, gdyż inne środki posiadania jéj uważał—i słusznie—za niemożliwe, postarał się przedewszystkiém o oddalenie Bolesława. Namawia tedy niejakiego Pieczeniarskiego, zupełnie od siebie zależnego, a upadłego moralnie człowieka, ażeby wydrukował w gazecie artykuł przeciwko eksploatującym i eksploatowanym w grze giełdowéj, artykuł, w którymby początkowe litery jasno wskazywały Karwackiego jako głupca, poddającego się dobrowolnie wodzeniu za nos przez chytrych i nikczemnych giełdowiczów. Artykuł ten, podcyfrowany inicyałami Stawińskiego, sam Goldszmit przynosi Karwackiemu i chce z nim zerwać stosunki, jeżeliby się nie zgodził na usunięcie Bolesława ze swego domu. Zbogaconemu i rozgorączkowanemu już grą obywatelowi nie trudno przyszedł wybór między baronem a inżynierem. Nie tłómacząc się więc wcale, a obrzucając Bolesława obelgami, wypowiada mu dom i zrywa zamierzone małżeństwo.

Bolesław się usuwa i to na długo.

Goldszmit wszakże nie dopiął jeszcze przez to swego celu. Na propozycyę zaślubienia Maryi odebrał odpowiedź (naturalnie przez osobę trzecią), że śmierdzi czosnkiem i cébulą. Więc pchany żądzą zemsty, a zarazem posiadania Maryi, obmyśla sposób zniesławienia jéj. Wykonawcą jest nikczemny cynik, Artur Kwocki, wychowany przez pobłażliwą matkę dewotkę i Jezuitów. O dwunastéj w nocy, wobec umyślnie sprowadzonych świadków na ulicy, schodzi Artur po drabinie jedwabnéj z balkonu, przytykającego do pokoju Maryi, przekupiwszy jéj pokojówkę, ażeby udawała swą panią. W kilka dni wieść się rozgłosiła; gazety wiedeńskie opisały ten wypadek; Maryi nie chciano nigdzie w domach „szanujących się" przyjąć.

Na Karwackiego spadły naraz trzy gromy: niesława córki, utrata całkowita majątku przez grę na giełdzie, wiadomość, że i jego syn Władysław fałszował weksle, tak samo jak Artur i przezeń podmówiony. Jedyny ratunek, jak łatwo się domyśléć, może dać bankier. Marya, mając sobie przedłożony przez ojca stan rzeczy, zgadza się na małżeństwo z Goldszmitem pomimo wstrętu, jaki względem niego odczuwała; — równocześnie jednak mdleje. Karwacki już się przygotowuje do samobójstwa. Nie wiadomo, jakby daléj poszły rzeczy, gdyby się nie zjawił Bolesław. On załatwia wszystko; oczyszcza się z zarzutu, jakoby był autorem owego artykułu dziennikarskiego, demaskuje Goldszmita, wykrywając jego machinacye, uzdrawia i uszczęśliwia Maryę, która ma zostać jego żoną.

Najwydatniejszą w całéj komedyi postacią jest bezwątpienia Karwacki. Powolna i stopniowa przemiana tego człowieka pod wpływem gorączki giełdowéj dobrze została przeprowadzona. Mianowicie scena namysłu przed ostateczném zdecydowaniem się na grę (akt I, II) wybornie maluje człowieka, który narazie ma najlepsze zamiary i na pierwszém miejscu stawia chęć dopomożenia „poczciwemu Józefowi", co ma dzieci huk, a długów bez liku i lada dzień może pójść z torbami. Ale i humor i usposobienie zmieniają się po sześciu miesiącach gry; gorączka robienia coraz większych piéniędzy opanowuje go silnie; Karwacki czuje się jakiś nie swój, złamany, rozstrojony ogromnie, drażliwy nadzwyczajnie. A gdy ów „poczciwy Józef" przysyła list z prośbą o pożyczenie 20,000 guldenów, które go wyratować mogą, Karwacki odrzuca list z niechęcią, powiadając: „ci ubodzy krewni, to plaga prawdziwa!" Dodając zaś: „odmówić jednak trudno", nie myśli szczerze o spełnieniu téj wewnętrznie danéj obietnicy... Żałować tylko potrzeba, że Narzymski nie użył potężniejszych słów na odmalowanie stanu duszy Karwackiego w chwili, gdy przekonany o mylności obra-

néj drogi, o nieszczęściu, w jakie grą swoją pogrążył całą rodzinę, wyrzuca sobie z goryczą swe nierozsądne postępowanie i bierze pistolet do ręki (akt IV, 12).

Baron Goldszmit jest osobistością o wiele słabiéj narysowaną. Człowiek, kupczący sumieniami ludzkiemi, począwszy od najniższéj aż do najwyższéj klasy; człowiek, dla którego nie ma nic świętego na ziemi; zarozumialec, przekonany, że wszystkiego za piéniądze dostać można, wyzyskujący złe skłonności, jakie na drodze swéj spotyka, nie jest w komedyi zbyt wstrętnym. Dlaczego? Czy miłość dla Maryi tak go przeobraża? Ależ on dla téj miłości dopuszcza się największych łotrostw; ależ ta miłość to tylko pożądliwość zmysłowa! Postać to w sztuce ostatecznie dosyć cicha, nie popisująca się cynizmem, dokonywająca wszystkiego z zimną krwią, z powagą, niemal z namaszczeniem.

O Bolesławie Stawińskim niewiele da się powiedziéć. Jako inżynier występuje on właściwie tylko w pierwszych kilku scenach; mówi rozsądnie, ale wymowy nie posiada. Zajęcie się matematyką i mechaniką nie wycisnęło na nim cechy odrębnéj. Jest to typ młodzieńca szlachetnego, stałego w miłości, niezrażającego się przeszkodami, trochę sztywnego deklamatora, trochę idylicznego pasterza z Arkadyi. Zresztą pokazuje się zbyt mało w ciągu akcyi, nie ma więc sposobności odsłonięcia przed nami wszystkich zalet swoich, całego bogactwa swéj duszy; musimy się tego domyślać tylko.

Inaczéj jest z Arturem Kwockim, wychowankiem Jezuitów, stosującym w praktyce zasadę: cel uświęca środki. Jest to postać młodzieńca, która co do cynizmu i wyuzdania bardzo niewiele w literaturze naszéj znalazłaby podobnych. Drwi z mamy, drwi z księży, bez skrupułu podpisuje weksle imieniem matki i bezczelnie przyznaje się do tego, gdy został przyparty do muru. Poczucie godności osobistéj zatracił w sobie doszczętnie; dla piéniędzy staje się powolném narzędziem w ręku Goldszmita i najnikczemniejszy plan jego wykonywa z całą swobodną lekkomyślnością, do jakiéj jest zdolny zgniłek moralny.

Postaci kobiécych w „Epidemii" jest pięć: pani Karwacka, Marya, Ewelina, pani Kwocka i pokojówka Zuzia.

Pierwsze dwie są to charaktery pełne poświęcenia, miłości i rezygnacyi; nigdy nie występują czynnie, ulegając woli męża i ojca; umieją cierpiéć i modlić się. W roli Maryi jest parę sytuacyi pięknych moralnie i scenicznie.

Ewelina, kochanka Goldszmita i ministra, dama z półświatka wiedeńskiego, nakréślona kilku śmiałemi rysami, o tyle potrzebna jest

w komedyi, że wskazuje drogi, na których bankier zdobywa wiadomości potrzebne, w sprawach giełdowych.

Pokojówka Zuzia gra również na giełdzie, jak państwo; żądza zarobku popycha ją do chętnéj usługi w celu zniesławienia swéj panienki, do kradzieży portmonetki, zostawionéj przez Artura, kradzieży spełnionéj bez żadnego wyrzutu sumienia.

Żywioł komiczny (po większéj części prawdziwie komiczny) reprezentuje Kwocka, kobiéta poszcząca trzy razy na tydzień, spowiadająca się co miesiąc, plotkarka zawołana, wścibska z zamiłowania, grająca na giełdzie, ponieważ ksiądz Hipolit powiadał, że to grzechu nie stanowi, straszliwie ukarana lekceważącém wszystko i nikczemném postępowaniem swego pieszczocha, któremu niczego odmówić nie umiała.

Z postaci męskich, stanowiących przyprawę komiczną sztuki, wymienić można szlachtę grającą na giełdzie i pociesznie rozmawiającą o położeniu interesów europejskich z ryciny w „Kladderadatschu", oraz lokaja, przedstawiającego wraz z Zuzią rozszerzanie się „epidemii" giełdowéj na niższe warstwy społeczne.

Nasuwa się tu zestawienie z utworami francuskiemi podobnéj treści, a mianowicie z „Giełdą" (*La Bourse)* Ponsarda. Wyznać potrzeba, iż umiejętność rozłożenia światła i cieni, szerokość poglądu na znaczenie giełdy i nadużycia gry giełdowéj, umiejętność w dramatyczném przedstawieniu zarówno szerzenia się gorączki wśród wielkich mas, jak i stopniowego przetwarzania się usposobień i pojęć ludzi rozsądnych pod wpływem zgubnego działania gry, o wiele świetniéj się przedstawia u autora francuskiego, aniżeli u naszego. Już sam początek komedyi, dający nam naocznie poznać rozległą klientelę agenta giełdowego i jego lokaja lepiéj i dramatyczniéj rzecz maluje, aniżeli przygodne wzmianki o Zuzi i Janie i rozmowa pomiędzy niemi. Margrabina, która czyni *votum*, że wystawi kościół z wygranéj na giełdzie, doskonaléj przedstawia połączenie dewocyi z żądzą zysku, aniżeli trywialna trochę Kwocka. A cóż dopiéro wymiana zdań między agentem giełdowym a Leonem, który, kochając bogatą pannę, pragnie dorównać jéj majątkiem i dlatego tylko postanawia grać na giełdzie. Delatour jest to człowiek uczciwy, w niczém niepodobny do Goldszmita; umié on wskazać znaczenie giełdy, ale zarazem wié, jak niebezpiecznie jest powierzać swe losy zawodnym kombinacyom gry.

...W dwóch obozach staje szereg graczów długi:
Po jednéj stronie słabi, a silni pordugiéj;

Gdy pieniężnie orężny zajmie boju ścieżkę,
On sam jeden stanowi spadek lub podwyżkę.
Tak dalece, że, będąc panem bojowiska,
Słaby hufiec wciąż traci, gdy silny wciąż zyska.
W nierównym pojedynku i zręczność usłuży,
Jednym wieść, w czas schwycona, wykrzesze zysk duży;
Ci z umysłu fałsz sieją, a bijąc w dzwon trwogi,
Z ogólnego popłochu wynoszą plon błogi;
Inni znów, dywidendy zwabiając rozkoszą,
Kruchego przedsiębierstwa akcye podnoszą;
Potém się ich pozbywszy z chęcią równie szczerą,
Też akcye wbrew nabywcom zniżają na zero.

Trafnie i wymownie maluje również wzmaganie się żądzy zysku w miarę wygrywania:

Zysk zaostrza pragnienie, złoto zawrót niesie,
Po zdobytym dostatku — obfitości chce się;
Obfitość wzrok odsłania i chęć dumną bodzie
Do przepychów i władzy i zamków na lodzie.
Z niczego coś się rodzi, mało daje więcéj;
Aby przyjść do tysiąców, dość jest chcieć tysięcy.
Gdy więc cięższe przebyte, człek ma ślad utarty,
Idzie brzegiem przepaści tuż przed nim otwartéj,
Śmiało i coraz daléj, a gdy już przy kresie:
Upada — i z upadku już się nie podniesie.

Leon oczywiście nie chce brać téj przepowiedni do siebie i mniema, że gdy tylko zbierze fundusz dostateczny, aby rękę ukochanéj pozyskać, zatrzyma się w grze giełdowéj. Przejmuje się jednak gorączką zarobku i umié już niebawem wynaléść sofizmata, usprawiedliwiające jego postępowanie. Już wtedy ceni wysoko wielki „umysł giełdowy" i przenosi go nad umysł wielkiego filozofa i wielkiego polityka:

. . . . . Wszak podziwiamy, kiedy śmiałe oko
Zbada niebo i gwiazdy, tak nad niém wysoko,
Chociaż one w swym chodzie, ruchu oddalonym,
Posłuszne prawom stałym i nieporuszonym.
Ale ten, co poznawszy żądz ludzkich szaleństwa,
Ukróci je i ujmie w karby posłuszeństwa,
I nagnie do swych celów poryw ich skrzydlaty:
Ten więcéj czyni, niżby odkrył światy...
Patrz na to zbiegowisko ludów, które wzajem
Pomieszały się mową, stopniem, obyczajem,
Jak to biegnie do Giełdy, drga jéj ruchem, zdaniem,
Bo ona świata sercem iześrodkowaniem;

Ona węzłem, co wszystko łączy, wiąże czynem,
Przyjaźni Londym z Wiedniem i Paryż z Berlinem;
A sądząc własnym sądem strony niespokojne,
Nosi w fałdzie szat swoich pokój albo wojnę [1]).

Trudno nie przyznać, że takie i tym podobne myśli, rozwijane przez osoby komedyi, nadają kwestyi interes szerszy, rozleglejszy, aniżeli wyłączne skupienie uwagi na ujemnéj tylko stronie gry giełdowéj i na losach osób prywatnych.

Takąż właściwość, z dodatkiem większéj energii słowa, mają komedye Augiera, zajmujące się kwestyą giełdy i gry namiętnéj.

Jest mianowicie wśród sztuk Augiera jedna, która nawet tytułem zbliża się do „Epidemii"; to *La contagion* („Zaraza", wystawiona 17 marca 1866 r.). Baron d'Estrigaud ma wiele podobieństwa z baronem Goldszmitem; jest to również łotr bez sumienia, który, by zadowolić swe namiętności, gotów na wszelką nikczemność. Stosunek jego z panną Navarette, dowcipną i przewrotną intrygantką, przypomina stosunek Goldszmita z Eweliną. W osobie pana Tenancier i jego syna Lucyana są rysy zbliżone do tych, jakie u Narzymskiego w Karwackim i synu jego Władysławie widzimy. Tylko córka Tenanciera jest odmienną zupełnie od Maryi; innym także jest inżynier Andrzéj Lagarde. Inżynier ten obmyślił wspaniałe przedsiębiorstwo przemysłowe, wykopanie kanału w Hiszpanii południowéj, mające zaszkodzić interesom Anglii w Gibraltarze. Z planem tym przybywa do Paryża, by pozyskać kapitalitalistów i zapewnić sobie sławę, jak nie mniéj zdobyć posag dla swéj ukochanéj siostry. Baron d'Estrigaud potrafił zainteresować giełdę względem tego przedsiębiorstwa. Wtém zjawia się agent angielski, ofiarujący baronowi trzy miliony, byleby sprawa ta upadła. I baron dla pewnego zysku przyjmuje propozycyę, a Andrzeja stara się oszołomić wprowadzeniem go w wir zepsutych obyczajów paryskich. O mało co nie udało mu się dokonać swego zamiaru; ostatecznie jednak Andrzéj, ujrzawszy przed sobą przepaść, nad którą zaprowadziła go żądza używania, cofa się i opuszcza zatrutą atmosferę z wyrazami oburzenia moralnego na bagnisko, skąd ledwie co się wydobył.

Rzecz naturalna, że w rozleglejszém i śmielszém pojmowaniu zadania działały nietylko właściwości talentów, lecz także natura stosunków francuskich, pozwalających na tworzenie szerokich kombinacyi społeczno-politycznych. Autor polski zmuszony był liczyć się

---

[1]) Wyjątki z „Giełdy" Ponsarda przytaczam w tłómaczeniu Henryka Cieszkowskiego (Zob. „Bibliotekę Warszawską" 1864 r., zeszyt majowy i październikowy).

z warunkami życia o wiele ciaśniejszemi i choćby miał nawet umysł śmielszy, to zachowanie prawdopodobieństwa musiałoby polot jego hamować.

Też same warunki życia naszego, tylko z innéj dziedziny, nie dozwoliły Narzymskiemu rozwinąć szerzéj tematu poruszonego w „Pozytywnych”.

Ale przedewszystkiém musimy wyjaśnić, co autor przez „pozytywnych” rozumiał. Że nie miał na myśli zwolenników filozofii pozytywnéj Comte'a, o tém wyraźnie uprzedził sam w przedmowie do swéj komedyi, powiadając: „Wié on (autor), że żadna teorya nie może do gruntu zepsuć szlachetnéj natury, że człowiek serca pójdzie za jego głosem, choć mu rozum przypominać będzie, że ten niby głos jest tylko fizycznym fenomenem; wié, że wśród koryfeuszów pozytywizmu są ludzie wielkich zasług, serca i poświęcenia.” Co do teoryi saméj Comte'a mniemał Narzymski, że „jego klasyfikacya nauk jest arcydziełem, a metoda jego, zastosowana do nauk przyrodzonych, stanowi erę ich rozwoju.” Nie zamierzał również stawać w obronie marzycielstwa przeciwko pracom, „dobrobyt i ekonomiczne podniesienie kraju mającym na celu”, nie chciał zohydzać „kierunku praktycznego”, jaki się wówczas przejawiać zaczął; zaręczał, że kierunkowi temu przyklaskiwał serdecznie i rozumiał doskonale prac tych znaczenie i wartość. Powstawał tedy przeciwko temu, co się zwykle nazywa materyalizmem praktycznym, a co zawarł autor w następnych punktach: „odrzucanie wszystkiego, co się zmierzyć, zważyć, rozebrać chemicznie lub obliczyć cyframi nie da, słowem, czego empirycznie zbadać nie można, a stąd idąca negacya wszelkiéj Istoty będącéj początkiem i twórcą wszech rzeczy; zaprzeczenie wszelkiego duchowego pierwiastku w człowieku i wszelkiéj egzystencyi po za grobem; głębokie przekonanie, że jest istotą czysto materyalną; egoim uznany za jedyne prawo.” Z tém wyliczeniem łączy Narzymski uwagę, że takie ostateczne konkluzye mieści w sobie pozytywizm.

Nie wchodząc tu w rozbiór, czy autor miał słuszność utożsamiając nauki materyalizmu praktycznego z pozytywizmem, muszę najprzód zauważyć, że w saméj sztuce nie ma rzeczywistych przedstawicieli wszystkich tych konkluzyi, są jeno wcielone objawy braku serca, zepsucia, patrzenia z ubóstwieniem na interesa tylko materyalne, a z pogardą—na wyższe cele, ku którym naród zdążać powinien.

Powtóre, zaznaczyć wypada, że Narzymski brał do swych „Pozytywnych” wzorki z Galicyi i to ze sfer szlachecko-arystokratycznych, zachowujących wszystkie zewnętrzne oznaki pobożności. Jeżeli sobie przypomnimy, że sztukę swą pisał autor po ogłoszeniu „Teki Stań-

czyka" (1869 i 1870) i wywołanych przez nią protestach w imię uczucia przeciw oportunistycznemu rozumowi; to musimy przyjść do wniosku, iż Narzymskiemu, chociaż nie mówił tego wyraźnie, chodziło głównie o wychłostanie tych egoistów, co swoje własne interesa nad ogólniejsze przekładali, nadużywając hasła trzeźwości i praktyczności politycznéj. Liczne wzmianki i aluzye, wspomnienie o „tromtadratach" lwowskich, których publicysta, wysługujący się arystokracyi, ma skarcić, wnioskowi powyższemu nadają cechę prawie pewności.

Poznajemy w komedyi trzy pokolenia: staruszków 70-letnich, ludzi w średnim wieku i młodzież od 19 do 27 lat liczącą. Wśród najstarszego pokolenia widzimy dwu serdecznych przyjaciół, mających mnóstwo spólnych wspomnień o młodości przeżytéj „chmurnie i górnie", Adama Choryńskiego i Franciszka Dowgiełło. Obaj mają serca najszlachetniejsze, ale różnią się usposobieniem i właściwościami umysłu.

Choryński jest to natura miękka, łagodna, nie umiejąca się gniewać, pobłażliwa i wyrozumiała, sądząca wszystkich według swego gołębiego serca; ma jednę namiętnostkę, lubi zbiérać i skupować stare książki i szpargały, wszelkie zresztą zabytki przeszłości. Majątek rozdzielił między dwu synów z dwu żon, starszego Leona i młodszego Alfreda; żyje z procentu, jaki mu obaj wypłacają. Namiętność antykwarska pochłania ten procent i zmusza do robienia długów. Nabywa je w tajemnicy Alfred, zimny, wyrachowany, goniący za groszem 24-letni młodzieniec. Nabywa nie na to, żeby je pocichu spłacić, ale żeby doprowadziwszy pod cudzem nazwiskiem do licytacyi ruchomości ojca, oduczyć go „marnotrawstwa". Leon, szlachetny i kierujący się popędami uczucia, poeta w duszy, stracił znaczną część majątku swego na cele publiczne; mimo to nie tylko wypłaca ojcu należny mu procent, ale nadto stara mu się osłodzić starość nabywaniem dla niego cennych zabytków. On też długo osłaniając brata swego, płaci weksle ojcowskie i pozwala w dodatku, by wdzięczność za to spadła na Alfreda.

Dowgiełło ma umysł świeższy od Choryńskiego, jest surowszy i posiada właściwą Litwinom ostrożność i przebiegłość. Wnuczka jego Hanna stała się przedmiotem zabiegów Alfreda, liczącego na jéj znaczny posag; w skrytości zaś kocha ją Leon. Dowgiełło, powziąwszy podejrzenie co do interesowności konkurenta, wystawia go na próbę; rozgłasza, że majątek utracił, że zatém wnuczka jego posagu mieć nie będzie. Tak zręcznie sprawę poprowadził, że pomimo usilnych badań Alfred nie mógł się przekonać o zmyśleniu i uwierzył w ruinę Dowgiełły. Wówczas naturalnie zwrócił zaraz efekty swoje do hrabianki Julii, najmocniéj przekonany, że ta mieć będzie posag ogromny. Tryumfuje

łatwo nad hr. Jesionowskim, stałym wielbicielem hrabianki, i osiąga cel swoich pragnień: zostaje mężem Julii. Następuje rozczarowanie; dowiaduje się bowiem nieszczęsny łowiec posagowy, że Julia nie ma nic zgoła; cały bowiem majątek jest własnością jéj matki, która właśnie w wilię ślubu córki, wyszła w sekrecie za młodego literata, wieszającego się u klamek pańskich, Eugeniusza Kornackiego, u którego „Tartuffe może się uczyć obłudy.” Scena gwałtownych wymówek, potém układy pieniężne. Hrabia Jesionowski ze swojéj strony pragnie korzystać z dobréj okazyi i projektuje sobie romans z młodą mężatką, która do Alfreda wskutek jego brutalności zrazić się musiała. Podsłuchał rozmowy o tém Leon i wyzwał hrabiego na pojedynek. Raniony w nim, wywołuje objawy szczerego uczucia Hanny, która już oddawna, odczuwszy w Alfredzie brak serca, pokochała Leona. Tworzą oni szczęśliwe małżeństwo, a stary Choryński doznaje tu najtroskliwszéj opieki pod każdym względem, nie wyłączając i jego słabostki do „starożytności”. Alfred poróżniwszy się z żoną, przesiaduje u brata i nudzi się; a kiedy postępowaniem Eugeniusza oburzona matka Julii, przekazuje jéj swój majątek, sama zaś chce osiąść na dewocyi, małżonek godzi się z położeniem i z życiem we troje, pocieszając się tém, że rola to „większéj części mężów wielkiego świata, a przynajmniéj tych, którzy się z bogatemi pożenili pannami.”

Przeciwieństwo zasad i postępowania najjaskrawiéj uwydatnił autor w postaciach dwu braci. Leon szlachetny i cichy, tłomaczy brata wobec innych, wierzy długo w jego prawość, stara się przynieść ojcu pociechę, bije się za honor Alfreda, ufa, że dobra sprawa zwyciężyć w końcu musi. Alfred, samolub i wyzyskiwacz, nie kocha nic i nikogo prócz siebie; ojcu rachuje procent, jeśli dożywocie wypłaci miesiąc naprzód; gotów go licytować, traci nawet poczucie godności osobistéj, byle mieć dochody. Wielkie hasła są dla niego frazesami tylko. W rozmowie z Leonem (akt II, sc. 6) wypowiada swoje poglądy, które najlepiéj może służą do uwydatnienia dążności komedyi: „Ach, polityka! poezya!... Wiemy my dobrze, do czego was one doprowadziły!.. I dokądże doszliście, wychowani na Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim?.. Zdenerwowani bzikami rymowanemi, rozmarzeni fikcyami, rozmiłowani w ideale niepodobnym do urzeczywistnienia, rwaliście się przez lat sto do celu, którego doścignąć niepodobna — i popełnialiście szaleństwa za szaleństwami. Spojrzyj na siebie, mój Leonie! Byłeś młody, pełen siły i życia, majętny, miałeś świetną przed sobą karyerę... aleś czytywał Dziady i Irydyona, a Kordyana umiałeś na pamięć... Więc musiałeś kochać jak Gustaw, szaleć jak Kordyan, jak Irydyon Rzym podkopywać!... I oto dziś jesteś złamany, zrujnowany, nieszczę-

śliwy, ze szramą na czole, z opinią szaleńca w kołach ludzi poważnych, a co najgorsza, z pustkami w kieszeni; — nie ma co w bawełnę obwijać; polityka i poezya zgubiła was; ale na szczęście wyście byli ostatnimi szaleńcami."

Ta charakterystyka dążeń społecznych, potępionych przez „Tekę Stańczyka"; a oto zaraz program w głównych punktach zgodny z zasadami téjże Teki: „My nauczeni doświadczeniem waszém, weszliśmy na drogę rozsądku... i wybraliśmy kierunek pozytywny; dziecinne marzenie złożyliśmy *ad acta* i przestaliśmy roić o celu, który was bałamucił. Poetyczne tyrady odrzuciliśmy precz, bo one rozmarzają tylko słabsze głowy, a dla umysłów pozytywnych są śmieszną egzaltacyą. Pojmujemy życie, jak jest; zgadzamy się na to, co jest, i wiemy, że zmarnowanego na jakieś bziki szlachetne życia nic nie zapłaci. Ponieważ ogół głupi, więc trzeba jeszcze czasem frazesów używać, ale wierz mi, w rzeczywistości nowa era rozpoczęła się z nami... era rozsądku... era pozytywnych dążeń i praktycznych celów".

W dalszych słowach Alfreda brzmią już zastosowania praktyczne, płynące z wyrzeczenia się wielkich celów i ideałów. Szczęściem nazywa zadowolenie zachceń, potrzeb, żądz; a że to zadowolenie możliwe jest przy pieniądzach, więc zdobycie pieniędzy jest rzeczą główną. „Nie myślę zbawiać ludzkości — powiada—ni wielkich idei rozsiewać, ni nawet być marszałkiem rady powiatowéj... Nie!.. Dorabiać się będę uparcie, zacięcie, pracowicie... nie dlatego żebym kochał pieniądze, ale że mnie to bawi... życie zapełnia i daje środki użycia lat kilkudziesięciu, jakie mogę przebyć na ziemi. Gusta moje może się zmieniać będą. Dziś za pieniądze kupować będę konie i kobiéty... potém może władzę i sławę i pochlebców... potém mężów dla córek... potém pomnik marmurowy lub zbawienie duszy... Czy ja wiem? dość, że iść będę ciągle w górę, ciągle bez przerwy... z okiem spokojnem i tabliczką w ręku... bawiąc się, ale nie cierpiąc, obojętny na to, co mnie nie dotyka, i zawsze zadowolę wszystko, czegokolwiek moje ja zażąda. A umrę z tém miłém przekonaniem, żem z życia całą wyczerpał słodycz, żem go nie zmarnował, żem go chorobliwym sentymentalizmem i gonieniem za mrzonkami nie zatruł."

Alfred modlił się w kościele, bywał nawet u spowiedzi; a robił to z kilku powodów, raz że go to nic nie kosztowało, a mogło się kiedyś na coś przydać, powtóre iż to stawiało dobrze człowieka w towarzystwie, a szczególniéj w oczach kobiet, które rządzą towarzystwem.

Leon, wysłuchawszy teoryi brata, odrzekł mu spokojnie: „Może masz racyę, zarzucając swoim ojcom i braciom starszym rozpoetyzowanie się... rozmarzenie... ale wy wpadacie w drugą gorszą ostateczność.

Jak niebaczne dzieci odrzucacie talizman dlatego, że myśmy zanadto weń wierzyli. To próżno. Twój materyalizm jest także jednostronnością... Myśmy padli jak orły, lecące zbyt wysoko; wy zgnijecie, jak gady w błoto wdeptane... Przyjdzie czas, gdy zdobywszy wszystko, poczujesz brak czegoś, czego kupić nie można... poczujesz pustkę wkoło siebie i w sobie... za sobą i przed sobą... a gdy ostatnia nadejdzie chwila, zrozumiesz, żeś zmarnował życie, żeś się pozbawił tych wszystkich uroków i rozkoszy, których wspomnienie trwa dłużéj, niż smak dobrego obiadu."

Nie mogły wpłynąć ani te słowa Leona, ani téż przykre doświadczenie, jakie przebył w chybioném małżeństwie, by się Alfred do zasad brata nawrócił; rdza samolubstwa przegryzła w nim pierwiastki szlachetne.

Jeszcze jaskrawszym okazem znikczemnienia duszy jest literat Eugeniusz Kornacki, udający pobożnego dla przypodobania sferom arystokratycznym, autor „Masonów polskich" i pogromca „tromtadratów". W młodym wieku (ma lat 26) zatracił już wszelkie poczucie moralne. Żeni się ze starą hrabiną, matką Julii dla jéj pieniędzy i w rozmowie z hr. Jesionowskim, drwiąc ze swéj żony, podaje cyniczne powody, które go skłoniły do zawarcia wstrętnego małżeństwa: „Ty, hrabio, wyobrażenia nie masz, co to za tortura bazgrać codzień androny, z których się człowiek sam śmieje, budować wspaniałe frazesy o moralności, obowiązkach, zasadach i innych podobnych niedorzecznościach. Wy wprawdzie codzień robicie to także... ale mówić a pisać to różnica... Z początku to bawi, lecz potém obrzydnie!.. Tu świat szaleje, używa, jé, pije: złoto z rąk do rąk się przelewa... a ty siedź w ciemnéj redakcyjnéj izbie i buduj pobożny artykuł i wymyślaj ludziom, którym zazdrościsz... Ale cóż, karyera przedewszystkiém... Za to dziś!..

Odepchnięty przez żonę, gdy się zaczął pokątnym miłostkom oddawać, ma zamiar naciągnąć poczciwego, miękkiego Leona, by dał fundusz na założenie dziennika. Twierdzi więc, że się owych dawnych zasad wyparł i będzie bronił haseł najświętszych. Leon już gotów uwierzyć w nawrócenie grzesznika i dać pieniądze; lecz czuwał nad nim przezorny Dowgiełło i zadrwił z tego wilka, naciągającego niezgrabnie skórę baranka. Wytwarza to może jedyną prawdziwie komiczną scenę w sztuce, przepełnionéj poważnémi refleksyami i naprężonemi sytuacyami. „Myślałem założyć dziennik... organ broniący praw i zasad najświętszych"—mówi Eugeniusz, przekonany, że swemi poprzedniemi wyznaniami zyskał już sobie zaufanie Leona i Dowgiełły.

„I nie masz pan funduszów” — przerywa mu podstępnie stary wyga. „Zgadliście panowie — odrzecze przyszły redaktor... — I właśnie, gdy śmiertelnie smutny bezsilnością moją, której przyczyną Alfred, spojrzałem na was i światło błysnęło mi przed oczyma i pomyślałem...” Dowgiełło przerywa mu kładąc rękę na jego ramieniu i kończąc niby jego frazes: „Oto dwa barany, które się ostrzydz dadzą, byle ich słabą połechtać stronę?... Nieprawda, brateńku?” A na wymówkę Leona, dodaje: „Jakto, to ty nie widzisz, że pan Eugeniusz chciał wypróbować, ile też w starych i młodych waryatach jest dobroduszności?... A!.. to już zanadto poezyi, mój Leonie!” Eugeniusz mówi do siebie myśląc o Dowgielle: „A, los!” a głośno: „Panie, ubliżasz mi... Pan Dowgiełło mi nie wierzy... a ja Bogiem się świadczę i honorem ręczę...” W tém przynoszą telegram od hr. Jesionowskiego, adresowany do Eugeniusza, brzmiący, jak następuje: „Książę Kalikst, hrabia Paweł i ja tworzymy firmę i staramy się o koncesyę... Interes milionowy, a prawie pewny, wskutek znanego ci stosunku, jaki mnie wiąże z B. Dla poparcia jednak w kraju zakładamy dziennik. Przybywaj więc. O barwie organu dowiész się, a zresztą to ci wszystko jedno. Wyższy komizm, wynikający z przeciwstawienia owych wielkich zasad, których obronę dopiéro co zaprzysięgał Eugeniusz, ręcząc honorem i świadcząc się Bogiem, tym lekceważącym słowom, jakie o tém wypowiada Dowgiełło i telegram hr. Jesionowskiego, należy do pomysłów szczęśliwych i dobrze rozwiniętych.

Znikczemniałe charaktery Alfreda i Eugeniusza uwydatniają się raz jeszcze w ostatniéj scenie, gdy małżonek Julii, który za 100 tysięcy zgodził się odgrywać rolę parawanu, prosi małżonka jéj matki, potrzebującéj łaski téjże, chcąc dojechać do Wiednia,—by mu wyrobił udział w koncesyi. A gdy ten się wzdraga, Alfred mówi niby spokojnie: „żona to u hrabiego uzyska.” Wówczas Eugeniusz zaczyna się targować o cenę pośrednictwa i uzyskuje dwa tysiące, Alfred zaś mówi do siebie: „mógł pięć wytargować!”

Inne osoby komedyi nie są już tak znamienne, jak poprzednio scharakteryzowane.

Hrabia Jesionowski, rujnujący się na stajnię wyścigową, lekkomyślny i bez zasad, lubiący miłostki, które nie obowiązują i zbyt wiele nie kosztują, z drwiącym uśmiechem przyjmujący wszystko, zachowuje zawsze przytomność umysłu i dobry ton towarzyski; jest odważny i ani myśli odmawiać pojedynku, gdy ktoś go żąda od niego.

Hrabina Zenobia Skalińska, kobiéta 45-letnia, bogata, żądna jeszcze życia i użycia, łapie sobie młodego Eugeniusza, a gdy ten ją

zaczął zwodzić, odpycha go i niby dewocyi chce się poświęcić; ale niebawem przebacza mu grzeszki, by mieć męża bądź co bądź.

Jéj córka Julia, światowa panna, niemajętna, lecz uchodząca za bogatą, szuka człowieka, coby jéj zapewnić mógł dobrobyt, wyrzeka się serca, lecz niebawem żałuje tego, spostrzegłszy, że kobieta bez uczucia wyżyć nie może. Zapewniwszy sobie ofiarą 100 tysięcy swobodę, pójdzie zepewne drogą poszukiwań coraz to nowego ideału, a może pod wpływem Leona i Hanny nawróci się do życia cichego i cnotliwego.

Hanna wreszcie, jak zazwyczaj nasze bohatérki dodatnie, to dobra, szlachetna dziewczyna, raz się zdobywająca na objaw wyraźny uczucia dla człowieka, co ją kochał, lecz wzajemności nie spodziewał.

Takie są myśli przewodnie i osobiste główne, przeprowadzone w komedyach Narzymskiego. Przyznać potrzeba, że autor ich znał dobrze swoje społeczeństwo, znał jego pierwiastki składowe, zastanawiał się poważnie i sumiennie nad przyczynami wad narodowych i rozstroju a raczéj zamętu moralnego, jaki się w różnych warstwach w przeszłości czy w teraźniejszości dostrzegać dawał. Zadanie komedyopisarza społecznego, by prądy czasu i kwestye palące roztrząsał, wskazując złe, a podnosząc dobre objawy spełniał z rozwagą i szczerością, znamionującą człowieka przejętego silnie ukochaniem kraju, oburzonego dowodami upadku ducha i zgnilizny moralnéj. Jak w młodzieńczym swoim utworze („Niekomiczna komedya"); tak i w ostatniéj swéj pracy („Pozytywni"), pomimo zmienionych pod niektóremi względami poglądów, przejawia się ten sam duch prawy, kierujący się zasadami szlachetnemi, kochający wielkie cele i wielkie ideały a nienawidzący wszelkiéj podłości, wszelkich poniżających układów z sumieniem.

Można go tedy nazwać twórcą naszéj komedyi społecznéj. Wszystkie utwory innych autorów, zasługujące na to miano, napisane zostały po „Epidemii" i „Pozytywnych." Nie rozwinął wprawdzie Narzymski szeroko tematów przez siebie podejmowanych, ale tłomaczy go to, iż w szczupłych szrankach naszego życia społecznego nie miał dostatecznéj podniety ku traktowaniu rzeczy na skalę rozległą. Kto wié zresztą, czy nie byłby w dalszych swych pracach uczynił dalszego kroku naprzód, gdyby nie śmierć przedwczesna (4 lipca 1872 r.).

Czy był równie dzielnym artystą jak obserwatorem społecznym?

Wiemy, że artyzm cenił wysoko; wiemy że tendencya nie usprawiedliwiała wad układu i charakterystyki; należy jednak zauważyć, iż

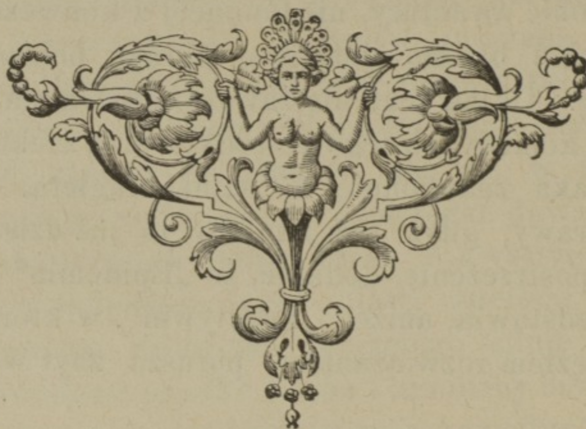
mówiąc o komedyi, najwięcéj się zawsze rozszerzał nad jéj tematem, nad kwestyami przez nią poruszonemi. We własnych też utworach dał pierwszeństwo tematowi. Ludzie jego nie tylko w pomyśle, ale i w zachowaniu się, są istotami rzeczywistemi, działającemi w warunkach rzeczywistych; zawsze się jasno przed umysłem czytelnika i widza rysują. Sytuacye są prawie wszystkie naturalne i rozwijane bez sztucznego i gwałtownego naciągania: tu i owdzie tylko znajdzie się jakiś środek teatralny przestarzały, np. mimowolne podsłuchiwanie, pociągające za sobą ważne następstwa. Niekiedy dla efektu przeciągnięta jest struna, dźwięczy zbyt silnie, np. w „Pozytywnych" hałaśliwa scena, wyprawiona przez Alfreda, oszukanego w swych nadziejach co do posagu żony. Można tu powiedzieć wraz z hrabią, że choć położenie było bardzo przykre, ale należało zachować formy życia wielkoświatowego i nie robić awantury, nie licującéj z konwenansami. Wszak można ludziom zrobić bardzo dotkliwe, bardzo bolesne wyrzuty, nie sprawiając wzrawy. Układ scen nie zawsze zadawalnia u Narzymskiego. Nie ma jego w komedyach tegoześrodkowania efektów, téj spójności kompozycyi, jaka znamionuje np. sztuki Augiera. Nie rozbieram szczegółowo téj sprawy, gdyż nie miałoby to już dzisiaj celu; zaznaczam tylko moje spostrzeżenie, dodając, że „Epidemia" lepiéj się pod tym względem przedstawia, aniżeli „Pozytywni", w których akt czwarty zamiast być zwięzłem rozwiązaniem, porusza zbyt wiele zagmatwanych interesów.

Pod względem stylu, miał Narzymski jednę wielką zaletę: jędrność wyrażenia. Lubił się streszczać, pisał zazwyczaj krótkiemi, urywanemi zdaniami. Kiedy chodziło o uplastycznienie sytuacyi lub o sformułowanie poglądów, styl ten czynił zadość wymaganiom dramatycznym. Ale kiedy szło o przedstawienie uczucia namiętnego i wzburzonego, dykcya taka wydaje się suchą. Uczuć tkliwych, serdecznych wyrażać Narzymski nie umiał; stąd pochodzi ubóstwo scen miłosnych i niepozorność bohatérek dodatnich. Ale nie tylko role kobiece tracą na owéj właściwości stylu; w niektórych sytuacyach przydałoby się i mężczyznom słowo lotniejsze, akcent potężniejszy, np. w monologu Karwackiego, gdy zamyśla o samobójstwie.

Komedye Narzymskiego dają pole do rozwagi, ale nie wzruszają. Żywioł komiczny jest w nich słaby, chociaż autor nie był wcale pozbawiony pomysłowości w sytuacyach, mogących wywołać uśmiéch. Ponieważ jednak traktował o rzeczach poważnych, nie chciał obniżać ich znaczenia przez częste użycie środków, któreby mogły myśl czytelnika lub widza wprowadzić na tory dalekie od zamierzonéj przez komedyopisarza dążności. Zapewne, mylił się w téj mierze; umiejętne

zastosowanie żartu i komizmu nie rozprasza uwagi, lecz ją zaostrza, a przerywając poważne dyskusye, odpędza znużenie i wraża w pamięć to, o co autorowi chodziło. Sposępnienie komedyi społecznéj nie może być poczytywane za objaw pożądany w rozwoju sztuki: śmiéch zdrowy jest rzeczą przyjemną i pożyteczną zarówno dla ciała jak i dla duszy. Pogodna kraina artyzmu nie powinna nam przecież sprawiać przykrości i zasępiać czoła.

P. Chmielowski.



Z POWODU ARTYKUŁU A. PAWIŃSKIEGO

O odpowiedzi [1]).

Błędem byłoby przypuszczać, że stan szlachecki wyłącznie znał i używał odpowiedzi. Instytucya ta prawa zwyczajowego, nie wypływała tylko z pojęć honoru rycerskiego, nakazującego uprzedzić przeciwnika o niebezpieczeństwie pod groźbą uchodzenia za podstępnego zabójcę, gwałciciela prawa i porządku publicznego. Panował zwyczaj ten i wśród włościan. „Odpowiadał na gardło" jeden kmieć drugiemu, gdy odeń krzywdy doznał, tak samo jak szlachcic szlachcicowi. Innem znać było źródło zwyczaju, szerszém, opartém na ogólno-etycznych zasadach ówczesnego społeczeństwa. Jakoż prosta uczciwość nakazywała każdemu, bez względu na stan i pochodzenie, nie napadać na człowieka mieniącego się być bezpiecznym; zagrożonemu zemstą należało dać możność naprawienia zła wyrządzonego a przedewszystkiém przez danie jawnéj odpowiedzi wytaczano niejako sprawę przed forum opinii publicznéj. Kto wbrew tym zasadom postępował, uzbrajał ogół przeciwko samemu sobie a bez jego sankcyi, jak-

---

1) „Ateneum", zeszyt grudniowy 1896 r.: A. Pawiński, Odpowiédź według obyczaju rycerskiego w prawie polskiém.

kolwiek milczącéj, nikt nie uważał się za uprawnionego do osobistego ukarania swego krzywdziciela. Odpowiednik, osłonięty słusznością swéj sprawy, mocen był rozsądzić ją zgóry we własném sumieniu, często poparty jeszcze przez krewnych i przyjaciół, i zaprzysiężoną zemstę jakby w formie zapadłego wyroku ogłaszał przeciwnikowi. Charakterystyczną cechą odpowiedzi, mieszczącą się w samym już wyrazie, jest zapowiédź pomsty za doznaną krzywdę. Fakt pokrzywdzenia bezwarunkowo poprzedzać musiał odpowiédź. Opinia publiczna, powiadomiona o tym fakcie, milcząco niejako potępiała winowajcę a ofierze lub krewnym jéj udzielała autorytetu względem pomszczenia krzywdy, uświęcając swą powagą zemstę osobistą. Tak więc odpowiédź była tylko wyższą formą odwetu indywidualnego, aprobowaną przez społeczeństwo średniowieczne i używaną we wszystkich warstwach tegoż społeczeństwa.

Że lud istotnie hołdował zwyczajowi odpowiadania, świadczą o tém spółczesne akta sądowe XVI wieku, na które chcemy się powołać. Są to oryginalne akta z r. 1593, dotyczące dóbr Pabianickich, województwa sieradzkiego, własności kapituły krakowskiéj. Volumen z ośmiu złożony arkuszy, przechowuje się w archiwum kapitulném i przedstawia wcale ciekawy zabytek dawnego sądownictwa wiejskiego [1]).

Na potwierdzenie powyższych naszych słów o odpowiedzi u włościan, przytoczymy w dosłownych cytatach sprawy, w których przedmiot ten występuje:

1) Jan Bieńkowicz oskarżał Szczęsnego Wiliamka o podpalenie płotu. Niezależnie od decyzyi w kwestyi głównéj, sąd postanowił: „A isz thenze Jąn Bieńkowicz niebezpieczeństwa od szijnow ij powijnnich thego Wiliąmka stroneij zdrowija zazijwa Thedy Ich Mcz wijnę między nijmij zalozicz ij postanowijcz raczilij, gdzieby ssie tho pokazać miałło zeby tak szijn albo który powijnnij Wiliąmkow thargnął ssye albo ranieł thegosto Jąna Bieńkowijcza thedy seszdziesziąth grzijwięn wijnij na Ich Mcz przepada." (Wieś Wola Rakowska).

---

[1]) Wiadomość o tym rękopisie podał ks. Polkowski w „Sprawozdaniu o drugim dziale ksiąg archiwum kap. kat. krak." w Rozprawach hist.-fil. Akad. Krak. Tom XVIII, 1885 r. Tytuł rękopisu: Visitatio et lustratio bonorum pabianicensium ex commissione Venerabilis Capituli Ecclesiae Cathedralis Cracoviensis per Reverendos Dominos Martinum Izdbienski de Ruszecz Scholasticum Cracouiensem, Petrum Gwiazdowsky et Vincentium Romisewsky Canonicorum Cracouiensium Anno Domini Millesimo Quingentesimo Nonagesimo Tertio. Die 27 Octobris. Cały zaś pisany po polsku.

2) „Woijcziech Przepiorka z Gięmzowa Isz wijdział Woyczie-cha Rabede wijozączego wnoczy zijtho spolija kthore żijtho niewie czije wyoszl do czego ssie tbenze sam Rabenda dobrowolnie zeznał, zaczo yusz y karanie miał. A isz temu Przepiorcze dlia thego opowiedzęnia odpowiadał thedy Ich Mcz zaklad miedzy nijmij zalozijcz raczily, takij pąn Starosta ustanowycz będzie raczil." (Wieś Giemzów).

3) „Na szijnij Wlodarzowe Bartosz Stanik powiedział, ysz poijmał beł urzędnik w gumnije a onij sijano brałij, których na czter-dzieszczi grzywięn ręczono. Thegosz Włodarza czeliadz thęn Bartosz Stanik zastal na rzepie panskij ij mothijkę s plachtą wzijąl. A ijsz steij przezineij nienawijscz nathego Bartosza Stanika czij sinowie włodarzo-wij maiją ij na gardło mu odpowiadaią thedij dlija beszpieczenstwa ijego zdrowia Ich Mcz zaklad miedzy niemij grziwien czterdzieszczi za-łozicz raczelij." (Wieś Dobroń).

4) „Robotni Macziei Thokarz skarzel na Grzegorza Wuija, Isz u thego Wuija w ręku szijna thego Thokarza Sobestiana zabitho. Asz pewnęm swijadecztwęm ij lijudzmij dobrimi wijarij godnijmij niewijn-nem szie bijdz then Wuij pokazal Thedy Ich Mcz wolnim tego Wuija uczinicz ij wijeczne mijlczenie nakazacz raczelij. A izebi w pokoiju sso-bą mieskalij Thedij zaklad międzij nijmij grzijwien dziessięcz zalozicz raczelij." (Wieś Śladkowice).

Cytaty powyższe, sądzimy, dostatecznie stwierdzają, iż o d p o-w i é d ź egzystowała śród ludu kmiecego w końcu XVI stulecia. Czy bywały wypadki o d p o w i a d a n i a ze strony włościanina mieszcza-ninowi i szlachcicowi, i odwrotnie—pozostaje kwestyą otwartą.

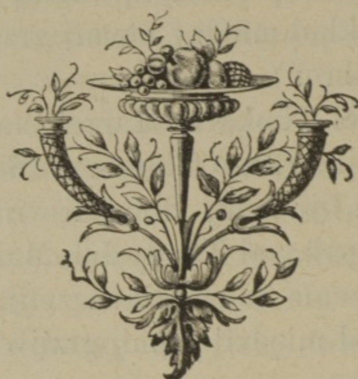
Legalna władza sądowo-administracyjna, jak w danym wypadku sąd patrymonialny kanoników krakowskich i ich starosty, starała się zapobiegać skutkom o d p o w i e d z i przez ustanowienie „zakładu" czyli „winy", co odpowiada *vadium* [1]), które przytacza Pawiński. Za-pisywano do akt i ogłaszano, że gdyby o d p o w i e d n i k skrzywdził na zdrowiu swego przeciwnika, płacić ma na rzecz pana włości „zało-żoną winę" w ilości tylu a tylu grzywien. Wysokość téj ostatniéj za-leżała od natury każdego oddzielnego wypadku i wynosiła 10, 40 a na-wet 60 grzywien.

Niewyjaśnionem pozostaje, czy o d p o w i é d ź u kmieci czynio-no w ściśle określonéj przez zwyczaj formie, jak u szlachty, czy też

1) Tego samego terminu prawnego: „zakład" „vadimonium" używano w XV wieku w Ziemi Czerskiéj. Patrz: Najdawn. Księgi sądowe. Księga Ziemi Czerskiéj 1404—1425, wyd. T. Lubomirski, Warszawa 1879, str. LXXX.

stanowiła ona zwykłą pogróżkę, zapowiédź za którą zazwyczaj szło wykonanie. W każdym razie „zakładanie winy" w wielu wypadkach skutecznym mogło być hamulcem na ślepe wybuchy zemsty osobistéj i wedle dzisiejszego rozumienia rzeczy, uważać je należy za mądry środek policyi bezpieczeństwa, zapobiegający przestępstwom przeciwko życiu i zdrowiu jednostki.

Maksymilian Baruch.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Z inflanckiéj literatury naukowéj.

I. Dr. Poelchau Arthur. „Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1894.“ Riga 1895, Verlag von N. Kymmel, w 16-ce stron 90. — Tenże. „Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1895.“ Riga, 1896, Verlag von N. Kymmel, w 16-ce stron 76.

Drugie i ostatnie wydanie powszechnie znanéj w europejskich kołach naukowych bibliografii dawnego profesora uniwersytetu dorpackiego, d-ra Edwarda Winkelmana, p. t.: *Bibliotheca Livoniae historica* (Berlin, 1878 r.), wykazało dzieł i rękopisów kilkanaście tysięcy.

Niepomierny pożytek owéj bibliografii wywołał z kolei potrzebę dopełniania jéj z każdym rokiem. To téż wszystkie, chociażby najmniéj wyczerpujące, prace i artykuły historyczne, dotyczące dawnych krain inflanckich, a wydane po roku 1878-ym (a więc w pomnikowém dziele E. Winkelmana jeszcze nie zawarte), notowała skrzętnie w miarę ich ogłaszania dawna gazeta ryska *Rigasche Zeitung* w stale utrzymywanéj rubryce p. t. *Baltische Bibliographie*; potém, już od roku 1880-go, wyliczać je poczęły redagowane systematyczniéj maluczkie zeszyciki, wydawane corocznie zrazu przez miejscowego historyka Karola Mettig'a (wieloletniego współpracownika ogłaszanych w Berlinie

roczników historycznych J. Jastrowa *Jahresberichte der Geschichtswissenschaft*), a następnie przez pomocnika dyrektora ryskiéj biblioteki miejskiéj, A. Poelchau'a, p. t. *Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1880*, czy téż *im J. 1881* albo *1882* i t. d.

Każdy taki zeszycik, wychodzący odtąd corocznie nakładem księgarni N. Kymmla w Rydze, stanowi nader pożądany przewodnik bibliograficzny dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jako téż dla czytających i kupujących książki lub artykuły, dotyczące przeszłości inflanckiéj.

Zeszycik z r. 1892 ogłoszony został pod redakcyą Poelchau'a zaledwie w końcu r. 1893-go. Z krótkiéj przedmowy dowiedzieliśmy się, że sz. autor z czasem zamierza przystąpić do nowego, uzupełnionego aż do najnowszych czasów wydania słynnéj bibliografii Winkelmana i że, zanim to nastąpić będzie mogło, autor postanowił ogłaszać daléj corocznie swoje zeszyciki p. t. *Die livl. Geschichtsliteratur im J. 1893*, czy téż *1894*, *1895* i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że takie dopełnione wydanie bibliografii Winkelmana, będzie pracą nader pożądaną dla wszystkich badaczy przeszłości inaflnckiéj, któréj téż uczeni nadbaltyccy jednozgodnie przyklaskują. Tymczasem zaś poprzestawać są zniewoleni na skromnych zeszycikach, z liczby których dwa ostatnie przytoczyliśmy w nagłówku.

Zeszycik o literaturze inflanckiéj z r. 1895-go zaledwie w tych dniach opuścił prasę drukarską i w tymże samym porządku, co i dawniejsze, przytacza na str. 3—8: recenzye i sprawozdania o pracach w ciągu ostatniego czasu ogłoszonych; na str. 8—13: publikacye źródeł lub dotyczące źródłoznawstwa inflanckiego; na str. 13 — 30: artykuły i rozprawy z dziedziny nauk pomocniczych, jako to: inflanckiéj geografii, etnografii, statystyki, genealogii, heraldyki, sfragistyki, archeologii, numizmatyki, historyi sztuki, historyi cywilizacyi, lingwistyki i t. p.; na str. 30—40: monografie i artykuły pomniejsze; na str. 40—46: biografie; na str. 49—51: rozmaitości; na str. 51 — 63: pisma stowarzyszeń inflanckich lub téż artykuliki okolicznościowe; wreszcie na str. 63—65: nekrologi w ciągu roku w licznych dziennikach nadbaltyckich ogłaszane, mające przeważnie charakter lokalny.

Z prac samoistnych polskich, oraz recenzyi ogłaszanych w języku polskim, wymienia tenże najnowszy zeszycik na str. 4-éj: „Kwartalnik historyczny" (wychodzący we Lwowie), a mianowicie: rocznik IX-ty, str. 434—445; daléj na str. 7-éj: „Ateneum" warszawskie z ro-

ku 1894, str. 308—324, a także „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 292 i str. 327—329); na str. 8-éj: tenże „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 344); na str. 14-éj: „Wielką Encyklopedyę ilustrowaną", a mianowicie: tom XIV, str. 963; na str. 27-éj: „Przewodnik naukowy i literacki" z r. 1895, str. 673—689; 769—781; 865—885; 960—983, a także warszawskie czasopismo „Wisłę" z r. 1895, str. 361 — 397; na str. 33-éj: „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 621 — 648); na str. 49-éj: „Kwart. hist." (IX, str. 34), dotykając przeważnie prac Antoniego Prochaski, Antoniego Mierzyńskiego i Gustawa Manteuffla. Przytém popełnia liczne błędy w pisowni polskiéj, szan. autorowi, niestety, całkiem nieznanéj.

Umieszczony na str. 66 — 76 skorowidz, ułatwia czytelnikowi oryentowanie się w téj dla badaczy przeszłości inflanckiéj zawsze bardzo pożądanéj publikacyi, za którą niestrudzonemu autorowi i licznym jego współpracownikom prawdziwa wdzięczność i szczere uznanie się należą.

II. Prof. dr. Oswald Schmidt. „Rechtsgeschichte Liv- Est- und Kurlands" (ogłoszone w „Dorpater juristische Studien", Bd. III, Heft 2 und 3 przez d-ra E. Nottbeck'a, z przedmową wydawcy). Jurjew (niegdyś Dorpat), 1894 r., bei E. J. Karow, stron VIII i 403 w sporéj 8-ce.

Zeszyty 2-gi i 3-ci tomu III-go czasopisma *Dorpater juristische Studien* przyniosły nam w końcu roku 1894 sporą książkę o kilkuset stronach ścisłego druku, powstałą z prelekcyi zmarłego w Dorpacie w r. 1890 profesora historyi prawa nadbałtyckiego, d-ra Oswalda Schmidta. Najpilniejszy, a poważny już wiekiem uczeń zmarłego, dr. Eugeniusz Nottbeck, uporządkowawszy puściznę rękopiśmienną swego dawnego nauczyciela i mistrza, — ogłosił skwapliwie jego wykłady z zakresu historyi prawa Inflant, Estonii i Kurlandyi pod tytułem: *Rechtsgeschichte Liv- Est- u. Kurlands.*

Wyznać należy, że rękopis przeznaczony wyłącznie do wykładów z katedry uniwersyteckiéj, którego treść uczony prelegent co chwila wzbogacał ustnemi uzupełnieniami i wywodami, — pozostawia mało miejsca do dyskusyi. Główne zalety téj pracy leżą oczywiście w odpowiedniém ugrupowaniu treści różnolitéj, w jasności wyrażeń, pełności obrazów, w udatném przeprowadzeniu treści głównéj. „Kto pragnie nauczać, nie powinien popadać w wątpliwości; kto chce być pożytecznym, ten winien coś przynieść do skarbnicy wiedzy" głosi znane *adagium* dorpatczan.

Wymaganiom powyższym zdaje się całkowicie odpowiadać dzieło pośmiertne prof. Schmidta, a publikacya jego zasługuje na tém szczersze uznanie, że jest to pierwsza próba ujęcia prowincyi nadbaltyckich w całkowity obraz.

Nie zbywało wprawdzie i dotąd na obszernych monografiach, traktujących o pojedyńczych częściach miejscowéj historyi prawa, nie brakło rozpraw dotyczących źródeł z téj dziedziny wiedzy, nie brakło dysertacyi odnoszących się wyłącznie już to do historyi procesu karnego i cywilnego, już to do historyi prawa karnego i cywilnego nadmorskich krain tutejszych. To téż odnośna literatura (za wyłączeniem tylko prawa prywatnego) należycie uwzględnioną została już w samym wstępie do pracy pośmiertnéj prof. Schmidta. Nie mieliśmy atoli po dzień dzisiejszy podręcznika historyi prawa nadbaltyckiego, ujętéj w całość organiczną.

Jedyne dwie książki, jakie z tego zakresu wiedzy istnieją, a mianowicie: F. G. Bunge's *Einleitung in die liv-, est- und kurländische Rechtsgeschichte und Geschichte der Rechtsquellen*, oraz wydana przez hr. Siewers'a i br. Rahdena w języku rosyjskim, a przez Jerzego Brewerna w tłómaczeniu niemieckiém: *Geschichtliche Uebersicht der Grundlagen und der Entwickelung des Provincialrechts in den Ostseegouvernements*, nie ujęcie rozwoju miejscowego prawa w jednolity obraz mają na celu, lecz raczéj [dążą do monograficznego przedstawienia pojedyńczych części tego prawa.

I tak, w przytoczoném powyżéj pomnikowém dziele Bunge'go, traktowana jest wyczerpująco i występuje na plan pierwszy historya źródeł do prawa nadbaltyckiego; Siewersa zaś i Rahdena *Geschichtliche Uebersicht* i t. d. zajęta jest przeważnie historyczném przedstawianiem ustroju tutejszych instytucyi państwowych *(Behördenverfassung)*, oraz praw stanów nadbaltyckich (*Ostseeprovinciales Ständerecht*).

Niemniéj jednak pozostanie niepożytą zasługą Bunge'go, że w obszernych swych pracach naukowych: *Forschungen aus dem Gebiete des römischen Rechts in dem Ostseegouvernements Russlands*, zarówno jak: *Forschungen aus dem Gebiete des Privatsrechts der baltischen Lande* i w wielu innych poważnych dziełach z tego zakresu wiedzy, uporządkował naukowo całkowity system prawny krajów nadbaltyckich. Jako znakomity profesor jedynego uniwersytetu krajowego, stał się założycielem nowéj szkoły prawniczéj, która odtąd pracowała już stale w kierunku przez założyciela wytkniętym, rozszerzając coraz bardziéj zakres téj gałęzi umiejętności prawnéj. Jako ostatnie ogniwo tych dawnych studyów dorpackich prawniczych, rów-

nie wytrwale jak sumiennie i umiejętnie prowadzonych, przedstawia się obecnie czytelnikowi sympatyczna książka, przytoczona w nagłówku.

Pracę swoją doprowadził ś. p. prof. Schmidt zaledwie do drugiéj połowy roku 1888-go; nie dotyka więc już ona roku 1889-go, który dla prawnego życia prowincyi nadbałtyckich tak niepomiernéj był doniosłości. Paragraf 135-ty i ostatni, dotyczący wprowadzenia w owym właśnie roku rosyjskiéj reformy sądowéj do krajów tutejszych (ob. str. 361 — 366) dodany został przez wiernego ucznia-wydawcę dla uzupełnienia obrazu.

III. Dr. Lehman Eduard: „Flora von Polnisch-Livland mit besonderer Berücksichtigung der angrenzenden Florengebiete“ i t. d. („Archiv für Naturkunde Liv- Est- und Kurlands“, 2-te Serie, XI Lieferung. Dorpat, 1895, stron 432 w wielkiéj 8-ce, z dodaniem mapy).

Ta równie ciekawa, jak pouczająca, książka zestawia skrzętnie wyniki dotychczasowych badań roślinności nietylko w obrębie bezpośrednio znanego autorowi dawnego księstwa inflanckiego, czyli tak zwanych Inflant polskich (stanowiących, jak wiadomo, już od roku 1802-go trzy rozległe powiaty gubernii witebskiéj, a mianowicie: dyneburski, rzeżycki i lucyński), lecz wogóle w guberniach: inflanckiéj czyli ryskiéj, kurlandzkiéj, estońskiéj, witebskiéj, kowieńskiéj, wileńskiéj, grodzieńskiéj, mińskiéj, mohylewskiéj, a nawet pskowskiéj i petersburskiéj.

Najbardziéj atoli wyczerpująco opisana jest flora Inflant polskich, którą całkiem samodzielnie opracował szan. autor na podstawie trzydziestoletnich badań swoich w tymże kraiku, który od lat kilkudziesięciu, jako praktykujący lekarz, zamieszkuje stale, czyniąc corocznie wycieczki botaniczne.

W pracy swojéj spożytkował dr. Lehmann kilkaset dzieł, pomiędzy innemi także 26 rozpraw botaników polskich, przyczém wyraża wielkie uznanie wydawanemu w Warszawie „Pamiętnikowi fizyograficznemu”, skupiającemu w sobie owoce poszukiwań krajoznawczych. Zastanawiającą wszakże jest okoliczność, że autor, znający dobrze język polski, nie przytoczył ani razu pracy swego poprzednika, Józefa Gerald-Wyżyckiego, który w połowie bieżącego stulecia wydał znane botanikom polskim dzieło dwutomowe p. t.: „Zielnik ekonomiczno-techniczny” (Wilno, 1845), z uwzględnieniem zwłaszcza „Inflant polskich i prowincyi je otaczających”. Dziełko to dwutomowe, w swoim czasie

cieszyło się większém uznaniem, niż wiele innych ksiąg botanicznych polskich, przytoczonych przez szan. autora.

Cenną swą pracę podzielił p. L. na dwie części. Z tych pierwsza, ogólna, zawiéra przegląd zużytkowanéj przez niego literatury botaniczněj. Po nim następuje rzut oka historyczny na wyniki badań botanicznych w obrębie Inflant polskich i krajów je otaczających, poczém daje szan. autor obraz treściwy stosunków hydrograficznych, orograficznych i geologicznych Inflant polskich. Część tę pracy swojéj zakończył charakterystyką roślinności w obrębie dawnego księstwa inflanckiego.

W drugiéj specyalnéj części téjże cennéj książki opisuje autor szczegółowo naprzód niektóre pod względem botanicznym nader ciekawe miejscowości Inflant polskich, przedstawiając w ten sposób cenny materyał do studyów porównawczych.

Potém następuje rozdział pod tytułem *Die indigenen Florelemente und ihre Vegetationsgrenzen*, w którym traktowane są geologiczne elementa flory polsko-inflanckiéj wraz z dokładném określeniem granic przez tę wegetacyą zajmowanych. Z kolei przechodzi autor do najtroskliwiéj przezeń opracowanego rozdziału pod tytułem: *Die advenen Florelemente und ihre Verbreitung durch den Menschen und seine Transportmittel*, gdzie przedstawia obraz rozszerzania się roślin ze stref oddalonych za przypadkową pomocą komunikacyi już to wodnych, już to lądowych, a więc przez statki wodne oraz pociągi kolei żelaznych, roznoszące najmimowolniéj rozmaite nasiona przy przewozie towarów. Jest to jeden z najciekawszych i najbardziéj pouczających rozdziałów téj cennéj książki.

Atoli najobszerniéj traktowana jest część systematyczna dzieła pana Lehmana, układana według systemu Hausteina. W nomenklaturze botaniczněj trzyma się autor prof. Aschersona, idąc w tém za przykładem nadbaltyckiego botanika Klinge'go i jego dzieła: *Flora der Ostseeprovinzen.*

Z flory Inflant polskich przytacza i szczegółowo opisuje dr. Lehmann 819 rodzajów, 336 odmian oraz 48 form, a także 33 roślin zdziczałych, ogółem 1,236; z flory zaś prowincyi ościennych podaje roślin 1,338, 767 i 183, 146, ogółem 2,434.

Jak wielkiém uznaniem cieszy się w świecie naukowym znakomita praca d-ra Lehmana, poświęcona roślinności Inflant polskich i krajów ościennych, tego najwymowniejszym dowodem to, iż w ciągu niewielu miesięcy, odkąd się ta książka na półkach księgarskich, ukazała, omawiali mężowie fachowi w łamach najpoważniejszych pism

naukowych z téj dziedziny wiedzy, że tylko przytoczymy leżące w téj chwili przed nami.

1. *Botanisches Centralblat*, tom I, XV, Nr. 4, sprawozdanie o dziele dr. Lehmana, napisał w niém dr. H. L. Krause.

2. *Pettermanns Geografische Mittheilungen* z r. 1895, referat o téjże książce podał prof. Drude.

3. *Verhandlungen der k. k. zool. botanischen Gesellschaft in Wien* z r. 1895, referat skréślił dr. Knapp.

4. Berlińskie czasopismo: *Naturwissenschaftliche Wochenschrift*, Nr. 8-my z r. 1896-go, a w niém na str. 93 — 96 recenzya profesora Aschersona.

5. *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896—33, referat o książce Lehmanna skréślił prof. Wettstein.

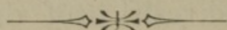
6. Wychodząca w Karlsruhe *Allgemeine botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeographie* etc., Nr. 1, z r. 1896-go, w któréj odnośną recenzyę skréślił prof. dr. P. Graebner.

Jakkolwiek dr. Knapp w przytoczonym powyżéj referacie o dziele Lehmanna czyni autorowi zarzut, iż rzekomo zbyt mało zużytkował literaturę monograficzną, pisma balneologiczne oraz tak zwane „pamiatnyja knižki", wydawane od czasu do czasu przez zarządy gubernialne cesarstwa Rosyjskiego, a nakoniec wylicza szereg roślin, które zdaniem tegoż d-ra Knapp'a, prawdopodobnie dałyby się odszukać w guberniach litewskich Rosyi,—wszakże zaznaczyć należy, że całkowita bezzasadność zarzutów niezwłocznie wykazaną została przez uznane powszechnie powagi naukowe. Przeciw stronniczym wycieczkom w referacie d-ra Knapp'a zaprotestowali bowiem w recenzyach swoich o témże dziele pana Lehmana: prof. Wettstein w Wiedniu (Obacz *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896, str. 33), prof. Ascherson w Berlinie (Obacz *Naturwissenschaftliche Wochenschrift* z r. 1896, Nr. 8), oraz prof. Gräbner w Karlsruhe (Obacz *Allgemeine Botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeografie* i t. d. z r. 1896, Nr. 1). Słowa tego ostatniego, jako nader charakterystyczne, niech nam będzie wolno przytoczyć tutaj dosłownie:

„*Ultra posse nemo obligatur. Wir wünschem dem Kritiker* (dr. Knapp'owi), *der in wenig wohlwollenden Weise die kleinen Schwächen und Versehen, die sich wie in jedem—selbst dem bestem—umfassenden Werke auch hier finden, theilweise wohl sogar mit Unrecht, hervorzuheben bemüht ist, dass seine eigene künftige Arbeit nicht allzusehr hinter d i e s e r Flora zurückstehen möge!*"

Podzielając całkowicie powyższe zdanie prof. Gräbnera, zaznaczyć tu winniśmy, że całe dzieło d-ra Lehmanna wzbudza w czytelniku zaufanie ku autorowi i wywodom jego. Nietylko bowiem podaje ono wciąż czytelnikowi sposobność do śledzenia i dochodzenia wiarogodności przytaczanych źródeł, oraz przekonywania o gruntowności naukowych badań szan. autora, ale zarazem wywiera wrażenie nader sympatyczne z powodu jasności i niezrównanéj prostoty, z jaką autor przedstwia czytelnikom ten owoc poważnéj i długoletniej pracy swojéj. *G. Manteuffel.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.



= **Karoi Prozor** obożny w. W. Ks. Litew. przez *Maryana Dubieckiego.* Kraków r. 1897, str. 335. — Literatura historyczna, a zwłaszcza epoka kościuszkowska w powyższém dziele zyskała źródłową pracę rzucającą jasne światło na życie obywateli na wschodnich prowincyach Rzeczypospolitéj, w końcu zeszłego sutecia. Karol Prozor syn wojewody witebskiego jest wybitnę postacią, znany dotąd pobieżnie, z powodu konferencyi jaką miał z Kościuszką w Dreźnie, dzięki pracy zaszczytnie znanego historyka p. Maryana Dubieckiego staje się postacią przejrzystą, Już z wczesnéj młodości zwrócił na siebie uwagę obywateli, którzy oceniając w nim pewność i naukę powierzają mu zaszczytny urząd deputata trybunału i obożnego w. W. Ks. Litewskiego, a niezadługo oddają laskę marszalkowską najwyższéj sądowniczéj instancyi. Jak był niezależnym na tém stanowisku, dowodzi przegrana procesu Radziwiłła panie kochanku z biednym szlachetką Górskim. Rzecz niesłychana, to téż przegrana uczyniła wielkie wrażenie nie tylko na Litwie ale i w Koronie. Po konfederacyi Targowickiéj idzie na emigracyę—wraca jednak po dwóch latach tułaczki w rodzinne strony, czynny biorąc udział w ówczesnych wypadkach. Zostawiwszy majątki swoje i żony, z domu ks. Szujskiéj, składa na potrzeby narodowe milion złp. — sam zaś krajowi służy jako naiwyższy pełnomocnik na Litwie. Po wzięciu Warszawy w r. 1794, Prozor pędzi żywot tułaczy i pierwszy wraz z Wybickim daje impuls do utworzenia legionów. Po wstąpieniu na tron Aleksandra I, dzięki amnestyi udzielonéj przez Cesarza, wraca do kraju. W roku 1812, w czasie pobytu Napoleona na

Litwie i mianowania przez Bonapartego, rządu tymczasowego na Litwie—Prozor obejmuje przewodnictwo w ministeryum skarbu. Była to ostatnia publiczna czynność Prozora—ale nie ostatnia przykrość jakiéj doznał w życiu. Zmarł w Chojnikach, rodzinnéj włości, w r. 1841. Pan Dubiecki książkę swoją opracował wyłącznie na podstawie archiwum rodzinnego Prozorów, które za dni obożnego było obfite, lecz podczas różnych klęsk krajowych ulegało częściowym szkodom, a może całkowicie uległoby zagładzie, gdyby w r. 1880 p. Bronisław Kleczyński ziemianin wołyński nie kazał pod swojém okiem całego archiwum przepisać. Autentyczne kopie złożone zostały u Kraszewskiego, który zamierzał pisać o obożnym. Po śmierci Kraszewskiego archiwum dostało się do rąk p. Dubieckiego, który je wyzyskawszy do swojéj pracy, złożył w bibliotece Jagielońskiéj. Oryginały, które pozostały w ręku potomków rodziny obożnego sprzedane zostały. Monografia poświęcona jest pamięci ziemian: Owruckich, Mozyrskich, Rzeczyckich, Żytomierskich i Radomyskich. Styl potoczysty, język odznacza się czystością; w wielu miejscach spotykamy dobrze zastosowane dawne, rdzennie polskie formy języko jak: „królewic”, „zabaczyć” i t. p. Rzecz cała czyta się jak powieść, chociaż stanowi poważne źródło naukowe, bo autor legendom wątpliwéj wartości i tradycyom wstępu do pracy swéj nie dawał. *Mieczysław Offmański.*

= *Znicz.* (*Marya Paprocka*). **Uśmiech życia**, powieść. (Warszawa. Gebethner i Wolff, 1897, str. 339).—Jestto jeden z najdojrzalszych utworów młodo a tak nieszczęśliwie zmarłéj autorki. Zapoznaje nas on ze światem arystokratycznym, używającym życia bez trosk i niepokojów społecznych, ale ze świadomością próżni wewnętrznéj i braku celu. Rozpoczyna się od obrazka świéżego i interesującego. Samotna staruszka, hrabina Tenczyńska, dystyngowana, chłodna, wyrozumiała na słabostki światowe, ma przy sobie siostrzenicę Janinę, młodą, ładną, dobrą, co niedawno ukończywszy edukacyę w klasztorze, jest jeszcze w całości przejęta żywotami świętych i chętnie rozczytując się w dziełach ś. Teresy, pragnie zostać do niéj podobną i tłumi w sobie zachcianki ziemskie. Panna Janina jest naturą prawą i poważną, dumną przytém, lecz w sposób szlachetny; połowiczności w uczuciach i postępowaniu nie lubi, flirtu nie pojmuje. Hrabia Władysław Tenczyński czyni na niéj silne wrażenie, lecz ponieważ jest zajęty świetną damą salonową, panią Julią Nessel, więc Janina, nie spodziewając się obudzić w nim wzajemności, postanawia wstąpić do klasztoru. Niczyje przeło-

żenia nie mogą jéj odwiéść od powziętego zamiaru; zostaje tedy nowicyuszką. Tymczasem Władysław, słynący z podbojów salonowych, pociągnięty powabami pani Julii, nie mogąc jéj zbałamucić, wynurza chęć poślubienia jéj; zaco zostaje wyśmiany. To daje ostrogę jego znudzonemu, trochę apatycznemu usposobieniu. Zmienia taktykę postępowania; staje się bardzo śmiałym i złośliwym, oświadczyny swoje obraca w żart i podstępem zawozi Julię do Wiednia, a potém do Szwajcaryi. Pełna sprzeczności natura hrabiny podobała sobie w energicznym, a nawet brutalnym nieco postępku Władysława i nie zważając na możliwe plotki, oddaje się upojeniom chwili. Naturalnie stosunek taki nie mógł trwać długo i zakończył się rozdźwiękiem; Władysław i Julia rozstali się z sobą wówczas na zawsze; do przyjaznego względem siebie usposobienia wrócić już w żaden sposób nie byli w stanie. Śmierć owéj staruszki osamotnionéj, która zapisała siostrzenicy swojéj fundusz znaczny, zmusiła Janinę do opuszczenia klasztoru na czas pewien. Wtedy ponownie spotkała się z hr. Władysławem, który tym razem zwrócił na „nowicyuszkę" większą niż dawniéj uwagę i doszedł do tego przekonania, że taka dobra, szlachetna, prawdziwie anielska dziewczyna byłaby dla niego najlepszą, najodpowiedniejszą żoną. Nie potrzebował wiele zabiegów, ażeby w sercu Janiny rozdmuchać płomień uczucia, gdyż płomień gorzał już w niém oddawna. Lecz co innego uczucie, a co innego oddanie ręki. Janina, powiadomiona o zerwanym stosunku Władysława i Julii, w poczuciu sumienności nie chce hrabinie odbierać mężczyzny, który powinien, dla naprawienia krzywdy wyrządzonéj, z nią się ożenić. Władysław nie umié i nie może wytłomaczyć „nowicyuszce" jasno tego, że ostatecznie Julia nie czuje się bardzo pokrzywdzoną i że wyjść za hrabiego terazby nie chciała. A przytém Władysław, sądząc po sobie i po swojém otoczeniu, poczytuje skrupuły Janiny za rzecz błahą, która musi ustąpić miejsca prawdziwemu a żywemu uczuciu. O mało co jednak nie przerachował się w téj mierze wytrawny, lecz znudzony lew salonowy, nie znający widocznie natur prawych i niepołowicznych. Tylko nieszczęściu zawdzięczał swe szczęście. Wplątany w pojedynek z powodu pani Julii, zupełnie przypadkowo miał przestrzeloną rękę tak fatalnie, że musiano mu ją uciąć. Piękny salonowiec znajdował się w stanie zupełnego niemal otrętwienia, gdy zjawiła się u niego Janina i sama już teraz oświadczyła chęć zostania jego żoną. Charaktery główne i podrzędne są bardzo dobrze rozwinięte i utrzymane we właściwym sobie psychicznym nastroju w całości opowiadania; prawie nigdzie nie potrzebujemy się zżymać na autorkę, iż każe osobistościom swoim tak mówić i tak działać, jak mówić i działać nie byłyby powinny. Władysław Tenczyń-

ski jako wykształcony, zręczny, dowcipny sceptyk, nie rezygnujący jednak bynajmniéj z uciech życia i w głębi duszy szlachetny; hrabina Julia jako nerwowa, kapryśna, złośliwa, zalotna wdówka, poszukująca wszędzie wielbicieli, poczynając od studentów; Janina jako szczera, prawa, serdeczna, więcéj o innych niż o sobie myśląca panna, od początku do końca, we wszystkich przejawach i modyfikacyach swoich są sobie wierni i należycie umotywowani. W układzie natomiast są dość znaczne usterki. Nieproporcyonalność w rozwinięciu niektórych epizodów sprawia, że powieść nie czyni zupełnie harmonijnego wrażenia; pewne sceny należałoby skrócić, a inne rozszerzyć. Nie wdaję się w szczegółowe wykazywanie tych stron ujemnych, gdyż nie miałoby to już obecnie celu; autorka bowiem już nie żyje. Tyle więc tylko powiem, że „Uśmiech życia" był ważnym krokiem naprzód w rozwoju talentu ś. p. Paprockiéj i zawiéra kilka figur wykonanych nie tylko poprawnie, lecz także z niemałym talentem. Autorka dążyła do zrównoważenia sił swoich; nie ma więc w jéj utworze scen odcinających się dobitnością od innych, ale jest znaczna staranność w kréśleniu każdéj. Usterek językowych jest już w téj powieści niewiele; a wszystkie one należą do kategoryi tych, które obecnie grasują w naszém piśmiennictwie jako mikroby cudzoziemskiego pochodzenia.

= **Studentka** przez *Anielę Milewską*. (Poznań, 1896, str. 94). Niedawno zmarła autorka, a zarazem obywatelka wiejska, która od r. 1873 na polu piśmiennictwa dramatycznego, powieściowego i publicystycznego pracowała sumiennie, ale bez szerszego rozgłosu, w ostatnim utworze swoim p. t. „Studentka" starała się przedstawić rozdźwięk zachodzący pomiędzy otoczeniem bliższém i dalszém pogrążoném w tradycyjnych formach bytu a jednostką kobiecą wybitniejszą, która pod wpływem haseł emancypacyjnych zwróciła się do nauki, skończyła uniwersytet i pragnęła w zakresie nauk przyrodniczych się odznaczyć. Magdalena Rudzka, jedynaczka zamożnych ziemian, pieszczona i trochę kapryśna, dostawszy się na pensyę, z wykładów nauczycieli przejęła to pojęcie, że „żyć to wpleść się w koło ogólnego życia ludzkości, zdobyć naukę, wynaléźć nowe drogi i poprowadzić niemi nowe pokolenie." Postanowiła dążyć w tym kierunku, podtrzymywana entuzyazmem dwu mianowicie koleżanek: Jadwigi i Malwiny. Krótko zbywa autorka dobę młodocianych uniesień, przechodząc co prędzéj do obrazu rozczarowań. Po ukończeniu studyów, osiadłszy w majątku rodziców, zajęła się Magdalena badaniami chemicznemi, ale niebawem zniechęciła się do nich, straciwszy nadzieję rychłego odkrycia czegoś takiego, coby mogło wpłynąć na poważną zmianę w dziedzinie nauki

i oddziałać na życie ludzi. Jakiś niepokój, jakaś tęsknota opanowała jéj duszę. Jedna z jéj koleżanek wyszła za mąż, druga została nauczycielką. Zjeżdżały się na t. zw. przez siebie „rekolekcye", mile czas spędzały, lecz urzeczywistnienia marzeń swoich młodocianych doczekać się nie mogły. Matka Madzi, kłopocąc się o jéj przyszłość, wyprawiła bal, na którym studentka pierwszy raz do szału się rozbawiła i zakochała w człowieku zużytym, marnotrawcy, który z wielkich zasobów, pozostawionych przez rodziców, nic już nie posiadał; ale obyty w świecie, zręczny, dowcipny, salonowy. Rodzice byli przeciwni myśli oddania swéj córki birbantowi, a gdy i obie przyjaciółki w tym samym duchu zdanie swe wypowiedziały, Madzia przemogła się, szukała zapomnienia w staraniach około zdrowia ludności wiejskiéj, zakładając szpitalik. Naturalnie, że te zajęcia nie mogły wypełnić jéj duszy, młodość domagała się praw swoich. Madzia poznawszy młodego, niezbyt ładnego doktora, gotowa mu była oddać rękę, ale konkurent zrażony dumą matki Madzi, usunął się. Jeszcze na jednym balu starano się zbliżyć Madzię z jakimś synem obywatelskim, ale studentka miała już dosyć tych prób; podrażniona, głośno przy kolacyi zaczęła dowodzić, że kobiety dzisiejsze nie mogą się godzić na małżeństwo w takiéj formie, w jakiéj ono istnieje, że muszą nastać pod tym względem ważne reformy, że bale urządzane w celu złapania konkurentów, są poprostu nieuczciwością, że szanująca się kobieta do takich środków uciekać się nie powinna... Madzia nie wyszła za mąż; wioskę swoją rodzinną polubiła całą duszą, niewiele myślała o sobie, pragnęła rozwoju gospodarstwa, z którém zaznajomiła się teoretycznie i praktycznie; pocieszał ją widok dobrobytu i oświaty wzrastającéj między tą masą szarą, „dźwigającą na swych barkach podwalinę społeczną"; czuła się potrzebną na swym posterunku; niepokoje i tęsknoty serca znikły; była prawie szczęśliwą. Malwina została nauczycielką w szkółce założonéj przez studentkę i pracowała gorliwie nad oświatą wieśniaków. Ani wielką fantazyą plastyczną, ani stylem powieść ta się nie odznacza; rozumne wszakże myśli rzucone tu i owdzie, bezstronne stanowisko w ocenie różnych rodzajów i kierunków działalności ludzkiéj, uczucia szlachetne i prawe, ożywiające całość, każą nam uważać książeczkę tę za pożyteczną, niektóre sceny—za szczęśliwie wykonane.

= *Maryan Gawalewicz.* **Szubrawcy**, powieść, 3 tomy. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 277, 212, 243). Znane zalety pióra p. Gawalewicza: łatwość i potoczystość opowiadania, żywość i dowcip w rozmowach, a przytém dobra znajomość rozmaitych sfer towarzyskich, oraz doniosłość tematu, poruszającego jedne z najważniejszych

kwestyi bieżących, są ozdobą i najnowszego jego utworu, zjawiającego się w formie książkowéj. Dążność do obalania zapisów testamentowych na rozmaite cele filantropijne, ujawniona niejednokrotnie ostatniemi czasy w szeregu procesów, obojętność opinii publicznéj, tolerującéj zamachy tego rodzaju, dokonywane przez członków rodziny zmarłego czy zmarłéj, dbających jeno o swą własną korzyść, podały autorowi sposobność do roztoczenia przed oczyma wyobraźni naszéj całego zastępu osób, które w mniejszym lub większym stopniu szubrawcami nazwać można, bez względu na to czy są utytułowane czy nie. O każdéj z tych osób należy powiedziéć, iż w początkach swego wystąpienia na scenie powieściowéj dobrze została nakreślona, czy to będzie udający wytwornego salonowca baron Phalern, czy oburkliwy „niedźwiedź" Orsza, czy wożąca na pokaz zamorusane i obdarte pociechy swoje pani Szubina, czy szorstki i dumny nieco ze swego chłopskiego pochodzenia dr. Pniak, czy schorowana zapisodawczyni Krokowska, czy zapatrzony w nią jéj małżonek, czy zresztą jakakolwiek nawet podrzędna figura. Nie można jednak z takimże spokojem sumienia krytycznego dodać, iż w dalszym ciągu postaci te rozwijają się i działają zgodnie z pierwotnie nakréślonym charakterem. Juściż zachowują i nadal pewne rodowe podobieństwo, ale nie czujemy tego, iżby w miarę wikłania się akcyi osobistości te uwydatniały się coraz lepiéj, iżby przedstawiały z nieodbitą konsekwencyą swych usposobień i nałogów. Wprost przeciwne nawet zrobić możem spostrzeżenie, że niektóre figury, silnie zaznaczone z początku, zacierają się i niemal znikają w dalszém opowiadaniu. Skąd to pochodzi? Zdaje mi się, iż z wielkiéj luźności kompozycyi, ze złego przyzwyczajenia do pisania powieści z numeru na numer. W ciągu takiego dorywczego tworzenia, gdy już takie lub owakie sceny zostały wydrukowane, przychodziły autorowi rozmaite pomysły, mające posłużyć do urozmaicenia felietonów, pomysły, które w pierwotnym planie może wcale nie istniały. Raz wprowadzone, musiały być z kolei rozwiniętemi i w ten sposób jednolitość budowli zacierała się coraz bardziéj; powstawał natomiast szereg odrębnych budynków luźnie tylko połączonych ze sobą. Powtóre, przyczyną niespójności części składowych mogło być także i to, że autor saméj sprawy obalania testamentów nie wystudyował należycie pod względem prawnym w całym jéj przebiegu, a stąd nie umiał dobitnie i wyraźnie zaznaczyć faz jéj poszczególnych, od których w znacznéj mierze musiało zależéć zachowanie się „szubrawców." P. Gawalewicz poprzestaje w téj mierze na ogólnikach, nie mogących dać należytego o rzeczy wyobrażenia. Zapewne, że strona czysto techniczna prowadzenia nie mogłaby zainteresować ogółu, gdyby przed-

stawioną była w sposób suchy, sprawozdawczy; ależ od tego właśnie powieściopisarze mają właściwy sobie talent, żeby opiérając się ściśle na danych rzeczywistych, niewątpliwych, umiéć pochwycić cechy znamienne i odtworzyć je z taką siłą, z taką plastyką, iżby porwać za sobą opornych nawet czytelników. Gdy się nie zna jakiéjś sprawy dokładnie, gdy argumenty z a i p r z e c i w nie są wyłożone w sposób jasny, dobitny i charakterystyczny, to zajęcie tą sprawą nikomu wszczepić się nie da; a co ważniejsza ocena postępowania téj i owéj strony jest wielce utrudniona. Dlatego to zapewne p. Gawalewicz, chcąc wywołać oburzenie względem „szubrawców”, musiał używać coraz to mocniejszych, a raczéj jaskrawszych barw do ich odmalowania, tak iż pierwotny ich rysunek poprawny zacierał się, ustępując miejsca rysom trochę karykaturalnym. Natomiast osoby dodatnie w powieści, a mianowicie główny obrońca testamentu dr. Pniak, blakną w czasie trwania procesu, bo albo chorują, albo téż nic nie działają. Niewątpliwie, pragnął p. Gawalewicz uniknąć zarzutu, iż tworzy doskonałość papierową, jakiéj w świecie rzeczywistym nie ma, i dlatego nie chciał nadawać swemu doktorowi roli wybitnie czynnéj, gdy oddawszy sprawę adwokatom, sam poprzestawał na czuwaniu nad obłąkanym Krokowskim i nad swoim szwagrem pijakiem. W zasadzie takie miarkowanie się w tworzeniu postaci dodatnich jest słuszne, o ile odpowiada zadaniu artystycznemu; gdy jednakże chybi w tym względzie, to powstają figury blade, nie mogące zająć nikogo i nie mogące zrównoważyć wrażenia ujemnego, jakie się odnosi z przypatrywania się postaciom złym i przewrotnym. P. Gawalewicz nie chciał bynajmniéj pozostawiać wrażenia pesymistycznego, owszem w zakończeniu powieści pragnął przez usta d-ra Pniaka wlać niejaką otuchę w serca, że przecież pomimo chwilowego zwycięstwa nikczemności, nie można rozpaczać o społeczeństwie wogóle. Otucha ta byłaby lepiéj uzasadniona, gdyby postaci dodatnie w saméj powieści silniéj swą działalność zaznaczyły.—Do figur najlepiéj, najznamienniéj wykonanych należy dekadent Włodziński, zdolność niepospolita zmarnowana, w kieliszku szukająca zapomnienia, ale jeszcze w tym upadku przewyższająca i głową i sercem swoje otoczenie. Czuć na téj figurze, że była tworzona z żywego modelu; zasób sarkastycznego dowcipu i oryginalnych porównań jest we Włodzińskim tak wielkim, że szkoda go było zużywać na postać epizodyczną. Niezłą jest także osobistość dziennikarza Szuby, rosnącego szybko w znaczeniu nie wskutek talentu, lecz przez sprytne wyzyskiwanie znajomości i stosunków. Ponieważ takie istoty są mikrobami bardzo zaraźliwemi w piśmiennictwie, wartoby ich życie

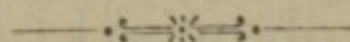
szczegółowiéj i dobitniéj wyprowadzić na jaw i wskazać ich różnicę od literatów i dziennikarzy, sumiennie obowiązki swoje pełniących.

= *Kazimierz Laskowski*. **Dygnitarze wioskowi**. (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897, str. 63). — Obrazki, nakreślone w téj książeczce, wzięte zostały, jak wnosić wolno z jednéj wskazówki tu zawartéj, z życia ziemi proszowskiéj i nastręczają możność porównania z sylwetkami narysowanemi przez innych pisarzy naszych, a zwłaszcza Sienkiewicza w „Szkicach węglem" i Sewera w „Przybłędach," P. Laskowski nie posiada talentu ani jednego ani drugiego, ale podaje wyniki obserwacyi swoich w sposób dosyć poprawny, niekiedy tylko wyszukaną i zawikłaną frazeologią zeszpecony. Satyrycznie zabarwioną, lecz bez karykatury jest postać pisarza gminnego pana Anzelma Grzechotki, umiejącego wyciągać i z dworu z gminy poważne dodatki do swojéj pensyi, 150 rubli wynoszącéj. Bardzo miłą jest osobistość wójta Stanisława, który nie daje się powodować pisarzowi, lecz nauczywszy się pisać, obdarzony zdrowym rozsądkiem, znając doskonale potrzeby swojéj gminy, spełnia obowiązki sumiennie i dobrze, pozyskuje sympatye i szacunek zarówno wśród najbliższego jak i dalszego otoczenia. Zabawny jest wreszcie obrazek wójta Walentego Karpiela, którego na godność tę wywiodła żona Magda, poświęciwszy podświnka dla pozyskania głosów gromady, lecz źle na tém wyszła, bo mąż się rozpił i dobytku nadszarpnął.

= *R(oman) Brandt*. **Lenora, Ludmiła i Neryna**. Notatka z literatury polskiéj (po rosyjsku). Warszawa 1896, str. 16. Jestto bardzo starannie obrobione zestawienie ballady Tomasza Zana p. t. „Neryna" z balladą poety rosyjskiego Żukowskiego p. t. „Ludmiła", będącéj przeróbką „Lenory" Bürgera. Autor wykazuje dowodnie, że Zan był tylko tłomaczem utworu Żukowskiego, bardzo drobnych tylko zmian dokonawszy. Gdzieniegdzie tłomacz nie rozumiał należycie języka rosyjskiego i wprowadzał do swego przekładu wyrażenia niepoprawne lub niewłaściwe np. w strofie 16 „b e z d u s z n y łańcuch" powstał widocznie pod wpływem „wozdusznoj ciepi" Żukowskiego. P. Brandt nie znał pracy p. Józefa Kallenbacha p. t. „Kilka słów o balladzie p. t. Neryna" (drukowanéj r. 1888 w XIII tomie „Rozpraw i sprawozdań wydziału filologicznego Akad. Um."), gdzie już zależność Zana od Żukowskiego wskazano. Przy końcu swéj rozprawki p. Brandt podaje przedruk „Neryny."



Przednówek polityczny.



Dwa zbiory dokumentów urzędowych, angielska „księga błękitna” i francuska „księga żółta”, ogłoszone dla użytku parlamentarnego, dają obraz obecnego stanu spraw na Wschodzie tureckim, w ciągu ostatnich lat trzech, 1894—97, aż do chwili zbrojnego wystąpienia Grecyi na Krecie. Zawartość całego tego materyału możnaby streścić w trzech wyrazach, stanowiących zarazem tytuł obrazu, odpowiadający przedmiotowi: „k o n a n i e chorego człowieka”. O stronności przedstawienia faktów ze stanowisk tak biegunowo różnych, nie może być mowy, gdyż widoki Anglii i Francyi nad Bosforem nie zbiegały z sobą, a wspólność ich działania jest dopiéro zagadnieniem najbliższéj przyszłości. Obłęd, upór, fanatyzm, brak jasno sformułowanego planu postępowania, zupełna nieświadomość istotnych zasobów państwa opętanego papiérową pomyślnością raportologii urzędniczéj; bankructwo, pustka, odłużenie skarbu; administracya zarozumiała, niezdarna, rozprzężona, do najwyższego stopnia nieudolna; wojsko zdemoralizowane, odarte, zdziczałe; flota splądrowana, gnijąca na kotwicy — taki jest najogólniejszy bilans chwili bezpośrednio poprzedzającéj napaść Greków. Po za tém, jako widmo tryumfów odniesionych w ciągu lat trzech z téj i z tamtéj strony cieśnin, staje: czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy chrześcian zamordowanych, drugie tyle nawróconych na muzułmanizm, kilkaset wsi i miast spalonych lub z ziemią zrównanych,

trzykroć sto tysięcy ludzi puszczonych z torbami, pozbawionych ostatnich środkich do życia...

Nad wyrównaniem i pogodzeniem z sobą tych resztek naradzały się w dalszym ciągu mocarstwa europejskie jeszcze w początkach lutego. Wszystko zdawało się wracać do sytuacyi normalnéj. W Paryżu i w Berlinie pojono się odgłosami toastów na cześć nowomianowanego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych; w Konstantynopolu przycichł nawet komitet rewolucyjny młodoturecki: zamiast odezw do ludów i dworów zagranicznych, rozpisywał też tylko listy do wyższych urzędników tureckich, cywilnych i wojskowych, żądając w wyrazach umiarkowanych, niemal uniżonych, „zmiany zgubnego dla cesarstwa systemu rządowego". Na Krecie tymczasem, jak się zdawało, pozostał jedynie drobiazg do sturczenia lub wyrznięcia. W. Porta, oczekiwała na gotówkę z Paryża, skąd, w końcu stycznia, nadeszło zapewnienie, że „lubo bank ottomański odmówił zaliczenia całego miliona funtów tureckich, to jednak rokowania ambasadora Porty z Rotszyldem są na ukończeniu, w kwestyi zaś rękojmi pożyczki nastąpiło całkowite porozumienie pomiędzy hr. Murawiewem a francuskim ministrem spraw zagranicznych." Projekt reform, wykończony szczegółowo, rozesłano gabinetom: p. Nelidow zażądał tylko nowych instrukcyi z Petersburga. Nie zwrócono uwagi na telegram z Aten (31 stycznia): „Dwa okręty greckie udały się na wody kreteńskie." W dzień późniéj donoszono z Aten: „Wobec groźniejszych stosunków na Krecie niepodobna myśléć o wprowadzeniu reform. Wypadki kreteńskie świadczą, że droga, na którą wstąpiły mocarstwa, jest błędną. Pomysł organizacyi żandarmeryi zawiódł; jedynym środkiem przywrócenia na wyspie spokoju jest uwolnienie Krety z pod władzy tureckiéj... „Do portu w Kanei wpłynęły dwa okręty greckie, które ludność powitała z zapałem. Marynarze greccy wysiedli na ląd..." Wiedeń, 8 lutego. *Fremdenblatt* ostro się wyraża o postępowaniu Grecyi, która otwarcie stanęła po stronie powstańców kreteńskich." Londyn, 11 lutego: „Dowódca eskadry angielskiéj na wodach kreteńskich otrzymał rozkaz porozumienia się w razie potrzeby z komendantami austryackim i niemieckim." Gibraltar, 12 lutego: „Na morzu Śródziemném Anglia posiada siły zapewniające należną powagę jéj udziałowi w koncercie europejskim. Na wschodnich pobrzeżach rząd angielski rozporządza czterdziestu okrętami wojennemi; w zatoce Bezika skoncentrowano dwadzieścia dwa okręty."

Pomijamy ojcowskie napomnienia, udzielone posłom greckim przy rozmaitych dworach z okoliczności, że pułkownik Vassos, zajaw-

szy Kretę, ogłosił jéj połączenie z Grecyą, że rząd ateński lekkomyślnie wystawił na szwank spokój świata i t. p. Natomiast zaznaczamy, powodzenie wiadomości—odwołanéj nazajutrz i znów stwierdzonéj — że cesarz Wilhelm staje na czele poskromicieli zachcianek greckich i bierze w swe ręce interesa zachowawcze Europy, cywilizacyi, przyszłości. Kilka dzienników paryskich, mniéj uważnych na niewłaściwość przypisywania monarsze niemieckiemu roli tak dalece podrzędnéj, ofiarowały mu z tego powodu honorowe obywatelstwo świata jako dobroczyńcy ludzkości.

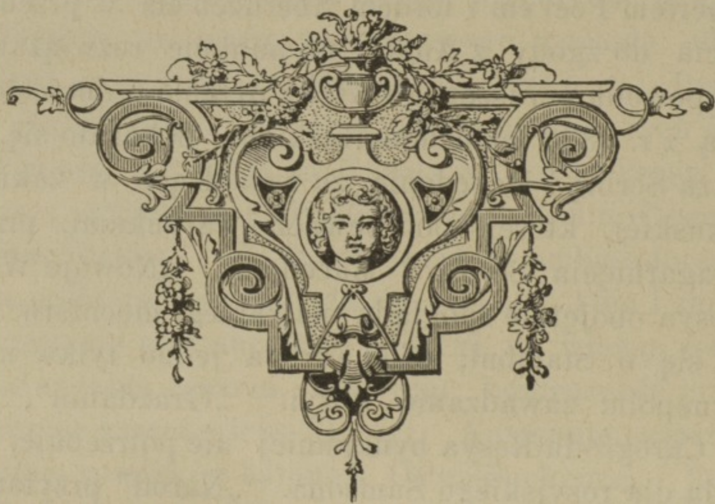
Przerzućmy jeszcze kilka kartek zmierzających ku marcowéj dobie wypadków, z których zatrzymajmy przy sobie, — na pamiątkę, fotograficzną odbitkę dnia tylko jednego — któregokolwiek. Rozwieje się to wszystko niebawem, rozproszy jako mgła; ponieważ jednak zarówno głupstwo ludzkie, jak i rozum są nieśmiertelne, przeto jutro, pojutrze, za kwartał, coś z tego zmartwychwstanie.

Koniec lutego, Hamburg: Koncert mocarstw europejskich stanowczo rozbity. Politycznie Europa weszła w stadyum nad wyraz niebezpieczne. Niemcy nie mają najmniejszego powodu obstawania przy całości Turcyi i szczątkach traktatu berlińskiego. Przystosować się należy do planów Rosyi i Francyi, osnutych na tych samych motywach, co i alians z r. 1829 za Karola X, kiedy Prusy, w zamian za rozbiór Turcyi, otrzymać mogły Holandyę. Berlin: Cesarz odłożył wyjazd do Hubertusstok. Na konferencyi z ambasadorem angielskim Rumboldem nastawał na niezbędność blokady Aten i zniewolenia Grecyi do zaprzestania awanturniczéj polityki na własną rękę. Rumbold nie podzielał zdania cesarza, zalecając konieczność przyzwolenia na oddanie Greków kreteńskich—Grecyi. Następnie cesarz naradzał się z ambasadorem rosyjskim baronem Osten-Sackenem. Roztrząsaną była ewentualność powrotu do niektórych założeń traktatu San-Stefano. Jak wtedy Rosya proponowała usamowolnienie Epiru i Tessalii (które kongres berliński do Grecyi przyłączył), oraz Krety (którą tenże kongres niewiadomo dlaczego przy Turcyi pozostawił), tak téż i obecnie należałoby Krecie zapewnić autonomię wyodrębnioną, niezależną w równym stopniu od Turcyi, jak i od Grecyi. Proszony na ponowną naradę ambasador angielski oświadczył, że rząd Wielkiéj Brytanii zgadza się na tę kombinacyę, proponując zaprowadzenie na Krecie samorządu, jaki otrzymała wyspa Samos. Cesarz jednak oznajmił, że przedewszystkiém Grecya wyrzec się musi aneksyi Krety; przeto, zanim się przystąpi do jakichkolwiek rokowań, należy położyć kres s p r z e c z-

nemu z prawem narodów (?) zachowaniu się Grecyi. Paryż: Rząd francuski odmówił wzięcia udziału w blokadzie Aten; dzienniki przyklasnęły zmianie dotychczasowéj polityki wschodniéj. Minister spraw zagranicznych, Hanotaux, odbył dłuższą konferencyę z ambasadorem rosyjskim, baronem Mohrenheimem. Wiedeń: Cesarz Franciszek Józef odroczył wyjazd do Cap-Martin, a wieść o tém przyjęto na giełdzie jako oznakę położenia nader groźnego, gdyż zdrowie cesarza wymagałoby niezwłocznéj podróży. Jednocześnie hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych, odbył narady z ambasadorami niemieckim, włoskim i angielskim, poczém dłużéj konferował z cesarzem. Petersburg: Dzienniki z godnością i spokojem omawiają sprawę kreteńską. O Turcyi wyrażają się oględnie, najzwykléj z punktu historycznego. „Trud" podnosi projekt cesarzowéj Katarzyny odbudowania cesarstwa wielko-greckiego dla drugiego jéj wnuka, wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. „Moskowskija Wiedomosti" powtarzają znane zwierzenia cesarza Mikołaja I-go, poczynione w czasie podróży do Londynu, w maju 1844 r., przed królową Wiktoryą, księciem Albertem, Robertem Peel'em i lordem Aberdeen'em w przedmiocie możliwego dojścia do zgody z Anglią na punkcie rozwiązania kwestyi wschodniéj; z powodu poruszonego wtedy pytania o doniosłości traktatów z Austryą z r. 1833 (münchengrätzkich), pokazało się, że Rosya oddawna uważa Serbię i Macedonię za wchodzące w zakres wpływu monarchii rakuskiéj, któréj, pod pewnemi warunkami, przyznane zostało prawo zagarnięcia Serbii i Macedonii. „Nowoje Wremia" zapewnia, że Rosya obojętnie spogląda na zabiegi mocarstw dopóki one nie zahaczają się o Stambuł; dziś Europa jedno tylko ma na celu w Konstantynopolu: zawadzanie Rosyi. „Graždanin", przeciwnie, utrzymuje, że Carogrodu Rosya bynajmniéj nie potrzebuje, że stać się on może Dalilą dla rosyjskiego Samsona. „Narod" przytacza wyjątki z dyplomatycznéj korespondencyi, poprzedzającéj wojnę r. 1877—78, na dowód, że wobec uroszczeń Grecyi, inne państewka półwyspu Bałkańskiego z trudnością powstrzymać się dadzą od akcyi zbrojnéj; albož w wojnie serbsko-bulgarskiéj 1885 r. król Milan nie oświadczył posłowi rosyjskiemu Persianiemu, że rozpoczyna kroki zaczepne jedynie dlatego, że przewrót filipopolski rozszerzył granicę Bulgaryi? Inne pisma poprzestają na regestrowaniu faktów spełnionych: że Turcya wojsk do Grecyi nie wysyła z obawy napaści na Starą Serbię i Salonikę, że pułkownik Vassos ustanowił już zarząd cywilny na Krecie, rząd grecki zniósł swoje konsulaty na téj wyspie, w Londynie izba gmin przyjęła bil o uzbrojeniach w drugiém czytaniu...

Co do przyszłości — twierdzić można ze stanowiska meteorologicznego chyba to jedno: że ponieważ nie sposób przypuścić, aby cała ta historya była zmarnowanym epilogiem dwuletniéj komedyi zręcznych pomyłek, zatém jest to zarazem najprawdopodobniéj misterny prolog zakrojonego na kilka aktów dramatu zaczepek na oślep. Bez przyzwolenia i uwzględnienia mocarstw nic się nie stało i nie stanie — to niezawodne; więc, jak dotąd, Grecya logicznie sobie postępuje,—że daje mocarstwom co uwzględniać i na co przyzwalać.

Prawdzic.



Przegląd dramatyczny.

Przedstawienie oryginalnie po polsku napisanego dramatu na scenie warszawskiéj zdarza się rzadko; od ostatniéj tego rodzaju reprezentacyi („Posąg” Wacława Szymanowskiego) upłynęło lat kilkanaście. To też nie dziwimy się wcale wielkiemu zajęciu, jakie obudził w prasie i wśród publiczności „Turniej” p. Stanisława Kozłowskiego, dany w Teatrze Wielkim 14 lutego po raz pierwszy, a jeszcze na trzeciém przedstawieniu (21 lutego) szczelnie zapełniający salę.

Autor, zdobywszy przed laty 10-ciu palmę pierwszeństwa na konkursie „Wójtem Albertem”, nie doczekał się dotychczas próby scenicznéj tego utworu; dopiéro drugi jego dramat „Esterka”, napisany wkrótce po tamtym, w osobnéj zaś książce dopiéro teraz wydany, ukazał się na deskach teatru krakowskiego. Za wątek obrał sobie p. Kozłowski do trzeciego dramatu czasy odrodzenia sztuki we Włoszech.

Bujne życie téj doby, potężne namiętności niczém nie krępowane w rozwoju swoim, swoboda obyczajów stykająca się co krok z rozpustą wyuzdaną, a przytém oznaki pobożności zewnętrznéj, zamiłowanie w przepychu, gdzie tylko roztoczyć go było można, udział władz rządowych i tłumów w interesowaniu się sprawami sztuki — dają bardzo bogaty do zużytkowania materyał twórcy dzieła scenicznego; zarówno bowiem obfitują w efekta dla oczu, jak i w grę uczuć — dla serca i umysłu.

Co się tyczy efektów dla oczu, p. Kozłowski wyzyskał je umiejętnie; w każdym akcie umieścił jakąś wspaniałą lub efektowną scenę zbiorową, malującą czy to życie artystyczne z jego upojeniami i zawiściami, czy wystąpienie uroczyste władz florenckich, rozstrzygających

konkurs (turniej), komu mają być powierzone malowidła w nowo wznoszonéj świątyni, czy uczty i zabawy wraz z popisami baletu, czy wreszcie publiczne prowadzenie śledztwa w celu odkrycia mordercy. Widz w teatrze ma wciąż sposobność wchłaniania wrażeń wzrokowych świeżych i urozmaiconych; w każdym akcie nowe dekoracye, w każdym akcie barwne widowisko mnóstwa osób w malowniczych kostyumach malarzy, modelek, tancerek.

Czy temu bogactwu widoków i zmian zewnętrznych odpowiada bogactwo i doniosłość kolizyi dramatycznych? W zasadzie niewątpliwie można dać na to pytanie odpowiedź twierdzącą, bo starcia się wielkich namiętności nie brak pomysłowi, ale wykonaiu musimy zrobić poważne zarzuty.

Zdarzenie, na którém p. Kozłowski osnuł swój dramat, opowiedział u nas obszernie a barwnie Józef Kremer w 1-ym tomie swojéj „Podróży do Włoch". Są tam nawet zarysy charakterów dwóch osób głównych tak podane, jak je pojął autor „Turnieju".

Oto Domenico di Bartolomeo, zwany Wenecyaninem, przejąwszy od Antonella z Messyny tajemnicę stosowania farb olejnych, przybywa do Florencyi i wzbudza uwagę całego miasta dziwnie pięknném malowaniem swojém. „Byle kto ucha nadstawił, już słyszał chwałę obcego artysty, bo smak do sztuki, a zamiłowanie w umiejętności było chlebem powszednim téj zacnéj stolicy."

Żył wówczas wśród grona licznych artystów Andrea del Castagno, „zaiste jeden ze znakomitszych malarzy owego okresu", lecz zarazem „człek, co zaprzedał duszę demonowi pychy i zazdrości." Otóż ten Andrzéj „łasi się Dominikowi, nadskakuje mu udaną przyjaźnią a judaszowym uśmiechem, aż się wśliznął w serce zacne weneckiego malarza." Dominik, „człowiek z duszą ciepłą, pełną życzliwości dla ludzi, zwiedziony chytrą obłudą, przywiązał się cały szczerze do zdrajcy; więc pewnego razu, w chwili przyjacielskiego wylania, wyjawił mu cały tajemny proceder olejnego malarstwa."

Nie zadowolił się tém Andrzéj, miotany „chucią, by on sam stał się jedynie dziedzicem tajemniczego kunsztu". Obaj „razem malowali w kościele Santa Maria Nuova, obaj razem mieszkali i wspólnie jadali i przechadzali się, — co więcéj, Andrzéj wtórował Dominikowi na lutni, gdy ten wyprawiał po nocach serenadki swoim damom. A przecież nie było już dwóch ludzi tak niepodobnych do siebie, jak obaj ci koledzy a przyjaciele. Dość spojrzéć na wizerunek Andrzeja, umieszczony przy żywocie jego w Vasarim, by w téj twarzy o ustach grubych, w tych oczach z ukosa patrzących wyczytać naturę drapieżną, duszę zdradną jadem przejętą. Nie dziwimy się téż, gdy nam prawią,

że mimo wielu zalet jego obrazów, przecież z nich straszy jakaś ponura posępność, że się w nich czai jakiś złośliwy, odpychający demon. Przeciwnie, Domenico Veneziano był człekiem lekkim, wesołym, żyjącym w zgodzie z każdym, lubionym od wszystkich; a nadto śpiéwał pięknie i grał po mistrzowsku na lutni, co mu także niewoliło serce niejednéj piękności."

Charakterystyka Andrzeja i Dominika, podana przez Kremera, przystaje najzupełniéj do ich wizerunku w „Turnieju"; ale rozwinięcie kolizyi i katastrofa są inne. U Kremera nie ma wcale mowy o żonie Andrzeja, Paoli, i jéj pokochaniu się w pięknym Dominiku; Andrzéj zabija Dominika na zaułku ulicy kawałem ołowiu.

P. Kozłowski, dla urozmaicenia akcyi, wprowadził do niéj konkurs czyli turniéj malarski, oraz postać Paoli. Na turnieju Andrzéj nie odniósł, jak się spodziéwał, stanowczego zwycięstwa;—miał się odbyć konkurs drugi, już tylko między nim a Dominikiem. Kto zwycięży, temu powierzone będzie malowanie nowéj świątyni. Andrzeja, przyzwyczajonego do tryumfów, ubodła sama myśl spółzawodniczenia z przybyszem, „chłystkiem", chce więc opuścić Florencyę; ale przełożenia i błagania matki i żony skłaniają go do przyjęcia walki na pędzle. Z początku jest pełen otuchy, ale gdy ukończył prawie swe dzieło, odczuwa boleśnie jego wielkie braki, nie może wierzyć zapewnieniom przyjaciół, że pracy dokonał szczęśliwie i chwyta się, jako środka ratunku, myśli poddanéj przez matkę, by posłał żonę do Domenika dla pozowania, a bratu swemu, Markowi, który miał Paoli towarzyszyć, zlecił podpatrzenie tajemnicy malarza weneckiego. Paola, czując, że już kocha Dominika, wzdraga się pójść do niego, lecz na wyraźny rozkaz męża, ulega, oświadczając jego bratu, że kocha tego, do którego ją wysyłają.

Marek nie zbadał tajemnicy malarskiéj Dominika, ale za to nabrał przekonania, że Paola rzeczywiście rwała się całą duszą do groźnego spółzawodnika męża swego i doznawała wzajemności. Namiętne wyrzuty, robione przez Marka, podżegają tylko uczucie Paoli, tak że już, nie panując nad sobą, postanawia przenieść się do Dominika, czego téż dokonywa. Marek w obronie czci brata wyzywa Wenecyanina na pojedynek; raniony śmiertelnie, umiéra, ujawniając przed Andrzejem cały przebieg sprawy.

Andrzéj wzgardził niewierną, którą kochał, jak się zdaje, samolubnie tylko, ale przeciw Dominikowi pała żądzą zemsty okrutnéj. Zakazawszy wspominać sobie imię żony, udaje się na ucztę do Dominika i oświadcza mu w słowach obłudnych, iż chce zostać jego uczniem i prosi go o przyjaźń. Lekkomyślny, rozpustny, ale szlachetny,

pierwszym popędem kierujący się Wenecyanin, przyjmuje Andrzeja otwartemi ramiony, wierzy w szczerość jego zapewnień i najserdeczniéj go ugaszcza, zapraszając do spółpracownictwa przy malowaniu świątyni, które mu zostało powierzone.

Gdy goście przeszli do ogrodu, wychodzi Paola z komnat Dominika, ździwiona raczéj niż przerażona obecnością męża w jego mieszkaniu, oraz serdecznym stosunkiem między obu malarzami. Nie idzie jéj obecnie o męża, lecz gniéwa ją zachowanie się Dominika. Nie dopuszcza go do żadnych wyjaśnień, ale wnosi odrazu, że on jéj nigdy nie kochał i z okrzykiem: nie możemy przecież żyć we troje! ucieka, by się ukryć w klasztorze.

Andrzéj maluje wraz z Dominikiem, wciąż udając przyjaźń najgorętszą. A gdy już posiadł tajemnicę Wenecyanina, postanawia się go pozbyć, ażeby nie miéć spółzawodnika. Dominik, pokochawszy Andrzeja, radby się przed nim ze wszystkiego usprawiedliwić, a więc i ze swéj miłości do Paoli, lecz na pierwszą wzmiankę jéj imienia, wstrząsa się mąż i nie dozwala mówić o niéj ani słowa. Dominik chciał upewnić męża, że żona nie zdradziła go w rzeczywistości bynajmniéj, że myślą tylko należała do niego; ale onieśmielony przez Andrzeja musiał zamilknąć. Katastrofa nadejść miała nieodwołalnie. Przy pomocy jednego z przyjaciół Andrzéj podcina rusztowanie, na którém pracował Dominik. Spada nieszczęśliwy i ginie na miejscu. Znajdowała się wówczas w kościele Paola. Postanowiła wziąć winę zabójstwa na siebie — robi téż wobec sędziego odpowiednie zeznanie. A gdy już w ten sposób pewna była śmierci, uroczyście przysięga Andrzejowi, iż przed sądem bożym stanie jako śnieg biała, chociaż nie zapiéra się, że myślą i chęcią zgrzeszyła i dlatego sobie karę wyznaczyła. Andrzéj nie wierzy jéj, a za swoją hańbę zabija ją i składa zeznanie, że on rzeczywistym jest sprawcą zbrodni. Sąd go nie karze zapewne przez wzgląd na sztukę; matka uprowadza Andrzeja, by wraz z nią poszedł drogą pokuty.

W opowiedzianéj tu treści, z wątku głównego wysnutéj, można już zauważyć pewne braki psychologiczne. Autor doskonale obmyślił efektowne sceny i słowa, każdy akt kończące, ale nie chcąc widocznie osłabiać efektów, zapominał o należytém motywowaniu postępków.

I tak, postać Andrzeja byłaby jednolita i zrozumiała od początku do końca, gdybyśmy w nim odrazu widzieli przewagę uczuć samolubnych nad miłością do żony; gdybyśmy już w pierwszych trzech aktach nabrali przekonania, że dla tego malarza o wiele ważniejszą i cenniejszą jest rzeczą odnieść tryumf na turnieju, posiąść tajemnicę malowa-

nia olejnego, aniżeli utrzymać nienaruszoném uczucie Paoli dla siebie; że w nim żądza sławy, skrytość, obłuda i zawziętość górują nad innemi, szlachetniejszemi popędami. Tak przecież nie jest. Aż do końca aktu trzeciego widz jest przekonany, że lubo duma stanowi wybitną cechę charakteru Andrzeja, to przecież zdrada i nikczemność nie znajdą przystępu do jego duzsy, że raczéj dopuści się jakiegoś gwałtownego kroku, aniżeli będzie udawał przyjaźń dla swego przeciwnika. Powié kto może, iż w duszy ludzkiéj dokonywają się przecież zmiany nadzwyczajne i niespodziewane. Niewątpliwie; tylko że innéj są one natury. Gwałtowne namiętności są powodem gwałtownych wybuchów; ale ażeby długo udawać spokój i przyjaźń dla wroga, na to trzeba wprawy wieloletniéj, a raczéj usposobienia już z natury. Zabić pod wpływem uniesienia można w wielu wypadkach przy bardzo odmiennych temperamentach, ale przystępować zwolna do wykonania zamiaru morderstwa może ten tylko, kto umié nad popędami panować.

Podobnież dramatyczne upostaciowanie Paoli dalekiém jest od zadowolenia wymagań psychologicznych. Miała ona kochać Dominika namiętnie, bez pamięci, a jednak pozostać białą jak śnieg. Chociaż trudne to bardzo dla psychologa i artysty zadanie, spełnienie go wszakże do niemożliwości nie należy. Ale u p. Kozłowskiego rzecz ta została przeprowadzona tak, że chyba mało kto z widzów nie podzieli sceptycyzmu jéj męża. Dominik, młody, przystojny, pełen życia, opromieniony sławą zrobił odrazu silne wrażenie na Paoli. Walczy ona z tém wrażeniem i z rodzącém się już uczuciem; chciałaby uniknąć pokusy, wymawia się od pozowania u Dominika, może trochę po kobiécemu obłudnie domaga się rozkazu męża, gdy ten rozkaz usłyszała, nie mężowi, tylko jego bratu wyznała, że już kocha Wenecyanina. Sądząc według zwykłych stosunków ludzkich i praw psychologicznych, wyznanie takie powinnoby było wpłynąć na dalszy rozwój akcyi dramatycznéj. Autor „Turnieju" nie uważał za potrzebne podniéść tego momentu; on mu potrzebny był tylko do efektownego zakończenia aktu... Daléj idą sprawy tak, jakby wyznania tego zgoła nie było. Paola chodzi pozować, Marek jéj towarzyszy i dopiéro po dłuższym przeciągu czasu czuje się zniewolonym do wypowiedzenia Paoli gorzkich słów z powodu jéj miłości dla Dominika. Ależ Paola mogłaby mu powiedzieć, że się trochę zadługo namyślał nad ułożeniem swojéj tyrady, że do jéj wypowiedzenia była znacznie stosowniejsza pora dawniéj, t. j. wtedy, gdy mu oznajmiła wyraźnie i bez ogródek, że Dominika kocha. P. Kozłowskiemu zdawało się, że gdyby tę tyradę we właściwém miej-

scu wypowiedział, popsułby sobie efekt. Może, ale tak zrobiwszy, jak zrobił, popsuł psychologię i logikę.

Idźmy daléj. Paola ostentacyjnie opuszcza dom męża, by się udać do Dominika. Chwali się jéj, że nie robi tego skrycie, ale niepodobna nie uznać połowiczności w jéj postępowaniu, gdy się zważy, że jak poprzednio miłość swą, tak teraz ucieczkę ukrywa przed osobą najbardziéj interesowaną, t. j. przed mężem. Ale to mniejsza, to jest psychologicznie zrozumiałém. Natomiast cała dalsza historya pobytu Paoli w mieszkaniu Dominika jest zagadkową. Odbywają się różne rzeczy: pojedynek Wenecyanina z Markiem, wspaniała uczta wyprawiona przez malarza z powodu zwycięstwa na turnieju. Co robi przez ten czas Paola w mieszkaniu Dominika, nie wiemy. Widzimy ją dopiéro wówczas, gdy goście przeszli do ogrodu. Wychodzi, by się upewnić, że jéj mąż nietylko znajduje się na uczcie, lecz jest w serdecznych stosunkach z Wenecyaninem. Nie przychodzi jéj do głowy, że mąż udaje przyjaźń, by szukać pomsty, ale inna, trochę może dziwniejsza, że Dominik jéj nie kocha, że jéj nigdy nie kochał, jeżeli się może przyjaźnić z jéj mężem. Doprawdy, trzebaby sobie długo suszyć głowę nad rozwiązaniem téj łamigłówki psychologicznéj, gdyby rzecz na to zasługiwała. Subtelności psychologicznych tu nie ma zgoła. Cała ta plątanina myśli i scen do tego jeno zmierza, by bohatérkę wyprowadzić z mieszkania malarza czystą jak śnieg i by na zakończenie aktu mogła Paola zawołać: „Nie możemy przecież żyć we troje!”—i wybiedz.

Takie są główne, mojém zdaniem, błędy w rysunku duszy i postępowaniu osób głównych „Turnieju”; ale nie mogę przemilczéć, że poczytuję również za wadę jego brak w nim osób prawdziwie sympatycznych, do których możnaby się przywiązać, któreby można kochać lub wielbić. Charaktery i wypadki, przez nas tu poznawane, interesują nas mniéj lub więcéj, stosownie do naszego usposobienia i nastroju, ale żadna scena nie rozrzewnia, żadna nie podnosi na wyżyny. Jest wprawdzie piękna apostrofa do sztuki, ale włożona w usta Andrzeja w tak niestosownéj chwili, że dla tych, co mają smak trochę wybredniejszy, wydać się musi niemiłą, ponieważ razi fałszem sytuacyi.

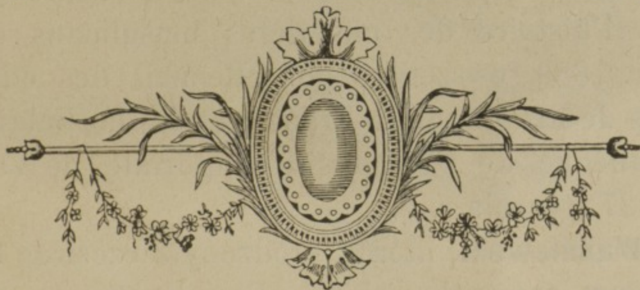
Do obniżenia wrażeń podnioślejszych przyczynia się styl i wiersz autora. Są one wogóle staranne, wypracowane należycie; ale napróżnobyś tu szukał prawdziwéj siły słowa i polotu poetycznego. Wszystkie osoby mówią stylem jednakowym, poprawnym i czystym, ale jakby skrępowanym więzami rymu, nie mogącym się wylać swobodną, żywą strugą. Przenośnie i porównania nie czarują wyobraźni, a niekiedy rażą nielogicznością, np. wówczas gdy Andrzéj obiecując sobie odzyskać natchnienie dawniejsze, woła:

Lotnego orła pochwycę w ramiona,
I wezmę skrzydła od niego sokole.

Bądź co bądź, sam fakt, że względem „Turnieju" stawiamy wysokie wymagania sztuki, wskazuje, iż nie poczytujemy utworu tego za rzecz powszednią, niewartą dokładniejszéj rozwagi.

Wystawa dramatu była piękna i efektowna; gra artystów wogóle staranna i dość zharmonizowana jako całość. P. Leszczyński jako Andrzéj miał chwile intuicyjnie odczute, lecz nie dość obmyślane w szczegółach, które w wyrażeniu powtarzały się (przytykanie palców do ust, zupełnie niewłaściwe niekiedy zmienianie tonu w głosie i t. p.). Pani Lüdowa grała świetnie; widocznie wystudyowała dobrze swą rolę; tylko warunki zewnętrzne, nie z jéj winy, nie były w zupełnéj zgodzie z wymaganiami, jakie rola Paoli stawiała. Dominika grał na drugiém przedstawieniu, na którém ja byłem, p. Ładnowski w zastępstwie za chorego p. Nowickiego; z téj pośpiesznie wyuczonéj roli byłoby rzeczą niewłaściwą oceniać grę tak inteligentnego artysty. P. Roland energicznie i z zapałem wydeklamował tyradę wobec Paoli i otrzymał rzęsiste oklaski. Matkę Andrzeja grała, jak zwykle, bardzo sympatycznie pani Rakiewiczowa. O innych aktorach trudno się tu rozpisywać, kiedy ich roli w sprawozdaniu nie zaznaczyłem nawet.

P. R.



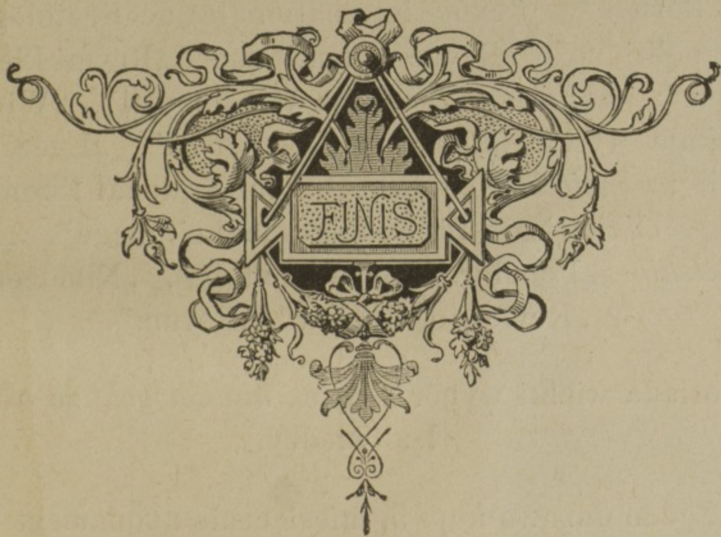
NEKROLOGIA.

† **Stanisław Siennicki**, bibliograf, urodzony r. 1834, otrzymawszy wychowanie i wykształcenie w kraju i w Petersburgu, rzucił się z zamiłowaniem do gromadzenia materyałów bibliograficznych i archeologicznych, pracując przy bibliotece publicznéj. Otrzymawszy posadę w biurze okręgu naukowego warszawskiego, dosłużył się godności referenta. Ogłosił najprzód króciutki opis kościoła katolickiego w Petersburgu (1864), który następnie znacznie rozszerzył, doprowadziwszy opowiadanie o jego losach do r. 1872. Następnie ogłosił w Warszawie 1873 pracę bibliograficzną p. t. „Drukarnia na Jasnéj Górze w Częstochowie i wyszłe z téj oficyny druki od roku 1628 do 1864.” W r. 1874 wydał po francusku opis Elzewirów, znajdującéj się w bibliotece uniwersytetu warszawskiego, a w r. 1866 z powodu zjazdu Oryentalistów w Petersburgu ogłosił opis cmentarzy mahometańskich: „Quelques mots pour servir à l'histoire des cimetières musulmans et des mosquées tartares”. W r. 1880 wyszedł jego: „Recueil des éditions des imprimeurs célèbres de l'Italie, de la France et de la Belgique, conservées dans la Bibliothèque de l'Université impériale de Varsovie.” Zmarł w Warszawie 27 stycznia r. b.

† **Józef Waśniewski**, literat, urodzony 3 czerwca 1858 roku w Potoku Złotym (pow. częstochowskim). Po ukończeniu szkół wstąpił na służbę na kolei nadwiślańskiéj i zaczął pisywać bajki i wiersze satyryczne pod pseudonimem Dudusia w „Kolcach”, „Musze”, „Kuryerze Świątecznym”, oraz zarysy nowelistyczne i liryki w innych pismach, jako to w „Przeglądzie Tygodniowym”, „Kuryerze Codziennym”, „Kuryerze Warszawskim”, „Tygodniu” i in. W oddzielnych książkach ogłosił nie wiele, mianowicie powiastkę dla ludu p. t. „Był sobie taki Józek” (Warsz. 1887), odznaczoną na konkursie „Gazety Świątecznéj”,

oraz „Grzechy gromadzkie" zaleconą do druku (Warsz. 1887); tomik szkiców pod tyt. „Zygzaki" (t-mże 1889) oraz „Bajki i fraszki." W ostatnich latach polubił Skandynawią, podróżował, ogłaszał swe wrażenia w „Wędrowcu" tłomaczył sporo poezyi ze szwedzkiego języka. W rękopiśmie pozostawił parę prac większych dramatycznych i powieściowych. Był zwolennikiem języka międzynarodowego „Esperanto" i przekładał na ten język różne krótsze utwory polskie. Odznaczał się talentem i zacnym charakterem. Zmarł na anewryzm serca 19 lutego r. b. w Warszawie.

† **Dr. Wilhelm Gabler**, spółzałożyciel wyższéj szkoły żeńskiéj w Pradze i 33-letni jéj dyrektor, autor i dziennikarz czeski, bliski przyjaciel Havliczka, były poseł na sejm czeski i w radzie państwa w Wiedniu, należący do stronnictwa staroczeskiego, pisywał w „Ateneum" „Listy czeskie" od r. 1879, najprzód pod pseudonimem *Prawdy*, potém pod własnem nazwiskiem. Ostatni list jego pomieściło „Ateneum" w r. 1895. Zmarł zacny człowiek, i wzorowy pedagog w 76 roku życia 27 lutego r. b. w Pradze.




BIBL. UNIW. K. U. L. • LUBLIN